45.-

STARA BAŚŃ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

UMK
Biblioteka
Główna

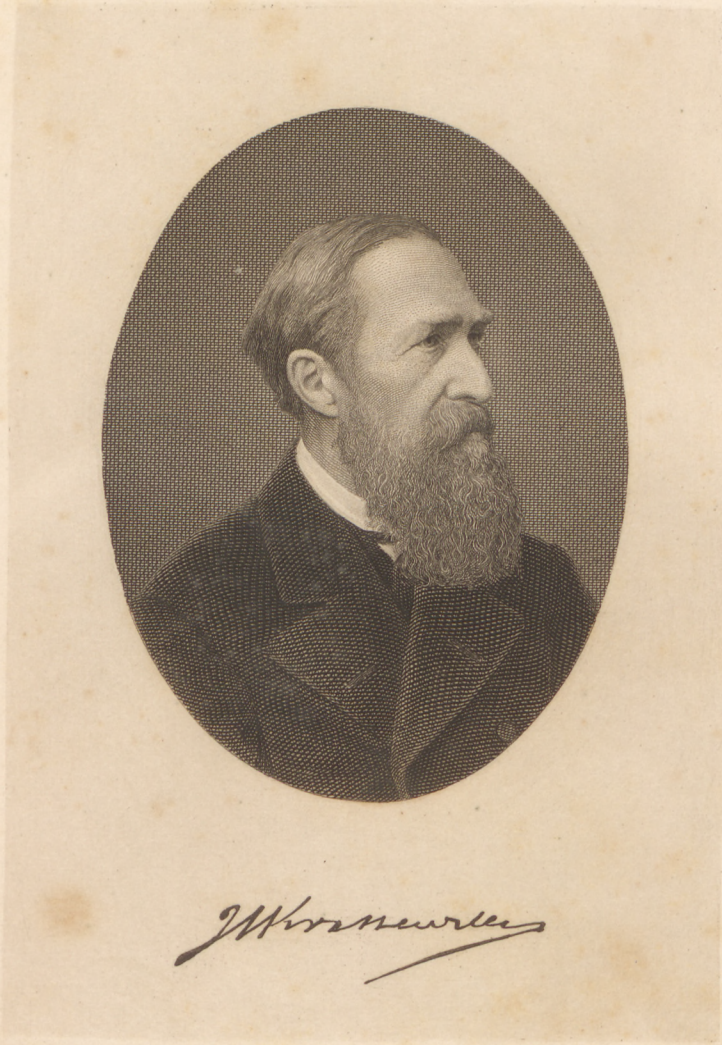

J. I. KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

Z 24 RYSUNKAMI E. M. ANDRIOLLEGO

Z PORTRETEM AUTORA

WYDANIE NOWE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1899

Дозволено цензурою.
Варшава, 15 Сентября 1898 г.

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

321818

II. 2684/60

I.

oranek wiosenny świtał nad czarną lasów lawą otaczając widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą świeżo w ciągu kilku takich poranków, z nabrzmiałych pączków rozwiniętych. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi złociły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedziła uroczysta cisza, tylko ptastwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściało i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę... popatrzało czarnemi oczyma i pierzchnęło... Zatętniało za niemi — cicho znowu.

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleściało, łoś rogaty — wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóż zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż po za nim, poło-

żywszy uszy pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodymi, drżenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr stąpając po wierzchołkach puszcz, i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Po nad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta, które się ze snu zerwały, zbudzone i uciekały czując, że obcy pan nadchodzi. Szare z razu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obsłonki pościeli, rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu, zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcza i powietrzne szlaki — wracało życie.

W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szałas na prędce sklecony: kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok, tuż, było wygasłe ognisko, spopielałe i kilka w niem

niedopalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów przywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozdęły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię, jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos... który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szałasu pokazała się głowa cała włosami okryta długimi — zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem rozgarniając je wydobył się z pod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długiem leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się — popatrzał na niebo, potem na konie... te zobaczywszy go, zwolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie — nic słychać nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał nizkie czoło tak, że oczy wprost z pod nich patrzały. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków zarumienionych snem i chłodem, dobywała się z pod wąsów i brody — wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi miał też suknem i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Z pod rękawów sukni krótkich, dobywały się ręce silne, włosem okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęźmi, i wnet z pod nich wypełzło chłopię,

wydobyło się z za liści — zerwało rzeźko na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić; gdy starego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt, oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

— Gerda — do koni! słońce weszło... Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkiem potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu, do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzódy napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię siedzące na jednym ziewało, z ukosa poglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali to poranna modlitwa?

Naostatek konie napojone podniosły głowy, i jak zadumane, słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognał ku szałasowi. Tu już nagotowane leżały, suknem i skórką poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry. Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlazł jeszcze pod szałas, i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę, i krótką pałkę drewnianą krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc czy czego nie zapomniał na niem, rękami popróbował sakiew na grzbiecie powiązanych, i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny, naprzeciw, rozgarniając ostrożnie le-

Rękami popróbował sakiew na grzbiecie powiązanych...

szczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, z razu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych, przypatrywało się podróżnym. Z za gałęzi widać tylko było włos płowy co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach, na pół podziwieniem otwartych.

Podróżny tymczasem ku słońcu poglądał i na bieg rzeki.

Po nad jej brzegami, drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwie, obrócone na wschód łbami, starszy pomyślał trochę, oczyma łąkę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębinę. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach co go szpiegowała, ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grzązką ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Oba podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem wyższym, nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż za gęstwiną coś zaszeleściało dziwnie... Zwierz spłoszony, myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka niedostrzegło oko, bór jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniegdzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mechami jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. — Na wzgórzu... coś białego nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry... Starszy

wstrzymał się trochę zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie do koła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst się dał słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwiło na piersi w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze czy do broni ma się brać, czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiła mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując... a miotała się jakby i ona groziła.

Konie głosami tymi podżegnięte, przyśpieszyły kroku, ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słychać nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna, kłusował naprzód konia pędząc skoro — chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, śpieszył za nim, pochylony na szyi swojego... przebiegli tak stai kilkoro, aż, nie słysząc nic, nie widząc pogoni — zwolnili kroku... Starszy się dopiero obejrzał na chłopca, ze zbladłą twarzą, z zaciętemi usty, z wytrzeszczonemi oczyma, przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo, choć w szybkim biegu, ugięła i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero na polance konia ściągnąwszy starszy, obejrzał się na strzałę, i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bólu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Piorunyby w nich biły... i burze! — zawołał warcząc rudy. Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana...

— Tyś ranny w nogę Gerda?

Chłopak z oczyma jeszcze obłąkanemi i trwogą, na nogę skaleczoną wskazywał. Rana jego głębszą była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

— No — nic to! jedna strzała polańska! — zamruczał starszy — oni ich nie zatruwają. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik nie straszny. Nie ważył się, zobaczywszy żeśmy zbrojni... ale, może zawołać innych, narobić wrzawy... uchodzić trzeba...

Spojrzał na słońce

— Trzymaj się konia, a puść go za mną... Spieszyć trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, póki nie dojedziemy do znajomych. Z południa na miejscu będziemy.

Chłopak milczał, starszy coś mruczał jeszcze, ku górze patrzał, konia sznurem ściągnął i polecieli w gęstwinę, nad brzegiem się ciągle trzymając, bez drogi — rzeka gościniec znaczyła.

Puszcza wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz zdala na wodzie postrzegli jakby głowę ludzką z ciemnym, przyległym do niej włosem i dwoje rąk, wiosłujących około niej. Lecz gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... i wyszła znowu z głębiny... na włosach czarnych, dokoła opleciony był wianek z łotoci... oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej, czółno maleńkie jak łupinka, ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad niem białą chustę widać było... Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenko, jak wąż, wsunęło się między trzciny, łozy, wiszary, których tylko wierzchy się chwiały... Kilka kaczek zerwało się przestraszonych, wyciągnęły szyje... sznurem leciały gdzieś dalej... plusnęły i padły.

Podróżni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej, dwa razy konie poili zmęczone i jechali dalej bez spoczynku, a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej. Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piasków zalatywał oddech gorący.

Nie zmieniła się okolica — bór ciągle szumiał nad rzeką. Gdzieniegdzie w piasku między pagórkami świeciło jeziorko — szerzej rozlewały się wody — to ściskały wśród parowu. Mieniły się tylko drzewa, sosny i jodły, potem zie-

lonych liści brzozy, i lipy, i osiki, i dęby na pół jeszcze śpiące a głuche na wiosnę.

Gdzieniegdzie żółtawą ławą leżał piasek, to kępiasta trzęsawica, którą okrążać musieli. Przed nimi zdala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jeleni, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzały jeszcze ciekawie, i gnały dalej, znikając im z oczów. Naówczas łomot stad spłoszonych konie straszył i pędził żywiej, stuliwszy uszy... póki sił stało.

Gerda ciągle ręką chwytał za nogę zranioną, czuł, że mu krew ciekła, jakby ciepły sznurek, wijący się aż do stopy, i w skórzanem obuwiu zbierała się z nogi, czerwonemi kroplami sącząc szparami chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liśćmi, coby krew zatamowały — nie było czasu. Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki... otarł je o końską grzywę — nie troszcząc się o to. Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca do spoczynku... Lecz nie rychło, nie rychło zwolnili biegu.

Tu rzeka płynąc nizinami równemi, szerzej się rozlewała, wśród błot świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którem stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziorka mnogie, opasane gajami... Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece. Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschły na znacznej przestrzeni. Gąszcze, co go podszywały, spłonęły do szczętu, daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy się z konia zsunął, rzucił go nie patrząc i legł na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był — piersi mu się podnosiły, a że krwawemi palcami dotknął twarzy, i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrzawszy to chłopak, uląkł się i krzyknął.

— Co ci to Gerda? Czyś ty mężczyzna! czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

— Nie o moją mi strach — rzekł — choć skórznie mam jej pełne... ale o waszą. Twarz ojcze, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, rozśmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem na ziemi siadłszy, nogę ranną rozzuł i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą. Stary patrzał na to obojętnem okiem.

W milczeniu dobyli potem z sakiew suszone mięso i placki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykładem zwlókł się też do wody... siedli jeść w milczeniu... Konie na chudej trawie leniwie się pasły.

Z lasu wyleciała sroka... uwiesiła się na suchej gałęzi nad głową starego, pochyliła ku niebu i krzyczała... Zdawała się zagniewana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej.. wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie... Nadciągnęła w pomoc wtóra i trzecia... i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadały się przy nich... Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony, łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej, zerwały się z krzykiem... zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi... Gerda z głową zwieszoną, na rękach sparty, nad końmi czuwał. Las milczał — niebo było czyste — owad tylko wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku, na konie siedli znowu... Stary się do chłopca zwrócił.

— O strzałach o krwi, o niczem ani słowa tam... Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał... Niemcami oni nas tam zowią — choć my ich język rozumiemy... Słuchaj co gadać będą, zda się to zawsze — ale udawaj, że ci ta mowa obca... Tak lepiej — milczeć.

Spojrzał nań, czekając by mu Gerda oczyma odpowiedział. Jechali dalej a dalej. Słońce już się zwolna spuszczać zaczynało ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgotniejsze otaczało ich powietrze — cień zalegał boru

ściany — gdy w dali nad zaroślami, pokazał się słup dymu siny...

Stary zobaczywszy go, drgnął, z radości czy niepokoju — chłopak też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

Do koła się las rozlegał stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwężała, płynąca ścieśnionem korytem. W prawo otwarła się łąka, do koła zasiekami drzew zrąbanych otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałup z drzewa i chróstu, opasanych tynami wysokimi — dobywał się ów słup siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznać można było.

U brzegu, podniesionego trochę rzeki, stały w prostokąt, szczelnie zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów wypłukana, od słońca zwapniała czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałami dartemi drzewa, wiszarem i gałęźmi ściany w słupy z chróstu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb zbudowana wznosiła się chałupa — dwór, do której szopy w koło przytykały, z nią razem obejście tworząc, w środku którego małe znajdowało się podwórze.

Dojeżdżając, rudy podróżny zwolnił koniowi biegu, oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbłąkanym tu od wieków kamieniu, ujrzał siedzącego starca, który niepostrzeżony, oddawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie, oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda piersi mu osłaniała. Biały wysoki kij trzymał w ręku. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą, obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby, ni broni. U nóg jego dwa psy leżały do wilków podobne, zaczajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawemi wiodące za podróżnymi... Drgały leżąc... i czekając kiedy się rzucą...

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała, ze skórą jakby spękaną, tak ją fałdy i zmarszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwemi krzaki bujnych brwi sterczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było z pod koszuli, jak twarz pokrajaną, brunatną — niby węże, sine oplatały żyły, pod skórą nabrzmiałe.

W chwili, gdy podróżny starca zobaczył, ten właśnie na psy zawołał groźno, ręką im wskazując w tył, za siebie, a kij podnosząc do góry. Podróżni stanęli, rozglądając się ciekawie.

— Pokłon wam, stary Wiszu... — rzekł z konia nie zsiadając podróżny, uchyliwszy tylko głowę, pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, boby nas porozdzierały... a my, starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi — a nie wrogi. Słowa te powoli wyrzekł starszy łamaną mową Serbów nadłabańskich — usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzał, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźno, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczerzyły patrząc na przybyszów, i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić..

Gospodarz huknął w dłoń... Na głos ten z za tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który rozkaz zrozumiawszy, psy zawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota... Słychać je było szczekające i wyjące w szopie.

— Zdrów bywaj — Hengo. Cóżeście to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? — rzekł gospodarz.

Rudy powoli z konia zlazłszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał, zbliżał się zwolna do starego.

— Ha! po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć jak tam gdzie ludzie żyją — począł mówić — przy tem też jakaś zamiana zrobi się może. Lepiej w spokoju mieniać czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojno a z życiem razem wydzierać. Ja — wy wiecie — człowiek spokojny, zaopatruję komu czego trzeba... aby żyć...

Stary się coś zadumał.

— Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer

dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie zwykli bardzo do rzeczy, które wozicie, swojem się radzi obchodzić. Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzył stary na ziemię i znowu się sobie zadumał.

— Zda się to przecież co ja wiozę — mówił powoli Hengo. — A skądbyście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili... Do Winedy daleko...

— Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć — rzekł stary Wisz wzdychając. — Był czas, że się ludzie tem obchodzili, i dobrze im z tem było... Jakeście wy a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarnek świecących na szyję i iglic gładkich i guzów i wszystkich tych zabawek... bez których teraz żadna nie stąpi.

— Niby to nie było — ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię, niż na przybyłego kupca — ale wy... wy, dróg się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... I tak samo przyjść może napaść jak przyszły świecidła.

Hengo pokryjomu błyskiem oczów bystrem zmierzył starego Wisza i rozśmiał się.

— Próżna to obawa — rzekł — nikt o napaściach nie myśli... Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz... żonę miałem z waszej krwi, serbską córkę... a z niej oto tego chłopca, który choć języka waszego nie umie — przecie w nim trocha tamtej krwi zostało.

Wisz, który na kamieniu siadł, a na leżący naprzeciw drugi wskazał Hendze, pokiwał tylko głową.

— Żonę mieliście Serbkę z nad Łaby — odezwał się — mówiliście mi o tem. Ale jakeście do niej przyszli? — hę? pewnie nie po jej woli?

Rozśmiał się Hengo.

— Starzy jesteście — odparł — wam tego mówić nie trzeba. A gdzież to na świecie niewiast się o ich wolę pytają? Gdzie się inaczej żonę bierze jak nie ręką zbrojną? Tak jest u was, u nas i na całym świecie... bo one woli nie mają.

— Nie wszędzie — wtrącił stary. — Młodym woli nie dają — a stare u nas szanują. Choć im rozumu odmawiają, przecie duchy przez nie mówią i wiedzą one więcej niż my... te — wiedźmy nasze.

Potrząsł głową; milczeli chwilę.

— Na noc was o gościnę proszę — odezwał się Hengo. — Co mam z sobą w węzełkach, pokażę... Zechcecie co wziąć? dobrze — a nie będzie zgody? nie pogniewamy się o to.

— O gościnę prosić nie trzeba — zawołał Wisz wstając — kto raz spał pod dachem naszym, zawsze ma pod nim spocząć prawo. My wam radzi. Kołacz i piwo i mięso się znajdzie — baby strawę wieczorną już warzą.

— Chodźcie ze mną.

Wisz wstał z kamienia i przodem go wiodąc, ku wrotom się skierował.

II.

dy stary na kamieniu siedząc rozmawiał z przybylcem z tej ziemi, którą krajem „niemych“, języka narodu nie znających, zwano — z za tynu i zagród, głów ciekawych zaczęło się ukazywać mnóstwo.

Rzadkością to było, ażeby w taką lasów głębinę i puszcz wnętrza docisnąć się śmiał obcy człowiek. Więc gdy się ukazali ludzie i konie... nieznane, a parobczak począł psy zamykać — co żyło w zagrodzie, choć zdala i przez tynu wierzchołki, przez płotów szpary, biegło się dziwić obcemu.

Widać było białe chusty niewiast zamężnych, włosy dziewcząt z wiankami zielonymi, głowy mężczyzn z długimi włosy i postrzyżone parobków i dziecinne oczy przelękłe z pośród gęstych kudełków, którymi się im czoła jeżyły. Podnosiły się one nagle i znikały, ukazywały i pierzchały... Stare nawet baby drżąc wyglądały z za płota, a że się obcego lękały, rwały trawę i ziemię, rzucając je na wiatr, i pluły przed się, aby im jakiego nie rzucił czaru.

Stara Wiszyna, a imię jej było Jaga, zobaczywszy, że się wiodą ku wrotom z gościem rudym, wystąpiła, usta zakrywając fartuchem, naprzeciw mężowi, dając mu gwałtowne znaki, aby z nią pomówił na osobności. Już się do wrót zbliżali, które im otwierać miano, gdy im zastąpiła drogę.

. — Po co tu obcego, niemca wiedziecie? — szepnęła wylękła. — Można to wiedzieć, co on z sobą niesie? jakie on uroki rzucić może?

— Ten ci to sam, Hengo z nad Łaby, co to naszyjniki przywoził i szpilki i noże... przecie się nam nic nie stało... Niema się go co obawiać, bo kto za zyskiem goni, temu czary nie w głowie.

— Źle mówicie stary mój — odparła Wiszowa — gorsi to ludzie od tych, co z nożami i maczugami napadają. Ano wola twoja, nie moja. .

I szybko ustąpiła, mrucząc, nie oglądając się już za siebie, aż weszła do dworu wewnątrz zagrody. A że na inne niewiasty, w podwórku po kątach poprzytulane, skinęła, pierzchnęły wszystkie, chowając się, gdzie która mogła. Parobków tylko kilku i dwu synów gospodarza zostało.

Hengo wszedł, rozglądając się trwożliwie, choć męstwem nadrabiał.

Chłopak jego z konia nie złażąc, z nim wjechał w podwórze. Ludzie wszyscy stali, patrząc na nich ciekawie i szemrząc między sobą.

Wisz prowadził do świetlicy.

Chata w zrąb na mech budowana, stara, w pośrodku się wznosiła, wyżej nad inne szopy, drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale obyczajem starym, bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok w niej ubito gładko, posypany był zielem świeżem, w głębi ognisko z kamieni stało, na którem nigdy ogień nie gasnął Dym się dobywał z niego przez nieszczelny dach ku górze. Ściany i belki i wszystko szkliło się od niego czarne. Dokoła przy ścianach ławy na pniach były przymocowane... W roku stał duży stół, a za niem dzieża do mięszania chleba, białem płótnem okryta...

Nad nią wisiały wianki już poschłe i wiązki różnego ziela.

Na stole, ręcznikiem szytym zasłanym, chleb też nadkrojony leżał i nóż przy nim mały. U drzwi na ławie stał ceber

z wodą i czerpakiem. W kącie, w głębi widać było żarna małe i kilka bodni, chustami poosłanianych.

Niewielkie okno, zasuwane wewnątrz okiennicą, stało teraz otworem, tyle światła wpuszczając, ile go do rozpatrzenia się w izbie było potrzeba. Gdy Wisz i Hengo przestąpili próg, stary podał rękę gościowi i pokłonił mu się mówiąc, a zarazem wskazując.

— Oto chleb, oto woda, oto ogień i ława — jedzcie, pijcie, ogrzejcie się, spocznijcie i niech dobre duchy będą z wami.

Hengo się niezgrabnie pochylił.

— Błogosławieństwo temu domowi! — odezwał się krztusząc — niech go choroba omija i smutek.

To mówiąc na ławie przysiadł, a Wisz ukroiwszy chleba kawałek, rozłamał go z nim i do ust podnosząc zjadł, co też i obcy uczynił.

Trwało to chwilę... gość już był uroczyście przyjęty i pozyskał prawa pewne. Niewiasty się nie ukazywały, ale że na cudzoziemca przez szpary patrzeć musiały, znać było z tego że szepty i stłumione śmiechy dolatywały do uszu jego.

— Teraz — odezwał się Hengo po chwili — kiedyście mnie przyjęli w gościnę, póki jeszcze dzień jasny, pokażę wam co wiozę ze sobą... Niech oczy widzą, że zwodnictwa niema... a jest popatrzeć na co!

Stary nic nie mówił, ruszył się tylko ku drzwiom, jeden z czeladzi do szopy go poprowadził, gdzie już konie z chłopem stały.

Gerda spoczywał na drzewie siadłszy, ciekawie się rozglądając i przysłuchując... Sakwy przy nim na ziemi leżały. Hengo ujął z nich dwie, i z taką siłą i zręcznością zarzucił je sobie na ramiona, jakby unikał pomocy obcej, lub chciał się popisać ze zręcznością. Przez podwórze też niosąc je, umyślnie zdawał się stąpać lekko i zwinnie, jakby wcale obarczony nie był. Pochyliwszy się nieco we drzwiach, wszedł do dworu, i tu, przy okienku, około ławy szerokiej, sznury rozplątywać począł.

Chłopcy domowi ciekawem go otoczyli kołem. Z wielką wprawą i zręcznością Niemiec sakwy otworzył, pomyślał chwilę i obejrzawszy się ku staremu, zaprosił go ku sobie.

— Ale, cóżto?... wy sami tylko — odezwał się — a niewiastom waszym ani nawet oczów nacieszyć niż dozwolicie? Jam już człek nie młody, mnie też ani się wstydzić, ani lękać nie macie powodu.

Wisz zawahał się nieco, potem ręką dał znak i sam poszedł ku drzwiom bocznej komory. Tu stara Jaga na straży stała, drzwi sobą zapierając, ale nie pomogły groźby jej i obawy, gdy stary gospodarz dał swobodę, niewiastki i dziewczęta tłumnie wpadły do izby. Pędziła je ciekawość, a strach hamował, i zaledwie wparły się do świetlicy wązkiemi drzwiami poczęły nazad uciekać. Pierwsza co rudego Niemca oczy spotkała, krzyknęła i cofnęła się; za nią jak pierzchliwe gniazdo pobiegły inne. Śmiechy, szepty i łajania Jagi, razem zmieszane słyszeć się dały.

Hengo tymczasem klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego, ukradkiem ku drzwiom, spoglądając. Oczy jego tam i sam ciekawie biegały, choć udawał, że tylko towarem swym jest zajęty. Lękając się i pragnąc, walcząc ze strachem i ciekawością dziewczęta jak woda na jeziorze, to się ode drzwi, na izbę posuwały, to cofały nagle, jakby do komory nazad uciekać chciały. Niemiec, którego bystre oczy najwięcej siały trwogi, coraz mniej na pozór zważał co się tam za nim działo, niby nie widział, niby się nie zajmował niczem, tylko towarem, który na ławie rozkładał.

A było go poddostatek, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszcu jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy błyszczące inne poplątane były jak łodygi kwiatów gdy zwiędną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszone blaszkami, kółkami i dzwoneczkami. Hengo je sobie do szyi przykładał, nic nie mówiąc, a pokazując jak się na suknie bogato i pięknie wydawały.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Jedne naszyjniki plecione były jak dziewcząt kosy, inne gładkie z mocnego kruszcu, szyi od pocisku i strzały bronić mogły.

Na długim sznurze cała kopa może kolców kruszcowych wisiała, nanizanych jak obwarzanki, które na rękach noszono. Były większe i mniejsze, i takie co wężem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły. Drugie dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze były i grubsze. Pierścieni też miał Hengo do wyboru bogactwo wielkie, kowanych i plecionych, wyrzynanych mądrze i ozdobnie.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki, długie noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgi, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogła.

Te gdy na ławę wykładać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu z pochwy skórzanej wydobywszy go, podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść z kosaćca, u pięści piękną rękojeścią opatrzony.

Gospodarz w prawą go rękę ująwszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

— Lepsze to — zawołał śmiejąc się Hengo — od waszych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowiek, czy zwierzę dzikie, byle prawica silna — zmoże; a doma też tem wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Hengo ostrożnie zwrócił na nie oczy. Wszystkie odziane były w bieli; przecie wśród czeladzi i służby rozeznać było łatwo między niemi dwie hoże niewiastki gospodarza i dwie córki jego, w zielonych wiankach z kosami długiemi. Grubszem płótnem okryta czeladź z tyłu się trzymała.

Z dwojga dziewcząt jedna, ta która najbliżej stała, pię-

— Lepsze to — zawołał śmiejąc się Hengo — od waszych starych kości i kamieni...

kna była tak, że między najcudniejszemi mogła otrzymać pierwszeństwo.

Lice też miała bielsze i mniej opalone; znać może więcej siedząc za tkackiemi krosnami, niż po polu biegając. Biała i rumiana, z usty różowemi, wielkie oczy szafirowe wlepiała z kolei w pierścienie, to w cudzoziemca, to niemi wodziła po siostrach i braciach.

Lecz wzrok się jej nie palił do tych błyskotek. Ręce trzymała na piersiach złożone, a śmielej rozglądała się niż towarzyszki. Na białej koszuli jej spływał sznur nieforemnych obłamów bursztynu, do którego niebieskie i czerwone ziarna się mięszały. Na głowie ruciany wianuszek świeży zieleniał wesoło. Twarze innych śmiały się dziecinnie, jej lice smutno i poważnie patrzało. Między wszystkiemi zdawała się panią.

Hengo parę razy spojrzał ku niej. Dziewczę zarumienione cofnęło się nieco; lecz wnet odzyskawszy śmiałość, na pierwsze miejsce wróciło. Niemiec wziął nieznacznie z ławy jeden z pierścieni i na palcu go potrzymawszy przeciw oknu, wyciągnął ku dziewczynie.

— Niech to będzie mój gościniec za gościnę — rzekł — podając go pięknej córce Wisza, która zmieszana, dumnie spoglądając cofnęła się i potrząsnęła głową.

— Przyjmijcie go, on wam szczęście przyniesie — rzekł Niemiec.

Nie mówiąc nic, nie posuwając ręki, dziewczyna cofnęła się powoli. Ojciec na nią spojrzał, potrząsła głową i skryła się za inne. Hengo więc podał go drugiej siostrze, która zapłonąwszy mocno, rękę wyciągnęła fartuszkiem okrytą i podarek z radością przyjęła. Wnet bratowe i czeladź skupiły się około niej, aby to cudo oglądać. Szybko pobiegły z nim do komory.. do matki. Słychać było szeptanie długie, jakby gniewne... a po chwili obdarowana, w końcu fartuszka niosąc zawinięty kawałek bursztynu ciemnego, spojrzała na ojca, który głową skinął i nic nie mówiąc, na ławie go przed Niemcem położyła.

— Weź to! — rzekł Wisz — nam się za gościnę podarków brać nie godzi.

Z uśmiechem Hengo zabrał bursztyn, obejrzał go i wpuścił do worka, który miał pod suknią. Nim to jednak uczynił, splunął nań nieznacznie, aby czary odpędzić.

Wisz zamyślony stał na kiju się oparłszy, nóż obejrzany położył i milczał posępnie... Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekierki i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że im się tych skarbów chciało — ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał — a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał... Hengo, co miał pod ręką rozłożywszy, patrzał zwycięsko po otaczających.

Niewiasty wróciły, parobczaki stali... milczenie panowało w izbie: wtem oczy starego padły na coś leżącego, wśród innych ozdób na ławie, czego znać nie widział w życiu. Był to świecący krzyż z uszkiem... do noszenia na szyi. Błyszczał tak jakoś, że oczy wszystkich zwrócił na siebie...

— A to — co jest? — zapytał stary — wskazując.

Hengo zdaje się, że go dopiero teraz spostrzegł, iż go wydobył i pochwycił skwapliwie.

— A! to — zawołał zmięszany — to jest znak... dla ludzi innej wiary, niż wasza... który im szczęście przynosi...

— Nam-że onby nie przyniósł szczęścia? — zapytał Wisz.

Hengo zamilkł i schował go do worka... Nastąpiła znowu chwila milczenia. To schowane tak szybko godło tajemnicze, obudzało ciekawość, lecz Niemiec już się z niem ukrył.

— Trudno się to oprzeć — odezwał się gospodarz... — kiedy samo co pod dach przychodzi, a do życia pomódz może. Za dawnych czasów, ledwie u księdzów i żupanów coś podobnego widzieć było można, teraz i my kmiecie ważyć się na to musimy. Nie wyjdzie z domu dziewka, żeby jej do wiana nie dać kolców i szpilek.

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na ucho... wyszło ich zaraz dwu z izby. Wisz na ławie siadł i po jednemu odkładać począł, co dla siebie i dla swoich chciał zatrzymać —

wybrał piękny miecz liściasty, siekierek kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami... myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Wtem Hengo zdjął z ławy dwa chrzęszczące naramienniki i podniósł je do góry.

— Staremu Wiszowi by się to zdało — zawołał — i przystało.

— Po co? — rzekł gospodarz — chyba, aby mi synowie włożyli na mogiły... Na wojnę iść już nie myślę, na to są chłopcy dorosłe, a doma co mi po tem?

— Rzekliście do mogiły — odezwał się Hengo — niech was bogowie długo chowają, a no i do grobu to wziąć nie szkodzi... wszak ci u nas zwyczajem, że na stos się ubiera i zbroi, jak takiemu bogatemu kmieciowi przystało.

Stary ręką zamachnął w powietrzu.

— Co mi tam! — rzekł — chcieć i brać łatwo, ale co dać za to? Nie bardzośmy zapaśni.

— Jużciż choć bursztyn i skóry macie, bo wam tu do morza bliżej, a i w ziemi go tu kopiecie...

Wisz patrzał na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się też wkrótce oba, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk skór różnych powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi, Niemiec chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczały. Wydobywał po jednemu bryły mułem i ziemią okryte, gdzieniegdzie jasnemi obłamy połyskujące... W tych zdawał się świecić, jakby zamknięty płyn jakiś, który stężał i zmarzł na kamień. Skóry też zwierza zabitego zimą, włosem świeciły lśniącym, a gdy Niemiec palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich szerści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął, milczący bez słowa... Hengo odkładał co mieć pragnął, stary głową trząsł i odrzucał... Razy kilka tak liczono skóry i to co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano. Wisz to Niemiec trzęśli głową.

Jeden to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi...

Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielone długimi, w ciągu których umowa zerwaną się zdawała, Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczynali. Ociągano się z tem jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawartą została. Wisz zagarnął licząc swój nabytek i natychmiast go rozdzielać począł, wśród powszechnych oznak radości. Ściskano go za kolana. Dwór cały odzywał się wykrzykami... Niemiec wiązał skóry i pakował bursztyny.

Pot mu ciekł z czoła, napił się wody i usiadł na ławie.

— Patrzcieżno — odezwał się gospodarz — ileśmy to wam dać musieli, a wiele od was bierzemy. We dwie garście się to zmieści. Czemu wasze ma być tak drogie, a nasze tak tanie?

Hengo uśmiechać się począł.

— Naprzód — rzekł — tom ci ja niemal stawił życie, wioząc wam tu towar do dworu. Niezdrowo to przedzierać się lasami. A to, co ja wiozę, tego ziemia nie rodzi; ani ludzie nie robią, ale duchy po pieczarach mieszkające, które człowieczków mają postać... Oni aż do wnętrzności ziemi za tym kruszcem wdzierać się muszą. Taki człowiek jak ja, wiele światu przejechać musi, zanim się do nich dostanie i cokolwiek wyprosi. Ani dzień, ani dwa, ale miesiące i lata wędrować trzeba, nim się człowiek do nich dobije.

Życie się stawi codzień i od dzikiego zwierza i od obcych ludzi, którzy radzi złupić podróżnego. Choć się rzeki i parowy zna, często się zbłądzi, głodem przymrze, niedośpi... a rad kto wyjdzie ze skórą całą. Co za dziw, że dużo wziąć potrzeba. Wam w las pójść za zwierzem, którego u was pełno, to zabawka, bursztyn samo wyrzuca morze, albo ziemia rodzi...

Wisz milczał słuchając. Parobcy i synowie rozstąpili się ku ognisku i w głąb świetlicy, każdy chwaląc tem co otrzymał. Niewiasty szepcząc kryły się w komorze i jedna tylko córka gospodarza, piękna Dziwa, w przymkniętych drzwiach wyglądała ciekawie.

Rozmawiali powoli, słuchano ich pilnie.

— A jeśli wam tak ciężko i niebezpieczno — mówił stary — po co wędrujecie? Macie swoją chatę i pole?

Hengo brwi namarszczył.

— Dla czego wy na łowy idziecie, choć zwierz bywa dziki? Człowiek się rodzi do swojego życia i odmienić go nie może. Nie tyle za bogactwami goni, co za dolą swoją, która go w świat pędzi. Narody całe płynęły nieraz kędyś ze wschodu... ze starych siedzib na nowe, albo to im tam ziemi brakło? Tak i mnie duch mój włóczyć się każe.

— A dużoście już świata zjeździli? — zapytał Wisz...

Hengo się uśmiechnął.

— Tak dużo, że nie pamiętam z ilu rzek piłem wodę, przez wiele gór wierzchołkiem się przedzierał, widziałem dwa morza... a języków, którem słyszał nie zliczę... a ludzi różnych...

— Przecież ze wszystkich narodów, naszych pono najwięcej — odezwał się stary... — My Polanie rozmówić się możemy i z temi, co u Odry i co nad Łabą siedzą z Pomorcami i z Renami na Ostrowiu i z Serby i z Chrobaty i Morawiany i aż do Dunaju... i dalej. A któż policzy... jest nas jako gwiazd na niebie.

— Hm! — mruknął Hengo — i nas też nie mało...

— A ziemi też dla wszystkich dosyć — dokończył Wisz... Każdy u siebie doma, ma czego mu trzeba, ziemię matkę pod nogami, słonko nad głową, wodę w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milcząco.

— Tak ci jest — rzekł — przecie jedni drugich nadchodzą — i z głodu i z chciwości, i dla niewolnika, gdy go zabraknie.

— Dzieje się tak u was — przerwał stary — my wojny nie pragniemy, ani w niej smakujem Nasi bogowie pokój miłują jako my.

Niemiec się skrzywił.

— Kto wam tu co zrobi? — mruczał — kraj szeroki, pustynie — łatwoby wejść, ale wynijść trudno.

— Myśmy też — rzekł Wisz — od was się nauczyli bronić i wojować, bośmy tego dawniej nie znali. Prawda, że tam u zachodu wasze duchy lepszy oręż kują, ale i nasz kamień stary i pałka niczego.

— Myśmy już o kamieniu zapomnieli — odezwał się Hengo — pogrzebaliśmy stare młoty po mogiłach i już prawie nie widać. Niezdał się już teraz kamień, gdy o kruszec łatwo, a ludkowie nasi po pieczarach coraz więcej go znoszą.

— My też mamy go od morza i od lądu, z różnych stron przywożonego — ciągnął Wisz... przecie dzieci uczymy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie pokazali, jak obrabiać praojcom naszym.

I każdemu do grobu wkładamy młot, siekierę bożą, kamienną, aby się u swoich bogów nią wyświadczył kim jest i skąd idzie. Inaczejby go nie poznali. A będzie tak na wiek wieków i u wnuków naszych.

Hengo słuchał ciekawie. Wtem stary podniósł się z ławy i sięgnął ręką na półkę, ponad dzieżę chlebną, gdzie rzędem leżały młoty i siekiery kamienne, pooprawiane w drzewo i powiązane mocno. Ujął ich kilka w rękę, pokazując Niemcowi...

— Po dziadach, pradziadach myśmy je odziedziczyli — mówił — biły one ofiary bogom i łby wrogom i zwierzom rogi. Gdyby nie kamień, nie byłoby człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, żyto kamień starł na mąkę — i błogosławiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie pożre.

To mówiąc, młoty swe z poszanowaniem na półce położył.

W ciągu rozmowy niewiasty służebne koło ogniska się kręciły, rozpalając je. Przez drzwi od komory otwarte dozorowała Jaga. Pracowały z niemi niewiastki i córki, tylko Dziwa w wianku, z założonemi rękami zdala się temu zachodowi przypatrywała. Najmłodszą była w domu, najpiękniejszą i najukochańszą, a pieśni najśliczniejsze śpiewała. Matka ją najciekawszych baśni uczyła, ojciec najstarszemi podaniami

karmił. Wiedzieli wszyscy, że ją duchy nawiedzały, że we snach szeptały jej o tem, o czem nikt, ani ojciec, ani matka, ani siostry nic nie wiedziały. Kto chciał wiedzieć przyszłość, jej pytał — pomyślała — popatrzała, powiedziała. A pieśni się jej rodziły tak, jak na wiosnę nad strumieniem kwiaty. Gdy na rozstajach i u świętych zdrojów ofiary składano, nikt tam nie przodował, tylko ona jedna, i szanowali ją wszyscy, a z młodzieży nikt nawet spojrzeć na nią nie śmiał zuchwale. Wszyscy wiedzieli, że ją sobie duchy wybrały za oblubienicę.

Dlatego, gdy drugie siostry i bratowe same w las się iść lękały, tam gdzie duchy latają, unosząc się nad strumieniami, nad jeziory, nad górami i wąwozy — Dziwa szła śmiało, wiedząc, że się jej nic złego nie stanie, że niewidzialna ręka zwierza i wilkołaka odegna, smoka i węża nie dopuści.

U ogniska warzyła się i piekła wieczerza, a że gość był w chacie, dostatniejsza niż poprzednio. Ćwierć kozłowa obracała się u ognia, w wielkim garncu warzyło mięsiwo z krupkami. Jaga też zawczasu w cebrzyk drewniany utoczyć kazała piwa, jeden z chłopców przyniósł miodu, który tylko dla gości dawano. Znać było dostatek w domu bo i nabiału nie brakło, zwierzyny, kołacza i chleba.

Wszystko to na stół zniesiono, a Wisz skinieniem gościa zaprosił; sam siadłszy w rogu, gdzie jego miejsce było. Niżej na ławach synowie siedli, a niżej jeszcze parobcy...

Dziewki i niewiasty, nie śmiejąc usiąść z mężczyznami, służyły. W milczeniu zabrano się do mięsa, palcami go odrywając, tylko Hengo noża na skórzanym pasku dobywszy, dla siebie krajać go zaczął. Na ten obcy zwyczaj dziwnie patrzano, bo krom chleba dużego, wszystko się palcami brało i jadło. Postawiono garnuszki i czerpaczki przed siedzącymi z wodą piwem i miodem. Wisz zlał trochę na ziemię... Głodny podróżny raczył się i popijał do syta, a nierychło mu na myśl przyszło, iż dziecko głodne w szopie przy koniach zostawił. Szepnął więc coś staremu Wiszowi, który głową pokiwał.

— Jedzcie spokojnie — rzekł — nie zapomną o nim,

u nas obyczaj nie tylko o panu pamiętać, ale i o sługach, a gdybyście psy mieli z sobą i teby głodu nie zaznały. Zwierzęta też, którym bogowie mowę odjęły, kto wie co w sobie noszą? przecie naszą mowę rozumieją. w życiu nas strzegą, a po śmierci żałują.

Mówił to właśnie patrząc na psy swoje, które dobywszy się z zamknięcia, gdy zwietrzyły wieczerzę, wcisnęły się do chaty i pod stół, kości gryząc, które im rzucano.

Słońce się miało ku zachodowi, gdy najadłszy się i napiwszy, Wisz wstał, tuż za nim wszyscy z ław ruszyli. Podniósł się i Hengo, miejsce opróżniając dla niewiast, wyszli na podwórko z chaty.

Stary na kiju się opierając Niemca z sobą powiódł ku rzece, dawszy mu wprzód sakwy zrzucić w szopie, bo się nazajutrz do dnia w drogę wybierał. Siedli znowu oba na tych samych kamieniach nad wodą. W łozach śpiewały słowiki, nad błotami zwijały się czajki krzykliwe i niespokojne, w lesie kukułka coś liczyła po jednemu, a na moczarach bąk, kiedy niekiedy, jak stróż na czatach, hukał... z daleka... O kilkanaście kroków od nich, dwa bociany, których gniazdo na szopie widać było, wieczorną odbywały przechadzkę, dziobiąc żabki przestraszone...

III.

omilczawszy chwilę, Wisz spojrzał na Niemca.

— Dostaliście się tu szczęśliwie — a dalej? dokąd myślicie?

— Dokąd? — zwolna powtórzył, jakby niechcąc się z tem zdradzić co zamierzał. Hengo — dokąd? Ot, sam dobrze nie wiem. Wy tu na znacznej przestrzeni sami ze swojemi siedzicie i panami jesteście... Ja, żem tu już raz się kiedyś zabłąkał, przywlokłem się i teraz. Dalej puszcza, iść choćby za rzeką obłąkać się łatwo, a na złych ludzi trafić gromadę, którzy z życiem nie puszczą. Po ladajakich chałupach w lesie tłuc się nie myślę, pożytku z tego mało... ale... toć też gdzieś, nieopodal kneź wasz siedzi... Gdyby do jego grodu nad jeziorem nie było daleko... puściłbym się...

Wisz brwiami siwemi ruszył, a ręką w prawo, nie mówiąc nic, pokazał.

— Jestże ci kneź... na grodzie nad jeziorem, a do niego w dzień niespełna stanąć łatwo. Kneź! kneź! powtórzył z przekąsem... Ten kneź już sobie prawa do wszystkiej naszej ziemi rości, po wszech kniejach poluje, a ze swymi zbrojnymi ludźmi czyni co chce... To srogi człek, jemu się w paszczę dostać, jak wilkowi głodnemu... a no, i na wilki ludzie sposoby mają.

Niemiec milczał.

— Wasz ci to kneź nie obcy — rzekł po chwili — trzeba przecie żeby naród miał głowę i wodza, a coby począł, gdyby go wróg nadszedł?

— Niech nas od tego bogi bronią — mówił stary. — My to wiemy, póty naszej woli, dopóki pokoju. Przyjdzie wojna, z nią iść musi niewola. A kto z wojny skorzysta? nie my, ino kneź nasz i jego słudzy. Nam wróg chaty popali, bydło zajmie, oni niewolnika nabiorą dla siebie i łupu. Tyle z tego, że nam dzieci poginą; a kto padł w wojnie, temu i mogiły nie usypią, krucy ciała rozniosą.

I westchnął.

Pan to jest mocny, ten co na grodzie siedzi? — spytał Hengo.

— Bogi mocniejsze od niego — mruczał Wisz — a i gromada silną bywa... Ja nie wiem więcej, dań mu daję jaką każe — i znać go nie chcę, ani jego, ani całego ich Leszków plemienia.

— Wyście u siebie panem — dorzucił pochlebiając Hengo.

— A pewnie — rzekł Wisz. — Gdybym nim tu nie miał być, toć są jeszcze ziemie puste, poszedłbym jak ojcowie chadzali z mojemi gdzieindziej, gdzie wojna nie dochodzi i niewola. Zaorałbym nową granicę wołami czarnemi i siadł.

Jakiś półuśmieszek szyderski Niemcowi się po ustach przesunął i dodał.

— Hejno, gdybyście mi rozpowiedzieli a ukazali drogę do Gopła, a do Stołba kneziowego, kto wie? powlókłbym się jeszcze... zobaczyć i tego świata trochę.

Gospodarz pomyślał nieco...

— Czemu nie! próbujcie szczęścia — rzekł. — Z waszych tam już nie jeden bywał, nie jednego też może znajdziecie. Kneź ma żonę z niemieckiego kraju, po niemiecku rad rządziłby nami.

Wstał stary z kamienia.

— Słońce nie zaszło jeszcze, macie dobre nogi? — zapytał. — Pójdziemy za las, na górę, skąd świata widać nie mało... Stamtąd wam drogę ukażę łatwo... Chcecie za mną?

Niemiec, który łuk i proce zostawił we dworze, prawie będąc rozbrojony, zawahał się nieco.

— Tak? z rękami gołemi — spytał.

— Jam tu na mojej ziemi — odparł stary obojętnie — mnie tu zwierz nawet szanuje. Innej broni nie potrzebuję — dodał, róg wyjmując z zanadrza — nad tę jedną. Gdy się głos rozejdzie po lesie, zrozumieją.

Szli więc razem. Od strumienia lekko się podnosząc ku górze, zielona łąka wiodła ich ku lasom. Stary wśród zasieków znalazł przełaj i ścieżkę. Wprędce byli już wśród ciemnej gęstwiny, a tu Wisz jak w domu, choć nigdzie śladu drogi żadnej nie było, kierował się nie patrząc prawie. Hengo drapał się za nim, milczeli idąc oba... Wzgórze niezbyt wyniosłe, zwolna, nieznacznie wspinało się lasem okryte. W zaroślach ptastwa mnóstwo zlatywało z gałęzi, na których się już noclegować zabierało.

Zdawały się gniewne na starego gospodarza, że ich spokój zakłócił. Mignęły sine skrzydła kraski, sroczka w białej spódniczce podniosła się gderząc, podlatując, przysiadając i zrywając się przed niemi, aby ich łajać, przeprowadzając dalej. Z pod drzewa u którego czatował, mignął lis żółtym ogonem, zawinął się i znikł wsunąwszy do jamy. Na gałęziach pomykały wiewiórki, ledwie dojrzane tak zwinnie skakały z jednego wierzchołka na drugi. Stary po drodze podnosił głowę ku barciom, bo ich tu pełno było na drzewach, reszta pszczół spóźnionych wracała z łąk, niosąc plon, cisnąc się do nich przed rosą, aby im skrzydła nie ociężały.

Szli tak coraz głębiej, a Niemcowi nie nawykłemu do pieszej wędrówki, za starym trudno było nadążyć. Wtem las się rozstąpił, polanka trawą bujną zarosła, wierzch wzgórza zakrywała. Wśród wielkiej płaskiej przestrzeni wznosiła się sypana mogiła, z której widok rozlewał się na okolicę, jak oko sięgnąć mogło. Wspaniały był i wielki... Wisz stanąwszy tu i oglądając się po swej ziemi, mógł się czuć panem. Hengo spojrzawszy na niezmierną przestrzeń u nóg swoich rozłożoną, stanął zdumiony i widocznie rozradowany. Dolina, którą mieli

u stóp swoich była w większej części lasami okrytą. Zachodzące słońce jaskrawym blaskiem ją oblewało, promienie czepiały się wierzchołków drzew, gdzieniegdzie w złotych odbijających jeziorach i przeglądających między drzewy i łąkami, rzek wstęgach.

Patrząc nań z góry, rzekłbyś, że cały kraj ten, cały świat, zarastała puszcza jedna, szeroka jak morze i jak morskie równiny siniejąca w oddaleniu. Jak fale też kołysały się bliższych drzew wierzchołki. Wśród tej ciemnej zieleni jodeł i sosen, gdzieniegdzie młodych złocistych lip i brzóz i majowych łąk zieloność się przebijała. Dalej ściśnięte drzewa już oku nic widzieć nie dopuszczały nad wierzchołki, nad które mało starszych samotnie strzelało ku górze. Głuchy szum zaledwie chwytało ucho... W dwóch tylko miejscach sinego dymu słupy wznosiły się ku górze, nie zgięte żadnym wiatru powiewem... Na widnokręgu pasami długimi rozścierały się do snu mgły wieczorne.

Wisz wskazał Niemcowi w prawą stronę.

— Tam... w końcu dnia z końmi waszymi dostaniecie się łatwo. Trzymajcie się ciągle rzeki, a minąwszy do niej wpadające strumienie, szukajcie brodu i przejdźcie na drugą stronę.

Chciał mówić dalej, gdy ucho jego do chwytania i rozumienia najmniejszego szelestu nawykłe, coś zdala uderzyło. Zatrzymał się, głowę spuścił i słuchał.

I Hengo też w dolinie pochwycił jakiś oddalony tętent głuchy, który się zdawał przybliżać. Wiszowi twarz się zachmurzyła, ręką pokazał na kierunek i spytał.

— Rozumiecie? a teraz — dodał — chodźmy, boję się, czyśmy wilka nie wywołali z lasu. Tętent słyszę... Jeżeli jedzie kto, to chyba kneziowscy słudzy, utrapiona zgraja, która nigdy z próżnemi nie odchodzi rękami. Smerdowie i posłańcy... Po co? Wiedzą chyba oni sami. Dokąd? Nigdzie jak do Wisza, u którego miód stary stoi...

Stary poruszył się z żywością prawie młodzieńczą, i nie patrząc już prawie na Niemca, posunął się tąż samą drogą

w dół, którą na górę wchodzili. Lecz teraz pędził żywiej i przesunąwszy się przez las, z poza ostatnich drzew ujrzeli rychło zieloną łąkę, a na niej, brzegiem rzeki posuwających się pięciu konnych, na których Hengo ciekawe zwrócił oczy.

Przodem jechał dowódca, parami za nim czterej inni... łatwo w pierwszym poznać było starszego, koń pod nim rośleyszy i pokaźniejszy ubiór, odznaczał kneziowego sługę. Był to barczysty chłop, z włosami długimi, które mu gruby kark okrywały. Na głowie miał czapkę ze sterczącem przy niej piórem białem. Odzież na nim z sukna jasnego, obszycie miał czerwone, u boku miecz sterczał w pochwie, na plecach łuk nad głowę się podnosił i łubiany wór na strzały.

Jadący za nim w rękach trzymali toporki, zbrojni też w łuki i proce, obwieszeni sakwami... Wisz zobaczywszy jeźdźców, jak noc się zachmurzył, porwał róg z za koszuli i trzy razy prędko raz po razu zatrąbił, do chaty znać obznajmując o nadjeżdżających.

Gdy głos ten dał się słyszeć, jezdni na koniach poruszyli się żywiej, i pierwszy z nich obejrzał do koła, szukając sprawcy... mógł już z brzegu rzeki, nad którą jechał, zobaczyć Wisza, a ten też niezwłocznie pośpieszył na przełaj, ku niemiłym gościom.

— Ej! gadziny przeklęte! — mruczał idąc — smoki nienasycone... Smerda pański, bodaj ich razem obu pioruny ze skóry darły! Odwrócił się do Niemca. — Wam to na rękę, bo was pewnie i wasze sakwy ze sobą chętnie zabiorą, ale nie mnie.

Hengo nie okazywał twarzą wcale, czy był rad lub nie spotkaniu.

— Juścić — rzekł — gdyby co złego groziło, prawa gościnności bronić mnie każą.

— Jeżeli ja sam siebie od nich obronię — mruknął Wisz... — Pięciu ich, nie tak to straszna rzecz, moi chłopcy powiązaliby ich na skinienie, ale u Stołba znajdzie się ich dziesięć razy tyle, gdyby się mścić chcieli. Szli coprędzej ku zagrodzie.

Smerda kneziowski, jadący przodem, konia zatrzymał,

starego poznawszy lub się domyślając gospodarza. On i jego towarzysze mniej się mu jednak niż Niemcowi przypatrywali. Czuli w nim obcego, a obcy dla nich zawsze był dobrym obłowem...

Gdy podeszli, starzec się Smerdzie pokłonił, chociaż ten mu nie myślał oddać powitania. Skłonił się i Hengo, ale mu twarz pobladła, czuł, że chciwie oczy wszystkich na niego się skierowały.

— Kogóż to z sobą prowadzicie, stary? — wołał Smerda. — Obcy? skąd?

Czterej jezdni wprost go obstąpili do koła.

— Z nad Łaby jestem, przekupień, człek spokojny, nie obcy... — rzekł nabierając śmiałości trochę Hengo — nie obcy, bom tu nieraz bywał z towarem... wszędy mnie swobodnie przepuszczano...

— Znamy tych ludzi spokojnych! — krzyknął śmiejąc się Smerda, — znamy... Kto wie na co wypatrujecie drogi po kraju, szukacie brodów po rzekach, zaciosujecie znaki po drzewach... aby potem poprowadzić...

— Spokojny człek — odezwał się Wisz powoli — dajcie mu pokój, chleb z nim łamałem.

— A mnie co do tego? — zawołał Smerda gniewnie. — Kneź surowo zakazuje, aby się tu obcy po kraju nie wałęsali. Pójdzie z nami.

— Pojadę z wami po dobrej woli, miłościwy panie — rzekł szybko Hengo — a gdy na twarz padnę przed kneziem, łaskę u niego zyszczę, bo pan jest sprawiedliwy... Jam samowtór z chłopięciem... i — cóż ja złego zrobić mogę?

— Związać mu ręce — krzyknął Smerda... — a no, zobaczymy.

Gdy to mówił, dwóch pachołków skoczyło z koni, aby rozkaz jego wykonać. Smerda kierował się ku zagrodzie.

Stali tu już parobcy i synowie, stała we drzwiach stara Jaga, z równie starą sługą, żadnej z młodszych niewiast widać nie było.

Na znak dany przez ojca, wszystkie się ukryły po kątach

i zbiegły do lasu, aby się z obcymi ludźmi zuchwałymi nie spotykać. Wyjaśniła się też twarz Wisza, gdy w podworzu ani córek, ani synowej żadnej nie zobaczył.

Smerda zlazł z konia u wrót, ludzie jego także, dwu z nich poprowadziło Henga z sobą, wydrwiwając się z niego, popychając i bijąc. Ręce już miał w tył związane sznurem, którego koniec trzymał jeden z pachołków. Konie poszły do szopy, ludzie wprost kroczyli do dworu. Tu Jaga pokłonami ich witając, zapraszała. Wisz stary szedł zamyślony i chmurny. Zaszumiało wnet w izbie, gdy obcy się do niej wcisnęli. Smerda padł na ławę, pierwsze gospodarskie zajmując miejsce. Wołali już piwa i miodu, które zaraz niesiono, aby sobie gardła zalali. Gospodarz nic nie mówiąc zdala zajął miejsce na ławie.

— No, stary gospodarzu — ozwał się Smerda — wy to już wiedzieć powinniście z czem my jedziemy... Należy kneziowi dań...

— A dawnoście ją brali? — mruknął stary.

— Myślicie się rachować z nami? Kmieć z kneziem? — rozśmiał się Smerda.

— Kmieć z kneziem, bo ja tu na tej ziemi kneziem jestem — mówił Wisz. — Ze skóry nas drzecie pod pozorem obrony.

Smerda chciał się śmiać, ale popatrzywszy na starego, rychło mu ochota odeszła, spowolniał jakoś.

— Pijcie i niech wam tak będzie na zdrowie, jako życzę — dodał stary, — a potem o sprawie.

Kneziowski sługa pomyślawszy, stał się łagodniejszym, czerpakiem piwa z cebra nabrawszy, począł je chciwie żłopać. Towarzysze też jego garnuszkami czerpać jęli, aby ugasić pragnienie. Hengo związany stał u progu. Chwilę trwało przerywane chlipaniem milczenie. Smerda wąsy otarł i zwrócił się do Niemca.

— Gdzie twoje konie i sakwy?

— Znajdą się jutro razem ze mną przed kneziem — rzekł Hengo — proszę was, w pokoju mnie zostawcie.

— Zrobię z tobą co chcę! — krzyknął Smerda.

Wisz chciał bronić obcego, gdy Hengo z rękami związanemi, za sobą sznur wlokąc, szybko podszedł do siedzącego na ławie Smerdy, przysunął mu się do ucha, zasłonił dłonią i żywo, długo coś mu szeptać zaczął. Z twarzy nie widać mu było przestrachu... Gdy mówił, zwolna lice kneziowskiego sługi mieniło się, marszczyło, rozjaśniało. Popatrzał z ukosa na Niemca, głową potrząsnął i rzekł do swoich ludzi:

— Rozwiązać mu ręce — pojedzie jutro z nami, na grodzie się z nim rozprawim.

Uwolniony tak cudownie od sznurów, które mu ręce krępowały, Hengo ze spuszczoną głową usiadł w kącie. Smerda już co innego mając na myśli, zwrócił się do starej Jagi.

— Matko stara — zawołał — a gdzież to niewiastki i córki wasze? Radzibyśmy na nie popatrzyli, gładkie mają liczka.

— I dla tego wam ich nie pokażą — wtrącił gospodarz. — Co wam do nich?

A Jaga dodała:

— Niema ich od rana. Poszły w las wszystkie za grzybami, za rydzami, chyba i na noc nie powrócą.

— W las! -- zaśmiał się Smerda, któremu zawtórowały śmiechy jego towarzyszów, piwem rozochoconych. — Oj! szkoda ż to szkoda, żeśmy ich po drodze nie spotkali. Byłoby się z kim zabawić, choćby i do jutra.

Wisz spojrzał z ukosa na mówiącego, któremu śmiech zamarł na ustach.

— Przy takiej zabawie — rzekł Wisz — jakby was ojciec i bracia zastali, moglibyście i na wieki w lesie pozostać, a nigdy z niego nie wrócić. Wilcy z krukami tylkoby o was wiedzieli.

Cicho, ponuro wymówił te słowa. Smerda je usłyszał i zachmurzył się. Drudzy znowu około kadzi z piwem chodzili, i on też milcząc, do niej powrócił. Tymczasem na dany znak, synowie Wisza podeszli do rozmowy, podsunęła się i Jaga, a Wisz zwolna podszedł naprzód ku ognisku, potem

od niego ku drzwiom, gdzie się z wiadra wody napił. Tu nieopodal rozwiązany siedział Hengo, gospodarz dał mu znak i wyszli razem do sieni.

Nic nie mówiąc, stary ręką ukazał Niemcowi na drzwi i wrota, dając do zrozumienia, by uchodził, lecz Niemiec, obejrzawszy się, czepnął mu do ucha.

— Ja się ich nie boję, nic mi nie zrobią — dostanę się z niemi do knezia. Towaru tylko nie wezmę z sobą wszystkiego — by darmo się nie wozić z ciężarem.

Wisz popatrzył nań zdziwiony.

— Dla czegóż uchodzić nie chcesz? Z pod mojego dachu na co ma cię spotkać nieszczęście?

Hengo uśmiechnął się chytrze, głową potrząsając.

— Nie boję się. nic mi nie zrobią... wykupię się im, bądźcie spokojni, tylko wam jedną sakwę zostawię.

Milczeniem gospodarz zgodził się na to, a Niemiec wysunął zaraz ku szopie, skąd parobek wyniósł po chwili sakwę, którą w komorze ukryto. Hengo podziękowawszy gospodarzowi, wrócił do izby i siadł znowu w swoim kącie, nim postrzeżono, że go nie stało.

W izbie gwar był i śmiechy.

Smerda orzeźwiał też po piwie, ze starą babą żarty stroiąc, a towarzysze mu rozgłośnym śmiechem wtórowali. Trwało to aż do nocy, wniesiono łuczywo suche, którego drzazgi między kamienie wetknięte zapalono, aby izbę oświecały.

Zobaczywszy światło, Smerda się dopiero obejrzał za gospodarzem do koła.

— Gdzie gospodarz? — zawołał.

Wisz stał u progu chaty, trąciła go Jaga, niechętnie się zawlókł do środka. Ludzie mu widocznie nie w smak byli. Zobaczywszy starca, Smerda wstał idąc ku niemu, skinął i na podwórze z sobą prowadził.

— Od knezia jadę do was i do drugich kmieci i żupanów — rzekł — kneź was pozdrawia uprzejmie.

Stary skłonił głowę i po siwych włosach powiódł zafrasowany pomarszczoną dłonią.

— Pozdrowienie łaskawe — rzekł — a no na tem nie koniec. Kiedy zdrowia życzy, pewnie czego żąda, inaczejby o kmieciu nie wspomniał.

Smerda brwiami ruszył.

— Ludzi nam bardzo, bardzo brak — rzekł — jednego ze swoich dać musicie do kneziowskiej drużyny. Wszak ci to ona was i ziemi broni.

— Cóż to? na wojnę myślicie? — rzekł Wisz.

— My jej nie wydamy nikomu, ale na grodzie ludzie muszą być pogotowiu do obrony — mówił Smerda. — Dwóch nam zmarło z zarazy, jednego zwierz rozdarł w lesie, a kneź też ubił jednego, trzeba nam ludzi... U nas się źle nie dzieje... Głodu nie mają, jedzą razem ze psy kneziowskimi, a po całych dniach na brzuchach się wylęgają. I piwa się im nie skąpi. Przyjdzie wyprawa, z łupu się co dostanie.

— Albo się pójdzie w niewolę — dodał Wisz.

— Jeżeli nie dwu, jednego musicie dać — zakończył Smerda.

— A jak żadnego? — zapytał Wisz.

Smerda się zamyślił.

— To was na sznurze powlokę do grodu — rzekł Smerda.

— Chociem kmieć wolny? — spytał gospodarz spokojnie.

— Mnie co do tego! Kneź przykazał.

— Tak — tak! — zawołał Wisz zadumany patrząc w ziemię... Wziął się obyczaj taki. Patrzcie tylko, żeby was kiedy kmiecie na postronkach nie ciągnęli, jak się im naprzykrzy.

Zmilczał posłaniec.

— Nie przeciwcie się — szepnął po cichu. — Kneź tymi dniami zły bardzo... przez sen, gdy w podsieni zadrzemie, zgrzyta zębami i jak wilk człapie. Na kmieciów się odgraża bardzo. Zamiast dwu, dajcie mi jednego człowieka — i skórę na kożuch, bo mi się mój dobry podarł na usługach.

Zamyślony stał gospodarz długo w podwórzu, skinął potem na Smerdę by z nim wszedł, wrócili do chaty. Na

ławie siadł stary, kij między nogi wziąwszy, sparł ręce na nim i po chłopcach swoich poglądał, jakby szukał ofiary.

— Hej! Sambor — odezwał się do stojącego z tyłu za gromadką, śmiejącego się z dworakami chłopaka. — Sambor — chodź tu!

Przywołany tem imieniem parobczak, wyprostował się i podszedł.

— Tobie w polu nie bardzo się chce robić a koło domu też nie lepiej — rzekł do niego — więcej leżysz i śpiewasz, niż pracujesz. Ty byś się zdał do lekkiego chleba, przypasawszy mieczyk, drugich ganiać i piórko za czapkę wetknąwszy, popisywać się z urodą. Ty na kneziowski dwór pójdziesz z ochotą.

Nagle zagadnięty parobczak, choć mu się niedawno twarz śmiała, posmutniał nagle. Oczyma niespokojnemi potoczył dokoła, zobaczył jak mu się Smerda przypatrywał ciekawie, ogarnęła go trwoga i padł przed starym na kolana.

— Ej! ojcze panie — pocóż mnie w niewolę dajecie? — krzyknął.

— Co za niewola — przerwał Smerda — będziesz wojakiem. U knezia lepiej niż tu, a jak się spodobasz panu, kto wie, co będzie z ciebie.

Wisz po schylonej jego głowie ręką pogładził.

— Musi jeden iść za wszystkich — rzekł — na ciebie kolej — Sambor.

Stara Jaga, opodal stojąca, ręce załamała, bo, choć parobczak synem jej nie był, ale się w chacie wychował i jak dziecko własne go kochano...

Drudzy parobcy tem oznajmieniem strwożeni, cofnęli się w głąb — opuściła ich wesołość. A tuż i Smerda, dłoń szeroką na ramię Samborowi położył, jakby go brał w posiadanie.

— Pójdziesz z nami — rzekł.

Podniósłszy oczy, parobczak spotkał wejrzenie Wisza, skierowane ku niemu, które doń coś mówiło, coś co oni tylko dwaj rozumieli.

Sambor się uspokoił i wstał, smutny jeszcze, ale milczący, nie narzekając już na losy swoje.

Ktoby się wsłuchał był w głosy, które wewnątrz chaty się ozwały, gdy Jaga wyszła, załamawszy ręce, domyśliłby się, że tam niewiasty za Samborem zawodzić musiały. Nikt jednak nie śmiał ozwać się głośniej, aby obcy nie posłyszeli głosów niewieścich i nie domyślili, że się od nich pochowały. Dano jeść przybyłemu Smerdzie i ludziom jego, a piwo z cebrów dokończywszy, wszyscy poszli do spoczynku. Wisz ich zaprowadził do obszernej szopy, na siano. Obok niej stały konie niemieckie. Niemca też puszczono, nie bardzo się troszcząc o niego — i szedł przy nich nocować.

Gospodarz z Samborem, sami pozostali w podwórku. Chłopak chciał zacząć rozmowę, gdy stary dał mu znak, aby z nim za wrota szedł, i wywiódł go za rzekę. Księżyc wschodził nad lasami. Siadł stary, milcząc długo. Słowiki tylko krzyczały...

— Nie płacz ty i nie narzekaj — począł po cichu Wisz — nikt nie wie, gdzie go jaka dola czeka. Chcieli wziąć jednego z was, a jabym i sam dał... bo mi tak było potrzeba. I nietylko mnie, ale i drugim.

— Za cóż ja idę? — nieśmiało spytał Sambor.

— Boś ty rozumniejszy od drugich — mówił stary — bo masz oczy i język, bo więcej nas kochasz niż drudzy, bo ja tobie ufam i miłuję cię. Jesteś obcy a mam cię za syna. Posłałbym syna... oni oba ziemianie i rolniki i myśliwce i bartniki... a ty śpiewać lubisz, ale myśleć umiesz.

Zatrzymał się trochę, wsłuchując się w wieczorną ciszę — a potem mówił dalej, głos zniżając.

— Słuchaj Sambor — ja ciebie nie na zgubę ślę, ale z potrzeby. Wielkie się u nas rzeczy gotują. kneziowie nas za łby chcą wziąć, postrzydz w niewolniki i Niemców z nas porobić. Z Niemcami się znoszą... Nam dojadło to... My nic nie wiemy co oni nam robią, aż nam na szyję więzy spadną. Ty idź, patrzaj, słuchaj, nastaw uszy. Musimy wiedzieć, co się u nich dzieje. Po to ja tam ciebie ślę... Usta zamknij, oczy otwórz, posłuszny bądź... kłaniaj się nizko... a o nas nie zapominaj.

— Czasem tam kto z bliźniakami przyjdzie, z pokłonem... powiecie mu co posłyszycie.

Przyszedł czas... przyszedł czas... albo Leszki nas spętają, albo my ich wyżeniem i wydusim.

— A no — st! st!

Stary palec położył na ustach. Sambor przystąpił doń i objął za kolana.

— A! — rzekł — iść między obcych, porzucić was, ciężka to dola. Myślałem — z wami poczęło się życie i przy was skończy.

Wisz przerwał mu.

— Nie na wieczność tam idziesz — rzekł cicho — jak będzie pora, skiniemy na cię — powrócisz... Nauczysz się tam wiele, napatrzysz, dowiesz, bo ci się strzedz nie będą... Na Kupałę, na koladę do mnie ci pozwolą... a od Stołba do nas nie kraj świata!

I pogłaskał go po głowie... Ale Samborowi, mimo tych obietnic, ciężko na sercu było.

— Mój ojcze — szeptał tęskno — co ty każesz ja muszę. Alem ja tu tak, jak wolny był, tam idę na pęta i pod grozę. U was my wszyscy dziećmi, tam wszyscy niewolnikami. Gorzki to chleb, co go w pętach jeść potrzeba.

Wisz jakby skarg tych słuchać nie chciał, nie odpowiedział na nie.

— Patrz a ucz się — powtarzał — zapamiętaj wszystko. Nam się stamtąd wszystkim niewola gotuje, jeśli o sobie nie pomyślemy. A kto z was wie, co się w tym wilczym dole praży i smaży? Żaden z kmieciów niema tam swojego. Ja tam twoje oczy posyłam za moje. Kneź, sroga bestya, ale pokłony lubi, bij mu je, zyszczesz łaski, nie będą się taić przed tobą. Piją a pijanemu wygadają co u trzeźwego na myśli.

Stary szeptał coraz ciszej, kiedy niekiedy chłopaka bijąc po ramieniu... ten stał z głową zwieszoną, zachmurzony, księżyc już się był podniósł w górę i świecił w rzece odbity, gdy po długiej rozmowie się rozeszli. Sambor jak wkuty na podwórku pozostał oparty o wrota. Psy przyszły mu się

łasić do ręki, pogłaskał je. Słuchał śpiewu słowików i klekotania żab, i hukania bąka na błotach, jakby chciał sobie wrazić tę muzykę nocną puszczy, którą nierychło znowu usłyszeć się spodziewał.

Sen go nie brał — siadł na kłodzie i przesiedział noc całą do dnia.

Już się we dworze niewiasty ruszać zaczęły, gdy parobczak poszedł obchodząc zagrodę, ku tylnym wrotom, jakby się tam kogo spotkać spodziewał.

Jaga wyszła naprzód i pospieszyła ku niemu.

— Samborze, mój miły — nie trwoż się i nie tęsknij — powrócisz.

Ale sama łzę fartuchem otarła.

Wtem przez drzwi wpół otwarte pokazała się Dziwa, która w rękach trzymając kosy, zadumana, plotła je powoli. Spojrzała na chłopaka i smutnie mu się uśmiechnęła.

— Co ty tak stoisz ponury? — rzekła powoli głosem jakimś spokojnym a jak śpiew przeciągłym — co tobie? Nie wstydże ci mieć strach w sercu? a łzy w oczach? Nie każdemu dano siedzieć w chacie i spoczywać, różne losy, różne dole. Dobrej myśli bądź! Czasem ja widzę, widzę daleko, widzę jasno, czasem ja jutro odgadnę... Nie smuć się Sambor. Złego ci się nic nie stanie.

— Szkoda mi was porzucić — rzekł chłopak — a tęskno będzie.

— I nam za wami! — rzekła Jaga.

— Nam za wami! — powtórzyła Dziwa — a no, wy do nas wrócicie.

— Kiedy? — zapytał Sambor.

Dziwa puściła z rąk włosy, oczy utopiła w ziemię, cała jej postać przybrała uroczysty wyraz, i poczęła mówić zwolna, nie patrząc na chłopca.

— Wrócicie, wrócicie, gdy nad Gopłem łuna stanie, trupy popłyną po jeziorze... Kneź stary z lasu wyjedzie, nowe przyjdzie panowanie, gdy popioły wiatr rozwieje, kiedy krucy się nasycą, kiedy bartnik zbierze pszczoły. Kiedy zrąb nowy

postawią nad Lednicą u jeziora. Powrócicie zdrowi, cali... z jasnym mieczem, z jasnem czołem.

Coraz ciszej mówiąc, zamilkła, podniosła oczy na stojącego przed sobą Sambora i rękoma obiema śląc mu pożegnanie, z uśmiechem, jakby oprzytomniona nagle chwyciła rozpuszczone kosy, wbiegła do chaty i drzwi zatrzasnęła za sobą.

IV.

szystko się już budziło, po szopach i oborach... parobcy szli wypędzać stada... dziewczęta czerpały wodę u studni. Smerda ze swoimi wstawał napędzając do drogi, Hengo chłopca słał do wodopoju, na ognisku i stare sługi rozpalały ogień. Wisz, który sen miał lekki, z siermięgą na plecy zarzuconą, wyszedł o kiju obejrzeć naprzód, jaki się dzień obiecywał.

Niebo nad rankiem szare chmury okryły, od strony tylko wschodu rumieniały one, a choć wiatru czuć nie było na ziemi, górą obłoki pędziły żywo, wyprzedzając się i kłębiąc. Nad błotami stały gęste opary, poruszały się, to bledniejąc, to szarzejąc. Rosa kroplista, biała, okrywała trawy i szkliła się na zielonych liściach młodych. W szopie słychać było beczące owce, na pastwiskach rżące konie, u brzegu mrucząca rzekę i jeszcze zawodzącego nieznużonego słowika.

Dwa kruki z zachodu zwolna ciągnąc, zatrzymały się nad chałupą i poleciały dalej leniwo... Stary obejrzał się za nimi i pokiwał głową.

Sługi z szopy niosły świeżo udojone mleko kobyle. W izbie stał już znów ceber piwa i placki dla gości, aby o głodzie ze dworu nie wyjechali. Na ławie Wisz zawczasu położył niedźwiedzią skórę, której mu było żal, ale Smerdzie

ją trzeba było dać, aby złej woli nie miał i nie skarżył przed panem.

Sambor posłuszny już węzełek swój na drogę wiązał, skórznie ozuwał i mocne około nóg sznurował. Procę i łuk nałożył na siebie, toporek u pasa uwieszał. Smutnoż mu było. A przecież, młody pocieszał się trochę, że na białym świecie dużo zobaczy... więcej za jeden dzień, niż w zagrodzie na życie całe.

I żal mu było wszystkich, bo ku chacie spoglądał, ale oprócz starej Jagi, która mu kołacz do torby przyniosła, nie zobaczył już nikogo. Parobcy tylko na szyi mu się wieszali.

Smerdowi towarzysze, on sam i Hengo i gospodarz stary, zebrali się około ogniska. Wszyscy jechać śpieszyli, bo się im zdało, że deszcz lunie prędko, tak groźne ciągnęły chmury, tylko Wisz spokojny ręczył, iż się niebo rozpogodzi.

Niemiec nie zdawał się frasować wcale, że go zabierano do kneziowego grodu, szedł jakby po dobrej woli, choć oczy towarzyszów chciwie się na jego sakwy zwracały. Milczący Gerda więcej nadeń był strwożony, i z tego nikt się słowa nie dopytał.

Śmieli się z niego wszyscy, palcami wytykając: Niemy!

Po dobrej chwili, najadłszy i napiwszy się, ruszyli wszyscy do koni. Sambor staremu do nóg padł, ale ten skinąwszy tylko, odprawił go sucho. Konia mu z domu nie dawano — musiał więc pieszo zdążać za drugimi.

Smerda ruszył przodem, za nim czterej jego towarzysze, około których szedł nowozaciężny z głową spuszczoną, dalej Hengo z chłopakiem. Tak wyciągnęli za wrota i brzegiem rzeki się kierując, wkrótce znikli w zaroślach, z oczów staremu Wiszowi. Sambor obejrzawszy się, nie dojrzał już nic, tylko słup dymu nad zagrodą, wzbijający się ku górze.

Jak przepowiedział stary, tak się stało — mały tylko jak rosa deszczyk przekropił, zapachniały po nim brzozy, niebo się jasne z za szarych zaczęło ukazywać obłoków. Cała chmur nawała zbiła się na zachodzie, nad głowami podróżnych wyjaśniło się i blade słońce wyjrzało z za przejrzystych rąbków,

jak oblubienica, gdy się z pościeli podnosi. Podróżni jechali w milczeniu. Konie ich same prawie torowały sobie drogę, choć znaku jej żadnego nie było.

Smerda jadąc drzemał — spali też na koniach, choć ciągle się budząc, jego towarzysze, Hengo tylko i Sambor ciągle czuwali.

Jadąc to samym rzeki brzegiem, to się spinając nieco ku górze — łąkami naprzemiany i gąszczami, które konie łamały, liście w pyski chwytając — posuwali się dalej coraz milczący... Tuż na prawo stały lasy ciemne, podszyte, szeroko zwieszając gałęzie. Gdzieniegdzie z tych głębi puszczy, gniły strumień, trawą i mchami obrosły, dobywał się szemrząc i ciekł do rzeki wązkiem korytem.

Ćwierć dnia już tak upłynęło, gdy na pagórku ujrzeli kamień wielki, a dokoła jego pomniejsze ustawione jakby na straży. Niektóre z nich już były w ziemię zapadły, na innych mech siwy porastał... Stary, zgarbiony człek, z kijem białym, około kamienia się przechadzał. Było to prastare uroczysko, gdzie niegdyś składano ofiary... Stary, około kamienia stanąwszy, ręce wyciągnął, coś mruczał i ziele jakieś nań rzucał. Lecz wprędce go z oczów stracili.

Dalej sypana mogiła wysoka stała u brzegu, cała darnią porosła, u dołu zarzucona zielonemi gałęźmi. Tu każdy, ułamawszy wić po drodze, rzucił ją wymijając. Hengo tylko, choć patrzał ciekawie, wstrzymał się od tej ofiary.

— Co to za mogiła? — zapytał Sambora.

— Leszkową się zowie — odparł chłopak. — Tu kneź stary, broniąc wrogowi przejścia rzeki, strzałą rażony zginął. Wojsko się rzuciło, najezdnika rozbiło, a panu swemu po garści rzucając ziemię, mogiłę usypało... Pod mogiłą skarby wielkie być mają, których duchy pilnują. Raz w rok, w kupałę otwiera się mogiła i może wnijść po skarby kto chce, a brać ile mu się podoba; ale musi śpieszyć z powrotem, bo gdy kury zapieją, zamyka się mogiła i niejeden już w niej pozostał.

Samborowi ze smutku na baśń się zebrało, mówił więc

jak jeden chciwy skarbów parobek, podkradł się nocą kupałową pod mogiłę, jak w nią wszedł, znalazł gmachy wielkie, cudne izby pełne złota, i jak coraz idąc dalej, nieopatrzył się, aż kury zapiały... I rok go cały nie było... Dopiero gdy się znowu otwarła, wyszedł z niej żyw, ale niemy, gdyż duchy mu usta zamknęły, aby tajemnic nie zdradził.

Dalej kraj było widać ludniejszy nieco, w prawo i lewo po gajach dymiło się w chiżynach, nad rzeką spotykali gęsto wygasłe ogniska i końskich kopyt ślady... Tu i owdzie leżała kość biała...

Około południa stanęli w dębinie zielonej, gdzie i pasza dla koni była obfita i woda blizko — dla wypoczynku. Tu zsiadłszy, wszyscy pokładli się w cieniu, a kto co miał, spożywał. Sambor dobył białego kołacza Jagi, popatrzył nań i schował — głodnym być wolał, niż go stracić... był to kołacz domowy!

Słońce, jak wczoraj, dopiekało, najmniejszy prawie powiew wiatru, nie ochładzał skwaru. Na okół znowu nic więcej widać nie było, jeno lasy i gęstwiny, łąki i moczary. Gdzieniegdzie w kotlinie leżało jezioro jasne, lśniące jak oko, zdając się przyglądać krajowi, nad niem jak rzęsy sterczały trzciny, i jak brwi, pasy lasów stały.

W pół dnia wszystkie nawet ptastwo ucichło, brzęczały tylko koniki i polatywały bąki, milczenie wielkie do snu kołysało. Smerda drzemał, Hengo brwi ściągnąwszy coś rachować się zdawał, gdy Sambor w dali głos ludzki posłyszał.

Nie widać było nikogo, uszu jednak dolatywało śpiewanie powolne, które się coraz zbliżało. Cichy to był i stłumiony śpiew, drżącym nucony głosem, samemu sobie, brzęk jakby poruszanych strun mu towarzyszył. Słów jeszcze nie mogło pochwycić ucho — ale nuta była żałosna, grobowa, smętna.

Wszyscy ciekawie oczy zwrócili ku brzegowi rzeki, skąd się głos dobywać zdawał.

Dołem, wybrzeżem piaszczystem, szedł starzec ślepy, mały go chłopak prowadził. Wlókł się zwolna, w ręku trzy-

mał gęślę, po strunach jej przebiegając ręką drżącą. Smerda, który się przebudził, ujrzawszy go z góry, zawołał:

— Bywaj tu, stary!

Ślepiec się zatrzymał, zwolna głowę podniósł, i oczy białe, krwawemi obwiedzione powieki.

— Bywaj tu stary, chodź, spocznij — powtórzył Smerda — placka przełamiemy z tobą i posłuchamy pieśni.

Śpiewak struny przebiegać zaczął palcami ale pieśń się przerwała. Stanął, myślał, potem chłopcu dał znak kijem i ku wzgórzu iść zaczęli.

— Dokąd idziesz, stary? — spytał Smerda.

— Albo wiem? — po świecie... — rzekł oślepły — z pieśniami idę od chaty do chaty.

To mówiąc, miejsce na którem stał, począł kijem obmacywać i ostrożnie osunął się na ziemię. Gęślę złożywszy na kolanach, dumał. Pomilczawszy nieco, jakby życie jego pieśnią być musiało, jakby mu ona nie wylewając się z piersi, nabrzmiewała w nich, jakby mu była tchnieniem... bez którego ostać się nie mógł, niezrozumiale, cicho, sam sobie nucić zaczął.

Milczeli wszyscy. Jeden z pachołków dobył z torby placek i położył go na rękach starego, który powoli do ust zaniósłszy, gryźć począł. Chłopak, który go wodził, poszedł do rzeki z garnuszkiem zaczerpnąć wody.

Sambor siadł przy nim.

— Stary Słowanie — rzekł — na noc... zajdźcie do Wiszowego dworu... tam was ugoszczą radzi.

— Na noc? do Wiszowego dworu? nie mojemi nogami — rzekł ślepiec — nogi starte i stare. Dybię niemi powoli... jak ślimak się wlokę... A co ujdę kawał drogi, siąść i spocząć każą nogi. A do Wisza do starego, daleko... daleko...

— Przecie wy tam zajdziecie — mówił Sambor — a gdy u wrót staniecie, pozdrówcie ich tam od tego, co ich dziś pożegnał.

— Wy z Wiszowej zagrody? — spytał stary — a któż

z wami, a wielu... czuję ludzi dokoła? Chociaż oczy nie widzą...

Wtem Smerda wtrącił.

— Kneziowscy ludzie... hej! do grodu jedziemy, do Stołba. I ten z nami. A wy byliście na grodzie?

— Dawniej... dawniej! — rzekł stary — teraz tam niema po co... Tam mieczyki śpiewają i żelazo gra... Pieśni słuchać niema czasu

Westchnął.

— A poco kneziowi pieśń? — zawołał Smerda — to babska rzecz.

— A wojna... wojna — jakby sam do siebie mówił ślepy Słowan — wojna, dzikich zwierząt sprawa. Póki obcy duch nie zawiał na Polany, orali ojcowie i śpiewali i bogów chwalili w pokoju, oręża nie potrzebowali, chyba na zwierza...

Smerda się rozśmiał.

— Eh — e! — rzekł — nie te to czasy.

— Nie te święte czasy, co bywały — ciągnął śpiewak ślepy — nie te czasy, gdy u nas gęśli bywało więcej niż żelaza, a śpiewu niż płaczu. Dziś ślepy gęślarz lasom pieje, a słuchać go niema komu. Niech się uczą lasy, jak żyli ci, co śpią po mogiłach, po kamiennych. A jak pomrą starzy, pieśń z nimi pójdzie do ziemi, synowie o sprawach ojców wiedzieć nie będą — zamilkną mogiły. Stary świat padnie w ciemności...

Mówił tak zwolna, a słowo w pieśń przechodziło nieznacznie, i nie postrzegł się jak nucić zaczął. Ręce chleb porzuciwszy, same po strunach biegać zaczęły, a struny skarżyć się i płakać.

— Jam może śpiewak ostatni — rzucił Słowan — mnie oczy wybrano w młodości, aby dusza w drugi świat patrzała. Jam wszystkie ziemie zwędrował, a nie widział żadnej, od Dunaju huczącego do Białego morza, od Chorbatych gór wierzchów, aż do lasów u Łaby. Niosły mnie nogi nie oczy, bez drogi; gdzie dola wiodła, gdzie się ludzi zebrała gromada. Siadałem na ziemi, stawali kołem nademną, niewiasty płaskały

w dłonie, starzy po ojcach płakali. Szedłem od uroczyska do uroczyska, od mogily do mogiły, od zdroju do zdroju... hen, hen, aż gdzie się kończy ludzka mowa.

Zamilkł. Smerda pół słuchał, pół drzemał. Gdy ustał, odezwał się:

— Śpiewaj śpiewaku dalej!

— O czem wam śpiewać? — mruczał jakby sam do siebie ślepiec. — Wam pieśni innej potrzeba, wy starej nie rozumiecie. O czem śpiewać? O praojcach z nad Dunaju, o praojcach ze wschodu, o braci z nad Łaby i Dniepru? Wy ich nie znacie, o białych i czarnych bogach, o Wisznu i Samowile?

Głos mu się zniżał, głowa trzęsła.

— Dawniej bywało inaczej! śpiewaka witały gromady, wiodła starszyzna pod święty dąb, nad święty zdrój, na horodyszcze wiecowe, na żalniki mogilne. Starzy i młodzi stawali kołem, słuchali... miód i piwo przed ślepym stało — wianki mu kładli na skronie. Na grodzie kneź dawał mu ławę okrytą, miejsce poczestne; dziś my pastuchom śpiewamy na wygonie... o głodzie i wodzie.

— Śpiewaj no stary... śpiewaj — rzekł Smerda.

— Śpiewaj nam! — powtórzyli za nim drudzy.

Słowan w struny uderzył.

— Hej! hej! — posłuchajcie starej pieśni z nad Dunaju.

Cicho się stało do koła, on nucił słabym głosem:

— Z za rzek siedmiu z za gór siedmiu, z nad Dunaju pieśń ta leci. Król dunajski w wielkiej trwodze; z wielkim ludem Czytaj idzie. Zabrakło mu ziemi doma; siołom roli, bydłu paszy i do boga Wiszny woła: lud umiera, daj mu ziemi — Bóg się ulitował, rzecze: tam, za Dunaj idź z gromadą, na pustynie na szerokie. A ty królu na Dunaju, nie waż mu się stać oporem. Ręce łamie król w rozpaczy! Czytaj zawojuje ziemię, Czytaj państwo mi podbije! Czy pokojem iść, czy wojną? czy mu opór stawić zbrojno? Dziewki woła, radź dziewczyno... Kamiana mu radzi, królu, wojsko postaw nad Dunajem. Nie zwojuje ludu twego. Czytaj idzie, tłumy za nim;

Cicho się stało dokoła — on nucił słabym głosem.

kędy przyjdzie lud zabiera, iść mu każe. Dziewki płaczą, on im rzecze: Łzy otrzyjcie, wiodę was w zielone kraje, kędy dzicy ludzie żyją, roli orać nie umieją... Będziem uczyć i panować... Dziewkom oschły łzy i idą... Idą, idą... Dunaj biały... stał na drodze... z wzdętą wodą... Lody na nim roztajały... Król Dunaju strzeże brzega. Wojsko wielkie jak przejść wody? jak pokonać wojska siłę? Myśli Czytaj, myśli, woła: Na kolana, do modlitwy. Bogu módlcie się Koladzie, Samowile co wiatr trzyma. Niech rozpuści wiatrom wodze, niechaj Dunaj lodem stanie. Przejdziemy go suchą nogą. Padli na twarz przed Koladą, modlą się do Samowiły. Wiatry przyszły, Dunaj ścięły, wojska idą suchą nogą. Król Dunajski słuchał rady. Wojsko zebrał, stoi w polu, u Dunaju legł obozem... Samowiła wiatrem smaga i na Dunaj wieje mrozem, a gorącem wojsko pali. Przeszli Dunaj... a gdzie stało wojsko, kośćmi pobielało. Kamiana patrzy i płacze. Czytaj, wnet zajmuje ziemie, pługi idą w żyzne pole, bydło ryczy, domy stają, ludzie uczą się siać ziarna. O Kamiano, rada marna! przeciw bogom nic nie nada. I Kamiana leci blada, w biały Dunaj głową pada. Pieśń się o tem ludziom pieje. Bóg wam zdrowia niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Skończył śpiewak, panowało milczenie.

— Inną jeszcze — zawołał Smerda — nie żałuj nam stary!

— Dłuższa to pieśń, od Chorbackich gór — rzekł — młodsza pieśń, może się wam spodoba lepiej.

I nutę wziął też inną, raźniejszą a ognistszą i słowa mu żywiej biedz zaczęły, a białe oczy połyskiwały straszno.

— Wisło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje? Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łzy padają? Lud u brzega ręce łamie, ręce łamie i ratunku woła, a ratunku niema... Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy to pochłonie, co pochwyci to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dyszy w jamie, oddech powietrza zaraża... Noc i dzień spoczynku niema, pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu goni z trwogą... Trzody

wyplenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy nie syty, ciągle ryczy, ciągle dyszy. Czemże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebije, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie i piorun go nie zabije i woda go nie pochłonie i ziemia go nie przykryje. Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, duma, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. Jak mam położyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć? Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... rady rady! Płacze, ręce załamuje. Jak mam położyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe. Skubo, człecze, rób coć rzekę: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wyrzuć do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgli nabierz czerwonych. Wypchaj ścierwo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali, niech pęknie dzika potwora. Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera. Naści strawę, żmiju-smocze. Połyka straszna paszczęka, ryknie, aż drży góra cała, i gród z stołbami się chwieje. W smoku palą się wnętrzności, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadął cały, i rycząc rozpękł i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmiji strasznej ucina, na żerdź go wtyka wysoko. Patrzaj narodzie mój miły, że się twe męki skończyły. Ptacy niosą wieść wesołą, wiatry polami z nią biegną, niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech dzieci idą na łąki, niema już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze, gród się kamienny podnosi, tam Krak króluje spokojny, na cztery strony spoziera, cztery zwojował narody. A broda rośnie mu siwa i już mu piersi zakrywa, już i do kolan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi,

król wie, że umrzeć mu pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów już ma u boku i córkę Wandę ma jedną. Broda dorosła już ziemi. Przyszła już na mnie godzina; weźcie królestwo na dwoje. Siostrze dać królewskie wiano i żyjcie w braterskiej zgodzie. Płacz po swym ojcu narodzie! Naród zapłakał i ciało niesie na górę Lassotę, na stosie go posadzili. Tryznę z objatą sprawili, popioły Kraka zebrali, każdy wziął po garści ziemi, szli i sypali dopóki mogiła w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem. I Krak ma ziemi połowę i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na brata z trwogą, starszymi kark zgniecie nogą. Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierza dzikiego, jedźmy razem w puszczę ciemną... będziemy gonić jelenie, będziem zabijać niedźwiedzie. Siedli na koń, siostra z wieży prosi, nie jedźcie na łowy, krucy dziś krakali rano i sen miałam w nocy krwawy. Weźcie czeladź, weźcie z sobą; zwierz jest dziki, las jest czarny. A Krak śmieje się i rzecze: zwierz i las nie straszny dla nas. A w puszczę ciemną wjechali — wtem młodszy staje i rzecze — tutaj ci bracie umierać, ja całe państwo zagarnę. Rzekł i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska i Krak na ziemię upada. Co tu czynić z ciałem brata? z ziemi wilcy je wygrzebią, po trupie poznają ludzie. Mieczem go rąbie na ćwierci, tnie go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem białym przysypuje, nogami ubija ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzały; puszcza ich widziała ciemna; księżyc, gwiazdy nie wydały, puszczy nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknie rozdarł, ręce łamie. Biada mi — oto zwierz srogi, brata zagryzł w ciemnym lesie. Krew widzicie na mej szacie, bom go bronił nadaremno. Lech wziął po nim ziemię całą i sam panował na grodzie. Na rozstajach kędy ciało białym piaskiem przysypane, jasne lilije wyrosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom jęcząc powiadają. Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła. Ludzie idą nocą, drogą, dziwne głosy słyszą z trwogą, wiatr odwiewa Kraka

ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna na gród się zbiera. Niechaj ten co zabił brata idzie z ziemi na kraj świata, kędy oczy go poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała. Ona będzie nam królową. — Ja mam być królową waszą, kiedym bogom ślubowała, że męża nie będę miała?... Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa, naród śpiewa i wykrzyka. Córka Kraka niech panuje.

Na granicy, na rubierzy, Niemiec siedzi jak lis w jamie, wieść do niego szybka bieży, dziewka siedzi na stolicy, wianek ma miasto korony, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana niema!

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbronny kraj na wojnę. I stanęli na granicy, i śle posły do dziewicy, mężem twoim chcę być. — Wando, lub twe ziemie ogniem, mieczem przejdziem, spalim i wysieczem. Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą tarcze, chrzęszczą bronie. Przyszły posły, Wanda staje. — Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa. Posły poszły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły, Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzaj Niemcze, licz swe siły. Pojrzał Rytgar, kędy były, ani śladu, ani słychu, pierzchło wojsko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przeszywa, królujże Wando szczęśliwa. Zwycięska wraca królowa... i na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

— Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowała, na raz oddam im je całe; niż o rękę bić się mają, ci co ziemi pożądają. Wiedźcie mię do Wisły brzega, nad głębinę, nad wir wielki. Rzekła i w Wisłę się rzuca. Naród płacze swej królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę i pieśń o niej wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Nieopodal siedzący Hengo, gdy o Rytgarze zaśpiewał stary, jął dyszeć i sapać tak, że go ślepiec poczuł. Wnet też ledwie dokończywszy, począł się kijem o ziemię opierając podnosić. Pomogli mu Sambor i parobcy.

— Cóż ci to stary? — zapytał Smerda.

— Obcegom poczuł — rzekł trzęsącym głosem Słowan — przed obcym śpiewałem... jakby miód lał w kałużę!!

I wnet mrucząc niespokojny, z nasępionemi brwiami, wyrywać się zaczął do pochodu, chłopca przed sobą kijem gnając. Nie śmiano go wstrzymywać. Parę razy gniewny odwrócił głowę i oddalił się szybko, dłonią ucisnąwszy struny, aby dźwięku wydawać nie śmiały, usta zacisnąwszy, aby się z nich głos nie dobył.

V.

ała też gromada do koni zaraz ruszyła, bo czas było w dalszą drogę. Tuż i rzekę w bród przebywać było potrzeba, a Gerda na swojego konia wziął Sambora. Na przeciwnym brzegu widniało półko zasiane i obrzucone zasiekiem, ale niedźwiedzie go nocą splądrowały. Las był tu przerzedzony, pnie w nim sterczały poopalane. Dalej pasło się koni stado i zbrojny człek go pilnował, z rogiem u pasa, a pałką nasiekiwaną w ręku. Znowu przejechali gaj i tu dopiero szersza pola przestrzeń przed nimi się odkryła. Nieopodal już widać było jezioro wielkie, w którem się słońce zachodzące przeglądało. Nad wodami jego ptastwo unosiło się stadami, czółna stały u brzegów, inne przesuwały w dali.

Hengo i Sambor podniósłszy oczy, ujrzeli w odległości wysoką szarą wieżę, wyniosłą: stołb grodowy, który okolicy panował. Stał nad brzegiem samym, posępny jakiś i straszny, a dokoła pod nim cisnęły się zręby budowli, szopy i chaty.

— To kneziów gród! — z dumą zawołał Smerda, zwracając się ku Niemcowi i wskazując stołb w oddaleniu. — Przybędziemy na czas, nim się do snu zabiorą.

Towarzyszom oczy zaświeciły, Sambor ponuro spojrzał przed siebie, konie zaczęto żywiej popędzać, tak, że parobczak

biegiem je doganiać musiał. Niemiec z podełba rozpatrywał się bacznie.

W miarę jak się zbliżali, gród coraz wyraźniejszym się stawał. Wieża z szarych kamieni w oczy im rosła: u podnóża jej rozeznawali dwór malowany, chaty, zabudowania, szopy, w części wałami osłonione. Do muru stołby przypierały obszerne z drzewa wzniesione domostwa; z dachami ze szczap drewnianych, przez które teraz miejscami dym się dobywał. Około grodu ludzi i koni widać było gromady i stada. U brzegu poili bydło parobcy. Na wałach chodzili zbrojni ludzie, w żelaznych czółkach na głowie, z dzidami w ręku...

Wał i rów głęboki oddzielał od lądu grodzisko, przezeń most zamykany prowadził warowny, i hać na jeziorze... Jechali długo nim nareszcie pod wrota ciasne przybyli, poznano Smerdę i otworzono je zaraz; a za nim jadącego ujrzawszy Hengę, ciekawi cisnąć się zaczęli i dopytywać.

Niemiec i teraz nie okazywał po sobie trwogi, z konia zlazł, cugle wziął w rękę i postępował spokojnie za swym przewodnikiem. Minąwszy hać i mosty, weszli w obszerne podwórze, na którego końcu jednym stała wieża, nie mająca wnijścia od dołu, bo do niej dostawano się tylko po drabinach. Tuż do niej przypierały kneziowskie izby i komory, a przed niemi ciągnęło się podniesienie długie, na drewnianych słupach oparte. W pośrodku dworu, którego ściany i słupy biało, żółto i czerwono okraszone były, wznosiło się szersze wnijście, na grubszych sparte podporach, misternie rzeźbionych. Tu w okół stały ławy szerokie, a z tego siedzenia podwórze całe, wszystkie budowy, wały, jezioro i bramę widać było.

Gdy Smerda z ludźmi swymi zajeżdżał na podwórze, w którem się dość kręciło czeladzi, u wnijścia stał właśnie w kołpaku z futrem i piórem białem, średniego wzrostu, przysadzistej postawy mężczyzna, z twarzą czerwoną, czarnym włosem długim, rzadką brodą, dzikiem a ostrem wejrzeniem. Zdawał się stąd dozorować, co się na zamku działo. Sam strój jego oznajmywał pana, oblicze więcej jeszcze. Suknię miał tym prawie krojem co wszyscy, z szerokiemi rękawami; ujętą

pasem nasadzanym mosiężnemi i srebrnemi ozdobami, szyję obnażoną, na nogach skórznie sznurami wełnianymi czerwonymi poopasywane. Lecz suknia była z cienkiej tkani, lamowana bogato, za pasem tkwił miecz w świetnej oprawie, a na łańcuszku takiż nóż wisiał.

Stojący ręce obie założone miał za pas, czapkę na oczy nasuniętą, brwi zmarszczone i postawę groźną. Zaledwie go zdala ujrzawszy spokorniał Smerda, z konia zeskoczył, głowę obnażył i pochylony poszedł ku niemu. Zbliżając się przygiął niżej jeszcze, rękę do stóp pańskich przykładając.

— A kogóżeś to pojmał na drodze? — zawołał głos gruby i ochrypły — to nie swój?

— Z nad Łaby, Niemiec, przekupień — począł Smerda stłumionym głosem. — On się tu pono nie pierwszy raz po kraju wałęsa... Znalazłem go w gościnie u kmiecia Wisza, kto wie w jakich naradach? Dlatego kazałem mu jechać za sobą. Ale mi się nie upierał wcale, owszem uręczył mi, że był do Miłości Waszej wysłany i pragnął jej czołem uderzyć...

Milcząc popatrzał kneź na mówiącego i na Hengę, który stał zdala, jakby w oczekiwaniu. Nie dał zrazu odpowiedzi żadnej i po długiem namyśle zbył Smerdę obojętnie.

— Niech tam na waszych rękach zostanie... u mnie dziś goście, czasu niema... nie dać mu zażyć głodu, nakarmić i napoić... jutro rano przyprowadzicie go do mnie...

Smerda powtórnie do stóp się pokłonił.

— Od kmiecia Wisza wziąłem parobka, zdrów i silny, będzie oszczep i dzidę nosił. Ludzi mamy mało, miłościwy panie... Sykał stary wąż, ale musiał go dać...

— Sykają oni wszyscy — mruknął kneź — aż ja im pyski pozatulam i milczeć a słuchać nauczę... Znam ja ich, stara, wilcza swoboda wije się im po głowach... Ślepe dziady pieśni o niej śpiewając ludzi buntują... Dzicz tę w pęta wziąć trzeba...

Smerda się nie ważył odpowiadać, stał z pochyloną głową i zwieszonemi rękami.

— Wisz! Wisz!... — ciągnął dalej przechadzając się po

wystawie kneź — znam ja go, on się tam na puszczy sądzi kneziem i panem, a mnie znać nie chce...

— I bogaty — szepnął Smerda — jaki tam wszystkiego dostatek! ludzi, stada, dobytku, piwa i miodu... Kto go wie, może nawet kruszcu, srebra i złota! Ze wszystkimi kmieciami tak, miłościwy panie...

— Do czasu... — zawarczał kneź i usiadł na ławie.

Smerda poszedł spełnić rozkazy. Hengo też czekał na niego, nie oddalając się od sakwy swojej, na którą wiele chciwych oczów skierowanych było.

— Miłościwy pan aż jutro dopiero do siebie was przypuści — rzekł mu Smerda pocichu — macie czas spocząć i język nagotować. Przykazał mi, abym was głodem nie morzył, a u nas też nikt z niego nie umarł, chyba w lochu pod wieżą... — dodał z uśmiechem. – Dziś — szepnął na ucho Niemcowi — dziś jego miłość ma chmurne czoło i oczy krwawe... lepiej, że was na jutro odłożył... — Zbliżył się jeszcze bardziej do ucha Hendze. — Nie dziw, że trochę gniewny, wczoraj mu, słyszę, synowca przyprowadzili, który był zbiegł i z kmieciami się zwąchał... Trzeba mu było, sadząc do ciemnicy, oczy wyłupić, aby szkodliwym nie był. Zawsze to swoja krew... i Leszek...

Smerda potrząsł ramionami.

— A i ludzi jego dwu musiano powiesić... Szkoda, zdaliby się na wojaków zdrowi byli, a no niebezpieczne wilki...

Smerdzie czy się gadać chciało, czy sobie Niemca zaskarbiał, ciągnął dalej uwagi swoje:

— Niełatwe tu panowanie, lud niedobry... Z kmieciami nieustanne spory, ale ich potrosze kneź wytrzebi, karmi, poi... za język ciągnie... a w końcu...

Rozśmiał się i dziko spojrzał ku domostwu.

Hengo miał też czas rozpatrywać się po dworze, a że wiele świata i grodów widywał, dlatego może tu nic go nie dziwiło i strachem nie ogarniało, choć twarzami dzikiemi był otoczony i ludzie zdawali się tylko czekać skinienia, aby się

rzucić na niego. Obchodzili go, przypatrywali się i słyszał, jak dokoła powtarzano: — Niemy, niemy!

Wtem gdy tak stał, jak gdyby na coś oczekując, ujrzał schludnie odziane pacholę, z długimi włosami na ramiona, które mu, kiwnąwszy głową, dało znak, aby szedł za niem.

Gerdzie poleciwszy konie, Hengo posłuszny, w trop udał się za przewodnikiem.

Przez szeroką bramę w ścianie dworu weszli z nim na drugi grodu dziedziniec. Tu inaczej i nie tak po wojennemu wyglądało. Podniesienia malowane były jasno i ku słońcu obrócone, na sznurach w nich wisiały schnące bielizny i odzieże niewieście. Kilka starych drzew rosło w pośrodku. W głębi widać było przesuwające się białogłowy i bawiące w piasku dzieci.

Pacholę, palec na ustach położywszy, zwolna prowadziło Henga ku drzwiom, w bocznym dworze, a gdy się te otwarły, znalazł się w pięknej izbie, której okienica szeroka otwarta była na jezioro. Brzask wieczora wchodził tędy do środka.

Znać było mieszkanie niewieścią przystrojone ręką.

Przepełniała je woń jakichś ziół, jakby świeżo powiędłych. Na drewnianym stołku, przykrytym poduszką, naprzeciw komina, na którym ogień się palił, siedziała niewiasta w sukni wełnianej fałdzistej, w zasłonach białych, otaczających twarz i głowę, na której licu resztki wielkiej niegdyś piękności znać było. Z niej teraz tylko para oczów czarnych, pałających została. Obok na małej ławce drobne garnuszki, miseczki i kubki stały i zioła leżały pękami nagromadzone.

Z ciekawością patrzała na wchodzącego, gdy ten pokornie kłaniał się jej do samej ziemi, uśmiechnęła się i odezwała doń w języku lasów Turyngii, mową, która serce Hengi rozradowała.

— Skąd jesteś?

— Miłościwa pani — rzekł Niemiec oglądając się po izbie, w której ciekawe kręciły się niewiasty — jestem z za Łaby, ale nawykłem włóczyć się po świecie, a do domu rzadko zaglądam... Trochę tutejszego języka umiem, więc wożę im towar z zachodu i mieniam go z nimi...

Z ciekawością patrzała na wchodzącego, gdy ten pokornie kłaniał się jej do samej ziemi —

— Mieniasz? na cóż? — spytała niewiasta — a cóż z tej dziczy i nędzy wynieść można? Złota ni srebra, ni żadnego kruszcu nie mają... jak zwierzęta po lasach żyją... Miast u nich nie ma, ani wsi nawet... a ludzie...

— Westchnęła. Hengo się ciekawie wpatrywał w siedzącą, sięgnął nieznacznie do kieszeni, dobył z niej pierścień z kamieniem i zdala go ukazał. Ujrzawszy go zerwała się z siedzenia niewiasta, dała znak ciekawym, aby odeszły precz, odprawiła pacholę za drzwi i żywo przybliżyła się do Niemca. Ten przykląkł na jedno kolano!

— Ty mi przynosisz posłanie od mojego ojca? — zawołała.

— I od synów waszych, miłościwa pani — dodał powstając Niemiec.

— Od synów — powtórzyła ręce załamując radośnie i podnosząc je nad głowę. — Mów, mów mi o nich długo, wiele...

Siadła znów w krześle, opierając się na dłoni, to spoglądając na Hengę, to na ogień, przy którym zioła się jakieś smażyły, a woń ich ostra izbę napełniała.

— Ojciec stary — mówił posłaniec — miłość waszą pozdrawia. On mi na znak dał ten pierścień, aby wiara dana mi była.

Zbliżył się na krok i zniżył głos nieco.

— Dochodziły tam wieści różne... ojciec miłości waszej był niespokojny... Gotów jest przybyć na pomoc z ludźmi, gdyby jakie groziło niebezpieczeństwo... Z tem mnie posyła.

Niewiasta zmarszczyła brwi, biała jej ręka podniosła się z oznaką lekceważenia.

— Kneź wam powie sam, czy mu tego potrzeba — rzekła — lecz damy rady i bez pomocy przeciw stryjom, synowcom i kmieciom... Są różne sposoby...

To mówiąc jakby mimowolnie popatrzała na ogień i zioła.

— Kmiecie oddawna się burzą, ale już wielu nie stało. Ubywa codzień... Nie boim się ani ich, ani nikogo, gród

mocny, ludzi dużo... a mój pan miłościwy umie ich pożyć. Mów mi o dzieciach... Widziałeś ich obu?

— Na me własne oczy — rzekł Niemiec — piękniejszych młodzianów nie ma na świecie, ani lepiej robiących bronią i koniem... Wszyscy się im dziwują...

Niewieście rozjaśniło się lice.

— Mogliby już do domu powracać — dodał Hengo — aby stanąć u boku miłościwego pana.

— Nie, nie! — przerwała siedząca — na to nie czas jest jeszcze. Nie chcę, aby patrzyli co się tu dziać musi, nie chcę, aby zawczasu z własną krwią do walki występowali... Przyjdzie spokój wkrótce, naówczas ich zawołamy... A! ja ich nie widziałam tak dawno — dodała — odebrano mi ich dla wojennego rzemiosła, by się go u dziada i u naszych uczyli... Tyle lat! tyle lat... Widziałeś ich obu? — powtórzyła.

— Nie jeden raz — mówił Hengo. — Choć parę lat starszy, kneź ich jak rówieśnik obok brata wygląda. Oba silni i zdrowi... Ciskają włóczniami jak nikt... strzelają z łuków do ptasząt... najdzikse dosiadają konie...

Błyszczały oczy matki.

— Piękniż są?

— Nie mogą być piękniejsi nad nich! — odpowiedział Hengo — wzrost wyniosły, twarze jasne, modre oczy, jasne włosy...

Uśmiech poigrał po ustach słuchającej, ale zarazem dwie łzy perliste zbiegły po twarzy bladej.

Cichsza zaczęła się, długa rozmowa, gęsto posypały pytania...

Mrok już padał i tylko światło ognia oświecało izbę, a Niemiec stał jeszcze i nie mógł nasycić ciekawości macierzyńskiej; w ostatku go odprawiła skinieniem: — Do jutra.

Sambora puszczono swobodnie w podwórcach, mógł się też w nich rozglądać. Na wstępie chwycił go Kos pachołek dawniej mu znany i poprowadził do komory, w której się drużyna mieściła. Nie było jej teraz, gdyż jedni na wałach, drudzy na usłudze na dworze, inni na haci stali, a gromadę

całą zasadził był kneź w bocznej izbie, uzbrojoną, nie bez celu. Miał kmieci w gościnie...

Kos tak nienawidził knezia, któremu służyć był zmuszony, jak większa część dworni jego z lasów gwałtem pobranej. Z Samborem zrozumieli się od słowa...

— A i ciebie tu do tej wilczej jamy wciągnęli — szepnął pachołek.

— Siłą, mocą — odparł Sambor.

— A wiesz ty, jakie tu życie? — spytał Kos.

— Czuję — rzekł Sambor.

— Niewola! niewola! — począł wzdychać parobek — Robią nami jak wołami, znęcają się jak nad psami. Psom kneziowskim ci też lepiej.

Jęli tedy wzdychać oba, a że parno było w komorze, wyszli razem na wał pod wieżę. Kos wskazał małą dziurę w murze, która nad ziemię wychodziła.

— Synowca tam spuścili wczora — szepnął — oczy mu wyłupiwszy... Samem patrzał, jak go ludzie trzymali, a stary Zrzega nożem mu źrenice wyjmował... Krew jak łzy ciekła... nie krzyczał nawet... a litości też nie prosił, bo wiedział, że jej tu nie znajdzie. Potem go w pół ująwszy, powrozem spuścili do ciemnicy i tam mu chleb i wodę dają, póki nie zdechnie. Na dworze się odgrażają, że tak będzie i innym...

— Jeżeli się to synowcowi dostało, a cóż będzie kmieciom naszym? — ozwał się Sambor.

Kos ramiona ścisnął.

— Będzie toż samo, albo i gorzej — rzekł — jeśli w czas rozumu nie dostaną.

Ze dworu słychać było stłumioną wrzawę... śmiechy i wykrzyki.

— Tam się to kneź weseli — mówił pachołek — bo tak się zawsze u niego zaczyna, póki do zwady i do nożów nie przyjdzie przy biesiadzie... I dziś trudno by się skończyło inaczej... Wprzódy tylko da sobie im podchmielić, bo po pijanemu łatwiejsza sprawa... Kmieci tak po kilkunastu

ściągają za gród, łaskawie przyjmują, a mało kto wyjdzie cały... Potrochu ich wytrzebi, reszta cicho siedzieć musi.

Popatrzał ciekawie na Sambora.

— Cóż wasi na to? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekł ostrożny przybylec — pewnoby radzi co robić, a nie mogą, albo może czekają...

— Baby oni są! — zawołał Kos.

— Gród mocny — odezwał się przybyły.

— Mocny — rzekł Kos — ale i kamienie się walą... Jak postoi mocniejszy będzie, bo mu ludzkie czaszki za podwaliny staną...

— Drużyna liczna...

Pachołek się uśmiechnął.

— Gromady liczniejsze od niej po mirach — rzekł cicho — gdyby rozum miały... U nas tu po niemiecku wszystko... Kneziowa miłościwa pani, Niemkini rodem, Niemiec się też plącze niejeden. Młodsze żony i nałożnice także z za Łaby... I obyczaj załabiański, bo kneź swobody mirów i gromad znać nie chce... ani o wiecach słyszeć... Dziewki niemieckie prawią, że go słyszały mówiącego, jak sam sobie nie da rady, to Niemców sprowadzi.

Położył się Kos na ziemi, a że blizko okna byli od lochu, gdy ucichli, posłyszeli jęk, który niem wychodził. Głuche stękanie człowieka szło jakby z pod ziemi.

— Co on zawinił? — zapytał Sambor.

— Najwięcej tem, że to krew ta sama, a on swojej krwi mieć tu nie chce, bo się jej boi... Któż wie? Zadano mu, że z kmieciami się zmawiał, obiecując im dawną przywrócić swobodę...

Oba zamilkli. Po za nimi na podwórzach buchały niekiedy wrzawliwe śmiechy stłumione, a po nich następowała cisza, to niby śpiewy nucone półgłosem. Na drugim cyplu zamkowym psy jakoś żałośnie wyły chwilami i każdy głośniejszy śmiech wywoływał to skomlenie dziwne. Nad jeziorem księżyc czerwony wznosił się, jakby krwią umyty... Chmura siwa jak chusta na pół mu związywała czoło. Jakiś

smutek i groza były w powietrzu... Parobczak, który wczoraj słuchał nad rzeką słowika, dziś tu karmił się psów wyciem i krakaniem kruków. Czarna ich gromada podlatywała nad wieżą.

Sambor popatrzał ku górze.

— E! to nasi goście codzienni — odezwał się Kos ze śmiechem — albo też towarzysze, bo z wieży nigdy nie zlatują. Zawsze tu są w pogotowiu na trupa, a rzadki dzień, żeby go nie mieli... Ku wieczorowi zwijają się niespokojne, bo czas, aby im rzucono strawę... Zobaczycie, że i dziś darmo nie będę krakały...

VI.

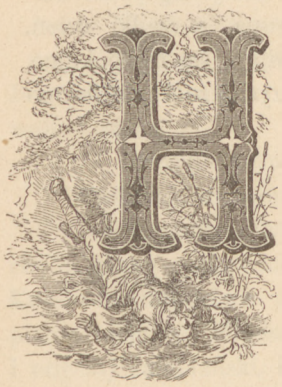

engo wyszedłszy od kneziowej pani, powrócił na pierwsze podwórze. Znalazł tu oczekującego na siebie Smerdę. który go zaprowadził do ciemnej izby gdzie czeladzi jeść dawano. Okno jej jak wszystkie zamykane ze środka drewnianą zasuwą, wychodziło w dziedziniec, a że naprzeciw były komory kneziowskie, mogli słyszeć i potrosze widzieć, jak tam biesiadowano

Wieczór był ciepły, w izbach duszno, wszystkie więc okna stały otworem, w jasnych izbach, oświeconych łuczywem u komina, liczna się cisnęła i gwarna drużyna.

Kneź znać lubił myśl wesołą i miód stary, bo biesiada szmerem głośnym poczęta, wkrótce zahuczała śpiewami i wykrzykami.

Wesołość też przechodziła chwilami jakby w kłótliwą walkę i spory, głosy się podnosiły warczące, głuszyły je drugie, potem nastała cisza, a po niej wybuchy coraz swarliwsze. Chociaż żadnego wyrazu pochwycić stąd nie było można. sam ton zwiastował, iż z wesołości zrodziła się zajadłość dzika... Ludzie jednak, oswojeni zapewne ze zwykłym biegiem uczt na grodzie, spokojnie słuchali tego wrzenia i huku.

Hengo tylko oglądał się trwożliwie, a Smerda spostrzegłszy to, rzekł doń z uśmiechem:

— Wszystko to kmiecie, żupany, starszyzna. Kneź ich poi, to im się po miodzie wyrywa czasem co zuchwalszego, on ten, miłościwy pan nasz, niecierpliwy bywa... Jak się czasem zetną... co ma być? zadławi którego pochwyciwszy... mniej jednym będzie... Bywa, że się z sobą zajedzą, a na pięści pójdą i jeden drugiego zabije... a nam co do tego?

Śpiew z izb dobywający się oknami do ryku był czasem podobny, a śmiech do wycia, a gniew do warczenia psów, które się gryźć mają... ale nawet ucichało i wołano tylko na głos radośnie, zwycięsko, póki znowu od słowa do słowa nie zawrzała i nie zagotowała się waśń, wśród której już i szczęk mieczów dawał się słyszeć. Hendze się zdawało, jakoby głos Knezia rozeznawał, który grzmiał jak piorun wśród szumu burzy. Po nim znów nastawało milczenie.

Późno być zaczynało, księżyc się wznosił nad jeziorem, na dworze cisza, tem lepiej dozwalała słuchać wrzawy uczty. Hendze po podróży na sen się zbierało, ale Smerda go trzymał na ławie i ciekawość też przykuwała do niej.

W świetlicach kneziowskich po tych wybuchach nastąpiło trochę spokoju. Zdaleka widać było ręce podnoszone z czaszami, któremi miód pito... głosy chrypły...

Po długiem milczeniu i głuchym szmerze ozwał się kneź, mówił coś śmiejąc się i szydząc... ledwie dokończył, podnosić się znowu zaczęła, jakby zażegniona przezeń, wrzawa. Już jej nawet ten głos nakazujący, ciągle śmiechem przerywany, pohamować nie mógł.

Kneź śmiał się, a nawet ryczał ze śmiechu, gdy inni miotali na się obelgami. Słychać było jakby tłuczone naczynia, potem runęły ławy z łoskotem wielkim i stoły, światło zasłaniały cienie jakieć miotające się wściekle, z rękami w górę podniesionemi, krzyk okropny rozległ się w sieniach i w dziedzińcu.

Czeladź zerwała się wystraszona. W izbach kneziowskich burza jakaś szalała... stuk, łomot, łamanie, jęki, wołanie ra-

tunku, które nagle jakby naciskiem silnej dłoni ustawało... wszystko to razem pomięszane we wrzawę dziką, a po nad tem śmiech ciągły.

Nagle Hengo wychyliwszy się, ujrzał we drzwiach u posiedzenia oświeconą księżycem masę czarną. Była to kupa ludzi związana rękami, nogami splątana, zębami się trzymająca, mordująca, dusząca, która jak wał jaki wytoczyła się w podsienie, a z niego po kilku stopniach runęła w podwórzec, na ziemię. Tu spadłszy ta ciżba cała, splątana z sobą, dusić się zaczęła taczając w piasku, gniotąc i mordując. Widać było błyszczące miecze, które gardeł szukały, i ręce duszące leżących. Kneź sam jeden stał na podniesieniu, wziąwszy się w boki — i śmiał się,

Ruchoma ta masa ciał ludzkich pełzała po podwórzu, nie mogąc się rozsypać, gdzieniegdzie tylko został trup nieruchomy, rozkrzyżowany i spłaszczony...

Na ziemi w czerwonych krwi kałużach przeglądał się księżyc blady. Niedobitki pełznąc od wschody jęczeli, kilku usiłowało wstać i padło nazad, od ran i upojenia straciwszy siły. W gardłach umierających słychać było złowrogie rzężenie. Mało kto powstał z tego pobojowiska, a po chwili tylko konwulsyjne ciał drganie zdradzało, że jeszcze w nich była resztka życia...

Gdy ucichło wreszcie, kneź plasnął w szerokie dłonie. Na ten znak Smerda skinąwszy na czeladź rzucił się z nią razem w podwórze.

— Do jeziora z tem ścierwem! — krzyknął kneź — oczyścić podwórze!... precz z tym plugastwem... precz z tym gnojem!

Mówiąc to dopijał miodu z kubka, który postawił na ławie i siadł na niej sam ociężały.

Chociaż księżyc świecił jasno, zapalono smolne łuczywa i pan miłościwy mógł z podniesienia przypatrzyć się towarzyszom swej biesiady, dogorywającym od mordu i miodu.

Kilku na pół żywych stali oparci o słupy krwią brocząc ziemię, dysząc jeszcze zajadłością, z jaką walczyli z sobą,

nogami depcząc trupy. Na ziemi we krwi dogorywali, rzucając się, inni.

U stóp wschodów leżał starzec z włosem białym krwią oblanym, konał i przeklinał:

— Bodajżeś zczezł marnie, ty Chwoście przeklęty... ty... i krew twoja... i potomstwo, i ród i imię... Bodajeś zginął i przepadł skroś ziemi!...

Kneź śmiał się i temu klątwami wyzywającemu duchy.

Przez wrota od drugiego podwórza widać było wyglądające ciekawe głowy niewieście, przestraszonemi oczyma wpatrujące się w rzeź straszną.

Czeladź tymczasem ze Smerdą na czele zawijała się około oczyszczenia podwórza z trupów, odzierali ich prędko z sukni, obrywali miecze i nożów pochwy, obnażali z obuwia... potem odarte ciała nieśli na wały i z nich rzucali w jezioro, nie patrząc choć w nich były życia reszty. Słychać je było spadające w wodę z pluskiem i śmiechy towarzyszące za każdą razą temu pogrzebowi... bo czeladź bawiła się tem ciskaniem do jeziora... Kruki z wieży zerwawszy się, poleciały nad wodę i zaczęły krążyć nad nią, podniósłszy krzyk i wrzawę.

Hengo siedział na ławie osłupiały, ruszyć się nie śmiejąc, odrętwiał patrząc... trwoga ogarnęła go też może o samego siebie!... Nie umiał sobie wytłumaczyć, co się stało, co to byli za ludzie i dlaczego kneź zamiast żalu lub gniewu, tylko śmiech miał na ustach.

Niepokój, który go ogarniał, nie dał mu dłużej pozostać w izbie ciemnej, i wysunął się w podwórze oświecone księżycem i dogorywającemi na ziemi łuczywami. Stanął w dali, lecz właśnie kneź z ławy się ruszył i począł chwiejąc się przechadzać po podsieniu, nucił coś wesołego. Bystre jego oko dostrzegło niemca w cieniu.

— Chodź tu! ty! — zawołał — tu!

I pokazał mu jak psu na nogi swoje. Hengo trwożliwie naprzód postąpił. Po chodzie, mowie, ruchach, łatwo mógł poznać, że miłościwy pan był pijany.

— Ot! dobra wieczerza! — zawołał do niego — widziałeś niemcze, jak się zabawili wesoło... Gorąco im coś było, poszli się kąpać do jeziora! — Psubraty... Wszystko się to samo za gardło wzięło i wyrżnęło... Sami, sami... moich tam ludzi nie było... Od czego miód i rozum, od czego? Ej wy sasy i franki przeklęte... mądrzy wy jesteście, ha? a ktoby z was tak się tego owadu pozbyć potrafił?

Kneź śmiał się i brał w boki.

— Zostanie się po nich dość dla ludzi odzieży, a dla mnie ziemi i koni... Dobra wieczerza i miodu na nią nie żal!

Śmiał się znowu.

— Napijże się i ty miodu, mordo ruda! — wrzasnął nagle.

Hengo się nizko kłaniał dziękując, ale nie pomogło nic... pacholę mu ogromny kubek przyniosło, a gdy się od niego wzdragał, kneź gwałtem mu do gardła lać kazał. Chwyciło go dwu i śmiejąc się chłopiec nalał w otwartą palcami gębę. Podziękowawszy za to poczęstowanie, już chciał odchodzić, bo się lękał o własną głowę, gdy kneź na ławie usiadłszy, pozwał go ku sobie. Musiał iść pod stopnie i stanąć przy nich...

— Coś widział, powiedz staremu grafowi — począł półsenny — jakem zagaił, tak dokończę... nie ujdą mi te harde głowy... a dla synów zostawię spokój w domu... Nadto kmiecie bujali... Trzeba ich okiełznać było... Powiedz, że się ich nie boję... że się bez pomocy obejdę... żem żmij tych i padalców wydusił już dosyć i do reszty ich wymorduję...

Jakby sobie coś przypomniał, ręką skinął, aby się Hengo zbliżył doń jeszcze. Zwiesił głowę z ławy poręczą ku niemu.

— Widziałeś moich chłopców? porośli? — począł nie dając mu czasu na odpowiedź — muszą być już spore?... a silne? czy się w matkę urodą udali, czy w ojca? nie zgnuśnieją tam oni? Czy chodzili już na wyprawę?

Hengo szeptał odpowiedź zastosowaną do żądań miło-

ściwego pana, którego się lękał, ale kneź drzemał, oczy mu się zamykały. Mówił jakby sam do siebie:

— Ja wam ład zrobię... ja wam zaprowadzę ład... za brody wieszać każę nad drogą... Jam tu jeden pan i kneź... moja wola nie wasza!... Precz z tem padłem... precz...

Oczy mu się otwarły, postrzegł stojącego Henga, przypomniał go sobie i uśmiechnął się.

— Widziałeś polowanie? — powtórzył — dobre łowy... zwierzyna tłusta... kruki moje będą miały co jeść...

Nucić coś począł i zdrzemnął się jeszcze.

— Bratanek bez oczów... jeszcze dwu zostało, a i tych mi przyprowadzą... sprzysięgli się już na mnie... Życiam mu nie wziął... niech gnije w ciemnicy...

Liczyć począł na palcach:

— Wojtas... Żyruń... Giezło... Kurda... Mściwoj... pięć zagród. Baby jutro spędzić każę... i stada...

Śmiał się, mruczał i drzemał tak, Hengo nie śmiał się ruszyć bez dozwolenia. Sambor też wysunąwszy się z za stołba bo go sen nie brał, podkradł się, by widzieć miłościwego pana... słyszał mruczenie i śmiech, a może słowo jakie do uszu mu doleciało, popatrzał nań niepostrzeżony groźno, głową potrząsł i cofnął się do komory.

Kneź tymczasem zwiesiwszy na poręczy głowę, usnął snem twardym, chrapanie słychać było ciężkie, a głosem tym wywołana ukazała się ze drzwi białogłowa w namitce i dwoje pacholąt. Napiłego ujęli mimo oporu pod pachy i zaciągnęli raczej niż poprowadzili do łożnicy. Zatrzasnęły się za nim drzwi...

Hengo, czując już miód w głowie, powlókł się przelękły trzymając ściany, do swoich koni, i tam legł na słomie półżywy.

W dziedzińcu pogasły światła, księżyc tylko oświecał czarne krwi kałuże i jęczących jeszcze u podsienia rannych kilku, z których krew też płynęła, ale miodem upojeni, nie czuli jak im uciekało życie. Czeladź i dwornia śmiejąc się, pokazywała ich palcami.

— Tak im wszystkim będzie... kmieciom i żupanom i władykom... co się kneziowi opierają.

Dano im konać powoli. Smerda obchodził wszystkie kąty podwórza, reszta dworni do snu opóźnionego się wlekła. Cisza po wrzawie biesiadnej zapanowała na grodzie, tylko psy wyły, poczuwszy krew i trupy, a kruki krakając to leciały na jezioro, to wracały na wieżę, gdzie miały gniazda swoje.

Rano, gdy się Hengo zbudził, dzień już był biały, stał nad nim Gerda i za suknię go ciągnął gwałtownie, bo niemca do knezia wołano. Gdy, obmywszy się, pośpieszył doń, zastał go samego, siedzącego w izbie na dole; przed nim na misie pieczone mięso, w kubkach piwo i miód na stole. Twarz miał chmurną, oczy krwią naciekłe, długo patrzał na niemca nim usta otworzył.

— Wiem, z czem cię tu posłano — odezwał się dumnie — powiedz im odemnie, że dziękuję... Pomocy ich ja potrzebować nie będę, a gdyby do tego przyszło, zawołam... Wolę się obejść bez nich... bo darmo nie pójdą i gębę im zatkać nie łatwo... Ja ich znam... Wracaj rychło, oddaj pokłon... niech chłopców wojować uczą... niech rosną... wrócą gdy nakażę, tego nie pora... Ja tu jeszcze czyścić muszę, a nie rychło robactwa się zbędę... Stary graf niech będzie spokojny — dodał — choć lud dziki, do swobody nawykły, ja mu ją ukrócić potrafię...

Napił się z kubka i zadumał podparty, potem wzgardliwie niemal dał niemcowi odprawę.

Zaledwie wyszedł stąd, gdy go toż samo co wczoraj pacholę do kneziowej pani pozwało z towarem. Zabrawszy więc węzeł swój, powlókł się na drugie podwórze, gdzie jak wczora czekała nań blada pani, dokoła otoczona dworem niewieścim. Twarze te były smętne i choć niedawno krasne może, dziś już powiędłe i blade, jak ona. Hengo wiedział, co ma gdzie na jaw wydobyć. W chacie Wisza nie pokazywał innego kruszcu, tylko lichszy żółty i czerwony, tu dobył pierścienie srebrne, a nawet złote listki i kwiaty, z cienkich blaszek wyrabiane, któremi zwyczaj był suknie naszywać. Nie-

wiastom trochę się lica zarumieniły na widok świecideł, poczęły do nich przyklękać, brać je w ręce i przykładać na ciemnych sukniach, jakby się też na nich wydawały. Ani się opatrzył Hengo, gdy mu niemal wszystek jego towar rozebrany rozszedł się po rękach. Stał nic mówić nie śmiejąc, gdy drzwi otwarło pacholę i wszedł miłościwy pan z czapką na czoło nasuniętą. Z progu popatrzał na niewiasty, młodszym twarzom przyglądając się oczyma pałającemi i uśmiechając się do nich. Rzucił okiem i na towar, ale ze wzgardą, a gdy kneziowa pani odezwała się, że dla jej dziewek zdałoby się to wszystko, śmiejąc się nakazał niemcowi, ażeby zostawił co przyniósł.

Przekupień nie śmiał nawet wspomnieć o zamianie lub wynagrodzeniu, a kneź też o niej nie zdawał się myśleć. Wreszcie, gdy kupiec, chcąc resztki ocalić, sznurować począł sakwę, rzekł mu porywczo:

— Grafowi powiedzcie, że my to od niego za podarunek dla Brunhildy przyjmujemy... niech on wam za to płaci... Nie macie tu czego stać długo... Wracać wam zdrowiej i nie oglądać się za siebie...

Nie czekając już, aby mu tę radę powtórzono, ruszył niemiec sposępniawszy i był już za drzwiami, gdy kneziowa pani, znać ulitowawszy się nad nim, wysłała jedną z dziewek powiedzieć mu, by się nie frasował, że mu sama za towar nabrany wynagrodzi. Wstrzymał się też w sieni, czekając na starą babę, która wyszła milcząca i powiodła go za sobą do blizkiej komory. Tu skór wisiały pęki i różnego dostatku siła nagromadzonego kupami. Dano mu sobie wybierać, i Hengo ciesząc się, że nie będzie zupełnie odarty, łańcuszkiem srebrnym jeszcze obdarzywszy podskarbinę, skór na plecy nabrawszy ile chciał, do koni co rychlej powrócił.

Niepokój jakiś na grodzie, wrzaski i wołania u wrót ostrzegały go, ażeby nie czekając tu dłużej, z życiem i mieniem uchodził. W pierwszem podwórzu dobitniej jeszcze słychać było po za wałami odzywające się głosy tłumne.

Wrota stały zaparte, od mostu i haci dwornia pańska

wchodu broniła. Wyszedłszy ujrzał Hengo, że gromady pieszych, konnych, a między niemi i niewiasty wnijścia się na gród dopominały.

Smerda i jego pachołkowie nie dopuszczając, biczami i dzidami odpierali naciskających się. Płacz, narzekania, przekleństwa i groźby rozlegały się do koła...

Były to rodziny kmieci i władyków, wczorajszych gości na grodzie, które już wieść doszła o morderczej biesiadzie... Wyprzeć się jej nie można było, trupy odarte tuż około haci pływały, niektóre z nich fala przynosiła na brzegi. Niewiasty we łzach wyciągały do nich ręce, klęcząc na piasku i włosy sobie rwąc z głowy.

Trupy — byli to ich ojcowie i mężowie... Bracia i synowie stali tuż na koniach, zębami zgrzytając, miotając na Chwostka przekleństwa.

Wrzawa rosnąca miała dojść uszu knezia, który na podsieniu u wnijścia się ukazał, stanął, wziął w boki i patrzał ponuro na czeladź swą, ujadającą się z tłumem na haci u mostu.

Tłum narastał co chwila.

Ściśnięte pięści wyciągano ku kneziowi, ale się śmiał z tej bezsilnej złości.

Trwało to dosyć długo, aż dwu czy trzech wybranych Smerda puścił w dziedziniec. Szli z głowy obnażonemi, płacząc, sami coś mówiąc do siebie, pogrążeni w smutku, a stanąwszy u wnijścia, gdzie na podwyższeniu czekał kneź, chcieli się do niego odezwać, ale ich uprzedził:

— Za co mnie wyklinacie? — zawołał — psie syny, nieposłuszne! Co ja wam winien?... Jam ich ręką nie tknął, jam żadnego zabijać nie kazał, choć mogłem i warci byli, aby im głowy pospadały... Po co się sami powaśnili i zajedli? Zakrwawili mi izbę, zwalali podwórze, zamącili spokój... Jak psy się sami gryźli i pozagryzali...

Podniósł pięści.

— Dobrze im tak! Stara słowiańska wola po głowach wam chodzi! Będzie tak wszystkim, co się jej dopominają.

W tejże chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur z pętlą na głowę zarzuciła staremu. .

Trupy sobie na jeziorze połówcie, nie bronię... a do domów póki głowy całe... Jam nie winien ich śmierci...

Jeszcze mówił to, gdy z pod tynu, gdzie gęsto rosły łopiany, pokrzywy i łozy, ruszyło się coś, podniosło... wstał jakby trup blady, chwiejąc się na połamanych nogach. Twarz miał obmazaną krwią zaschłą, oko jedno wybite, z którego spiekła toczyła się ropa. Wstał i rękę podniósł i jak omackiem na głos idąc, gdzie stały dzieci kmiece, począł krzyczeć chropawym głosem:

— On nie winien!... Czaru i daru dał nam w miodzie... szczuł brata na brata, jątrzył i nawoływał, aż nam oczy krwią naszły i pamięć odbiegła... On nie winien! on! on! — powtarzał wlokąc się coraz bliżej pokaleczony biesiadnik, który noc całą pod tynem w chwaście przejęczał. — On... on! psi syn! sam, nie my... bodaj zginął marnie!

Schylił się, pod nogami zobaczywszy leżący kamień, na którym jeszcze wczorajszej krwi przyschłej widać było ślady, i porwawszy go z całą siłą cisnął na stojącego. Pomimo osłabienia, taka była moc gniewu, co nim miotał, że kamień wpadłszy do izby, sprzęt jakiś zdruzgotał. W tej chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur z pętlą na głowę zarzuciła staremu, który się zachwiał, padł, z gardła dobył mu się głos chrapliwy... i trupa już ciągnęli po ziemi oprawcy ku wałom.

Z groźnem mruczeniem stojący kmiecie cofnęli się zobaczywszy to ciało u nóg swoich i poszli nazad nie zaczepiani ku mostowi, gdzie na nich konie i ludzie czekali, a wkrótce cała ich gromada, krzycząc nazad odciągała. Niewiast tylko kilka zostało u mostu, aby ciała pomordowanych pozabierać.

Z groda teraz czeladź na hać się wysypała, nie żeby im dopomódz, lecz by młodsze wypatrzyć. Z tych dwie czy trzy mimo wrzasku na gród wciągnięto, a kneź przypatrując się dokazującej drużynie, uśmiechał tylko.

Wkrótce ucichło wszystko... Widać było tylko poniżej, jak starsze niewiasty podnosiły ciała, które jezioro na brzeg

rzuciło, jak drugie czółnami płynęły ku trupom, które widniały zdala.

Hengo pośpiesznie przywiązywał do koni resztki swego towaru i mienia, aby coprędzej z grodu wyruszyć. On i Gerda więcej jeszcze od ojca wystraszony, śpieszyli by przed południem znaleźć się za wałami.

Tu się z nimi zetknął czekający na nich Sambor. Smutny i zakłopotany do niemca się zbliżył. Obejrzał się naprzód, czy ich kto z czeladzi nie podsłuchuje.

— Człowiecze dobry — rzekł — bo mi się zda, że złym nie jesteś... czy wracasz koło Wiszowego dworu?

Nie śmiejąc, czy nie chcąc mówić, Hengo skinieniem głowy potwierdził ten domysł.

— Zanieście ten pokłon odemnie — dodał. — Tęskno mi za niemi, choć tu nam zabawy nie braknie i dobrze na zamku u knezia... czego chcieć... śmiechu dosyć! Powiedzcie im jeno coście widzieli i jak my tu ucztujemy!... Będą się radowali, że mnie tu oddali. Uciekłbym może nazad i ani mur, ani woda, ani kłodaby mnie nie wstrzymała, gdyby nie to że tu tak wesoło... Powiedzcie — powtórzył — coście widzieli...

Hengo to na niego spozierał, to na zamek i wieżę, to na swoje konie, którym sakwy poprawiał, pilno mu się wyrwać było, a głosu się własnego obawiał: kiwnął więc głową w milczeniu.

— Powiedzcie tam — dodał Sambor — że wczoraj dużo kmieci ubyło... i jak im piękny pogrzeb sprawili... Obiecują nam, że tak ochoczo będzie co dnia... W lochu pod wieżą, nie licząc bratanka z wyłupionemi oczyma, jest też kmieci kilkoro... a na innych powoli kolej przyjdzie...

Hengo ciągle potrząsając głową i oglądając się coraz niespokojniej dokoła, wreszcie dał znak chłopcu, aby ustąpił. Nie było czasu do stracenia; niemiec i syn jego siedli na konie. Kneź patrzył ze drzwi jak ruszali, ale nie rzekł już nic. Za wrotami i hacią dopiero Hendze się jakoś lżej zrobiło... Wolał już puszczę niż taką gościnę...

Żwawo więc pognali konie tąż samą drogą co wczora, równie pustą jak wprzód była. Dopóki wieżę szarą i kruki nad nią latające widać było, niemiec się oglądał bojaźliwie, jakby się lękał jeszcze by go nie zawrócono. Gerda trzęsąc się ze strachu, słowa do ojca nie śmiał przemówić. Wkrótce też znaleźli się w lesie i tu dopiero bezpiecznymi się uczuli.

Droga, którą ze Smerdą razem przebyli, nawykłemu do włóczęgi, pamiętną była. Lękał się jej wszakże niemiec, aby nie spotkać groźniejszych towarzyszów, niż ślepi gęślarze; pośpieszał rozglądając się dokoła, obmyślając zawczasu, gdzie na nocleg stanie, bo dniem jednym do zagrody dobić się już nie spodziewał. Śmielej teraz dążył do brodu już znanego, aby się przebrać na drugi brzeg rzeki. Nie spotykali nikogo. Zdala tylko kozy pierzchały i ptastwo wodne zrywało się z rzeki z krzykiem, unosząc się na dalsze błota.

Wieczór już nadchodził, gdy Hengo postrzegł kamień na górze, obwiedziony wieńcem z głazów, o którym zachował pamięć od wczora. Tu, ustąpiwszy nieco od rzeki w głąb lasu, wyszukał łąkę zieloną, na którejby się konie paść mogły i ognia naniecili, aby nim odegnać zwierza. Sklecili potem szałas z gałęzi i do snu się układli.

Majowa noc przeszła prędko, a nadedniem nadciągająca burza z piorunami i ulewą, z noclegu ich spędziła. Hengo też śpieszył niespokojny, lecz nim na konie siedli, chwycił Gerdę za ramię.

— Patrzałeś i słuchałeś — rzekł — co się na grodzie działo... kazałem ci milczeć i z językiem matki się nie wydawać! Milczże i teraz... bądź niemy...

Pogroził mu stary, chłopak nań patrzył osowiałemi oczyma, dosiedli koni i puścili się śpiesząc do Wiszowego dworu. Deszcz lał jeszcze, ślizgały się konie, zwolnić więc biegu wkrótce musieli, a południe już było, gdy dym ujrzeli i zasieki, i na łące się pasące klacze ze źrebiętami, które niewiasty doiły.

Wisz stał na wyniosłym brzegu i patrzał, psy siedziały przy nim na straży. Niemiec pozdrowił go zdala, a stary wnet

ku niemu schodzić zaczął. Stróże już biegły się rzucić na obcego, gdy je odwołano i Wisz grożąc do milczenia zmusił.

Szły więc za nim posłuszne.

W oczach starego widać było ciekawość, zdawał się dziwić, że niemiec z grodu dobył się cało... patrzał na niego, na sakwy i konie.

— O! prędkoście jakoś z grodu wrócili — rzekł z uśmiechem — jakże się tam powiodło?

— E! nie było co robić długo na tym grodzie — odezwał się Hengo — mnie też śpieszno dobyć się z tego nieznanego kraju.

To mówiąc i zapewniwszy się, że go psy nie zjedzą, Hengo konie oddał chłopcu, a sam począł iść z gospodarzem. Gdy zostali sami, kmieć popatrzył nań, jakby mu z oczów chciał czytać.

— Co słychać na grodzie? — spytał.

Hengo milczał.

— Nie patrzałem ja wiele, nie słuchałem też dużo — rzekł po namyśle — Wasz parobek tylko pozdrowić was kazał... dobrze mu tam...

— Młodemu dobrze wszędzie — odezwał się gospodarz i westchnął.

Z odpowiedzi widać było, że niemiec do mówienia ochoty wielkiej nie miał. Wisz rzucił parę pytań ostrożnych, i zbyty odpowiedziami krótkiemi umilkł.

Młodego chłopca we wrotach parobcy powitali jak znajomego, i z końmi go do szopy poprowadzili. Gerda, jakby zimnicy dostał, drżał jeszcze cały od wczorajszego strachu i dzisiejszego deszczu zimnego. Ulitowano się nad nim. Jeden z parobków, nie wiedząc, ze język rozumie, wziął go za rękę i prawie gwałtem wprowadził do chaty, gdzie ogień jasny palił się od rana.

Niewiasty chleb właśnie miesiły, mąkę siały, a sługi śpiewające żarna obracały.

Mało było robót na polu i w domu, przy którychby owczesnym obyczajem wszystkich słowian, nie śpiewano. Śpiew

był towarzyszem wszelkiej pracy, zwłaszcza niewieściej. Jak ptaki nuciły dziewczęta całą młodość prześpiewując... pieśni uczono się z mową razem. Śpiewano, trzodę pędząc na pastwisko, pieśni do Honiły, nucono pasąc ją i wracając z pola, śpiewano u kądzieli, u żaren, u dzieży-matki, u krosien, ze smutku i z radości, ze łzami i łkaniem, u wesela i pogrzebu. Były pieśni prastare, których się córki od matek uczyły, aby je oddać swym dzieciom, poświęcone wiekami, z których się — jak mówiło przysłowie — słowa wyrzucić nie godziło; ale były inne, co wprost z serca płynęły, a ten co je wyśpiewywał pierwszy, sam nie wiedział skąd i jak mu przyszły i jak się złożyły.

Podsłuchał je drugi, coś do nich przyczynił, zmienił trzeci i tak rodziły się z ojców nieznanych wiela, szły jak grosz do skarbnicy, niewidzialną ręką rzucony, mnożąc dobro ogólne.

Gdy mały Gerda wszedł zziębły i siny, a od progu posłyszał te pieśni, które niegdyś w smutku na obczyźnie matka jego rodzona nuciła po cichu — poruszyło mu się serce, w piersi zakipiało i łzy z oczów pociekły. Zapomniał, że się nie powinien był wydać ze swą mową, że mu kazano być niemym i głuchym i z ust mu się wyrwało mimowolnie:

— Macierz moja!

W progu stała Dziwa, patrząc, słuchając, śpiewając, jednej jej uszu doszedł ten wyraz chłopca, który wnet się zarumienił, spojrzał wzrokiem wylękłym i skrył się w kąt ciemny. Dziwa postąpiła ku niemu, rękę położyła na ramieniu — poczuła jak drżał cały.

— Nie bój się — rzekła — ja cię nie zdradzę.

Poszła zaczerpnąć garnuszkiem piwa, postawiła je na chwilę przy ogniu, potem przez fartuch ująwszy, przyniosła Gerdzie, który chciwie je pochwycił, podnosząc ku niej łzawe oczy.

Wejrzeniem tem dziecinnem, które złagodziło wspomnienie matki, przemówił do niej. Wzięła go za rękę i wywiodła do sieni, bo w izbie wciąż się śpiewy rozlegały. Gerda ujął

jej rękę, jak niegdyś matki, pocałował. Na ręku łza przylgnęła.

— Mnie mówić zakazano! — szepnął. — Ojciec ubiłby, gdyby się dowiedział. A! nie wydajcie mnie. Ja nie jestem niemy, matka miała waszą mowę i z waszej krwi była.

Dziwa pogłaskała go po mokrych włosach.

— Mów bez obawy — rzekła cicho — co na grodzie widziałeś?

— A! straszne, a okropne rzeczy, od których włosy wstają na głowie i dreszcz po kościach bieży. A! krew widziałem... krwi kałuże — jęki słyszałem noc całą i śmiech jakby puhacza głos.

Zamilkł, oglądając się z obawą.

— Mów chłopcze — rzekła — jakby ci rodzona kazała.

Łagodny głos jej do serca mu trafiał.

— Słowo twoje nam potrzebne — dodała — gładząc chłopię po twarzy.

I pochyliła mu się do ucha, a on z płaczem opowiadać jej zaczął, co wczoraj na grodzie się działo, jak wrzała biesiada krwawa, jak w podwórzu zajadali się kmiecie pijani, jak nagie ich trupy do jeziora rzucano, kneź śmiał się a krucy krakały i psy wyły, z radości czy z trwogi. — Mówił, jak głodna psiarnia pańska biegała potem krew ciepłą chłeptać w kałużach, jak z rana zawodziły i płakały niewiasty, jak znoszono trupy i miotano groźbami.

Mówił — a Dziwa blada, spokojna jej dziewicza postać mieniła się w rycerską, oczy zdawały się z pod powiek ogniem strzelać, a ręce się białe ściskały, jakby miecz w nich trzymała... i czoło podnosiło się coraz wyżej, to krwią okrywając, to bladością.

Kończył Gerda opowiadanie, gdy Wisz i Hengo nadeszli, chłopiec strwożony, aby się jego wielomówność nie wykryła, ledwie miał czas prześlizgnąć się pod chróścianemi ścianami szop do koni i tu przypadł, tuląc się pod kawałem sukna, który naciągnął na siebie. — Dziwa stała długo w miejscu jak przykuta, a gdy Wisz przechodząc spojrzał na nią, mógł

z twarzy wyczytać, że w jej duszę padło jakieś zarzewie, od którego zakipiała. Dała tylko znak ojcu powiekami, aby szedł i nie pytał.

Gdy Hengo wstąpił na próg izby, nagle wszystkie niewieście zamilkły głosy, śmiech tylko przeleciał jak wiatr po liściach i słychać było żarna jak zgrzytały, jak syczał ogień, wrzała woda i reszty deszczu ze strzech spływały na kamienie u przyźby.

Gościa przyjęto uprzejmie. Niemiec chmurny siadł za stół, usta mu się otworzyć nie chciały, na czole miał jakby kamień, co mu nawet oczu otworzyć nie dawał, ani spojrzeć jasno. Napróżno Wisz zagadywał, próżno stara Jaga misę przyniósłszy ze strawą, pytała o Sambora — on nic nie wiedział.

Po burzy niebo się rozpogodziło. Czarna chmura, co ją przyniosła, stała jeszcze zdala nad lasami, po ciemnej jej szacie latały pioruny wężami, ale nad dworem śmiało się niebo lazurowe i świeciło słońce. Ptaki otrzęsały skrzydła zmoczone, i świergocąc zwijały się około chaty. Jaskółki nosiły już muł na gniazda, a wróble kłóciły się zapalczywie o znajdywane ziarna. Bocian na gnieździe wybierał się w drogę i na długich stojąc nogach, strzepywał skrzydła, a dziób zadarłszy do góry, klekotał.

Zaledwie trochę zjadłszy, Niemiec wstał by pożegnać gospodarza, jakby go paliło z powrotem. Odebrał swoje sakwy, objuczył konie i dosiadłszy je, wprędce znikł z oczów gospodarza, w las wjechawszy.

Wisz patrzał za nim, stojąc we wrotach, gdy nadeszła Dziwa. Obrócił się do niej stary i uśmiechnął łagodnie. Ile razy spojrzał na nią, na tę krasę i wesele domu, na twarz mu jasny występował promień. Uśmiech jej mu odpowiadał zwykle, lecz teraz stała zamyślona i smutna. Skinęła na ojca i powiodła go z sobą ku rzece.

— Nic wam nie mówił niemiec.

— Milczał jak grób — rzekł stary.

— A mnie szczęśliwsza dola dała z niemego chłopięcia

dostać języka — poczęła Dziwa. — Syn Henga straszne mi opowiadał rzeczy. Trzeba abyś o nich wiedział ojcze — coraz groźniejsze od grodu na nas wiatry wieją... posłuchaj! chłopiec nie kłamał, drżał jeszcze cały ze trwogi, mówiąc i płakał.

Dziwa zaczęła po cichu opowiadanie. Wisz sparty na kiju, słuchał ze spuszczoną głową. Nie dał po sobie poznać nic, na pozór zimny jak kamień, córce mówić dozwolił, nie wtrącając ani słowa. Zamilkła już, gdy on jeszcze się słuchać zdawał.

Aż nierychło głowę podniósł i tchnął ciężko piersiami staremi.

— Pora — rzekł — co ma być to się stanie... Wiec zwołać potrzeba, dawno go nie było i ludzie się rozbili, chodząc samopas. Czas się ze swoimi naradzić, posłać wici, zebrać braci. Niech głowę starą wezmą jeżeli chcą, co dla gromady i miru naszego potrzeba, to zrobię — ty Dziwo — milcz!

Córka zbliżyła się i ująwszy rękę pocałowała.

— Kolada pomoże! — szepnęła.

V.

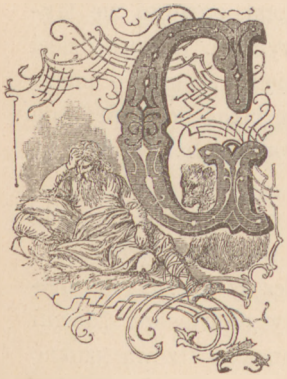

odzina nie upłynęła, gdy stary Wisz ukazał się znowu w progu dworu, ale tak zmieniony, iż poznać go było trudno. W domu chodził bosy i w płótnie, teraz się odział jak do podróży i postać przybrał inną. Okryty był brunatną siermięgą nową, sinymi pasy obszywaną, na nogach miał skórznie nowe, których sznury krasno były farbowane, na głowie kołpak futrzany i pióro przy nim. U pasa wisiał miecz błyszczący i proca, na plecach łuk i strzały. Stąpał też jak wojak stary, wyprostowany, z podniesioną głową i lat mu w tym stroju ubyło.

U wrót trzy konie gotowe, okryte suknem czekały, dwóch parobczaków czysto odzianych i zbrojnych, trzymali je, gotowi z gospodarzem do drogi. Co żyło w chacie, wyszło żegnać ojca i cisnęło się do ręki. Szła Jaga też niespokojna, fartuchem łzy ocierając, bo czuła, że coś w tem groźnego być musiało, gdy Wisz, co oddawna już nie ruszał się ze dworu, chyba po barciach i lesie — sam, tak nagle, nie mówiąc nikomu, dokąd i po co jechać musiał.

Ona i Dziwa poszły za nim aż do konia siwego, który spokojny stał, nogą grzebiąc, głowę obrócił ku panu, zarżał i czekał aż nań siądzie. Chciał jeden z parobczaków pomódz staremu, lecz Wisz, jakby mu nagle siły przybyło, skoczył

raźno na grzbiet siwego, głową swoich pozdrowił, ręką wskazał na drogę w las — i ruszyli w milczeniu. Długi kawał jechali nad rzeką. W jednem miejscu, kilka nędznych chałup stało nad wodą, na kołach sieci wisiały, parę czółen wywróconych odpoczywało na piasku. Chałupy jak bobrowe domki ubogo wyglądały, na pół w ziemi, pół nad nią, a biedniej jeszcze ludzie, których dwu na pół nagich głos Wisza wywołał. Była to osada z biednych ludzi złożona, zowiąca się Rybaki, która na ziemi kmiecia niedawno wyrosła. Kilkoro dzieci nagich, od dymu okopcona niewiasta zgięta i stara — pierzchnęli na widok pana, tylko dwaj rybacy jakąś odpowiedź na pytanie wymruczeli przez zęby. Spojrzenia ich rzucane na Wisza, kose były, nieufne i strwożone.

Nieco dalej, znowu chatek kilka w lesie, druga osada podobna, Bodniarze, stała jakby pusta... U drzwi tylko klepki i wióry, porozsypywane naczynia świadczyły o zajęciu mieszkańców. Na ten raz nie było żywej duszy, niewiasty z dziećmi wyszły do lasu na grzyby, mężczyźni musieli drzewa szukać na klepki. Drzwi jednak wszystkich chałup stały niepozamykane, bo taki był zwyczaj po całej ziemi, a żaden podróżny nie nadużył nigdy tej gościnności poczciwej. W każdej chałupie leżał chleb, nóż i stała woda. Stały otworem loszek, spiżarnia, wszystko.

Jeden z parobczaków Wisza, poszedł się napić i wrócił natychmiast do konia. Stąd już nawrócili w lewo na lasy i gęstwiną jechali — bez drogi, lecz tak się kierując bezpiecznie i pewno, jakby mieli przed sobą szeroki gościniec. Myśliwym znane było każde uroczysko... zwalona kłoda, dolina w lesie i strumień.

Jechali tak w milczeniu do nocy ciemnej, gwiazdy już świeciły na niebie poprzedzając księżyc, gdy noclegować stanęli. Chłopcy w mgnieniu oka szałas dla starego sklecili — jeden na straży został przy koniach puszczonych na paszę, drugi przy Wiszu.

Noc przeszła spokojnie, o brzasku wszyscy gotowi byli do drogi, stary wstał od nich wcześniej — nakoniec siedli

i Wisz sam wskazywał dalej, kiedy jechać mieli, bo na okół w swoim mirze i opolach nie było gródki ziemi, któraby mu znaną nie była. Myśleć i namyślać się nie potrzebował, instynkt myśliwskich plemion grał w nim jeszcze z całą siłą, on las czuł i w obcym nawet wiedziałby jak się obrócić.

Chwytał niekiedy silniej powietrze, a ono mu oznajmywało, czy w pobliżu dąbrowa była, łąka, moczary czy pola. Mówiła do niego trawa co rosła pod stopami, pochylenie gałęzi, mech, który na drzewach rosnął, krzewy co las podszywały. — Lot ptaków uczył go, nawet i zwierz którego płoszyli i kierunek w jakim on od nich uciekał.

Ku południowi już wyjechali na łąkę szeroką, której środkiem płynął strumień. W dali, na podniosłym nieco brzegu, widać było dwór obszerny z zagrodą i dym nad nim.

Ujrzawszy domostwo, stary dobył rogu i zatrąbił raz, drugi i trzeci Jechali tymczasem coraz się zbliżając ku zagrodzie, około której mnóstwo roiło się ludzi.

Jeden z nich konia bez uzdy z łąki porwawszy, skoczył nań i rękami go poganiając z obu stron szyi, a trzymając się grzywy, wybiegł naprzeciw starego — popatrzył na Wisza i szybko nazad popędził.

Znać, że i tu mało kto w gościnie bywał, bo czeladź u wrót cisnęła się ciekawa, a z za tynu widać było bielejące niewiast namitki. Jeszcze nie dojechali do zagrody, gdy we wrotach ukazał się słuszny mężczyzna, odziany po domowemu, koszula na wierzchu, w lekkim przyodziewku na ramiona narzuconym. Gęsty jasny włos spływał mu na ramiona, młoda bródka zarastała rzadko, rumiane lice, które się śmiało dużemi niebieskiemi oczyma. Rękami zdala już witał przybywającego, weseląc się gościem, stary mu też słał pozdrowienie, a nie dojeżdżając do wrót, konia strzymał i zsiadł z niego.

— Bywajcie mi w dobrą godzinę, gospodynie miły — wołał młody gospodarz. — Takiego gościa jak stary Wisz, nigdy się moja chata nie spodziewała.

To mówiąc, z poszanowaniem jak do ojca, zbliżył się do starego i rękę mu chciał całować.

— Rad wam jestem jako słońcu! — mówił dalej wesoło — ale się i smucę też, bo stare kości trząść do młodego Domana, mój ojcze, nakazałbyś do niego, toby się u drzwi twych stawił.

— Zachciało się też i staremu świata zobaczyć a popatrzeć, czy się co tam na nim nie zmieniło — odezwał się Wisz.

Uściskali się i pod rękę go ująwszy, wiódł Doman do świetlicy. I tu dwór stał w obejściu, dokoła zabudowany w prostokąt, z szopami razem i chlewami. Znać tylko było młodego gospodarza, który pragnie aby mu się w oczach domostwo śmiało, bo ściany były wybielone i podsienie ostawione słupkami misternymi. Na nich gdzieniegdzie wiązki ziela wonnego wisiały, macierzanka, dziewanny i czombry. Niewiast cale widać nie było, bo się te przed obcym kryły... Izba też, do której weszli, czysta była i schludna, a znać w niej niewiasty nie gospodarzyły, bo ognisko w pośrodku z kamieni ułożone, było wygasłe. W kącie skórą wilczą zasłane widać było łoże, po ścianach łuki, miecze, proce, rogi zwierząt i skóry z nich świeżo zdarte. Na stole leżał chleb biały, którym się rozłamali i Doman starca naprzód posadził, sam stojąc przed nim. Ledwie go skłonił by usiadł przy nim podle. W oczach wesołego gospodarza żywa malowała się ciekawość, ale z pytaniem nie spieszył. Wisz też z razu o gospodarstwie mówił i lesie. Wtem miód podał chłopak, gospodarz przepił do gościa.

Sami jedni w izbie byli

Jużeście to zgadli — odezwał się stary — żem przybył tu niedarmo — a ja wam powiem, że z wieścią niedobrą. Źle, a coraz nam się gorzej dzieje.

— To zróbmy tak, aby lepiej było — odparł Doman.

— Wkrótce mirów, wieców i nas kmieci i starego obyczaju nie stanie — mówił Wisz zwolna — pójdziemy w pęta wszyscy.

Mówią tak ludzie, iż w starych głowach lęgnie się narzekanie jak kwas w starych statkach — ale osądzicie sami, czy się to bez jaja wylęgło.

Kneź i Leszki wszystkie za wolnych już nas ludzi nie mają. Kmiecie i władyki co się na tej ziemi urodzili, z czernią idą na równi z niewolnikami. Rabów z nas czynić chcą. Odgrażają się, tępią jak pszczoły, gdy ul do dna chcą wyprzątnąć i gnilca w nas szukają. Chwostek nad Gopłem dokazuje. Dwa dni temu, sprosił kmieci na ucztę do siebie, dał im jakiegoś duru w napoju, Niemka go tam syci na naszą zgubę. Wśród uczty jęli się gryźć i bić między sobą, niemal wszyscy się wymordowali. Trupy Chwostek do jeziora kazał powrzucać jak padło. U Samona dziewkę hożą zabrano gwałtem, a knieziowa pani dała ją mężowi na zabawę. Po zagrodach tłuką się Smerdy jego i gwałty czynią, zabierają ludzi, niewiastom nie dają pokoju. Nikt nie pewien ani chaty, ani pola, ani komory, ani dzieci. Mamyż my to tak cierpieć i po niewieściemu jak baby z płaczu zawodzić, ręce łamać? Mów Domanie.

Domanowi lice płonęło, wargi się trzęsły, hamował się, milczał — a gdy stary dokończył — rzekł:

— Hej! hej! bo należało na to gniazdo osie iść i nogami stratować.

— Słowo się prędko rzecze, Domanie — zawołał stary — a rękom to nie tak łatwo. Twardo siedzi to gniazdo, do stołba przyległe.

— A stołb też pono nie duchy stawiły z kamienia, ale ludzie, to też go ręce ludzkie wywrócić mogą — rzekł Doman.

— Nie mów tak — odezwał się Wisz — o stołba początku nikt nie wie. Stał już za praszczurów naszych. To pewna, że lud co go stawił, nie nasz był i znikł z tej ziemi.

Doman zmilczał.

— Nam we dwu — dodał stary — nie rozsądzać o tem, ale poczynać coś, trzeba gromadą, a dzieci ratować. Spojrzał na młodego gospodarza, który też oczów jego szukał.

— Trzeba rozesłać wici po kmieciach i władykach, a zwołać starszyzny wiec walny. Niech się miry nasze i opola zbiorą, zaczniemy my, pójdą zatem drudzy.

— Wasze słowo za rozkaz stanie — rzekł Doman — niech niosą wici — a no, mówić mi dozwolicie. Kogo wołać

i kędy? Wiecie to dobrze, że Chwostek ma swoich i między kmieciami, że Leszki się rozrodzili i poswatały, a jest ich siła, że my nie sami... trzeba więc ostrożnie i cicho wprzód języka dostać, wprzód się może rozsłuchać i obliczyć nim z garstką wystąpimy, bo nas zduszą.

— Nie inaczej i ja myślałem — odezwał się Wisz. Wiemci to dobrze, że nie zbywa Chwostkowi na druhach i że między naszymi też znajdują się z nim pobratani; ale i to wiem Domanie, że własny jego ród Leszy, nie cały z nim będzie. Stryjów zgnębił i w kmiecie obrócił, synowcom powyłupiał oczy, drudzy ze strachu wychylić się z grodzisk nie śmieją. Ci z nami trzymać będą.

— Na wiecu się to obradzi lepiej — odezwał się Doman — zwołujmy wiec.

— Nim wici roześlemy — przerwał stary — pójdziemy po dworach, nie mówiąc nic, aby języka powziąć — jedźmy razem Domanie i po kmieciach i po Leszkach.

— Jedźmy ojcze Wiszu — potwierdził Doman, jam gotów. Spocznijcie u mnie, dalej ja ruszę z wami.

— Jak myślicie? — dokąd? — spytał stary.

— Z kmieci... do starego Piasta na naradę, ubogi człek, ale mądry... milczy, ale więcej wie od tych co gadają.

Wisz głową skinął. A dalej?

— Z Leszków choćby do Miłosza... — mówił Doman.

— Tego synowi wyłupił on oczy.

Liczyli tak dwory, gość palec na usta kładł, krom nas dwu niech nikt o tem nie wie. Jedziemy na łowy.

— Jedźmy na łowy — ludzi waszych zostawicie u mnie, we dwu ruszymy, tak lepiej.

— Tak lepiej — dodał Wisz.

— Gdzież my wiec zwołamy, boć stanie na tem, aby się zebrał — dawno go nie było — rzekł Doman.

— Gdzie? tam gdzie on od wieków bywał — nowego miejsca ni szukać, ni znaleźć. Na Żmijowem uroczysku, nieopodal od dębu świętego i zdroju, w okopie na horodyszczu —

gdzie ojcowie, dziadowie i pradziady się nasze zwoływały. Tam nam też stanąć wszystkim i radzić.

W oczy sobie popatrzyli.

— Uroczysko to w głębi lasów, bezpieczne błotami opasane dokoła. Lepiej tam niż gdzieindziej. Gdyby się starszyzny zebrały gromadą przy naszej czy waszej zagrodzie, mściłby się kneź i palił — tam — kto wie? i posłuchu może mieć nie będzie.

— Posłuchu? — rozśmiał się Doman — ma on swoich wszędzie, doniosą mu, byleśmy się ruszyli tylko, ale nie przetoż się lękać mamy i siedzieć po norach. Z wieków się ludzie na wiece zbierali, czemuby i dziś nie mogli? Pilno obeślem wiciami.

— Tak — rzekł Wisz — poślemy dwu po dworach, zagrodach, chatach, aby starszyzna przyszła, lecz wiedzieć wprzódy musimy, kogo wołać i kto z nami stanie. Godziłoby się wziąć klątwę na ogień i wodę.

Naradzać się zaczęli po cichu. Stanęło na tem, że wiec ma być koniecznie i że się temu nie sprzeciwią ludzie, więc już naprzód myślano; jak nieznacznie go zebrać, a że na Kupałę gromady się i tak po uroczyskach schodziły, przed Kupałą dzień wybrać chciano.

Wisz i Doman zgodzili się na to zawczasu. Na wici czasu było dosyć, a do Kupały też nie tak daleko, aby rzecz poszła w odwłokę.

Gwarzyli długo... naradzali się w izbie po cichu aż do zmierzchu... Stał miód na stole, ale go prawie nie tknęli. Pochmurniały czoła, zasępiły się oczy, nawet wesołemu Domanowi. Przebrało się w końcu i rady i słowa, ręce sobie podali i gospodarz wywiódł starca za zagrodę pod lipę, która na wzgórzu stała. Ledwie się tam ukazali, ze dworu za panem skoczyło całe psów stado, bo myśliwiec był wielki. — Obsiadło ich dokoła. Młodzież też, czeladź, dwór stanąwszy zdala — jakby na coś oczekiwać się zdawała. Doman ku nim, oni patrzali ku niemu.

— Chciałbym was zabawić i ugościć — odezwał się

gospodarz — staremu nie w smak młode pieśni — bo są płoche. — Czemś byśmy was przyjąć przecie radzi i pokazać, że my od snu nie puchniem i ognia nie drzemiemy.

— Hej Ścibor! — krzyknął Doman — znak dając ręką — sam tu!

Dorodny chłop, któremu też oczy ogniem pałały, na zawołanie się stawił.

— Lepszego dnia na naszego wilka nie znajdziemy — odezwał się Doman. Przed kim się pochwalić jeśli nie przed starym Wiszem.

Dajcie go tu z zagrody, pokażemy, że się dzikiego zwierza nie boim.

Skoczył Ścibor raźno, a za nim ozwały się głosy ochocze. Psy wnet zagnano do zagrody, kilka tylko zostawiwszy na sznurach. Wisz i Doman wstali z pod lipy — zbliżając się do wrót, przy których już się chłopaki gromadzili. Gospodarz kazał wziąć oszczepy i począł ludzi rozstawiać dokoła. Sam też ujął dzidę z żelazcem, zajmując stanowisko w oddali. Psy na powrozach trzymali parobcy, a rwały się czując, że je nie darmo więżą.

Klasnął w ręce pan, i wrota się skrzypiące otwarły.

Wilk, który dni kilka w niewoli przesiedział, zahukany był i wylękły, nie rychło korzystał ze swobody. Wołano nań, bijąc kijmi o ściany od podwórza, a ruszać się nie chciał, skulony, kłapiąc tylko zębami. Nagnano go przecie ożogami do wrót i głowa jego w nich się ukazała, wnet też rozglądnąwszy się ostrożnie, naprzód skoczył i stał. Cicho przysiedli czatujący, psy tylko wyć poczęły, wilczysko się ruszyło, zrazu krokiem niepewnym, potem szybciej coraz, patrząc ino, kędy umykać ma do lasu.

Ucieczka była trudną, bo zewsząd ludzie zabiegali. Doman nań godził pierwszy, biegnąc żywo na przełaj, aby go nie mógł wyminąć. Gdy się leniwo poruszał zwierz, spuszczono psy, a te się wnet nań rzuciły. I łowy rozpoczęły się wtedy na dobre.

Jeden i drugi z chłopaków śmielej zabiegli wilkowi

z oszczepami, cisnął któryś z daleka i trafił słabo po grzbiecie, psy zatrzymały za uda i szarpać poczęły. Doman korzystając z tego, przypadł i z wielką zręcznością w otwartą paszczę wbił mu dzidę, na miejscu kładąc kudłacza.

W czasie tych łowów dla zabawy, krzyk, śmiechy i klaskania w ręce po dworze się rozlegały, dziewczęta na płoty wlazłszy, zachęcały i nawoływały, dzieci wywijały kijami. Stary Wisz nawet parę razy za mieczyk chwycił, nie mogąc się w spokoju utrzymać. A gdy wilczysko brocząc posoką na ziemię zwaliło się i psy je dławić poczęły, dopiero zbiegli się wszyscy zblizka oglądać zabitego.

Kilka dni temu pojmał go w lesie któryś z ludzi Domana, ogłuszywszy uderzeniem w głowę, tak, że na poły przybitego związano i na dwór przywieziono, gdzie się wylizał i odżył, aby posłużyć teraz do zabawy.

Zwleczono potem zabitego, a zaczęto próbować łuków i procy. Doman ze wszystkich najzręczniejszym był, choć drudzy też czynili co mogli, aby mu sprostać. Wisz patrzał tylko, a wzdychał, że mu ręce stare drżały. Niegdyś i on tak dokazywać umiał.

Gdy zmierzchło i łuczywa w izbie pozapalano, siedli radzić jeszcze i długo na osobności szeptali z sobą, aż Doman posłanie swe staremu ustąpiwszy, drugie dla siebie w tejże izbie kazawszy położyć, do spoczynku zaprosił.

Jak dzień tedy pozrywali się, konie od wczora były zapowiedziane, ludzie choć im się chciało bardzo jechać razem z panami, musieli zostać w zagrodzie.

Do dworu Leszka Miłosza, drogi przez lasy było na dzień cały. W torbach na plecach mieli jadło, w drewnianych smołą wylanych flaszkach po troszę miodu, konie nawykłe do trzęsawisk i lasów, nie lękały się podróży. Doman jechał przodem.

Dla pośpiechu wybrano krótszą drogę, wiodącą przez moczary i gąszcze nieprzebyte. Gdzieniegdzie ogromne stosy drzew wiatrem obalonych, na pół pogniłych, trawami bujnemi porosłych, gałęźmi i korzeniami posplatanych, tamowały

przejazd, musieli je objeżdżać dokoła; indziej gniłe rzeczułki ślizkimi brzegi, trudno konie przebywały. W odstępach tych, które rzadko człowieka widywały, zwierz nie tak płochliwy, zrywał się niemal z pod stóp jeźdźców... na drzewach świeciły ogniste żbików ślepia, pod krzakami mruczały niedźwiedzie, stada łosiów i jeleni z ogromnym chrzęstem pierzchały przed nimi. Gęste nawet drzew wierzchołki pełne były ptastwa, gniazd i wiewiórek, które im nad głowami szeleściły...

Wnętrze puszczy tajemnicze, ciemne, straszne, ledwie promienie przepuszczało słoneczne i gdy pod wieczór wydobyli się z tych zapadłych gęstwin, na suchszą łąkę, oba raźniej odetchnęli.

Tu musieli się otrząsać z liści, gąsienic, mchów i porostów, którymi puszcza ich okryła.

W dali już dym widać było. Na wzgórzu łysem postrzegli wysoki bardzo wał z ziemi, zielonym darniem okryty z za którego tylko gęstwina drzew się ukazywała. Z pośrodka nich, unosił się dym wtęgą siną ku górze, znak ludzkiego mieszkania i życia. Wały otaczające grodzisko, tak wysoko sięgały, iż z po za nich budowli żadnych dostrzedz nie było można.

Gdy się zbliżyli, spostrzegli wśród okopów z ziemi, wązki przesmyk, wysokim zaparty częstokołem... Na zewnątrz żadnego znaku życia. Wrota stały zamknięte. Podjechali ku nim, a nikt się nie ukazał, choć na wyżynach wału, kilka ludzkich spostrzegli postaci. Wisz zatrąbił.

Stali jednak długo, nim z za tynu wysokiego ukazała się głowa ludzka, okryta skórą łba wilczego.

Stary dopraszał się wnijścia, ale pachołek mruczał, że kneź Miłosz nie dopuszcza do siebie nikogo. Musiano uporu zażyć i po kilkakroć wywoływać straże, nim ich nareszcie wpuszczono. Wrota się rozwarły, przebyli ciemną drogę przez gruby okop, który grodzisko opasywał i znaleźli się w podwórzu staremi drzewy porosłym. Lipy i dęby z pniami olbrzymimi, z szeroko rozpostartemi gałęźmi, osłaniały niemal

przestrzeń całą. Po za niemi w cieniu, nizka budowla ciemna, drewniana, rozkładała się szeroko ze swemi podsieniami szerokiemi i wysokimi dachy.

Ponure, skórami okryte postacie jakieś, włóczyły się tu i owdzie. Ogromne psy, kościste, a chude, przyszły na podróżnych zawarczeć i obwąchać ich dokoła. Nie rychło zjawił się zgarbiony starzec, nizkiego wzroku, zakapturzony, o kiju. Z tym się zrozumieć i rozmówić nie było prawie można.

Mrucząc jednak, powiódł ich za sobą. Wieczorny zmierzch i cień drzew w budowli nizkiej z małemi okienkami już mało co widzieć dozwalały.

Gdy ich do świetlicy wpuszczono, stali długo wprzód, nim oczy ich oswoiły się z mrokiem i coś rozeznać mogli. Na ognisku paliły się dogasające polana.

W głębi, na skórach leżał olbrzymiego wzrostu starzec, z brodą wyrosłą długo, której włosy jak trawa, nie kręcące się, proste, spadały mu niemal do kolan. Brwi nawieszone zakrywały mu oczy, głowę miał zupełnie łysą. Trzymał ją właśnie spartą na kościstej dłoni. Nogi jego spoczywały na czemś czarnem, co się ruszało opieszale. Nie rychło Wisz dostrzegł swojskiego niedźwiedzia, który mrucząc podścielał się pod pańskie nogi...

Dwie sroki chodziły skacząc po podłodze.

Gdy weszli zwolna kneź Miłosz się nie ruszył, oczy tylko ku nim skierował, wlepił w nich i czekać się zdawał, by oni poczęli rozmowę. Sroki tymczasem pobiegły w kąt, a niedźwiedź głowę zwróconą ku ścianie odwrócił, ziewnął szeroko i znowu ją na dawnem miejscu położył.

W izbie było duszno nieznośnie, a stary kneź trząsł się z zimna.

— Kneziu Miłoszu — odezwał się Wisz powoli — pozdrawiamy was.

— Ktoś ty taki? — zapytał głos ponury i gruby, jakby z głębin wychodzący.

— Kmieć Wisz z sąsiadem Domanem.

Kneź milczał.

— Dozwolicie mówić z sobą?

— Mówić, ze mną — począł ten sam głos dziki — ja nie mam nic do ludzi, ani oni do mnie! Czego chcecie?

— Rady dobrej — rzekł Wisz.

— Jam jej sobie nie znalazł, drugim też dać nie potrafię, gdzieindziej po to idźcie — odparł kneź...

— Źle się u nas i z nami dzieje — ciągnął stary zwolna, nie zważając na odprawę — wasz i nasz wróg gnębi nas coraz okrutniej.

— Kto?

— Chwostek — rzekł, obelżywego tego nazwiska używając starzec.

Rozśmiał się dziko leżący Miłosz.

— Mnie on już nie uczyni więcej nic, pozbawił mnie dzieci, gdyby wziął nawet życie... nie dbam o nie. Idźcie sobie szukać indziej rady i pomocy.

— I pomsty nie chcecie? — spytał Wisz. — Wszak ta się wam za dzieci słusznie należy. Zabity jeden, oślepiony drugi, nie została wam na starość pociecha żadna, a ma to zostać bezkarnem?...

Kneź milczał długo, aż zerwał się gniewny.

— Precz, albo na was spuszczę Maruchę! — zawołał. — Chwost was tu nasłał, żebyście mnie za język ciągnęli!... psie syny jakieś... Won stąd!...

— Kneziu Miłoszu — odezwał się chłodno Doman — ja jestem syn tego, co wam życie zbawił, a Wisz nigdy nie zdradził nikogo. My kmiecie jesteśmy nie niewolniki.

Zawarczało coś na łożu tak, że trudno rozeznać było niedźwiedź, czy pan się odzywał, po tem sapanie słyszeć się dało i głos jęczący.

— Idźcie po radę gdzie rozum jest, u mnie go nie ma. We mnie z bólu wyschło wszystko, siłem stracił, pamięć, nawet do pomsty ochotę. Idźcie, mścijcie się za mnie, a gdy mu serce wydrzecie, przynieście je mnie, pożrę je i umrę... Dawno mi się umrzeć należało, wołałem o śmierć, nic więcej, nic

Kneziu Miłoszu — odezwał się Wisz powoli — pozdrawiamy was.

więcej! Moje dzieci, kwiaty moje, syny moje, cóżem ja wart bez nich? na co mi bez nich życie?

Twarz zakrył rękami obiema i zamilkł. Wiszowi serce się ścisnęło na widok tej boleści, stali niemi. Starzec jęczał. Nierychło podniósł oczy i począł łagodniejszym już głosem.

— Idźcie odemnie biedne ludziska, czego wy tu szukać możecie? ja już nie mam nic! nic! Niech się świat spali, niech go morze pochłonie, niech ludzie wymrą, mnie już gorzej ni lepiej nie będzie. Kwiaty moje! syny moje — moje dzieci.

I znowu zanurzył głowę w dłoniach i płakał. Oni stali nie wiedząc, czy jeszcze czekać mają, czy odstąpić precz, aby go napróżno nie dręczyć. Jęknąwszy silnie, Miłosz się podźwignął i siadł, rękami trzeć począł twarz i czoło. Klasnął w dłonie. Z bocznej izby uchyliwszy drzwi, wyszła niewiasta tak olbrzymiego wzrostu jak starzec, wychudła i żółta, z głową zawitą chustami tak, iż oczy z pod nich zaledwie widać było. Płaszcz ciemny okrywał białe ubranie niewieście. Spojrzała ode drzwi na obcych i zawahała się nieco. Niosła w ręku dzbanuszek i kubek. Stary już palce drżące ku niej i napojowi wyciągał. Milcząc nalała mu i podała. Począł pić chciwie. Dopiero jakby orzeźwiony, popatrzał na Wisza i Domana, a niewiastę skinieniem odprawił.

— Mówcie — rzekł — cóż wy poczynać chcecie? co? Zwołacie wiec, aby się na nim pokłócić i zwaśnić? będziecie radzić, jeździć, mruczeć, a on was po jednemu na powróz wyłowi? Zaprosi na ucztę i jednych na drugich poszczuje! Co wy mu zrobicie? Wiecu się waszego nie boi, ani was, ani pogróżek waszych.

Rozśmiał się.

Połowa z was będzie z nim, pół przeciwko niemu! Rozda wasze ziemie tym, co na was mu pomogą! Nic mu nie zrobicie. Gdy ludzi zabraknie, przyjdą w pomoc Niemcy i kraj spustoszą, a krnąbrnych powiodą w niewolę.

I rzucił się znowu na łoże.

— Kneziu — rzekł Wisz — trudna to sprawa, wiemy o tem, ale się Chwosta pozbyć musimy.

Zginie z nas wielu, wielu zdradzi, padnie dużo, w końcu i jego nie stanie.

— Przyszliśmy się spytać kneziu Miłoszu, jak wiec postanowi na gród, dacie nam swoich ludzi? — będziecie z nami?

Stary milczał długo.

— Nie — rzekł — serce bym mu wyrwał, gdybym mógł sam, gdy wy mu je wyrwiecie, uraduję się, a na niego z wami nie pójdę... To kmiecia sprawa... jam kneź! jam Lech!!

A pamiętajcie o tem, że gdy go zmożecie, on ma dwóch synów za Łabą. Tym się nic nie stanie, ci wrócą z Niemcami i pomszczą się na was... Próżne wasze jęki, próżne. Nie on, to dzieci was zabiorą w niewolę; nie on, to ja bym was uczył co kmieć a co kneź! Nie byłbym lepszy. Mruczał niezrozumiale. — Wisz spojrzał na Domana.

— Cóż rzec więcej — zawołał — wy mu i o tem coście słyszeli od nas, jutro znać dacie?

Kneź się rozśmiał, a niedźwiedź zamruczał.

— Między nim a mną — nie ma mowy, namowy, ni rozmowy, on mój wróg, ja jego — zawołał Miłosz. — Dadzą o tem znać inni, powywiesza was na dębach. Niech wiesza! Nie ma moich dzieci. Synów moich nie ma. Kwiatów moich niema. Niech świat ginie!

Jęknął i głowę zanurzył w posłanie. Wisz skinął i wyszli ze świetlicy. Za nimi słychać było płacze, mruczenie i krzyki dwóch srok, które ośmielone wyjściem obcych, kłócić się zaczęły.

Na podniesieniu czekał na nich starzec zgarbiony. Wyszli z nim razem pod stare dęby w podwórze.

— Tak wasz kniaź zawsze? — spytał Wisz.

— Ile razy obcych widzi — szepnął stary wzdychając — czasem i po nocach duchy go męczą, że się zrywa i krzyczy głosem wielkim, aż co żyje na zamku, pobudzi. — Biedny człek!... biedny!

Chcieli mimo wieczora opuścić zaraz smutne grodzisko

Miłosza, lecz i tu święte prawo gościnności zachowane było. Staruszek zaprosił do izby osobnej gdzie dla nich postawiono wieczerzę i zgotowano posłanie. Sam on poszedł z nimi, choć z niego słowa się dopytać nie było podobna. Wszystko na tym żałobnym dworze milczące było i przygnębione; zdając się czekać tylko śmierci i — końca.

VIII.

ieopodal od brzegów jeziora Gopła, na kraju lasów, był dwór i zagroda Piastuna, którego też i Piastem przez skrócenie zwano. Do niej dążyli opuściwszy o brzasku smutne grodzisko Miłoszowe, Wisz stary i młody Doman. Kilka już dni spędził starzec na koniu, a czuł się niemal więcej krzepkim, niż gdy doma na kamieniu u rzeki siadywał, zdala przypilnowując gospodarstwa.

Ze wszystkich kmieciów okolicy tej Piastun był najmniej zamożnym, a najbardziej poważanym przez braci. Ród jego siedział na jednem miejscu od prastarych czasów, dziad i pradziad gospodarzyli w sąsiednich lasach, głównie pilnując barci leśnych i myśliwstwa. Mało co pola wydartego mieli a te zasiewali tylko, aby im chleba nie zabrakło. Było już w obyczaju ich, aby się zbytnio o dostatki nie troszczyć. Nie rosły też one w ich rękach. Znano tę ubogą, starą na okół z gościnności słowiańskiej, dom stał otworem, wstępował do niego każdy jak do gospody, żywił się i brał w drogę co mu było potrzeba.

Dwór w zrąb zbudowany z całych drzew, mało co ociosanych, nizki był i stary. Dach i ściany jego czerniały od dymu, podsienia były wązkie, słupki w nich z prosta rzezane. Sam Piastun, żona jego Rzepica, małe pacholę synaczek, skła-

dały całą rodzinę. Czeladzi było sporo, a i ta niemal do niej się liczyć mogła, bo tak się z nią po staremu obchodzono, jakby do krwi i rodu należała.

Tu jeszcze nowy obyczaj, który się od niemieckich krajów powoli wciskał, wcale był nie zajrzał. I dlatego może Piastuna szanowano a radzono się, że pod tą ubogą strzechą przechowywały się skrzętnie dawne podania: o ojców wierze, obyczaju i zwyczaju. Gęślarze i śpiewacy gościli tu często, a gdy który z nich się zjawił, wieczorami siadali kołem wszyscy, zimą około ogniska, w lecie koło lip starych w podwórzu i słuchano ich a uczono od nich przeszłości. W obrzędach weselnych, przy podstrzyżynach, na pogrzebach, Piastun rej wodził, bo najlepiej wiedział, i jakie pieśni do której chwili przystały, i jaką ofiarę składać, i co gdzie czynić należało. W sądach też, jeśli się w mirze lub na opolu, czasu pokoju trafiło zabójstwo, on prawo stare najlepiej wiedział jak zastosować. A gdy on co rzekł, nie było już się o co sprzeczać i sporzyć.

Mały ten człek między bogatymi kmieciami więcej znaczył od najzamożniejszych. Szli zdala do Piastuna ludzie, a gdy go doma nie zastali, bo często w lesie barcie swe podpatrywał, czekali nań dzień i dwa, póki nie przyszedł i siadł ich słuchać, a miał ten zwyczaj, że mówił niewiele i niełatwo, że wyzywał wprzódy na słowa, myślał długo, ale gdy naostatek wśród ogólnego milczenia rzekł swoje, tego potem nie odmienił. Ludzie o tem tak dobrze wiedzieli, że gdy ten wyrok zapadł, nie śmieli nic przeciw niemu powiedzieć.

Poszanowanie dla Piastuna, który choć w pobliżu grodu mieszkał, nigdy kneziowi nie dworował, ani się do niego cisnął, zjednało mu na pańskim dworze nienawiść. Lecz nie tykano go, bo się wpływu jego na innych lękano. Ująć się też nie dawał niczem, a najmniaj pochlebstwem, którego nie słuchał nawet. Nazywano go też hardym, a może i był nim w istocie choć przeciwko małym nigdy się nim nie okazywał.

Mąż był lat naówczas średnich, liczył ich sobie po za czterdzieści, wzrostu nie wyniosłego, krzepki i napozór niczem

się nie odznaczający. Tylko w oczy mu spojrzawszy, widzieć w nich było łatwo, że poza niemi rozum mieszkał spokojny a silny. Gdy inni naówczas ludzie dla samego obudzenia strachu zwykli byli gniewać się, miotać i więcej może okazywać złości a gniewu, niż go mieli w istocie, Piastun nie dawał się nikomu przywieść do namiętności. Surowy, był milczący, na oko chłodny i wytrzymały. Znano go jednak z tego, że gdy dla przykładu trzeba było użyć mocy i ukarać, spełniał bezlitośnie co postanowił. Nosił się jak człek prosty i od parobka go niemal we dnie pracy rozpoznać było trudno; nie lubił błyskotek i jaskrawych drobnostek, za któremi inni przepadali, a nadewszystko nie znosił, by się co w stroju i domu zmieniło z obyczaju dawnego.

Gdy inni miewali nieraz po kilka żon, bo zwyczaj tego nie bronił, Piastun żył z jedną, a żona u niego nie była w tej niewolniczej podległości trzymaną, co u innych. Godzili się też z sobą we wszystkiem, tak że lepszego stadła ludzie nie znali.

Pracowano tu od dnia do nocy, a on sam rzadko w domu siadywał, co, jeśli się trafiało, znać że około roli nieopodal dworu coś miał do czynienia.

Gdy nazajutrz z południa zjawili się tu, lasami przedarłszy, nie chcąc być postrzeżeni Doman i Wisz, znaleźli gospodarza właśnie z kobiałką na plecach, na drodze do lasu i barci. Wstrzymali więc go na drodze, Wisz z konia zsiadł i pozdrowił.

— My do was — rzekł.

— Zwracajmyż do chaty — odparł Piastun.

— Albo lepiej siądźmy gdzie pod drzewy, na uboczu, bo wasz dwór na oczach, ludzi w nim obcych często bywa wiele, a nam trzeba się naradzić pocichu...

Piastun się popatrzył nań zdziwiony, nie przeciwiąc się ednak, ręką wskazał blizką polankę w lesie, gdzie szopka była na siano, taka jakie dawniej po słowiańskich krajach odrynami zwano. Stała ona teraz otworem, i chróściane jej ściany półprzezroczyste dozwalały widzieć dokoła, gdyby się

kto przybliżał. Wewnątrz para kłód sosnowych u wrót jakby umyślnie leżała, aby na nich przysiąść można.

Konie puszczono na łączkę, aby się pasły, siedli pod dachem w odrynie, gdzie spieka nie dokuczała. Piast nie mówiąc jeszcze słowa, kobiałkę, którą na plecach niósł, odkrył i dobywszy z niej chleb i ser, położył je przed gośćmi, ale ci ich nie tknęli.

Wisz tedy pierwszy mówić począł.

— Siedzicie pod samym grodem i pod bokiem Chwostka — rzekł — wam więc dużo nie potrzeba prawić o tem, co się u nas i z nami dzieje... Potośmy do ciebie przyszli, aby się radzić... Wiec zwołać trzeba. .

Strzymał się Wisz, gospodarz słuchał, milcząc, Doman gorętszy dodał.

— Jeźli się zawczasu nie poradzi, wybiją nas do szczętu... musimy się bronić... Dawnym obyczajem nie co innego poczynać, tylko zwołać starszyznę...

Stary wciąż słuchał jeszcze, więc Wisz szeroko mówić począł, jak to dawniej w mirach bywało, a co się dziś działo, i jak z wojskowych dowódców kneziowie na niemiecki sposób panami się czynić chcieli, co cierpiano od rozrodzonych kniaziątek... i jak na to skorego ratunku było potrzeba.

Piastun mu dał mówić, cale nie przerywając, i on i Doman, szeroko wszystko wyłuszczyli, nareszcie zamilkli, oczekując co on powie. Piastun myślał, głowę spuszczoną trzymając i odezwał się nareszcie.

— Ja wam coś powiem o prastarych czasach... Słyszeliście to od ojców waszych, a ojcowie od ojców swych słyszeli... że nasza mowa ciągnęła się dalej daleko za Łabę; na Dunaj; za Dunajem, na sine morze, i na zachód aż do gór Czarnych. Był to czas szczęśliwy, gdyśmy na niezmiernej przestrzeni byli sami jedni, a sąsiedzi w domu co robić mieli. Chodziliśmy naówczas bez mieczów z gęślami, rolę uprawiali, w otwartych siedzieli chatach i gospodarzyli w mirach bez wszelkich kneziów... Dawne to czasy.... Od morza przypadli jedni, od gór zaczęli napastować drudzy... z orężem w dłoni

niewolnicy a karny lud... musieliśmy się bronić... Skończyło się szczęście nasze, śpiewanie i spokój... Zamorskich wodzów trzeba było wziąć, stołby murować, grodziska stroić i bić się. . A stara swoboda zawsze się nam przypominała... kneź nam był wrogiem... i cóż? ot, plemię nasze wyciskają dowoli niemcowi i wycisnęli je już z sadyb dawnych i pod nogami nam codzień ziemi ubywa...

Zamilkł Piastun, a po chwili dodał.

— Kneziów się zbędziemy, a niemcy nam na kark wlezą...

Wisz się poruszył.

— Nie chcemy się ich zbywać — odrzekł — ale tego Chwostka tylko na innego zmienić... Wiecie dobrze, iż on pierwszy z niemcami trzyma... ród jego całym sercem tam ciągnie... znajdziemy innego... Dosyć się tam naszej krwi ulało... Wiecu nam trzeba...

Znowu pomilczał gospodarz.

— Trzeba nam wiecu i trzeba nam zmiany — rzekł — ale i wiec nie łatwy i zmiana. Ciężką to sprawę poruszacie, jakbyście gołą rękę w ul wsadzili... Jedni na Chwostka płaczą, drudzy trzymają z nim... zgody nie będzie, tymczasem niemiec języka dostanie i najedzie wówczas, gdy my się z sobą zajadać będziemy... Wiecu nam trzeba, ale zgodnego a takiego, jakie ongi bywały, gdy za ojców radzono... Zwołajcież wiec...

Poczęli tedy obliczać, o ile we trzech mogli i umieli, kogo za sobą mógł mieć Chwostek, a kogo przeciw sobie i okazało się, że nie mała liczba stanąć mogła po stronie knezia, chociaż okrutnik był i dla nikogo serca nie miał.

Rozmowa cicha przeciągnęła się do wieczora. Szli potem razem do chaty i zasiedli powtóre przy ognisku. Tu zaledwie chleb rozłamali, gdy mały krępy człeczyna, z głową krótko ostrzyżoną, z oczyma kociemi, w obcisłej siermiężce, zjawił się w progu. Zobaczywszy go wnet zamilki wszyscy, był to znany kneziowski sługa, na nieustannych posyłkach spędzający całe życie. Obawiano się go na grodzie i w oko-

licy, bo podpatrywał, podpełznąć umiał, podsłuchać i donieść panu, co pochwycił. Oka jego nic nie uszło... Siadywał jak żbik na drzewach, gdy mu trzeba było niewidzianym gdzieś być, wszywał się w gałęzie, zakradał do lisich nór, zakopywał w stogach siana, przylegał w wiszarach i trzcinach... Zjawienie się jego gdziekolwiekbądź, nic nigdy nie wróżyło dobrego. Złośliwa żmija nie wracała nigdy bez łupu nagród, a łupem były oskarżenia, które do ucha Chwostkowi nosił.

Szeroka gęba z zębami białymi, śmiała się w progu. Znosek stał i patrzał po izbie. Pozdrowił Piastuna i nic nie mówiąc przysiadł na ławie, przypatrując z wielką uwagą gościom...

Milczenie panowało po izbie, tylko Rzepica, która się około ognia kręciła, a jako niewiasta więcej obawiała Znoska niż Piastun, podała mu kubek piwa... Obrzydły karzeł wziął go dziwnie, popatrzył na gospodarza i gości i pocichu ryhotać począł, jakby sam sobie się śmiejąc.

— Matko Rzepico — odezwał się głosem schrypłym Znosek — ty masz lepsze serce od innych. Przynajmniej zlitowaliście się nademną, nad którym nikt się nie ulituje, którego wszyscy nienawidzą! A co ja winien? co ja komu winien?... albo to ja taki zły jak mówią?... Oczu nikomu nie wyłupiłem... czarów nie rzucam na nikogo... służę każdemu... słucham wszystkich. Przecie nogami mnie kopią, plują na mnie... i każdyby mnie zgniótł, gdyby mógł.

I śmiał się szkarłatny Znosek popijając z kubka.

— Skądże to wiesz, że ci ludzie tak źle życzą? — zapytał Piast.

— Z oczów im to patrzy! oho! — mówił karzeł — ja mam psi węch, Piastunie.

Pomilczawszy chwilę począł dalej.

— Wiecie nowinę?

— Cóż tam za nowina? — spytał gospodarz.

— Na grodzie u miłościwego pana gotuje się uczta wielka i radość wielka... Naprzykrzyło się nam wojować i swarzyć... Kneź chce się ze swymi pojednać... tego co mu

oczy wyłupiono puszczą, aby sobie w świat szedł. Kto wie a może mu oczy odrosną? Stryjów i bratanków zaprosi kneź do stołu i zgodę na wieki zapijemy.

Słuchali wszyscy w milczeniu.

— Powinniście się cieszyć z tego — mówił Znosek — potem wszyscy kneziowie jak się wezmą za ręce, to dopiero ład będzie u nas!... Teraz zbiorą się lada żupankowie i na gród się cisną, a pięściami nam grożą pod nos... bo wiedzą, że knezie z sobą się waśnią. Później już tego nie zobaczymy!

Mrugnął bystro oczyma i rozśmiał się. Drudzy milczeli, gdy z podwórza głos się dał słyszeć. Wszyscy zwrócili głowy ku wnijściu. W progu stał człowiek siermięgą czarną odziany, w czapce czarnej, z kijem w ręku, oczyma jakby obłąkanemi patrzył we wnętrze chaty, liczył niemi tych co w niej byli. Wzrok jego zatrzymał się na Znosku i usta, które już miał otworzyć, zamknęły się. Nie powitawszy nawet nikogo, zawrócił się od progu, odszedł i usiadł na przyźbie.

— Ten mnie tylko zobaczył — rozśmiał się karzeł — i ochota mu od gościny i od mowy odpadła.

To mówiąc dopił piwa, kubek postawił, wstał i stanąwszy pośrodku izby, rzekł w boki się biorąc.

— Wisz i Doman! Wisz i Doman!...

— Znacie mnie? — zapytał stary Wisz.

Ja?... naokół o dziesięć dni drogi znam wszystkich — rzekł Znosek — nawet psy podwórzowe po imieniu... a jakbym kmieciów znać nie miał? Tamten, co z progu zszedł to stary Ziemba... nieprawdaż? Nawet wiem, z czem przychodzi i co mu gębę zamknęło... Syn jego miał na grodzie przypadek... Zczepili się z Sławojem przy uczcie i pozarzynali... Potemeśmy go puścili na jezioro, żeby się orzeźwił, ale wody się nadto opił i... zdechł...

To mówiąc rozśmiał się Znosek, pokłonił, zawinął, skoczył i znikł.

Po wyjściu jego długo cicho było w chacie, jakby się powrotu obawiano. Ziemba też siedzący na przyźbie nie wcho-

dził; czekał pewnie, aż się niezdara oddali. Po dobrej chwili dopiero pokazał się w progu. Piastun, gdy próg przestąpił, poszedł go przywitać.

— Przyszedłem się wam opowiedzieć z sieroctwem mojem — odezwał się stary. — Syna mi na grodzie ubito. Ciałośmy ledwie uzyskali, aby je poczestnie spalić na stosie... Mówcie bracia dobrzy, ludzie my jesteśmy czy zwierzęta dzikie, które bez pomsty kłuć wolno?...

Ręce założył i stał pogrążony.

— Mam dwóch jeszcze synów — mówił po chwili — choć tychbym chciał całych uchować! Gdzie się z nimi skryć? głowy ich osłonić?... Chwostek na mnie zawzięty...

Wisz wstawszy z ławy przybliżył się do niego.

— Bracie — rzekł — czas nam myśleć o sobie... siądź i radź.

Przybył w ten sposób jeszcze jeden do szczupłego gronka które się na wiec zgadzało.

Do późnej nocy karmili się żalami i szeptami między sobą. Nazajutrz rano Doman i Wisz opuścili zagrodę Piastunową. Chociaż ludzi swoich stary zostawił u sąsiada, nadto mu pilno było powracać do domu, by nakładał dla nich drogi. W lesie rozstali się z Domanem, i Wisz znanymi krótszymi przesmykami w puszczy puścił się wprost do swej zagrody. Drugiego dnia nad wieczorem był już u wrót, a psy radośnie skomląc witać pana wybiegły. W chacie świeciło jeszcze, stara Jaga drzemiąc z kądzielą siedziała przy łuczywie. Pokłoniła się mężowi do kolan, wedle obyczaju, Wisz na ławie siadł się rozzuwać, pytając o dom i chudobę. Nadszedł zbudzony syn starszy i opowiadał, co się pod niebytność ojca doma robiło i trafiło. Wilk porwał był owcę, a nie zdołano go zabić, pastwę mu odebrano.

Była to wina pastuszków, którzy się oba pospali.

Stary spokojnie wysłuchał syna, a gdy już chciał odchodzić, dał mu znak aby się zatrzymał. Jaga z kądzielą wyniosła się do komory.

— Ludek — rzekł Wisz po cichu do syna — postano-

wiono między nami, aby wici wysłać po mirze i na wiec zwołać starszyznę, na dzień przed Kupałą, w horodyszcze na Żmijowem uroczysku. Ślij ty, jedź sam... czyń jak chcesz, dając wolę, ale pośpiechu trzeba.

— Pojadę sam — rzekł syn — wola wasza... kogo mam słać, komu zawierzę? najlepiej sobie.

Lecz głowę spuścił smutnie. Stary popatrzył nań i zadumał się także.

— Co będzie to będzie, jechać trzeba i zieloną wić nieść od dworu do dworu.

Krótka, ponura rozmowa tajemnicza na tem się skończyła.

Nazajutrz, gdy się Wisz przebudził, już syna w domu nie było.

Dni kilka upłynęło bez wieści, a życie zwykłym się trybem ciągnęło; w głębi tych lasów rzadki był gość i przechodzień. Wisz po dniu upalnym spoczywał za zagrodą pod dębami leżąc na ziemi, psy mając przy sobie, gdy jeden z nich podniosłszy się nagle, skoczył w stronę rzeki i wietrzyć coś począł niespokojnie. Zwierza albo obcego człowieka pewnieby inaczej witał; zdumiał się stary widząc, jak psisko radośnie ogonem kręcił, jak gdyby znajomego czuło w pobliżu. Nikogo jednak widać jeszcze nie było. Zabiegłszy w łozy, podwórzowy kilka razy szczekał radośnie, jakby się łasił do kogo. Wisz podniósł się z ziemi, spojrzał i zobaczył ostrożnie gałęzie rozgartującego, tego, kogo się najmniej spodziewał, Sambora. Stał w zaroślach chłopak, jakby zbliżyć się nie śmiejąc, dopiero starego gospodarza ujrzawszy, szybko począł podchodzić ku niemu.

Chmurnie brwi ściągnąwszy czekał nań Wisz.

— A tyż tu skąd? jak?... jakże wyrwałeś się z grodu? — zawołał, gdy Sambor już mu do nóg przypadał.

— Musiałem, choćby życie ważąc — rzekł przybyły — musiałem przybyć z oznajmieniem... Nie chciałem, aby niespodzianie spadło nieszczęście na dwór wasz...

— Nieszczęście? co? — zapytał stary.

— Ju trzy dni temu, jak kneziowi doniesiono: Wisz objeżdża kmieci i na wiec ich zwołuje.

— Kto doniósł?

— Smerda z tem powrócił z łowów — odezwał się Sambor. — Chwostek się uniósł gniewem wielkim, zaklął, że każe wasz dwór w perzynę obrócić, a was ojcze mój na pierwszem obwiesić drzewie. Na was ma się wywrzeć cała złość jego... Ludziom i koniom kazano się sposobić... Słyszałem gdy dawano te rozkazy, rzuciłem się co tchu wpław przez jezioro, aby wam oznajmić o tem. Dziś, jutro... każdej chwili tu być mogą.

Wisz stał, nie pokazując po sobie ani strachu, ni zwątpienia, myśląc co ma począć. Dwoje było tylko do wyboru, albo się bronić na zagrodzie, zwoławszy ludzi, którzy na ziemi jego siedzieli, lub z duszami i dobytkiem ciągnąć w lasy. Ostatnie niełatwem było, człowiek sam mógł się ukryć od pogoni, trzody kędy przeszły, zdradzały się i pójść wślad za niemi mogła drużyna kneziowska. W lesie choćby za zasiekami, tak się bronić było ciężko, jak w zagrodzie. Na łaskę Chwostkowi się zdać... śmierć czekała i niewola. Stary się nie lękał o siebie, dawno mu było już tęskno do mogiły, do ojców... obawiał się i troszczył o córki i syny. Milcząc dał znak Samborowi, aby szedł za nim i powlókł się ku zagrodzie. W drodze po kilkakroć stanął i zadumał się opuściwszy głowę.

Doszli do wrót, gdy w nich spotkał się Wisz ze starszym synem, co wici woził i właśnie z powrotem przybywał. Jego też już na drodze doszła była wieść o tem, co się na drodze u Gopła przysposabiało. zdał więc wici innemu i do ojca pośpieszył. Przytomność Sambora uwalniała go od przynoszenia złej wieści.

— Dziś tu jeszcze nie będą pewnie — odezwał się stary do swoich — jest czas przez noc myśleć, co z sobą czynić i do świtu się przysposobić. Zwołać parobków, zatrąbić na pastuchy... Sambor skoczy po ludzi na rybaki i Bondarze...

Kto oszczep dźwignie, niech przybywa. Żagiew zapaloną miasto wici wziąć... i... żywo...

Zamiast strachu Wisz zdawał się pokrzepiony tą myślą, że jeszcze walczyć będzie i do otwartej stanie bójki. Parobcy i synowie, kto żył rwali się do broni, biegnąc po osadników.

Niewiasty wszystkie wyszły z szop i chałupy, zawodząc żałośnie, ręce łamiąc i płacząc. Strach je ogarniał. Jęki te Wiszowi serce miękczyły, nakazał milczenie, ucichło wszystko... Dziwa stała na przodzie z Łagą.

— Wy w las z dziećmi — zawołał stary — tu nie jesteście potrzebne. W las ich prowadź Dziwa. Wrócicie, gdy albo umarłych grzebać, lub pokaleczonych obwiązywać będzie trzeba.

Znikły posłuszne niewiasty.

W całym obejściu ruch powstał ogromny. Stary sam przewodził.

W chacie Dziwa, najprzytomniejsza ze wszystkich resztą niewiast rozrządzała, żywność zbierano gotując się do drogi.

W tę stronę, od której napaść miała przybywać, wyprawiono małego chłopaka na podjezdku, aby dawał znać przodem, gdy o drużynie kneziowskiej zasłyszy.

Noc wśród tych przygotowań nadchodziła szybko a nawet do ziemi ucho przyłożywszy, najmniejszego tętentu słychać nie było. Tymczasem spodziewano się ludzi z Rybaków i osad na posiłek.

Dziwa z całym obozem niewieścim, z dziećmi i sługami, gotową była w las ruszyć na pierwsze skinienie i wieść o niebezpieczeństwie.

Nikt tej nocy o śnie niepomyślał, psy wyły niespokojnie. Napróżno starano się je uciszyć, przypadały na chwilę i wnet na nowo żałobne to zawodzenie, które za złą wróżbę uważano, rozpoczynały.

Nad rankiem gromadka parobków ściągnęła z osad nad rzeką i z lasu, lud zdziczały i nędzny, nie wyglądający wojowniczo.

Dzień robić się zaczynał, gdy chłopak wysłany na czaty konia co tchu pędząc, nadbiegł wołając:

— Jadą! jadą!!

Zsunąwszy się z konia padł dysząc na ziemię. W zagrodzie ruszyło się wszystko, stary swoich ludzi rozstawił tak, aby ich widać nie było, ani przygotowań do obrony.

Chata widziana zdala przybrała pozór swój codzienny, ale parobcy ukryci za tynami, po szopach na ziemi leżący, gotowi byli skoczyć na pierwsze pana skinienie.

Stary, żadnej broni nie wziąwszy, boso, w koszuli, na ramiona tylko narzuconej siermiędze, z odkrytą głową u wrót stanął.

Zdala już coś tętnieć zaczynało, rozeznać było można jadącą liczną konną gromadę, a w krótce głosy, śmiechy jej i nawoływania.

Około zagrody cisza panowała, bocian tylko klekotał na gnieździe gospodarząc, jakby i on chciał oznajmić o jakiemś niebezpieczeństwie.

Nagle z zarośli ukazała się czapka Smerdy i dzidy kilku jezdnych... tuż za nim. Spodziewali się znać zastać zagrodę nieprzygotowaną i byli bardzo wesołej myśli.

IX.

Smerda zdala już starca zobaczył, odwrócił się do swoich, dał im znak, drużyna się rozstąpiła, rozbiegła i poczęła zagrodę otaczać ze wszech stron, jakby się obawiała, aby z niej się kto ucieczką nie ratował.

Dowodzący samoczwart podjechał bliżej, bezpiecznie, nie spodziewając się wcale, by tu nań oczekiwano... Sambora ucieczka nie została dostrzeżoną.

Wisz ciągle stał we wrotach, z głową podniesioną, oczekując bez trwogi zaczepki. Zdawał się bezbronnym; co Smerdę też ośmielało.

Drwiąco począł się uśmiechać kneziowski sługa, patrząc na niego.

— A ja znowu do was w gości! — zawołał zdala — toście mi być powinni radzi...

— Jam zawsze gościom rad — odparł Wisz spokojnie.

— Kneź wam pokłon śle i do siebie prosi, na koźle udo, na miodu czaszę, na drużbę i rozmowę — szydersko ciągnął dalej Smerda — a żeby prędzej was mieć, aż mnie po was przysyła...

Wisz zmilczał trochę.

— Nie byłbym od tego, aby mu się pokłonić — rzekł

zwolna — alem ja stary a on młodszy. Ja pan u siebie, on na grodzie... jeśli co do mnie ma, posłów znajdzie...

Smerda konno podjeżdżając coraz bliżej, mruczał.

— Milcz ty stary zuchwalcze! ty niepoczciwy, nieposłuszny — zakrzyczał nagle — ja tu na ciebie sąd wiozę i powrozy! Tyś to wiece śmiał zwoływać!

— A no... ja! — rzekł Wisz spokojnie — ja... każdy z nas starszyzn po mirach ma do tego prawo. Tak z wieków bywało i tak będzie póki nas stanie.

Nauczymy my was wieców — zawrzeszczał Smerda i stanąwszy tuż przy starcu, ręką się zamierzył na niego. Stary zwolna ustąpił.

— Jedliście chleb pod moim dachem — rzekł — nie życzę wam zła... ustąpcie proszę precz... i powiedzcie kneziowi, że wiec się zbierze, choćby mnie między żywymi nie było.

Domawiał tych wyrazów, gdy Smerda na swoich zakrzyknął i gromadą całą rzucili się na nieustraszonego starca, który teraz dopiero miecza dobył z pod poły. Z za płotów, tynów, ścian, wszystek jego lud, synowie, czeladź, wyrwała się z ogromnym wrzaskiem, napinając łuki i zamachując procami. Ale Wisz ten zapęd skinieniem ręki powstrzymał.

Kneziowscy ludzie, niespodzianem ukazaniem się obrońców trochę przerażeni, w tył się cofnęli.

— Będziemy się bronili! — zawołał stary — idźcie, jeśli nie chcecie aby się tu krew polała... A tobie — rzekł, zwracając się z gniewem do Smerdy — tobież to przystało napadać na swoich i służyć obcym!... Ty, niewolniku podły!

Smerdzie twarz cała krwią zapłonęła, targnął się i swoich, co stali opodal, zaczął bezcześcić.

— Bij a morduj! — krzyknął.

Strzały poleciały z obu stron.

Parobcy Wiszowi, którym pilno było wziąć się za bary z napastnikami, poczęli się cisnąć i przeć do wrót, do których z drugiej Smerda się dobijał ze swoimi.

Stary Wisz pozostał w pośrodku tej kupy, cofnąć się

nie mogąc. Płot i wrota trzeszczały od nacisku, łamiąc się kawałami.

Starszy syn gospodarza Ludek, zasłaniając ojca, ciął po łbie Smerdę i czapkę mu rozpłatawszy głowę rozkrwawił, ale razem prawie dzida, którą kneziowski sługa w ręku trzymał, utkwiła w piersi starego Wisza... koszula jego zaczerwieniła się krwią, która buchnęła z rany. Stary ręką drżącą pochwycił pocisk, tkwiący już w nim i zdruzgotał jeszcze... ale żelaźce i kawał drzewa zostało w ranie. Wisz posłonił się z krzykiem i padł na ręce syna.

Na widok trupa tego, gdyż stary z jękiem wyzionął ducha, wszystko co żyło, rzuciło się wściekłe na ludzi grodowych. Walka rozpoczęła się, nie na łuki proce, ale na pięści i zęby, chwytali się za barki i walili się o ziemię.

Z tyłu wdarli się na ten hałas ci, co zagrodę obstawić mieli i wmieszali się niespodzianie, popłoch rzucając na gromadę obrońców.

Trwoga trwała tylko chwilę, zwrócili się stojący w podwórzu ku napastnikom i zwarli, drudzy u wrót z zaciętością walcząc na swoich śmieciskach odpierali kupkę Smerdowych ludzi. Widok leżących na ziemi we krwi zwłok starego Wisza zajadłość powiększył.

Liczba z obu stron prawie równą była... Za starca, który padł, kilku Smerdzie zabito, sam on ranny, gdy mu oczy krwią zapływały, ustąpić musiał i począł wołać na swoich, aby się cofali.

Co pozostało grodowych pachołków, wyparło się z podwórza kupiąc około dowódzcy i z nim razem ustępując ku brzegowi rzeki. Wiszowi dali im odejść, zostając przy obronionej zagrodzie, ścigając ich tylko łajaniem i krzykami.

Obie strony dosyć miały tej walki krwawej.

Z nad brzegu rzeczki podnosiły się tylko głosy i wrzawa, której od wrót odpowiadano.

— Psie syny! niewolniki! raby!

— Gady! żmije!...

Podobnymi wyrazy ciskano na siebie z obu stron długo,

grożąc z jednej pięściami, z drugiej oszczepy podnosząc w górę ..

— Chodźcie tu! — wołali jedni.

— Zbliżcie się — odpowiadali drudzy.

Tymczasem w krzakach nad rzeką Smerdzie obmywano i obwiązywano głowę, a synowie ciało ojca podniósłszy, nieśli je złożyć w izbie na posłaniu... nieśli i płakali a krzyczeli...

Nikt walki nanowo rozpoczynać nie myślał. Głosy ucichły powoli.

Widocznem było, że Smerda ze swoimi ustąpi i zaniecha dalszej napaści. Widocznie Smerdzie dostatecznem się zdawało, że winowajca zginął, a ani on, ani ludzie jego nie chcieli życia stawić, nie czując się silniejszymi.

Pokładli się tylko nieopodal od wrót obozem z końmi i pozostali grożąc do wieczora. Musiano też naprzeciw nich straż postawić, aby się nocą niespodzianie nie rzucili, bo im jeszcze nie dowierzano. Gdy mrok zapadł zupełny, ucichło nad rzeczką, jak gdyby po walce się wylegiwali.

Chłopak na brzuchu podpełznąwszy, dojrzał dopiero nierychło, że korzystając z ciemności kneziowscy ludzie wbród przebyli wodę i drugim brzegiem, znać nazad pocichu odciągnęli do grodu.

Rozstawiwszy więc czaty, mogli już wszyscy spocząć. Drogo to był kupiony odpoczynek.

W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos jego odpowiedziano, nim nadeszły żona, córki, synowie, sługi i wnuki, noc już była w połowie.

Wśród ciszy lasów zdala ten pochód żałobny słychać było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanemi, z zamkniętemi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząc i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejął smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, nanowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znów bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi, siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała pocichu...

Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając po cichu...

— ...Odszedłeś od nas — wołały płaczki — niema cię panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś panie do ojców twoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki. Wiszu wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie... krew twa nie pomszczona, zemsta niesyta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za niemi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu nim otoczonem, wśród gęstego boru, który doń obcym bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bladym porosłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane na-

czynie; w które popioły i ofiara obecna mieścić się miała! chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku, przy nim składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe poukładane jedne na drugich wiodły jakby schodami do góry, gdzie Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka, przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi, rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat, szeroki, i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwo zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się klę-

Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą.

bami sinymi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżała niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonąć stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa już przezeń zjedzone opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzyli z uroczystem przyjęciem i trwogą. Zdawało się im, że ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odgadnąć należało złe siły, czarne bogi i czterech parobków na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi... Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było zczerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła: to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomię ogromnę, w którem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły... duchy wzleciały... Dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i objatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarę.

Zarzewie na zgliszczu coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i po-

piołu. Zsuwano głownie aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą przyniesioną ze świętego zdroju zwolna zalewać zaczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zagarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i pruszyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci niosąc popielnice, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnice pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem...

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze, duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniósł nad popiołami Wisza.

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i zdala niewiasty.

Wtem gęśla zabrzęczała i cisza nastała wielka, gałęźmi tylko w lesie wiatr szumiał zdala... Słowan dobywał z piersi głosu.

— Pusty w lesie dwór stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... woju stary... włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił

na ziemi... ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół twój łzami polali, poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracać ci na ziemię... a po jasnem latać niebie... młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, objaty ci nie skąpili... O Ładо! Ładо! Ładо!...

Za starym wszyscy wołali: Ładо! i rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

— Ojcze dobry. Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry:

— Krew za krew!...

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, stał smutny i on, jakby własnego ojca utracił... i począł też wołając na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem.

— Stary Wisz niech się pocieszy! stanie się czego on żądał, spełni się co on przykazał... Idą wici, lecą wici!... i starszyzna już zwołana... Strach na grodzie... Chwostek blady niewolników zbiera... Na wiec pójdziemy, poniesiemy krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy... i o zemstę zawołamy...

Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący, pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróżki i przekleństwa rzucała, coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ścieśnione pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar powiększał: starsi o zmarłym rozpowiadać zaczęli, jak on młody wiek

spędził w znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak gość dlań był świętym i zemsty pragnienie.

Niewiasty także siedząc na uboczu śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego, i przeciągnęło dzień drugi i noc drugą, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy. biegała na wyprzodki do celu pieszo i konno; rzucała kamieniami, próbowała sił borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycięczyło. Dopiero się wszyscy rozchodzić poczęli, mogiłę żegnając jeszcze, a okładając ją gałęziami zielonemi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgliszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj Ludek — rzekł — albo to pora albo nie, mówić o takiej sprawie... a ja chcę z serca zrzucić co na niem mam... Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman braciom ręce podając począł.

— Ja z wami... ja wam bratem chcę być, będziecie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek. który po ojcu odziedziczył ten sam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo ni wiele, ale co rzekł to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on to nie swoją uczynił wolę... Co myślicie poczynać?

— Dobrzeście wprzód rzekli — odparł po namyśle Ludek — zaniesiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym przed starszyzną i rzeczemy: zginął Wisz za was, za wiec, niech więc stanowi o pomście za krew jego.

Spojrzeli po sobie...

— Pewnie — odezwał się Doman — niech starszyzna wyrzecze, a nie będziecie mieli ręki, aby się upomnieć o krew, by darmo nie wsiąkła, ja wam moją ofiaruję...

Tu zawahał się nieco Doman i oczy mu zabłysły, ale spuścił je wnet, jakby zawstydzony.

— Ja wam bratem być chcę... bratem... — dodał.

— My tobie braćmi! — odezwali się obaj synowie Wisza i podawali sobie ręce znowu.

— Nie stało mi czasu starego Wisza prosić, będę wam mówił o tem... Siostrę waszą chcę wziąć...

Była chwila milczenia; obyczaj ówczesny, który po starszeństwie brać przykazał, nie zostawiał wątpliwości, że mówił o Dziwie. Ludek zwiesił głowę.

— Domanie, bracie — rzekł — Dziwa męża nie chce znać... Nie nowa to rzecz, Bogom się ślubowała... To nie jest niewiasta do dzieci, do kądzieli, do garnków, ale do ognia świętego, do zdroju, do pieśni i wróżby... Żony z niej nie będziecie mieli... Dałbym ją wam z serca... a przeciw ślubowi bożemu jak mi stać?

Zamilkli znowu; Doman głowę zwiesił, brodę szarpał i mruczał.

— O! — rzekł — nie jednej się to dziewce śni, a jak ją weźmie mąż, zapomni... Mnie się ona upodobała z urody i ze wszystkiego... Dostatek u mnie będzie mieć, kniechinią ją uczynię, ptasiego mleka chyba zabraknie...

Ludek głową wciąż potrząsał.

— Co ja poradzę — rzekł. — Z bogami i duchami ja wojować nie chcę... a młodszą, gdybyście chcieli, dam chętnie. Nie brzydsza od niej, nie gorsza od niej... ta, choćby i popłakała, weźmiecie ją...

Spojrzał na Domana. Ten liść urwawszy do ust sobie przylepił i gdzieindziej patrząc milczał; wzgardzić nie chciał, a wziąć nie mógł. Aż gdy liść odpadł, rzekł powoli:

— Dziewce gdybyście kazali, musiałaby posłuchać, wy teraz panem jesteście we dworze, co każecie, musi być...

Każdej z nich się roi bogom służyć i duchom, a czy przeto ich słuchać?

— Ja przykazać jej nie mogę — rzekł Ludek spokojnie.

Domanowi twarz się marszczyła i oczy pałały, a dyszał jak gdy się tylko co zmęczył.

— Ej! — zawołał — takie to braterstwo wasze. Dać mi jej nie chcecie, bo może od drugiego lepszego się okupu spodziewacie...

— Domanie, bracie, okupu nie potrzebuję... prawdę mówię.

— Chcecie bym wam bratem był, bym pomstę z wami wziął, siostrę mi dajcie — powtórzył Doman.

— Młodszą wam dam...

— Starszą chcę, albo żadnej.

— Nie mogę! — odezwał się stanowczo Ludek.

Doman wstał z siedzenia, swoim obyczajem liść znowu urwał, na ustach go położył i kilka kroków odszedł.

— Ojciec wasz byłby ją mi dał — zawołał prawie gniewnie.

— Nigdy...

— Chcecie mnie mieć z wami i za wami? Stanę... ale ją muszę mieć, a nie, to nie...

Ludkowi się brew namarszczyła i drgnął, niecierpliwie powtarzając:

— A nie — to nie!

— Więc — nie! — wybuchnął porywczo Doman — wolicie mnie mieć wroga niż brata!

— Kupić was nie mogę, obejść się muszę... — rzekł Ludek zimno.

Chłopak się rzucił w tył, cały drżąc z gniewu.

— Ludku, bracie! źle czynicie, mówię wam! Dla dziewki ojca w mogile pocieszyć nie chcecie utoczoną krwią... Hejże! hej!...

— Słowom rzekł — mruknął Ludek — nie mogę...

— Druhów wam teraz trzeba a nieprzyjaciół sobie robicie! — szydersko dodał Doman — rozumu nie macie...

Spojrzeli sobie w oczy, Ludek się hamując powtórzył raz jeszcze.

— Nie mogę...

Doman się zerwał już iść.

— Nie chcecie dać po dobrej woli, to ją kiedyś wezmę siłą...

— A my siłą będziem bronić...

— A — no!

— A — no!

Ostatnich słów domawiając, zaczęli się cofać od siebie, ciągle sobie patrząc w oczy. Rąk już sobie nie podawali. Młodszy brat stał milcząc za Ludkiem, który dlań teraz ojca zastępował.

Doman kołpak nasunął gwałtownie na oczy i odszedł. Konie jego stały opodal nieco ku zgliszczowi, milczący powlókł się do nich, zatętniło, odjechał...

Ludek stał jeszcze czekając, czy się nie wróci, posłyszawszy tętent ruszył się i on.

W gąszczach słychać było jak pędzili w las i psy za nim lecąc ujadały.

Po drodze Ludek z bratem spotykali swoich, co się na zagrodę wlekli, pośpiewując. Tryzna i stypa więcej niż bój i walka znużyły... szli smutni zataczając się i przystając dla spoczynku...

Nazajutrz w zagrodzie życie powróciło do trybów powszednich, niewiasty stały u ogniska. Dziwa siedziała u krosien, sługi żarna obracały, gotowano strawę, krzątano się około stada, bocian klekotał na szopce, a sroki krzyczały, skacząc po płotach. Ruch był tem większy, że pogrzeb po sobie wszędzie ślady zostawił, a starej Jagi, co niewiastom przywodziła, nie było. Miejsce jej zajęła żona Ludowa, tak jak mąż jej władzę nad gromadką po ojcu odziedziczył.

Wieczorem na przyźbie przed chatą siedziały dwie siostry, Dziwia i Żywia, sparłszy głowy na ramionach swoich, obejmując się rękami... patrzyły gdzieś na lasy i dumały i nuciły... Ludek wyszedł od rzeki, ręce w tył założone trzy-

mając, z głową na piersi spuszczoną. Zobaczywszy go przed sobą dziewczęta wstały. Zatrzymał się przed niemi. Dziwa podeszła krok ku niemu.

— Po coś ty Domana oczarowała? — rzekł powoli.

— Ja? — rumieniąc się zawołała dziewczyna — i czarów nie znam, i Domana znać nie chcę...

— Braterstwo nam wypowiedział za ciebie... — mówił Ludek. — Chce cię mieć... odgraża się nam...

— Jam bogom ślubowała — spokojnie mówiła Dziwa.

— Wie o tem... a znać nie chce...

— Cóżem ja winna?

Żywia stojąca za siostrą, to na nią, to na brata ciekawemi rzucała oczyma. Milczeli...

— E! Dziwa — ozwał się Ludek — lepiejby było z nim żyć, brata mieć, niż wroga sobie napytać...

Potrzęsła głową, dwie łzy popłynęły jej po twarzy, spojrzała na brata uśmiechając się błagalnie.

— Nie siłujcie mnie — rzekła cicho — zostawcie Dziwę w pokoju. Będę wam w krosnach tkać, będę pieśni śpiewać, wodę nosić ze zdroju, w wianku chodzić zielonym...

I pokłoniła się do nóg brata, a Żywia nic nie mówiąc, jakby za nią też błagała, pochyliła się, ściskając go za kolana.

Ludek głowę spuścił i odszedł milczący.

X.

Zamijowe uroczysko leżało otoczone borami dokoła, jakby zapomniane od wieków, żadna doń nie wiodła drożyna. Moczary i trzęsawiska ze trzech stron go otaczały prawie nieprzebyte. — Z prawej tylko wązki klin ziemi twardszej przystęp do niego otwierał. Niegdyś przed wieki, gdy narody wędrując, pierwszy raz się osiedlały na nieznanej ziemi, tu być musiały pierwsze gromad obozowiska.

Tu się potem na pamięć ową, zbierały starszyzny dla narady. Horodyszcze opasane było nizkim, wklęsłym już w ziemię wałem zielonym. W środku opuszczona dawno stała z dachu prawie odarta szopa, której słupy się chyliły w różne strony. W ścianach brakło opadłego i zgniłego na ziemi płota. Oprócz tego szczątka budowli zczerniałego na horodyszczu nie było nic, ani drzewa, ani kamienia, pokrywała go darń, skąpe zioła i stare kretowiny. Okolica jak miejsce była smutną. Jak sięgnąć okiem widnokrąg opasywały lasy czarne. Zdala na prawo, małe jeziorko leżało na pół trzcinami zarosłe, w lewo gdzieniegdzie ukazywała się z błota rzeczułka gniła, płynąca trzęsawiskami nieprzebytemi. Płaczliwe głosy czajek głuszyły śpiew leśnego ptastwa. Niespokojne zwi-

jały się tu nad niezliczonemi gniazdami swemi, jakby od nich nieprzyjaciela odpędzać chciały.

Tam gdzie horodyszcze do lądu przypierało las stary stał na straży.

Był to przeddzień Kupały na który wiec zwołano. Kmiecie i władyki wiedzieli już jaki los spotkał Wisza za to, że pierwszy ich na wiec powołał. Śmierć jego nastraszyła wielu, rozjątrzyła innych i pobudziła jeszcze do narady dla ratunku.

Na horodyszcze od strony lasu dostać się było można, a kto na nie chciał iść, musiał pomijać dąb stary na drodze stojący, na pół spróchniały, z oschłymi konary, który również jak uroczysko za poświęcony miano bogom czy duchom tej ziemi. Widać pod nim było mnóstwo płacht na wpół pognilych, z któremi u stóp jego składano choroby.

Maleńkie źródełko sączące się nieopodal, służyło chorym do obmycia się z choroby, płótno do otarcia. Rzucano je potem pod dębem w tej wierze, iż z nim szła precz choroba. Aby zdrowie odzyskać, duchom je trzeba było rzucić na pastwę. Stały tu i inne ofiary pleśnią okryte, przemokłe, liściem na pół zasypane, miseczki, dzbanuszki, ziarna bursztynu, kawałki sukna i sznurki powiązane w węzły jakieś tajemnicze.

U góry w dębie spróchniałym, widać było dziuplę ogromną, stworzoną na to, aby w niej pszczoły dzikie barci założyły. Lecz drzewo puste stało, wilgocią odstręczając, pszczół w nim nie było. Dziupla stała próżną i czarnym swym otworem jak paszczą ziała jakoś dziwnie, straszno.

Do koła korę obsiadły zielone mchy jak aksamit świecące, porosty żółte, nawet trawy blade, które się na przegniłych pasożytach czepiały.

Nie rozedniało jeszcze dobrze, gdy się szelest dał słyszeć w poblizkiej gęstwinie. Ostrożnie coś się pod dębem prześliznęło, przycupnęło, rozsłuchało i gdy wszystko milczało do koła, z ziemi się podniósł człowiek mały w szarej guni, z głową okrągło przystrzyżoną, z oczyma świecącemi, z usty szeroko rozciętemi, w których zęby maleńkie widniały. Obejrzał się raz jeszcze, posłuchał, rękami objął dąb, nogami się

go uczepił i ze zręcznością dzikiego zwierzęcia, począł się drapać ku górze. Niekiedy nastawiał ucha, to znów z pośpiechem wielkim lazł ku dziupli, spoglądając ku niej niespokojnie. Był to Znosek.

Drapanie się, mimo chropowatej dębu powierzchni prędkiem nie było.

Drzewo grube łatwo się objąć nie dawało, mchy go śliskiem czyniły, parę razy osunął się człowieczek, i ledwie paznogcie zapuściwszy w korę utrzymać potrafił, ale wnet z nowem sił wytężeniem piął się znowu do góry.

Już prawie dosiądz miał otworu, gdy nagle jakiś szmer dał mu się słyszeć we wnętrzu.

Z dziupli ukazała się głowa szara z najeżonym włosem, do kociej podobna z oczyma żółtemi, z zębami białymi, z wąsami długimi, prychnęła groźno, klapnęła szczękami i zwierz wprost rzucił się na głowę człowieka.

Coś zaskowyczało i jęknęło, zwierz i człowiek razem się stoczyli na ziemię w jeden kłębek zwinięci. Stary pustelnik z dziupli obejmował małego człowieczka, ręce Znoska cisnęły wduszone w szyję napastnika. Widać już było płynącą krew — potem dwie pięści ludzkie schowały się we włosach zwierzęcia, ścisnęły gardło, otwarła się skrwawiona paszczęka, krwią zachodziły oczy żółte, które zbielały i kołem stanęły... ciało drgało jeszcze.

Znosek podniół się z ziemi, ocierając krew, twarz miał pazurami podartą, głowę pokąsaną. Odetchnął, prychnął, plunął, po czaszce skrwawionej powiódł dłonią i zduszonem. martwem już stworzeniem strzepnąwszy, uderzył parę razy o drzewo. Potem opasał się swoją zdobyczą i znowu spojrzał w górę, krew ciekącą ocierając rękawem. Pokaleczona głowa i dłonie, nie wstrzymały go od nowego pokuszenia. Rozgrzany tą walką więcej niż osłabły, począł się znowu drapać do dziupli dębowej, niosąc ze sobą zduszonego nieprzyjaciela. Chwycił w końcu za krawędź wypróchniałą, zapuścił w nią palce, dźwignął się całem ciałem i zawisł nad czarnym

otworem, spoglądając w jego głębie, to ku lasowi, w którego gąszczach szelest jakiś słyszeć się dawał zdaleka.

Po chwili spuścił się do dziupli i znikł, szelest tylko, jakby z liści suchych na dnie jej słychać było, później głowa wysunęła się po nad skraje, dwie ręce obok niej oparły na brzegach, patrzał. Szerokie usta mięsiste otworzył, białe zęby świeciły jak u żbika. — Syczał z bólu i śmiał się.

Z lasu coraz wyraźniej zbliżający się szmer słychać było, a w dziupli szybkie skrobanie paznogciami, aż póki w spróchniałej korze, nie przewierciły otworu, przez który oko bezpiecznie niepostrzeżone wyglądać mogło.

Skryty w dziupli mógł stąd policzyć idących i dojrzeć twarzy każdego.

Właśnie w tę stronę źrenice chciwie wymierzył, gdy gałęzie łamać się poczęły i konno jadący mężczyzna, którego kilku innych otaczało, ukazał się w pewnem oddaleniu. Jechał na dużym spasłym koniu z długą grzywą, okrytym skórą, zamyślony, koniowi dając iść powoli, z oczów, które przed się wlepił, znać było, iż patrzał nie widząc. Postać to była spokojna, poważna i piękna, człowiek już sędziwy, z brodą długą białą i włosami na ramionach powiewającymi. Na głowie miał kołpak z niedźwiedziej paszczęki, której białe zęby nad czołem mu sterczały. Zwierz zdawał się grozić każdemu, ktoby się śmiał zbliżyć wrogo. W ręku trzymał na kiju pstro wyrobionym i jakby białą obwiedzionym wstęgą, obuszek kamienny, świecący, wyrobiony sztucznie, który wiązanie z łyka plecione umocowywało. Od szyi obręcz miedziany z kilku kół złożony, spadał mu na piersi, i okrywał je jak zbroja. Jadący za nim w pewnem oddaleniu sługami być musieli, trzymali się, patrząc skinienia i rozkazu, tylko jeden młodzian z głową podniesioną u boku jego stał, a miał uzbrojenie do tamtego podobne.

Zbliżając się do dębu, starzec oczy zwrócił ku uroczysku i konia przytrzymał, widząc, że na niem pusto jeszcze było.

— Nikogo! — przebąknął.

— Nikogo! — powtórzył pochylając się drugi.

— Mieliżby się ulęknąć i nieprzybyć? Możeli to być? Ani nawet co zwoływali? a ci pierwsi być powinni?

To mówiąc z konia się zsunął stary.

— Wy z końmi — rzekł — stać tu w pobliżu paść i czekać.

— Ty Mroczek, ze mną pójdziesz... uczyć się jak radzili starzy. Słuchaj, patrz, służ i ucz się.

Młodszy posłusznie głowę skłonił.

Wtem z drugiej strony nadjechali konni, Doman samotrzeć z ludźmi swymi. I on, nie dojeżdżajac do horodyszcza, konia słudze oddał, wskazawszy pastwisko, a sam ka staremu pośpieszył.

— Dniem wiecowym pozdrawiam was — odezwał się.

— Dniem wiecowym, bodaj szczęśliwym — odparł starzec. — Kędyż się Wisz dziewa?

Doman obie ręce podniósł ku górze i pokazał na obłoki.

— Spaliliśmy zwłoki jego, płaczki go opłakały... z ojcami pije miód biały.

Starzec ręce załamał.

— Zmarł? — zapytał.

— Zabit jest — rzekł Doman — zabit przez ludzi kneziowych, którzy na dwór jego napadli.

Słuchający głowę opuścił, ale krótko trwało przerażenie, podniósł wejrzenie, w którem gniew się malował.

— Myślmyż i my o szyjach naszych — rzekł — co jemu wczoraj, nam jutro.

Gdy mówili, zdala już tętniało znowu, tętniało coraz silniej, cały las pełen się zdawał, ze wszech stron wytykały się głowy koni i głowy ludzi, gwar się wzmagał, starszyzna kmiecia nadciągała. Dwoje oczów z dziupli patrzało i dwoje uszów słuchać musiało, bo rozmowy pod samym dębem się toczyły.

Przybyli pozdrawiali się dniem wiecowym, ale twarzami smutnemi. Ze trzech liczba rosła do dziesięciu, do pół kopy... do soroka... do setki. Wszyscy jeszcze stali po za horodyszczem, gdy Ludek, syn Wiszów nadjechał.

Zsiadłszy z konia przystąpił z pozdrowieniem do gromady i krwawą koszulę, a siermięgę czarnemi plamami zbroczoną, rzucił pomiędzy stojących nie mówiąc ani słowa. Rękami tylko wskazał na nie. Oczy wszystkich zwróciły się na odzież zabitego, ręce zadrgały, czoła się pofałdowały.

Z pięściami zaciśniętemi, otoczyli to lice gwałtu.

Później szmer przebiegł po gromadzie głuchy i urósł we wrzawę, wśród której rozeznać tylko było można, nawoływania o pomstę krwawą. Gdy się to działo, Doman odstąpił precz i milczał. Zatem ruszyła się starszyzna i ciągnęli zwolna ku horodyszczu. Ludek z ziemi podniósł odzież ojca, zarzucił ją na ramiona i szedł za nimi. Tak uroczystym pochodem na czele mając siwych, weszli na uroczysko i pod chwiejącą się szopę. Tu nic nie mówiąc, każdy na ziemi zajął miejsce swoje, broń składając przed sobą.

Drudzy opóźnieni nadjeżdżali jeszcze. Szerokiem kołem rozsiadła się rada, sparli na rękach i dumali, wielu brakło. Innym z oczów patrzało dziwnie, jakby słowa jeszcze nie rzekłszy już do sporu byli gotowi.

— Niema już tego, kto nas tu zwołał — odezwał się Boimir stary, ale duch jego mówi, pocośmy tu przybyli. Radzić trzeba, aby stary obyczaj polański nasz nie ustał, abyśmy się w Niemców i niewolników nie obrócili, a w kneziowe sługi. Wszędzie, gdzie mieszka mowa nasza, słowo u Łużyczan, u Dulebów, Wilków, Chorbatów, Syrbów, Mazów, aż do Dunaju i za Dunaj biały, do sinego morza, w lasach i po górach... kneziowie na wojnach dowodzą, ale po mirach gromada wybiera starszyznę, rządzi i sądzi i ziemię rozdziela. Starostów i tysiączniki stanowi, mir trzyma, bezpieczeństwa strzeże.

Chwostek się z Niemcy sprzęga, chce ze stołba swego nam rozkazywać, nam, cośmy tam jego ród, sami dla obrony posadzili. Wisza nam za to ubito, że śmiał wiec zwoływać!

Jęknęło kilku i głuche mruczenie słyszeć się dało po tłumie. Starce głowami trzęśli.

A z prawej strony, czarno zarosły, średnich lat wstał

mężczyzna, rękę trzymając za pasem. Oczy, które dotąd miał w ziemię wlepione, podniósł i potoczył niemi, jakby w gromadzie swoich szukał.

— Bez kneziów — odezwał się — nie obejdziemy się... ładu nie będzie!... Najdą nas Niemcy, a choćby i Pomorcy i Wilki, gdy im głód doje, a wściekłymi uczyni, kto będzie wówczas dowodził, rozkazywał i bronił? Czy kneź, czy król, jak go tam zwać, musi być...

Zaczęto mruczeć, czarny mówił dalej:

— Że się z niemcami braci, a co złego, kiedy nam to pokój kupuje?

Mruczenie rosło coraz, aż zgłuszyło mówiącego, ale drudzy widocznie za nim obstawali.

— Kneź musi być — zawołał Boimir — a no... będzie! Kto przeczy! Inaczejby się od Niemca nie ostało... Niosą się oni do nas z mieczem i z wiarą swą, z namowy i z groźby... a oręż mają dobry i siłę wielką... i swoich kneziów, co lud prowadzą, jak parobek woły w pługu... Nie obronim się im samopas idąc... Kneziów trzeba! niech będą! ale nie Chwostków, nie tego rodu Popielowego, co już zapomniał skąd wyszedł!...

— Nie... nie! — zawołano z jednej strony.

Ale z drugiej się burzyło. Niektórzy wstawali i oczyma się mierzyli, policzyć już było można tych, co szli za i przeciw. A z piersi buchało jedno — nie przeciw drugiemu.

— Precz z Chwościkiem! — wołali niektórzy. — Precz z Chwostem!...

Drudzy wrzawę podnosili, aby tamto wołanie zgłuszyć.

Całą gromadą siedzieli po za Boimirem rozrodzeni Mieszkowie, których Myszami i Myszkami zwano, bo wielu z nich to imię nosiło... ci się podnieśli najgłośniej wołając: — Precz z nim!

— Nie co czynić zostało, tylko iść i to plugastwo w Gnieźnie wydusić... — krzyczeli.

— Lekko rzec — rzekł inny — a nie łatwo tego dokazać. Daliśmy się im rozsiąść, rozrodzić, zmódz, uzbroić, po-

wąchać z niemcy, żony od nich potajemnie brać, namawiać się z nimi... dziś, byle skinęli, bronić ich będą. Ziemię nam zniszczą gorzej od Chwościka... ludzi w niewolę nabiorą. Lepiej cierpieć swojego co męczy, niż cudzego co wypleni nas, a sam posiędzie tę ziemię na której popioły ojców leżą... Zamiast się rzucać nań, iść trzeba do Chwosta i powiedzieć mu w oczy...

— Iść!... żaden z nas stamtąd nie wróci! krzyczeli Myszki — wszystkich pod grodem jak psów wywieszają... słów on nie posłucha.

— A siły my na niego nie mamy — wołał Rudan — nie mamy...

— Siła się znajdzie, byle wola była — ozwał się stary, ubogo odziany Piast.

Potakiwali jedni, część wielka siedziała w milczeniu głowy pospuszczawszy.

— Cóż czynić? — pytali pocichu sobie w oczy mniej śmieli.

- Cierpieć — mówił Rudan — nie wieczny on, synowie będą lepsi.

— Na to ich właśnie niemcy zaprawiają u siebie, polując z nimi na Syrbów — wtrącił inny.

— Czekać! — wtrącił inny — aby nas po jednemu jak Wisza wybito, a dzieci pobrano na gród, a ziemię Smerdom porozdawano...

Tak różne głosy odzywały się ze stron różnych, nie było zgody. Bliżej siebie siedzący gwarzyć poczęli i naradzać się pocichu, bo się lękali zwolenników Chwostka, aby ich na sztych nie wydali... Z cichego szmeru robił się gwar i wrzawa, i gwar taki, że jedni drugich nie słyszeli.

Myszki wołali, aby na gród ciągnąć i wywracać wszystko, knezia się pozbyć i innego sobie obrać z między kmieci — Rudan i jego druhowie odradzali.

— Niemców, Pomorców, Wilków ino nie widać — mówili — a oni nam straszniejsi od Chwostka. Zasłyszą, że się sami między sobą drzemy, że głowy u nas nie stało, nalecą

i kraj spustoszą... Siedzieliby cicho. Dawno na nas zęby ostrzą. My ludzie od roli i od gęśli, a oni od krwi i żelaza... łatwo im nas zmódz... Oni stoją pod jednym wszyscy, a my jednego nie możem ścierpieć...

— Nieprawda - rzekł Boimir — cierpieliśmy, obraliśmy sami, słuchali i karmili, aż oszalał... Słyszeliście, co tam za biesiady krwawe wyprawia, jak swoich krewniaków dusi... kmieciom już wielu dwory pozabierano, dziewki, chłopców, dobytki... a gdzież nasza stara swoboda? gdzie obyczaj dawny?...

Spierano się tak ciągle. Myszki potrząsali obuchami nad głowy i pięści ściskając powtarzali:

— Iść na gniazdo plugawe i wydusić...

— Iść! iść! — huczano.

Niektórzy rzucali się z miejsc, jak gdyby natychmiast spełnić to chcieli, ale wielka część stała oporem.

Liczono się oczyma. Myszkowie przemagali, druhy więc kneziowe odsunęli się w ostrożnem milczeniu. Rudan pozostał z małą garstką, która brody gryząc i oczyma rzucając siedziała na ziemi milcząca, do niczego się mięszać nie chcąc. Pojedynczo przystępowali do nich niektórzy, usiłując przekonać, ale ci spojrzeć nie chcieli i mówić nie byli radzi.

Gwar i wrzawa nie ustawały, bo niedosyć było powiedzieć — iść — trzeba było obmyśleć, z kim, jak, kiedy, a gród Chwostków był warowny, wałem i częstokołem otoczony, oblany w części jeziorem, zaopatrzony ku obronie, w ludzi obfity. Na niemców też skinąć stamtąd mogli, aby im w pomoc szli... a wówczas z Myszków i ich druhów nie zostałoby jednej głowy.

Słońce się podniosło wysoko, minęło południe, na uroczysku z poschłemi usty starszyzna radziła, nic nie mogąc uradzić, ani się zgodzić na jedno. Wołanie było wielkie chwilami, tłum to się zbijał w jedną stronę, to w drugą ciskał, gromadząc około starszych co głosy zabierali.

Opodal od horodyszcza, czeladź stała z końmi czekając, posiano je popętawszy na skraju łąki pod lasem; młodzież

parobczaki, na ziemi siedzieli i śmiechy a żarty między nimi słychać było.

Do dębu, z którego dwoje oczu patrzało, głosy dolatywały jak fale, to szybsze, to silniejsze, widać było podnoszone ręce, grożono pięściami, rwano się i rozchodzono... Jeden to drugi stawał na wyższym brzegu wału, aby go lepiej słyszano i ztamtąd mówił, gardłował, często na sobie suknię i koszulę rwąc... Groźne wyrazy aż tu dochodziły. Dwoje jasnych oczu ciągle patrzało.

Parobcy co na łące siedzieli, rozglądali się dokoła. Wtem jeden drugiego potrącił i rzekł:

— Zyrun! patrz ino na stary dąb... na stary dąb...

— A co w nim? dziupla, hen, dwoje oczów w dziurach świeci... jakby żbik patrzał na nas?...

— Nie patrz! to czary... dąb święty... kto wie jaki duch z niego patrzy... i co jego wzrok może?

— To nie duch, ino zwierz! albo żywy człek zaklęty... duchy się tak po dniu nie snują... — odezwał się pierwszy.

Wszystka czeladź oczy na dąb zwróciła, lecz większą część ogarnęła trwoga.

— Dąb stary... święty... coby tam w dziurze człek miał robić...

— To zwierz.

— Spłoszyć go!... — krzyknął pierwszy — ślepia mu jeszcze świecą... ja je widzę...

To mówiąc chwycił łuk parobczak, naciągnął go i strzała świsnęła w powietrzu... padła w sam otwór dębu, gdzie świeciło oko, zachwiała się i znikła... Z nią razem i oczy w dziupli patrzeć przestały. Czeladź strwożona siedziała w milczeniu.

— Zwierzaś ubił lub skaleczył — zawołał Zuryn.

— Dobrzeby choć skórę zedrzeć z niego — krzyknął, zrywając się chłopak.

— A jeśli ranny tylko i żyw, to ci się w dziupli bronić będzie — poczęli drudzy.

Zapalczywy myśliwiec nie słuchał, podskoczył ku dębowi,

chwyciwszy obuszek do pasa; drudzy się tylko przypatrywali. Jak kot począł się drapać na drzewo, przykładając doń ucha. Znak dał swoim, że coś w niem słyszy. Ostrożny jednak nie wprost się do dziupli skierował. Kawał starej, grubej nadłamanej gałęzi chwyciwszy nad nią, uwiesił się na niej i spojrzał w głąb. Patrzał długo nic dojrzeć nie mogąc, choć coraz przybliżał głowę a oczy.

W środku nakryty zabitem zwierzem, któremu strzałę w oko wbił, leżał liśćmi się cały zasypawszy mądry Znosek. Ręką tulił oko, z którego krew mu ciekła, bo w niem strzała uwięzła. Parobczak nie widząc i nie słysząc, aby się co ruszało, ośmielił się wreszcie rękę do dziupli wpuścić i z okrzykiem radości dobył z niej żbika, którego oko głęboko było strzałą przeszyte. Wnet począł trząść zdobyczą, okazując go gromadzie, która się cała ku niemu rzuciła, oczom swym nie wierząc prawie. Otoczono dąb, a szczęśliwemu łowcy już w myśli nie było sięgnąć głębiej, gdzie ducha w siebie wciągnąwszy, przyczajony, leżał na pół martwy Znosek.

Ze żbikiem w ręku spuszczać się począł chłopak na ziemię, rzucił go potem ciekawym, którzy z rąk do rąk sobie podawać zaczęli. Strzała tkwiła wbita tak głęboko w ślepię, iż ten sam, co ją puścił, siły swej poznać nie mógł... zwierz był już zimny, paszczękę miał rozdartą, ozór wywalony.

Jakoś to tak było niezrozumiałem, że żartowniś jeden począł dowodzić, iż parobczak zdychające tylko zwierzę dobił.

Hałas około dębu powstał tak wielki, iż stąd aż na horodyszcze dochodził. Obejrzała się starszyzna, której ubite zdala pokazano zwierzę. Rzucili się młodsi z kmieci pytać, a jeden z zapaleńszych chwyciwszy żbika za kark, podniósł go, potrząsając nim jak wróżbą.

— Bogowie wieszczbę uczynili! — wołano — żbik siedział w dziupli zaczajony, jeden parobczak napatrzywszy zaledwie ślepię, go ubił... Tak siedzi w kamiennej dziupli Chwostek... i nasza strzała go tam dosięgnie! Bogowie wróżbę dają... Precz z Chwościkiem!...

Więc gromada cała co z Myszkami była, wołać zaczęła:

— Ładо! Kolado! Ładо!

I cieszyli się i w dłonie klaskali.

Inni milczeli... Wiec znużony ustawał na siłach. Wtem na skraju lasu ujrzano starego ślepca, którego małe prowadziło chłopię i oczy się ku niemu skierowały.

— Słowan! bywaj! — zaczęto wołać — bywaj nam stary z pieśnią... po dawnym zwyczaju...

Nasłuchując zbliżał się ślepy gęślarz powoli, po gwarze mógł już poznać, że się zbliża do horodyszcza. Wszyscy mu radzi byli, orzeźwieli ujrzawszy go, niósł ze sobą woń prastarych dziejów i czasów.

— Witaj stary Słowanie!...

Szedł w milczeniu, jak gdyby miejsce znał i pamiętał, wszedł przez wał, i kijem sobie miejsce obmacał i usiadł na ziemi. Gęślę milczącą trzymał na kolanach i myślał...

— Spóźniłem się, spóźniłem — począł głosem złamanym, na pół śpiewnie — stare nogi źle już służą, drogi się powyciągały... a jakiby to był wiec bez wieszczka? a coby to rada bez pamięci na stare dziadów zbory! Orłom lecieć lekko górą, ślimak się powoli wlecze... powoli...

— Kiedy Lecha plemienia nie stało, nie stało... swobody się ziemianom zachciało, zachciało... Zachciało się swobody bezpańskiej, wojewodów wybrali dwunastu... Krew to ze krwi wszak naszej, kość z kości... bracia nasi rodzeni ziemianie, niechaj nami rozrządzą, ład sprawią... O Ładо! niechaj ziemię szczęśliwą uczynią... O Ładо...

Wybrali ich wybrali dwunastu... Cieszyli się, cieszyli niedługo. Brat rodzony wnet bratu był sługą... Co jednego nad sobą nie chcieli... dwunastu ich wybrali i mieli... Dwunastu... O Ładо, o Ładо...

Jeden z kadzi rad czerpał i głowę zalewając pomiatał narodem... Drugi zbierał a dusił w komorze, co ubogim odebrał od gęby... Trzeci jeździł, wyglądał gdzie dziewki, i córki im podbierał, miód z ula... O Ładо! O Ła...do!

I tak byli z dwunastu szczęśliwi, szczęśliwi, że posłali za morze z pokłonem... Oj, posłali szukając wojaka, coby

jeden nad wszystkiem panował... Kraku, panie a kneziu, wołali, chodź do ziemi do naszej, rządź nami. I spędzili dwunastu z ich grodów. Znowu kmieci zrobili z wojewodów... A jednego już Kraka słuchali. O Ładо! O Ładо!

Gdy się pieśń powolnie nucona skończyła, milczenie panowało, patrzeli niektórzy na starca nie wiedząc, coby to znaczyć miało...

— Toś i ty Słowanie — rzekł mu jeden — Chwościka pokochał...

Starzec nastawił ucha.

— Pokochał? — Pokręcił głową, poczęły brzęczeć struny, dziwny staruszek począł śpiewać znowu tęskliwą nutą.

— Siedzi Chwostek na wieżycy... i patrzy z niej w koło... dobry pan... Gdzie się kurzy ze świetlicy, gdzie na polu się zieleni... gdzie rżą stada... sycą miody... oko widzi, ręka zgarnia .. dobry pan! Siedzi Chwostek, patrzy zdala... kmiecie mruczą, psy li wyją?... śle drużynę, milczeć, cicho... lub na gałęź pójdzie licho... Dobry pan... Pan wesoły, do biesiady raz zaprasza, rad ugości, a nakarmi, a upoi, aż się ludziom na wiek wieka jeść odechce... i pachołki do jeziora niosą kmieci... Dobry pan. Siedzi Chwostek na wieżycy... czy słyszycie jak się śmieje, hen, daleko śmiech rozlega... a puścieją w lasach knieje... aż po dworach lud truchleje... dobry pan. Z niemcem on się pocałuje, niemiec dziewkę da mu białą... a wy kmiecie mruczeć wara! bo mu niemiec da swe miecze, i wskróś krnąbrnych wnet wysiecze. Dobry pan! dobry pan!...

Chórem za starym poczęto powtarzać — dobry pan... a dwie te pieśni razem z sobą złożone zasępiły czoła i jednym i drugim... Słowan zamilkł, głowę spuścił, podparł się ręką na ziemi, na pół położył i śpiewać więcej nie chciał.

Powoli szeptać znowu poczęto, gwarzyć i naradzać.

Słońce się zniżało, gdy starszyzna widząc iż na niczem spełznie wiec, rozeszła się gromadkami po horodyszczu, posiadali kołem, każdy ze swymi, i podano, co kto przyniósł

z sobą do jedzenia i picia... kołacze, zimne mięso, a w drewnianych i glinianych baryłkach, miód, piwo i kwas.

Gęślarza wzięli między siebie Myszki ugaszczając go, dano mu pierwszy kubek w ręce.

— Po staremu — rzekł — pierwsze się bogom należy. Ładо!...

I wylał napój na ziemię.

Powtóre zlał jeszcze na ofiarę duchom uroczyska dobrym i złym, białym i czarnym, aby im nie przeszkadzały; potrzecie zlał duszom ojców, co niewidzialne przy radzie stały... Na małych skorupkach postawiono im obiaty z białego chleba, a dopiero potem w milczeniu jeść i pić zaczęto.

Stary Słowan mało co zjadłszy, napił się trochę i znowu się wziął do weselszej znajomej pieśni starej. Tę zaledwie posłyszano, gdy chórem za nim odezwali się wszyscy, nawet czeladź z łąki wtórowała nieśmiało.

Nadeszła pieśni godzina, więc po tej następowały inne i coraz nowe, choć wszystkie do siebie podobne. Starzec potem już sam zaśpiewał starą z nad Dunaju, z innych światów, kędy wino rosło, gdzie lwy się przechadzały, żyły smoki i żmije, fala morza biła o brzegi skaliste i słońce świeciło gorące. Wszyscy wzdychali za tym światem pieśni jak za swoim.

Noc była, gdy rady, ofiary, pieśni i wiec bezowocny się skończył. Powstawała starszyzna, jęli się żegnać wszyscy, ręce sobie dając, a wzdychając.

Któż wie? może do nowego wiecu myśli zebrać chciano?..

Konie z pastwisk czeladź przyprowadzała, posiadali na nie i jechali gromadkami. Każdy w swą stronę. Zostało pocichu szepczących kilkunastu, kilku, potem nikogo. Uroczysko znów było puste i milczące. Gałąźmi dębu wiatr wieczorny potrząsał i ptastwo krzyczało tylko na błotach. Gwiazdy zaczynały mrugać na niebie, lekki powiew wiatru od łąk szedł do rzeki.

Wtem w dziupli zaszeleściało, prychnęło, dwoje rąk chwyciło za kraj kory, głowa się podniosła nad nią i Znosek

z pokrwawioną twarzą dobył się ze środka. Nogami i rękami objął pień, ześliznął się powoli na ziemię. Tu padł wyciągnięty jak nieżywy... dyszał ledwie, wyciągał długo ręce i nogi, jęczał.

Zaszeleściało wśród lasu... drgnął cały; uciekać już nie czas było, po ciężkim chodzie powolnym poznał nowego nieprzyjaciela. Jak nieżywy legł przylgnięty twarzą do ziemi. Z zarośli powoli, wlokąc się niezgrabnie, wyszedł niedźwiedź. Nosem wodził po ziemi, jakby czego szukał. Słychać było sapanie jego i mruczenie. Żółte oczy pobłyskujące w ciemności skierował ku Znoskowi, który ciągle jak martwy leżał... Ostrożnie gospodarz puszczy począł go wąchać. Zlekka potrącił go łapą, zamruczał i poszedł dalej. Widać go było zdążającego na pole, krokiem ociężałym, podnoszącego czasem pysk i wietrzącego dokoła. Siadał spoczywać, lizał łapę i znowu wlókł się leniwo dalej gdzieś za żerem czy za przyjacielem, po którym zatęsknił.

Chłopak ujrzawszy go już w pólku, zerwał się na nogi i w las rzucił szybko.

z sobą do jedzenia i picia... kołacze, zimne mięso, a w drewnianych i glinianych baryłkach, miód, piwo i kwas.

Gęślarza wzięli między siebie Myszki ugaszczając go, dano mu pierwszy kubek w ręce.

— Po staremu — rzekł — pierwsze się bogom należy. Ładо!...

I wylał napój na ziemię.

Powtóre zlał jeszcze na ofiarę duchom uroczyska dobrym i złym, białym i czarnym, aby im nie przeszkadzały; potrzecie zlał duszom ojców, co niewidzialne przy radzie stały... Na małych skorupkach postawiono im obiaty z białego chleba, a dopiero potem w milczeniu jeść i pić zaczęto.

Stary Słowan mało co zjadłszy, napił się trochę i znowu się wziął do weselszej znajomej pieśni starej. Tę zaledwie posłyszano, gdy chórem za nim odezwali się wszyscy, nawet czeladź z łąki wtórowała nieśmiało.

Nadeszła pieśni godzina, więc po tej następowały inne i coraz nowe, choć wszystkie do siebie podobne. Starzec potem już sam zaśpiewał starą z nad Dunaju, z innych światów, kędy wino rosło, gdzie lwy się przechadzały, żyły smoki i żmije, fala morza biła o brzegi skaliste i słońce świeciło gorące. Wszyscy wzdychali za tym światem pieśni jak za swoim.

Noc była, gdy rady, ofiary, pieśni i wiec bezowocny się skończył. Powstawała starszyzna, jęli się żegnać wszyscy, ręce sobie dając, a wzdychając.

Któż wie? może do nowego wiecu myśli zebrać chciano?..

Konie z pastwisk czeladź przyprowadzała, posiadali na nie i jechali gromadkami. Każdy w swą stronę. Zostało pocichu szepczących kilkunastu, kilku, potem nikogo. Uroczysko znów było puste i milczące. Gałąźmi dębu wiatr wieczorny potrząsał i ptastwo krzyczało tylko na błotach. Gwiazdy zaczynały mrugać na niebie, lekki powiew wiatru od łąk szedł do rzeki.

Wtem w dziupli zaszeleściało, prychnęło, dwoje rąk chwyciło za kraj kory, głowa się podniosła nad nią i Znosek

z pokrwawioną twarzą dobył się ze środka. Nogami i rękami objął pień, ześliznął się powoli na ziemię. Tu padł wyciągnięty jak nieżywy... dyszał ledwie, wyciągał długo ręce i nogi, jęczał.

Zaszeleściało wśród lasu... drgnął cały; uciekać już nie czas było, po ciężkim chodzie powolnym poznał nowego nieprzyjaciela. Jak nieżywy legł przylgnięty twarzą do ziemi. Z zarośli powoli, wlokąc się niezgrabnie, wyszedł niedźwiedź. Nosem wodził po ziemi, jakby czego szukał. Słychać było sapanie jego i mruczenie. Żółte oczy pobłyskujące w ciemności skierował ku Znoskowi, który ciągle jak martwy leżał... Ostrożnie gospodarz puszczy począł go wąchać. Zlekka potrącił go łapą, zamruczał i poszedł dalej. Widać go było zdążającego na pole, krokiem ociężałym, podnoszącego czasem pysk i wietrzącego dokoła. Siadał spoczywać, lizał łapę i znowu wlókł się leniwo dalej gdzieś za żerem czy za przyjacielem, po którym zatęsknił.

Chłopak ujrzawszy go już w pólku, zerwał się na nogi i w las rzucił szybko.

XI.

anek był najśliczniejszej wiosny, której już nic z jej królewskich ozdób nie brakło. Najleniwsze dęby głuche stały poubierane w liście, pachniały brzozy, potrząsając długimi warkoczami, u stóp drzew, gdzie zajrzało tylko słońce, kwiatek się ku niemu uśmiechał. Na każdej gałęzi szczebiotał ptaszek, w każdym promieniu złota muszka igrała...

Cały ten świat, wody, lasy, ptaki, zwierzęta, i muszki złote, i rybki srebrne, żyły naówczas życiem jednem w dziwnej zgodzie i braterstwie. Strumień mruczał zrozumiałą mową, ptaki śpiewały pieśni dla ludzi, dziki zwierz brał się czasem z człowiekiem, by mu służyć. Harmonia wielka panowała w tym świecie zaczarowanym, w którym wszystko składało się na jedną całość. Śmierć nawet przychodziła z uśmiechem, w porę przeprowadzała do ojców na biesiadę wieczną.

Dwie kobiałki stały na ziemi grzybów pełne, dziewcząt dwoje odpoczywało przy nich, rękami się objąwszy... siedziały i słuchały. Dziwa zamyślona z oczyma wlepionemi w las, dumała.

— Co ty tak słuchasz Dziwo? — pytała siostra.

— Sroczka mi coś powiada... słyszysz ty ją? Pyta się

nas, czyśmy dużo uzbierały? mówi, że na uroczysku w dolinie grzybów jest wiele... Chce nas odprowadzić do chaty...

I zamilkła chwilę.

— Mówi — ciągnęła dalej powoli — przyjadą swaty... księży pan młody do ciebie...

— Do mnie. Dziwo?

— Tak... do ciebie, Żywio, bo ja swatów nie będę znała... W wianku chodzić będę zawsze, zawsze... w wianku zielonym pójdę do ojca i matki...

Sroczka w istocie siedząc na gałęzi, kręciła głową i jakby przedrzeźniała dziewczęta, ciągle coś dziewczynie pokrzykiwała.

Wtem z lasu nadleciał jastrząb z rozpuszczonemi skrzydłami, począł unosić się nad łączką, patrząc pod siebie, szukając czegoś na ziemi. Sroczka zobaczyła go i krzyknęła nawołując. Z krzaków odpowiedziały jej sióstr głosy, ze wszech stron poczęły się zlatywać pstre sroczki i gromadą poleciały straszyć, łajać, odpędzać jastrzębia. Przypadały prawie do niego, a gdy się zwrócił ku nim, pierzchały nagle całym stadem i wnet wracały nazad z wrzaskiem nowym. Jastrząb niósł się ciągle to zniżając nad ziemię, to podnosząc w obłoki, nagle się puścił jak kula i padł na ziemię, a w tejże chwili stado całe spadło nań dziobami chwytając prawie, posypały się pióra... kobuz wyrwał się, uleciał w górę i zniknął. Sroki pociągnęły za nim z wrzaskiem.

Dziwa westchnęła.

Zdala odezwała się kukułka raz, drugi i uciekła.

Dziewczęta zamyśliły, kiedy Żywia za mąż pójdzie. Kuj kukułko — prosiły.

Odezwała się trzy razy... Trzy lata czy trzy miesiące? któż to wiedzieć może...

Żywia ze śmiechem zapytała o Dziwę. Kukułka bliżej podleciała, rozśmiała się tylko jakoś dziwnie, poznały ją przecie po pierzu, ale wróżyć nie chciała.

Dziewczęta siedziały zamyślone. Żywia kwiatki rwać zaczęła i wianuszek pleść dla siostry. Ale kwiatki niedobre się

pod rękę nawijały i końce rwały i nie chciały się pleść w wianuszek.

Siedziały nieopodal od zagrody, były więc bezpieczne. Nazajutrz miały iść do ogniów, na Kupałę. Żywia się cieszyła. Dziwie nie chciało się iść z drugiemi... smutno jej było.

Wtem wśród ciszy, gdy muszki brzęczały tylko i pszczoły, las zdala zatętniał. Spojrzały po sobie.

— Czy Ludek pojechał na łowy... czy to Ludkowe psy słychać?...

— Ludek w domu, koło stada...

Porwały za koszyki, obejrzały się dokoła i ostrożnie w gąszcz pierzchnęły... ale cicho było znowu w lesie, ni psów, ni ludzi nie słychać?...

Żywia główkę z gąszczy podniósłszy, patrzyła na polankę i słuchała, psy gdzieś daleko zwierza pogoniły i cicho. Dzięcioł kuje drzewo... nic więcej.

Wróciły na trawę, na słońce.

Zdala jakby śpiewanie słychać było, ale ochrypłe i smętne.

— To Jaruha — ozwała się Dziwa.

— Gdzież się to ona tędy wlecze?...

Zamilkły. Z krzaków na polankę wysunęła się stara baba o kiju, z garnuszkiem na sznurku u pasa, z torbą na plecach, w płachcie na głowie.

Rękę przyłożyła do czoła i patrzyła ku nim, potem pociągnęła powietrze, jakby coś poczuła w blizkości i oczyma dokoła rzucając zobaczyła dziewczęta. Podniosła ręce z kijem do góry i plasnęła.

— Dzień dobry! — zawołała.

— Gdzie to się wleczesz, Jaruho? — spytała Żywia.

Baba iść ku nim poczęła.

— A na Kupałę! jutro Kupały! ho! ho!... Chłopcy się popiją, poszaleją, to mnie może wezmą za młodą dziewczynę, a niektóry pocałuje!

Baba podskoczyła śmiejąc się, podeszła ku dziewczętom i usiadła przy nich na ziemi.

— Chcecie bym wam wróżyła? — spytała.

Siostry obie milczały, baba im po twarzach patrzyła.

— Z takich liczek wróżyć łatwo — mówiła śmiejąc się dziwacznie i przekręcając głową — o! o! śliczneż lica, kwitną jak lilije. I jam też je kiedyś miała, takie białe i różowe... słońce lilije popaliło, deszcze krasę popłukały... a nie deszcze. łzy to były... łzy!

I kiwała głową, wyciągając rękę ku Dziwie.

— Dajno dłoń, powróżę.

Niechętnie wyciągnęła ku niej rękę dziewczyna. Jaruha pilnie wpatrywać się w nią zaczęła.

— Dłoń to biała, nienamulona... wielka bieda z taką dłonią, tysiąc chłopców sięgnie po nią... a królewna żadnego nie zechce.

Zapatrzyła się w rękę.

— Pójdziesz jutro na Kupałę?

— Pójdę — odezwała się Dziwa.

— Nie idź! mówię ci, nie idź lepiej... Jak pójdziesz, krew się poleje...

Dziwa zbladła.

— Jaruho — odezwała się — po co mnie straszysz... Wiesz, że w domu zostać nie mogę... a tobie dawno się w głowie przewróciło, sama nie wiesz co mówisz.

— A któż to wie co mówi? — szepnęła Jaruha. — Coś szepcze w ucho i językiem obraca. Albo ja wiem kto i co? Choćbym usta zamknąć chciała, męczy mnie i mówić każe... Coś się snuje przed oczyma, coś po sercu załoskocze... baba plecie sama nie wie co... a musi!... Nie idź ty na Kupałę!

Dziwa się rozśmiała.

— A ja tobie nie radzę, Jaruho! Ty wiesz, jak cię szarpią, prześladują, co się z ciebie naśmiewają, co nadokuczają...

— Ja się tego nie boję — odezwała się stara. — Jak ognie pogasną, jak się ciemno zrobi.. hej! hej! to mnie który pocałuje i uściśnie... młode lata się przypomną...

— Cóżeś ty w młode lata robiła? — zapytała Żywia.

— Ja? ja? nie wiem. — odezwała się Jaruha. — Hej! hej! porwał mnie królewicz... zaprowadził do gmachu, co miał

ściany ze złota... W ogrodzie rosła jabłoń, co rodziła jabłka wonne... u stóp jej ciekła żywiąca krynica... Siedem lat królowałam, siedem lat śpiewałam pieśni, splatałam i rozplatałam kosy, wszystko mi służyło... potem zrobiło się ciemno i ja w łachmanach o kiju, znalazłam się w puszczy... Krucy mi w głowę pukali i oczów szukali... hej! hej!

Zamilkła, i wracając do swego, odezwała się znowu.

— A ty Dziwo, nie idź na Kupałę.

Uśmiechnęło się dziewczę. Żywia swoją jej dłoń podała. Jaruha głową potrzęsła.

— Rodzone dwie dłonie, siostrzyne... — poczęła mrucząc — a dole, a dole! gdzie jednej po drugiej!...

— Którą z nas być byś chciała? — spytała Żywia.

— Ani jedną, ni drugą — śmiejąc się rzekła stara — znowu żyć, znowu płakać, znowu młodość nosić aby stracić!... O! nie! nie!... ani białej, ani czarnej, ani żadnej nie chcę doli... Miodu ja kubeczek wolę, a potem sen słodki, sen złoty, a choćby się już nie budzić.. W kubku miodu szczęścia tyle, ile go już na całym świecie niema... A ty, nie idź na Kupałę...

Dziewczęta z na pół oszalałej staruszki śmiać się poczęły. Jaruha śmiała się z niemi.

Wzięła znowu zwieszoną dłoń dziewczęcia i patrzyła w nią.

— Rozmiłował się w tobie strasznie — szeptała.

— Kto?

— Nie wiem! ktoś! ładny chłop, młody, bogaty... Ej! nie idź na Kupałę...

— Ale z nami bracia i rodzina będzie... cóż się nam tam stać może? — zawołała Żywia.

— Albo ja wiem? Na Kupale bywają dziwy. Czasem bracia się pobiją, a czasem nieznajomi pobiorą... Na Kupale dziwy bywają... Szkoda że raz do roku taka nocka bywa!... oj! oj! jabym cały rok pieśni śpiewała, miód piła i przez ogień skakała.

Jaruha mówiąc rozwinęła swoją sakwę i poczęła w niej

Wzięła znowu zwieszoną dłoń dziewczęcia i patrzyła w nią.

szukać czegoś. Było tam mnóstwo w płachty powiązanych ziół, kamyków, nasion i korzonków. Baba się znała na chorobach i lekach, zamawiała, odczyniała, wiązała i rozwiązywała... Tym razem jednak nie szukała lekarstwa, miała jeszcze kawałek suchego kołacza, znalazła go, przypruszony był pyłem, otrzęsła, opatrzyła i z koszyka grzybów od dziewcząt wzięła sobie syrojeżkę, zaczynając się posilać w milczeniu.

Dziwa koszyk jej podsunęła.

Jaruha jadła chciwie.

— Chodź z nami do chaty, ciepłej strawy ci damy.

— Nie mogę — zamruczała stara — nogi bolą, a na pole, gdzie ognie nasze palić się będą i gdzie moi chłopcy przyjdą, daleko... daleko... w biały dzień, to nic, ale nocką iść, a z głodnym się wilkiem spotkać, albo gorzej, z wilkołakiem...

Pokręciła głową.

— A na Kupale ja muszę być... Raz do roku młodość mi powraca... tak na to długo czekać trzeba...

Zaczęła coś nucić i przerwała. Syrojeżki wybrawszy z koszyka, otarła usta i uśmiechnęła się do dziewcząt.

— Dobrzeście mnie posiliły...

Gdy to mówiła, niespokojnem okiem rzuciła w koło nagle.

— Kogoś czuję, obcy jakiś!...

Jak zwierz wietrzyć poczęła i oczy obracać. W istocie o kilka kroków od nich stał z zakrwawionem okiem i głową wychodzący z lasu Znosek. Na widok jego dziewczęta się przestraszone porwały, Jaruha popatrzyła tylko.

— E! — rzekła — nie macie się czego bać... to znajomy, ale gdzieś musiał po miodzie przez las wędrować, gałąź mu oko wybiła i głowę sobie pokrwawił.

— Jaruho! — krzyknął zdala karzeł — ratuj mnie a daj ziele.

Widząc pokaleczonego, dziewczęta zamiast uciekać, przyzostały trochę za drzewo się zasunąwszy.

— Chodź tu, zobaczymy!... — mruczała stara.

Znosek się zwlókł ręką wciąż trzymając oko, a raczej

miejsce, z którego ono wypłynęło, doszedł tylko do drzewa, przy którem siedziała stara i padł na ziemię.

Zapominając o wszystkiem, Jaruha ręce wyciągnęła ku jego głowie i poczęła ją macać.

— A coś to się ze żbikiem całował? — zapytała. — Po co ci było takiego przyjaciela szukać?

Ręką podniosła mu brodę do góry i odsłoniła oko.

— A oko... oko ci strzałą wybito! człowiecze! — krzyknęła — gdzieżeś ty był na biesiadzie! Dobrzeż cię tam przyjmowali! Popamiętasz całe życie...

Zaczęła się śmiać dziwnie i poszła znowu do worka po zioła.

Żywia ulitowawszy się chwyciła biały swój fartuszek i spojrzawszy na starą, obdarła z niego pas, aby mu było czem obwiązać głowę. Podała go milcząc starej.

Jaruha wzięła płótno w ręce i ziela narwała tuż przy sobie, ale się ociągała z poratowaniem biedaka, który ręką wciąż oko tulił i zęby ścinając syczał.

— Juści to i wilka kulawego, gdy poprosi, trzeba ratować — rzekła cicho — ty Znosku nie wart tego, aby ciebie żywiono, boś ty dużo namorzył ludzi... a no! kto wie, żbik cię może poprawi... Ustatkuj się chłopcze, weź mnie za żonę, pójdziemy razem na bocianie gniazdo i będziemy gospodarowali. Ty mi będziesz żabki zielone nosił, ja ci będę klekotała...

Jaruha się śmiała, ale trawą i liśćmi okładała mu głowę i białem płótnem wiązała ją powoli.

— Mówże ty, gdzieś bywał? i co ci żbik zawinił?

Syknął tylko Znosek.

— Z tego oka nic nie będzie — rzekł.

— Darmo o niem i nie myśl, bo go niema — rzekła Jaruha — a nowe wstawić trudno. Od wody żywiącej odrasta, ale jak tu trafić do niej. Żmij siedzi na straży... smok lata nad nią... siedem lat trzeba iść do niej, siedem się spinać na górę...

Żywia litościwa widząc, że drżące ręce starej Jaruhy

płachty nie potrafią zawiązać, przysunęła się do Znoska i zręcznie obmotała mu głowę. Jedyne pozostałe oko podniósł ku niej, ale w niem jeszcze więcej złości było i gniewu, niż wdzięczności.

— Ja ci ból odczynię — rzekła Jaruha — ale musisz się przyznać, gdzieś bywał... Jużci kto może u knezia pod stołem się wylegiwać, z dobrej woli w las nie idzie.

Dziewczęta zaledwie posłyszały o kneziu, pierzchnęły obie, dosyć było tego imienia, aby je spłoszyć. Porwały za koszyki i uciekły. Stara popatrzyła za niemi tylko i zwróciła się do Znoska.

— Teraz mów — rzekła — gdzieś to się tak podrapał.

— Chodziłem po lesie... zobaczyłem dziuplę...

— Miodu ci się zachciało...

— Żbik w niej siedział...

— A strzałę w oko kto ci posłał?

Znoska przypomnienie tej rany wściekłym uczyniło. Podniósł obie pięści.

— Nie daruję, póki jednemu z nich oka ze łba nie wyssę — zawołał — kneź mnie pożałuje...

— Tyś pewnie na wiecu bywał... — śmiejąc się zawołała stara i w ręce plasnęła. — Już wiem! dąb tam stoi dziuplasty, wygniły pod uroczystkiem Żmijowem... zakradłeś się podpatrywać... i tam cię kmiecia strzała spotkała...

Znosek ani się chciał zapierać, ani myślał taić, spuścił głowę i zgrzytał zębami.

— A takie miałeś czarne oko! — niczego wcale — zawołała Jaruha — szkoda! A no powiedz ty mnie po prawdzie, czy ty kiedy młodym był? czy cię matka odrazu starym urodziła?

To mówiąc wstała Jaruha.

— Ból mi odczyń — mruknął Znosek.

— Nie mogę... nie mogę — odparła stara — dopiero po Kupale godzi się odczyniać. A do tego żbik i ludzka strzała... jakiego na to ziela trzeba... i oko!... Ho! ho! Gdybyś mi nie wiem co dawał, zamałoby było za moją pracę... Gdy-

bym ci ból odczyniła, samabym go wziąć musiała, bo tu nie ma ani źródła, ani kamienia, ani drzewa, gdzieby się zostało... a mnie trzeba na Kupałę...

I śpiewając o Kupale, Jaruha rzuciła Znoska, a sama w las dalej ciągnęła. Karzeł legł na łące i w trawach złożywszy głowę usnął...

XII.

adszedł dzień Kupały. święto w całym pogańskim obchodzone świecie, dzień Białego-Boga dnia i światłości, na którego cześć paliły się ognie nad Adrią, nad Bałtem, nad Dunajem, nad Łabą, Wisłą, Dniestrem, Rodanem i Sekwaną. Ze czcią tego Belboga, Bela, ludy wędrowały na zachód wszystkie; z kolebki swej rajskiej, w zimne kraje nowej ojczyzny.

Dzień Kupały najdłuższy w roku, noc Kupały najkrótsza, były jednym ciągiem wesela, śpiewu, skoków i obrzędów.

I na tej górze świętej nad jeziorem, kędy się z sąsiednich mirów na Kupałę najwięcej ludu zbierało, już o wschodzie słońca z kąpieli wychodzące tłumy, przybrane w wieńce, poprzepasywane bylicą, postrojone ziołami kwitnącemi, otaczały starych gęślarzy.

Wzgórze lekko opadło zieloną łąką ku wodom jeziora. Na szczycie jego rosły stare dęby, brzozy rzadkie, a dalej gęstszy coraz las ciągnął się dwoma ramiony, łącząc z niezgłębionemi puszczami, które naówczas całą niemal tę ziemię okrywały.

Od rana widać tu już było młodzież znoszącą suche gałęzie, łuczywo, bierwiona świeżo ucięte, gdyż martwego drzewa jak na budowę chaty nikt nie używał, tak i na ogień święty

nosić go nie było wolno. Gałęzie nawet suche z żywego drzewa musiały być obłamywane, bo w tych, które na ziemi leżały, mieszkała już śmierć.

Ze wszech stron widać było sunące sznurami niewiasty w bieli, całe w wiankach i opaskach zielonych, chłopaków w narzuconych na ramiona siermięgach. Zewsząd po gajach i lesie brzmiały przedśpiewy zwiastujące nocną uciechę.

Nagotowane ogniska widać było u skraju lasu, pod dębami i głębiej jeszcze. Kamiennemi siekierkami łupano drzazgi na podpał. Każda gromada obejmowała dawne miejsce i zgliszcza swe świąteczne. Gwar wesoły i śmiechy przebrzmiewały po lesie.

Pod dębem siedział Słowan, pod innym drugi śpiewak, którego zwano Wiłujem. Gdy jeden z nich nucił, przestawał drugi; śpiewali naprzemiany, ale pieśń jednego nie godziła się z drugą, zdawali się raczej przeciwić sobie niż łączyć.

— Słoneczko, oko dnia jasnego, świeć nam a grzej, śpiewał stary gęślarz. — Strumienie światła na ziemię biegną... Światło nam lej, Kupało...

Niech czarne smoki nie śmieją zaćmić twej twarzy, tyś życiem, szczęściem, nadzieją, tyś B g jest nasz, Kupało...

Królu, dniom naszym panuj bez chmury, do życia obudzaj chuć, tyś życia dawca, Boże Kupało, siej, żyw i budź, Kupało...

Ucichło, a Wiłuj brząknął w struny i niezrozumiałą piosenkę nucił pół-szyderskim głosem.

— Pieśni ty moja, pieśni! ptaszyno moja złota, tyś jak woda żywota, wskrzeszasz z śmiertelnej pleśni, lecz kto się w nurt twój miota, ten żywot prędko prześni... Dwojaka twoja cnota, żywot i śmierć jest w pieśni... Pieśń zmarłych wskrzesza z grobu, pieśń żywych na śmierć miota... w niej siła światów obu... i śmierci i żywota...

Spuścił głowę wypełzłą i zamilkł, milczeli oba, bo chór śpiewał za nich pieśń kupalną.

Słońce zapadać miało, wszystkich oczy i twarze ku niemu były zwrócone. Czekano, gdy ostatni jego promień zniknie

z drzew pozłoconych wierzchołków, aby ognie rozniecić i pieśni a korowody rozpocząć.

Starsze niewiasty siedziały na ziemi, a około nich cebry, i garnki, i niecki z mięsiwem, i kołacze a korowaje świąteczne widać było; młódź się kręciła i goniła po błoni, klaskając w ręce. Dziewczęta trzymały się gromadą, kupkami na nie nacierali chłopcy; rzucano słowy, wyścigano się krzycząc i odpędzano chustami napastujących.

— Kupało! Kupało! Ładо! — odzywały się tu i owdzie śpiewne głosy.

Około stosu Wiszów stał już Ludek i Sambor, który na gród wracać nie chciał, niemało niewiast i czeladzi. Poglądano ku lasowi, w stronę dworu, bo jednej Dziwy i Żywi nie było, a Dziwa miała pierwsza ogień podpalić i pieśń zanucić o Kupale.

Chłopcy tymczasem suche tarli drzewo, aby zrobić ogień Boży, któryby sam się zrodził, młodym był i nowym, a potem przez rok cały na domowem palił się ognisku. Był to ogień, którego z domu nikomu wynosić obcemu nie dawano. Kto ogień wynosił z chaty, brał z niej życie.

Już dwa smolne łuczywa dymiły w ich rękach, a ogień się jeszcze nie ukazywał i Dziwy nie było. Sambor więcej patrzył na ścieżkę, którą przejść miała, niż na robiący się ogień święty, który powinien był zapłonąć, gdy słońce zagaśnie.

Wtem z dali pokazało się dwoje dziewcząt w bieli, szły zwolna trzymając się za ręce. Zielone wianki miały na głowie, zielonymi przepasane były splotami, snopki ziół niosły w rękach, ale szły milczące, bez pieśni. Były to Dziwa i Żywia, obie jeszcze smutne po ojcu żałobą. Dziwie chodziły po głowie wyrazy starej Jaruhy, a choć pół-oszalonej babie nie dawała wiary, w sercu jej coś ciągle powtarzało: Nie idź na Kupałę!

Choć dzień był boży, weselny, szły smutne, zbliżyły się tak do swojej gromady, a Sambor zdaleka patrzył na twarz dziewczyny i dziwił się, że tak była posępną.

Wtem Ludek zbliżył się do niej.

— Siostry — rzekł — chodźcie wy razem w parze, nie

idźcie daleko w las... Ja Domanowi nie wierzę... W noc kupałową dzieją się czasem straszne rzeczy... Wieleż to dziewcząt przepada w lesie!... Nad ranem, u świtania, gdy szał ludzi ogarnie, pamięć tracą.

Dziwa się rumieniła słuchając, gryzła w ustach ruty gałązkę i trzęsła głową.

— Nic się nie stanie — rzekła — ani się Doman, ani żaden waży przystąpić do mnie, będę między swojemi. Jest was dosyć chłopców, aby siostrę obronić!

Brat zamilkł, a Żywia rzucając chciwie oczyma po gromadach, śmiała się blizkiej ucieczce, nogi się jej do skoków rwały, lica pałały, oczy błyskały, nuciła niecierpliwa.

— Dajcież pokój ze strachami! — śmiała się — nikt się do nas nie waży... ale w taki dzień, nie czyńcież nam niewoli... tyle naszej uciechy... Kupało...

Dokoła śmiech i wołanie zagrzewały, dziewczęta przybiegały do nich i rwały za rękawy, aby szły z niemi. Powoli i na twarzy Dziwy jaśniej się zrobiło, uśmiech się zjawił blady.

I ona mruczała po cichu: Kupało!... Kupało!...

A zdala słychać było śpiew.

— Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało... Wiodą, wiodą pannę młodą, w złotą szatę przyodzianą... Księżyc jedzie z gwiazd drużyną, witaj słoneczko kochane... Ty mi będziesz królowało... Słoneczko moje jedyne! Kupało!

Chłopcy stali na uboczu, szeptali cicho, z ukosa patrzyli na dziewczęta i wybierali oczyma. Szał czasem opanował nad ranem te gromady i dziksze z nich szły jak „stada“ w las, porywając gwałtownie dziewczęta. Zwano też te szały „stadem“. Rodzina jednak każda pilnowała swoich i stała na czatach, aby do „stada“ nie dopuścić i od porywania obronić.

Dziwa patrzyła na zachodzące słońce, którego promienie ozłacały jej twarz i lśniły się we włosach. Ostatni blask zagasał; już tylko łuna czerwona wskazywała gdzie zapadło, dwa smolne łuczywa ogień obejmował boży, zażegniętą żagiew podano dziewczynie, która żywo i zręcznie pod stos ją podło-

żyła. W tej samej chwili przy wszystkich ogniskach błyskały już ogniki i wielkim głosem wołano radośnie: Kupało!...

Niewiasty stawały kołem, biorąc się za ręce osobno, osobno mężczyźni i pieśni brzmiały po lesie dokoła.

Po polach na puszczy, w całej okolicy przed chwilą cichej i głuchej, wszystko przeszło w radosne drganie i okrzyki. Zdało się, że i drzewa i wody i obłoczki na niebie, i trawy na polu, pieśnią tą i radością odbrzmiewają.

Zbudzone śpiewem podniosło się wodne ptastwo na jeziorze, zaszeleściało w krzewach, a wokoło stosów dziewy zawiodły uroczystą pieśń kupalną, o Bogu w złotym wieńcu, co polom niósł ziarna złote, co łąkom niósł rosy, co ludziom chleb dawał, co wypełniał kłosy, co ule zasładzał, który czynił dzień, miłość zsyłał i wesele. Był to dzień ślubowin niebieskich słońca z księżycem. Radowała mu się ziemia, otwierała skarby swoje, noc ta nie miała tajemnic, wszystko zaklęte wracało do swobody, duchy jasne zstępowały z niebios i poiły ludzi własnem weselem... Śmierć i czarne widma kryły się w przepaści, pod ciemny płaszcz Jamy.

Ledwie pieśń pierwsza przebrzmiała chórem, ze swemi zwrotkami, dała się słyszeć druga. Chóry dalekie odpowiadały sobie. Dziwa z podniesioną głową szła przodem wiodąc skoki i zawodząc pierwsza, dziewczęta biegały za nią posłuszne.

Zrazu śpiew ciągnął się powolnie, krokami szły ociężałymi, potem pieśń żywiej brzmieć zaczęła, ruch coraz szybszym się stawał, rozgorączkowywał głos, miotały ręce, podnosiły głowy i oczy... Stare niewiasty oparte na kijach, siedzące na ziemi, które pójść nie mogły z korowodem, poklaskiwały siedząc, poruszały głowami, całem ciałem drgały wspomnieniem młodości.

Las płonął światłami i huczał pieśnią i tętniał skokami.

Zdala widać było ogni łuny, a około nich wirem, kołem zwijające się cienie, z rozwianymi włosy, rozpuszczonemi szaty, rozsypującymi się wieńcami, podniesionemi rękami. — Hej! Kupało! Kupało!

Gdzieindziej chłopcy brali kąpiel płomienną, skacząc przez

ogniska i przyklaskiwano ich skokom, kiedy niekiedy krzyk się dał słyszeć, bo parobcy rzucali się na dziewczęta, a wśród tego szału, zamętu, nocy, działo się często, co tylko na Kupałę przebaczonem być mogło.

Lecz więcej śmiechów było słychać, niż krzyku, a wesela niż płaczu.

Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonemi żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska a potem wyścigiwać się po łące i wybiegać na polanki z niemi.

Gdzieindziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu-Bogu, przygasał płomień na chwilę i buchał potem z nową mocą. Parobczaki nieraz spotkali się w skoku, wśród płomieni i dymu, uderzyli o siebie... nieraz się śmiejąc chwytali za bary, padali na ziemię i tarzali mocując.

U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się te skoki, a wnet potem z ogniem pogony. Z pozapalanemi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien był zagasnąć, obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały.

Na niebiosach, jakby z pod zasłon przypatrując się ciekawie temu, co się działo na ziemi, szła zorza wieczorna całować się ze wschodzącą jutrzenką... noc zaledwie przysłoniła lasy, a już dzień świtał na ziemi.

Teraz zaczynało się picie i ucztowanie, około ognisk, wśród wesela i śpiewu.

W kółku swojem znużona już śpiewaniem i skokami siedziała Dziwa i w ogień patrzała.

Sambor nad nią czuwał zdala, lecz ani razu, ni razu nawet okiem nań nie rzuciła. Chłopak, choć go kusili parobczacy do wyścigów i do picia, niewiele miał ochoty, kręcił się błędny, odchodził i powracał, wciąż na oku mając córkę gospodarza, a na pamięci Domana... Dziwa go zobaczyła tak stojącego na straży i skinęła na niego.

— Idźże do ludzi! — rzekła — idź się wesel z drugiemi!

— A wy... Dziwo! — odparł Sambor — czemuż wy chodzicie chmurno i smutno?

A biada tej, co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp rzucał się na jej obronę...

— Ja... — poczęła cicho dziewczyna — ja! bo moja dola inna niż wasza! choćbym chciała, weselić się nie mogę... Czego oczy nie widzą, to serce czuje, a gdy serce smutne, trudno być twarzą wesołą...

Podniosła oczy do góry.

— Za lasami, za górami — mówiła do siebie — łuny płoną... inne łuny... śpiewy słyszę, nie weselne... szumią bory... tłumy ciągną, żagiew w jednej, miecz w drugiej dłoni... Woda się w krew przemieniła, białe lilie poczerniały... Hej! hej!...

I zwiesiła głowę smutnie, zapominając o Samborze, który ze strachem jakimś stojąc za nią, słuchał i nie rozumiał. To, co mówiła, tak się nie godziło z tem, co dokoła tętniło... Chłopak długo jeszcze zdala się w nią wpatrywał, ale już nie śmiał przybliżyć. Żywia wyrywała się z korowodu przy ogniu i przybiegła do niej, usiłując ją pociągnąć z sobą; chwytała siedzącą za ręce, próbowała chwycić z sobą i wracała śpiewając sama.

Sparta na dłoni, dziewczyna obrywała bylicę z wianka, bawiła się kwiatkami i jak nieprzytomna myślą gdzieindziej się być zdawała... może przy ojcu i matce ..

Jakiś czas Sambor z pod dębu, o który się sparł, patrzył na nią, trwał na czatach, lecz Dziwa raz jeszcze go przywołała do siebie i kazała mu iść do zabawy.

Posłuszny poszedł, sam nie wiedząc dokąd, bo mu się wcale skakać i ścigać nie chciało.

Ciągnął zwolna, bez myśli ku lasowi. Chciało mu się uciec gdzieś, skryć się, spocząć, a bór był pełen ogni i wrzawy. Nie było w nim prawie ciemnego kąta.

Siedzieli na ziemi starzy pijąc i jedząc, pod drzewami szeptały pary młode; dziewczęta szły sznurami, wiodąc się za ręce, zastępowali im chłopcy... uciekały z krzykiem, a biada tej, co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp rzucał się na jej obronę, parobczaki powołani biegli na pomoc, walka zawiązywała się nierówna, aż dziewki się płonącemi polany w końcu obraniać musiały.

Sambor pominął kilka ognisk i kilka obozowisk na ziemi, uganiającym się chwycić nie dał. Zatrzymywali go znajomi i nieznajomi, aby z nimi pił, aby szedł z nimi — odmawiał. Posądzono go, że coś złego miał na myśli...

Zaszedł tak aż w głąb boru, gdzie już tylko zdala przez gałęzie przeciskała się łuna od ognisk i ciemno było dokoła. Tu pod dębem legł. Głosy kupalne słychać było, ale nie widać nic, oprócz blasków, które czasem złociły gałęzie u góry. Listki na nich naówczas wydawały się jakby z blaszki złotej, a ptaszki przebudzone latały pozłacanemi skrzydłami. Sambor legł i głowę a oczy w ręce utulił. Słuchał śpiewów i nie słyszał, marzyły mu się, bo zwolna sen za powieki go chwytał.

Wtem zdala coś zatętniło... załopotało... zadrgało. Czy zwierz spłoszony tą wrzawą? Ale zwierz szybko pomyka, a tętent sunął się powoli, ostrożnie, milknął i wznawiał... zbliżał się i stawał... Sambor rozróżnił już stąpanie kilku koni i ludzi, ciche szepty. Skrył się więc głęboko w gąszcz, w trawy i krzaki, i czekał.

Ostrożnie wysunęła się z boru ludzi kupka. Blask, który wpadał zdala, nie dozwalał rozeznać twarzy. Mężczyzna jechał na koniu silny, dwu za nim, kilkoro czeladzi podążało pieszo. Schylali głowy i podnosząc gałęzie przypatrywali się ogniskom.

— Podkraść się trzeba pod koło... — szeptał jeden — co za dziw na Kupałę porwać sobie dziewczynę? Komu jej nie dają po woli, musi wziąć gwałtem... Bylem ją na koniu miał, to moja, nie wyrwie mi się, nie dogonią, nie odbiorą... Zechcą bronić... choćbym życiem przypłacił! Na prawo...

I szepcząc posunęli się wszyscy ku brzegowi lasu, mijając przyczajonego Sambora. Zsiedli z koni, wiodąc je po cichu za sobą i kołowali wybierając, kędy przejść mogą nie postrzeżeni. Jeden odgarniał gałęzie i oko puszczał przodem, a sam wśliznął się potem, stawał, szedł bacznie. Sambor też za nimi wypełznął z krzaków, wyminął ich i niespokojny, rzuciwszy się drugą stroną, gąszczami puścił szybko ku ogniskom. Pośpiech ten go zdradził, usłyszał wnet pogoń za sobą, silne ręce chwyciły go z tyłu. Wyrwał się i stanąwszy do boju,

uderzył głową w piersi napastnika tak silnie, że padł na ziemię. Lecz padając porwał i Sambora z sobą, chwyciwszy za koszulę. Wzięli się na ziemi za bary, dusząc i mocując, tarzając razem w gęstwinie, gdy dwóch jeszcze przypadło i siadłszy na parobka, zdusili go tak, iż tchnąć nie mógł.

Wnet zawiązano mu gębę, spętano ręce i nogi.

Domyślono się zdrady, zlękniono popłochu i skrępowanego Sambora popchnęli w krzaki, a sami pobiegli nazad do koni.

Słyszał jak spiesznie oddalali się szepcząc pomiędzy sobą.

Związany próżno się rzucał po ziemi, usiłując więzy potargać. Łyka i powrozy były mocne. Leżał więc tak rozpaczając a słuchając, ale pieśni, krzyki, wrzawa, trzaskające ognie, nie dawały rozróżnić żadnego głosu.

Jak wiek długo trwała ta męczarnia. Blask ogni zaczął niknąć, a brzask dnia wciskać się z góry. Coraz jaśniej robiło się w lesie. W krzakach budziły się ptaki, kręciły się i podlatywały około niego. Przyleciała para gołębi dzikich gruchając i pierzchnęła, kukułka zakukała kilka razy, górą zaszelepotały skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka, którego dojrzeć nie mógł.

Cisza nastawała ze dniem.

W dali słychać było ze śpiewami odciągające gromady. Słońce zajrzało w głąb lasu, na wzgórzu nie było już nikogo.

Miotając się ciągle i targając, Sambor nareszcie gębę naprzód potrafił od chusty uwolnić, zębami na rękach i piersi więzy porozrywał, po długiej męce pękły nareszcie — był wolnym.

Złamany, poraniony, wściekły, wyrwał się biegnąc ku polanie. Tu pusto już było, dymiły jeszcze gdzieniegdzie niedogasłe ognie, leżały czarne węgli kupy i potłuczone garnki i rozbite naczynia. Wszystkie gromady poodciągały do domów. Sambor pół żywy, spotniały, zwlókł się i stanął, gdy usłyszał głos za sobą.

Zdala na ziemi pół leżała, pół siedziała baba. Zwano ją wiedźmą Jaruhą. Ta to sama była, która w lesie Dziwie na

Kupałę iść odradzała, ale sama spieszyła i widać było teraz, że nie darmo... Jaruha, która była okolicy i gospodyń postrachem, bo łatwo jej było mleko odjąć, we zbożu węzeł zawiązać, wodę zaczarować, dzieżę zakwasić, miała się dobrze przy Kupale.

Poili ją wszyscy, aby gniewna nie pomściła się urokiem. Siedziała rozmarzona, pijana, wahając się, przechylając, podśpiewując, szepcząc sama do siebie. Zobaczywszy Sambora podniosła rękę i wołać nań poczęła.

— Hej! sam tu chłopcze, rękę mi daj! zaraz mi rękę daj!... Nie bój się, nic ci złego nie zrobię... Jeszcze ci mogę lubczyku dać, aby cię dziewczęta kochały... ino mi rękę daj! rękę daj! bo sama nie wstanę, a muszę iść!

Chłopcze... słyszysz! rękę daj, lub urok ci rzucę... kark skręcisz do nowego miesiąca... Rękę mi daj!

Sambor się odwrócił, żal mu się starej zrobiło.

— Jaruho! — rzekł — choćbym ci się podnieść pomógł, nie pójdziesz ty o swej sile, a ja cię prowadzić nie mogę, bo mi do chałupy czas.

— Nie mędruj, daj ino rękę... Jak wstanę, jak się ustoję, pójdą jeszcze nogi moje... Chłopcze...

Sambor przystąpił i oburącz podniósł starowinę. Trzęsła się, stojąc, chwiejąc, jak gdyby paść miała, ale utrzymała na nogach. Oczyma zakrwawionemi popatrzyła na niego.

— Cóżeś to ty spał tak długo? — zabełkotała.

— Nie spałem, matko! Źli ludzie mnie związali, ledwiem porozrywał pęta... Jaruho! nie stało się co na Kupale?

Starucha popatrzyła nań, przekrzywiła usta i rozśmiała się.

— A co się stać miało? to co się zawsze na Kupałę dzieje. Kupała Bóg gorący, dziewcząt dosyć nacałował... a jednę, najkraśniejszą! hę?...

Ręką machnęła i zaśpiewała ze śmiechem:

Przyjechał pan na koniku,
Porwał dziewkę przy gaiku...

Oj, gaju — ty zdradniku...
Oj, byłoż — było krzyku!
Kupało!

— Którą? kto?... — zakrzyczał Sambor.

Starucha palcem pogroziła na nosie.

— Ej ty! parobku... parobku!... tobie się też jej chciało! gospodarskiej córy. Zerkałeś i ty na nią, ja wszystko wiem... Pyszna była... mądra była... w wianku sobie chodzić chciała... A no... wianek z wodą płynie... z wodą. Porwali ją... porwali młodą... Do komory wiodą... Cha! cha! Otóż tobie królowanie dziewicze!...

W ręce plaskać zaczęła, a Sambor załamał swoje.

— A bracia! a czeladź! a nasi!...

— Pobili, potłukli, porwali, ponieśli... Albo to na Kupałę nowina! albo to co złego?... Co się młodość ma marnować? Doman kmieć bogaty... Kobiet ma kilka, a żony żadnej. Ona tam będzie królować... Oj, Kupała! Kupała!

Zaczęła Jaruha śpiewając, zataczając się i w ręce chude poklaskując.

Stał Sambor jak zabity.

Baba w oczy mu patrząc, śmiała się.

— Dobrze tak! harda była! Ja to wiem, ja to wiem, czego się jej chciało... u ognia w chramie stać, by się jej ludzie do kolan kłaniali, a ona im wróżyła... E! e! a do garnków, do kądzieli! Pomiatała swatami, żaden godzien jej nie był... Jam jej wczoraj mówiła: Nie idź na Kupałę... Przyszedł księżyc, panicz gładki, nie pomoże krzyk i płacze, na konika z dziewką skacze... Na koń wsadził, na dwór biały uprowadził... Ot, co może Kupała...

Śpiewała Jaruha, podskakując na murawie, choć nogi jej nie bardzo służyły. Sambor się oddalał z głową zwieszoną.

— Bywaj zdrów, dobry chłopaku — wołała za nim — pójdę już ja bez pomocy... A ty, coś starej podał rączkę, jak zechcesz, to ci młodą wyswatam... taką, że ją tylko całować a całować i jeść jak malinkę... Bywaj zdrów... idę sama...

I poszła powoli, podśpiewując, śmiejąc się głośno do

siebie, hukając ku lasom, rozmawiając z ptakami, które przelatywały.

Chłopak się wlókł niespokojny i gniewny do domu. Drogą znaną same nogi wiodły.

Gdy stanął u zagrody, znalazł w podwórku wszystkie niewiasty zawodzące, parobków z Ludkiem w drugim końcu zebranych. Ludek miał głowę zakrwawioną. Kłócili się wszyscy, siostry i bratowe płakały.

Wpadli na powracającego wszyscy, gdzie był. Począł opowiadać, co się z nim działo, oni mu też, jak ich już powracających, z lasu wybiegłszy Doman z ludźmi napadł i mimo oporu Dziwy, co go przekleństwy i łzami odstraszyć chciała, na koń ją rzucili i unieśli. Ludka, który jej bronił, uderzył jeden po głowie oszczepem, innym się też razy dostały.

Jeszcze spór trwał o to, kto winien, że dziewki nie obroniono, Ludek chciał zgromadzić swoich i napaść na dwór Domana, aby się pomścić gwałtu i zniewagi, choć drudzy go odwodzili tem, iż zwyczaj był nieraz żony porywać, a gdy pochwyconą została, nie godziło się jej odbierać, gdy we wrotach ukazała się Dziwa!!

Krzyk wyrwał się z piersi niewiast, które gromadką ku niej pobiegły.

Stała z twarzą płomienistą, niemal krwawą, na koszuli widać było też krwi bryzgi, konia za uzdę trzymała, który ją tu przyniósł. Wianek jej w drodze ze skroni spadł, odzież miała zmiętą i zszarzaną, w oczach błyskał ogień straszny.

Stanęła przed chatą, milczała, zdawała się na pół obłąkaną.

Rzucili się ku niej, wołając: Dziwa! Siostra padła wieszając się jej na szyi i płacząc. Dziewczę długo jeszcze, drżące, słowa nie mogło wymówić.

Sambor otworzył jej wrota i zlekka cugle konia wziął z jej ręki.

Zwolna poczęła iść ku chacie, nie patrząc na nikogo, ledwie uścisnąwszy siostrę, która ją pocałunkami okrywała. Doszła tak do przyźby, padła na nią, ręce opuściła i załamała.

Obstąpili ją wszyscy kołem.

— Dziwa, jakżeś ty mu się wyrwała?

Nie mówiła długo. Żywia jej w kubku świeżej wody przyniosła, napiła się, westchnęła, z oczów puściły się łzy.

Sambor coś szeptał, patrząc na konia, był to koń Domana, po szerści jego jasnej płynęła struga krwi przestygłej.

Dziewczyna siedziała zamyślona, to ręką wodząc po czole, to coś szepcząc sama do siebie i uśmiechając się smutnie.

— Tak chciał! — zawołała nareszcie — zamiast Dziwy... Nija mu się dostała... Tak chciał... Jam zabiła Domana... Po co mnie brał siłą?

Spojrzała na brata marszcząc brwi.

— A! wy! coście mnie obronić nie umieli... jam się lepiej potrafiła. Od świętej góry do Domanowego dworu daleko... Ujął mnie w pół i cisnął... konia siekł... lecieliśmy cwałem... krzyku mego nikt nie słyszał... Chciałam mu wydrzeć oczy, ręce miałam jak połamane... drgały mi z gniewu i złości... Śmiejąc się uspokajał. Mieczyk mu błyszczał u boku... zobaczyłam go... Zmilczałam przyczaiwszy się... Jemu się zdało, że mnie ugłaskał... Milczałam, jedno drugiemu patrzyliśmy w oczy... Jak dziecko bawił mnie obietnicami... słuchałam. Koń ustając zwalniał biegu. Mieczyk mu świecił u boku... Do dworu było daleko... Mówił, że mnie miłował i dlatego gwałt uczynił... Patrzałam mu milcząc w oczy... Mieczyk drżał pod moją dłonią... Schylił się chcąc pocałować... nie krzyknęłam... nóż miałam w ręku... Do zagrody było daleko, gdym mu mieczyk w piersi wbiła... jego własny... Chwycił za piersi rękami i spadł na ziemię... a jam z koniem poleciała... Nie było mnie gonić komu, ludzie przy panu zostali.

Spojrzała po braciach, którzy zasępieni milczeli, po siostrach, które strwożone oczy sobie rękami pozakrywały. Ludek patrzył na nią.

— Domanowe braty nie darują — rzekł — krew trzeba będzie dać za krew...

Dziwa i wszyscy umilkli.

Trwała cisza długo.

— Mnie już tu nie być — odezwała się nareszcie dziewczyna, patrząc w ziemię — pożegnam ja się z wami i pójdę stąd, na zawsze... Jak mnie nie stanie, zemsty na mnie brać nie będą... Pójdę gdzie oczy poniosą, kędy dola poprowadzi...

Wstała Dziwa, niewiasty wszystkie płakać i jęczeć zaczęły. Żywia objęła ją za szyję i razem weszły do chaty.

Bracia naradzali się cicho, co poczynać mieli. Dziwy długo nie było. Poszła świąteczne, potargane zwlec szaty i wianek uwić sobie nowy. W komorze po cichu zawiązała węzełek bielizny na drogę, a Żywia widząc te przygotowania, na ziemię płacząc legła.

Płakały potem cicho, ściskając się obie.

— Żegnaj mi jedyna, żegnaj mi rodzona... — pół-śpiewając, mówiło dziewczę — żegnaj ty mi na wieki! Ja muszę iść, porzucić wszystko, gdzie oczy i dola niosą. Pójdę na ostrów, na Lednicę, do chramu Nijoły, stanę u ognia świętego, stać będę, aż oczy wypłaczę i zgasną... aż ja żyć, albo ogień palić się przestanie.

Wyrwała się z objęć siostry.

— Teraz chodź, Żywio moja, siostro jedyna, pożegnajmy ognisko, pożegnajmy kąty, pożegnajmy progi, i ściany, i bydełko, i konie, i wszystko żywe i martwe... z czem się żyło, co kochało...

Uroczyste to było pożegnanie, do którego się wszystkie przyłączyły niewiasty. Szła Dziwa do ogniska i rzuciła nań łuczywo ostatnie.

— Bywaj zdrowy ogniu mój domowy... już ja ciebie nie podsycę, świecić mi do kądzieli nie będziesz, ani grzać zziębniętą... Ogniu ojca, matki, sióstr i braci... świeć im jasno, grzej im duszę... Bywaj zdrowy...

Szły potem do chlebnej dzieży, którą Dziwa objęła.

— Bywaj zdrowa matko, coś mnie chlebem białym karmiła... bodajś zawsze pełną była i we czci u ludzi stała... Chleb twój karmić mnie nie będzie...

Tak samo próg żegnała, komory, gumna, stodoły, szopy,

krówkę czerwoną, owieczki bure i konie, i psy nawet... i studnię, z której wodę brała i wrota.

U studni wzięła Dziwa wiadro, zaczerpnęła raz ostatni, napiła się i zapłakała... Uściskała siostrę, bratowe, braci, wszystkich pożegnała, kłaniając się do nóg wkoło... Wrota raz ostatni otwarły się i zamknąwszy za nią, szła żegnać rzekę, co pod dworem płynęła i kamienie, na których ojciec siadywał.

Nikt się podróży tej sprzeciwiać nie śmiał. U płota uwiązany stał koń skrwawiony Domana, kazała go puścić i nagnać, aby do swojego wracał stada.

Stara Wielicha i dwu zbrojnych parobków odprowadzić ją mieli do jeziora nad Lednicą. Sambor się wprosił trzeci.

Gdy Dziwa jeszcze raz ostatni obejrzała się ku zagrodzie, a powiała chustką białą, płacz i jęk dały się słyszeć ze dworu. Siostry i bratowe posiadały na ziemi i jak po umarłej zawodzić poczęły.

A w dali słychać było, jak koń Domana puszczony na wolę, cwałem, rżąc, przez lasy pędził do swoich.

XIII.

oło domu Domanowego cicho było i pusto, gdy następnego dnia Myszko przybył na koniu i stał u wrót.

— Niema Domana? — zapytał sługi, który we wrotach stał.

Milczał parobek.

— Jest pan doma? — powtórzył.

Nie było odpowiedzi.

— Cóżeś ty oniemiał? — zawołał po raz trzeci groźnie już przybyły kmieć, któremu się czoło pofałdowało.

— Co mam mówić? — nieśmiało począł chłopak — Doman leży na pościeli raniony, baba mu ranę myje i ziołami zakłada... Dyszy jeszcze... ano, życia mało...

Myszko się rzucił na koniu i skoczył z niego.

— Kto go ranił?

Tu znowu zabrakło odpowiedzi; pokraśniał sługa, oczy spuścił, widocznie wstyd mu powiedzieć było. Niepewien nawet był, czy się godzi zdradzać tę tajemnicę, bo dla mężczyzny rana przez dziewkę zadana, bezczestną była prawie.

— Nie wiem — rzekł ostrożnie parobczak, chociaż świadkiem był, gdy padał Doman na ziemię.

Myszko się dziwnie nań popatrzył, lecz już nie spytał go więcej i zwolna pociągnął do dworu, do świetlicy.

Ciemno w niej było. Przy ogniu, który się palił maleńki wśród kamieni, skurczona siedziała Jaruha, prażąc coś w garnuszkach i skorupkach i szepcąc po cichu.

W głębi izby, na skórze, leżał blady, z oczyma w słup, otwartemi, z usty, których blade wargi były rozwarte, w gorączce, pół-senny Doman. Na piersi widać było pokrwawioną koszulę i płachty mokre.

Jaruha spojrzała na wchodzącego i palec pomarszczony, czarny, położyła na ustach, ale Doman już drgnął, ruszył się, jęknął i jakieś mruczenie niewyraźne z ust mu się wyrwało. Oczyma zatoczył, ciałem się ruszyć nie mogąc. Myszko szedł ku niemu powoli. Ni jedna ni drugi nie mówił nic, gość siadł w nogach na ławie.

Tymczasem starucha sięgnęła do kubka stojącego przy niej, napiła się, otarła usta i poszła mokre jakieś niosąc ziele do chorego. Położyła mu je na piersiach, zaczęła mruczeć, ręce obie nad nim podniosła, przebierając palcami, splunęła na jedną i drugą stronę. Doman nie ruszał się, tchnął tylko ciężej.

Na ten znak życia pies, który leżał na ziemi podniósł głowę zwolna i wlepił w pana oczy.

Myszko nie spuszczał z niego wejrzenia, ale się odzywać nie śmiał. Zdawał się chory spać i marzyć. Niekiedy białe zęby jego ścięły się i zgrzytały, to znów uśmiechał się niby. Ręce mu drgały, jakby coś chciał pochwycić... i opadły bezsilne.

Myszko skinął na Jaruhę.

Przystąpiła doń, wprzódy rozpatrzywszy się w nim dobrze i stanęła z pokorą.

— Kto go ranił? — zapytał gość.

Jaruha milczała długo, trzęsąc głową.

— Hę? Dzik! — rzekła — a tak! dzik... kłem... rozdarł mu piersi.

Gość oczy ciekawe zwrócił na nią i ruszył ramionami.

Jaruha się poprawiła.

— Jeleń... albo ja wiem?... na łowy wyjechał, a z łowów go przynieśli...

I trzęsła głową, brodę w ręku ściskając.

— Oj... łowy te, łowy.... gorzej wojny, takie łowy!...

Widocznem było z twarzy gościa, iż słowom jej nie wierzył. Ale w tej chwili na progu ukazał się Domanów brat Duży. Myszko wstał i podszedł ku niemu, a Jaruha u łoża stojąc, za niemi patrzała, bo wyszli ze dworu na podwórko.

— Mówże choć ty prawdę — zapytał Myszko — co mu jest, kto go ranił? gdzie?

— Wstyd przyznać się — cicho szepnął brat młodszy — za dziewką poleciał na Kupałę, za Wiszową... porwał ją na koń. Dziewka mu miecz od pasa wzięła i w piersi wbiła.

Spuścił głowę Duży, jakby go to wyznanie zbyt wiele kosztowało.

Namarszczył się słuchający.

— I uszła? — spytał oburzony.

— Doman z konia padł, bo go srodze raniła, nie wiem, czy i żyć będzie, choć baba krew zamówiła i okłada ranę — mówił Duży — a dziewczyna z koniem do domu uszła.

Słuchając opowiadania Myszko, zdawał się ledwie uszom wierzyć, śmiałość dziewczyny, nieopatrzność Domana wydawały się niepojętemi. Zamilkł...

— Wywołajcie babę — rzekł po namyśle — spytamy jej, czy z niego co będzie, czy przepadł... Mnie on potrzebny i nam wszystkim...

Posłuszny chłopak skinął od progu na Jaruhę, która z udaną powagą, choć widocznie podchmielona wysunęła się z chaty.

— Słuchaj, stara wiedźmo — rzekł odwracając się ku niej przybyły — będzie on żył?

Jaruha podniosła głowę, pokiwała nią, spuściła, podparła brodę na ręku, myślała długo.

— Kto to może wiedzieć — rzekła — albo to ja tam była, gdy mu krew upływała? albo ja patrzyła gdy go zabijali? Ja swoje robię... Krew zamówiłam, ziela nawarzyłam,

płachty położyłam... a może kto ranę przeklina... może urok rzucili?

Nie można się z niej było dowiedzieć więcej. Myszko stał zafrasowany, gdy w świetlicy usłyszano wołanie.

— Bywaj tu!

Pobiegli wszyscy, Doman się był na łokciu spierając podniósł blady, ale przytomny, i pić prosił.

Jaruha mu jakiegoś gotowanego napoju przyniosła, który pochwycił chciwie. Oczyma powiódł po izbie, brata poznał, a obcego zobaczywszy spuścił oczy. Ręką uciskał piersi, jakby mu co zawadzało. Myszko stał nad nim.

— Widzisz — rzekł — z koniam padł... i na mieczyku się przebiłem...

Nie śmiał oczu podnieść.

— Myślałem, że mi koniec przyjdzie... a no jeszcze żyję...

— A to ja wam krew zamówiłam, proszę miłości waszej — wtrąciła Jaruha — gdyby nie ja! hę! hę!

— Co wy tam uradzili, Myszku? — spytał odwracając rozmowę.

— Dziś z tobą o tem nie gadać, kiedy leżeć i lizać się musisz.

— Wyliżę się — rzekł Doman — a nie chcę, abyście mnie zapomnieli, jeśli co do roboty macie... Nie ja to bracia pójdą i ludzie... Bylem chodzić mógł nie zaśpię doma... Człek najprędzej wydobrzeje, gdy na konia siędzie.

— Nie prędko wam o koniu myśleć — przerwała Jaruha — krewby się znowu puściła, a jakby mnie nie było do zamówienia...

Nikt baby nie słuchał i umilkła. Duży nawet na drzwi jej wskazał. Wiedźma pokręciwszy się około ognia, wyszła mrucząc.

— Źle z nami — rzekł Myszko — źle z nami Domanie. Na wiecuśmy nie obradzili nic, a teraz gorzej się jeszcze kroi. Chwostek sobie zebrał dużą drużynę, nawet między naszymi... Bodaj po niemców posłał i pomorców, aby mu

w pomoc przybywali, chce nas wszech zawojować i obrócić w niewolniki... Radźmy sobie...

— Pierwsza rzecz — rzekł Doman — tych się zbyć co jemu służą, a z nami iść nie chcą, bez tego nic...

— Pewnie — odparł Myszko — z tymi co jawnie z nim trzymają, rzecz łatwa... ale kto wie, ilu z nim potajemnie?.. Starego Wisza nie stało.

Na wspomnienie starego Wisza głowę spuścił Doman i zamilkł.

— Trzeba nam dalej prowadzić mirową sprawę... Nikt nie chce stanąć na czele gromady, aby mu się to nie stało, co Wiszowi... Jechałem do was na radę... a wy...

— E! e! co będę kłamał — żywo zawołał jakby z trochą gorączki Doman. Odsłonił piersi, odrzucił płachtę i śmiejąc się dziwnie pokazał siną, ledwie przysychającą ranę, która miała kształt miecza, jakim była zadaną.

— Patrz Myszko — dodał — dziewka mi ją zadała! dziewka!! Wiszowa dziewczyna. Wyrwała mi się z rąk jak ślizki węgórz... Srom i wstyd! Przed ludźmi nie pokazać oczów chyba, póki jej nie będę miał... Nie utai się to... własna czeladź mię zdradzi... baby się ze mnie urągać będą... Prawda brata raniłem, gdym ją chwytał, ale od dziewki dostać ranę...

Padł na pościel.

— Weźmiesz ją i pomścisz się — zawołał Myszko — chciałeś ją mieć za żonę... uczynisz niewolnicę, lub zabijesz... nie truj się tem i bądź spokojny...

— Bylem siły miał trochę, doma nie zostanę... pali mnie łoże i srom...

— Słuchajże Doman — wy z kim? — przerwał Myszko.

— Z wami — odparł krótko ranny i wskazał na brata — on, ja, moi ludzie, czeladź. My stare kmiecie jesteśmy do swobody nawykłe, do ostatniej kropli krwi miru bronić będziemy. Kneź mir łamie, niech głowę da!

— Niech da głowę! — zawołał Myszko i wstał. — Więcej już słyszeć nie chcę i nie potrzebuję... Na tem dosyć...

Duży przyniósł mu miodu w kubku, gość z pośpiechem do ust go zbliżył i napił się, biorąc rękę Domana.

— Za rychłe wyzdrowienie twoje... Słowo?

— Słowo kmiece... i klątwa... ja z wami... a umrę ja, z wami bracia do ostatniego...

I legł na pościel. Myszko wyszedł i na konia siadł.

Napowrót weszła Jaruha zbliżając się do łoża chorego; spojrzała na piersi, z której płachty zrzucone leżały na ziemi i załamała ręce. Poczęła je podnosić mrucząc.

— A zdrowymbyś być chciał miłościwy panie — poczęła — baba was wyratowała i słuchać jej nie chcecie...

Nie opierał się chory, gdy mu znów owe mokre zioła i bieliznę na piersi przyłożyła. Znużony choć małem wzruszeniem, Doman się zdrzemnął zaraz. We dworze milczenie było znowu.

Nadchodził wieczór, gdy Duży stojąc we wrotach, zobaczył jezdnych z lasu wychylających się na pole.

Było ich czterech. Jeden przodem jechał, wprost na dwór. Już zdala poznał chłopak Bumira, kmiecia, który mieszkał ku Gopłu. Bumir stary był już, ale jak żubr silny, kark miał gruby, nogi i ręce ogromne. brzuch spasły. Ciemne włosy na pół już siwe bezładnie otaczały mu głowę okrągłą, w której wypukłe oczy żabie i usta szerokie siedziały. Z Bumirem mało co się znali, nie lubił go Doman, po co tu ciągnął, trudno było odgadnąć. Stanął ze swemi u wrót.

Gościnność stara nikogo, miłego czy nie, odpychać nie dozwalała.

Pozdrowili się z Dużym.

— Zabłąkałem się — rzekł Bumir — dacie mi spocząć u siebie. Ludzie się zagnali za jeleniem, który oszczep niósł w sobie. Jakiś zwierz, w którym Licho siedziało, poprowadził nas na obłędy... drugi dzień włóczymy się po lesie...

— Brat mój się okaleczył. leży ranny — odezwał się Duży — ale dom rad wam.

— Ja rany leczyć umiem — zawołał Bumir — pójdę zobaczę.

— Baba go opatruje...

Bumir sapiąc z konia zlazł i nie pytając do izby ciągnął.

— Sadło którem rany zalewam, czeladź ma — odezwał się Bumir — zalejemy mu sadłem i do kilku dni znaku nie będzie.

Wchodzili do izby, Doman jakby poczuł już obcego ruszył się zaraz. Jaruha, która przy ogniu drzemała, zbudziła się spluwając i gniewna. Bumir nie zważając na nic, do chorego poszedł.

Gdy na siebie spojrzeli, zaraz postrzedz było można, że gospodarzowi gość ten niemiłym był.

— Zabłądziłem, dacie mi spocząć — rzekł, siadając na ławie.

Doman ręką skinął i bratu dał znak, by gościa przyjmował. Bumir się rozsiadł i sparł na stole.

— Sadło moi ludzie mają — rzekł — które najsroższe rany goi. Niedźwiedź jucha raz mi do połowy skórę ze łba zdarł, wyleczyli mnie niem.

— Miłościwy panie — zawołała Jaruha — już tu nic nie trzeba... ja krew zamówiłam i zioła mam, co ranę prędko przygoją. Nie trzeba nic.

Chory też dał znak ręką. Bumir zamilkł.

Wszedł Duży z miodem znowu i z kołaczem, a za nim wnieśli misy. Gość począł jeść łakomie, pić chciwie i póki się nie nasycił, sapał tylko. Jaruha wyszła na podwórze, gdzie się rozrywała, żarty strojąc z czeladzią. Duży też stadninę począł opatrywać — zostali sami. Bumir znać tego sobie życzył, bo się zaraz do gospodarza przysunął.

— Ej, Domanku miły — począł pochylając się ku niemu — nie w porę tobie ta rana i choroba... U nas źle... nam trzeba ludzi i rąk... Kmiecie, braty nasze, burzą się i złego piwa nawarzą...

Namarszczyło się czoło choremu.

— Cóż się tam dzieje? — mruknął.

— Na naszego knezia wszyscy bij zabij... poszalawszy...

Doman już nic nie mówiąc, słuchał.

— Zginiemy wszyscy – rzekł cicho Bumir — knezia pogniewali — zemstę wywołują, niemców sprowadzi na nas...

Widząc, że gospodarz nie mówi nic, Bumir ciągnął dalej.

— Jest już zmowa na knezia... już się zbierają radzą... a wszystko to tylko, aby jednego ze swoich posadzić na grodzie. Nie o swobodę im idzie, a o skarby na zamku... My to wiemy. A no, omylą się. bo nas jest dużo też, co staniemy za kneziem i nie dopuścim... Nie dopuścimy!... — zawołał Bumir bijąc kubkiem o stół.

Oczy mu się zapaliły.

— Myszkom się chce panować, my wolemy tego co jest... My go już znamy, a tamci jeszcze się nie napiwszy, głodniejsi będą... Nie dopuścimy.

— Obliczyliście się? — zapytał Doman.

— Co się mamy liczyć?... Leszki pójdą wszystkie z nami, bo to ich sprawa, pojednają się... kmieciów też dużo jest, co chcą spokojnie swoje l e c h y uprawiać... a gromady co się wyrwą, kneziowscy ludzie rozgniotą na miazgę.

Bumir się tak odkrył ze swą wiarą, po miodzie, nieopatrznie. Doman daleko przebieglejszy od niego, dawno przewidział ku czemu to idzie i czuł. że Bumir go spyta nareszcie, z kim on trzymać myśli. Powiedzieć fałszu nie chciał, a prawdę zdawało mu się wyśpiewać niebezpiecznie. U narodów wpół wykształconych instynkt zachowawczy często dziwne formy przybiera i do różnych fortelów się ucieka. Domanowi przyszło na myśl, aby się chorobą posłużyć, w chwili gdy Bumir kończył mówić, jęczeć począł i chwycił się za pierś.

Jaruha stojąca pod oknem usłyszała ten głos i pośpieszyła nań.

Bumir umilkł. Przyniesiono zaraz płachty nowe; chory się skarżył. Wiedźma zapowiedziała. że musi zamawiać ranę, i że nikomu przy tem być nie wolno. Stary kmieć czarów się

i bab obawiał. Z przerwaną więc rozmową wyniósł się na próg sapiąc, obiecując sobie wrócić na dokończenie jej, ale po dość długiem oczekiwaniu Jaruha wyszła, objawiając, że skutkiem jej zamawiania chory zasnął i spać będzie do jutra, do rana, a snu mu przerywać nie wolno. boby duchy złośliwe chorobę rzucić mogły na tego, coby obudził chorego.

Rad nie rad Bumir się znalazł w podwórzu, nic nie sprawiwszy, z tem, że na resztę musiałby czekać do rana. Na to nie było sposobu. Pilno jechać musiał drugich namawiać, bo go był kneź znać wysłał, wziął więc na bok Dużego.

— Ja do jutra rana tu stać nie mogę — rzekł mu niecierpliwie — Doman śpi... Jutro mu powiecie odemnie, aby pamiętał co mówiłem i z temi trzymał. co mir miłują, a radzi siedzieć w pokoju. Powiedzcie mu to koniecznie, ja przed nocą jeszcze kawał drogi ujechać muszę.

Taką sztuką odprawiony Bumir, zły, mrucząc na konia siadł i pociągnął dalej. Doman wszakże spać nie myślał, babę tylko namówiwszy, aby mu się wykłamać pomogła. Zaledwie usłyszał, że konie za wrotami były, ruszył się na pościeli. Leżenie mu dokuczyło, chciał choć popróbować, czy mu się wstać nie uda. Przeraziła się Jaruha, która nie życzyła sobie widzieć go uleczonym tak prędko i poczęła niemal gwałtem nazad pędzić na łoże. I siły też nie pozwalały bardzo się dźwigać. Doman zaledwie popróbowawszy i poczuwszy się jeszcze osłabłym, nazad na łoże legł. Jaruha znowu zamawiała. Miała przytem jeść i pić do syta, czyniła się też potrzebną jak umiała.

Późno już było i Doman usnął po tych wysiłkach, gdy nowy gość do chaty się wcisnął.

Jak on tu potrafił się dostać, trudno było babie zrozumieć.

Właśnie usnąć miała, oparłszy się o ognisko, gdy na progu zobaczyła kocie oko Znoska.

Z głową obwiązaną płachtą, z okiem ciekącem, karzeł wsunął się do izby tak cicho, iż Jaruha ujrzawszy go, przelękła się jakoby wilkołaka zobaczyła.

Psy stróżowały na podwórzu, ludzie spali, wrota były zawarte. Pomimo to Znosek się dostał do zagrody....

Jak? To było jego tajemnicą. Wśliznąwszy się tu, podpełznął do starej, pokazując na swą głowę poranioną. Jaruha była litościwą, leki i czary stanowiły jej rzemiosło, dozwoliła się więc zbliżyć Znoskowi i zwolna głowę mu rozwiązała. Przyschła płachta odmaczaną być musiała, gdyż Znosek syknął z bólu, a Doman się obudził.

— Jakeś ty tu wlazł, że cię psy nie zjadły? — szepnęła głos zniżając wiedźma.

Znosek ledwie dosłyszanym szeptem odpowiedział jej na ucho, iż dowiedziawszy się, że ją tu znajdzie, musiał się dostać do dworu, bo go rany niezmiernie bolały.

Przyznał się, że nie mogąc inaczej, wdrapał się na drzewo stojące przy częstokole u zagrody i po gałęziach jego spuścił się w podwórze. Tu psów nie budząc, przypełznął do drzwi, które zawsze stały otworem.

Jaruha ranę mu poczęła opatrywać, szeptać nad nią i spluwać na wszystkie strony. Z węzełków potem swych dobyła ziół, z garnuszka nalała cieczy jakiejś i kazawszy z głową spuszczoną siedzieć Znoskowi, obwiązała go na nowo. Ogień przygasł był nieco i w izbie było prawie ciemno, ale właśnie gdy z głową spuszczoną klęczał przed nią karzeł, błysnęło łuczywo, blask oblał izbę, Doman się zbudził, otworzył oczy i ujrzał tę dziwną parę.

Obcy człowiek bez wiadomości jego w domu... w podrażnionym chorobą gniew obudził. Sądzili go jeszcze śpiącym, gdy nagle krzyknął straszliwie, wołając ludzi. Znosek chciał się wyśliznąć i uciec, ale już było zapóźno. Czeladź śpiąca za progiem zerwała się na nogi. Padł karzeł na ziemię twarzą. Zaczęło się wołanie, popłoch i Znoska schwyciła czeladź, prowadząc przed pana.

O tem stworzeniu, którego Doman nie widział nigdy, chodziły wieści dawno, jako o złośliwej istocie, będącej na posługach knezia. Wiedziano, że podpatrywał, że się wszędzie

wślizgnąć umiał i że go używano na podsłuchy. Domyśleć się było łatwo z postawy kim był.

W pierwszym gniewu napadzie Doman chciał go kazać powiesić na dębie. Znosek padł przed nim na twarz, jęcząc i błagając. Jaruha się wstawiać nie chciała, świadczyła tylko, że przyszedł dla ran, które miał na głowie.

Czeladź już się brała do postronków, aby z ochotą wielką spełnić rozkaz pana i Znoska jak wielką żołędź na dębie uwiesić, gdy na jęk i płacze Doman się ulitował i — psami go za podwórze wyszczuć kazał. Wyprowadzono go więc do drzwi, na psy świśnięto i uciekający co tchu ku tynowi karzeł, poszarpany, ranny, ledwie się potrafił całemu stadu goniących go ogarów wyrwać, zręcznie na płot wskoczywszy. Jeden z psów, który się był nogi jego uczepił, zawisł długo przy niej i wyrwawszy z niej to, co zębami chwycił, upadł na ziemię. Znosek jednak tyn przeskoczył i za zagrodą zniknął.

Jaruha już siedziała spokojnie u ognia i może nawet żałowała, że go nie powieszono, gdyż z wisielców różne bardzo potężne leki i czary naówczas wyciągano, któreby się jej były przydały. Nie obwiniano jej o to, że się przybłędzie ulitowała, i pozostała znów przy ognisku.

Znosek padłszy za zagrodą na ziemię, z nową raną, jęczał, pięście wyciągając ku dworowi i przeklinał jej pana Obiecywał sobie pomstę, choćby życiem zapłacić, a o tę zausznikowi kneziowskiemu było łatwo. Gdy nogę zawiązawszy, powlókł się nad ranem w las, aby go nie schwytano, znowu, ciągle jeszcze ku zagrodzie się zwracał, pokazując jej pięści i zęby.

XIV.

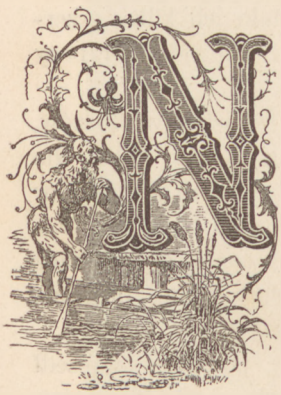

a jeziorze Lednicy, leżała wyspa, ostrów święty, do którego zdala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry przychodzili z ofiarami, po wróżby i rady pielgrzymi.

Niewiele naówczas takich chramów i świątyń liczono na ziemiach słowiańskich. U Ranów na ostrowiu stał chram Światowida, u Redarów drugi, u Serbów nad Łabą Trygłowa trzeci, w Stargrodzie w gaju czczono Prowego. Ciągnęły do nich na wielkie świątki i dnie uroczyste różne plemiona z dalekich stron, schodzili się ludzie jednego słowa, choć różnej nieco mowy, i u świątyń tych radzili i porozumiewali, co ku obronie od wspólnych wrogów przedsiębrać mieli.

Na ostrowiu Lednicy stał taki chram Nii, do którego szła właśnie Dziwa schronić się od pomsty i poświęcić resztę życia pilnowaniu ognia świętego.

Trzeciego dnia pokazało się jezioro szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono, jak ostrów, świętem było.

Ostrów też zdala się dostrzedz dawał, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. Zakrywały one chram oczom i zdawały się całą wyspę okrywać. U brzegu, na palach wbitych niegdyś w jezioro, stały chatki rybaków nędzne. Przy nich do palów poprzywiązywane czółna kołysały się jak senne, poru-

szając z falami. Rybacy zamieszkali w tych budkach przewozili na ostrów pielgrzymów.

Wieść niosła, że chaty biednych tych ludzi stały tu od wieków, że ich niegdyś była tu moc wielka, że pale część znaczną wód zajmowały, a na pokładach nad nimi cała niegdyś osada liczna i zamożna zamieszkiwała. Ale z czasem gniły pale, padały chałupy w wodę, ludzie się na ląd przenosili i rozpraszali. Teraz tu tylko pozostało ich kilka, zczerniałych, osiadłych nizko, okopconych, a zajmowali je rybacy i przewoźnicy.

U chat na palach pożegnała Dziwa swoich towarzyszów, tu już bezpieczna, sama iść mogła, kędy jej kazała dola. Nie potrzebowała ani druhów, ani drużki. Rzucił się jej Sambor do nóg, bo ją od dziecka szanował i miłował.

— Zdrów bywaj, Samborze — odezwała się — bądź szczęśliwy... pokłon odnieś ode mnie siostrze miłej, braciom, wszystkim... nawet ptakom, co koło naszej latały zagrody.

Z chaty na palach, które się trzęsły pod nim, wyszedł stary zgarbiony człowiek, w drżących rękach wiosło trzymając. Nie mówiąc nic zszedł do czółna, zstąpił w nie, odwiązał i czekał. Dziwa siadła, odbił od brzegu i czółno pomknęło po wodach spokojnych. Towarzysze stali i patrzyli, stara piastunka płakała padłszy na ziemię. Dziwa chustką wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły, jakby rozumiały, że się ze swoim rodzonym rozstawała światem.

Czółno płynęło. Już twarzy jej widać nie było, tylko koszulę białą i białą jak ona twarz, a potem plamkę białą, a później ostrów i drzewa zakryły czółenko i znikło. Dziwa płynęła, gdzie ją dola niosła. Wtem łódka się o brzeg oparła i zadrgała, stary wyszedł na ląd i przytrzymał ją. Para kamieni sterczała nad wodą; dziewczę wysiadło i wyszło.

Na ostrowiu cicho było, cicho... tylko tysiące słowików w krzakach na zabój nuciły. Pomiędzy łozy i olszyny wiodły ścieżki kryte, ludzkiemi powydeptywane stopami.

Dziwa szła zwolna przed siebie nie śpiesząc, wiedząc, że dojdzie, gdzie jej losy iść kazały.

Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły...

Wśród gęstwiny łączka się otwarła zielona. Tu gromadkami siedzieli ludzie i pożywali z kobiałek, co kto miał z sobą, w milczeniu jakiemś uroczystem.

Widać było po sukniach, ich barwie i kroju, że ludzie tam byli z krajów różnych. Byli tam mową i odzieżą odmienni od siebie, a językiem pokrewni Połabiańscy Syrbowie, Wilcy i Redary, byli Dalemińcy, Ukraińce, Łuczanie, Dulebianie, Drewlanie z Drażdańskich lasów; Polanie tutejsi, Łużanie z nad Warty i Odry, Bużanie od Buga, Chorbaci nawet i niezliczone naówczas plemiona, które się różnemi imionami zwały, z jednych rodów odszczepionych od pnia głównego pochodząc. Widok był zaprawdę piękny tych gromad, co się rozumiały, a przecie nie znały i dziwiły sobie, z których każda miała inną twarz i obyczaj odmienny, a wszyscy czuli się do jednej prastarej matki.

Nie bratali się bardzo, ostrożnie ocierali o siebie, ale zanucona pieśń, rzucone słowo zbliżało powoli.

Szare, czarne, brunatne, białe świty, siermięgi, opończe, pasami zielonymi, krasnymi, czarnymi i białymi poprzepasywane, odznaczały plemiona. Uzbrojenie też nie było równe. Plemiona z nad Wełtawy i Łaby, bliższe Niemców, już od nich wiele zapożyczyły, ci co mieszkali ku Wiśle i w głębi, dziczej wyglądali jeszcze. Z nad Bałtu (białego słowiańskiego morza) mieli dużo przywoźnego sprzętu, który im statki z dalekich krajów przynosiły.

Dziwa przeszła między gromadami, które ją ciekawemi mierzyły oczyma. Chramu stąd jeszcze widać nie było, bo go gęstwina zasłaniała zielona. W pośród zarośli trafiła na kamienny obwód pierwszy chramu. Stały te kamienie ogromne, jak je ziemia zrodziła, jak je morze przyniosło, nie tknięte ręką ludzką, z temi twarzami, jakie im dały wieki, jedne nieopodal od drugich, w odstępach równych, jak zaklęci w głazy stróże. Jak zajrzeć w lewo i prawo, ciągnął ten poświęcony szereg dokoła.

Na jednej z tych brył siedziała kobieta w bieli, podparta na ręku. Stara już była i włos miała srebrny, rozpu-

szczony na ramiona, a na nim dziewiczy wianek ruciany. W ręku trzymała laskę białą, z korą pozostawioną tylko, by ją jak wąż, jak wstążeczka opasywała. Ubiór miała wieśniaczy, biały, świeży i czysty, a przy nim spinki błyszczące. Na twarzy spokojnej, pomarszczonej i zwiędłej widać było życie jakby senne, coś na pół umarłego, nie troszczącego się ani o śmierć, ani o dolę.

Dziwa się pokłoniła przed nią.

Stara oczy powoli podniosła, nic nie mówiąc, ręką jej pokazała na prawo, na drożynę, głowę podparła znowu i dumała.

Dziewczyna szła drożyną wskazaną. O kilka kroków stał na kiju sparty starzec, niewielkiego wzrostu, odziany bielizną świeżą, w obuwiu z czerwonymi sznury i zarzuconej na ramiona opończy ciemnej. Czapka wysoka czarna okrywała mu czoło.

Na zbliżającą się zwolna Dziwę patrzył z pod brwi siwych. Skłoniła mu się do kolan.

— Tyś tu panem i ojcem? — spytała.

— Wizun jestem... tak...

— Przytułku u was prosić przychodzę — poczęła Dziwa powstając — będę Nii ognia pilnować święcie... Od młodu ślubowałam Bogom!

Stary Wizun łagodnie i spokojnie patrzył i słuchał. Dziewczę wymówiło te wyrazy szybko, rumieniec okrywał jej twarz.

— Sierota jesteś? — zapytał.

— Nie... miałam niedawno ojca i matkę, mam jeszcze braci i siostrę... Kmieć Wisz był mi ojcem — poczęła mówić — Wisza kneziowscy ludzie zabili...

Wizun zbliżył się ciekawie słuchając.

— Mnie chciał porwać za żonę sąsiad nasz... broniąc się, zabiłam go. Nie chcę, aby się jego krwi mścili... przyszłam tu...

— Zabiłaś? — zawołał zdziwiony stary Wizun — ty? zabiłaś?... Jak się zwał ten człowiek?

— Doman! — odpowiedziała rumieniąc się dziewczyna.

— Doman! Doman! — ręce załamując rzekł stary — ja go nosiłem małym na rękach...

Zmarszczył się Wizun.

Dziwa pobladła, ulękła się, aby ją nie odepchnięto. Stary nie mówił nic, sparty na kiju, milczał patrząc w ziemię.

— Doman zabity!... — mówił do siebie — zabity przez dziewkę...

— Mów, jakeś ty go zabiła! — odezwał się stary.

Dziwa drżącym głosem poczęła opowiadanie, tłumacząc się z tego czynu ślubem swym i popełnionym na niej gwałtem. Wizun pytał, czy wie, że został zabitym, nie ranionym, nie chciał wierzyć śmierci. Potem zamilkł.

— Pozwólcie mi tu zostać u ogniska! — zawołała Dziwa.

Nie odpowiadał stary długo, myślał.

— Zostań — rzekł w końcu — aleś ty dla nas i zamłoda i zakrasna... Ty nie znasz siebie, zatęsknisz... bądź sobie gościną tylko... inaczej ja cię nie chcę... Jak ci serce odboli, pójdziesz! o! pójdziesz!...

— Nie! nie! — rzekła Dziwa — zostanę...

Wizun się uśmiechnął smutnie, nic już nie mówiąc, wskazał jej do chramu drogę.

Biegła raczej niż szła we wskazaną stronę Dziwa. Tu stał częstokół i wrota. Częstokół był z polan gładko ciosanych, rzezanych u góry misternie w zęby i koła. Wrota też miały słupy drewniane, strojne jak dziewczęta w rąbki, zęby, w pasy, jedne malowane biało, drugie żółto i czerwono. Na daszku nad wrotami wisiały wianki, w części poschłe, w części zielone jeszcze i świeże. Stąd liśćmi zielonymi kosaćca usłana już była droga.

W pniu rzezanym pięknie, u którego stał czerpaczek biały, woda była czystą jak łza, źródlana. Dziwa zaczerpnęła jej i napiła się spragniona.

— Bądź mi zdrowa wodo święta, wodo nowa! — szepnęła.

Z za wrót wyglądał drugi staruszek, do Wizuna podobny, który się od przychodzącej skrył żywo.

Szła drogą pomiędzy dwoma częstokołami naokół, a drugie opasanie chramu było jeszcze ozdobniej z drzewa ciosane. Wisiały na nim skóry, oręż różny i dary, które składali pielgrzymi. Tą drogą trzeba iść było szukając wrót drugich. Do tych spinać się musiała po schodach. Ciemniej tu było, bo drzewa i opasanie, światło odejmowało.

Tu już stał sam chram, na gęstych dokoła słupkach drewnianych oparty i okryty dachem gontowym. Pomiędzy słupkami malowanymi czerwono, z żółtemi przepaski, wisiały czerwone sukienne opony, zakrywające wnętrze. Ścian nie było.

Trwoga jakaś ogarnęła dziewczynę, gdy zbliżywszy się ku sukiennej zasłonie podnieść ją miała, aby się dostać tam, skąd już nie chciała, nie myślała wynijść nigdy. Popatrzyła w świat biały, na dzień biały, posłuchała słowików gwaru i ręką drżącą podniosła zasłonę, która zaszeleściła nad jej głową.

Weszła. Tu ogarnęła ją na chwilę noc, bo oczy jej zrazu nic dojrzeć nie mogły. Na tle tylko czarnem płomień błyskał w głębi. Zapach smoły, bursztynu, spalonych ziół, przesycał powietrze ciężkie i ciepłe. Dopiero oczy oswoiwszy postrzegła kontynę, na słupach jeszcze wewnątrz opartą, ciemną, smutną i pustą. Daleko przed nią stały kamienie, które otaczały wolno płonące ognisko. Dym i iskry dobywały się z niego to wolniej, to żywiej i szły ku górze, do otworu w dachu, lub wiatrem zwrócone rozchodziły się we wnętrzu budowy. Przy ogniu dwie białe postacie siedziały jakby uśpione czy drzemiące.

Z za dymu i płomieni widać było na ścianie kontyny coś niewyraźnego, podnoszącego się wysoko, aż pod strop i dach. Była to czarna okopcona postać dziwna, nieforemna, straszna, u których nóg kilka trupich białych czaszek leżało. Obok niej wisiały łuki, oręż, noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu i krasnych kulek ponizanych na nici. U góry, w głowie potwornej,

dwoje oczów, dwa świecące ogromne kamienie czerwone, jakby krwią gorejącą pałały. Nie widać tam było nic, tylko tych oczów płomienistych dwoje, od których skryć się nigdzie nie było można. Patrzały na wszystkie strony, odbijał się w nich ogień u stóp palący, migotał w czerwonych kamieniach i czynił je jakby żywymi. Wśród ciemności, te drganiem płomienia ruszające się oczy bóstwa przerażały jak spojrzenie ze światów innych, groźne i gniewu pełne.

W chramie teraz nic słychać nie było, tylko trzask palącego się łuczywa i świergot ptastwa, które otworami dostawszy się do środka jego, niespokojnie pokrzykiwało, latając, aby się stąd napowrót wydobyć.

Dziwa postawszy chwilę, bo w niej czerwonych oczów dwoje zrodziły trwogę i odjęły siłę, wolnym krokiem podeszła ku ognisku, myśląc:

— Tu więc miejsce moje.

I nie pytając już nikogo, nie patrząc, zbliżyła się aż do dwóch siedzących niewiast, co ogień podsycały, siadła jak one na pustym kamieniu, wzięła nagotowane łuczywo i położyła je na ognisku.

Jedna z kobiet wstrzymać ją chciała, lecz zapóźno się podniosła. Ogień już był objął tę pierwszą ofiarę, na którą Dziwa patrzała, jakby się w niej własne paliło życie. Dwie stróżki tego Znicza popatrzały na nią ciekawe, trochę przelękłe. Przy świetle ognia mogła dojrzeć ich twarze. Zwiędłe były, smutne i blade.

Przyglądając się pięknej dziewczynie, szeptały coś pomiędzy sobą, jakby litując się nad nią. Głowami potrząsały tylko, nie śmiejąc się odezwać. Zdawały się patrzeć na nią, jak na skazaną. Dziwa siedziała spokojna, w ogień wlepiwszy oczy, odpoczywała.

U ognia zmieniały się potem stróżki, Dziwa przesiedziała sama całą noc przy nich, dorzucając po łuczywie. Sen ją nie brał, myślami jeszcze żegnała życie swe dziewicze i domową zagrodę, a czerwone oczy Nijoły przyszłość czyniły straszną.

Tak przeszedł dzień pierwszy i tak samo prawie drugi

upłynął. Mogła tylko wyjść za kontynę i odetchnąć świeżem powietrzem. Ale tu skupiały się koło niej stróżki ognia i ciekawie przyglądały się jej, badały, dopytywały, uśmiechając; zwracali oczy przechodzący pielgrzymi i Dziwa wolała już milczenie swe w ciemnym kątku, niż te napaści próżnującej gawiedzi i te pytania bez końca.

Nazajutrz siwowłosa w wianku kobieta spotkała ją też za chramem i zagadnęła o przeszłość i jej opowiadać się musiała, skąd przyszła i dlaczego, ale ta słuchała roztargniona i nie okazała nawet, czy ją powieść obeszła. Dziwa spodziewała się tu może jakiegoś podnieconego życia, z pieśnią i marzeniem, a znalazła milczenie i ołowiane brzemię na wszystkich tych niewiastach znużonych ciszą jednostajną, jaka ich otaczała. Bezmyślnie spełniały one posługę przy chramie i dzień schodził na półsennem jakiemś osłupieniu, na zdrętwieniu i martwocie. Wieczorem zjawił się stary Wizun, po odejściu siwowłosej kobiety; oczyma prawie gniewnemi mierzył Dziwę i pytał znowu o Domana.

Dziewczę opowiedziało swą przygodę po raz drugi.

— Domana mi żal — zawołał — nosiłem go dzieckiem na ręku, chłopak był odważny, dobry, gościnny... i przyszło mu zginąć nie na wojnie, nie na łowach, ale z rąk niewiasty... ze sromem!...

— A jakżem ja bronić się miała, będąc w jego mocy? — odezwała się Dziwa. — Wolno się bronić dzikiemu zwierzęciu i robakowi nawet, a nie godziłoby się dziewczynie.

Starzec się namarszczył tylko i spojrzał dziko na nią.

— Doman rannym być może, ale zabitym... nie! nie! to być nie powinno i nie będzie... — dodał.

Chciał, aby mu opowiedziała, jak mu cios zadała, ale Dziwa sama już teraz nie wiedziała, jak się to stało, aniby umiała wytłumaczyć, skąd na to wzięła odwagę i siłę, zmilczała więc.

Następnych dni jakby za karę, najcięższą pracę na nią włożono. Musiała drzewo nosić i wodę, zamiatać i myć chram, biegać do źródła, służyć wszystkim. Odprawiono ją wreszcie

do tego, od czego w domu była wolną — do gotowania strawy dla innych. Nie zbywało na ostrych słowach i na śmiechu bolącym, i na jakiejś wzgardzie, którą jej starsze okazywały. Wszytko to przetrwała milcząca, spokojna, z taką dumą, iż niechęć się rozbiła o nią i dziewczęta z poszanowaniem patrzyć zaczęły na tę, która ani skarżyć się nie chciała, ani płakać, ani okazać, że ją boli poniewieranie.

Dano pokój wreszcie, widząc, że znęcanie się nie uczyni skutku.

Każdego niemal dnia nadciągały łódkami nowe gromady po wróżby, składając ofiary przed Niją. Dziwa siedziała już u ognia po kolei i bez kolei, a była tu jak doma. Milcząca mogła marzyć, patrzyć w dym, który w jej oczach różne dziwne przybierał kształty i nie troszczyć się o życie. Dwa razy na dzień z ofiarnych dań i gotowanej strawy zastawiano objatę dla stróżek i było dostatkiem wszystkiego. Suchych korowajów ostatkami karmiły się niezliczone ptastwa stada, a żarłoczne wróble tysiącami kręciły się przy chramie.

Dziesięć już dni upływało od tego pamiętnego dnia, gdy Dziwa u ogniska zasiadła i pierwszą go drzazgą podsyciła. Była przybywszy ostatnią, teraz słuchały ją inne... Panować tu nie pragnęła, przyszło to samo, gdy uczuły wszystkie dziewczęta w niej tę jakąś wyższość, która się narzuca sama i oprzeć się jej nie można. Leniwe i śpiące stróżki ognia same zdały na nią pieczę, staranie, pracę i rozkazywanie. Siedząc zdala patrzały na nią i strach je jakiś ogarniał, tak miała pańską postać i do rozkazywania była stworzoną.

Dziesiątego dnia siedziała u ognia, gdy szmer powstał dokoła chramu i po całej wyspie. Ludzie dokoła biegali, ruch się stał wielki, nagle podniesiono zasłony ze wszech stron i między słupami najbliżej ognia stojącymi ukazał się Wizun w świątecznem ubraniu i kołpaku, a z nim mężczyzna rosły, czerwony, gruby, w czapce z piórem, w płaszczu czerwono naszywanym na ramionach, ze złotymi szlaki, blaszkami świecącemi okrytymi. Świecący miecz wisiał u jego boku. Dziwa spojrzawszy nań, uczuła w sobie przestrach i trwogę.

Ten czerwonolicy, z dziko patrzącemi oczyma człowiek, podobien do zwierza, który wyszedł z puszczy, z usty skrzywionemi szydersko, obudzał w niej wstręt i odrazę niewysłowioną. Byłaby uciekła, gdyby mogła.

Stanął on, nie zdejmując kołpaka, ani się pokłoniwszy, naprzeciw ognia i bałwana Nijoły, patrząc nie na świętości, ale na pilnujące Znicza dziewczęta. Długo je oczyma przechodził, zatrzymał wzrok na Wiszowej córce i już go od niej nie zwrócił. Poszeptał coś staremu, który głową potrząsł. Chwilę się wzdragał. Mężczyzna stał uparcie, dwa razy po ramieniu uderzył starego i pchnął go wewnątrz chramu nakazująco.

Stary wahając się zbliżył powolnym krokiem ku Dziwie, pochylił się ku niej i rzekł cicho:

— Kneź to jest miłościwy... chce, żebyś mu wróżyła.

— Wróżyć nie umiem — odpowiedziało dziewczę. — Wróżby nakazać nie można, ona przychodzi zesłana od duchów... ja wróżyć nie umiem.

W tej chwili z drugiej strony zbliżyła się siwowłosa Niania i odciągnęła na stronę dziewczynę.

— Wróż mu — rzekła — ja cię zielem upoję... wróż mu... wróż mu wszystko złe, bo człowiek niedobry... Wyniesiem kadzidło, dym cię upoi... mów... mów mu śmiało, co myśl przyniesie... on się nie waży uczynić ci nic złego.

To mówiąc stara dobywała suche ziele i garnek z węglem nabranym z ogniska postawić kazała na ziemi. Rzucono ziele na nie i dym gęsty, gryzący otoczył pochyloną dziewczynę. Trzymano ją nad nim długo. Czuła jak się jej zmąciły myśli, jak z kłębów dymu rosły jej w oczach dziwne jakiejś kształty, jak traciła przytomność i zdawało się jej, że na świat inny przeniesioną została. Na głowie ciężyło brzemię jakieś straszne... krwawe smugi na czarnem tle, jasne błyskawice, kłęby dymu, smoki i gady, i ludzie potworni, karły i olbrzymy, wszystko to razem wirowało jakby drugiemi oczyma upojonej. Dwie stróżki ją podtrzymywały, inaczej

paśćby była musiała omdlona. Lecz słabość ciała razem szła z olbrzymią myśli potęgą. Czuła się śmiałą i gardzącą niebezpieczeństwem, panią i królową.

W tem upojeniu powoli wiedziono ją przed knezia, który cofnąwszy się po za słupy kontyny stał pod częstokołem, oparty oń, z szyderską twarzą.

Dziwa wpatrywała się w to oblicze dzikie, wykrzywione, straszne, z taką siłą wzroku, że kneź spuścił mrużąc oczy przed nią i zadrżał.

— Będziesz mi wróżyła — mruknął cicho.

— Będę wróżyła — poczęła Dziwa, która czuła, że jakaś siła zmusza ją do mówienia — będę ci wróżyła...

Dwoje dziewcząt postawiły przed nią wiadro wody świętej, spuściła oczy nad nią. W wodzie odwrócona odbijała się twarz szkaradna Chwostka, a obok niej w dymach, którymi ją ciągle kadzono, krążyły najdziwniejsze postacie.

Kneź patrzył — z razu szyderski, teraz bledniejąc i jakby przelękły, ręką się opierał o częstokół, a widać było jak drżał.

Obok niego stojący Wizun oczyma nakazującemi, których nie spuszczał z dziewczyny, zdawał się jej dyktować co mówić miała.

Chwila milczenia poprzedziła urywanemi słowy wyjąknioną wróżbę.

— Ciemno! ciemno! nie widzę nic... — mówiła — czerwona struga, jakby płynęła krew, ciągle krew... wszędzie krew... Po rzece tej płyną trupy białe, jeden, drugi .. więcej jeszcze, białe ich oczy nie widzą i nie patrzą... płyną, płyną, przepłynęli... Krew znowu, kubki po niej pływają, miecze po niej migają... Słyszę wołanie: krew za krew!... Na rzeczce płynie wyłupionych czerwonych oczów dwoje i patrzą na mnie... na stosie leży starzec zabity, na śmiecisku pod stołbem młodzieniec, na jeziorze pozarzynane męże, wołają: krew za krew! Psy wyją i krucy kraczą... krew za krew!

Kneź rzucił się, aż częstokół za nim zachrzęszczał i miecz mu zadzwonił u boku.

— Ty wróżbito przeklęta — krzyknął — będziesz ty mi patrzała i mówiła inaczej!

— Nie mogę... mówię co mi duchy każą i ukażą. Kneź stoi na świetlicy... wysoko... dołem ludzie się gniotą, biją, mordują... Słyszę szmer, wrzawę, ciągną gromady .. na granicy wrogi, w domu swoi się miotają... Na gród! na stołb! krew za krew!... Gród się pali... płonie gore... walą się dachy i ściany... krzyk i wołanie... popiołów kupa... góra trupów... kruków chmura czarna... Siadły, krakają... żrą serca od ciała... ścierw nie dogorzała... Krew za krew!...

Ciemno się zrobiło w oczach dziewczynie i osłabła osunęła się jak senna na ręce stróżek, które ją trzymały. Kneź stał blady i drżący, pięści cisnąc, usta otworzył i zębami jak zwierz dziki grozić się zdawał. Nogą wiadro pchnął i wywrócił, woda święta popłynęła po ziemi. Dziwę wniesiono omdlałą do chramu. Chwostek stał milczący, wściekły.

Stary Wizun sparty na kiju obok niego spokojnie czekał.

— Przeklętą dziewkę związać i osiec! do lochu! do jamy! — krzyknął Chwostek — nauczy się wróżyć inaczej...

Na to nie było odpowiedzi, zasłona kontyny spadła, a dziewczęta drugą stroną Dziwę wynosiły na powietrze. Kneź się chciał zwrócić do swoich pachołków, ale ci gdzieś daleko zostali.

Stary spoglądnął nań.

— Uspokójcie się miłościwy panie — rzekł — kto chce wróżby, musi ją cierpieć jaką ją duchy dały... Dziewczyna jej nie winna.

Byli sami i Wizun zbliżył się wcale nie zdając zlękniony.

— Miłościwy kneziu — dodał — dosyć macie niechętnych i zażalonych, nie róbcie ich więcej targając się na to, co nie jedne Polany szanują... Miejsce święte i dziewczyna poświęcona...

Chwostek się rozśmiał dziko, przystąpił do starego i drżącą od gniewu dłonią pochwycił go za brodę, trzęsąc nią...

— Ogień święty, dziewka poświęcona!... ty także...

Obok stojący Wizun, oczyma zdawał się jej dyktować, co mówić miała.

stary... psi synu... Ja wam ognie pogaszę, ja wam dziewki wasze rozpędzę i chram ten zrównam z ziemią...

Stary nie pobladł nawet, milczał obojętny, ręka kneziowa odpadła.

— Jakby piorunów nie było — odezwał się spokojnie — moglibyście czynić co chcecie... a no pioruny padają i duchy bronić się czem mają... Nie szukajcie kneziu wojny z bogami, gdy jej dość z ludźmi mieć będziecie.

Chwostek nie odpowiedział nic, zerwał się z miejsca i poszedł prędko bijąc się w pośpiechu to o jedną to o drugą ścianę częstokoła. Wracał do swych ludzi. Wizun pozostał we wrotach i patrzył na kiju sparty.

Ludu tego dnia około kontyny było mnóstwo, a gdy kneź podniósł głos groźny i wykrzykiwać począł, rozległo się daleko. Posłyszeli ludzie, jak groził chramowi i ogniowi, i nim uchodząc zdążył się dostać do swoich Smerdów i służby, dokoła rozległo się szemranie, mruczenie tłumu, który szumiał jak morze... płacząc, narzekając i grożąc zarazem. Niewiasty uchodziły przelękłe i kryły się w zarośla.

Gdy Chwostek dostał się do kamiennego koła opasującego chram, gromady się już zbijały i szły jakby mu chciały zastąpić drogę.

Czy stary Wizun skinął na nie, czy posłał do nich, aby popłoch rzucić i do obrony obudzić? — lecz co żyło przybyszów na Lednicy kupiło się, biegło naprzeciw Chwostka. Kupy stawały i zapierały mu drogę groźnie. Ludziom swoim skinąwszy na nich zdala kazał ich rozpędzać, ale ludzi nie rozpędzono. Oko w oko stał przeciw tej czerni nieznanej — nieulękły. Tłum warczał — ani on do niego, ani on do tłumu przystąpić się nie ważył. Wtem z gromady wyszedł człek podżyły, ubrany dostatnio, zbrojny z niemiecka.

— Miłościwy kneziu — rzekł mu — ja tu do chramu przyszedłem, nie wasz jestem!... nie z waszego miru! Grozicie chramowi i ogniowi, a prawa do nich nie macie. Kontyna i ostrów nie należą do was, ale do nas wszystkich. Wilków, Syrbów, Łużan, Drewlan i co jest naszej mowy. Nie ważcie

się tykać chramu, ani ognia, bo my się też ważyć możemy na wasz gród i stołb!...

Podniósł rękę do góry, a tłum za nim zahuczał potakując i grożąc.

Chwostek stał ściskając w ręku miecz, jakby go ochota brała porwać się samemu na nich wszystkich, ale on i ludzie jego nie starczyliby, z najlepszym orężem i odwagą na te gromady tysiączne.

Namarszczywszy się więc, pogroził ręką i usty.

— Precz mi z drogi.

I ruszył się sam, pierwszy tak śmiało, tak pewny, iż go nikt nie tknie, jakby go wojsko broniło. Tłum mu się rozstąpił na dwie strony, za nim co żywiej cisnęła się dwornia. Tę popychano zewsząd, a stęknąć nie śmiała. Wolnym krokiem, nie oglądając się, przyszedł kneź wśród tego gminu który dopiero za oddalonym krzyczeć zaczął szydersko.

— Chwościsko! Chwostyk! Chwost!...

Parę razy obrócił się, jakby sam jeden na cały ten tłum chciał się rzucić, lecz się poskromił z gniewem.

Tuż u brzegu stała łódź wielka czekając na pana, za nim biegiem pędzili ludzie gniewni i zasromani, nie śmiejąc rzec słowa, a za niemi wciąż goniło wołanie i śmiechy.

— Chwostyk! Chwościsko!

I jak gdyby rozgniewana Nija chciała się pomścić zniewagi, w tejże chwili chmura czarna, niesiona wichrem wieczora, jak ogromne cielsko smoka przewalając się po niebie, poczęła warcząc nadciągać nad jezioro.

Pod nią widać było szare pasy gradu siekące pola i lasy, a w głębi jej szumiało głucho, jakby toczyła wory kamieni gotowe runąć na ziemię. Pioruny z trzaskiem leciały w jezioro, wicher giął drzewa do ziemi, wyrywał je z korzeniami i miotał niemi jak pióry ptasiemi. Gdzie piasek suchy spotkał na wybrzeżu, chmurę z niego płową czynił, gęstą, nieprzejrzaną, wlokąc ją za sobą.

Burza nie dała kneziowi siąść do czółna, kto stał przyległ do ziemi okrywając głowę i czekał, aż Bóg piorunów

przejdzie nad nią. Wioślarze w barce u brzegu ukryli się na dno. W chramie Nijoły błyskawice wśród ciemności ognia świętego blask gasiły, dym napełniał kontynę, iskry leciały na opony; czerwone oczy posągu błyskały jakby ciesząc się zniszczeniem. W dali piorun bił po piorunie; na jeziorze fala spieniona uderzała o brzeg i rozlewała się po ostrowie daleko.

Ziemia zdawała się trząść pod nogami ludzi. Kneź drżał otulony płaszczem i mruczał. Ktoby był zbliżył się doń, usłyszałby naprzemiany modlitwę do Peruna i do krzyżyka, który miał na piersi. Stary zabobon i nowa wiara stały w nim na równi... kłaniał się nowemu Bogu, lękając jeszcze tych, których nie śmiał porzucić.

Wycie i świst wiatru w uszach jego zdawały się powtarzać zelżywe Chwostka przezwisko, dusza mu zemstą kipiała.

Wszystkie to plemię w pień niech wytną — wołał zburzony — niech je w niewolę uprowadzą, niech orzą niemi... Niech przychodzą Sasi, niech niszczą... jaszczurczy ten ród i tych kmieci wygubić trzeba...

Gdy Smerda po przejściu burzy strasznej przystąpił do leżącego knezia, o mało go jeszcze wściekły Chwost nie przebił mieczem, zapomniawszy się gdzie jest. Dopiero poznawszy twarz sługi, ochłonął.

— Miłościwy panie — odezwał się Smerda — burza się przewaliła... jezioro się gotować przestało... słońce z za chmur pogląda... fale się układły... płyńmy z tego przeklętego ostrowia, na którym czary, wiedźmy i czarownicy panują... Nie kto inny, tylko ci guślarze nawołali i naprowadzili gromy... Grad nam ludzi pokrwawił. Kto wie co z końmi na drugim brzegu się dzieje?

Kneź wstał z ziemi, tchnął i poszedł do łodzi zasępiony, usiadł w nią, wioślarze odbili od brzegu. Szybując po ciemnych wodach wkrótce odsunęła się od ostrowa daleko.

Z za krzaków patrzył stary Wizun i przelękłe kobiety, coś mrucząc, jakby słały za nim przekleństwa.

Stara z rozpuszczonymi włosami rwała trawę i szybko

coś szepcząc rzucała ją w stronę, w którą łódź popłynęła. Rzucała garściami piasek i pluła.

Dziwa blada, osłabła, sparta na rękach, ledwie otrzeźwiona, drżąca siedziała przy ogniu nieruchoma, jakby ją jeszcze dręczyły te duchy, które mówiły przez nią.

Wtem słońce wyszło z za chmur i promień jego padł przez rozsuniętą zasłonę do wnętrza chramu, złotym pasem kładąc się do nóg dziewczyny, która patrząc nań uśmiechnęła się jakby mowę niebios zrozumiała.

Na dachu kontyny gruchały gołębie, w krzakach znowu śpiewały słowiki, a po nad łodzią knezia leciało kruków stado to wzbijając się do góry, to opadając na dół, jakby kołpaki z głów pozrywać im chciało.

XIV.

a kneziowskim grodzie, do poźna czuwali ludzie, pana miłościwego nie było. Biała pani siedziała w swej świetlicy i dumała, powołując do siebie to sługi, to podskarbiego, to służące. Niekiedy z siedzenia zrywała się niespokojna, szła do okna, to do drzwi a słała pytać, czy pan miłościwy nie wrócił, czy go gdzieś widać lub słychać nie było.

W pierwszem podwórcu stali też i czekali ludzie, drudzy się pokładali ze znużenia.

Czekali, nie mogąc się go doczekać — kędyś po nad lasami przeciągnęła burza z hukiem i trzaskiem i poszła. Potem słońce z za chmur obejrzało się krwawo i znikło, ciemności jak całun opadły na ziemię, knezia jeszcze nie było.

Na grodzie kłaść się spać nie śmieli, nużby ich nie zastał na nogach i pogotowiu, dopieroby chłostać kazał.

Co chwila Brunhilda słała pacholę, a pacholę wracało z tem samem. — Ani widu, ani słychu.

Wiatr się poniósł po lasach i jeziorze, poobrywane chmury biegać zaczęły po niebie, jakby się goniły i zbierały, aby drugą burzę zrobiły. Pomiędzy słupy, ściany i częstokoły wpadając Pochwist wył i śmiał się, aż psy ze strachu zrywały się, by mu wtórować.

U miłościwej pani pozasuwano okiennice, pozatykano okna oponami, dachy się trzęsły i trzeszczały, wicher ryhotał.

Aż około północka, koło mostu i wrót zahuczało, zatętniało, rozległo się po grodzie — kneź jedzie.

Wnet słonionemi przejściami ponad słupy, przemknęła się kneźna biała, wychodząc przeciw panu swemu. A szła zagniewana, lecz wszedłszy do świetlicy, zastała pana, któremu obmokłe suknie ściągano, gniewniejszym niż ona była.

Spojrzeli po sobie i nie witali się. Kneź pięścią w stół bił i mruczał, miodu sobie podawać kazał. Głodny był, spragniony a zły... przekleństwami miotał, aby wszystko zczezło i szło na wskróś ziemi.

Brunhilda stała, założywszy ręce, ruszając ramionami. Ludzie się porozbiegali.

— Północ już przeszła, a pana miłościwego doczekać się nie było można.

— Milcz sroko!... a nie pytaj... — krzyknął kneź — abym nie mówił bom wściekły — a gdym wściekły, nie mam nikogo!

— Ani żony!

Zamruczał coś tylko.

— Zwać mi jutro Hadona!

Chwycił się za głowę, targając włosy rozczochrane, a ze złości rwąc je palcami.

— Hadon jutro do Sasów, do waszych niech jedzie... niech tu ciągną... niech idą... niech palą, tępią, gnębią... Niech tę ziemię ogniem puszczą całą. Wszak gdy nowiny trzebią na pole, aby zboże rodziły, wprzódy je czyszczą siekierą i płomieniem. I tu nic nie będzie, póki siekiera i płomień nie zniszczy tych plugawych chwastów.

Uśmiechnęła się blada pani.

— Wiedziałam ja to dawno, mówiłam dawno — rzekła — tylko Sasi im radę dadzą. Ty ich sam nie zmożesz ze swymi Smerdami, ich tu siła. Zdrajcy wszyscy kmiecie, żadnemu wierzyć nie można.

— Na jutro zwołać Hadona — powtórzył kneź — ale

milczeć, że posłany i dokąd. Rankiem niech wyjdzie pieszo, konia weźmie ze stadniny, niech jedzie ze znakiem ode mnie. Pierścień niech powiezie.

Biała pani głaszcząc go po głowie potakiwała.

— Odpoczywajno spokojny — ja go wyprawię sama. Nim dzień wejdzie, będzie w drodze, ale czasu dużo spłynie, nim te puszcze przejedzie wskróś i za Łabę się dostanie, nim oni się tam ruszą, nim wyciągną, nim się przedrą tutaj — a tu...

Kneź spojrzał na nią.

— Tutaj oni knują i zmawiają się — wiece gromadzą, po nocach przy łuczywach radzą, po lasach się zbierają, dwory objeżdżają, gońców sobie posyłają. Śmieję się ja z tego, mam dosyć ludzi, gród mocny i wieża wytrzyma, jezioro obroni, a we spichrzach pełno, zasieki po brzegi nasypane. Choćby ta dzicz obległa, jeszczebym się opędził tej psiarni, a obledz mnie nie śmieją.

Zaczęli szeptać ciszej — kneźna siadła tuż przy nim, podparta na ręku. Przynieśli mu mięsiwa misę, które począł rwać palcami i kubek miodu, który wypił tchem jednym.

Potem służbę rozpędził, zamiast czekać do jutra, kazał wnet przywieść Hadona.

Hadon był Niemiec, ale wyleniały, nauczył się na dworze mowy ludzi, nałamał do ich obyczaju, a choć w nim natura wilcza została, nie bardzo go poznać było można od drugich, gdy szpiegował mieszając się w tłum, aby donosić pani.

Wszedł chłopak smukły, ulubieniec miłościwej pani, którego we dworze lękali się wszyscy. Gdy knezia w domu nie było, on białą panią, siedząc w sypialni po dniach całych zabawiał, brała go z sobą, gdy jechała, obejść się bez niego nie mogła. Kneź go też lubił, bo mu się jak kot łasił. Gdyby nie twarz piegowata i blada nie byłby brzydki. Włos też miał krwawo-czerwony, ale obfitymi spadający puklami.

— Hadon! — zawołał, zobaczywszy go kneź — zbliż się tu... jutro ruszysz do dnia w drogę tam.

Wskazał na zachód ręką.

— Jedź do starego — powiedz niech mi swoich śle.

Cierpiałem dość, skończyć trzeba z kmieciami. Niech da ludzi ile może, ale zbrojnych, to tłuszcza dzika, bezbronna, rozpędzi ich garść Sasów.

Hadon podparł się ręką na stole, patrzał ukradkiem na kneźnę, a ona mu z za męża oczyma znaki dawała.

— Pierścień na znak weźmiesz u pani — pokażesz by dali wiarę. Stary wie, co on znaczy... ciągnąłem długo... dziś... tak lepiej, niech idą... niech przychodzą.

— Miłościwy panie — rzekł Hadon z pokorą. — Ślepy by chyba nie widział, na co się zanosi, po lasach się kupią, narady czynią, kto wie czy nasi pośpieją.

Rozśmiał się Chwostek.

— Hej! twarde zęby trzeba mieć, aby gród ukąsić — rzekł — niechby je sobie na murze poszczerbili trochę — nadciągniecie z odsieczą wczas. Ja się ich na grodzie nie boję. Znam tych psich synów, warczą oni więcej niż kąsają, odgrażają się i krzyczą. Gdy ich się siła zbierze, gotowiby gołemi rękami na jeża, ale po dziurach się rozlezą i spać będą.

— Miłościwy panie — szeptał Hadon — pewnie tak jest jak mówicie, ale tu nie ufać nikomu, nawet swojej drużynie.

Zmarszczył się kneź.

— Smerdów pewny jestem, a motłoch grozą się trzyma, tego się nie boję.

Rozśmiał się i popił pan miłościwy. Hadon szeptać począł, o czem tego dnia między ludźmi się rozwiedział. Mówił i on, że po zagrodach jeżdżono, że sobie na uroczyska nocą schadzki czynili kmiecie, że po chatach niektórych nieustannie kręcili się posłańcy jakby z wiciami, że starostów jakichś wybierano.

Kneź głową pogardliwie rzucał.

— Niech gadają, niech radzą, krzyczą i trzęsą dzidami — więcej oni nie zrobią nic, nad wrzasku wiele. Ano plemię to zuchwałe raz przetrzebić potrzeba i rogów mu przytrzeć. Na to się Sasi zdadzą. Jutro w drogę Hadonie.

Chłopak ku pani białej spojrzał znowu z ukosa, głowę spuścił, ręce na piersiach złożył i tyłem się wycofał z izby.

O bytności swej na Lednicy kneź nie rzekł i słowa, ludziom też o tem milczeć przykazawszy, ci jednak nie wytrzymali i półgębkiem strach nieśli.

Nazajutrz cicho było na grodzie. Kneź na dzień zaspał, biała pani przędła i śpiewała, pędząc swe sługi. Dzień chmurny był, deszcz poprószał. Około pół dnia dopiero kneź się wywlókł na podsienie i na świeżem powietrzu na ławę legł. Psy go obsiadły, pił, drzemał, pędzał je kopiąc nogami a chleb im rzucając na przemiany.

Z południa na haci u mostu, stanęła konnych gromada, domagając się do knezia przystępu... Kmiecie byli, żupani i władycy, starszyzna i znaczniejsi po mirach.

Przybiegł Smerda znać o nich dając — coś ta gromada już buntem pachniała i Chwostek obudziwszy się, groźnie brwi namarszczył.

— Puścić ich tu — zawołał na Smerdę — wrota obwarować, a bez woli mojej nie wypuszczać stąd nikogo. Niechże przychodzą... zobaczymy z czem idą.

Wstał z ławy na której leżał, siadł, psy spędził z podsienia w podwórze.

Wrotami wchodziła poważna gromada starych ludzi, poubieranych świątecznie, kołpaki na głowach, obuszki u boku, miecze u pasa. Chwost zmierzył ich i policzył oczyma, którzy byli. Tych do których miał ząb nie znalazł, bo ich gromada na zamek puścić nie chciała, a kneź ich najmilejby powitał, aby na wieżę posadzić. Śmiało szła ta garść ludzi, trzymając się razem. Od mostu i wrót do przedsienia, gdzie kneź siedział w boki się podparłszy — był kawał drogi.

Chwost na nich począł patrzeć, oni na niego. Szli krokiem mierzonym z głowami podniesionemi, oczy w nim topiąc śmiało; on też nie ustępując im, niezlękniony, tak samo się w nich urągliwie wpatrywał.

Nim do siebie przemówili, nim ci się mu pokłonili, nim on im oddał pozdrowienie, nim słowo zamieniono, już sobie wzrokiem z obu stron wszystko to niemal powiedziano, co na sercu leżało.

Kmieciów oczy mówiły, że ze skargą szli i z żalem, pewni swojego prawa, wzrok knezia szyderski i gniewny odpowiadał wręcz, że ich precz odepchnie.

Tak czasem w lesie, dzikich zwierząt dwoje, nim się rzucą na siebie, oczyma się mierzą, odwagę sobie chcąc odebrać niemi.

Szli. — Na przedzie gromady starszy z Myszków postępował, średniego wieku mąż, wyrosły jak dąb, ramion szerokich, z głową kudłatą i brodą czarną rozwianą. Rękę trzymał za pasem, a u pasa toporek miał i mieczyk. W niego patrząc jak na wodza szli inni.

Gdy się ci przybliżyli do przedsienia, Myszko trochę głowy pochylił, i kołpaka dotknął, i ręką pozdrowił. Kneź ledwie się ruszył, już mu gęba z gniewu drżała.

— Myśmy tu do was przyszli — odezwał się Myszko — po sprawie, po starej kmiecej sprawie. Chcielibyście nas posłuchać?

— Mówcie... Słucha się przecie wszystkiego i kruków gdy kraczą, i puhaczów gdy huczą i psów gdy wyją — zobaczymy waszego głosu.

Myszko po swoich rzucił okiem i zobaczył, że stali niezlęknieni wcale.

— Źle z nami poczynacie — odparł — równając nas ze zwierzęty, ludzieśmy przecie jako wy.

— Jako ja? — rozśmiał się kneź — toście wy źle poczęli, bo ja tu równych nie znam, krom mojego rodu.

— Znacie, czy nie — odparł Myszko — a czuć ich trzeba będzie. Jeszcze my dziś do was ze słowem przychodzimy, może być rada nie zwada... Nam kneź i wódz potrzebny, dla tegośmy waszych posadzili na grodzie i daliśmy im czasu wojny moc nad sobą. Chcieliśmy, aby kneź u nas silny był przeciw wrogów naszych i ziemi nam bronił. Ale nie na tośmy mu siłę dali, aby nią karki nam łamał. Wy kneziu zapomnieliście, a chcecie nas zakuć w niewolę. A no — my ci się nie damy. Mówimy ci — porzućcie to lepiej, a idźcie z nami na jedną rękę.

Zamilkł Myszko. Chwost, który słuchając, cały wrzał i rzucał się, wstał z ławy, rozprostował się i począł śmiać ze złości. Było to jego zwyczajem. Białe zęby wyszczerzył, po wargach mu piana ciekła, pięść podniósł do góry.

— Wy mnie rozumu uczyć będziecie! wy? — krzyknął. — Wyście to mnie tu posadzili, gdzie ja siedzę? Na grodzie tym ojciec mój, dziad i pradziad i praszczury moje siedzieli, a siłę tę dzierżyli, którą ja mam i z której na włos nie puszczę. Wam się po staremu dzikiej swawoli zachciewa, a ja tej nie dam, chcę posłuchu i będę go miał.

Myszko i drudzy wysłuchali cierpliwie.

— My ci w sprawiedliwych rzeczach posłuchu nie odmawiamy — zaczął Myszko. — Co słuszna dajemy, a no na niewolę niemiecką obrócić się nie damy. Wam to smakuje co się u nich dzieje, bo to naród łupiezki, a kędy wojna, tam musi być niewola. My wojny nie lubimy, bronimy się gdy nas napadają — to mus, a nikogo nie napastujemy, ale swobodę miłujem. Granice u nas spokojne...

Kneź stał, jakby nie słuchał, oczyma ich liczył.

— Co więcej? — zapytał.

— Twoje smerdy i dworaki naszą młodzież zabierają, dziewkom i niewiastom gwałty czynią, stada z łąk zagarniają, spasają stogi, wypalają lasy, pola niszczą, tego my nie ścierpimy. Masz wyznaczonej ziemi dosyć.

Chwost się po podniesieniu przechadzał, czasem o słup oparł, to znów chodził.

— Co więcej? — zapytał.

— Więcej? — wtrącił drugi z Myszków, który oddawna się już poruszał, jakby mówić chciał i buchnął teraz nagle. — Więcej? gdyby się nam usta otworzyły i wszystko przez nie poszło co w nas siedzi, na długoby stało. A kto tu na tym grodzie naszą bracią popoił, odurzył, że się pozarzynali i trupy ich jak psów do jeziora kazał rzucać? A mało u ciebie naszych w lochu pod wieżą gnije i gniło?

— Ja ci powiem więcej — zakrzyczał trzeci — ty z Niemcami, wrogami plemienia naszego trzymasz za jedno. Od nicheś

sobie zdradną dziewkę wziął — do nich ślesz, z nimi się wąchasz. My to wiemy, my wiemy.

I rękę podniósł groźnie.

W tłumie gwar się rozpoczynał coraz żywszy, każdy się z mową wyrywał i słowa leciały nieopatrzne, a pięści ścieśnione występowały po nad głowy — kneź chodził, słuchał, zębami zgrzytał i śmiał się.

Oczyma na stojącego w dali smerdę rzucał jakoś dziwnie.

Tuż za gromadą kmieci, po jednemu sunąć zaczęli się ludzie, skupiać i obsadzać przejście z tyłu. Wszyscy z oszczepami i topory. Z początku w gorączce nikt nie zważał na to, aż Myszko obejrzawszy się i obaczywszy ten zastęp, odezwał się:

— Cóż to ma znaczyć? czy i nas myślisz tu zabrać w niewolę? Myśmy tu przyszli do ciebie od wiecu, z woli mirów, a stanie się nam co, będzie z tobą gorzej jeszcze.

Nie odpowiadając nawet na pytanie, Chwost krzyknął do Smerdy.

— Wiązać ich! dyby i pęta! — to moja odpowiedź.

Lecz nim czerń zdołała się rzucić na nich, już Myszko wpadłszy do przedsienia, chwycił knezia za bary. Jęli się mocować, to w jedną to w drugą zataczając stronę. Czeladź zamiast bronić, stała onieśmielona tem zuchwalstwem.

Wśród ciszy słychać było tylko sapanie obu i miotane przekleństwa; po tem łomot, gdy na dyle, którymi był wyłożony pomost podsienia, padli oba. Kneź był pod spodem, Myszko siedział na nim, gniotąc go. Działo się to przeciw drzwi samych, które się nagle otwarły i biała pani z rozpuszczonym włosem wbiegła z krzykiem nóż trzymając w ręku. Pochyliła się nad Myszkiem i poczęła mu szyję rzezać, aż krew na słupy trysnęła. Rzucili się kmiecie ratować go i wnet powstała wrzawa ogromna, bo z tyłu nadbiegła dwornia z wrzaskiem na nich.

— Bij! morduj! życia nie dawaj! wołano.

Kmiecie bronili się dzielnie. Myszko, któremu krew się z szyi lała, zerwał się i stanął na nogi, odcinając jeszcze,

drudzy też odbijali razy, ale widząc przewagę, w kupę się zbili i szli nazad ku wrotom, broniąc pachołkom. Na całym grodzie krzyk powstał straszny, tuż i strzały świstać poczęły Ludzie co na wieży byli i w dziedzińcu, nie śmiejąc zbliżyć się do zrozpaczonych kmieci, strzelali z góry i zdala, kamienie z proc na nich ciskali, a strzały więzły tu i owdzie w twarzach i szyjach. Krew ciekła obficie. Jednakże dopadła gromadka do wrót zapartych, nacisnęli je i wyłamali. Padły z trzaskiem, waląc się na ziemię. Tuż u mostu dwornia jeszcze kupą stała, co z kmieciami przybyła, zobaczywszy swych panów w niebezpieczeństwie, posunęła się w obronie ich, wołając i krzycząc żałośliwie. Z jednej i drugiej strony walczono zacięcie, tu była kupka niewielka, tam motłoch bez wodzów niezdarny. Nie gotów do waśni, bo się jej nikt nie spodziewał, a życia tak bardzo nastawiać nie miał ochoty — głośno ujadał tylko, a nie nacierał zbyt silnie. Więcej czynił wrzawy niż ran. Sam Chwost biegł z nimi, ale późno się zerwał. Gawiedź nie potrafiła kmieciów odciąć od ich koni i czeladzi, tak, że wśród tego zamętu dopadli broniąc się do haci, do mostu i do koni — a tu gdy raz się znaleźli i dosiedli ich, Myszko skrawiony pięść tylko podniósł i krzyknął:

— Zabraliście się z nami do wojny, to ją będziecie mieli!

Wtem krew płynąca tak uszła, iż go słabnącego dwóch chwyciło pod ręce, bo się skłonił i na ziemię padał.

Tak podtrzymując go i tamując krew uchodzącą, kmiecie zaraz od zamku precz jechali, z odgróżkami i narzekaniem wielkiem.

Chwostek szalał, że ich puszczono, że się im wybić dano. Ludzi swych wnet wieszać chciał za to, że go nie bronili wczas i kmieciom żywym ujść dali z grodu. Smerdowie ich tuż na placu smagać poczęli prętami i biczami.

Biała pani, z nożem zakrwawionym w ręku, stała na podsieni i palcami tchórzów wytykała, wywołując po imieniu.

Chwostek też przypadając do niektórych, własną ich siekł ręką.

Nie rychło się uspokoiło, zamek cały do późna jęczał

i płaczem się rozlegał. Dopiero gdy sił do bicia i znęcania się nie stało, dano pachołkom spocząć i pochować się potłuczonym po kątach.

Kneź i żona pomiarkowali też, iż nie czas było się srożyć, gdy lud co chwila potrzebnym być mógł dla obrony.

I tak, jak za owych czasów bywało często, wnet po srogiej karze nastąpiło pojednywanie — kazano dla pobitych wytoczyć beczki z piwem i baranów im parę kneź posłać kazał. Tak radziła biała pani. Jęczący jeszcze powlekli się do kadzi, czerpać z nich poczęli i grzbiety posieczone wycierając, śmiali się jedni z drugich. Smerdowie tymczasem z resztą czeladzi połamane wrota na nowo stawili, hać i most opatrywali.

Na ławie w izbie leżał Chwostek, który padając na dyle, także sobie utłukł kości — jęczał i przeklinał. Nad nim siedziała biała pani i patrzała nań z pewnem politowaniem a niemal pogardą. Sameś sobie winien, miłościwy panie, — mówiła — trzeba mnie słuchać było. Inaczejby się to skończyło. Poprosić ich było uprzejmie do izby, posadzić za stołem, a mówić do nich słodko. Tymczasem by straż u wrót stanęła, zająłbyś ich jak ryby w matnię. I lepiej jeszcze... lepiej jeszcze, wodzić ich obietnicami, udać powolność, ażby Sasi nadeszli, a nie śpieszyć z wojną. Tu po czole go uderzyła białą ręką.

— U ciebie, miłościwy panie, więcej siły w ręku niż w głowie. Ja słaba niewiasta jestem, ale prędzejbym to plemię zdradliwe pożyła.

— Słuchajcie mnie!

Kneź jęczał i przeklinał.

— Co teraz poczynać?

Namyśliła się nieco Brunhilda.

— Ściągać trzeba, a przyjaciół jednać. Naraziłeś sobie stryjów porywczością, synowców, cały swój ród, gotowi i oni się do kmieciów przyłączyć, tych zyskać napowrót pierwsza rzecz.

Chwostek słuchał.

— Mów jak to uczynić, ty masz rozum niemiecki, ja tylko bić się umiem! — zamruczał. — Mów, jak to czynić.

Blada twarz kniaźny zarumieniła się nieco, wstała i poczęła się przechadzać po świetlicy.

— Stryjów i ród trzeba mieć po swej stronie, jak oni się do kmieciów przyłączą, źle być może. Nim Sasi przyjdą — napaść gotowi.

Chwostek z oczyma w nią wlepionemi mruczał tylko.

Stanęła przed nim Brunhilda.

— Zostaw to mnie — odezwała się. Miłoszowi synaś jednego zabił, drugiemu wyłupiono oczy... Ślepego mu trzeba oddać i potrafić w to, że oczy mu wzięto bez naszego rozkazu. Pójdę do niego na wieżę. Odziać go trzeba, nakarmić i ze służbą do ojca odprawić. Stary Miłosz się przejedna może odzyskawszy syna.

— A dwaj drudzy! — zapytał Chwost — a synowcowie i reszta rodu?

— Trzeba do nich słać rozumnych ludzi, na zamek ich prosić. Nasza sprawa, ich wszystkich sprawa. Nie stanie nas tu, wygubią Leszków wszystkich kmiecie i jeden się nie uchowa, toć zrozumieć powinni... Niech się zjadą, niechaj radzą.

— A jeśli nie zechcą?

Brunhilda nie odpowiedziała nic, ręce na piersiach trzymała złożone i głową trzęsła tylko. Spojrzeli sobie z mężem w oczy.

— Zechcą? nie zechcą? niech tylko tu przyjadą, będziemy wiedzieli co wówczas poczynać.

Kneź stanął. Biała pani podała mu kubek i pogłaskała po głowie.

— Słuchaj ino mnie — rzekła — choć białogłową jestem, prędzej niż ty z ludźmi dam radę. W boju ty siły masz, a gdzie trzeba chytro podejść i gładko wziąć, zostaw to mnie.

Pogładziła go pod brodę.

— Na wieżę idę. Leszka uwolnię i ślę do Miłosza. Smerdów do stryjów wyprawię. Odpoczywaj ty i mnie porucz, nie masz się co trwożyć.

To mówiąc, zostawiwszy Chwostka na ławie, sama się wyśliznęła z izby, w podwórzu skinąwszy na zaufanego swojego, na Kaszubę, którego zwano Muchą.

Mucha był chłop młody i przystojny, żwawy i wesół. Smerdą go sama kneźna uczyniła, znalazłszy w nim rozum i chytrość, na których się poznać umiała. Między nim a Niemcem wyprawionym z pierścieniem, o łaski białej pani toczyła się wieczna walka, z której ona śmiać się była zwykła, bo jej to pochlebiało.

Mucha z Niemcem krwawili się czasem, od słowa do słowa i do pięści przychodząc. Teraz Kaszuba był panem, zbywszy się współzawodnika. Uśmiechnęła mu się Brunhilda. Stanął wnet na rozkazy.

— Na stołb mi trzeba i do lochu — rzekła — gdzie oślepły Leszek siedzi, pójdziesz ze mną... Nagotować ludzi ze czterech, odzież bogatą i piękną. Leszka do ojca trzeba wyprawić, dziś jeszcze. Mucha nie odpowiedział tylko pokłonem.

Niecierpliwa pani już z podwórza ku stołbowi szła. Inaczej się tam dostać nie było można, tylko po drabinie z poręczem, którą do wysokich drzwi przystawiano. Stała ona właśnie w miejscu, bo stróż dla zamkniętego w lochu Leszka, chleb i wodę zaniósł. Brunhilda zręcznie się spięła na schodki, rozkazując za sobą iść Musze. Wewnątrz wieży mrok już był. Schodki z tarcic wiodły na dół. Tu ciężkiemi drzwiami zapadającemi z góry zaparty był loch, w którym osadzono oślepionego Leszka. Drabina znowu prowadziła do głębi ciemnego więzienia, które jedno tylko wązkie okno oświecało.

W ciasnej, wilgotnej tej dziurze, na garści słomy zgniłej i stęchłej, leżał młody, piękny chłopak, dwudziestoletni. Odzież na nim gruba, zdarta i powalana, dozwalała widzieć wychudłe i zżółkłe ciało. Na pół leżąc, oczyma strasznemi, nakształt dwu plam krwawych, zdawał się patrzeć przed siebie. Usłyszawszy szelest niezwykły, Leszek głowę podniósł nieco, czoło wybladłe zmarszczyło mu się. Brunhilda obejrzawszy się trwożliwie po lochu, sparta o drabinę, którą weszła, odkaszlnęła nieśmiało. Leszek usiadł jakby strwożony

— Kto tu? — zapytał.

— Ja tu jestem — cicho i łagodnym umyślnie osłodzonym głosem, poczęła kobieta — ja... Brunhilda...

— Czy mam umrzeć? — odezwał się więzień.

— Nie — ja ci przynoszę wolność — mówiła kneźna. — Ja zawsze życzyłam tobie i bratu dobrze, starałam się was ocalić. Kneź nie winien, nieprzyjaciele na nas poszczuwali, grozili wami. Co się stało, stało się przez sługi, bez rozkazu naszego.

Leszek się zaśmiał szydersko i głową potrząsł niedowierzająco.

— Wierzcie mi — ciągnęła dalej Brunhilda — kneź żałuje, że życie wydarto bratu twemu, a oczy tobie.

— A z czyjego to uczyniono rozkazu? — zaśmiał się więzień.

— Nie było rozkazu.

Leszek się śmiał, słomę zgniłą wziąwszy z pod siebie, w wychudłych białych rękach miął ją bezmyślnie.

— Chcę was uwolnić — dodała kneźna — chcę was staremu odesłać ojcu. Dosyć już w rodzie było waśni i krwi się wylało. Pojednajmy się wszyscy, pogódźmy, mamy i tak dosyć nieprzyjaciół Leszku. Spokojnie na swoim grodzie, ojciec i wy siedzieć będziecie.

To mówiąc, zbliżyła się ku niemu Brunhilda powoli, a Leszek słysząc ten głos przybliżający się ku sobie, cofał się przerażony, jakby nowej lękając się zdrady.

— Nie lękaj się — poczęła Brunhilda — przysięgam ci, jutro będziesz u starego ojca i u własnego ogniska wolnym. Kneź chce zgody i spokoju. Daj się stąd wyprowadzić, włożyć odzież, nakarmić, konie i ludzie czekają na ciebie.

Leszek zdawał się uszom nie wierzyć, można się było domyślać, że szukał pod ręką czegoś, coby mu do obrony, a przynajmniej do pomszczenia życia służyć mogło. Drżące dłonie chwytały mur zimny.

— Nie lękaj się — powtarzała Brunhilda — przysięgam ci.

Milczał biedny więzień, który się był z posłania zerwał i do ściany przypadł, jakby w nią chciał się schronić, gdy dwóch z czeladzi przyprowadzonych przez Muchę, ujęło go zwolna pod ręce. Próbował się im wyrwać, jęcząc i nie zważając na zapewnienia Brunhildy, ale osłabły był i łatwo go wziąć im przyszło. Dał się wreszcie na plecy zabrać silnemu parobkowi, który go poniósł po drabinie. Brunhilda i Mucha szli za nim. Narzucono mu opończe i Kaszuba zaprowadził naprzód z sobą do komory, gdzie mu nową odzież dać miano. Kazano wybrać jak najkosztowniejszą. Sama Brunhilda szła już przodem do swojego dworu, gdzie jeszcze uwolnionego Leszka przyjąć, nakarmić i ułagodzić chciała.

Wnet sługi na stole przygotowały mięsiwo, mleko, miód w plastrach i sycony, kołacze białe, dla wygłodzonego. Kneźna rachowała na to, że go swym głosem łagodnym potrafi zjednać sobie. Mucha miał go do tego przygotować.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi i powiernik Brunhildy wprowadził z sobą, zmienionego do niepoznania Leszka, którego młodość i piękność przy okropnem kalectwie, wzbudzały litość nawet w ludziach do podobnych nawykłych widoków. Dano mu ubiór kneziowski, szyte suknie, z krasnymi sznury obuwie i jakby na szyderstwo miecz do boku. Jasne jego włosy świeżo zmyte, rozpuszczone na ramiona, świeciły pozłocistą swą barwą, blada twarz zaledwie młodym porastająca włosem, smutną była i straszną z temi oczyma zakrwawionemi, które nie dobrze zakrywały zsiniałe powieki.

Brunhilda kazała go posadzić u stołu, sama stając przy nim i podając mu napój i jadło.

Leszek zdawał się tak wygłodzony i spragniony, tak uspokojony przez Muchę, iż przyjął co mu dano z chciwością prawie. Milczał.

Niemka z przymileniem, pochylając się ku niemu, mówiła doń ubolewając nad nieszczęściem.

— Powiedzcie ojcu, jak ja nad tem boleję co się stało. Ja mam synów także, prawie w tym wieku, jam płakała gorzko, gdym się o tem dowiedziała. Kneź był trochę pod-

Brunhilda zbliżyła się powoli — Leszek cofnął się przerażony, jakby nowej lękając się zdrady.

chmielony, ludzie go nie zrozumieli, kazał, prawda, zamknąć do ciemnicy, ale nie ociemniać was. O mało nie zabił tego człowieka, co się ośmielił targnąć na was.

Mówiła Brunhilda, on słuchał i milczał, a milczenie to niepokoiło ją, bo dozwalało posądzać, że jej nie wierzył. — Tem mocniej też starała się wmówić w niego, że to nieszczęście stało się bez niczyjej woli.

Leszek zdawał się tak głodnym i pragnieniem zajęty, iż prawie nie słuchał tych zapewnień. — Kneźna siadła przy nim, sama go karmiąc i zachęcając do picia.

— Wrócisz natychmiast do ojca — rzekła. — Wyprosiłam wam swobodę w tej nadziei, że ojca nam przejednacie. Mówcie mu, że i kneź i ja zgody chcemy. Niech do nas przyjadą, niech sobie ręce podadzą.

Leszek milczał jeszcze.

— Powiesz mu to? — spytała.

— Odniosę mu wszystko co słyszałem — rzekł uwolniony — powiem.

Więcej z niego wydobyć nie potrafiła Brunhilda. Konie i ludzie gotowi byli; dwu towarzyszów obok niego jechać konno miało i podtrzymywać go w drodze. — Obdarowała Brunhilda synowca szatami, wyprawą na drogę, i w chwilę potem przez most jechała już ludzi gromadka, która Leszka odprowadzała. Mucha stał u progu. Brunhilda podeszła ku niemu. Sami byli w izbie, pogładziła młodzieńca pod brodę, dając mu kubek miodu.

— Jedź mi zaraz — rzekła i miej rozum, bo go tu wiele potrzeba. Jedź do panów stryjów, powiedz im co widziałeś, że Leszek uwolniony, że my zgody z nimi chcemy, niech na gród do nas zjadą. Kmiecie nam grożą, bronić się potrzeba nie memu panu, ale całemu rodowi naszemu... Skoro, jak najprędzej niech przybywają do nas.

Zagniewają się pewnie, ukołysz ich pięknemi słowy, niech ino przybędą. Nie odstępuj od tego, aby tu zaraz jechali. Rozumiesz.

Mucha okazać się starał wesołą i pewną siebie twarzą, że zrozumiał co mu zlecono i spodziewał się spełnić dane rozkazy. Nie zwlekając, natychmiast kazała mu jechać Brunhilda, a gdy ujrzała, że już był na moście grodowym, cichemi kroki poszła zobaczyć co się z mężem dzieje. Kneź zmęczony, wypróżniwszy co przy nim stało, spał na ławie leżąc i chrapał straszliwie.

XVI.

Nazajutrz rano Chwostek, chociaż się tem pocieszał, że go na grodzie napaść kmiecie nie będą śmieli, z porady Brunhildy, kazał czynić przygotowania do obrony. Dziewkom kazano kamień nosić na wały i na wieżę; a na wierzch stołba posłano straż, aby się z wysoka rozpatrywała po okolicy, czy się co z lasów nie ukaże.

Kneź z żoną i Smerdami radzili w izbie.

— Napaść na gród nie będą śmieli — wołał Chwostek.

Brunhilda potakiwała, ale radziła dla ostrożności gotować się do obrony, policzyć z siłami. Było ich na grodzisko dosyć, przy dobrem uzbrojeniu można się było obronić od dziesięćkroć liczniejszego napastnika. Wieża pełną też była zapasów i czekać mogli odsieczy, nie obawiając się głodu. Kneź sam ze Smerdą poszedł na stołb, aby wnętrze obejrzeć.

Ogromna wieża owa wzniesioną była w prastarych czasach, a o początku jej dziwne krążyły wieści. Z grubego muru na skale dźwignięta, pustą była we wnętrzu, belkami tylko, słupami i pomostami na piętra podzieloną.

Na samym dole, komory były ze skarbami pańskimi i zapasami do życia, w zasiekach i bodniach. Niżej jeszcze były te lochy ciemne i wilgotne, z których wczoraj Leszka dobyto, gdzie jeszcze zamknięci siedzieli inni i studnia, do

której spuszczano na głodową śmierć przeznaczonych. Po nad komorami pomost górny miał na sobie kamieni siła do staczania i pocisku różnego do obrony. Tu stały beczki ze smołą, którą gorejącą lano na oblegających. Wyższy jeszcze pomost dla strzelców służył, którzy z niego przez otwory w murze, pociski łatwo rzucać mogli. Stosy drzewa, łuczywa i kamieni, leżały nagromadzone przy ścianach. Była i studnia w lochach, która wody dostarczała i piece do chleba tak, aby zamknięci na stołbie, długo się trzymać mogli, a w owych czasach napady nigdy długo nie trwały w kraju obcym. Nadchodzono niespodzianie, porywano wszystko, co się schwycić dawało i uchodzono szybko.

Chwostek obszedł wszystko milczący. Nie wezmą mnie tu — psie syny! rzekł w duchu i powrócił znowu ledz na ławie.

Było już ku nocy, a na zamku nikt ani obcy nie postał, ani wieści nie przyniesiono żadnej. W okolicy panowała cisza. Pogoda była jasna, wieczór piękny, jezioro gładkie, lasy zdala stały miczące. Straże rozstawione wszędzie, chodziły z oszczepami po wałach.

Wśrod tego milczenia jedno niepokoiło, że psy drapały się na wały, siadały przeciw wiatru i niespokojne wyły przeraźliwie. Kazano je pospędzać i bić, ale to ich nie potrafiło zmusić do milczenia. Spędzone z jednej strony, zabiegały na drugą, a gdy je w szopie zamknięto, mimo razów, jeszcze straszniej wyły w niej ciągle. Temu psów wyciu odpowiadały kruki z wieży. Stado to ich zlatywało z murów, okrążało grodzisko, to znów obsiadło wieżycę.

Z północka już zatętniało około mostu, gdy wszyscy spali okrom straży u haci i mostu. Dobijał się ktoś do wrót, wzięto go i przyprowadzono do dworu. Był to pastuch od kneziowskiego stada, stary Lisun, który bełkocząc, opowiadał coś przelękniony, czego dobrze nikt zrozumieć nie mógł. Kneź i żona byli już w łożnicy, nie śmiano ich budzić i czekać z nim musiano do rana. Chwost po dziennym niepokoju i wieczornej uczcie zwykłej, spał jak kłoda, więc choćby go ze snu wytrzeźwiono, z miodu otrzeźwić nie było podobna do jutra.

Dopóki napoju nie wydychał, nie rozumiał nic, tylko bić i zabijać nakazywał.

Rano, gdy się ocknął, Smerda już u progu czekał z pastuchem, który mu do nóg padł.

— Miłościwy panie — zawołał — stało się nieszczęście. Hadonaście przysłali do mnie, aby mu konia dać. Zaledwie się do stada przywlókł, gdy jacyś kmiecie, co za nim szli w trop, napadli nań i pochwycili go. Jęli go trząść, czy znaku jakiego przy sobie nie miał, pierścień u niego jakiś znaleziono. Związali go łykami i uprowadzili w las, ino mi miał czas powiedzieć, abym na gród bieżał i oznajmił o tem co się stało. Hado prosił się i groził, ale nie pomogło nic. Ludzie co go pojmali, o czemś wiedzieć musieli.

Kneź ze złości na tę nowinę niedobrą na posła się z całych sił zamachnął i byłby mu głowę rozbił pięścią, jak się to niejeden raz zdarzyło, gdyby na ziemię nie padł ze strachu. Klnąć tedy począł piorunami i czarnymi duchy. Przypadła Brunhilda z rękami załamanemi za swem pacholęciem, krzyk stał się wielki i narzekanie.

Chciał Chwost zaraz słać ludzi, aby go odbić, ale czyja była czeladź i gdzie zabranego poprowadziła, Lisun powiedzieć nie umiał. Z grodu też ludzi teraz wysyłać nie było bezpiecznie. Pochwycenie Hadona znaczyło, iż rozumiano po co był wysłany, a chwycić sługę kneziowskiego ten tylko mógł mieć odwagę, kto z nim myślał wojować. Popłoch się tedy zrobił na grodzie tem większy i Smerdowie na konie posiadawszy, gnali natychmiast po osadach do koła i chałupach, by więcej ludzi spędzić na zamek.

Do pół dnia cicho było na grodzisku, ze stołba też nic nie widać, kneź trochę z gniewu ochłonął, a pani z żalu.

Czekała na powrót ludzi, co Leszkowi towarzyszyli i na Muchę, który dwóch stryjów Mściwoja i Zaboja miał na gród zaprosić, ale dnia tego do nocy, wyglądano ich napróżno.

Ślepy Leszek jechał do ojca tak milczący w drodze, jak był na zamku, obawiał się mimo zaręczeń stryjenki, aby go oddani mu ludzie w lesie gdzie nie zamordowali. Tak doje-

chał aż na ojcowski gród stary i ocknął się dopiero, gdy róg usłyszał u wrót, i dobrze znany głos strażnika. Na widok biednego ślepca wracającego tu, krzyknęli ludzie, otwarto wrota, zbiegli się domownicy, na ręce porwano Leszka z konia i na rękach poniesiono go płacząc razem i radując się do ojca.

Miłosz nie wiedział o niczem i trawił się żałością swoją, jęcząc na posłaniu, gdy posłyszał te tak niezwykłe w cichym grodzie głosy. Zerwał się z pościeli, niedźwiedź się ruszył, mrucząc groźno, wybiegła z komory matka stara. Właśnie się drzwi otwierały i z rozwianemi włosy złotymi, niesiony na ramionach czeladzi, ukazał się Leszek biedny. Stara matka pierwsza rzuciła się nań, chwytając go z jękiem i płaczem w ramiona. Miłosz siedział, pojąć jeszcze nie mogąc co się stało, ręce podnosząc do góry i jęcząc.

Gdy rodzice oboje ujrzeli wreszcie dziecię swe oślepłe, skaleczone tak okrutnie, choć je cudem prawie odzyskali — boleść, żal, rozpacz na nowo serca ich chwyciła. Oboje rodzice przekleństwa miotać zaczęli i łzy potoczyły się strumieniem, płakał i Leszek, którego na ziemi na skórze posadzono. Niedźwiedź stary nogi przyszedł mu lizać i jak pies się łasić.

I długo nic słychać nie było, tylko płacz, jęki, przekleństwa.

Zaczęto go pytać wreszcie.

— Cóż ja wam powiem — odezwał się Leszek — ja nie wiem nic, bo jedną chwilę tylko pamiętam, gdy mi oprawca przyszedł wyrwać moje oczy, któremi na świat patrzałem, gdy żelazo mi utopił, aby dobyć oko i rzucił je i zgniótł pod nogą. A! gdyby mi jedno był zostawił! Drugie poszło za bratem i słyszałem je padające na bok, razem z życiem mojem całem. Ślepiec jestem półżywy tylko i zostało mi dwie jamy, bym mógł płakać niemi.

Ojciec i matka płakali, zachodząc się i jęcząc.

— Rzucono mnie do wilgotnego lochu, na słomę zgniłą, na wodę stęchłą, na suchar spleśniały, mówił Leszek, a umrzeć nie mogłem... Nareszcie jednego dnia posłyszałem nad sobą głos niewieści znany, słodki a straszny, jak syk gadziny...

Brunhilda mi przyszła oznajmić, że moje nieszczęście stało się bez ich woli, że nie kazał nikt, że się oprawca sam domyślił. Chcą przebaczenia i zgody.

— Nigdy! — wyjęknął stary Miłosz. — Teraz, gdy im kmiecie grożą, gdy potrzebują nas, podają ręce, zapóźno. Nie pójdę z kmieciami, ale nie pójdę z oprawcami moich dzieci.

Matka przypadła znowu ściskać swe dziecię, ojciec tulić je począł. Odprawiono sługi i wrota grodu zamknęły się znowu, a nazajutrz stara macierz wodziła syna pod dębami za rękę, jak niemowlę i swoje oczy, po dziecięcych płacząc, wypłakiwała.

Tak dzień upłynął i drugi, gdy do wrót stukać i z rogów hasło dawać poczęto. Miłosz poznał po trąbie braci swoich, Mściwoja i Zaboja.

Pobiegła straż otworzyć; oni to jechali w istocie, za nimi synowie ich i rodzina, głów kilkanaście.

Miłosz wyszedł w podwórzec dębowy na spotkanie, wiodąc oślepłego syna. Pozdrowili się w milczeniu i szli siąść na spoczynek w cień pod drzewa. Mściwój i Zabój starzy byli, ale silni jeszcze, twarze ogorzałe, lica poważne i surowe. W obu życie drgało gorące.

— Miłoszu — rzekł starszy — po radę przybyliśmy do ciebie, radź i mów. Popełek nasz wzywa do siebie, chce zgody, grożą mu kmiecie, potrzebuje nas, ale i my go potrzebujemy. Wojowaliśmy z nim, a no czas razem na wspólnego iść nieprzyjaciela. Padnie on, i nasz ród wyginie.

— Tak — dodał Zabój — radziliśmy i uradzili, aby jechać do niego. Ratując jego, ratujemy siebie.

Miłosz rękę podniósł do góry.

— Mnie już nikt nie uratuje — zakrzyczał — spojrzcie na to dziecko moje. Zabił jedno, oślepił drugie, aby się dłużej męczyło, o zgodzie z nim nie mówcie. Niech przepada on, ja, my, wszyscy. Nie ocalimy siebie, a psami byśmy byli, gdybyśmy nogi poszli mu lizać. Niech zczeźnie marnie!

Milczenie panowało chwilę. Mściwój w ziemię patrzał, Zabój na Leszka i łzy mu się kręciły w oczach.

— Przecie wezwani — ozwał się Mściwój — pojechać do niego musimy, pojedziemy. Zobaczym co się na grodzie dzieje.

— Niech się tam dzieje co chce.— rzekł Miłosz — jedźcie lub nie, a mnie zostawcie z moim bólem i przekleństwem.

— Z kmieciami nie pójdę — bom kneź i pan nad nimi, a z Pepełkiem nie chcę na długość miecza się spotkać, bobym wydarł życie.

Zamilkł starzec i nikt się odezwać już nie śmiał. Bracia stryjeczni zbliżyli się do Leszka z ubolewaniem i miłością — i cicha rozmowa a szepty do późnej nocy trwały pod dębami. Nazajutrz rano Mściwój i Zabój ruszyli z grodu i skierowali się ze swą drużyną ku Gopłu.

Czekano tam na nich niecierpliwie. Mucha powrócił i przybycie ich obiecywał, donosząc, że po Miłosza pojechali. Starego jednak nikt się tu nie spodziewał. Na noc znowu stanęły straże — i psy tak wyły jak dnia przeszłego i kruki latały niespokojne, a Brunhilda z wieży patrzeć kazała, czy stryjów nie widać jadących.

Na grodzie i ludziom i stworzeniu wszelkiemu źle było i niespokojnie. Jaskółki wszystkie gniazd swoich odbiegły, latały długo szczebiocąc około wieży i poddaszów, potem się w jedno zwinęły stado i uszły kędyś za jezioro. Po snopach konie się rwały i rżały, bydło ryczało. Ale noc zeszła spokojnie, gwiazdy zaświeciły jasno, nadedniem księżyc zszedł z nad lasów rozpłomieniony i blado zaświecił, nim się jutrzenka ukazała rumiana.

Kneźna pilno się gotowała na stryjów przyjęcie, chodziła niespokojna, rwała zioła na kępie w ogrodzie, w garnkach gotowała napoje, pieczono mięsiwa, toczono miody najstarsze. Ubito kozła, który się obracał przy ognisku, ryb przyniesiono z jeziora, pieczono kołacze i placki świąteczne, aby nic nie brakło na te gody.

Już słońce było wysoko, gdy na polu pod lasem jezdni się ukazali, których po brodach siwych i orszaku poznano.

Jechali starzy przodem, synowie i krewniaki za nimi i czeladź a służba. Odzieży nie włożyli świecącej, jakby naumyślnie chcieli na prostych kmieciów wyglądać. Oręża tylko mieli przy sobie dosyć. Zbliżali się nie spiesząc do grodu, a ujrzawszy że Chwostek sam wyszedł na ich spotkanie i u mostu kołpaka podniósłszy, czekał na panów stryjów, pozsiadali też z koni i powoli szli ku niemu. Co w grodzie uradzili między sobą i jak mówić mieli, z twarzy odgadnąć było trudno. Na podsieniu stała Brunhilda blada, w sukni szytej i ciężkiej od srebrnych i złotych łańcuchów. Ze czcią wielką wiedziono ich milczących — bo się znać tak uprzejmego nie spodziewali przyjęcia. Szli prosto do świetlicy, gdzie ich na okrytych ławach posadzono, jeść i pić zapraszając.

Chwostek tedy nauczony przez żonę, począł zaraz, co to się po ziemi działo, jako złe duchy opanowały ludzi, którzy mu się zuchwale z posłuszeństwa wyłamywali i grozili, że kmiecie szli na wietnice i zwoływali się do rady, stawili się hardo. Prosił tedy, aby mu rzekli, co poczynać.

Mściwój długo milczawszy, a namarszczywszy się odezwał:

— Co czynić? Nie radziliście się nas wprzód, późno teraz. Zwoływali oni wiec, trzeba było samemu nań jechać, lub drugi zwołać sobie, skarg i żalów posłuchać, a gminu nie drażnić.

Zabój toż samo prawie powtórzył za bratem.

Chwost słuchał zachmurzony, zwiesiwszy głowę nad kubek.

— Jeszcze do tego nie przyszło — rzekł — aby się pan ze sługi targował. Co ma być, będzie, a tego ja nie uczynię.

Mściwój począł mówić powoli, że się dobrze namyśleć trzeba, co lepiej czynić, bo naprzeciw wieców i gromad i mirów wszystkich iść trudno, a gdy do boju przyjdzie na rękę — siła i liczba straszna.

Z kolei kazano młodszym też mówić bratankom, odzywali się po kolei w też słowa co ojcowie, nie radząc się zadzierać, a lepiej spokoju szukać, winnych potem mogąc jako chcąc, karać pojedynczo.

Kneź z żoną popatrzyli na siebie w milczeniu, nie odrzekli nic. Prosili jeść, pić i używać.

Pili tedy i jedli i mało co mówili o łowach, gdy Mściwój znowu do swojego powrócił.

— Prawdę się wam rzec godzi, kiedy o radę pytacie — rzekł. — Wyście dla ludzi srogiemi byli, po ziemi krwi się lało wiele, że skarżyliśmy się i my, choć i nam się dostało. Cośmy potracili, niech w niepamięć idzie. Nie, jak knieziowski ród, ale jak czerń, Smerdy twoje nas gnały, brali co chcieli, męczyli, jak im się podobało. Co z drugimi być musiało, gdy ze stryjami własnymi tak się działo? Smerdy kmieciów zabijali po lasach, stada ich zagarniali, niewiastom gwałty czynili. Co za dziw, że się na wiece zwołali i krwawą odzież po chałupach z wiciami obnieśli?

Chwostek i żona milczeli posępnie. Wyszła blada pani i nie było jej długo — kneź słuchał, nie mówił nic, gębę sobie gryzł do krwi i włosy targał.

— Co się stało, to moja sprawa, — zawołał wyczekawszy — ja was dziś o jedno pytam. Przyjdzie-li do wojny i walki, staniecie za mną, czy przeciwko mnie?

Mściwój i Zabój spojrzeli po sobie i było długie milczenie. Jeden na drugiego zdawał się spychać odpowiedź — potrącali się łokciami. Chwost czekał, aż Mściwój począł.

— Ani przeciwko tobie, ani z tobą nie będziemy, rzekł spokojnie. Z kmieciami my na swój ród nie pociągniemy, bo swoją krew, jaka ona jest, szanujemy, a z tobą też na kmieciów nie pójdziem, bo nam zdrowie miłe i życie. Nie bardzozeście nas wspomagali, a my wam siły wielkiej nie przyniesiemy. Jak żupany siedzim po grodach — będziemy zamknięci siedzieć — co nam do waszych waśni.

— Pewnie rozumna rada! — mruknął Chwost — mnie zrzucą, a z was którego posadzą!

I rozśmiał się dziko, spozierając ku drzwiom, w których żona stała.

— A to mylicie się — dodał — nie stanie mnie, nie

będzie was! Zasmakują w wilczej swobodzie, powypędzają i was z grodów. Zobaczycie.

— Idźcie z nami ręka w rękę — odezwała się Brunhilda.

— Nie mamy sił po temu — odezwał się Zabój. — Miłosz, któremuście jednego syna zabili, a oślepili drugiego, wyparłby się nas za braci, gdybyśmy poszli z wami.

— Tak! tak! — powtórzyli za nim wszyscy starsi i młodsi. — Ani z wami, ani przeciwko wam.

Kneź popatrzył na żonę, nie rzekł już nic.

Starym miodem rozgrzani goście jęli się rozgadywać coraz śmielej, młodzi też, gdy im się rozwiązały usta, narzekali i boleli na swą dolę.

Chwostek, na którego żona wciąż patrzała, jakby go oczyma trzymała na uwięzi — nie odpowiadał nic... ramionami dźwigał, prosił jeść a używać.

Ciągnęła się tak dalej biesiada. Brunhilda wyszła, bo się dzbany wypróżniły i wróciła wnet, a za nią służebna wniosła garnek żółty, pełen złotego miodu i na stole go w pośród gości ustawiła — Brunhilda odezwała się, że ten miód, gdy się jej pierwszy syn narodził, syciła sama, a nie mogło być lepszego, ani bardziej woniejącego pod słońcem. Zapraszała, aby pili i próbowali. I zaraz służebna uśmiechając się, jęła we wszystkie kubki nalewać. Wśród gwaru i ruchu, kneźna sobie i mężowi ukradkiem innego napoju nalała. Goście tego nie widzieli i pili a chwalili miód stary i wonny.

Chwostek milczał. Starzy sądzili, że go przecie do rozumu i pomiarkowania przywiedli. Pili, a służebna coraz im nowe kubki nalewała.

Słońce już nad zachodem przed otwarte okna zaczęło zaglądać.

— Hej! — rzekł stary Mściwój stawiając kubek — dość to już tego picia, mnie już pali we wnętrzu, miód ognisty i stary — ja mam głowę słabą i wolę wodę.

— Toż i ja — dodał Zabój — nie dosyć, że pali, alem się opił, aż sprośna rzecz, gardłem mi się nazad dobywa.

Wtem jeden z młodszych zerwał się zbladły i za piersi pochwycił.

— Zdrada! — zawołał — to nie miód, to jad! to trucizna! Tak miód nie pali — on się tak w piersiach nie burzy, to jad! to jad!

Młodsi chwycili się wszyscy z ławy, mimowolnie porywając do nożów, stary Mściwój chciał wstać, za stół się ujął, nie mógł, i pod stół jęcząc padł bezsilny. Zabój popatrzył na Chwostka. Temu zęby białe z pod warg widać było, a z oczów białka mu świeciły. — Śmiał się.

Młodsi rzucali się, chwiali i padali w boleściach, jedni ław chwytając, drudzy tarzając po ziemi. W męczarniach piersi cisnęli i ręce łamali, jęcząc i rycząc okrutnie. Kneź i Brunhilda, siedząc na ławie, patrzyli na to widowisko — milczący. Chwost tylko głową pokręcał.

— Tak się kończy panowanie wasze! — krzyknął wreszcie ze śmiechem. Wyście nie ze mną a z kmieciami trzymali, musieliście zginąć! Was oni chcieli na moim grodzie sadzić, więc trupy chyba posadzą, noga stąd nie wyjdzie żywa. Kneźna umie smaczne z ziół wyciągać soki i miód syci dobry!!

Zczeźnijcie marnie!

Mściwój i Zabój nie odzywali się już, wstyd się im było skarżyć, starszy na dłoni sparł czoło, usta zacisnął, spojrzał ku synom i westchnął cicho, oczy zamykając, a z pod powiek mu łzy pociekły. Młodzi, pobledli jak trupy, na ziemię popadawszy ścisnęli razem, ręce sobie kładąc na ramionach, głowy na piersiach. I im, gdy starzy zamilkli, srom było jęczeć i narzekać próżno. — Mimo strasznych męczarni usta ścisnęli, a oczy, zachodzące bielmem śmierci, zwracały się na Chwostka i kneźną. W izbie słychać było tylko oddechy ciężkie i miotanie się bezsilne. Konających głowy spadały ze stukiem na dyle pod nogi. Młodsi naprzód konać i umierać zaczęli jak podcięte kłosy, potem Mściwój zachwiał się i runął na ziemię, na wznak, z pianą na ustach a bez jęku. Przy nim padł syn, głową u nóg jego. Drugi walczył ze zgonem, aż gdy siwa ojca głowa uderzyła o pomost i stoczyła bezsilna, srebrnym

otoczona włosem, osunął się i on, jęknął i osłoniwszy twarz — skonał. Zabój trzymał się stołu ręce weń wpiwszy, rzucał się tylko, targały go męczarnie wielkie, aż, jak piorunem tknięty, runął z ławą razem i obalił się na ziemię. Konali tak po jednemu, jęcząc głucho, a Chwost patrzał.

Śmiech z ust mu się zsunął i posępny wyraz przerażenia ukazał się na obliczu, uląkł się własnego czynu i trwożliwe oczy zwrócił na Brunhildę, która spokojnie reszty miodu zatrutego zlewała do garnka, i szepcąc oddawała go uśmiechającej się zwycięsko służebnej.

Potem przez okno wyjrzała, wołając na ludzi. Starszy Smerda wszedł i, zobaczywszy podłogę zawaloną trupami, drgnął i pobladł.

Wtem Chwostek wskazał mu palcem na ciała.

— Czeladź ich powiązać — z trupami precz. Stosu dla nich nie potrzeba, zakopać ich w ziemi.

Smerda stał niemy, spoglądając na blade, wykrzywione straszliwie oblicza kneziów. Chwostek powtórzył mu jeszcze.

— Wywlec to ścierwo precz! a żywo! Co tak wielkie otwierasz oczy. Wywlec za nogi i zakopać nad jeziorem, za dworem. A głęboki dół wybrać, aby ich psy nie wywlekły, bo się padłem potrują. Psów mi szkoda.

Noc zapadła, gdy w świetlicy siwych starców i ledwie rozkwitłe ich dzieci, ludzie kneziowscy pijani za nogi wywlekać zaczęli. Czaszki ich biły o podłogę, o słupy gdy je ciągnęli na podwórze. Tu odzierać zaczęli trupy, bo odzież im się dostać miała. Tłukli się więc i dobijali, kto lepiej odzianego dostanie trupa i wyrywali sobie z rąk opończe, kłócąc o nie a popychając. Kupa czeladzi zbiegła się przypatrywać potrutym i pomagać. Tymczasem czeladź ich chwytano, wiązano i do szopy pędzono jak bydło.

Psy i ludzie pchali się dokoła tych ciał bladych i sinych — a przez szpary i okna, przerażone niewiasty patrzały szepcząc. Na dworze panowała cisza, jak gdy wicher śmierci przeleci. Pozdzierawszy z nich odzież, oprawcy znowu powrozy przywiązali do nóg i ciągnęli na pagórek nad jezioro. Starym

kneziom należała choć mogiła i stos ognisty, ale Chwost nie myślał ani palić ciał, ani im sprawiać tryzny. Nie czas mu też o tem myśleć było. Zagrzebano ich w dole, jak zdechłe zwierzęta, aby gnili marnie i robakom za pastwę służyli, co było pogardą wielką i zniewagą w owych czasach.

A gdy trupy wleczono, psy wyjąc ciągnęły za nimi i wicher się zerwał od lasów, choć niebo czyste było — poleciał po wieży, po komorach, po izbach wyjąc i świszcząc dziko, aż Chwost obejrzał się, drgnął i w kąt na ławę zacisnął mrucząc.

Brunhilda ręce myła w wodzie na stole i patrzyła na przestraszonego z politowaniem i niemal z pogardą.

Czaszki ich biły o podłogę, o słupy, gdy je ciągnęli na podwórze.

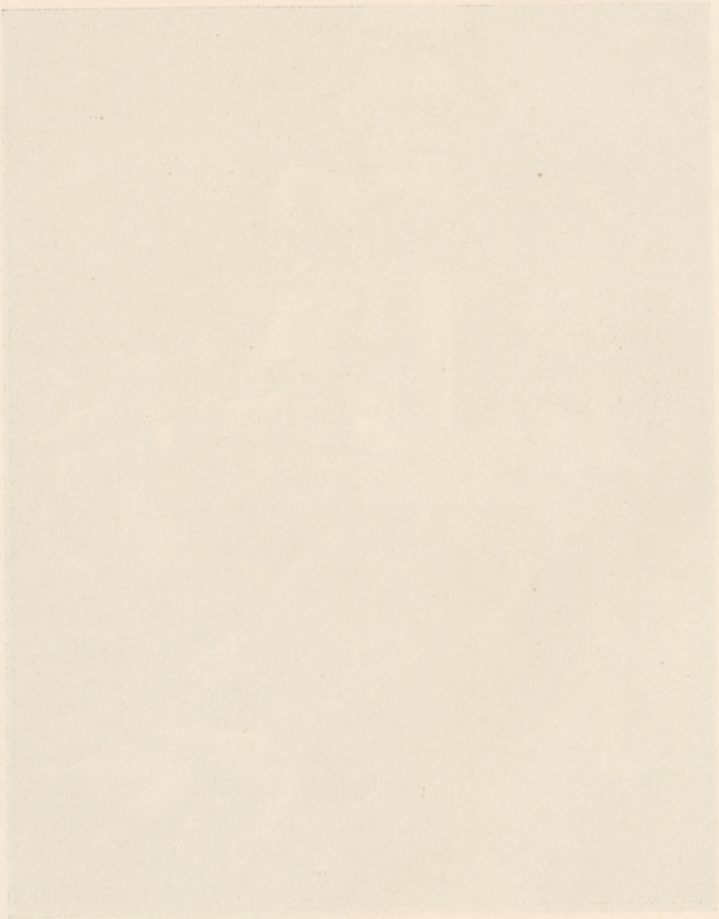

XVII.

dy czeladź potrutych wiązano, Żuła, który starostą był przy Mściwoju, zawczasu postrzegłszy co ich czeka, rzucił się na ziemię, podpełznął między krzaki rosnące pod tynem, wsunął się dalej od ciżby, na częstokół wdrapał i przeskoczywszy go, wpław począł do brzegu się dobijać. Drużyna zajęta innymi nie postrzegła ucieczki, nie posłyszała pluskania po wodzie... Z wieży tylko stojący na niej strzelać zaczęli do płynącego i nawoływać, ale nim się opatrzono w pogoń pójść za nim, już dopadłszy lądu, gdzie się pasły konie, chwycił świerzopę i oklep rękami ją popędzając pobiegł w lasy.

Pastuchy za nim pognały, ale go pochwycić nie mogli. Żuła nogami i oburącz gnał przestraszone stworzenie, które go jak szalone w zarośla wniosło. Gdy znikł z oczów pogoni, już go w lesie próżno dalej pędzić było.

Żuła wprost biegł do grodu Miłosza, chciał choć jego ocalić, można się było bowiem spodziewać teraz, że Pepełek, który Leszka wypuścił tylko aby stryjów do siebie ściągnąć, nie daruje i ostatnim ze swojego rodu! Po drodze Żuła gnając spotkał w lesie kmieci, obejrzeli się za nim, rzucił im tylko słów kilka...

— Na grodzie Leszków naszych potruto... jeden Miłosz i ślepy syn jego pozostał!...

Poszła więc wieść szeroko po dworach o tem, co się na zamku stało.

Żuła pędził co koń sił miał, dopóki drugiej na drodze nie napadł stadniny, aby go zmienić. Podjechał do koni, pochwycił za grzywę jednego, przeskoczył mu na grzbiet, przypiął się doń jak kleszcz i pognał go, rzucając świerzopę, która uwolniona strząsnęła się, prychnęła i spokojnie trawę gryźć zaczęła.

Na grodzie Miłoszowym, pod starymi dębami siedziała matka z Leszkiem, jak dziecko go zabawiając powieściami. Opodal nieco odpoczywał znużony śpiewaniem Słowan, którego dla biednego chłopca sprowadzono, aby go pieśniami rozrywał. Ojciec na niedźwiedziej skórze rozesłanej pod drugim dębem, leżał sparty oburącz i milczący. Zaczęto do bramy bić i krzyczeć. Żuła stał u wrót. Puszczono go poznawszy, że był z orszaku Mściwojowego. Zsunął się z konia i pobiegł co tchu ku Miłoszowi, pot mu się lał po twarzy, wargi drżały, przybiegł, padł do nóg staremu i nie mogąc mówić, zapłakał.

Stary go nie poznał zrazu, oczy miał łzami wyjedzone.

— Kneziu, panie — zawołał ręce łamiąc — tyś już jeden pozostał... Nie chcieli cię słuchać nasi miłościwi kneziowie, niema już z nich ani jednego na świecie... Chwost ich z żoną potrul przy biesiadzie, w gościnie, we własnym domu!...

Zerwał się stary Miłosz i rękami uderzając o ziemię padł na nią znowu, a Żuła jęcząc mówił:

— Ledwie z życiem uszedłem, aby wam wieść przynieść. Uchodzić i wam potrzeba!... Przyjęli nas na grodzie słodko, wyszedł Chwost do wrót zapraszając... Siedli do stołu wszyscy, jedli i pili długo... a nie wstał już z ławy nikt, padli tam wszyscy jak siedzieli. Trupy powleczono grzebać w ziemi nie spalone... Psy szły za nimi tylko wyjąc. Nie został ni jeden, nie ocalała głowa żadna. Czeladź spętano... ja sam nie wiem jakiem szczęściem uszedł... Teraz gdy się odkryło, co miał w sercu, naśle pewnie i na was, kneziu... uchodzić trzeba!...

— O bracia moi, o rodzie mój! — jęczał Miłosz ręce załamując — na to wam przyszło, byście od własnej krwi ginęli... Gdzież i po co mam uchodzić, jeśli i mnie zgładzić zechce...

Dosłyszał tych wyrazów Leszek i matka siedząca przy nim i z krzykiem narzekać poczęli. Po grodzie rozszedł się płacz i przerażenie wielkie. Stary Miłosz tylko nie ruszał się z miejsca, gdy mu pierwszy wybuch żałości przeszedł, posępnie się zadumał.

— Nie ujść przeznaczenia! — mruczał.

Wtem spojrzał na oślepione swe dziecię i żal mu się go zrobiło. Krzyknął na ludzi. Zaczęli się zbiegać z zabudowań i dworu. Ruch pod dębami stał się żywy.

Leszka wzięła matka za rękę i wiodła ku ojcu.

— Konie sposobić — zawołał stary — ja sam pojadę... Leszek z matką i służbą do lasu na pasiekę się schroni, ja dalej muszę. Na własną krew podnieść rękę... o dołoż ty moja!...

Żule tymczasem, który ze zmęczenia i głodu padał, przyniesiono chleb i piwo. Staremu kneziowi, który tyle czasu jak złamany i bezsilny na łożu przeleżał, nie ruszając się prawie, siła się zdawała powracać. Wstał z legowiska, wyciągnął ręce zdrętwiałe, potoczył zamglonemi oczyma, wyprostował się i zawołał, aby mu oszczep, miecz i łuk podano.

Dokoła poruszało się wszystko. Z szop wyprowadzano konie rżące, ludzie sakwy wiązali, Miłosz swój oręż przypasywał i chodził to Leszka ściskając, kładąc mu ręce na ramiona, to wydając rozkazy.

Krótkiego czasu potrzeba było na przygotowanie.

Przy Leszku jechała stara matka i dwóch ludzi. Z Miłoszem dziesięć szło koni. Gęślarz zapomniany podniósł się z pod drzewa i dziecku się prowadzić kazał — w świat znowu.

Nikt nie wiedział, dokąd się uda stary. Wziął z sobą Żulę, sam przodem ruszył nie mówiąc drogi i konia pognał. Złamany ten niedawno starzec, który zdawał się z trudnością obracać na posłaniu, siedział teraz na koniu, nie zgarbiony

nawet, jak dąb wiekowy twardy i niezgięty, nieszczęście wielkie, nową moc mu dało.

Na noc rozłożyli się obozem w lesie, Miłosz ognie rozpalać kazał, legł pod szałasem z gałęzi, ale nie zasnął... Patrząc w ognisko przeleżał noc całą, a gdy zaświtało, dał znak — do koni. Jechali dzień drugi w milczeniu, Żuła się domyślił już, że na Lednicę dążyli.

Już jezioro widać było, gdy dwie kupy jezdnych spotkali. Byli to kmiecie zbrojni. Postrzegłszy Miłosza, Ścibor, jeden ze starszych, przybliżył się do niego i zastąpił mu drogę.

— Wy z nami! kneziu! — zawołał do niego.

— Ja... z zemstą, nie z wami — ponuro odparł Miłosz — tam będę, gdzie pomsta.

— My też jej na Chwostyku szukamy — począł Ścibor — kmiecie się zbierają na Lednicy. Bądźcie nam głową na tego zbójcę...

— Ja wam głową nie będę — zamruczał stary — ręką tylko... Z kmieciami nie trzymam, bom innego rodu, a z zemstą idę.

To mówiąc koniem wyminął zastępującego mu drogę Ścibora, za którym i inni kmiecie stali i słuchali, i popędził ku brzegowi jeziora. Kupki kmieciów pociągnęły za nim. Na wodzie widać było czółna pełne tych, co już na ostrów płynęli. Konie z czeladzią pasły się na wybrzeżu.

Miłosz z Żułą zsiedli ze swoich i poczęli do chałup na palach wołać o przewóz, ale tu nie było nikogo, wszystkie czółna poszły z innymi na Lednicę... Czekać więc musieli i stary na ziemi siadł. Nadciągający kmiecie wnet go otoczyli, ale ku nim ani spojrzał.

Tu gwar był w gromadkach wielki. Starszy Myszko z zawiązaną szyją, blady, bo mu się jeszcze rana nie zgoiła, przewodził między swoimi.

Do starego Wizuna po radę jechali i sami też tu spokojniej na ostrowiu i dogodniej niż na wietnicy, pomówić z sobą chcieli. Z drugiego boku stał z kilku Bumir, znany z tego, iż z Chwostem trzymał. Gdy Ścibor z Myszkami odeszli

nieco od starego knezia, który z nimi mówić nie chciał, zbliżył się on do niego.

— Wy kneziu — rzekł z cicha — nie myślicie pewnie z tymi kmieciami się łączyć... Co wam do nich! Ja trzymam z moim panem i z waszym rodem, ja człowiek jestem spokojny i Leszek też.

Miłosz na niego popatrzył.

— Jeśli trzymasz z tym zbójcą, co na grodzie, idźże precz ode mnie!

Ręką mu wskazał na pole.

Bumir się nie cofnął.

— Wy też, kneziu, z synowcem trzymać powinniście... Syna wam zabić kazał! powiecie? — no, tak! ale się synowie wasi podnosili na niego i odgrażali... Broni się i zając, gdy go psi biorą... Pozbył się Mściwoja i Zaboja, bo mu oni w żywe oczy powiedzieli, że z nim trzymać nie chcą, a przeciw niemu będą... Okrutny nie jest... a sam sobie szkodzić nie może.

Miłosz milczał pogardliwie, a Bumir mówił ciągle:

— Co pomoże, iż się zbierają i radzą... nic nie uradzą... a potracą głowy... Kneź ma Niemców w pomoc, którzy nadciągną i kraj nam spustoszą...

Mówił, a stary Miłosz odpowiadać mu nawet nie chciał. Wtem czółno puste przybiło do brzegu, stary na Żułę skinął i poszedł siąść, ale przewoźnik zmęczony na ziemi ległszy wieźć ich nie chciał. Próżno go Żuła parę razy kopnął nogą. Sam wreszcie wiosło pochwycił i Miłosza powiózł na ostrów. Tu gdy się zbliżyli, ujrzeli kupy ludzi zgromadzone i ruch niezwykły, jakby na wiec się zebrała starszyzna. W milczeniu wysiadł Miłosz stary i nie patrząc na nikogo, skierował się tam gdzie stał Wizun, otoczony żupanami, władykami i kmieciami.

Do nikogo nie przemówiwszy słowa, kneź stary wpośród nich na kamieniu miejsce zajął. Opodal nieco i Bumir z małą gromadką stał także.

Stary Wizun na kiju oparty słuchał; z otaczających go

jedni po drugich i razem odzywali się wszyscy gorącemi słowami. Wrzawa panowała w tłumie, w którym przewodzili Myszkowie. Na Miłosza popatrzano tylko, rozsunęli mu się nieco, ale nań bardzo nie zważano.

Starszy z Myszków z krwawą szyją głos zabrał:

— Dosyć tych mordów i tego niemieckiego panowania — mówił — Chwościsko siedzi na grodzie, ale nie on rządzi, tylko ta jędza — baba, co trucizny warzy i zdrady... Nie chcemy, ani jego, ani synów, ani żadnego z tego rodu, który dość się krwi naszej napił...

— Nie chcemy! — krzyknęli drudzy, podnosząc ręce — nie chcemy!

Na milczącego Bumira skierowały się oczy, a ten stał bledniejąc trochę, ale nie cofając kroku.

Miłosz słuchał patrząc w ziemię.

— Co wy na mnie ślepia wywieracie? — wyrwał się Bumir po chwili milczenia — nie zlęknę się was... Wyście ta krowa co dużo ryczy, a mleka z tego nie będzie. Chwostek, coście go tak przezwali, i Niemka z nim, nie dadzą się wam. Rozpoczniecie z nim wojnę, sprowadzą Niemców, spalą i spustoszą, to cała wasza będzie wygrana...

I śmiać się począł.

— Do Sasów daleko! — krótko ozwał się Miłosz, nie podnosząc oczów.

— A wieża można, a dwór częstokolony, wały tęgie, wody z jeziora nie wypijecie — mówił Bumir — na grodzie drużyna śmiała i liczna, choćby rok im na Sasów czekać przyszło, z głodu nie pomrą, i Chwostek się nie podda... Wreszcie weźmiecie go, ma on dwu synów u Niemców, przyjdą ci z nimi i karki wam nagną...

Słuchano szemrząc.

— Pocóżeś tu przyszedł? — krzyknął Myszko, następując ostro na mówiącego — idź im łapy liż... na grodzie... tu ciebie nam nie trzeba.

— Owszem — rzekł Bumir — kiedy rozumu nie macie sami, trzeba by wam go kto przyniósł!

— Precz z nim! precz... — poczęto wołać z gromady...

Bumir się nie ruszył i stał.

— Nie pójdę — mruknął — prawcie swoje... jam tu tak praw jak i wy.

Ścibor się doń tyłem obrócił i inni, kilku mu pięści pokazało.

— Bumir może i nie tak głupi, jak się zdaje — wyjąknął inny w jego obronie — zamek mocny, a my słabi...

— Ale nas gromada! — zawołano.

— Bez głowy! — dodał Bumir. — Wam na wiecach o wilczej swobodzie prawić... ale nie grody dobywać... Wy ziemianie, z pługiem chodzić, a z oszczepem na wilka, albo i na niedźwiedzia, a nie na kamienne ściany. Nim wy je dobędziecie, sami się weźmiecie stokroć za łby.

Wizun słuchał i milczał, oczyma rzucając to na Miłosza siedzącego z głową spuszczoną, na Bumira, to na Myszków.

Starszy z krwawą szyją ujął Wizuna za rękę i odciągnął go nieco w stronę od Bumira i Miłosza.

— Idźmy gdzieindziej radzić, aby nam nie śmierdział ten Chwostkowy niewolnik!

Kupa się ruszyła za nim, ale Wizun pozostał w miejscu.

— Niech każdy prawi co na sercu ma — odezwał się — na wiecu i na radzie wszystko wolno... a co starszyzna uradzi, dlatego przewiedzie.

Pozostali więc na miejscu, a gdy się stało milczenie, rzekł Miłosz wciąż zapatrzony w ziemię:

– Pierwsza rzecz, chcecie boju, boć bez wojewody nie ruszycie... obierzcie sobie wodza.

Niektórym zdawało się, że za sobą to mówił i poczęli wołać.

— Leszka żadnego! żadnego!... kmiecia!

— Wybierajcie choćby konia i wołu! — wrzasnął Miłosz — a no wybierać trzeba, bo was jak stado owiec rozpędzą... Poginęli Leszki, szukajcie sobie drugich... W ulu bez matki, a w kraju bez ojca nie będzie ładu!...

Zamilkli wszyscy.

— Knezia nam nie trzeba na dziś — ozwał się jeden — z tem poczekamy.

— Ależ bez wodzów do wojny się nie obejdziecie, głośno powtórnie zawołał starzec — wojewodów, tysiączników, setników stanówcie, to pierwsza rzecz.

Znowu było milczenie, starszyzna się potrącała rękami, poglądając na Myszków. Myszko z krwawą szyją stał posępny.

— Tobie i twoim nam dowodzić należy — rzekł ktoś z tłumu, na Myszka wskazując — nie zlękliście się mu w paszczę leźć w kilku, nie będziecie się obawiać pójść nań z gromadą.

— Myszko! Myszko! — powtórzyli inni — zgoda na niego... niech prowadzi ludzi, wici słać, lud zwołać i na gród idźmy z nim.

Gdy się ku Myszkom zwrócili, oni po sobie patrzyli.

— Zgoda — rzekł ten, którego już krwawą szyją nazywano — zgoda... prowadzić będę... ale posłuchu się domagam...

— Będziesz go miał! — zaczęto krzyczeć ze wszech stron. Tylko Bumir i jego ludzie zmilczeli, a gdy tu wrzawa bojowa się wzięła, ustąpili na stronę, choć z ostrowa jeszcze nie odpłynęli.

Na Wizuna, który się przysłuchiwał, poczęto patrzyć. On kijem w ziemi przebierając, uszami i oczyma zbierał co się w koło działo. Siedział tuż stary kneź Miłosz, dalej stał Bumir; nie wszystkich ich pewni byli Mieszkowie i znać Wizun, bo słowa nie mówił, chmurno brwi ściągał tylko. Z wielkiej gromady, gdy już Myszkom dano dowództwo, oni się naprzód wydzielili i na bok odeszli, a poczęli cicho rozmawiać między sobą.

Gdy po naradzie tej powrócili znowu, na Wizuna jęli wołać niektórzy, aby z chramu wydał im Stanice, które noszono przed wojskami, gdy szły do boju, a czasu pokoju stawiano w bezpiecznem miejscu. Były to stare wyobrażenia bogów i znaki wojenne, na wysokich drzewach osadzone. Wyniesienie ich z miejsca tego oznaczało wojnę. Wizun spojrzał na Myszkę z krwawą szyją, a ten głową potrząsnął.

— Będzie na to czas — rzekł krótko i stanowczo — ja sam po stanice przyjdę... i wiem dla czego ich teraz nie podnoszę.

To mówiąc i popatrzywszy z ukosa na Miłosza, siedzącego na ziemi, starego Wizuna odciągnął na bok z sobą i dwu swych braci.

— Ich to krew — rzekł wskazując na knezia — ja jej nigdy nie wierzę... nie chcę radzić z nim ni przy nim. Jeżeli stanice wyniesiemy, a wojnę zaraz obwołamy, sposobić się będą do obrony i posiłki zwoływać. Lepiej jeszcze posiedźmy cicho i gotujmy się, a ludzi zbierajmy, nie czyniąc hałasu. Chwostek pomyśli, żeśmy się go ulękli i uspokoi się... Może nam się go uda pochwycić nie dobywając grodu Nie wytrwa w nim zamknięty długo, po kilku dniach na łowy wyjedzie, a my nań czatować będziemy. Oszczędzim krwi... Zamordujemy go w lesie... Jeżeli się nam to nie powiedzie, czas będzie na gród iść...

Myszko się uśmiechnął. Spojrzał na Wizuna, który głową tylko potrząsł.

— Bumir i jego gromada stąd prosto na gród pójdzie donieść co uradzono... rozjedźmy się cicho, nie mówiąc nic.

Dwaj bracia poszli z nakazaniem po gromadach i wnet starszyzna się na czółna zabierać zaczęła.

Stary kneź Miłosz odstąpiony od wszystkich pozostał sam, a ujrzawszy się opuszczonym, podniósł się i na Myszkę skinął.

— Nie pytam was o nic — rzekł — wiem, że mi nie powiecie, bo wiary u was nie mam. Jedno wam tylko oznajmię, że na Lednicy zostaję i nie ruszę się stąd nigdzie, chyba do domu... Nie przystało mi ani wojować z nim, ani iść z wami, ale jeśli się wam powiedzie, cieszyć się będę. Jam stary, Leszek oślepiony... my dożyć żywota tylko chcemy spokojnie.

Rzekł i zawrócił się zwolna, wewnątrz ostrowu idąc, a od ludzi obcych stroniąc.

Myszko wnet zebrał do siebie drużynę.

— Do domów — zawołał — naokoło grodu w lasach straże postawić... Ogniste wici niech wszędzie będą gotowe po górach, aby na dany znak zapalić je można. Gdy błyśnie ogień z nich, co żyje powinno biedz ku Gopłu i do grodu... ale póki ja nie dam rozkazu, cicho siedzieć, aby Chwost o niczem nie wiedział.

Palce położył na ustach, poszeptali między sobą i zwolna się rozchodzić zaczęli.

Bumir ze swymi stał długo i chodził usiłując się rozwiedzieć co postanowiono, języka jednak nie dostał. Wiedział tylko, że stanic nie wzięto z chramu i na wojnę jeszcze nie wołano; zmiarkował więc, że się ulękli knezia i że wszystko się rozchwieje, a skończy na próżnej wrzawie.

Pobłądziwszy około chramu, Bumir w końcu też do łodzi poszedł, przeprawił się i na koń skoczywszy, na całą noc pojechał do Chwostka.

Na grodzie sposobiono się do obrony i straż czujną była. Gdy Bumir przybył, puszczono go wnet i sama pani wyszła przeciwko niemu.

Był on tu domowym i znano go, że się zawsze płaszczyć był gotów, a wszystko co się tu działo, za dobre przyjmować.

Biała pani przyjęła go wejrzeniem niespokojnem i uśmiechem wymuszonym.

— Co przynosicie? — spytała.

Westchnął zausznik.

— Miłościwa pani — odezwał się — nic strasznego nie ma... Zbierała się starszyzna dla narady na Lednicy, przybył i kneź Miłosz... radzono wojnę, a skończyło się na słowach, siły nie mają... Myszków wybrali na wojewodów, a ci stchórzyli...

Kneźna ręce złożyła z radości.

— Możeż to być? — spytała.

— Tak jest, miłościwa pani — zapewnił Bumir — wykrzyczeli się, rozeszli i znowu wszystko wejdzie w karby...

Rozjaśniało się kneźnie lice. Kazała kmieciowi pozostać,

a sama szła do łożnicy męża zbudzić, który zaspany wyszedł w jednej koszuli do niego, oczy sobie kułakami wycierając.

Wnet pokłoniwszy się Bumir, sprawę mu zaczął zdawać, której on słuchał ziewając. Uderzył potem po ramieniu gościa i oczy zaczerwienione wlepiwszy w niego, uśmiechnął mu się.

— Myszki te ja po jednej wyłapię — rzekł cicho — i będzie cicho... Znam ich, że krzykuny są, a do roboty nieskorzy!... Będziesz ze mną pił — dodał i zasiadł za stół, Bumirowi kazawszy miejsce zająć na ławie.

Kmieć siadł posłuszny, a choć czuł, że mu tu się nic złego stać nie może, gdy wniesiono miód, a przypomniał częstowanie stryjów, ciarki mu poszły po skórze. Odmówić jednak kubka nie śmiał, bo kneź by się obraził.

Nizko się tylko kłaniał zaklinając, że wiernym był sługą. Siedzieli więc razem, jeden z góry za stołem, drugi w końcu, i kneź sobie wszystko opowiadać kazał, co na ostrowiu się działo, o nazwiska i ludzi dopytując, jakby je w pamięci dobrej chciał zachować. Bumir musiał mu tak do nocy u stołu dotrzymać.

XVIII.

inęło dni kilka, a około grodu nic słychać nie było. Rozsyłano stąd na zwiady Smerdów i poprzebierano czeladź, do bliższych dworów i chat, nigdzie o żadnym ruchu wojennym nie wiedział nikt. Na pólkach w lasach, gdzie role były piasczyste, a słoneczne, zaczynano zboże żąć. Z sierpami żelaznymi i miedzianymi, a krzemiennymi, ludzi było dużo widać, a z bronią i oszczepami prawie nikogo.

Kneź się począł nudzić i tęsknić sam jeden zamknięty na grodzie między wołami. Pił, jadł i spał, przeciągał się, ziewał, do białej pani chodził czasem, a gdy z przedsienia na lasy popatrzył klął okrutnie, że na łowy jechać nie mógł. Brunhilda go nie puszczała. Zrazu słuchał jej milczący, teraz już się burzyć zaczynał.

Jednego dnia Smerdy wołać kazał.

— Jedź, spatrz mi knieje, czy tam gdzie jakie zdrady nie słychać.

Sługa na cały dzień ruszył, przywiózł ubitego kozła, mówił o spotkanych świniach w lesie, o niedźwiedziu, o wilkach, ludzi nigdzie nie było ani śladu.

Kneźnie ten spokój po takiej burzy podejrzanym się wydawał, jemu naturalnym.

— Na łowy muszę pojechać... — wołał zły — zgniję tak siedząc... nie wytrzymam, struję się snem i niewolą...

Brunhilda nie puszczała; lękała się przemyślna Niemka zasadzki i zdrady. Z dnia na dzień odkładano łowy. Namówiła ludzi, aby przeszkody wynajdywali. Chwost przeklinał, złościł się, zapijał i coraz mocniej niecierpliwił. Smerdzie nareszcie nieodwołalnie na łowy gotować kazał nazajutrz. Żona ledwie wymogła na nim, iż zamiast garstki ludzi, którą zwykł brać z sobą, trzykroć większą miał prowadzić i silnie zbrojną.

Choć krzyżyk na piersi nosił Chwostek, zabobonnym był poganinem; wcześnie więc wypatrywano znaków po niebie i ziemi, aby mu co nad głową nie zakrakało i drogi nie przeszło. Smerda umyślnie zarządził, aby najmłodsza z dziewcząt kneźny z pełnemi wiadrami pokazała się na ścieżce, gdy książę wyruszy. Stara baba z próżnem naczyniem lub niedorosłe dziewczę zarówno się za nieszczęśliwą wróżbę uważały.

Ranek był piękny, a zwiastował dzień gorący. Po niebie jednak przelatywały obłoki białe, wiatr chłodnawy je rozpędzał i odświeżał powietrze. Kneź z haci i mostu zjechawszy otoczony drużyną liczną, na najbliższy ostęp się skierował. Smerda był pewien, że w nim znajdą zwierzynę. Nie pędzono tam trzód, nie płoszono nigdy i las był umyślnie dla łowów strzeżony. Uroczysko, na ktore jechali, zwało się Głubiem, a na niem nigdy nie chybiły łowy knieziowskie. Trzeba jednak było przebyć znaczną przestrzeń od kraju, aby się dostać do gęstwiny i kniei.

Chwostek, który dawno na koniu nie siedział, lasu nie widział, psów nie słyszał, poweselał, gdy mu nad głową zaszumiały gałęzie, gdy poczuł woń puszczy. Konia więc gnał szybko, aby się dostać do kniei, gdy po półgodzinnej jeździe znalazł się na znanej sobie polance. Stąd na Głubie niedaleko już było.

Pierwszy się wytknął na łąkę, ale wnet konia cofnął i gniewny zwrócił do Smerdy, który ku niemu poskoczył. Wskazywał ręką na polankę. Tu na obalonej kłodzie siedziała stara kobieta, cała płachtą okryta, ziela koło siebie mając nar-

wanego kupy. Sakwy brudne leżały przy niej. Przebierała uzbierane zioła nucąc i zdawało się, że nawet nadjeżdżających nie usłyszała i nie postrzegła, obawiano się takich wiedźm w lesie bardziej niż gdzieindziej.

Lasy, wody, pola, zaludniały naówczas te tajemnicze istoty w postaciach niewieścich, które niemal wszystkie strachem przejmowały, bo na zdrowie i życie czyhały.

Większa część czarnych duchów niewieście przybierała kształty. Zmory, latawice, bogunki, miecielice, nocnice, jędze i strzygi, jawiły się w posiaci bab tak szkaradnych, jak ta, która tu nucąc siedziała na kłodzie.

Obawiał się ich kneź, ale i Smerda się ich lękał. Wyrządzić im krzywdę było to narazić na zemstę i prześladowanie. Gdy Chwostek wskazał swemu słudze siedzącą wiedźmę, ziołami otoczoną, zawahał się i on co miał począć. Z za pnia, odjechawszy nieco, przypatrzył się zdala babie i poznał w niej Jaruhę. Znano ją dobrze na grodzie, bo i tam przychodziła ziele nosząc do pani. Posądzono ją o wielką potęgę, ale wiedziano też, iż bardzo złośliwą nie była. Kneź nie śmiał jechać dalej, ciągle na nią wskazując Smerdzie, a ten wreszcie musiał, z konia zsiadłszy, pójść sam do niej.

Zadumaną była tak i zajętą baba, że dopiero gdy się do niej przybliżył, z krzykiem i przestrachem się porwała.

Wzięła go, jak mówiła, za wilkołaka, co dla Smerdy wcale nie było pochlebnem i zaczęła szybko coś mruczeć jakby go przeklinała, co go nie mało nastraszyło. Trzęsąc się jeszcze siadła znowu na kłodzie.

— Cóż to robicie tu, Jaruho, — spytał Smerda.

— Alboś ty ślepy? przemierzły włóczęgo — odparła baba — robię co mi nakazano, zbieram ziele na leki i na uroki, na czynienie i na odczynianie... A masz co przy sobie w baryłce może? hę? dałbyś mi się napić, tobym ci mój strach przebaczyła... bo jak nie...

— Nie mam nic, prócz wody w bukłaku... — rzekł Smerda.

— Wody?... miałżeś co nieść! — prychnęła stara —

z każdej krynicy i rzeczki można jej z żabim skrzekiem dłonią zaczerpnąć... otóż masz co nosić! głupi człecze!... stary jesteś a rozumu nie masz... Wodę nosić!... wodę nosić!...

I mruczała znowu pod nosem, a Smerda stał strwożony.

— Cóż to za ziele zbierasz? — zapytał rozbrajając straszną wiedźmę.

— A co tobie do ziela? poczęła baba — to nie wasza sprawa... Lubczyk tobie żaden nie pomoże, boś szpetny... Choćbyś go dziewce dał i bez wrotyczu, czar nie poskutkuje... Widzisz co koło mnie leży... bylica... dzięgiel... lisie jajko... biedrzeniec... dziewanna... rosiczka... Hej! hej! różne dobre rzeczy...

— A złego nie ma nic? — rzekł Smerda cicho — kneź tu stoi nieopodal... żebyście mu jakim czarem nie szkodzili... bo z nim nie żart!...

Jaruha się nastraszyła zrazu, spojrzała ku lasowi.

— Kneź — szepnęła — a! kneź... a nie każe mnie powiesić?...

— Żebyście mu tylko żadnej nie czynili przeszkody! — szepnął Smerda.

— Ja? jemu? — baba popatrzyła trwożliwie — ja u miłościwej pani przecie na dworze bywam i łaski u niej mam... i teraz jej ziele niosę... Jeśli chce, to mu jemioły dam na szczęście... Czego się mnie ma bać? Jaruhę znacie...

Smerda powrócił do stojącego Chwostka.

— To Jaruha, miłościwy panie — rzekł. — Wiedźma jest, ale ona swoim nieszkodliwa... a naszej miłościwej pani służy... Owszem na łowy może dać szczęście, bo ona się na wszystkiem zna.

Chwostek ubezpieczony wyjechał z koniem na łączkę. Powoli zaczął się zbliżać do baby, niedowierzającemi mierząc ją oczyma. Jaruha nie wstając przychyliła się twarzą ku ziemi i powitała nizkim pokłonem, ale szybko się podniosła, starając uśmiechnąć, bo się Chwostka lękała bardzo. On też nie zbyt pewnym wzrokiem ją mierzył. Zbliżywszy się, konia zatrzymał. Baba nań ciągle patrzała.

— Nie wiesz jakie dziś będą łowy? — zapytał.

— A gdzie? — odparła Jaruha.

— Na Głubiem.

Baba głową poczęła trząść.

— Na Głubiem... miłościwy panie, nie ma po co jechać tam...

— Dlaczego?

Obejrzała się po drużynie i poczęła ją liczyć oczyma.

— Jakaż zwierzyna? — rzekł kneź.

— Tam Myszy siedzą, miłościwy panie, Myszy! — szepnęła Jaruha — kupa Myszy...

Poczęła się oglądać niespokojnie, wstała i chciała zbliżyć do knezia, ale ten jej zagroził, aby nie śmiała na krok ku niemu przystąpić. Trwoga odmalowała się na jej twarzy, słysząc tę zagadkową mowę. Obejrzała się na Smerdę, który zawołał.

— Mów babo wyraźnie!

Jaruha niespokojnie patrzyła wkoło i wahała się.

— Co, bo nie rozumiecie... kiedy mówię, Myszy, Myszy, a Myszki wszystko jedno... Ja tam zresztą nie wiem nic! nie wiem nic!...

Siadła prędko i ziele zaczęła przebierać skwapliwie.

Kneź, Smerda i cała drużyna stali w oczekiwaniu i w jakimś strachu, który ich ogarniał mimowolnie.

Cisza była w lesie, wiatr szedł od ostępu. Uszy ludzi nawykłe do rozeznawania najmniejszego szelestu chwytały jakieś odgłosy nawoływania dalekiego.

Kneź pobladł. Jaruha siedziała jakby zapomniawszy o nim z głową spuszczoną, nie mówiła już nic, Smerda się zbliżył do niej.

— Co tam Myszki robią? — zapytał.

— Co? u ognia siedzą, zwierzynę pieką i popijają miodem, a na kogoś sobie czekają.

Chwostek zadrżał.

— Ilu tam ich? — zawołał popędliwie — ilu?

Chwostek powoli zaczął się zbliżać do baby...

Powracać nie było podobna za siebie, Smerda popatrzył i zdało mu się, że na przodzie wolne było przejście, dał znak kneziowi i ludziom i sam pierwszy rzucił się w tę stronę.

Ledwie się ruszyli, gdy pociski zawarczały, strzały zaświstały w powietrzu. W kołpaku Chwostka utkwiło ich kilka, Smerda miał rękę przetrąconą, ludzi było wielu poranionych, lecz z pośpiechem popędzili w las, a choć tu za niemi szła pogoń naciskając, pociski im tyle szkodzić nie mogły. Przodem im jeszcze nie zajęto drogi. Smerda z czeladzią cisnęli między siebie knezia, który głowę i ciało przychylił i na szyi konia się położył, — siekli niemiłosiernie szkapy swe, aby napastników wyprzedzić. Z tyłu, na prawo i lewo gęsto ich głowy przezierały z gęstwiny.

Szczęściem dla uciekających przerzedzony las dozwalał im się prędzej posuwać, niż pogoni, która gęstwiną się przedzierała.

Strzały polatywały jeszcze, ludzie gonili, ale orszak Chwostka zyskiwał coraz i wyprzedzał. Zasadzka została wkrótce za nimi i krzyk tylko pogoni słychać było. Smerda i kneź doskonale las swój znali, dobiegli tak do łąki. Wierny sługa do Chwostka się zbliżył i począł mu coś szeptać żywo do ucha, wpadł potem w gromadę i dał jej rozkazy.

Kupa dworni podniosła ogromną wrzawę i rzuciła się krzycząc na lewo. Smerda i kneź poparli konie i poczęli się na prawo przedzierać. Pogoń zmylona krzykiem, niosła się na ten głos, kierując za dwornią, a Chwostek w prawo lasem po cichu umykał. Wkrótce nawet wrzawy już słychać nie było. Wpadli w puszczę niedostępną, gdzie powalone kłody rodzaj zasieków wysokich składały. Tu już prawie byli bezpieczni, ale Chwost drżał ze strachu i koniowi nie dając wytchnąć, darł się głębiej coraz.

Biegli tak, dopóki pod Chwostem koń nie padł wreszcie i nie złamał nogi, trzeba go rzucić było. Gdy Smerda ze swojego zsiadł, ten robiąc bokami, rozparł się, zachwiał, padł i zdechł. Oba więc uznojeni zostali pieszo.

Byli w głębinie boru, wśród moczarów, w której prędzej

włochacza (niedźwiedzia) niż człowieka napotkać było można. Smerda pamiętał jak jechali, lasy te oba nieraz przechodzili na łowach, teraz jednak trudno im było się rozeznać, gdzie ich ta szalona ucieczka zagnała. Wściekły kneź padł na kłodę i rwał odzież na sobie z gniewu. Towarzysz stał nad nim, z ręką przetrąconą oszczepem, nie śmiejąc się poskarżyć, okrwawiony, przelękły tylko jaki los ich czeka.

Długi czas słowa do siebie rzec nie śmieli. Smerda słuchał, czy nie dojdzie go odgłos w lesie jaki; jęczenie tylko konia uszów ich dochodziło. Obawiając się, aby ono ich nie zdradziło, Smerda wrócił do zdychającej szkapy i zarzuciwszy jej sznur na gardło — udusił.

Oba potem zaczęli się rozglądać po drzewach i lesie. Czuli w której stronie jezioro było i gród, ale aby się stąd wyrwać bezpiecznie do nocy czekać musieli. Chwostek i Smerda dla bezpieczeństwa rzucili konie swe i głębiej jeszcze starali się dostać w las. Wśród pogniłych i próchniejących pni i kłód olbrzymich znaleźli kryjówkę i w niej się oba zaszyli.

Do nocy było daleko. W lesie tylko ptastwo polatujące i świergoczące słychać było. Siedzieli przyczajeni w ciągłej obawie, czy ich ludzie rozbiegłszy się nie odkryją, lecz do wieczora panowała nieprzerwana cisza. Ośmielony Smerda, związawszy rękę, poszedł na zwiady. Zrazu go Chwostek puścić od siebie nie chciał, lecz drogi przed nocą szukać trzeba było.

Mrok padać poczynał, gdy nareszcie Smerda wrócił i dał znak panu, aby z kryjówki wyszedł.

— Jesteśmy — rzekł — nieopodal od zagrody ubogiego kmiecia Koszyczki... Ma on tu kawał ziemi i lasu, barci pilnuje swoich, rzemiosło sprawia, człowiek spokojny... Syn tu pono teraz siedzi. a Piastunem go zowią. Do niego zajść i spocząć można, bo ni mnie, ni miłości waszej nie zna pono z twarzy... Inaczej z głodu pomrzemy i na gród się nie dostaniemy... Mnie dużo krwi uszło.

Chwost byłby słudze pewnie dał zdechnąć w lesie, a niewieleby się oń troszczył, gdyby mu nie był tak potrzebnym.

— Zachodzić do chaty! Paść kmieciowi w ręce! — zawołał — szalonym bym był... Idźmy wprost...

Poszli tedy. Smerda prowadził, ale słaniał się, i choć na kiju podpierał, zesłabł tak, iż padł kilka razy.

— Chata o kilka kroków — rzekł — ubogi człek gościnny, nikogo o imię nie pyta... wnijdźmy i spocznijmy.

Chwost się też z głodu i znużenia ledwie wlókł. Między strachem a potrzebą wybierając, milczący dał się prowadzić.

Na skraju lasu ubogi dwór bartnika widać było, przez otwarte jeszcze okno świecił ogień. Słychać było w podwórku koni rżenie i bek owiec.

Kneź pozostał sam, a Smerda poszedł kłamać i o gościnę prosić. Gospodarz sam siedział na przyźbie, synka kilkoletniego u nóg swych przypartego trzymając, gdy Smerda z ręką obwiniętą chustą pokrwawioną, z twarzą podartą się ukazał. Wlókł się ledwie.

Zobaczywszy go Piastun, wstał i podszedł ku niemu.

— Kmieciu dobry — odezwał się Smerda — o gościnę was proszę, na krótki czas... Jesteśmy i my kmiecie z Opola obok, zabłąkaliśmy się na łowach w lesie, błądzimy drugi dzień, nie jedząc nic... rękę padając złamałem... mój pan i towarzysz zmęczony leży niedaleko... dajcie u siebie spocząć.

To mówiąc bacznie się rozglądał Smerda, we dworku nie było nikogo, Piastun też przypatrywał mu się, jakby go gdzieś widział i poznawał.

— Ktowykolwiek jesteście — rzekł — jak skoro w imię starego obyczaju o gościnę prosicie, chodźcie. Wiecie to, że u nas się jej i wrogowi nie odmawia...

— Myśmy nie wrogi! — zawołał Smerda — a skądżebyśmy nimi być mogli?

Stary skinął w milczeniu, ukazując na drzwi dworu. Wrócił tedy Smerda po knezia, który z obawy, aby poznanym nie był, kołpak swój odarł, suknię pooszarpywał z naszywania, miecz schował pod odzież i oczy włosami zapuścił. Tak zmieniony a cały drżący wszedł Chwostek do dworu. Piastun go na ławie sadził i chleb przed nim położono.

Gospodyni zaś wnet się zabrała do podania piwa i strawy, na jaką stał dzień powszedni.

Ażeby knezia nie zdradzić, Smerda na skinienie jego siąść też przy nim musiał na ławie. Nie mówiąc prawie słowa, coś tylko pomruczawszy Chwostek siadł i ręką od ognia twarz sobie zakrywał. Piastun parę razy nań popatrzył, popróbował zagadnąć, otrzymał odpowiedź od Smerdy i nie badał więcej.

Należało to do praw gościnności, aby z obcego człowieka więcej nie dobywać nad to, co on sam chciał dobrowolnie powiedzieć.

Zgłodzeni goście poczęli jeść w milczeniu. — Ośmielił ich nareszcie spokój dworu, cisza w okolicy, łagodna twarz gospodarza i jego niewiasty. Chłopak kilkoletni zdala stał, a ciekawemi oczyma przypatrywał się przybyłym.

Gospodyni widząc jak Smerda cierpiał, przyszła mu szepnąć, że możeby potrafiła rękę mu lepiej opatrzyć i zawinąć. Poszedł więc z nią Smerda do ognia i ranę swą pokazał. Była ona tak widocznie pociskiem zadana, iż kłamstwo się wydało zaraz, staruszka popatrzywszy mu w oczy, nie powiedziała ni słowa.

Chwostek nawykły do mocnego napoju, co mu podano wnet pochłonął, trochę odwagi wstąpiło weń. Popatrzył na Piastuna, który z niego nie spuszczał oczów.

— Kmieciem jesteście? — spytał naostatek Chwostek gospodarza.

— Jak mój ojciec i dziad — odparł syn Koszczyków spokojnie.

— My stąd dalej trochę siedzimy — mówił niewyraźnie Chwostek — niebardzo wiemy, co się u Gopła dzieje... niepokój pono między wami?...

Piastun popatrzył nań długo.

— Jeśli jaki jest — rzekł — myśmy nie winni.

— Mówią, że się kmiecie burzą?

— Przy swych prawach stoją — odparł Piastun.

Chwostek zmilkł.

— Kneź też pewnie przy swoich obstaje... — dodał z podełba patrząc.

Gospodarz zdawał się namyślać z odpowiedzią.

— Jeżeli wy do kmieciów należycie — odezwał się, — wiecie, że czasu wojny posłuszeństwo im należy, poszanowanie zawsze, a gdy pokój panuje, my po mirach samiśmy się rządzić nawykli z wieka. Tak było i tak będzie... a kto nasze wolności naruszy...

Mimowolnie Chwostek rozśmiał się swym dzikim, szyderskim śmiechem. Smerda posłyszawszy go wzdrygnął się. Dosyć było tego, by zdradzić Chwostka. Piastun nań popatrzył, ale bez najmniejszej trwogi. Zamilczeli oba, mierząc się ciągle oczyma.

— Rwać się słyszę chcą wasi kmieciowie na gród i knezia? — spytał Chwostek.

— Rwał się kneź wasz wprzódy na nas — odparł Piastun — sam wyzywa na rękę... Źle czyni, gdy mu w pokoju siedzieć było łatwo... Ród swój własny wygubił, naszych tam wielu przepłaciło życiem... Któż winien?...

Z pod włosów kneziowi z oczów błysnęło. Począł gniewnie mruczeć jak niedźwiedź, poruszył się, na Smerdę skinął i z ławy wstał. Noc już była zapadła, bezksiężycowa, choć pogodna.

— Nie idźcie ode mnie w taką porę — odezwał się Piastun — uśnijcie we dworze, pójdziecie z brzaskiem gdy zechcecie. U mnie bezpieczni jesteście, choćby was i ścigano... — dodał — bo gość dla mnie święty...

Na ten wyraz — choćby was ścigano! — kneź się cofnął i odskoczył, gospodarz uśmiechnął. Smerda blady i wylękły drżał... Jakieś przykre milczenie nastąpiło po tych wyrazach, lecz stary bartnik, niezmięszany wcale, uśmiechał się tylko.

Zdawało się, że te słowa były nieszczęśliwem proroctwem, gdyż w tejże chwili przed dworem zatętniało i kilkanaście głosów się dało słyszeć. Piastun nastawił ucha, zmarszczył się

i ręką pospiesznie wskazał na komorę, której drzwi już na pół otwarła gospodyni.

— Miłościwy panie — odezwał się Piastun — wiem kto wy jesteście... schrońcie się... może Myszki was szukają... u mnie bezpieczni jesteście. Gości bogi zsyłają.

Wyrazy te wyrzekł z powagą i spokojem i powtóre na drzwi wskazywał. Chwostek sam nie wiedział, co począć, trwoga go wreszcie zapędziła do komory, którą staruszka za nim i Smerdą zatrzasnęła.

Łuczywo u ogniska zapaliwszy, Piastun spokojnie wyszedł przed dwór podnosząc je do góry.

Kilku jezdnych stało u wrót.

— Ojcze — wołał Myszko z krwawą szyją — nie wiecie co się stało! Chcieliśmy krwi ludzkiej oszczędzić, trzy dni i trzy noce siedzieliśmy, czatując na zbója! Był w naszych rękach i uszedł. Lecz z głodu chyba zdechnie w lesie i nie da sobie rady, bo mu się rozbiegli ludzie... a opój ten sam w puszczy nie potrafi się rozeznać. Może też go który z naszych napotka i zadławi... Konie napoimy i pilno nam do dworów.

Wnet czeladź Piastunowa poszła z wiadrami do studni, konie pojono i Chwostek w komorze schowany mógł słyszeć, jak go wyklinano i nań się odgrażano. Kilka razy ze złości rzucił się ku drzwiom, od których go Smerda ledwie potrafił odciągnąć.

Dobry czas trwało pojenie koni i ludzi, bo Myszkom wyniesiono miodu. Śmiechy ich i krzyki dolatywały do uszu zamkniętych, aż ustały, zatętniły konie i jezdni w dalszą popędzili drogę. Gdy ucichło wszystko, Piastun milcząc poszedł otworzyć drzwi, więźniów wypuścić.

— Idźcie — rzekł — niebezpieczeństwo minęło.

— Kmieciu dobry — zawołał Chwostek — proszę was do siebie na gród w gościnę... winienem wam wiele.

— Nie — rzekł Piast — prawo nasze kazało tak i obyczaj... Nie z miłości dla was uczyniłem to, bo nie miłuję was... ale dla rozkazów Bogów. Idźcie w pokoju... Kto wie, gdzie się spotkamy...

Chwostek stał nachmurzony.

— Ty na mnie ręki nie podniesiesz! — zawołał.

— Miłościwy panie — rzekł Piastun — jak miry pójdą na was i zawołają... pójdę i ja...

Mówiąc to ustąpił mu z drogi, a Chwostek pospiesznym krokiem wyrwał się z chaty, nie mówiąc słowa i nie patrząc za siebie. Wrota się za nimi zamknęły; noc była czarna, milcząca. W dali tylko połyskiwało jezioro i na wysokim stołbie u góry ogień wedle zwyczaju rozniecony czerwonawem światłem migał. Chwostek ze sługą znikli w ciemnościach. Piastun odetchnął lżej, gdy ich nie stało.

XIX.

azajutrz w chacie Piastunowej życie powszednie szło trybem zwyczajnym. Pogodny wieczór świecił zachodzącem słońcem. Na szopie bocian klekotał niemowlętami swemi zajęty, na łące rżały konie, owieczki bure wracały do szop i u wrót domowych dopominały się wnijścia. Wróble świergotały pod strzechą niespokojnie, jaskółki unosiły się wysoko, krążąc w powietrzu i zapowiadając pogodę. Od jeziora na wyżary ciągnęły kaczki sznurami i stadami.

Stary nad stołem sparty zadumany siedział. Tu cicho jeszcze było i wesoło, a dokoła zbroiło się i poruszało wszystko. Myszkowie odwołali lud, tejże nocy miały błysnąć wici ogniste po pagórkach. Posłańcy biegali od chaty do chaty. Około wieży na grodzisku widać było ruch i krążące światła. Stada kneziowskie spędzono z pastwisk, aby ich nie zajęli kmiecie, których gromady już się po krańcach lasów pokazywały. Z chaty Piastunów, w której stary bartnik siedział, z niedorosłym synaczkiem wysłać nie było kogo, czeladź tylko uzbrojono, aby z innemi ciągnąć mogła.

Dzikie okrzyki jakieś rozlegały się zdala, w których rozpoznać nie było można, czy z kup kneziowskiej dworni na

zamek się ściągających, pochodziły; czy z gromad kmiecych, które już się zbierały.

Stary wyszedł w podwórze, spoglądał dokoła i nie mógł oczu oderwać od szarego stołba nad jeziorem, od grodu, przy którym miała wkrótce zawrzeć wojna krwawa. Nie w porę mu ona przychodziła, bo synaczek dorastał, a obyczajem starym, siedmioletniemu sprawić było potrzeba postrzyżyny, imię dać, pobłogosławić, a któż w taki czas burzliwy mógł zjechać w gościnę i ucieszyć się rodzicami? Próżno było słać i prosić na taki obrzęd wesoły, gdy wszystko wrzało gniewem i bojem.

Zamyślony stał tak jeszcze, gdy dwóch ludzi w stroju obcym, z twarzami też nieznanemi, a dziwnym jaśniejącemi spokojem, podjechało ku wrotom i przy nich stanęło. Zdawali się rozglądać i wahać nieco, spojrzeli na ubogiego bartnika razy parę, poszeptali coś z sobą. Naradzali się widocznie co począć mieli.

Wieczór nadchodził. Przyjezdni, jak to z sukni ich poznać było łatwo, zdaleka być musieli, może z nad granic lechickich i polańskich, lub z za Łaby nawet, bo coś jakby niemieckiego ubranie ich znamionowało. Oba, nie starzy jeszcze, mieli na sobie długie płaszcze ciemne, pod nimi obcisłą odzież podpasaną i żadnej widocznej broni. Lekkie węzełki przywiązane były do ich koni.

Zmęczone całodziennym pochodem wierzchowce ich, jak skoro stanęli, wyciągnęły łby chciwie, usiłując świeżej pod nogami dostać trawy.

Jadący przodem młodszy, twarz miał piękną, jasną, wypogodzoną, uśmiechniętą prawie mimo znużenia. Drugi, starszy nieco, surowszego oblicza, zahartowany znać życiem, chłodno i spokojnie a bezpiecznie patrzył choć stał wpośród obcych, jakby pewien był, iż mu się nic złego stać nie może.

Było to tem dziwniejszem, że w okolicy mijać się ciągle musieli zapewne z podrażnionemi garściami kmieci i dworni kneziowskiej, równie obcym przybyszom niechętnej. Poruszenie jakie panowało w tym kątku, nie zdawało się ani dziwić ani trwożyć dwu podróżnych.

Stanąwszy u zagrody, patrzeli na nią, na Piastuna i szeptali naradzając się z sobą.

Wreszcie pierwszy z nich z konia zlazłszy, z wesołą twarzą, powolnym krokiem podszedł ku Piastunowi i pozdrowił go w języku, który choć nie był lechickim, brzmiał swojsko i zrozumiale w uchu starca. Wędrował on niegdyś po świecie i wędrownych braci spotykał, poznał mowę, której Serby, Morawianie i Czechy używali.

— Jesteśmy podróżni zdaleka — odezwał się — cny gospodarzu, potrzebujemy schronienia ku nocy. — Tam — wskazując ręką na gród dodał — tam próżnośmy o gościnę u wrót prosili, precz nam kazano iść... Trafiliśmy na kraj zburzony, ludzi jakąś waśnią zajętych, dwory puste i chaty... prosimy was o gościnę... o dach tylko nad głowy nasze...

Stary silną dłonią żywo wrota na oścież otworzył.

— Miłościwie was proszę — rzekł — wnijdźcie i odpoczywajcie. Na naszej ziemi przecie żadna chata przytułku żądającemu nie odmawia... Toć obyczaj ojcowski i póki rodu naszego, póty tego obyczaju...

Mówiąc starzec ich ciągle ręką w podwórze zapraszał. Zsiadł więc i drugi z konia i weszli nie wahając się a tuż parobczak nadbiegł, by zabrać konie. Piastun ich wiódł do przedsieni i świetlicy, aby się naprzód chlebem rozłamać. Posadził ich na pierwszem miejscu i skinął na niewiastę, która się ukazała, aby jadło i napój przygotowano.

— Bądźcie mi pozdrowieni pod tą strzechą — rzekł — przychodzicie właśnie gdym łaknął gości, a w tej godzinie spodziewać się ich nie mógł.

Z wielką ciekawością jęli się przybyli rozglądać po ubogiej chacie, w której wszystko było jeszcze podług starodawnego obyczaju, z drzewa i gliny, sprzęt odwieczny, — nic z tych obcych błyskotek, które obficie już naówczas przywozili kupcy z za morza i z zachodu, ani bożków rzymskich i etruskich, ani wytwornego oręża, który Chrobaci nasyłali, ani kruszcowych wisiadeł, naczyń i broni, na bursztyny i futra mienianych. Polańskich zdunów i bodniarzy robota zaj-

mowała półki. Odzież była tkana z wełny, uprzędzionej w domu, płótno i skóry zwierząt ją dopełniały.

Znać po drodze od wrót grodu jadąc, mieli sobie podróżni poleconą chatę gościnnego kmiecia i spodziewali się znaleźć tu dwór większy i zamożność, gdyż jeden z nich spytał gospodarza, czyliby był tym kmieciem, Koszyczka synem, u którego im przyjęcie zapewniono.

— Słyszeliśmy o was — rzekł — i nie z jednych ust, ale od wielu snujących się po okolicy, którzy nam do grodu waszego knezia iść odradzali... W istocie, tam nas się zbyto porywczo, rozkazawszy iść precz, a gościna u was nie zawiodła...

— Jam ci jest Koszyczka synem — odpowiedział Piastun — żyję swym obyczajem, drzwi moje nie zamykają się przed nikim, ale dostatku do jakiegoście może nawykli nie znajdziecie u mnie. Kmieciem jestem i bartnikiem, żyję jak ojcowie... Przy dawnym obyczaju stoję... Dzikimi nas za to zowią, a my dzikimi zowiemy tych, co odzież noszą lepszą i oręż piękniejszy, serca drapieżne mają... Że na gród was nie puszczono, dziwić się nie powinniście, niepokój tam musi panować wielki...

— Cóż to się dzieje? — spytał gość.

— Między kmieciami a kneziem sprawa — mówił Piastun. — Niemkinię za żonę wziął i po niemiecku zażywać nas chce, a myśmy do swobody nawykli i obcego prawa ani obyczaju znać nie chcemy.

Gość się na to uśmiechnął.

— Czy wiarę też nową — spytał — myślał zaprowadzać?

— O tej my od niegośmy nie słyszeli — odparł Piastun — choć o niej inni ludzie różne wieści głoszą... Obcego nic znać nie chcemy.

— Dobrze czynicie — rzekł gość — ale nie wszystko cudze złem jest. Z mowy naszej poznajecie, że my niemcami nie jesteśmy, ani ja, ani towarzysz mój, ale co dobrem mają to od nich wziąć się godzi.

— A cóż dobrego stamtąd przywożą? — mówił gospodarz — nie wiem. Jeśli oręż co zabija, zbójeckie to dobro, jeśli świecidła, co niewiasty płochemi czynią, trucizna to. Mamy ziemię swą co nas żywi, pieśni swe i dzieje, które karmią, Bogi nasze... cudzego nic nie potrzebujemy.

Gość młodszy westchnął.

— Wiele z Niemiec idzie — rzekł — ale przez Niemcy tylko przechodzi i nie jest niemieckiem. A gdyby przez ich kraj płynęło błogosławieństwo i pokój dla świata?

— Pokój? błogosławieństwo? — spytał Piastun — święte to rzeczy są, ale jakżeby przez ręce ludzi, co łupieżą i morderstwem żyją, iść mogły?

Zamilkli na chwilę, a w tem weszła niewiasta Piastowa, Rzepica, osłoniona po białogłowsku dawnym obyczajem, z zawiniętem czołem, i usty w bieli cała, sama przynosząc jadło. Za nią służebne dziewki placki, miód i kubki niosły.

Pokłoniwszy się podróżnym i zastawiwszy stół, ustąpiły zaraz na stronę, gdyż tu, jak wszędzie, nie godziło się niewiastom pospołu z mężczyznami siadać.

A gdy ich starzec do jedzenia zapraszał, obaj goście powstali ze swoich miejsc, stanęli obróciwszy się ku wschodowi, ręce poskładali, z głowy zdjęli nakrycie i poczęli coś szeptać nad jadłem zastawionem czyniąc znaki.

Piastun się uląkł nieco, widząc w tem czary jakieś.

— Nie juści — zapytał — czarownikami jesteście? Na co te znaki czynicie i dla czego?

— Nie obawiajcie się czarów — odparł młodszy z gości siadając po chwili. — My czary odganiamy, ale ich nie czynimy. Zwyczajem jest u nas na Morawie Boga wzywać przy każdej czynności i jego błogosławieństwa.

— Jakiego Boga? — zapytał Piast — słyszeliśmy, że Czechy i Morawce nowego Boga, którego niemcy z zachodu przynieśli, u siebie też wyznawać zaczęli.

— My nie znamy innego Boga, tylko jednego na świat cały — rzekł powoli gość — Boga, który jest ojcem wszyst-

kich narodów i ludów i panem całego świata, a wszelkiego kraju, którego dziećmi wszyscy jesteśmy...

Piast zdumiony nieco, słuchał.

— Takiego Boga i myśmy niegdyś wyznawali — rzekł — jednego i najwyższego, wyznajemy go i teraz, choć pomniejszych duchów moc jest wielka...

— Goście spojrzeli po sobie i milczeli trochę, chleb łamali, głód zaspakajając.

— O tej nowej wierze — odezwał się Piastun — myśmy też już wiele słyszeli... Są i u nas tacy, co dla niej swoje Bogi porzucili. Jesteście wy też takiemi ludźmi nowemi?

— Tak, jesteśmy niemi, dziećmi Boga jedynego — przerwał drugi — nie zapieramy się tego.

Piastun się zamyślił głęboko i odsunął nieco.

— Mieczami i krwią nawracają ku niemu niemcy za Łabą — rzekł chłodno — a my z nimi jednego Boga mieć nie chcemy.

Przybyli goście znowu się mierzyli oczyma i poszeptali cicho między sobą. Piastun uprzejmie ich do jedzenia zapraszał. Widać było, że go ciekawość i niepokój do pytań pobudzały, gdyż coraz wtrącał coś, aby się o nowej wierze dowiedzieć.

Nie była już chrześcijańska wiara zupełnie obcą w Lechii, wciskała się ona ze wszech stron, ale zarazem mięszała z dawną, i była tylko nowem bałwochwalstwem, torującym drogi nawróceniu. Godło krzyża, jako amulet, wisiało już utajone na niejednej piersi... kładziono je poganom do mogiły. Byli ludzie ochrzczeni, a żyjący potem w pogaństwie, które ich otaczało. Tłumy jednak przywiązane były do wiary ojców, do podań starych, do związanego z niemi porządku i obyczaju społecznego. Bałwochwalstwo słowiańskie nie miało tych form wyszukanych, określonych, stałych, co inne wiary pogan. Wyznawano Boga jedynego, lękano się duchów pomniejszych, natura cała przedstawiała się jakąś żywą istotą rozumną ze

wszystkiemi w niej żyjącemi stworzeniami, stanowiącą spójną całość, tworzącą z nich i niemi żywot jeden wspólny...

Wody płynęły żywiące i duchem przesycone, mówili ptacy, broniły i opiekowały się zwierzęta, mścicielami i posłami były wichry i burze, cała ziemia i niebiosa zlewały się w wielkie — Pan... będące Bogiem i w Bogu. Ta harmonia wszystkich sił, to prawo nieubłagane kolei, dól, losów życia, przeznaczeń — uspakajało zupełnie, karmiło i starczyło. Braterski się z tego wytworzył porządek, nietylko między ludźmi, ale między zwierzętami, i wróg dopiero a potrzeba obrony, wniosła żywioł zwątpienia i niepokoju.

Ten świat w sobie zawarty nie pragnął nic nad to, aby się mógł w swych kręgach obracać spokojnie, pierwsze wtargnięcie weń obcych żywiołów zachwiało tę całość potężną, od Indów może jeszcze zapożyczoną w ziarnie a rozwiniętą duchem własnym. Za tych prastarych czasów słowiańska gęśla była jedynem orężem ludu, gdy przyszło za miecz chwycić, wszystko się musiało przemienić.

Gdy goście jeść skończyli, powstali znowu, złożyli ręce, pocichu się pomodlili i usiedli.

Piastun zapytał ich, jakie to były słowa, które wymawiali i czyby one dlań zrozumiałemi być mogły.

Naówczas młodszy z gości, z twarzą wesołą powtórzył zwolna modlitwę dziękczynną Bogu wszechmogącemu za posiłek dnia tego i za wszystkie dobro i błogosławieństwa jakich od niego doświadczyli.

Piastun zrozumiał wyrazy i zamyślił się nad nimi.

— A więc — zapytał — jedenby tylko Bóg dla wszystkich?

— Tak jest — odpowiedział gość — i tego my, a z nami już większa część ludów wyznaje... między któremi i bracia nasi, jednej mowy są...

— Ci więc staną się nieprzyjaciółmi naszymi? — rzekł gospodarz.

— Nie, gdyż oni wierzą, iż wszyscy ludzie, narody wszystkie są braćmi, a nie godzi się im napadać ani zabijać,

ani wrogiem nazywać nikogo, bo miłość jest prawem, miłować nawet tych, którzy są nieprzyjaciółmi!

— Wrogów miłować!... — zawołał Piastun, składając ręce — a jakże to być może? Wrogów? a więc i niemca?

— Tak jest — rzekł gość — ale bronić się od napaści godzi.

Nachmurzyła się brew gospodarza, rękę podniósł i rzekł ponurym głosem:

— Oni nam braćmi nigdy nie będą, nigdy...

Przerwała się rozmowa, nie nalegali goście i w chwilę długą potem dopiero zapytał młodszy o to, co się w kraju działo. Piastun znowu powrócił do tego, iż wszystko zło szło z naprawy niemców, z którymi się kneziowie wiązali.

— Chciwi są ziemi i łupu — rzekł wypychają nas i niszczą a tępią, ażeby sami się rozsiedli szerzej i panowali...

— Prawdą to jest — dodał starszy z gości — i niektórzy kneziowie, jak wasz, łączyć się z nimi zapragnęli, aby pokój wyjednać, bo niemców siła jest wielka i uzbrojenie mocne... Drudzy zaś myślą o tem, jakby wszystkie małe narody i plemiona nasze powiązać z sobą dla odparcia się niemcom... Dlatego nową wiarę przyjmują, by im stanąć na równi, a sobie ręce podają na nieprzyjaciela wspólnego.

Zapytał Piastun, którzyby to byli kneziowie ci rozumni a goście jęli mu opowiadać, iż na Morawie i w Czechach się to działo, i że Polanie także do tego związku z czasem przystąpić byli powinni... — Dodał potem.

— Wodza jednak i głowy narodowi zawsze potrzeba... mają ich i inne narody naszej mowy, zwłaszcza te, które wojować muszą. Źle więc czynicie, jeśli knezia chcecie obalić i żadnego nie znać.

— Nie chcemy tego czynić — rzekł Piastun — wybierzemy innego, aby nam dowodził, ten zaś okrutnik był i krew ludzką rozlewał, i zabijał, a truł ród nawet własny... Dlatego cierpieć go nie możemy i lud wszelki ciągnie aby go obalić.

Rozpowiadał im potem, co uczynił Chwostek z kmiecia-

mi i ze stryjami swemi, i że niemców wzywał przeciw swoim a trzymał z nimi.

Wieczór piękny z izby ich potem wyzwał, poszli usiąść na przedsieni i rozmawiać zaczęli znowu. Piastun zagadnął ich o wiarę nową, której ciekaw był bardzo. Naówczas młodszy z gości tak mówić począł:

— Wiara to jest jedna, co cały obejmuje świat, a gdy się to stanie, bo idzie o potęgę wielką, nie będzie w nim ani niewolnika, ani plemienia upodlonego... tylko jedni bracia ojca jednego... Na naszej ziemi przyjąć się ona musi i rozkrzewić bujnie, bo u nas przed wieki te prawdy niegdyś królowały i nigdyśmy okrutnymi ani bezlitośnymi nie byli. Obcy miał u nas schronienie, ubogi chleb, słaby politowanie... grzebaliśmy umarłych, głodnych karmili, bronili uciemiężonych, a nie znaliśmy tylko jednego Boga... choć całego Jego blasku dostrzedz nie mogliśmy.

— I ten Bóg wasz jedyny niemców i wrogów kochać każe! — zawołał Piastun — dziw to wielki!

Uśmiechnęli się goście.

Po chwili stary wstał i podniósłszy z ziemi dwa patyczki, złożył je na krzyż, ukazując ten znak gościowi.

— Widziałem znak ten — rzekł — wiem, że go czczą ludzie tej wiary nowej... noszą go sobie dla obrony od wszelkiego złego... Powiedzcie mi, co on oznacza.

— Jeśli mnie posłuchać zechcecie — odezwał się młodszy, biorąc z poszanowaniem krzyżyk i całując go, a potem z pod sukni dobywszy podobny kruszcowy i pokazując Piastunowi — jeśli posłuchać chcecie, opowiem wam chętnie o tym znaku i o wierze nowej, gdyż podróż moja i towarzysza mojego nie inny ma cel, tylko szukanie dzieci dla jedynego Boga i nawracanie tych, co jeszcze nie znają... Krzyż jest znakiem tego, co na dalekim Wschodzie z wybranego narodu przyszedł na świat i był synem boskim a Bogiem samym wcielonym.

Piastun oczy ciekawie wlepił w mówiącego, chciał rzucić jakieś pytanie, potem zamilkł, a gość tak ciągnął dalej:

— Był tedy na Wschodzie naród wybrany, który w pośród bałwochwalców, sam tylko, stale wyznawał jednego Boga, co stworzył niebo i ziemię. W narodzie tym byli prorocy, którym Bóg objawił, że ześle na ziemię syna swojego, aby nową wiarą świat odrodził, a życiem swojem je poświadczył. Spełniły się proroctwa w dniu i godzinie naznaczonej, i oto sam Bóg narodził się światu z Dziewicy... w ubóstwie, w nędznej szopce, na rozdrożach, wśród ucieczki. Całe życie jego było cudowne. Zaledwie dorósł, nawracał ludzi i oczy im otwierał, leczył chorych, wskrzeszał umarłych, strapionych pocieszał. Ani królem, ani wodzem, ani panem być nie chciał. Żył u przybranego za ojca, opiekuna, prostego cieśli, z rybakami i pospólstwem, a przecie czuli w nim wszyscy Boga, po prawdzie i świętości tych słów, jakiemi mówił i po cudach które czynił. Nauka jego trafiła do serc wszystkich. Opowiadał, że Bóg jest jeden, że wszyscy ludzie są dziećmi jego, braćmi sobie, że miłować się powinni i dobrze czynić. Nakazywał życie skromne i ubogie przebaczenie win, opiekę nad słabymi. Tego Boga-Człowieka źli ludzie, nie wierząc w Niego, lękając się, bo im złego czynić bronił, oskarżyli, osądzili i na takim oto krzyżu z drzewa przybili, powiesili, śmierć mu zadali...

Piastun westchnął.

— Jakże Bóg mógł zezwolić, aby go męczono? — zapytał.

— Uczynił to dobrowolnie dlatego, aby okazał, że jest Bogiem, aby umęczony zmartwychwstał i powrócił do nieba.

— Tak się stało? — zapytał stary.

— Stało się tak — rzekł gość — działy się i inne cuda liczne, które dzieło boskie ugruntowały. Największym zaś cudem było to, że owi rybacy, cieśle, lud prosty, potrafił nawrócić na tę wiarę królów, mocarzy i mędrców świata, że powywracano ołtarze fałszywych bogów, a wiara ta codzień się szerzy i krzewi.

Milczał Piastun słuchając, a drugi z podróżnych trzymając ów krzyżyk drewniany w dłoniach, dodał — że ten znak

śmierci stał się godłem życia nowego i że dlatego noszą go wyznawcy tej wiary, iż od nazwiska Boga umęczonego imię wzięli, życie Jego naśladują.

Prosty człek pojął wiele z tych rzeczy, drugich nie zrozumiał, o inne pytał, lub możliwości ich zaprzeczał; tak się rozmowa przeciągnęła do późna.

Siedzieli na ławie w podsieniu i patrzyli stąd na jezioro i wieżę a szeroką okolicę. Wtem nagle, na wzgórzu jednem wśród ciemności błysnęło światło i ogień słupem strzelił do góry. Jeszcze nie pośpieszyli podróżni zapytać, coby to znaczyło, gdy na drugiem i trzeciem miejscu pokazały się ognie podobne... w lasach nawet zapaliły się stosy i łunami odświecały się na niebie.

— Co to znaczą te ognie? — zapytali goście — czy to pożary wzniesione przez nieprzyjaciela?

— Nie. To wici ogniste — rzekł Piastun — to zapowiedź wojny... W tej chwili cały kraj wszystkie miry nasze wiedzą, że ciągnąć mają... tu...

Wskazał na wieżę...

Jakby na urągowisko tej zapowiedzi ognistej, kneź na wierzchołku wieży rozkazał nałożyć stos łuczywa i podpalić go.

Ogromne płomię buchnęło, jakby cały stołb gorzał we wnętrzu.

W jeziorze spokojnem odbijał się ten blask. Widok był wspaniały razem i straszny. Ognistemi głoskami na tle nocy pisała wojna i śmierć przybycie swoje. Podróżni westchnęli smutnie.

— Nie lękajcie się — rzekł im Piastun — obcemu się u nas nie stanie nic, choćby wojna się rozpoczęła, a nim ludzie pościągają, dni może kilka upłynie. Ja was proszę, abyście się u mnie zatrzymali jutro... Dzień to jedynego dziecka mojego, dla mnie uroczysty, siódmy rok kończy... życie mu się poczyna, nie wiem, czy kto z moich przybędzie do mnie, wszystkich teraz wojna zajmuje... bądźcież wy, dobrzy ludzie jednego języka, wyznawcy Boga pokoju, drużbami dziecka mojego.

Spojrzeli po sobie przybyli, uśmiechnął się ochoczo młodszy i rzekł:

— Stanie się po woli waszej...

I poszli do swironka, w którym pościel dla nich przygotowano.

Nazajutrz rano cała okolica, lasy i pola, od brzasku mrowiły się ludem, który ściągać się zaczynał pod grodzisko. Nie rozpoczynano nic, gromady kładły się zdala, lecz coraz nowe przybywały, niosąc znaki na żerdziach swe i rozsiadując się jedne przy drugich. Ogniste wici zbudziły wszystkie miry i opola dokoła. Z wierzchołka grodu mógł Chwostek widzieć, jakie siły się przeciw niemu skupiły i jak co chwila urastały.

Gród stał zaparty i umocniony już przez ostatnie dni kilka, sypano wały i przekopywano rowy, zabijano częstokoły, lud chodził po wałach zbrojny, a na wierzchołku stołba widać było przemykające się postacie.

A chociaż Piastun nie spodziewał się, aby mu goście przybyli, wszyscy niemal starsi kmiecie, żupanowie, władyki, cisnęli się u wrót ubogiej chaty, tak, że i on i Rzepica zwątpili, czy ten wszystek lud nakarmić potrafią. Starczyłoby było wprawdzie zapasów, bo komory pełne były i zasobne, ale o czem potem przebyć zimę? Piastun zafrasował się nieco, lecz rzekł w duchu, iż gości ostatkiem po starym obyczaju nakarmi i napoi, a choćby i pruszyna ani kropla mu nie została, skąpić nie będzie.

Wesołą więc twarzą witał we wrotach zachodzących.

Starszyzna poodchodziła od gromad swych leżących na polu i ciągnęła do dworu Koszyczkowego syna. Przybyli i Myszkowie, których wiódł Krwawa szyja.

— Dobra to wróżba dla was, gospodorzu nasz — zawołał w progu — że na dzień syna waszego rozpoczyna się wojna z niemiecką niewolą. Znak to, że dziecko doczeka powrotu starego naszego żywota i swobody...

Zaczem ściskali się wszyscy, a przybyli wczoraj goście obcy, gdy się mową „słowa“ odezwali, powitano ich jak braci,

dając im miejsce poczestne. Stoły postawiono z desek pod drzewami, z mięsiwem, chlebem i korowojami świątecznymi, a około nich kadzie z napojem, czerpaki i kubki.

A nim się obrząd postrzyżyn rozpoczął, gdy ciągle Myszkowie i Ścibory i rodzina a drużbowie i znajomi ciągnęli, gwarzono przy jadle i napoju.

Gość młodszy znów jak wczoraj mówić począł, zachęcając Polanów, aby się z braćmi Morawcami i Czechy, i innymi łączyli dla opierania niemcom, gdyż niebezpieczeństwo od nich było wielkie, a zmódz go inaczej nie potrafiłoby „słowo“, tylko wspólnemi siły.

Na co Myszkowie rzekli:

— Dajcie nam naprzód co złe obalić i z korzeniem wywrócić, potem pomyślim, co w miejsce jego osadziemy.

Dwór, podwórko i łączka pod drzewy około południa pełne były gości. Zbliżała się tedy chwila, gdy postrzyżyny pełnić należało. Miejsce kapłana zwykle w rodzinie głowa domu zajmowała; ojciec składał ofiary i prowadził do miejsc świętych. Doszedłszy lat siedmiu chłopcy z rąk matki i z pod dozoru niewieściego przechodzili pod władzę ojca, zaczynając się sposobić do przyszłego zawodu wojaków, rolników i ziemian. Najczęściej oddawano ich naowczas, jak się to dzieje u wielu jeszcze plemion kaukazkich, w opiekę stryjów lub starszych braci, gdyż serce ojcowskie słabsze dla dziecka bywa, do powolności skłonniejszem, a surowość mogłaby osłabić ten węzeł miłości i poszanowania, jaki ojca z synem łączyć powinien.

Tuż u drzew starych, pod któremi stoły z desek zbite i szytemi ręcznikami pokrywane ustawiono, znajdowało się źródło, za święte poczytywane, i odwieczny kamień, u którego składano ofiary.

Gdy wszyscy już byli zebrani, biało ubranego chłopca, z długo rozpuszczonymi włosami, których od urodzenia nożyce nie tknęły, przywiodła ze łzami w oczach matka i w ręce mu go oddała.

Ten stał już w gotowości przyjęcia go od niej, a gdy

dzieciak mu się do nóg rzucił, ściskając je podniósł go i wodą ze źródła pokropił. Poczem ująwszy nożyce przygotowane, nad czołem nieco włosów mu przystrzygł, oddając je gościom i starszyźnie, która potroszę dokoła je przycinała. Żeby się zaś te obrzynki włosów na ogień nie dostały, co za szkodliwe uważano, zebrane skrzętnie u kamienia je zakopano

A gdy przyszło nadać imię chłopcu, który dotąd Piastunowego syna tylko nosił nazwisko, gospodarz młodszego z gości prosił, aby mu je naznaczył.

Wstał tedy gość i odezwał się.

— Jeżeli imię mu mam dać, dozwólcież, abym to uczynił, jak u nas we zwyczaju, i dał mu je z błogosławieństwem... Bóg, którego Morawianie i Czechy jak wy „słowa“ dzieci wyznają, jest Bogiem wszystkich... w Jego imieniu ojcowskiem, Syna i Ducha świętego, chrzczę go imieniem

Ziemowid'a

Niechaj mu danem będzie ziemię swą widzieć spokojną i szczęśliwą.

To mówiąc, w wodzie umoczył palce gość i na czole chłopca znak nią położył.

Usłyszawszy to piękne imię wszyscy uradowali się wielce a Piastun szedł im dziękować i chciał obdarzać czem mógł, lecz powiedzieli mu, że darów żadnych nie przyjmują, bo na ubóstwo przysięgali. I usunęli się opodal trochę, aby naradzie starszyzny nie stać na zawadzie, gdy czas był gorący i mimowolnie troska o tę wojnę wszystkim dogryzała.

Oglądali się wszyscy na srogą tę wieżycę u Gopła sterczącą jak groźba, która wczoraj w nocy zapałała ogniem, jakby mirom i gromadom rzec chciała: Nie lękam się was! wołacie się wy przeciw mnie, ja też wyzywam was!

— Ostatnie gniazdo Popełków rozniesiemy — rzekł Myszko krwawa-szyja, na stołb wskazując — a gdyby nam tu leżeć przyszło nie jeden miesiąc ale dziesięć, przecie choćby głodem weźmiemy ich...

— Tak — odezwał się Ścibor — ale z rodu ich pozostał Miłosz z synem, a co gorzej dwaj synowie, których ma-

W Jego imieniu ojcowskiem, Syna i Ducha świętego, chrzczę go imieniem Ziemowida.

tka do dziada na niemce posłała... dorośli są, przyjdą i upomną się o swe dziedzictwo... Wojna to nie miesiąca jednego, ale lat może wielu; wojna nie z jednym Chwostkiem, ale z niemcy, którzy w ich obronie staną...

— Miłosza, złamanego starca nie ma się co lękać... będzie na grodzie swym siedział spokojnie... a z niemcy gdy dla prawa naszego bić się potrzeba, co czynić!

Nikomu ta zapowiedź długiej wojny w smak nie była, westchnął każdy, bo go ona z chaty jego wyganiała, odbierała ludzi, spokój, wczas i zmuszała zamiast pługa i roli, oręża się imać i konia.

Lecz inaczej już nie było można poczynać. Wici ogniste zwołały kraj i każdy szedł z tem, że nie spocznie, dopóki stare prawo znowu panować nie będzie.

Gdy tak gwarzyli starzy, z gaju sąsiedniego niewiasty i dziewczęta ozwały się chórem i pieśnią postrzyżyn, której zamilkłszy wszyscy, słuchali.

Pieśń ta była tak stara, że ją już teraz pokolenia młode niebardzo zrozumieć mogły, wspominała o bóstwach zapomnianych i ofiarach, których już czynić nie umiano. Wzywała słońca jasnego, aby promień szczęśliwy zesłało na głowę chłopca; rosy aby go oblała i rość mu pomogła; wody, aby go napoiła życiem i męstwem; ziemi, aby w niego wlała ducha, aby rosnął jak dąb, świecił jak gwiazda, jak orzeł padał na wrogów... Precz potem odżegnano duchy czarne, uroki i złe wszelkie od niego; wołano: Ładо! Ładо! klaskano w ręce i matka, uwity wedle zwyczaju wianek z ziół, zdrowie dających i szczęście, przyniosła i włożyła na głowę postrzyżonemu. Spleciony on był z dziewięciosiłu, smlotu dziewanny, rosiczki, wrotycza, bylicy i gałązek jemioły.

Zaledwie pierwsza się pieśń skończyła, gdy tuż inne weselsze się poczęły i niewiasty, trzymające się osobno, chórem je zawodziły po kolei.

Nakoniec wstał ojciec i ująwszy chłopaka za rękę, wszystkich razem prosił, aby szli z nim na Żalnik, duchy dziadów pozdrowić i ofiarę im (biatę) postawić na mogiłach.

dnia, ażeby Mirsz nie siadł i coś nie robił. Oprócz chałupy, w której mieszkał, z komorami pełnemi dobra i dostatku wszelkiego — miał Mirsz szopę wielką. Do tej kto wszedł, wydziwić się nie mógł, jaki tam był dostatek wszystkiego i porządek piękny bardzo. Szopa była, prawda, z chróstu pleciona, a gliną tylko poobielana, ale w środku tok miała jak w chacie ubity mocno, a do słupów deski były wszędzie poprzymocowane, na których stały rzędem dobrane wzrostem dzbany, garnki, krużki, czasze, misy wszelkiego rozmiaru, miseczki drobne i gąski a ptaszki gliniane, a kulki dla zabawy dzieci. Wszystko to, począwszy od czarnych do malowanych żółto i biało, było na oczach kupującego, tak, że sobie mógł, co chciał, wybierać.

Wiedziano o tem dobrze, że Mirsz pękniętego garnka na półce nigdy nie postawił, ani go komu sprzedał. Próbował go sam, a jeśli mu się, jak należy, nie odzywał i nie zagadał wesoło, zaraz go na kupę ciskał. I było łupin takich, zaraz przy piecu, góra wielka, bo na nią dziadowie jeszcze tak samo rzucali, co pieca nie wytrzymawszy, z rysą z niego wyszło.

Żale i popielnice wiedział Mirsz, jak robić, i dla kogo, i pokrywy ich były do wyboru, a na niektórych z nich, jak to zwyczaj na Pomorzu, urabiał twarz niby ludzką, i wkładał w oczy sztuki bursztynu, a w uszy kolce kruszcowe. Rękę stary miał bardzo wprawną, a gdy siadł, na miękkiej glinie patykiem w koło pas rysować, zdawało się, że i z zamkniętemi oczyma mógł to zrobić, tak mu palce szły same. Trzęsła mu się ręka, gdy siadał, ale w robocie siłę odzyskiwała.

Jak praojcowie zwykli byli na dnie garnków kłaść święty znak ognia i on też nigdy położyć nie omieszkiwał, bo go tu z innych krajów jeszcze przynieśli zdunowie przed wieki.

Doma u niego syn był starszy, co po nim miał wziąć piec i koło, gdyby stary zamknął oczy. Zwał się Mirszem, jak ojciec. Oprócz tego była córka Mila najmłodsza, starsze już z domu powychodziły.

Żony stary potracił dawno, a miał ich razem dwie, po których już żadnej wziąć nie chciał, choćby mu to było łatwo

przyszło, bo w chacie dostatek miał wielki i ze swojemi ludzko się obchodził.

Spojrzawszy nań, zaraz widać było, że człek nie prosty był. Gdy przy robocie siadał zgarbiony, z siwym włosem, z rękami zapracowanemi, wpatrzony w glinę swą, i zadumany, a milczący, wziąłby go każdy za robotnika niezdarę — lecz gdy wstał, a rozprostował się, głowę podniósł, czoło wypełzłe, wysokie pokazał, twarz żółtą, pomarszczoną, poważną, jakby wieszcza i guślarza, ludzie mu się kłaniali zdaleka. Utrzymywali wszyscy, iż znał więcej, niż mówił, a nietylko garnki lepił, ale z duchami miał zażyłość i poza ten świat widział.

Przychodzili do niego po radę, wówczas miał obyczaj swój — kazał mówić, słuchał, milczał, długo trzeba było czekać, aż co powiedział — a rzekł wreszcie co, to tak krótkiem słowem, a tak mądrem, że pytać się już więcej nie było potrzeba, tylko to słowo rozpleść i rozgnieść i dobyć z niego co mieściło. Często bowiem zdawało się, że mówił nie do rzeczy, lub od rzeczy — dopiero później się okazywało, iż mądrość w tem tkwiła wielka, a wieszcza.

W dnie świąteczne i powszednie, lud co na Lednicę do chramu ciągnął, zatrzymywał się u tej chaty Mirszowej, często ludzie zdaleka nawet tu garnki kupowali, szczególniej dla umarłych.

Było bo w czem wybierać, począwszy od takiego, co z piaskiem był gnieciony, a na pół dłoni gruby, co go dwu ludzi ledwie udźwignęło, aż do takich drobnych, których po kilka w jedną kieszeń lazło, lub się za pazuchę chowało.

Czasem, gdy staremu przyszła fantazya, lepił sobie małe naczyńka, które się nikomu na nic nie zdały, a tracił nad niemi dnie całe, gładził je, a muskał, smarował, drewienkami koło nich dłubał i wypalał je osobno — a potem je nie do szopy stawił, ale w chacie u siebie i nikomu ich nie dawał. Mówili nawet ludzie, że dziecinniał, bo się niemi czasem bawił, jak dziecko, do ręki je brał, obracał, okurzał, patrzał i uśmiechał się do nich. Ledwie, że nie gadał z niemi. Choć tam sobie z niego szydzono może, on wcale nie zważał na to.

Tego dnia — a było to wprzódy, niżeli się miry z kneziem zadarły — jakoś po kupale. Mirsz odpoczywał u brzegu jeziora pod wierzbą starą.

Drzewo to, niewiadomo dla czego, zdawna polubił. Wyrosłe było wysoko i dosyć cieniste, a u spodu pień mu się spękał w niwecz i rozdzielił na dwoje, tak, że w środku między dwoma połowami siąść było można wygodnie. Chodziły gadki, że tam jakieś duchy mieszkały i nocami wietrznemi w tej dziupli głosy dziwne słyszeć się dawały. Mirsz przecie na to nie zważał i siadał w niej zaciszony — dla spoczynku. Tam sobie córce czasem mleko przynosić kazał, a niekiedy się zdrzemał, głowę sparłszy o drzewo.

Tego też dnia na jezioro patrząc zdun stary, ręce założywszy, tu siedział, spoglądając ku piecowi. Ludzie do czółen ciągnęli mimo, i jedni mu głowami kłaniali, tylko popatrzywszy nań, szli sobie dalej. Słońce dopiekało, pszczoły i muchy unosiły się w powietrzu brzęcząc, wiatr był ucichł, jezioro się wygładziło i świeciło blaskiem takiem, że na nie spojrzeć nie było sposobu.

Wtem kilku konnych nadjechało. Stary popatrzał na nich, bo ciekaw był wszystkiego, ludzi, koni, chmur na niebie i robaczków na piasku. Naturę miał taką.

Jechał kmieć, czeladzi kilkoro go otaczało. Gdy z konia zsiadł, zaraz mu go wzięli, a że czółna w pogotowiu nie było — stał więc i czekał. Hukano na przewoźnika.

Ten jeszcze daleki był od lądu, podszedł więc kmieć do starego i pozdrowili się.

— Co tu porabiasz stary? — spytał przybyły.

— A wy? — była odpowiedź.

— Ja na Lednicę, jadę do chramu.

— Ja i bez chramu duchy mam wszędzie — odparł stary. — Skąd wy, żupanie?

Młody wędrowiec ręką wskazał na lasy za jezioro.

— Jestem Doman — rzekł.

Stary się nań popatrzał.

— A ja zdun Mirsz jestem — odpowiedział.

Nastało milczenie.

— Wywróciliście też wieżę nad Gopłem i knezia z nią? — zapytał Mirsz — boście, słyszę, wy na niego, a on na was zawzięli?

— Jeszcze nie — odparł Doman.

— I bez knezia myślicie być? — mówił stary. — Pszczoły w ulu i dnia bez matki się nie ostoją.

— Pewnie — rzekł Doman. — Jednego wypędzim, a drugiego wybierzemy, aby zgoda była.

— Zgoda! tak! — odparł zdun — trzeba, żebyście ją sobie ulepili. Róbcie, jak ja. glina się rozpada, a wody domieszawszy, garnek się z niej ulepi. Poszukajcie tej wody.

Zmilczał Doman. Mirsz mruczał.

— Zaczepicie licho, gdy Chwosta ruszycie... Niemców i Pomorców na nas sprowadzi.

— Odpędzimy ich.

— Jak wam pola zniszczą, a mnie garnki wytłuką! — zaśmiał się zdun.

I głową potrząsając. patrzał na jezioro.

Wtem i czółen przybił do brzegu. a przewoźnik pot otarłszy z czoła, ręką wody zaczerpnął, napił się i legł odpoczywać. Doman już szedł do łodzi.

— Tak to idziecie do chramu objaty? — spytał Mirsz.

— Chcecie, bym u was misek wziął? — rzekł kmieć.

— Ja tego nie potrzebuję, ale wam by się zdało — bąknął Mirsz.

— Aleć ich nie dajecie darmo?

— Czasem — zawołał stary, w ręce klaskając. — Dziś taki dzień, że dam miski. postawicie je przed Niją.

Od pieca ukazał się syn, człek już nie młody. Ruchem rąk. nie mówiąc nic, powiedział mu stary, czego chciał i siadł znowu, a po chwili wyniósł z szopy syn miseczek kilka drobnych. które oddał Domanowi.

Znano już naówczas u Polan pieniądze, choć ich nie robiono. Zdawna przywozili je i przynosili tu ci. co po bursztyn przypływali i przychodzili, idąc wzdłuż tej ziemi od zachodu

na południe. Rzymskie, greckie i arabskie pieniążki krążyły między ludźmi. Z Winedy je też tu przywożono. Doman miał przy sobie kilka takich blaszek srebrnych i chciał z nich dać jedną staremu, ale ten rękę odtrącił.

— Postawcie to odemnie — rzekł, i głową skinąwszy, siadł w pniu swoim.

Szedł tedy do łodzi Doman, a przewoźnik do pasa nagi, włosem cały obrosły, westchnąwszy, ujął za wiosło i począwszy coś półgłosem nucić, odbił od brzegu.

W chramie u Nii siedziała przed ogniskiem Dziwa. Tu, mimo dnia spieki, zewsząd otulonej oponami w kontynie ciemnej, chłodno było prawie. Ognisko gorzało tylko, aby Znicz nie wygasał. Dym prosto ponad dach płynął i otworem ulatał.

Na trzech kamieniach siedziały trzy stróżki ognia świętego, dwie uśpione, trzecia czuwająca za nie. Tą trzecią była Dziwa.

Wianek miała na głowie, rozpuszczone kosy, cała w bieli owinięta długą chustą białą, wśród tego mroku sama do jakiegoś nieziemskiego zjawiska była podobną.

W chramie nie było nikogo.

Światełka ognia odbijały się niekiedy na wiszących u szyi bóstw łańcuchach i ziarnach bursztynu, na ofiarnych kruszcach u ściany świątyni i w tych strasznych czerwonych oczach, które krwawymi blaski pobłyskiwały niekiedy.

Dziewczyna siedziała nieruchoma i zadumana, gdy zasłona się podniosła powoli — obróciła ku niej oczy, spojrzała krzyknęła i upadła na ziemię.

U wnijścia stał Doman, którego ona zabiła. Zdawało się jej, że wilkołakiem, czy upiorem na świat powracał.

Uśpione towarzyszki zerwały się z siedzeń swoich, nie mogąc rychło oprzytomnieć, aż tu Doman podbiegłszy, z ziemi ją podnosił, wziąwszy na ręce.

Dziwa otworzyła oczy i zamknęła je natychmiast przerażona, rękami usiłując go odepchnąć od siebie. Widziała teraz dobrze, że duchem nie był — ale ją trwoga ogarniała, aby nawet u ołtarza zemsty nie szukał.

Doman na krzyk jej rozpaczliwy, cofnął się i stanął zdala. Chwilę trwało milczenie, dziewki przyrzucały pośpiesznie łuczywo, ogień zaczął płonąć jaśniej, Dziwa z trwogą ciągle patrzała na stojącego u wchodu Domana.

— Nie obawiaj się — rzekł — nie uczynię nic złego, zemsty nie szukam. Chciałem widzieć ciebie i pokazać, że żyję. Po to tu przyszedłem tylko.

— Wynijdź, proszę — odpowiedziała wstając dziewczyna, której przytomność powróciła. — Wyjdę za chram, powiem wam wszystko — ja nie jestem winna.

Posłuszny Doman cofnął się, zasłona spadła. Dziwa siedziała chwilę, dłonią czoło potarła, poszła się napić wody ze świętego źródła, poprawiła wianek i włosy — zwolna uchyliła oponę i wyszła.

Opodal, za dwoma tynami malowanymi stojąc Doman, czekał na nią u kręgu kamieni. Zdala go zobaczyła. blady był jeszcze, ale w oczach mu już dawne życie świeciło.

Powoli, z obawą, zbliżyła się ku niemu dziewczyna.

— Możecie zabić mnie zaraz, tu — odezwała się — tak jak ja chciałam was tam zabić, bronić się nie będę. Porwać się dać i żyć z wami nie mogłam. Dawno, w dzieciństwie, ślubowałam bogom i duchom.

Patrzał na nią Doman smutnie, znajdował ją teraz piękniejszą jeszcze, niż dawniej była.

— Dziwo — rzekł — życie to takie jak śmierć, a bogi i duchy...

Nie śmiał dokończyć.

— Co po życiu bez ludzi? — dodał pomilczawszy — u mnie byście znaleźli inne, dom swój, rodzinę, obronę i wszystkiego dostatek... Któżby wam bronił u źródła ofiary czynić, albo na rozdrożu u świętych kamieni i z duchami rozmawiać?

— Duchy są zazdrosne, jak ludzie — odezwała się Dziwa — ciekawie, nieśmiało wpatrując się w Domana — duchom, a ludziom razem służyć nie można. Wianek mój do nich należy.

Chciał się kmieć przybliżyć nieco do niej, ona się cofnęła, ale z oka go nie spuszczała. Człowiek ten, którego ona zabiła, a który żył, obudzał w niej dziwne uczucie — żal, litość i obawę.

— Nie miejcie do mnie żalu — mówiła — ja sama nie wiedziałam, com czyniła, a bronić się musiałam. Jeżeli zemsty chcecie za krew waszą, weźmijcie miecz i zabijcie mnie tak, abym się nie męczyła, a odpuśćcie braci mojej i rodowi mojemu. Ja się umierać nie boję — dodała — z duchami pójdę błądzić po wiecznie zielonych lasach i łąkach i pieśni zawodzić.

Doman ramionami ruszył.

— Dziwo — rzekł — gdzieżbym ja was chciał zabijać, prędzej drugi raz ważyłbym się porwać, choć z chramu i dał pokaleczyć, bylebym pochwycił.

Dziewczę, potrząsając głową, zarumieniło się mocno.

— Nie może to być — szepnęła cicho — nie może...

— Żal mi cię — ciągnął Doman — ja do żadnej innej nie mam serca. Próbowałem siostrę waszą widzieć, podkradłem się pod zagrodę, gdy do trzody wychodziła, hoża jest, ale takich po świecie wiele. Co mi po nich.

Gdy mówił tak, Dziwa ciągle przypatrywała mu się ciekawie i powtarzała, jakby bez myśli:

— Nie może to być! Nie może!

Gdy tak rozmawiali z sobą, on się skarżył, ona niby słuchać nie chciała, w sercu jej zrobiło się tak dziwnie, jak nigdy nie było. Coś ją ciągnęło do tego człowieka, może to, że go zabiła. Sama nie wiedziała co się z nią stało, a ulękła się w sercu zemsty duchów zazdrosnych.

Mimo tej trwogi — ciągnęło ją ku niemu — ciągnęły oczy siwe Domana i usta i głos i ta dobroć jego, przez którą się zemsty wyrzekał.

Zarumieniła się mocno, spuściła oczy, radaby była uciekać, a nie mogła. Coś ją trzymało wkutą do ziemi — on wciąż oczyma ją czarował. Trwoga zaczynała ją ogarniać coraz większa — głos postradała.

— Idźcie proszę — ozwała się z wysiłkiem wielkim, głosem stłumionym — idźcie i niepowracajcie.

— A gdybym wrócił? — zamruczał Doman.

Spuściła oczy Dziwa i zmilczała.

— Sama mówisz — dodał — że ja mam prawo wziąć ci życie — prawo zemsty i krwi. Miałem prawo to, pomsty na braciach, na domu, na rodzie całym, a nie chciałem go.

— Zabijcie mnie — powtórzyła Dziwa spokojnie.

— Szkodaby was było — rzekł Doman, śmiejąc się — nie! nie! Lecz gdy powrócę — gdy poproszę, toć mi na was choć popatrzeć będzie wolno...

Zarumieniła się mocno dziewczyna — zadrżała, fartuszek biały podniosła do twarzy, zasłoniła się nim, rzuciła się nagle między tyny i jak strzała do ognia pobiegła.

Doman stał, zerwał liści kilka z drzewa, wziął je w usta, gryźć począł zadumany, zakręcił się, stanął, powrócił i poszedł błądzić po ostrowie.

Siwowłosa stróżka wskazała mu chatę Wizuna. Stary siedział na progu i karmił gołębie, które się do niego zlatywały. Postrzegłszy Domana, zerwał się z rzeźwością młodzieńczą, ręce mu otwierając.

— Przecież cię dziewka nie zabiła! — zawołał — wiedziałem ja to dobrze.

Śmiejąc się Doman, rozpiął suknię, rozgarnął koszulę i pokazał mu szeroką, straszną jeszcze bliznę.

— A przeklęta wilczyca! — rzekł stary, ściskając go — tyle miała siły. Wiesz, że ona tu jest? Czy zemsty szukasz?

— Widziałem ją — rzekł chłopak — mówiłem z nią, a zemsty nie żądam. Dziewka mi i teraz w głowie, choć mnie nie chce. Mówi, że duchom ślubowała.

Wizun głową potrząsał.

— Trzeba ci inną wziąć, o tej zapomnisz... Porwać jej stąd się nie godzi — mówił stary — wszystkie one jednakowe, kwitnie to, póki młode, a na starość kole. Weź inną, weź inną. Niewiasty ci potrzeba, bo bez niej nie wyżyje człek.

— Mój ojcze — odparł Doman — nie łaj mnie, inne mi nie do smaku.

Wizun ręką gwałtownie potrząsł.

— Spróbujże wziąć inną — rzekł — zobaczysz. Młodość ma takie chęci, ale one wystygają prędko. Dopóty za tą tęsknić będziesz, póki innej nie weźmiesz.

Tak się poczęła ze starym rozmowa, który ciągle do swojego wracał, ściskając dawnego wychowańca. — Godzinę siedzieli u chaty, chodzili po ostrowie, jeden się skarżył, drugi zawsze toż samo lekarstwo podawał. Rozeszli się wreszcie. Doman usiadł do łodzi i na ląd powrócił. Stary Mirsz siedział jeszcze w swej wierzbie.

Zobaczywszy powracającego, zadziwił się, że tak prędko nazad przybywał. Doman wysiadł, gryząc liście, które był zerwał na wyspie — ale weselszy był. Przybliżył się znowu do starego.

— Hej! stary zdunie — zawołał — gdybyście też mi dali co zjeść, a przenocować?

— Jak odmówić? — rzekł stary. — Choćbyś kmieciem czy żupanem nie był, na to chata, aby gościom się otwierała.

— Chodźcie. — I wstał.

Właśnie w chacie wieczerzę podawać miano i córka Mirszowa ku ojcu wyglądała, gdy oczy Domana na nią padły. Dziewczę było wypieszczone, bo ani około roli bardzo, ani koło gospodarstwa nie chodziło, lubiła się stroić, bo wiedziała, że była piękną, szyła ręczniki nićmi krasnemi i czasem kądziołkę przędła.

Oczy kmiecia i zdunównej spotkały się jakoś tak, że oboje poczerwienieli. Jej się podobał żupan czy kmieć, który pańsko wyglądał, on pomyślał, że dziewka była ładna — a nużby mu, jak Wizun radził, za lekarstwo posłużyła?

Weszli ze starym do chaty, gdzie ich stół biało pokryty czekał. Mila służyła sama, nosiła misy i kubki, a ile razy weszła, spojrzała na żupana, i on też na nią. Raz nawet w uśmiechu z za różowych ustek białe ząbki pokazała. A była i na codzień zdunówna strojną, srebrne pierścionki na wszystkich

palcach, niektóre z oczkami, pod szyją miała guz ogromny złocisty, we włosach śpilki, kolce w uszach, kolce na rękach, wianek na głowie, a w ustach śmiech i pustotę.

— Gdybym tę był wprzód spotkał — myślał, patrząc na nią Doman — możebym ją sobie był wziął.

Jedli tedy, a rozmawiali. Gdy misek już przynosić ani zabierać nie było potrzeba, młoda gospodyni z komory, uchyliwszy drzwi trochę, patrzała niby ukradkiem, czy ojciec jej nie zawoła, a w istocie coraz to na młodego żupana z ukosa.

— Wziąłbyś mnie sobie — mówiły figlarne oczy, — jabym się nie bardzo broniła.

Mrok już padł szary i gęsty, gdy Doman poszedł do szopy na posłanie. Mirsz stary córkę wywołał z komory i pogroził jej palcem.

— Ty dzierlatko jakaś — rzekł surowo — co ty oczyma strzelasz na takich ludzi. On nie z takich, co garnki robią, ale z tych, co je tłuką, tobie do niego nic.

— Nie patrzałam.

— Patrzałaś! Tobie co po nim! U niego takich jakeś ty, doma pewnie ze sześć do wyboru, czy chcesz siódmą być?

Bystremi oczyma Mila spojrzała na ojca, groził jej ciągle.

— Jutro rano, gdy będzie odjeżdżał, żebyś mi się nie pokazywała! — dodał — pamiętaj!

Poszli spać. Nazajutrz Doman wstał rano, konie stały w pogotowiu, usiadł na ławie.

— Coś mi się pod skwar jechać nie chce — rzekł chmurno.

— Poczekajcie do jesieni, przyjdą chłody — odparł zdun — ja wam nie bronię.

Nic nie odpowiedziawszy, kmieć powlókł się nad jezioro. Czółna stały u brzega, kazał się na ostrów wieść, pojechał do chramu.

Mila, widząc go wychodzącego, pobiegła pod tyn, spojrzała przez szpary, na pół się zgiąwszy, aby jej nie widziano, śledzila go oczyma. Ojciec to widział, zżymnął się, zmilczał. Czółno odbiło od brzega.

W kontynie siedziała Dziwa i na ogień patrzała, ale w oczach od wczora jakoś się jej majaczyło dziwnie, nie widziała nic oprócz jakichś ciemności i iskier. Ludzi pełno było w chramie i szmer w nim głuchy panował. Stary guślarz wróżył i przyjmował ofiary, siwowłosa stróżka odczyniała czary, rozdawała ziele.

Uchyliła się opona. Doman znowu stanął przed nią. Zarumieniła się Dziwa, wstrzęsła cała, w drugą stronę odwróciła oczy i siedziała nieruchoma, patrząc na ognisko. Doman stał a stał przed nią, sparł się o słup, rozglądał się po chramie.

Pomyślała dziewczyna, że mu koniecznie powiedzieć było potrzeba, aby precz szedł sobie, — wstała z kamienia, wysunęła się drugą stroną chramu, aby z nim nie spotkać się u wyjścia. Między tynami nagle stanął przed nią. Nie było tu nikogo, oprócz ich dwojga, chłopak pochwycił ją silnie rękami i w twarz pocałował, Dziwa krzyknęła, zasłaniając oczy — ale go już nie było, gdy je odkryła.

Uciekł. Gniewna bardzo powróciła nazad do chramu. Obmyła się wodą ze źródła świętego, ale twarz jak ogniem ją paliła, a im dłużej myła, tem paliło mocniej. Aż się jej na łzy zebrało i płakać gorzko poczęła. — O dołoż ty moja — o dolo!

Spojrzała na czarny posąg Nijoły, czerwone jej oczy gniewnie w nią były wlepione. Zdawały się pałać zemstą. Ogień przygasał, rzuciła się go podsycić. Z chramu się rozchodzili ludzie, nucąc pieśni o Ładzie i Nii, śpiewy rozlegały się po jeziorze i zaroślach, dziwnie brzmiąc smutno.

Dziwa też wyszła i śpiewać zaczęła, sama nie wiedząc co — ot, jakąś dawną w dzieciństwie słyszaną piosenkę.

Z za drzew widać było chodzącego Domana, który zdala kręcił się między gromadami ludzi, zrywał liście, gryzł je — i rzucał. Potem położył się na trawie, pół drzemał, na pół czuwał. Nie wiedział, co robić z sobą.

Wizun, który się między gromadami przechadzał, nadszedł i stanął nad nim.

— Ty tu jeszcze? — spytał.

— Sam nie wiem, jak się przywlokłem — rzekł Doman.

— Gdzieżeś nocował?

— U Zduna, który ma dziewkę ładną.

— Weźże ją, a nie chodź darmo około tej, która cię nie chce.

— Nie zechce może i tamta!

— Zdunowa dziewczyna za żupana? rozśmiał się stary Wizun. — Oto wieczór blizki — dodał — wracaj nazad do Mirsza, tak lepiej.

Doman ziewnął, przeciągnął się, wstał, posłuchał, siadł do czółna i popłynął, a po drodze myślał.

— Stary zna co robić trzeba, lepiej oszaleć, jak się truć.

Gdy czółno przybiło do brzega, stary Mirsz siedział w swej wierzbie, wychylił się z niej.

— Przez cały biały dzień nie jadłem nic prócz liści, jak koń — odezwał się Doman — głodny jestem jak pies. Ojcze, ulitujcie się jeszcze dziś, dam wam skórę niedźwiedzią na posłanie, będziecie po knieziowsku na niej odpoczywać.

— Skóry mi nie trzeba, siano lepsze — rzekł stary — a do chaty chodźcie. Wskazał ręką na drzwi. Mila zdala poznała czółno i przybywającego, klasnęła w ręce, poprawiła rucianego wianuszka, przeglądając się w cebrze wody, pierś się jej podnosiła.

— Ojciec mówi, że ma ich sześć! — poczęła w duchu mówić do siebie. — Co mi tam? Będzie musiał mnie najlepiej miłować. Powypędzam wszystkie. Czym nie młoda? czym nie hoża? Hej! na koniu przy nim, kołpaczek czarny, łańcuszki na piersi, łańcuszki na ręku — krzno na ramionach, to ja, pani żupanowa! kłaniajcie się swej pani!!

Wybiegła do świetlicy — nie było nikogo, wróciła do komory, wianuszek się obsunął, musiała przymocować.

— Jak popatrzę na niego... jak popatrzę, to mnie musi wziąć. Hej, dziewanno! krasopani... a! gdybym lubczyk miała, tobym mu dała w miodzie, ażeby snu i jadła pozbył, pókiby mnie sobie nie wziął.

Wzdychała jeszcze, gdy tuż za drzwiami, za chatą śpiew

się dał słyszeć jękliwy. Wyjrzała okienkiem. Drogą od brzegów szła zataczając się, podśpiewując, stara Jaruha, wiedźma, co wszystko znała i lubczyki, i grabki, i wszelkie miłośne tajemnice. Komu kogo chciała, temu go dała.

Duchy ją umyślnie tu niosły. Skoczyła Mila co prędzej drzwiami tylnemi, palcami ją wabiąc ku sobie.

— E! e! — zawołała Jaruha — toż już dola, kiedy hożej zdunownie jestem potrzebna.

I pośpieszyła do płota. Mila stała na przełazie, fartuszek trzymając przy ustach.

— Matuniu Jaruho — szepnęła — ty znasz wszystko... nieprawda?

— Oj, oj! czemuby nie? — przyglądając się jej poczęła stara — gołąbko ty moja! Znam wszystko, a nawet i to, że ci się hożego, jak ty, chłopca chce?

Mila się zaczerwieniła, pochylając aż do ucha Jaruhy.

— Daj mi lubczyku... dam co chcesz!

— Tobie! — rozśmiała się stara — taż ty sama jesteś lubczykiem, ktoby ciebie nie miłował, choćby kneziem był, ślepymby musiał być chyba.

— Lubczyku mi daj! matuniu — powtarzała gorączkowo Mila — odpinając srebrny guz od koszuli i rzucając go starej na ręce. Jaruha się zdumiała, czoło się jej namarszczyło, powoli ściągnęła torbę z pleców, siadła na ziemi u przełazu, poczęła z węzełków dobywać ziół i korzonków pęki. Mila drżąc i bojaźliwie oglądając się dokoła, czekała.

Uschłe jakieś ziółko Jaruha wsunęła jej do ręki...

— Zetrzyj na proszek, daj mu pić... a gdy pić będzie, patrz mu w oczy, ani mrugnij. Jak mrugniesz... przepadło.

Roześmiała się głośno, Mili już nie było, pobiegła do chaty, w niecierpliwych dłoniach starła na proch ziele, rzuciła je do kubka dla gościa.

Ojciec wołał o wieczerzę — zwinęła się żywo. Doman siedział zamyślony, jak noc, na obu rękach oparty, aż go oczyma obudzić musiała ze snu. Chlebem się łamali, mięso na stole stało. Ojciec miód nalewał.

— Choćby się ojciec pogniewał! — pomyślała — a choćby uderzył — rzekła w duchu. Chwyciła kubek nagotowany, prędko weń miodu nalała i sama go podała Domanowi, patrząc mu w oczy. Przyjął go, począł pić — Mila z sercem bijącem patrzała nań, nie mrugnęła, choć czuła, jak ojciec groźno na nią poglądał. Wypił. Kraśna, jak wiśnia, pobiegła do komory.

— Teraz on mój! on mój! — wołała i tylko, że nie plasnęła w ręce. Jaruha wszystko zna!

Stary zdun nierozmowny był dnia tego, jedli cicho. Nad wieczór burza się z wichrem zerwała straszna. W jezioro pioruny biły jedne po drugim, a deszcz lał strumieniami. Doman poszedł spać do szopy. Szalało na niebie do północy, a ludzie, jak to zwykle bywa w burzę, kamiennym snem spali.

Pod okienko pod chatą, ktoś podszedł nieznacznie, okienniczka była odsunięta, sparł się o ścianę, głowę pochylił, ktoś wyjrzał ku niemu. Szeptali, ale wiatr był i nic słyszeć nie dawał, szeptali długo, prawie do dnia — kto może wiedzieć, co radzili i co uradzili.

Na samym końcu odezwał się głos z okienka:

— Swaty trzeba słać, ojca trzeba prosić, inaczej nie pójdę z domu, nie pójdę inaczej.

Rano, po deszczu i burzy, oślizło po drogach, kałuże stały wielkie, ze strzech ciekło, strumienie wezbrane biegły do jeziora, po niebie wałęsały się chmury białe górą, szare dołem. Zbierało się na pluchę, słońce piekło, choć go widać nie było.

— Ojcze Mirszu — ja dziś do domu nie pojadę, drogi grzązkie, koń się ślizga.

— Czekajcie do zimy — odparł stary — jak mróz schwyci, będzie sucho.

Doman został. Siadł nad jeziorem i dumał. — Mila przez tyn wyglądała; stary Mirsz w wierzbie coś mruczał. Nad wieczorem podszedł kmieć ku niemu.

— Ojcze stary — rzekł — gdybyście mi swatów nie odpędzili z grochem, tobym wam ich przysłał.

— A wiele żon masz? — zapytał stary.

— Żadnej.

Mirsz nań popatrzał.

— Córka moja pieszczona, biała, godna i żupana, na żonę ci ją dam, inaczej nie. Ślijcie swaty uroczyste, po obyczaju starym.

Doman się skłonił.

— Do domu jadę, drużby uproszę, zgoda stary gospodarzu?

Zmierzchło dobrze, gdy się ta rozmowa toczyła. Doman coś nucić poczynał, na duszy mu było weselej i myślał. — Hej Wizunie stary, będzie li to lek, czy trucizna? Inną biorę, a o innej myślę, gdzieindziej swaty, a serce gdzieindziej!

Wtem stary Mirsz palcem ukazał na bory.

Nad borami, nad lasami gorzały łuny, jedna, dwie, dziesięć na wsze strony. Doman spojrzał i krzyknął:

— Ogniste wici!

Nadbiegła czeladź jego wołając:

— Wici ogniste!

Ruszyło się co żyło, a Doman w podwórko niepostrzeżony skoczył pod okienko komory i zapukał.

— Dziewczyno! malino! bywajże mi zdrowa! Ogniste wici na górach płoną, na wojnę muszę. Jak z wojny powrócę, to ci przyślę swaty. Ojcum się kłaniał i prosił... będziesz moją.

W okienku czy śmiech, czy płacz dał się słyszeć, może razem oboje?

— O miły mój, miły, sokole jedyny! wróć mi cały z wojny. W oknie siedzieć będę, w niebo patrzeć i płakać, póki z wojny nie wrócisz, póki swaty nie przyjadą.

— Na koń! — krzyczał Doman do czeladzi — na koń! Bądź zdrów gospodarzu, dziękujemy za gościnę, nie czas odpoczywać, gdy ogniste wici płoną. Zdrowi bywajcie wszyscy!

Zatętniało, zaszumiało, ruszyli cwałem, a przed chatką stał Mirsz stary i patrzał na łuny, stała Mila z rękami załamanemi i płakała, coraz to fartuszkiem ocierając łzy. A z za łez widać było uśmieszek i serce biło, biło — biło.

— Powróci! powróci! swaty przyjadą. Moim być musi!

XXI.

Na wieży, na wierzchołku stała pani blada, patrzała dokoła; wieczór był, ten sam wieczór, którego zapalono wici ogniste. Jeszcze na zachodzie słońce po sobie zostawiło czerwoną łunę, dokoła lasy i doliny spać się zdawały.

Kneź za nią oparty o mur, poglądał na gród pod nogami, na chodzących po wałach ludzi, na Smerdów, co sprawiali drużynę grodową, na jezioro, w którem daleka łuna się niebieska odbijała. Nie widać jeszcze było nic... nic...

Po za kneźną dwoje chłopaków prawie równych wzrostem stało. Widać z nich było spojrzawszy, że z obcego przybyli kraju. Suknie mieli z sukna cienkiego i inaczej szyte, obuwie ciężkie i mocne, u boku po mieczu długim każdy. W oczach im się jeszcze młodość śmiała i życie, ale dziko jakoś i zwierzęco. Na wojaków wyglądali, choć młodzi, na drapieżnych i chciwych łupu wojaków.

Właśnie tego dnia zarania, gdy u wrót kładziono zaborole, nadjechali dwaj chłopcy, przybrani w proste gunie, na nędznych koniach i do zamku się prosili. Tu ich puścić nie chciano, aż wyszedł starszy Smerda, popatrzał, krzyknął i kazał kłody odwalać, a prowadził ich do wnętrza zdyszany, radując się i łamiąc ręce.

Wwiódł chłopaków do świetlicy. Kneź leżał na ławie, bo tej nocy spać nie mógł po gościnie u Piasta. Zerwał się mrucząc, spojrzał, chłopcy mu u nóg leżeli i za kolana ściskali. W dłonie plasnął z przestrachem.

— Kto was tu wysłał w tę godzinę! — zawołał.

Nim czas odpowiedzieć mieli, otwarły się drzwi i wpadła biała pani z krzykiem, ze łzami, z radością i rozpaczą.

— Dzieci moje! pocoście przybyli!...

Stały chłopięta nieme, jeden na drugiego patrzając.

— Stęskniło się za światem żyć — rzekł starszy — dziad pozwolił jechać, siedliśma na konie i jechali nocą lasami, manowcami, aż tu, aby wam uścisnąć nogi...

— A tu wojna u progu! — zakrzyknęła pani — o! dzieci moje! kto wie, co się stanie z nami, niechbyście się choć wy przy życiu zostali... Po mirach wszędzie chodzi burza, na gród się ludzie gotują...

Łamała ręce kneźna, a Chwostek mruczał:

— Nie będą śmieli! poburzą się, pokrzyczą... na rozmowę przyjdą i zgodę zrobiemy... a potem tych, co głowę podnosili...

Ręką pokazał do góry.

— Na dęby!

Stało się na zamku wesele właśnie, gdy najgroźniejsza nadeszła godzina. Cały dzień musieli poić się pociechą strachem zatrutą. Ledwie śmiech przyszedł na usta, trwoga go odpędzała. Słano ludzi na zwiady chyłkiem i co godzina wracali.

— Co słychać? — pytał Chwostek.

— Coście widzieli? — pytała biała pani.

Smerdy się po głowach skrobały.

— Groźby chodzą po polu... po dworach się gotują, po chatach zbierają... kmiecie mruczą. Myszkowie od zagrody do zagrody biegają.

Powrócił drugi około południa, prawił to samo, trzeci nad wieczorem i oznajmił, że na noc przyjdą wici ogniste.

Chwostek się rozsierdził i do wieży go zamknąć kazał.

— Łże niepoczciwy, kmiecie go przekupili... Nie będą śmieli wici ognistych zapalić... a zapalą je... ja na wieży stos każę zażegnąć, bo się ich nie boję.

Kneźna padła mu do nóg.

— Panie miłościwy! dzieci nazad odprawcie, niech jadą. Dać im czółen, odprawić daleko... niech jadą do dziada i burzę przesiedzą, kto wie, co nas od tej czerni czeka...

Płakała i prosiła. Chwostek się gniewał. Odłożono wyprawę do wieczora.

Stali teraz wszyscy na wieży i czekali a patrzyli, ukażą się li wici ogniste. Chłopcy między sobą szeptali.

— Niechby wojna była! uprosimy ojca, matki, zostaniemy z niemi i krwi się kmieciej napijemy. Niech znają jak u Sasów wojują...

Nad lasami, dolinami cisza była i ciemności; patrzali z wieży tylko zorza po słońcu powoli gasła i w jeziorze odblask jej blednął. Chwostek powtarzał:

— Czerń plugawa!... nie będą śmieli!

Wtem nad lasy, nad dolinami, zarumieniło się coś na chmurze, która górą płynęła, trysła jakby plama krwista... i znikła... kłębami buchnął dym czerwony, a za nim płomię żółte wspięło się wysoko. Pierwszy stos zapalono...

Biała pani zbladła i oczy zakryła.

— Pastuchy ogień z chróstu zapalili... — rzekł kneź i śmiać się począł.

Wtem chłopcy krzyczeć zaczęli.

— O! jeden, drugi, trzeci...

Stosy z kolei zapalały się po górach, ogniste łuny odbijały się na obłokach. Cały kraj usiany był dokoła wiciami. Chwostek się ruszył i krzyknął.

— Stos zapalić! niech znają, że ich się nie zlęknę...

Na kamieniach u góry leżała ogromna kupa łuczywa, pachołki wnet z węglami i żagwiami przybiegli, zapalono ją. Chwostek się uśmiechał. Biała pani nie mówiła nic, skinęła na chłopców i poczęła schodzić z wieży. Dzieci za nią szły posłuszne.

Chwostek się obejrzał ponuro, płynął z wieży na świat, i począł też spuszczać się na dół do dworu.

Tu w świetlicy Brunhilda chodziła krokami wielkimi.

— Dzieci tu nie zostaną — mówiła.

Na to nadszedł Chwostek.

— Czemu zostać nie mają? — zawołał — chcesz ich teraz wyprawić, aby pochwyciła czerń i zadała im śmierć. Nie, bezpieczniejsi oni tu w grodzie, niż w polu!

Dzieci rzuciły się matce do nóg, aby im zostać dozwoliła. Nogą tupnęła, brew się jej namarszczyła.

— Nie — rzekła — nie, pytałam się dziś wróżki, patrzałam na powietrzne znaki, wszystko złe nam zapowiada... Sprawdziły się już ognie, którym nikt wierzyć nie chciał, sprawdzi i reszta... Ja więcej wiem... Zginiemy my, nie będzie się pomścić komu.

Chwostek się gniewać począł, rozgniewała żona, oboje niemal skoczyli ku sobie, aż kneź mrucząc spuścił głowę, odstąpił i rzekł:

— Dziej się co chce!

Kneźna chłopcom się do drogi kazała gotować. Muchę zwołano, aby czółen gotował. Zdjęto im suknie pańskie, a dano proste siermięgi, musieli miecze pochować. Obu im z oczu ciekły łzy, ale matka kazała.

Chwostek poszedł milczący i synów do piersi przycisnął.

— Niech choć zostaną do jutra...

— Nie, nie... ani godziny, jutro cała okolica zatętni, zaczną zaciągać... gromady gród opaszą, brzegi jeziora obsadzą...

I załamała ręce.

Oba chłopcy milczeli, łzy im ciekły po twarzy. Chwostek patrzył na nich, mruczał gniewnie jak niedźwiedź, gdy go ruszą z łożyska.

Biała pani wyszła i wróciła. Głowę zawinęła płachtą, płaszcz prosty zarzuciła na siebie...

— Ja z wami — rzekła — aż do brzegu popłynę... Póki nie siędziecie na konie, ja z wami...

Po jednemu wzięła ich za głowy i pocałowała.

Chwost stał milczący. Przez otwarte okno zewsząd biły łun blaski i wpadały do świetlicy.

— Widzicie odezwała się Brunhilda — to zapowiedź wojny... Jutro może się ona rozpocznie. Gród będzie się bronić... Wezmą dwór i grodzisko, schroniemy się na wieżę... miesiąc, dwa, trzy wyżyć możemy .. jedźcie do dziada i przybywajcie z odsieczą. Śpieszcie...

Tu głosu jej zabrakło.

— A gdyby nas, i dworu i grodu, i wieży nie stało... mścijcie ojca i matkę... mścijcie życie całe na tem plemieniu jaszczurczem.

Chwostek mruknął.

— Nigdy stołba wziąć nie mogą. Prowadźcie Sasów, my wytrzymamy.

Rzucili się synowie jeszcze raz do nóg ojcu, do nóg matce, a potem szli posłuszni. Za kępą u grodziska czółen stał gotowy, Mucha i drugi silny chłop z wiosłami w niem siedzieli. Brunhilda weszła pierwsza, chłopcy skoczyli za nią, Chwostek patrzył z brzega, czółen popłynął...

Jezioro całe od łun się paliło, a łódka po niem mknęła czarna, i widać ją było zwracającą w zarosłe brzegi, w cień, aby się prześliznęła niepostrzeżona. Chwostek oczyma potoczył po okolicy długo, pogardliwie i do izby powrócił.

Późno w noc biała pani przybyła nazad, we łzach jeszcze po dzieciach; Chwostek już spał. Ona siadła u ognia, wpatrzyła się w węgle zarzące i tak nadedniem usnęła dopiero.

Nazajutrz rano pytano strażnika na wieży.

— A nie widać tam gromad zbrojnych?

— Nie rusza się nic! nie widać nic... cicho wkoło i spokojnie.

Chwost zaśmiał się.

— Nie będą śmieli, nie ważą się...

Czekali dzień cały, do wieczora, nie było nic. Kneź powtarzał swoje.

— Nie śmieją.

Noc zeszła spokojnie, rankiem strażnik z wieży nie zobaczył nic jeszcze. Nadszedł znowu mrok wieczorny, cisza panowała wkoło. Biała pani chodziła trwożna, Chwostek mówił — nie śmieją.

Wtem na stołbie zatrąbiła straż, raz, drugi i trzeci. Pochwycili się wszyscy na nogi, czeladź z szop, pachołkowie z legowisk pod okopem. Smerdowie z przyżby na przedsieniu. Przy brzasku wieczora coś niewyraźnego widać było. Majaczało pod lasem z jednej i z drugiej strony coś, jakby żywego, ogromnego, jak smok dźwigało się zwolna i toczyło po ziemi.

Strażnik znowu w róg począł trąbić, ale dech mu zabiła trwoga i sił brakło. Biegli zewsząd ludzie na wały, na drabiny, na dachy... i kneź z żoną wyszli na przedsienie.

Pod lasem stały gromady, które nagle z niego się wyroiły.

— Kmiecie na gród ciągną! — wołali Smerdowie wskazując rękami.

Coraz wyraźniej o wieczornej zorzy dojrzeć było można pod lasem tłumy, które się poruszały, sunęły, powiększały. Las z głębin swych wyrzucał lud na dolinę. Ziemia tętniała. Na prawo, na lewo, na wsze strony sunęły się gromady, ciągnąc bez pośpiechu, uroczyście, powoli. Wśród ciszy chwilami dochodził gwar zdaleka, jakby jezioro mruczało. A nie jezioro mruczało, ale gromady dychały i konie stąpały, a na dzidach wysoko wpięte widać było stanice Boże, wojenne godła święte.

Gdy tak stali a patrzyli Chwostek i żona jego, lica im pobladły, zbielały niemal jak tych trupów, które niedawno przez ten sam próg za nogi ze świetlicy wywleczono. Kneź sobie miodu kazał dać, wypił i kubek precz rzucił na ziemię.

— Ludzie, na wały! kto żyw! — zakrzyknął — most spalić.

Rzucili się ludzie wnet na wrota, do mostu, niosąc

smołę i łuczywo. Podlano pale smołą. Smerda sam na cztery rogi ogień podłożył, a ludzie z mostu uciekać zaczęli do grodu za zaborole.

Mrok wieczorny już w dali nic widzieć nie dawał, aż płomię się rozpostarło i sycząc dyle poczęło obejmować, a podniosło się i buchnęło do góry. W czerwonych blaskach ukazała się wieża i dwór i cała okolica daleka; strugi ognia popłynęły po jeziorze. W dali nic już widać nie było, cisza w koło, tylko trzask palących się belek i dym czerwony ku obłokom się kłębił wysoko, jak druga wieżyca.

Smerdy kazali most walić kołami, aby się zapadł i obalił prędzej. Z trzaskiem zaczął padać do wody, kłody dymiące, na pół spalone, sycząc się po falach toczyły.

Łodzie i czółna od brzegów ściągano do grodu i chowano w okopie. Ruch w zamku panował. Chwostek w boki się wziąwszy patrzył. Czoło mu się marszczyło tylko i usta przeklinały cicho — ród jaszczurczy.

Powoli dopalały się pale, ogień przygasał, ciemność po nim wydała się czarniejszą, noc nieprzejrzaną. Co się w tych martwych kryło ciemnościach, któż mógł odgadnąć.

Stał długo zdrętwiały jakby Chwostek, potem się ruszył nagle, odzyskując życie, na ludzi krzyknął. Począł wydawać rozkazy.

Wnet coś się potoczyło przez podwórze do brzegu, mały człeczek odwiązał czółen pławiczkę, drobny jak orzechową łupinę i plusnęło coś a znikło. Znosek z postrzyżoną głową, z wystrzelonem okiem, leżąc w tej łupinie, nie poruszając prawie, rękami wodę rozgarniał zwolna i płynął. Czółenko posuwało się nie pluszcząc, nie drgając, jakby je z pod spodu bogunki na karkach niosły.

Ludzie na wałach pokładli się i patrzą w ciemności. Na wieży straż chodzi i rozgląda się dokoła. Nie widać nic... w górze przebłyskują gwiazdy, u dołu miga jezioro, w głębi lasy stoją czarne i dolina niema. Na niej też leżą mroki, żadnego ogniska, jakby gromady w ziemię gdzieś się zapadły.

Człeczek o jednem oku dobił się do brzegu, łupinkę schował w trzciny, wypełzł na ląd i nie wrócił.

Tak zeszła noc. Brzask na niebie wschodniem, a po ziemi mgły się powlokły, i nic nie widać, ziemia tylko słyszeć się zdaje i poruszać... Mgła opada nad brzegami jeziora i kryje lasy i pola. Patrzą z wałów we mgły i nic nad nią nie widzą.

Za mgłami na wschodzie czerwieni się i złoci, wiatr poszedł po ziemi, miota leżącą na niej zasłoną, drze ją i precz znów rzuca na lasy.

Ludzie patrzą z wałów, mur stoi przed niemi, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, jak piasek u brzegu tłum... Przodem Myszków gromada konna i kmiecia starszyzna.

Chwostek już na drugie stolowanie w wieży wlazł, stoi, liczy i policzyć nie może. Głową potrząsa.

— Niech postoją... pójdą!

Gdziekolwiek oko zwróci spotyka znane twarze; tam stoją bracia tych, których pobił, tu synowie tamtych, co ich potopiono w jeziorze, a owi ci, co na zamku z Myszkami byli... czereda ich cała. Stoją murem i patrzą na gród, jakby go oczyma zjeść chcieli.

— Niech się napatrzą! — zamruczał i zszedł powoli z drabiny. Tu Smerdowie pijani lud rozstawiają a serca dodają.

— Hej! hej! to czerń nie wojaki, licha drużyna od sochy to i od radła... motłoch...

Wyszła Brunhilda, spojrzała dokoła, ręce łamie i oczy zakrywa. Chwost się śmieje, ale blady chodzi jak trup.

Z tamtej strony dziwnie, ani krzyku, ani wołania, stanęli, stoją, posuwają się tylko, coraz bliżej, coraz bliżej. Jedni na plecach czółna niosą, drudzy u brzegu tratwy wiążą. Z tej strony łuki i proce się sposobią.

Słońce weszło, jasny dzień na niebie. Myszkowie wołają zdala:

— Ot tobie dzień ostatni, Chwoście obrzydły! Pokłoń się słońcu, a pożegnaj, bo go nie zobaczysz więcej!

Kneź nie słucha, siadł na ławie i pije. Łuki naciągają. Na prawo, na lewo czółna się gromadzą jakby z ziemi rosły, ludzie się do nich cisną, tratwy spuścili i płyną, czółen zczółnem, gąska z gąską powiązane, szeregiem, aż pod wały.

Na okopach leżący lud wstał nagle, huknął okrzyk ze stron obu aż się ziemia zatrzęsła, stado krucze ze stołbu zerwało się z wrzaskiem i uniosło w obłoki.

Świsnęły strzały, kamienie posypały z obu stron. Na dół toczą się głazy i belki, ludzi ciągnąc z sobą do jeziora a co pluśnie w głębię szereg cały napastników, to na grodzie okrzyk zwycięski.

Padają odepchnięci i cisną się na ich miejsce drudzy, po zabitych drapią się żywi. — Na wały! na wały! Smerdy biegają, popychają, krzyczą... Dwa razy odparto napaść, toczy się trzecia gromada, nacisnęła grodową załogę, dusi ją w podwórze i do wrót... Ludzie się wpół pozwierali i mocują...

Chwostek spojrzał i zbiegł.

Do izby wpadł i żonę wyniósł na plecach. Niewiasty za nią gonią płaczące...

— Na drabinę! do wieży!

— Na stołb! na stołb!

Niosą węzły i opony, kto co pochwycił...

— Na wieżę lud dobrany!

Na drabinie się roi czarno, gnie się pod ciężarem ludzi, a wieżyca chłonie niesyta i chłonie uciekające gromady.

Z wrzaskiem strasznym załoga wbiegła w podwórze, z wałów wyparta. Nacisnęli ją ze wszech stron, obronić się nie mogła, trupami usłane drogi, trupem pokryte wały... ciała pływają po jeziorze ze skrwawionemi twarzami.

Kto żyw wspina się na drabinę, a tu już z góry ciągną ją do wnętrza i drzwi zapierają dylami.

Grodzisko opanowali Myszkowie. Co się nawinęło padło... co oszczepy rzuciło, związano w pęta... Po izbie i komorach rozbiegli się ludzie, zabierać, szukać, wiązać, ale pustkę znaleźli wszędzie.

Kneźna tylko w izbie pozostawiła żółty dzban z miodem zatrutym, ale Myszko pierwszy wpadł do świetlicy, postrzegł go i o podłogę nim cisnął, aż go roztrzaskał w kawały.

Pełen gród zwycięskiego ludu.

Czapki podrzucają do góry i wołają:

— Ładо!... górą Myszkowie!... Chwost niech zczeźnie!

Na wieżę teraz patrzą wszyscy. Ani się przybliżyć do niej. Kto przystąpi, ginie. Kamienie się sypią z góry i gniotą. Odstąpili od stołba ludzie.

Wtem ktoś żagiew do szopy rzucił, drugi ognia naniecił, w malowanym dworze... buchają dymy, świetlice się palą!

Niech kamień na kamieniu, niech belka na belce nie zostanie... w popiół Popełków obrócić. Myszkowie poczęli wołać i otrębywać na swój lud do kupy... Kazano się położyć w podwórzach — niech dwory i szopy, i do ostatniego wszystko płonie węgla.

— Na jeden dzień roboty dość, o wieży pomyśleć czas i jutro.

Suche dwory i budynki chyżo objęły płomienie. Jeszcze ludzie z nich nie pośpieli wyratować co się zostało, gdy ogień obszedł dokoła i obrócił w jedno łoże płomieni i żaru.

Myszków gromada ze starszyzną radzić poszła. Szli z podwórza na odległy wzgórek. Tu się im okropny widok przedstawił.

Niegłęboko zakopane trupy potrutych stryjów i synowców Chwosta psy powywlekały z ziemi napoły i poszarpane, zdechłszy przy nich rzuciły. Leżały straszniejsze niż śmierć, zbezczeszczone i z padłem zwierzęcem razem zmięszane! Wzdrygnęli się idący.

— Ostatni z ich rodu! — zawołał Myszko — zgładził ich, aby po nim nikt nie został... oprócz starca Miłosza i ślepego Leszka...

— I dwu jego synów, którzy na niemcach się hodują!— dodał drugi.

— Niech tym ciałom za grobowy stos służy zgliszcze jego domu! — rzekł Myszko.

Świsnęły strzały. Kamienie posypały się z obu stron.

Zwołano wnet pachołków, aby zebrawszy ciała, zanieśli je gdzie ogień płonął najgorętszy, by w nim zgorzały, a duchy ich ze skargą do ojców pójść mogły.

— Nieszczęśliwi — mówili ludzie pobożni — po zgonie musieliby się włóczyć po ziemi, ażeby nie zgniły ich ciała. Tu stos jakby naumyślnie zapalony, aby na nim zgorzeć mogli.

Patrzał ze stołbu Chwostek, jak czeladź trupy zebrała i obmywszy je wodą, osłoniwszy sukniami, na noszach wzięła na barki, idąc do stosu. Szli przodem ci, nieśli zwłoki Mściwoja i Zaboja, potem ich dzieci, i przyszedłszy na miejsce, gdzie stała świetlica, na kupę wielką zgarnąwszy głownie i żary, poczęli obok siebie składać ciała, rzędem jedne za drugiemi. Najwyżej leżeli dwaj ojcowie, u stóp ich przy sobie dzieci.

Rozżarzone płomię wnet chwyciło pastwę podaną. Stojąc dokoła pobożnie, patrzyli Myszkowie jak gorzały zwłoki i na ognistem krwawem łożu w popiół się obracały. Niebieskie ogniki, unosząc się nad niemi duchy z sobą wyprowadzały.

Z górnych wieży połaci patrzały oczy ciekawe, a płomię od szop, które do stołba przytykały, lizało mury jego i pięło się wysoko, jakby do wnętrza dostać chciało.

Dym wciskał się oknami.

Nad wieczór począł pożar przygasać. Gromady położyły się na horodyszczu pod stołbem i spoczywały — daleko od wieży, gdyż z niej ciągle strzały, kamienie i belki ciskano, które ludzi jak słomę gniotły...

Myszkowie ze starszyzną siedli kołem i radzili.

— Co począć ze stołbem i z niemi? Ogniem ich nie pożyć, bo kamień mu się nie da; siekierami i młotami nie rozwalić grubego muru, ptakiem na wierzch nie zalecieć, myszą się i kretem do niego nie podkopać, bo głęboko w ziemi siedzi... a ma go być tyle drugie pod nią co na niej?

— Głodem ich jednym weźmiemy, ludzi nie tracąc napróżno — rzekł Krwawa-szyja. Położym się obozem dokoła. Strawy na miesiąc mają, leżeć będziemy dwa, mają jej na

dwa, posiedzim dłużej... póki ich nie wymorzym do szczętu... Im więcej ludzi się zamknęło, tem głód ich prędzej wydusi... Gromad rozpuściemy połowę, dość będzie nas, by im nie dać wyleźć z jamy.

Stało się jak rzekli, część kmieci ciągnęła do domu, druga się położyła pod wieżę, na grodzie i nad brzegami jeziora. Myszkowie zabierali się do jadła, gdy gromada ludzi z blizkiego wyjechała lasu, stanęła na wzgórzu rozpatrując się około spalonego grodu i zwolna podjechała ku starszyźnie. Gdy się zbliżyli, poznano Bumira i innych, którzy z Leszkami trzymali i do ich krwi należeli. Nie poszli oni na ogniste wici, tak samo jak Miłosz i jego ród. Bumir przyjechawszy blizko z konia nie zsiadł, skinął głową na Krwawą-szyję.

— Pogorzeliskoście zrobili z kneziowskiego dworu — rzekł powoli — a gdzież Popełek?

Myszko śmiejąc się na wieżę wskazał, Bumir głową trząsł.

— Wszystkich Leszków przeto nie wygubicie — odparł zostanie nas tu do rodu należących po trosze!... Czego od nas chcecie?

— Od was? abyście siedzieli cicho... i panować nam nie chcieli — rzekł Myszko.

— Cóż to? stara wilcza swoboda wam w głowie? a niemców ino nie widać i jednego zrzuciwszy, posadzicie drugiego kneziem.

— A no, nie z waszych! — rzekł Myszko — nie z tego rodu, który nas chciał zaprządz i orać nami... Nie!... znajdziemy kmiecia...

Bumir spojrzał na wieżę.

— Dobywać stołba myślicie? — zapytał.

— Nie... — rzekł sucho Myszko Krwawa-szyja — posiedziemy pod wieżą, aż wyzdychają z głodu.

Bumir stał na koniu głowę zwiesiwszy.

— Aby tylko niemcowie nie przyszli i nie pomścili za nich — rzekł. — Naówczas winny i niewinny odpokutuje...

pójdzie i mój dwór w popiół i nasze pola stratują, a ludzi nam pobiorą w niewolę.

Myszkowie się śmieli.

— Alboż to oszczepów nie mamy? — rzekł młodszy, którego zwano Białym.

— A Sasi żelazo mają na sobie i na strzałach — mówił Bumir — ich dziesięciu na waszych stu stanie.

— Ale też ich stu nie przyjdzie z za Łaby tu — mówił starszy.

— Pewno nie — zawołał Bumir — ich dziesięciu zwołają sobie stu Pomorców, albo i dwieście, a tym do nas iść niedaleko...

— To z tymi my na oszczepyśmy równi — mówił Myszko. — Nie boim się pogróżek!

Zamilkli trochę. Krwawa-szyja podniósł rękę.

— E... Bumir i wy wszyscy Leszkowie — rzekł — chcecie pokoju, siedźcież w pokoju a do naszych spraw nie leźcie. Wojować nie chcecie ze swoim rodem, nie ciągniemy was za szyję... a no, nie wyzywajcie wilka z lasa!... siedźcie spokojnie.

Bumir popatrzył chmurno.

— Ze słowem tu przyszedłem nie z kamieniem — począł — nie biję się z wami. Mówię wam tylko, nas Leszków i Leszkowych potomków siła jeszcze... Dziś wy mocniejsi, jutro my być też możemy... Na jednej ziemi siedziemy, wartoby mir uczynić, a nie zabijać się na pociechę wrogom!...

— Mir wam dajemy! — rzekł Krwawa-szyja — czego więcej chcecie?

— Puśćcież z wieży i tego, co go tu głodem morzyć chcecie — począł Bumir — ciągle z konia mówiąc i ku wieży oczy podnosząc.

Myszko się śmiać począł.

— A dobrze — rzekł — byle nam oddał tych, co potruł i pozabijał...

To mówiąc, szyję odsłonił i pokazał bliznę.

— I moją krew mi wrócić trzeba!

— A nie dosyć wam tej pomsty, żeście mu zżegli dwór, zniszczyli dostatek, skarby zabrali, ludzi potłukli?...

— Albo to jego krew? — zapytał Myszko Biały, który był do słowa prędki — to jego mienie nie posoka... Nam krwi za krew trzeba...

Bumir zadumał się.

— A jutro powiecie to nam! i wszystkim Leszkom po całej Polanie naszej...

— Nie wypowiadamyć wam wojny — mówili drudzy — Miłosz siedzi z synem spokojny, wam się nie stało nic... Panować nie damy... a żyć nie bronim...

Znowu pomilczeli chwilę, gdy zaszumiało coś i zastukało od wieży. Chwostek zasuwę od okna w murze odjął i wołał.

— Bumir co ty ze zbójcami rozhowor czynić będziesz? Ze wściekłym zwierzem nie gadać, a bić go w łeb! Weźcie ludzi i przychodźcie nas bronić... Nasza sprawa — wasza...

Myszko podniósł oczy ku miejscu skąd głos wychodził. Łuk leżał koło niego, chwycił nań, zmierzył i strzała świsnęła, ale uwięzła w drewnianej zasuwie... i ryhotanie z wieży słyszeć się dało, a tuż w okna zaszumiała strzała druga, ogromna, pierzasta i utkwiła w sukni Myszka, który ją wyrwał i odrzucił z pogardą.

— Ród jaszczurczy! — wołał Chwost z góry.

— Psy wściekłe! — łajał Myszko.

— Żmije jadowite!...

— Gad przemierzły!...

— Ścierw i padło!

Takimi wyrazy homerycznemi nawzajem obrzucali się z obu stron.

— Bumir! — zawołał Chwostek głosem schrypłym — jedź do domu, zwołaj swoich... ginąć nam nie dajcie bo i was ta czerń plugawa wygubi!

Zawrócił się z koniem przybyły. Myszko nań patrzał nie spuszczając z oczów.

— Słuchajcie rady Chwostka, albo mojej — rzekł —

czyja lepsza, do woli. My wam jedno powiemy pod klątwą, pod świętą.

To mówiąc, ziemi garść pochwycił w dłoń i podniósł je do góry.

— Pod klątwą, mówię ci Bumirze... jeśli ruszycie się w obronie Chwostka... jeżeli z was jeden wstanie, nie zostawiemy duszy żywej... Pamiętajcie!

Bumir i ci, co mu milczący towarzyszyli, spojrzeli ku stołbowi, skąd niewyraźne głosy i wołanie słychać było, zwolna zwrócili konie i stępą odjechali; a Myszkowie spokojnie patrzyli za nimi.

Ktoby na wieżę naówczas wszedł do ciasnego jej wnętrza, przestraszyćby się musiał tem, co się już tego dnia działo.

Na dole ściśnięty był lud, czeladź, pachołki, niewolnicy, których na obronę wzięto. Miejsca dla nich było szczupło, zaducha panowała wielka, a strach ogarniał czeladź, która mruczała narzekając, że lepiej nie poszła w niewolę, niżby tu marnie ginąć tak miała. Nad niesforną tą kupą stali Smerdowie z kijmi i nakazywali ciszę, ale lud mruczał groźno. Ze studni ciągniono wodę, innego napoju nie było. Na drugiej połaci wybrani strzelcy stali i gotowali się do obrony; tu chodził kneź i Brunhilda. W kącie posłanie ze skór służyło im dla spoczynku. Trzecia też połać dla niewiast i do obrony była zajęta, a u góry straże chodziły. Jęki i płacz słychać było w wieży. Z ran przy oblężeniu zadanych dwóch pachołków zaraz umarło, a ze strachu i choroby — kobieta. Leżały już trzy trupy, z któremi nie wiedziano co zrobić... Musiano je otworem górnym rzucić precz z wieży, a ciała te padające na ziemię, potrzaskane i znieważone, były jakby zapowiedzią tego, co się na stołbie dziać miało. Czekał los ten i innych.

Chwost klnąc od okna do okna chodził i patrzył, Brunhilda długo leżała jak martwa nie mówiąc słowa. Nie mówili do siebie, a widać było, że jedno drugiemu w duszy wyrzucało to nieszczęście... Popełek składał je na żonę, ona na niego.

Oboje trwali jeszcze w myśli obrony, w nadziei, że sy-

nowie odsiecz przyprowadzą. Brunhilda po długiej odrętwiałości, gdy mąż klął, a nic nie przedsiębrał, zawołała Muchy i poszła oglądać zasieki. Zboża było dosyć, ale oprócz dwóch startych kamieni od starych żarn, nic, czemby mąkę przysposobić można. Był piec, ale o pieczeniu chleba pomyśleć nawet było trudno, bo nie na długo drzewa by stało. Starte ziarno na kaszę mogło z wodą służyć za posiłek głodnym. Żyć tak miesiące!!

W popłochu, gdy uciekano na wieżę, mało co kto porwał z sobą, chleba i placków kawałki suche, ledwie się gdzie znalazły. Studnia, z której czerpać musiano, stara była i zapuszczona, pierwsze wiadra precz wylano. Spragnieni pili potem, ale obrzydliwą znajdowali juchę.

Cała ta czerń zbrojna u dołu, gdy na nią Brunhilda przez szpary patrzała, wydała jej się groźną i straszną. Spytała Muchy czy ją utrzymać potrafią — ten milcząc, popatrzał w dół i nie odpowiedział. Ci, co wczoraj na twarz padali przed panem, teraz, gdy on był w niebezpieczeństwie, otrząsali niewolę z karków i mruczeli. Widać ich było leżących na ziemi zoobojętniałych, ledwie na wołanie podnoszących głowy. Niektórzy po kątach oglądając się, szeptali coś potajemnie.

Wszyscy domagali się głośno jadła i napoju, a kij Smerdów z trudnością mógł im nakazać milczenie.

Brunhilda wzięła Muchę, powiernika na stronę, i pokazała mu w dół na ludzi.

— Gęb za dużo, rąk za mało! — szepnęła — co czynić?

Szeptali długo. Chwostek to chodził, to padał w kąt na skórę, to do okna szedł i patrzał na Myszków, jak spokojnie piwo przywiezione z kadzi czerpali i nim siebie i ludzi raczyli. Naówczas zębami zazgrzytawszy odbiegał od okna i wracał na posłanie. Spotykali się z żoną milczący, nie mówiąc słowa do siebie i mijali.

Brunhilda naradzała się z Muchą, kneź, gdy mu milczenie dojadło, brał zaufanego sługę na stronę i radził się z nim.

Mrok padał, gdy Mucha zszedł na dół i począł ludzi na

górną połać, na nocną straż wybierać, dzielił ich tak jakoś po swej woli i stawił osobno jednych zostawiając na dole, drugich śląc na górę. Ci co pozostawali na zgniłej słomie nie gniewali się za to, leżeli przynajmniej.

Wybranym kazano leźć po drabinie, i gdyby się kto do słołba przybliżał, puszczać strzały, wyrzucać kamienie. Zaledwie ci odeszli, gdy na dole wieczorną strawę dwie niewiasty Brunhildy na miskach przyniosły. Była to kasza jakaś ledwie ciepłą zaczyniona wodą, ale i na tę rzucili się skwapliwie głodni, i w chwilę nic z niej nie pozostało, przez szparę kneźna patrzała jak jedli, niespokojna, jak po jedzeniu legli i natychmiast się pospali. Zasnęli wszyscy prawie tak, jak kto siedział i leżał, nie poruszywszy się nawet. Zasnęli dziwnie jakoś, snem ciężkim, który ich rzucał, z którego jakby się porywać nadaremnie usiłowali. W godzinę a drugą i te ze snem zapasy ustały, milczenie głuche panowało na dole.

Mucha spuścił się ku nim z łuczywem w ręku, obszedł wszystkich po jednemu, dotknął twarzy każdego, przybliżył się słuchając oddechu, policzył ich i wrócił na górę.

Ludzie to byli niepotrzebni, których się pozbyła Brunhilda. Z góry ściągnięto kilku na dół i trupy oknami wyrzucać kazano. Oprawcy nawykli znać do podobnego zajęcia, ani się dziwili, ani opierali, poobdzierali towarzyszów, popatrzali na blade i sine twarze i zabrali się do roboty.

Myszkowie ze swymi ludźmi siedzieli u ogniska, zdala na stołb poglądając, gdy pierwsze ciała padać zaczęły. Ciekawych kilku podsunęło się pod wieżę, wnet im na głowy sypnięto kamieniem, a jednego padający trup przygniótł do ziemi. Na wszystkie tak strony jak owocem dojrzałym posypało się tymi ludźmi. Oblegający patrzeli zrazu zdumieni.

— Zbywają się gąb niepotrzebnych — rzekli — bronić się więc i czekać myślą.

Cała noc potem w milczeniu przeszła, ale na wieży migały światła w otworach i na obozowisku paliły się ognie. Spali jedni, drudzy na straży chodzili. Niekiedy z górnej połaci, na upatrzonego świsnęła strzała, zawarczał kamień ci-

śnięty z procy, i kaleczył, rył się w ziemię, lub rozpryskiwał węgle rozżarzone w ogniskach.

Krucy tym godom pokrakiwali górą. uspokoić się nie mogąc, ni do gniazd trafić zajętych. Nadedniem wszystko się usypiać zdało, ale Myszkowie pilne, choć skryte straże porozstawiali dokoła i ze stołba wymknąć się nikt nie mógł.

Wstał znowu dzień biały nad zgliszczami. Na lasy posłano po zwierza, na dwory po chleb i strawę dla gromad. Ludu odprawiono wiele, nie było go już tyle potrzeba, a odsiecz prędko nadążyć nie mogła.

Reszta pozostała legła szeroko, tak aby ani strzała, ani kamień nie dosięgnął, choć ciągle ich próbowano. Śpiewano pieśni, weselono się przy ogniach.

Na wieży nie było znaku życia żadnego, tylko u góry chodzili ludzie i patrzyli w dal. Tych zręczniejsi spędzali strzałami, chowali się za przymurek i nikli. Kilka razy Chwostka tam poznano i powitano urągowiskami i krzykiem.

Ile razy strzała leciała, kamień spadał, śmiechy się rozlegały. Czasem słowami sobie rzucano obelżywemi, to znowu milczano długo.

Trzeciego dnia, około południa głos z okna począł wołać pod wieżą. Pomyślano, że się zdadzą. Myszko Krwawaszyja chciał już iść i wstał, wtem go wyprzedził brat najmłodszy, którego zwano Żórawiem dla nóg długich. Pobiegł i zadarł głowę do góry, patrząc ku oknu. Z wieży rozległ się śmiech i razem z otworu ogromny głaz padł mu na czaszkę, mózg i krew prysnęła, chłopak się zachwiał, padł i skonał.

Krzyknęli ręce załamując Myszkowie.

— Krew za krew!! żaden stąd nie ujdzie żyw!

Wołanie i boleść i gniew był straszny, Chwostek śmiał się coraz głośniej. Skoczyli śmielsi, aby ciało biednego uratować, ciśnięto na nich belkę, która tylko trupa trafiła i przygniotła. Jęczeli Myszkowie bracia nad straconym. Posypali się ludzie i zgniecione wyniesiono ciało, aby je spalić zaraz na stosie.

Na zgliszczu, gdzie wczoraj zgorzały ciała Leszków, zło-

żono teraz biednego chłopaka, naniesiono drzewa i poczęto śpiewać pieśni, a z góry je przerywano.

Wśród tego palenia, a mroku do obozu, przywlókł się mały człeczek, z głową postrzyżoną i okiem wybitem. Ukradkiem spoglądał na wieżę, a chodził po za ogniskami i rzucane kości zbierając, ogryzał, bo znać był głodny. Przysiadł sobie razem z psami na pagórku śmiecia — nikt mu nie bronił. Nikł go nie znał. Włóczyło się tak naówczas ubogich, obłąkanych ślepych dziadów i bab wiele, a było obyczajem ich przyjmować i karmić.

Obłąkanym czasem przyznawano dar jakiegoś jasnowidzenia, niektórzy zabawiali śpiewem, skokami, lub wróżyć próbowali. Odarty Znosek właśnie na takie stworzenie bezbronne i dobroduszne wyglądał. Kilku mu rzuciło po chleba kawałku, i po niedogryzionej kości, z której on z rozkoszą resztki szpiku wysysał.

Nie uważano, że się wciąż patrzał na stołb i obchodził go dokoła, coś niby po ziemi zbierając. Ciemno się już zrobiło, gdy na darń przyległszy niedaleko wieży zniknął. Znużeni ludzie u ogniska drzemali, stróże patrzali na jezioro, gdy z jednego otworu na wieży ostrożnie gruby powróz spadać zaczął ku ziemi. Sunął się tak, iż go nie dostrzeżono. Po piasku pełznął do niego Znosek, i w koło pasa go sobie umocował.

Cicho było i ciemno, niekiedy wiatr przeleciał po dolinie, nad moczarami, w trzcinach zaszumiał i gdzieś dalej biegł, niosąc woń spalenizny od zgliszcza. Stróż stojący nad brzegiem, postrzegł coś migającego się na ścianie, coś po gładkim murze pełznąć się zdawało, jak pająk olbrzymi. Nie mogło to być nic innego jak duch.

Cień ten podnosił się do góry ciągle, naostatek zbliżył się do otworu, cicho odsunęła się okiennica i miał zniknąć już za nią, gdy śmiały bartnik puścił strzałę, krzyk się dał słyszeć, znikło wszystko.

Znosek wciągnięty leżał na drugiej połaci w wieży i stękał, strzałę miał w szyi. Wyjęła mu ją niewiasta, która nad-

biegła, ale krew się lała. Dano huby i chust, aby ją zatamować. Chwostek podszedł burcząc i potrącił go nogą.

— Słyszysz ty — byłeś u knezia Miłosza?

Znosek milczał i syczał.

— Byłem — rzekł w końcu niewyraźnie, bo mówić trudno mu było. Strzała uwięzła głęboko i poszarpała gardło... z każdem słowem krew płynęła. Patrzał na Brunhildę jak zdychający pies na pana swego, do nóg jej przypełznął, chwycił jej stopy, pocałował i skonał.

Parę razy Chwostek go jeszcze nogą potrącił, lecz życia już w nim nie było. Przekleństwem więc rzucił na trupa i odszedł. Biała pani płachtą go narzucić kazała.

Nazajutrz miano go w stronę jeziora, niepotrzebnym trupem, wyrzucić.

Czwartego dnia Smerda z górnego okna wysunął głowę i kląć a łajać począł, pokazywać pięści, bezcześcić. Odpowiadali mu z obozu śmiechami.

— Psi synu! — krzyczeli nań kmiecie — głód ci tak pysk otworzył, trzeba się nad tobą ulitować chyba i jeść ci co dać, abyś się nie wściekł.

Chłopaki więc na długiej żerdzi związanej, kawał mięsa końskiego ukroiwszy ze zdechłej świerzopy podali Smerdzie, śmiejąc się a szydząc. Mimo, że wiedział co mu podstawiono, pochwycił oburącz i znikł.

— Już im głód doskwiera! — rzekł Myszko Krwawa-szyja — a no zobaczym.

Nocą, gdy się młodzież ciekawa podkradła pod mury i ucho przykładała do ścian, zdało się, że tam coś mruczało i szemrało, jakby pszczoły w ulu zamknięte, a potem jęki i niby milczenie.

Szóstego dnia posłyszano nagle krzyki, wrzawę i płacze, coś jakby zacięty bój we wnętrzu, bo ściany jęczały tłuczone. Zawrzał kilka razy głos straszny, jakby z nim życie uciekało, przeszył powietrze i zmilkł jak urwana gęśli struna.

Burzyło się i kołatało potem znowu w wieżycy, leciało coś gruchocząc, padało i trzaskało się. Potem cisza była długa.

Niekiedy twarze blade ukazywały się w oknach i nikły, zdały się chcieć napić powietrza usty otwartemi, bo wargi miały rozemknięte i języki wiszące — ale o litość i zmiłowanie nie prosił nikt.

Dziesiątego dnia milczała wieża, krucy się do okien cisnęli, obsiadali je, jakby dopominając wnijścia i krakali straszliwie. Odpędzano je strzałami, odlatywały na chwilę i powracały z drugiej strony. Myszkowie wołać kazali na rozmowę, nie odezwał się nikt. Stali jeszcze dni cztery. Na wierzchołku nie było strażnika, we wnętrzu cisza grobowa śmierci. Niektórym to doczekiwanie dojadło, końca się dopominano. Sprzykrzyło się patrzeć na mur i do ptastwa puszczać strzały, a słuchać — milczenia.

Myszko Krwawa szyja kazał wiązać drabiny. Czeladź jego w zgliszczach stare wrota znalazłszy, trzy drabiny razem do górnego wnijścia przystawiła i nad głowami je dla ochrony trzymając, aby kamienie spadające moc straciły, leźć poczęli ku górze.

Drabiny mocowano, nikt się nie pokazywał, dostali się do zapartego wchodu, nikt im wejścia nie bronił. Poczęli go rąbać, bić i łamać, nie odpowiedziano ze środka.

Ze wszech stron coraz więcej drabin przystawiać zaczęto, a tuż pod młoty i obuchami, padły wrota w głąb i z głuchym grzmotem stoczyły się aż na dno.

W wieżycy ciemno było jak w grobie, cicho jak na żalniku nocą, nie widać nikogo, zgniliznę czuć było i trupy.

Na spodzie, na dnie leżały stosy ciał pogniecionych, połamanych, zsiniałych, gnijących, rusztowanie i belki z któremi runęli, przybiły jednych, drudzy się padając pozabijali.

Na drugiej połaci leżały dwa ciała Chwostka i żony, z głodu czy od trucizny zmarłych, sinemi plamy okryte.

Żyw tu już nikt nie pozostał. Zbuntowanemu znać ludowi, z górnej połaci pułap ciśnięto na głowy, kamieniami ciężarny, i zgniótł motłoch, na miazgę gruchocząc. Dwoje ich tylko, Mucha i Smerda leżący po kątach, zostali na długie konanie.

Gdy się wdarto do wieży, całe obozowisko ozwało się wielkim okrzykiem. Kmiecie i lud tęsknił do domów, powitano zwycięstwo radością i wrzawą. Myszkowie czapki podnieśli do góry, zaczęto grzebać w gruzach, szukając ukrytych skarbów Chwostka, a rozbiegające się wnet gromady poniosły po mirach wieść, że na grodzie, krucy już tylko panowali.

XXII.

Na spustoszonym grodzie Chwostkowym zwołano wielki wiec kmieci, o następnego miesiąca pełni.

Trzema jednak dniami wprzódy, gdy księżycowej twarzy wiele jeszcze brakowało by pełną była, starszyzna już się po dworach i zagrodach zbierać, radzić i wadzić zaczęła. Wszystko zapowiadało, że na tem zgliszczu, co tyle okropności widziało, i wiec spokojnie nie przejdzie.

Ścibor do swoich jadąc, stanął po drodze u Piastunowego dworka, chcąc go też z sobą na radę powołać.

Jam się tam wam do niej nie przydał — odpowiedział mu syn Koszyczków — a wolę moje barcie podpatrzyć... Możniejsi niechaj stanowią, jam ubogi człek i przodować nie chcę, bo się na siłach nie czuję... Nie nawykłem do tego, a rozkazywać nie umiem, ino pszczołom moim, które słuchają mnie... i czeladzi, która sprzeczną nie jest. Życzę wam tylko, abyście poczynali w dobry czas, a pospieszali z wyborem wodza... Niemców tylko co nie widać, gdy zwietrzą, że wodza nam braknie... Stójmyż z sobą po bratersku za jedno... Ja, co mi nakażecie, zrobię, a co robić trzeba, to wy lepiej wiecie...

Ścibor mu się uśmiechnął, potrząsając głową.

— Waszegoby to nam bartniczego rozumu trzeba, miły ojcze — rzekł — bo się u nas nie na pogodę, ale na straszny wicher zanosi. Leszków krwi, pomniejszego drobiazgu, zostało dużo, a naszych też kmieci, Witeziów wiele takich, którzyby radzi na gród się dostać chcieli i kneziować... Nie pójdzie nam łatwo...

Westchnęli oba; ale stary gospodarz przy swojem stał, aby raczej do pszczół iść niż do ludzi. Żegnali się więc u wrót, a Piastun na plecy kobiałkę wziąwszy, do lasu coprędzej uszedł, i drudzy jadący na wiec mimo zagrody, co później o niego u czeladzi i niewiast pytali, dowiedzieli się tylko, iż go dawno doma już nie było.

Ciągnęli kmiecie ze wszech stron nad Gopło, jechali i Leszki ponuro patrząc, ze strachem w sercach, ale nie chcąc ustąpić. Myśleli może, iż gdy się na innych nie zgodzą ludzie, do nich powrócą. Spotykano się po drodze milcząc i nieufnie oczyma mierzono.

Miejsce na wiec pono takie wybrane było, ażeby nagłość sprawy przypominało.

Świeże gruzy, żużle ledwie ostygłe, sterczące z nich belki czarne, krwią jeszcze nie wsiąkłą ociekła ziemia, opustoszała wieża, z której trupy powrzucano do jeziora, pozakopywano i popalono, aby powietrza nie psuły; wszystko to napominało, ażeby wodza nowego niebawem obierać, bo pomsta za Pepełka nadciągała.

Roiło się już przybywającymi kmieciami, żupany, władykami dokoła, a coraz to nowi jeszcze przybywali. Jedni stali z końmi czekając, rychło się co pocznie, drudzy popuszczawszy je na paszę, pokładli się na ziemię, inni chodzili od kupy do kupy rozwiadując się i dostając języka.

Wszystkim było jawnem, że te Myszki, które Chwostka zjadły, będą górą, ale nie wszyscy za nimi i z nimi trzymali.

— Choć to czysta kmiecia krew nasza — mówili — a no za łebby nas wzięli pewnie jak tamten, któregośmy pozbyli.

W gromadzie znajdował się i uzdrowiony już Doman

i Ludek, Wiszów syn, i innych wielu, nawet z kończyn ziemi i z puszcz a lasów, upatrywano tylko Piastuna próżno.

— Tenby się nam tu zdał — mówiło wielu — człek prosty, a rozum ma zdrowy, bystrzej widzi choć mówi niewiele, i nie trzyma z nikim, tylko dla gromady dobra pragnie...

Pytano o niego. Ścibor rzekł:

— Do pszczół poszedł...

Już się miało ku południowi, a ludzie się ściągali powoli; niektórym pilno było już poczynać bardzo, zaczęli kołem siadać wszyscy i najstarszych wołano, aby zagajali.

Najsędziwszy wiekiem był Żuła, z rodu Jaksów, kmieć bogaty, daleko w lasach mieszkający, który spokój lubił, a do obrad i wieców nie był nawykły. Za srogiego i okrutnika go miano, lecz sprawiedliwym był, gdy sądzić przyszło. Musnął się starzec po wąsach i brodzie, a rzekł krótko brwi namarszczywszy.

— Wybierajmy, a rychło... w domu każdy ma co czynić. Chciało się wam pana odmienić, próbujcie szczęścia... Nie mam ja co rzec, krom tego, że tu już widzę kneziów siła, choć i jednego nie mamy... o posłuszną gromadę trudniej będzie... Czemubym i ja kneziem nie miał być?...

Myszkowie, jak inne rody, siedzieli kupą przy sobie, całe też zgromadzenie mirami i rodzinami się rozłożyło. Myszków było przecie pono najwięcej i najgłośniej szumieli. Na nich się też oczów najwięcej zwracało.

Każdy ród chciałby był ze swoich knezia dać. Najmożniejsi, równymi się Myszkom czując, cisnęli się też naprzód.

Ze krwi Leszków zeszło się także dosyć i stali z kmieciami na równi w prawie, nie chcąc im ustąpić. Na tych koso patrzano. Przybył też milczący stary Miłosz z oślepionym Leszkiem, którego przy sobie trzymał, na nim się opierając, jakby okazać chciał, że drogo za swą krew zapłacił. Z nim trzymali Bumiry i wielu innych.

Gromadami też siedziały rody Jaksów, Kaniów, Porajów, Starżów, Wizimirów i innych mnogo. Patrzyli ku sobie wszyscy, oczyma mówić się zdając:

— Tacyśmy dobrzy jako i wy.

Szeptano między sobą naradzając się.

— Myszka wybrać — rzekł jeden z ich drużyny — Myszka z Krwawą szyją. Przecie już dowód dał, że wodzić umie... a nam witezia trzeba i wodza...

— Hej! hej! — przerwał drugi — czemu nie jednego z Kaniów, ci też oszczepem dobrze władną, a nam też i możnego trzeba, abyśmy nań składać się i zsypywać nie potrzebowali...

— To i Wiszów ród zamożny — mówił trzeci — a Wisz stary pierwszy życiem za wiec zwołany opłacił.

Wszczynała się już wrzawa, zgody nie było; zaczęli wołać za sobą Leszkowie, podstawując ze swoich jednego.

— Leszków mieliśmy już dosyć! — krzyczeć zaczęto — nie chcemy ich! mścić się będą! precz z nimi!...

Od słowa do słowa rody się z sobą w kole ujadać zaczęły, wystąpiły nienawiści odwieczne, zemsty pozapominane, urazy stare. Powstało zamięszanie, a niektórzy już i pięści nastawiali.

Aż gdy do tego przyszło, Ścibor wołać zaczął o upamiętanie, że to wiec jest i że tu nie pięść, ale poczciwe słowo stanowi.

Ochłonęli zwaśnieni, oczyma się już tylko wyzywając i mrucząc.

Ludek, Wiszów syn, choć młody, wystąpił śmiało, po sobie mając pamięć ojca.

— Wieści już chodzą — rzekł — że o losie Chwościska stary ojciec Niemkini i synowie kneziowi wiadomość mają. Ludzie prawią, że w sam dzień ognistych wici synowie jego byli na grodzie, skąd ich wczas matka przez jezioro uprowadziła, aby z odsieczą naspieszali. Do Kaszubów i Pomorców posyłać mieli o posiłki... wtargną z nimi prędko, bo ich długo prosić nie trzeba. Ziemię nam spustoszą, zagrody popalą, nim my się na wodza zbierzemy... A nas, by kupa była największa, bez głowy nie poradzimy.

Wtem wystąpił Dobek. Był on żupanem możnym, znali

go wszyscy jako dzielnego, przebiegłego i wielkiego serca człowieka. Lat już na świecie przeżył ze czterdzieści, choć tego po nim znać nie było. Siłę miał taką, że niedźwiedzie dusił za szyję wziąwszy, a zamiast dzidy, często drzewko wyrwawszy z korzeniem, żgał niem jak drugi lekkim oszczepem. Konia dosiadłszy, gdy mu był nieposłuszny, nogami na śmierć ściskał. Dla ludzi też na razie ostrym bywał, ale do bitwy, napaści i utrzymania ludu w ładzie nie było nad niego... gdyby gorącością nie psuł, co dzielnością dokazał. Znano go i z nienawiści ku Niemcom, bo nad granicą połapawszy niewolnika, zwykł był ich do sochy zaprzęgać i orać nimi. W dybach też u niego różnego stworzenia obcego co niemiara chodziło, które on ze psy razem karmił.

Czasu pokoju wesół był, ochoczy, do słowa łatwy, gdy miłował serdeczny, nieulękniony niczem, a w potrzebie tem chytrzejszy, że się porywczym wydawał.

Ten Dobek tedy wlazłszy na kupę kamieni, mówić począł:

— Knezia nam trzeba jednego, a swata się ich czterdziestu... za każdego swoja krew bić się gotowa... ustąpić nie chce nikt... Nie nowina to... Wszakci to powiadają u nas dawno, że gdy starszyznę wybierać przychodziło, Leszki aż do słupa biegały, inaczej zgody nie mogąc dopytać... A no nam nie tyle końskich nóg, co ludzkiej głowy potrzeba... Więc... a no... po staremu... rzućmy na losy... prędzej będzie... nie umieją ludzie, niech wybierają bogowie.

Wszyscy zamilkli, nie w smak to poszło.

— Jak zgody nie będzie — zawołał Myszko Krwawaszyja — dosyć mamy czasu na losy rzucać... Nie warto od tego poczynać, kiedy wolę swą mamy.

Wstał Doman.

— Czemu nie na losy? — zapytał. — Czasuby się nie marnowało. Pokładnijmy włócznie, każdy swoją, konia białego przyprowadźmy, którą włócznię nogą pierwszą potrąci, czyja będzie, tego bogi chcą.

— Lub na Lednicę poślijmy, na ostrów święty, sprowadźmy dziewkę od ognia, połóżmy przed nią czapki rzędem,

każdy swą... Czyją wybierze, ten nam kneziem będzie... — odezwał się Zgorzelec.

Tu się dopiero swar i gwar wziął okrutny; losów nie chcieli za nic ci, co się pewnego wyboru dla siebie spodziewali. Zgody nie było... a tu i noc już nadchodziła.

Poczęto się ruszać z koła. Jedni po dworach pojechali nazad z niczem, drudzy się na grodzisku porozkładali, inni po okolicy poszli obozować w gajach.

Leszka chcieli jedni, Myszka drudzy, Wisza inni, Dobka wreszcie i z dziesięciu jeszcze stawiono. Byli tacy, co już Dobka znając, okrzykiwać go chcieli, ale sam im usta zamknął.

— Nie chcę! — zawołał. — Wolę słuchać niż rozkazywać... i swobodnym być, niż mieć tysiąc panów. Uciekłbym raczej na kraj świata, niżbym się niewoli tej miał poddać.

Myszkowie, którzy się napewno spodziewali, że ich jednym okrzykną głosem, odjechali gniewni i zasmuceni. Ale coraz więcej było takich, którzy mówili:

— Nie gorsiśmy od nich... mienia mamy tyleż albo i więcej, ziemi dużo, rodu mnogo... jeżeli im kniażyć, toć i my potrafimy.

I tak porozpraszali się wszyscy nieradzi z siebie, nieradzi z drugich, gniewni, nachmurzeni, niecierpliwi.

Wieczorem, gdy Piastun od swoich barci do zagrody powrócił, właśnie Dobek zajeżdżał przed jego wrota i zsiadł przed nimi.

— Ojcze Piastunie — rzekł — woleliście wy do pszczół iść niż do ludzi, a gdybyście się byli do nas pokwapili, możebyście nam z sobą zgodę przynieśli. Pszczoły sobie bez was radę dały...

— A cóż się tam u was stało? — zapytał stary.

— Nic... słychać tylko, że Chwostka synowie Kaszubów już na nas i Pomorzan prowadzą... my tymczasem nie im a sobie pięści pokazujemy. Wiec się zrywa. A że my sami wybierać nie umiemy, jedni nam do wyboru konia radzą, drudzy dziewkę, trzeci losy rzucane... i drewienka... wreszcie choć do słupa biegać, jak za dziadów bywało.

— Widzisz Dobek — rzekł Piastun spokojnie — żem dobrze do pszczół szedł, bo tam w lesie ja wiem com zrobił, a na grodzie ja ubogi człek z małym głosem, nicbym nie dokazał... Jużeście się to rozjechali?...

— Jedni precz poszli gniewni, drudzy leżą i mruczą... inni, jako ja, gospody szukają... Przecie wybierać trzeba, bo nam niewybrany na kark siędzie.

Nazajutrz z rana i Doman podjechał do wrót z pokłonem, bo starego wszyscy szanowali.

— Cóżeście to wy tak pobledli? — zapytał gospodarz, który go i nie widział dawno i nie słyszał o nim nawet.

— Nóż miałem w boku, krwi mi siła upłynęło! — rzekł Doman.

— Któż was pchnął?

— Wstyd rzec... dziewka... Porwałem Wisza córkę, bo mi się srodze podobała... Na koniu będąc w moich rękach, nóż mi mój własny wychwyciła i zadała ranę głęboką.

— Drogoście kupili dziewczynę...

— Anim jej dostał — odparł śmiejąc się Doman — wymknęła mi się i uciekła do chramu na Lednicę, a jam się długo lizać musiał...

Piastun rzekł:

— Znajdziecie drugą.

— Jużem ci znalazł — dodał Doman — a co mi po tem, kiedy zawsze pierwszej żal.

Wtem się głos dał słyszeć z boku piskliwy:

— I gdyby nie ta stara wiedźma Jaruha, jużby was na świecie nie było... ha! ha!...

Obejrzeli się i ujrzeli staruchę, która do nóg się im kłaniając, głową i rękami uśmiechała się.

— A ty na wiec czy z wieca? — rzekł szydersko Dobek — możebyś się nań przydała?

— Dopiero na wiec — ciągnęła dalej stara niezmięszana — czemu nie? Słyszałam ja, że tam ładu niema... Kto wie? przyszedłszy może ze mną... bo ja różne rzeczy

w worku noszę... i wiele wiem... Powiedziałabym gromadzie baśń.

— Jaką? — zapytali ciekawi.

— E! to stara babska klechda... — szepnęła Jaruha. — Raz mówią trafiło się tak, że w mrowisku nie stało króla... Mrówczy pan z dębu spadłszy zabił się, a potomstwa po sobie nie zostawił... Tymczasem łakome ptastwo naciągało, aby złupić mrowisko... Zebrała się starszyzna i radzi... Jedni chcą komara wybierać, drudzy muchę, inni pająka, byle nie mrówkę... bo one wszystkie czarne, a wszystkie sobie równe... Tak dobra jedna jak i druga. Wybierali, wybierali i wybrać nie mogli, a ptastwo jaja dziobało tymczasem i wyjadało do szczętu... wszystkich równo... Aby ono to i tu tak nie było, miłościwi panowie. Ale starej babie co do tego?...

Rozśmiali się słuchający, a Jaruha pokłoniwszy się, poszła do Rzepicy piwa się napić.

Więc przybyli mocno nalegali na Piastuna, aby z nimi nazajutrz na wiec jechał.

— A po co mnożyć głowy, kiedy i tak niema zgody?... — odparł stary. — Radźcie bezemnie, jam się nie zdał...

Nazajutrz dzień toż samo było. Zjechali się starsi radzić, a poczęli wadzić i zeszło na sporach co było dnia. Widać było około stołba wijące się ludzi gromady, to przypadające do siebie, to odskakujące i rozchodzące się daleko, to nadbiegające na siebie znowu. Ręce się podnosiły do góry... i głosy, rzucano czapki, potem wszyscy szli precz i za chwilę się do kupy cisnęli.

Zgody nie było... Leszkowie z jednej, Myszki z drugiej strony przewodzili.

Wieczorem późnym Myszko Krwawa-szyja podjechał pod chatę Piastuna, jak noc chmurny.

— Pozdrawiam was, ojcze.

— Z wiecu wracacie?

— Tak ci jest z wiecu jadę... — westchnął Myszko.

— Cóż niesiecie?

— Wiadro próżne — rzekł z goryczą Krwawa-szyja —

niema wody, niema zgody. Mało się już za włosy nie pobierzemy. Każdyby kneziem chciał być, a słuchaćby się nikomu nie chciało.

— A wy? — zapytał stary.

— No... ja też... a ja prawo po sobie mam — rzekł Myszko — któż Chwosta przemierzłego zdusił, jeśli nie ja i moi? Kto szyi i zdrowia nastawiał? Juścim tak dobry jak i Leszki, jak Jaksy albo Kanie.

— Pewnie — rzekł po cichu Piastun — ale cóż będzie? Mówią, że Leszek i Pepełek ciągną?

— Niema co już mówić o wyborze — dodał głosem stłumionym — kto ludzi zbierze więcej, sam się kneziem ogłosi... i będzie na grodzie panował.

— A pocóż tamtego zrzucać było? — odezwał się stary — wszak i on takiem prawem siedział.

— Cóż, jeśli do zgody nie przyjdzie — przerwał Myszko — czy lepiej, aby nas jedli Niemcy, czy aby swój za łeb wziął?

Gospodarz umilkł trochę, w ziemię patrzył.

— Czyńcie jako wiecie, ale wiec szanujcie — rzekł po chwili. — Co się stało Pepełkowi i Leszkom, może i drugich spotkać...

— Ja nad sobą innym nie dam przewodzić! — krzyknął, rękę do góry podnosząc Myszko.

I z tem jakby zagniewany odjechał.

Nazajutrz dzień na grodzisku nie było nikogo. Stado wróbli po nim latało, zbierając pruszyny po koniach i po ludziach, świergocąc jak wczoraj ludzie, kłócąc się i czubiąc o ziarna jak wczora tamci o panowanie nad sobą.

Piastun siedział na przedsieniu, dziwiąc się w duszy swej, że ludzie tak bardzo pragnąć mogli tego, co było strasznem brzemieniem... i cieszył się też, iż ubogim był, a potrzebował do sporów należeć i stać mógł na uboczu.

Wiec, powiadano, rozszedł się z niczem, lub gorzej jeszcze, bo ci, co nań przybyli druhami, powracali wrogami, w sercu z żalem i z nienawiścią. Myszkowie zwłaszcza, nieprzyjaciół napytali i współzawodników, a Leszki pocichu cie-

szyli się z wszystkiego, bo niejeden już głowę ku nim obracał, mówiąc: – Lepiej niech stary ród nam panuje, byle zakonu strzegł.

Pusto było na grodzisku dni kilka, ale wrzało i gotowało się po zagrodach.

Nadchodził dzień świąteczny żniwa. Zdało się tym co przewodzili, że za drugim razem wiec nie darmo się zbierze i wybór stanąć musi. Poczęto więc znowu obwoływać się na zbór a sejm nowy nad Gopło. Pojechali Myszkowie po swoich, Leszki też i inne rody, zbierając druhów dla narady i poparcia.

Wielu już zrażonych iść nie chciało. Byli i tacy, co się cieszyli, że knezia nie mieli, bo danin, osypów i służby do grodu nie było, a gdy o najazdach mówiono, głowami potrząsali, utrzymując, iż Niemce doma i nad Łabą mieli roboty dosyć, a nad Wartę się tak rychło wybrać nie mogą.

Tymczasem że dzień nowy naznaczony był świąteczny, a niektórzy myśleli, iż chlebem sobie ludzi zjednają, kazali na wozy nabrać mięsiwa, kołaczów, piwa i miodu, i wieźli je z sobą dla częstowania. Tak uczynili Myszkowie, a gdy się o tem dowiedział Bumir i jego drużyna, nie chcieli się też dać wyprzedzić, naładowali co w domu mieli na wozy i konie i słali na gród.

Zbiór nie był tak gromadnym jak pierwszym razem, ale wyglądał uroczyściej.

Ludzie też baczniejsi, bo doświadczeńsi, więcej się przysłuchiwali niż mówili i serca sobie jednać usiłowali.

Już koło zasiąść miało, gdy z dzidą w ręku nadciągnął Wizun stary, który przybywać się zdawał znużony z drogi dalekiej.

Starzec poważanie miał u ludzi nietylko dla doświadczenia i rozumu, bo w ciągu życia dalekie zwiedzał kraje, i znał prawie wszystkie gdzie sięgało „słowo“, ich obyczaje, ład, zakony, prawa wszystkich gromad i plemion siedzących po za Wisłą i Dnieprem, i po Tatry, i nad Dunajem, nad Łabą i Odrą i nad morzem Białem — ale wróżbitem też był wiel-

kim i proroczo widział a wiedział, co się dziać miało... Chadzano doń nieraz po radę, acz jej szczodrym nie był. Wszyscy mu więc okazali radość wielką, iż na wiec przychodził, a spodziewali się, iż przemówiwszy, do zgody nakłoni.

Więc gdy się zdala ukazał, i Myszkowie i Leszki witać go szli, a nim do mówienia o sprawie przystąpili, wystawiono niecki z mięsiwem i chlebami napój, prosząc wszystkich — na strawę.

Posiadano na ziemi około wozów. Wizunowi poczestne miejsce zrobiono i częstować się poczęli z dobrą myślą. Dzień też był dziwnie pogodny i piękny; napoju wszelkiego stało siła, a gdy się raz ugaszczać zaczęto, ani się postrzeżono, jak dobra część dnia na ucztowaniu zeszła. Wizun milczał. Myszkom się zdało, że go mieli za sobą, a Leszkowie prawie byli pewni, iż przeciwko nim nie stanie. Więc nim do koła szli, prosili go, aby im radę dał, co czynić mieli, dla rychlejszego sprawy końca.

Stary obejrzał się do koła i namyśliwszy począł:

— Potom ci ja tu się przywlókł, ażebym wam prawdę przyniósł, nie z siebie ale z tego źródła, skąd ona płynie. Umyślniem odbył pielgrzymkę do miejsc świętych, pytając co czynić, abyśmy się od biedy uratowali. Wracam z niej właśnie. Byłem daleko, byłem po kontynach Światowida, Radegasta, Porewita... byłem na Kołobrzegu, Szczecinie, w Retrze i na ostrowiu świętym Ranów, u Czarnego-Stawu... Bogowie tam królują, którzy i całemu plemieniu naszemu rozkazują, Obodrytom i Wilkom równie jak Ludkom i Polanom...

— Niema u nas takich chramów i takich bóstw, jak te, co są u Redarów i Ranów... czcimy i my przecie Rugiewida o siedmiu twarzach i mieczach siedmiu, Trygłowa o trzech głowach, Porewita o czterech okolicach z piątą na piersi, Światowida, który czterema głowy patrzy na cztery świata strony...

Tam ja do nich chodziłem po wróżbę i wieszczbę dla nas, stamtąd wam przynoszę co mi rzeczono...

Obejrzał się, słuchano w milczeniu, a Myszko spytał;

— Jakżeście się do Retry dostali?

— Któż co starcowi bezbronnemu miał uczynić? — odezwał się Wizun. — Zatrzymali mnie wilcy po gościńcach nie jeden raz, ale puścili wolno... Do Radegasta też niełatwo się dobić... Leży kontyna na wyspie zewsząd wodą otoczonej jak Lednica nasza; długa hać i mosty prowadzą do niej, a gdyś już na ląd wszedł, dziewięć bram przebywać musisz, a do każdej z nich pukać i prosić się, bo u każdej stróż stoi czujny dniem i nocą, a pyta się i opatruje. Nie puszczają zaś więcej jak trzech na raz do chramu. Kontyna stoi na podwyższeniu, z trojgiem wrót w tynach co ją otaczają, z których dwoje się tylko otwiera, a trzecie tajemne do wody prowadzą... Bóstwo stoi całe złocone w koronie na głowie, na rogach jeleni i kozłów, misternie wywyższone pod dachem purpurowym, ze słupy malowanymi, a obok niego łoże jego królewskie purpurą zasiane... I wkoło bogowie drudzy w zbrojach, z mieczami... Tamem ja naprzód szedł o wyrocznię pytać...

— Cóż ci powiedziała? — zaczęli szemrać otaczający.

Wizun spuścił oczy.

— Musiałem na wyrocznię czekać... póki mi nie przyszła w jednem słowie: Wybierzcie pokornego... Nie dość mi na tem było i szedłem na ostrów święty, nad Czarny-Staw, nad Jasmund, do Rekony... pytałem u Trygłowa i Światowida... Światowid mi rzekł: Wybierzcie małego. Trygłow kazał powiedzieć: Wybierajcie ubogiego... Pytałem Rogu Światowida przez miód, który w nim stoi i rzeczono mi, że niepokój i wojna czeka nas, dopóki m a ł y nie będzie uczyniony w i e l k i m.

Słuchając Wizuna wszyscy się po sobie oglądali, i widać było na twarzach frasunek, a stary mówił dalej:

— Com przyniósł od wyroczni bogów, to i w sobie nosiłem wprzódy... Zgody nam prędko potrzeba i jedności... Zwędrowałem wszystkie plemiona i narody nasze, jakie na ziemiach siedzą od Dniestru do Łaby, od jednego do drugiego, od sinego do białego morza, i liczyłem w myśli, wiele

nas jest, a jak my mało możemy... Jedni z nas już się Niemcom poddali i trzymają z nimi; drudzy z sąsiady braćmi wojują, inni się po lasach chowają, a swoich o miedzę znać nie chcą... Każdy żyje jako woli, a do kupy się zebrać i w kupie zgodzić najtrudniejsza rzecz. Chodzili jak ja nieraz Polanie nasi do Ranów, do świątyni, spotykali się tam z Serbami i Ludkami i Dulebami i Wilki, i wszelkiemi plemionami jednej mowy pili z niemi z czary razem, chleb łamali, a nazajutrz znać się nie chcieli...

— Niemcy mają jednego wodza, a gdy się pokłócą, ten ich jedna jak matka dzieci przy misce, obojgu po głowach dając naukę; u nas swoboda panuje, a kto chce szarpie... Dla onej swobody, pana nie znając, zwierzom dzikim dostajemy się na pastwę...

— Gdy inaczej nie może być, choć nasze ziemie i miry niech zgodne będą, a niech wybiorą jako rzekły wyrocznie, pokornego, małego, ubogiego...

Gdy Wizun skończył, panowało długie milczenie, a co wprzódy każdy się wielkim czynił, terazby był rad mniejszym się stać lub okazać. I nie w smak szły te wróżby znaczniejszym, a na starego szemrali.

Wtem z tyłu poczęły niecierpliwie gromady wołać:

— Do rady! do koła!

Wszystkie rody poczęły się kupić i ustawiać, a każdy swoich zalecać. Wnet i o przepowiedni zapomniano. Myszkowie się krwią przelaną i pracą chlubili, Leszkowie stali przy jakiemś prawie, inni bogactwem się zalecali.

A że gromada Krwawej szyi najliczniejsza była, śmielsi poczęli już go obwoływać, ale zaledwie to posłyszano z przeciwnego końca, zerwała się burza i odskoczyła połowa, ani znać go nie chcąc za wodza.

Tuż najpokorniejszego z Leszków wywoływać zaczęto, lecz zagłuszyła wrzawa ze strony przeciwnej luźne głosy.

Ci co w kole siedzieli, powstawali, rozpierzchli się, rozbiegli.

Zgody nie było... Część znaczna precz szła na okopy,

pokładła się na trawie i pijąc, narzekała na drugich. Wizun stał z boku na swej dzidzie oparty i uśmiechał się. Słońce zapadało.

Wtem na zdyszanym i potem oblanym koniu przypadł człowiek w koszuli, zdala już ręką coś ukazując a krzycząc.

Porwali się wszyscy biegnąc ku niemu. Zsunął się wtem z konia, wołając głosem wielkim:

— Synowie kneziowi z Pomorcami i Kaszubami a Niemcy, już idą na nas... już puszczę na granicy przestąpili...

Ledwie to usłyszawszy, wszyscy do koni swych biegli; popłoch i wrzawa się stała niezmierna.

— Tegośmy się doczekali spierając i krzycząc! – krzyknął Dobek gniewnie. — Rozbiegniemy się li teraz, potraciwszy głowy, to zginiemy wszyscy, bo nas po jednemu wybiorą... jak wróble ze strzechy powykręcają...

Leszkowie milczeli stanąwszy na stronie, im się z synami Chwostka łatwiej było porozumieć. Myszkom o głowy szło... zwołali się do kupy osobno.

— Na koń, kto żyw, niech każdy swoich ludzi zbiera... — poczęli zaklinać — niema czasu na długie rady... Gromadą iść i ławą im zastąpić drogę... Nie staniemy im do oczów, później już nie czas będzie...

Dobek przerwał gwałtownie.

— Do domów, po ludzi! — zakrzyknął nakazująco — czeladź idźcie zbierać... nazajutrz wszyscy z czem kto ma, tu nad Gopło... a stąd razem ruszym na wroga... Wieczora i nocy starczy! na koń! na koń!

Dosiadali też już koni, chwytając je z paszy i od wozów, kto co napadł, rozsyłano gońców i nim mrok nadszedł, grodzisko znowu stało pustem i milczącem.

Gdy noc zapadła, w stronie, z której się spodziewano najazdu, dalekie łuny już widać było na niebie.

Nazajutrz nie przybył nikt jeszcze na zborne miejsce, wszyscy się gotować musieli, niejednym i dzid i oszczepów brakło... Trzeciego dnia dopiero zaczęły się gromady powoli spływać na brzeg jeziora. Wieść o napaści wroga ruszyła wszystkich; z odleglejszych też osad szły gromadki.

Nie pytając wyboru, Dobek, który się pierwszy znalazł na placu, sam sobie dowództwo nadał, a posłuszeństwa mu nie odmawiano. Silnym był dość, aby je wymódz, gdyby mu się kto sprzeciwił.

Ledwie ówczesny lud zbrojny, mógł się nim nazywać. Nie byli jeszcze Polanie narodem wojennym i łupiezkim, ale rolniczym i spokojnym. Konieczność obrony uzbrajać się im kazała, a uzbrojenie lichem było.

Żelaznego oręża mieli mało, miedziana stara broń u niewielu się znajdowała; szła czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce i pociski. Kawał łubu lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcza, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema obciągnął. Siekiery i noże, na jakie kogo stało, wiązano do pasa i do konia.

Czeladź i parobkowie pieszo szli, co przedniejsza drużyna i kmiecie jechali konno, na głowach, dla osłony mając kruszcowy kabłąk, lub czapkę tylko, na ramionach kręgi mosiężne, które od uderzenia mieczem obraniały.

Każdy ród wiódł swą gromadę, niebardzo swarną, grozą i strachem trzymając ją w posłuszeństwie.

Dobek latał opatrując gromady i szykując jedne przy drugich, a tu mu czeladź zaraz się waśnić poczynała, że ją uspokajać kijem musiał. Myszków sługi z Leszkami stać obok nie chcieli. Lecz Dobek gdy się rozpalił, ani spał, ani jadł, ani spoczął, póki do potyczki nie doprowadził. Wojnę lubił i dopiero żył, gdy dzidę w rękę wziąwszy, na konia siadł. Śmiały mu się oczy i drgały usta. Ku wieczorowi powysyłał najprzebieglejszych ludzi na zwiady, aby dopytali, gdzie się nieprzyjaciel obracał. Dopiero języka dostawszy, miał przeciwko niemu wyruszyć. Tymczasem odstąpiwszy nieco od jeziora, położył się z ludźmi w gaju, aby nocą nie zdradziły ogniska i dymy.

XXIII.

rócili wysłani z tem, że Niemców nieopodal już słychać było — podpełznąwszy widzieli ich nawet, ale sił obliczyć nie mogli.

Szli zabierając ludzi, spędzając trzody, zagrody paląc, łupy garnąc jakie pochwycić mogli, kędy się przesunęli, zostawała po nich pustynia i zgliszcza.

Czas było co najprędzej naprzeciw nim wystąpić, aby dalszą zaprzeć drogę, bo każdy dzień ludzi wielu życie i mienie kosztował. Ale straszono gromady walką i uzbrojeniem, a zbierana kupa czeladzi, nie starczyła na taką siłę. Dobek więc postanowił ciągnąć cicho, aby ich na noclegowisku napaść śpiących.

Cicho i ostrożnie przerzynać się poczęli lasami, po bokach, w prawo i lewo, posłał leśnych ludzi, co i po ziemi i po drzewach chodzić umieli, aby przepatrywali, gdzie się nieprzyjaciel znajdował i jak go osaczyć najlepiej.

Drugiego dnia w głębi puszczy naszli na cały obóz niewiast z dziećmi, starców i niedołężnych, z trzodami i dobytkiem, którzy ze dworów i chat zbiegli, chroniąc się przed nieprzyjacielem na niedostępne uroczyska.

Płacz i trwoga panowała między niemi. Siedzieli na ziemi jęcząc, zawodząc, tuląc się do siebie za każdym szmerem w dali, zdradzając się krzykami.

Ci mówili, że wiele już ludu poszło w pęta, a mało kto zawczasu zbiedz mógł, ratując życie. Lasy, łozy i trzciny nad wodami za przytułek służyły, ale i stamtąd psy, których gromady ciągnęły z Pomorcami, schronionych płoszyły.

Pomorcy z Niemcami szli pustosząc ogniem i mieczem, lud tylko młodszy wiązali w łyka i gnali za sobą. Na czele ich stali kneziowie Leszek i Pepełek, za rodziców zemsty chciwi.

Kmieciów schwytanych bez litości na dębach wieszano.

Jęki niewieście, kwilenie dzieci, żałosne wołania starców, nie dodały serca Dobkowej gromadzie, ale do zemsty budziły.

Zbiegi mówiły z przerażeniem o ludziach całych w żelazo pozakuwanych, ze szczytami kruszcowymi, od których strzały odskakiwały, których pałki nie brały. Za tarczami temi stali, jak za murem z żelaza.

Dobkowi serca przybyło i gniewu, mówili mu, że łupiąc zagrody zapijali się, a najadłszy i opiwszy nocami jak wieprze leżeli, dysząc bezsilni... a ktoby ich napadł wówczas, tylkoby wiązać i dobijać potrzebował.

Z tych zbiegów złapanych w lesie, stary jeden się podjął drogę ku Niemcom pokazać. Przeleżeli do zmierzchu, jak mrok po cichu wyciągnęły gromady krajem lasu posuwając się ku północy. Księżyca na niebie nie było i noc okryła ich chmurna.

Szli tak długo, zwracając na różne strony, gdy wreszcie z za drzew ujrzeli w dali szeroko porozkładane, dogasające ogniska.

Dobek wysunął się naprzód rozpatrzeć, jak ognie leżały, by po nich siłę nieprzyjaciela policzyć. A było ich tyle, że rachować przestał, bo mu siec było pilno. Nie spodziewali się znać najezdcy, aby im kto śmiał czoło stawić i odpoczywali bezpieczni. Gęsty las z jednej strony dozwalał się podkraść niemal do samego obozowiska w dolinie.

Ludzie na ziemię się pokładszy, pełznęli cicho na brzuchach. Obóz Pomorców był dla nich łakomą zdobyczą, choćby się nie obciążył łupami. Lud tam się do nich kupił z całego wendyjskiego wybrzeża, aż do ujścia Łaby, zbóje i łotry ze szerokiego świata. Pomorcy wojownicy razem i przekupnie,

mieli też u siebie doma, czego dusza zapragnęła. W Winedzie mieniali swoje skóry i bursztyny na żelazo, na miecze, sukna i towary idące z południa, wschodu i zachodu. Choć mowę mieli słowiańską, ale serca już niemieckie, byle łupu dostać, gotowi byli iść na swoich, służyć każdemu, palić i zabijać choć braci rodzonych. Chciwość ich ciągnęła i zwierzęca dzikość.

Przebiegłszy kawał kraju, w którym tylko zgliszcza i pustkę zostawili po sobie, zniszczywszy osad kilka, złupiwszy dworów wiele, położyli się właśnie obozem u lasu, w miejscu bezpiecznem. Osłaniała ich puszcza, jezioro i błota dokoła. Spoczywali bez straży. Jadło się warzyło w kociołkach, tarcze i miecze leżały porozrzucane po ziemi. Pozdejmowali pasy, pociskali żelazne blachy, aby im lżej dychać było.

I leżąc śpiewali dziko, a wśród pieśni, straszne krzyki a wołania słyszeć się dawały.

Pastwili się nad niewiastami i dziećmi, pozabieranemi w drodze. Nieopodal od obozu ich widać było skupioną gromadę ludzi łykami i powrozami pokrępowanych; jeńcy to byli, którzy głodni, pokrwawieni, pobici leżeli na piasku, a nikt im chleba nawet nie rzucił. Stado psów ujadało nad nimi. Jęczeć nie śmieli, bo słabych zabijano. Niewiasty na rękach trzymały martwe już dzieci, żywi i trupy razem leżeli.

Ludzie Dobkowi podpełznąwszy z przerażeniem poznawali swoich między niewolnikami, w sercu się im gotowało. Opodal trochę stali Kaszubowie i Niemcy, a tych mniej było. Dobrze uzbrojeni, dodani przez dziada wnukom Sasi, trzymali się na uboczu, straż przy nich odbywając. Sami kneziowie na pagórku, pod szałasem odpoczywali bezpieczni.

W obozie śmiechu, ryhotania i pieśni pełno było. Czasem tylko dwu zbójów przemówiwszy się porwało z ziemi i cisnęli się na siebie, chwycili za bary, padając gniotąc i tarzając. Inni z nich stroili śmiechy. Czasem wstał który, aby do jeńców pójść i łuku na nich spróbować.

Polanie mieli czas dobrze się rozpatrzeć i rozmyśleć. Pomorcy, którzy najbliżej ich leżeli, cale się niczego nie spo-

dziewając, tak zawodzili i wrzeszczeli, iż zbliżających się posłyszeć nie mogli. Łamane gałęzie i szmer pochodu, wiatru szum głuszył i pieśni. Dobek ze swoimi zbliżył się na sam kraj lasu, kilka kroków go dzieliło od najezdnika.

Konie jazdy opodal nieco się pasły na łące. Dobek, który jak bartnik na drzewa łazić umiał, z wierzchołka starej sosny, obejrzał dobrze jak był obóz rozłożony i kazał swoim wprzód nimby się na odpoczywających rzucili, starać się ich osaczyć dokoła jak zwierza w ostępie, drogę im zapierając do ucieczki.

Stało się tak, z jednej tylko strony od pola zająć ich nie było można, boby zawczasu popłoszono, na dany dopiero znak zabiedz i z tej strony mieli ludzie, aby nikt nie uszedł z życiem.

Jedną część oddzielił Dobek, by się natychmiast do jeńców podkradła i pęta ich poprzerzynała. Oni też mieli na wroga paść i swoim dopomódz do rzezi.

Gdy wszystko było gotowem, przemyślny Dobek stanął z mieczem na przedzie i od pasa róg wziąwszy, dał znak, aby się rzucono na Pomorców.

W obozie choć usłyszano głos ten, nikt się nie ruszył, sądzili, że który ze swoich znak daje, nie ulękli się i nie spłoszyli. Gwar i śmiechy szły górą.

Wtem z lasu posypali się Polanie, pędem lecąc i spadając na karki leżącym, wprzódy nim za broń pochwycić mogli.

Krzyk straszliwy ze stu wrzasków złożony rozległ się jak grzmot po lesie i już rzeź rozpoczynała się okrutna Jeńcy też z okrzykiem ruszyli zbrojąc się w głownie i koły, bliższych niewiasty zrozpaczone chwytały za gardła rękami i dusiły nim na nogi porwać się pospieszyli.

Tylko dalej leżących gromada wstała, lecz w zamięszaniu i popłochu gniotła się sama, zabywszy broni lecąc to ku jezioru, to na las, gdzie im zastępywano drogę.

Choć ze wszech stron razem napadnięto na obozowisko, do pagórka na którym stali kneziowie i Niemcy, dobiedz tak rychło nie pospieszyli, ani Dobek, ani jego kmiecia drużyna.

Z góry spostrzegli Niemcy, że na Pomorców uderzono i mordowano, chwycili wnet za miecze ludzie żelaźni, ale już było zapóźno. Pomorcy ściśnięci wili się bezbronni padając pod oszczepami i młotami. Niektórzy pełzając uchodzili w zarośla i ginęli po drodze, inni na ziemi leżąc o darowanie życia prosili daremnie

Kaszuby stojący też dalej, podnieśli się zrazu za broń chwyciwszy, ale na nich rzuciła się nawała wielka, zagnała ich na pobojowisko i trupy, na ciała pobitych, ku lasowi, od którego na nich drudzy czekali.

Niemcy sami jedni zostawszy garstką niewielką, opasali Leszka i Pepełka, których konie u szałasu stały i z nimi co tchu i siły uciekać zaczęli na pole. Ciemna noc ucieczce sprzyjała. W pogoń za nimi puścił się Dobek w kilkanaście koni, lecz pierzchali tak szybko, iż dogonić ich najmniejszej nie było nadziei.

Wrócili więc, spodziewając się, że ta mała garść tułając się po spustoszonym kraju, zagarniętą być musi lub wybitą.

Na obozowisku rzeź okrutna pomściła zniszczenie. Mało kto stąd wyniósł życie. Własne miecze Pomorców porzucane na ziemi, służyły do mordowania, łyka ich przygotowane do wiązania tych, co o miłosierdzie prosili, wykup obiecując za siebie.

Jeńcy, którzy tylko co jęczeli spętani, nie spodziewając się już nigdy zagród swoich oglądać, jakby na nowo na świat się narodzili, szaleli z radości, całując zbawców swych nogi. Inni jak pijani dobijali trupy na pobojowisku.

Zwycięstwo było wielkie, bo Kaszubów mało co, podając tył, ujść podążyło, a i tych jeszcze część wybito po drodze.

Z północy skończyło się wszystko, radość niezmierna śpiewami się rozlegała po lesie. Dobek leżał pod dębem i pot z czoła ocierał. Kazał wnet stanice bogów powbijać z dzidami na placu, rozpalić ognie, a trupy pobitych gdy je odarto, zwlec na kupy i palić na stosach.

Jeńcy natychmiast poczęli nosić gałęzie i toczyć kłody.

Rzucano pozabijanych na ogień, innych do jeziora spychać kazano i pagórki ogniste wznosząc się na pobojowisku, daleko łuną swą oznajmywały zwycięstwo. Siedząc około nich śpiewano pieśni.

Łupu, broni różnej i kruszcu, łuków i młotów, tarcz skórą obszywanych i obijanych blachami, nabrano tak wiele, że jak drzewa stosy leżały. Niewiasty, starcy, dzieci, które z pęt uwolniono, stali u ogni opowiadając, skarżąc się, dziękując obrońcom. Choć mało kogo życiem darowano, i jeńców przecie do dwu kop się zebrało. Tych zaraz łykami i powrozami spętano mocno i na to samo miejsce spędzono do kupy, gdzie niedawno swoi jęcząc leżeli.

Gdy się tak powoli uspokoiło wszystko, poszła starszyzna rozpatrywać pobranych, śledząc czy między nimi się kto z dowódców i znaczniejszych nie ukrywał. Ale ci leżeli twarzami do ziemi i musiano im łby podnosić za włosy, aby zajrzeć w oczy. Pomorcy lud dziki, korzyć się i litości prosić nie mieli zwyczaju. Leżeli pokrwawieni, tuląc oczy i czoła, nie sycząc nawet, a z ran broczyli posoką.

A gdy upartym głowy gwałtem do góry unoszono, niejednemu jeniec wściekły rzuciwszy się palca odkąsił, choć wiedział, że go tam zaraz oszczepem do ziemi przybiją.

Gdy tak szli, Dobek, Ludek, syn Wiszów i Bolko Kania potrącając nogami leżących, na boku spostrzegł Ludek człowieka rudego związanego, który oczyma nań łypnąwszy, głowę prędko za plecy towarzysza ukryć się starał. Wyciągniono go wnet z kupy za nogi, aż gdy twarz osmalona na jaw wyszła, Ludek zawołał:

— O! ten ci to jest, który ich tu pewnie prowadził, wypatrzywszy wprzódy drogi! Znam ja go, to Niemiec, Hengo się zowie. Zamianą wrzekomo po chatach chodził, był u ojca naszego, łamał chleb z nami, a poznawszy kraj, teraz Niemców braci przyprowadził, służąc im przeciwko nam...

Dobek krzyknął porywczo:

— Na gałąź z nim!

Lecz Ludek wstrzymał.

— Nie, dajcie go mnie, dyby mu nałożę i do sochy zaprzęgnę, za wołu stanie, bo silny. Niech żywie, śmierci z mojej naprawy dlań nie chcę, bo naszym gościem bywał.

Ludkowa czeladź na skinienie zaraz go odprowadziła — lecz nim odszedł, na ziemię padłszy, płakał odpraszając się litości. Przysięgał, iż wcale winnym nie był zdrady, bo go kneziowie z sobą gwałtem pochwycili, wiedząc iż bywał u Polan, ale dróg im nie ukazywał. Iść tylko musiał, bo mu śmiercią grożono. Wiary mu jednak nie dając, w pętach precz go nazad odciągnięto.

Zebrane drużyny legły odpoczywać na pobojowisku, weseląc się i ofiary bogom składając dziękczynne za zwycięstwo.

Stosy z trupami, do których drew przyrzucano, rozpłonęły jasno, stała się noc jak dzień. Lasy dokoła jak złotem oblane drżały, gorzały łunami pola dalekie, ogromne słupy dymu purpurowego wyrastając po nad puszczę, nad wzgórza — daleko i szeroko roznosiły postrach jednym, drugim przeczucie zwycięstwa.

W kotłach znowu ponastawiano jadło, warzono i pieczono, pozasiadała starszyzna rany zawiązywać i opowiadać jak walczyła, a czeladź tymczasem gromadziła łup, rozkładając z osobna tarcze, odzieże, miecze. Było się czem obdzielać i w czem wybierać, bo łupiezki żołnierz niósł z sobą dużo wszelkiego mienia i nigdy zdobyczy obfitszej nie pamiętali ludzie. Radość stąd czeladzi była wielka.

O pogoni za resztą Kaszubów i Niemców nikt już nie myślał, utrzymywali nawet kmiecie, że kneziowie klęską tą odstraszeni, nie odważą się na drugi najazd i Pomorców ani Kaszubów do posiłkowania nie znajdą tak łatwo; a Niemców zdala sprowadzić nie będą mogli.

W obozie teraz znalazło się do zbytku wszystkiego, najezdcy łupiąc po drodze, wieźli z sobą nawet beczki z miodem i piwem, pobrane po dworach, pod lasem całe trzody stały w zasiekach, zabijano więc bydło, dla nakarmienia ludzi i do rana przeciągnęło się ucztowanie i ofiary.

Nad świtaniem, wśród tej radości i dostatku, ochota się

wzięła wielka a zbytnia, tak, że gdyby naówczas owa garść Kaszubów wróciła na pobojowisko, łatwoby może nad biesiadującymi odniosła zwycięstwo.

Jeńcy tylko, jak skoro nadszedł dzień, podziękowawszy wybawcom, zabrawszy z trzód co kto poznał za swoje, do zagród popalonych odciągać zaczęli. Reszta, straże rozstawiwszy, na ziemi leżąc się pospała.

Słońce już było wysoko, gdy czujniejsi budzić się zaczęli — a tu głód znowu czuć się dawał — powrócono więc do mięsa, piwa i miodu, a biesiadowano znów do nocy.

Ta gdy ich zaskoczyła, nie czas już ruszać się było, zmęczenie dawało się czuć wszystkim, pozostali więc przy pobojowisku. Tylko że ze spalonych trupów smrodliwy dym im dokuczał, położyli się nieco opodal, drew przyrzuciwszy, aby się ciała podopalały do szczętu.

O wieczornej porze Ludek kazawszy przyprowadzić przed siebie Henga, i z litości go nakarmiwszy, badać zaczął, wraz z Dobkiem. Posądzano bowiem Niemca, że wiedział więcej, niż się przyznawał. Nic z niego jednak wydobyć nie mogli, mimo groźby. Prawił tylko, że dziad dwu młodych Pepełka synów, który nad granicą za Łabą siedział i zbrojnego ludu miał poddostatkiem, dla pomszczenia córki i pomocy wnukom wszystko ważyć był gotów, że młodzi zajadli też byli i odważni, zatem, jeśliby do swoich dzielnic nie mogli powrócić, nieustannie Polanów niepokoić będą. Dawał też do zrozumienia, iż zgoda łatwoby się mogła dać zrobić, gdyby się o nią postarano.

Puszczono go z tem nazad. Dobek szedł ze starszyzną radzić, co miał dalej przedsiębrać, czy na granicę iść mścić na Pomorcach napady nieustanne, lub do domów powracać. Wszyscy jeszcze świeżem zwycięstwem zagrzani, gotowi byli iść na kraj świata i wojować, postanowiono przynajmniej granicę splądrować i nastraszyć najezdców w domu. Jak świt więc dalej ciągnąć miano. Ludkowi tylko i Domanowi zdano jeńców pomorskich, aby ich odprowadzili i jako niewolników rozdali po kmiecich zagrodach. Do dnia poczęło wojsko ruszać

na wyprawę, stanice podniesiono do góry, jazda na koń siadła, kupy piesze gromadzić się zaczęły. Ludkowa czeladź, co Pomorców pędzić miała, biczami smagając, poczęła ich zmuszać do wstawania z ziemi. Straszny był widok tej dziczy zrozpaczonej, która losowi swemu nie chcąc się poddawać, wyła, targała się, rzucała, dopóki biczyskami jak trzoda nie została zmuszoną do pochodu. Pędzono ich pieszo, otoczywszy konnymi, z rękami w tył powiązanemi, poczepionych razem. Ciągnęli się nie mogąc uciec, ani nawet ruszyć inaczej tylko wlokąc jedni drugich za sobą. Na pół nadzy, poodzierani, ranni, wlekli się, padali i wyli. Upartszych koniom do ogonów przywiązywano. Henga sam Ludek na postronku prowadził, aby mu nie uszedł.

Wszędzie z radością wielką witano tego posła zwycięstwa, bo łuna widziana nocą, postrach była rozniosła. Ludzie biegli przypatrywać się pobranym zbójom, obrzucać ich przekleństwem i razami. Pozostających zabijano w dyby, aby ubiec nie mogli.

Starszyzna jednak zazdrościła Dobkowi odniesionego zwycięstwa, lękając się może, aby wojsko w ręku mając po władzę nie sięgnął, niepokoiła się spóźnionym jego powrotem i odkładanym knezia wyborem.

Mruczano powtarzając rozkazy wyroczni, aby wybrano pokornego, ubogiego i małego.

Myszkowie i Leszki znowu swoich objeżdżali. I jedni i drudzy stawali często przed zagrodą Piastuna, żądając od niego rady, a wymawiając mu że pszczoły swe więcej kochał, niż sprawę mirową, od której trzymał się zdala.

Stary uśmiechał się, milcząc.

— Gdybym ja pomódz mógł — mówił — chętniebym rękę przyłożył. Cóż ja mogę biedny, gdy możni jak wy, nic potrafić nie umiecie. Bogów tu raczej prosić trzeba niż ludzi, aby oni nam dopomogli. Łatwiej było złego obalić, niż na lepszego się zgodzić.

Leszków nikt nie chciał, aby się za krew swoją nie mścili. Myszków się lękano, by nieprzyjaciół i niechętnych

sobie nie prześladowali. Spokój, który na chwilę zapewniał zwycięstwo, dozwalał odetchnąć i przygotować wiec nowy.

Poczuli już możniejsi, że jedni drugich nie dopuszczą do władzy. Wyrocznia też chodziła ze swą radą po głowie, rodziła się więc u wszystkich myśl, aby wybrać takiego, coby pokornym i małym będąc, wdzięcznym był im za cześć i wyniesienie a łagodnie z nimi poczynał. Szło tylko o wynalezienie człowieka.

Na każde imię było więcej tych, co mu się sprzeciwiali, niż coby je popierać chcieli.

XXIV.

Korzystając z uspokojenia, Doman się do wesela sposobił. Chciał je mieć hucznem i głośnem, stary też zdun, który córkę za bogatego kmiecia wydawał, pragnął pokazać, iż go stało na przyjęcie i uraczenie choćby najliczniejszych gości. Z obu stron przygotowania czyniono wielkie.

Doman naprzód, odziawszy się bogato i czeladź postroiwszy, wędrował od dworu do dworu, drużbów sobie na wesele spraszając.

A gdy tak jechał i stanął po drodze przed Wiszów zagrodą, ścisnęło mu się serce — Dziwa przypomniała mimowoli.

Ludka znowu doma nie było, bo zdawszy jeńców, za Dobkiem pośpieszył nad granicę, młodszy brat gospodarzył.

U wrót stanąwszy, ręce sobie podali.

— Dziewkę sobie biorę — odezwał się do niego Doman — za drużbę was proszę...

— Będę wam chętnym drużbą — odparł chłopak. — Cieszę się, żeście o naszej zapomnieli...

Popatrzał mu się Doman w oczy i rozśmiał niewesoło.

— Nie myślcie — odpowiedział — żem sobie dziewczynę napytał, jak wasza... Krasy chciałem, więcej nic... hoża jest

i młoda!... Biorę córkę zduna z nad jeziora Lednicy... Co mi tam? nie dbam, czy mi co przyniesie! Oczy jej się śmieją, może i ja poweseleję... bo mi jakoś nieraźno... Weźcie więc konia i gotujcie się do drogi... będziecie mi bratem, niech ludzie wiedzą, że zemsty nie szukam i żeśmy druhami, jak dawniej.

Ścisnęli się znowu za ręce, pożartowali chwilę wesoło i Doman pojechał dalej. W chacie u Wiszów wiadomość o tem zadziwiła niewiasty. Żywia, stojąca u ogniska, zarumieniła się mocno, spuściła oczy. Może myślała, że się odezwie do niej i ją weźmie. Teraz, bez ojca i matki, cicho było i smutno. Bratowe popychały, bracia nie bronili bardzo... Poszłaby była z nim, ale — brał inną. Taka dola...

Stary zdun trochę o garnkach zapomniał, gotując wesele. Córka też mu nie dawała pokoju, tak wielu rzeczy jej było potrzeba. Mirsz na nic nie żałował.

Miód dawno sycony na to wesele stał w pogotowiu, piwo warzyć zaczęto, a chmielu dosypywano do niego dostatkiem; tego chmielu, o którym stara pieśń niosła, że psotnik, nic dobrego, „z dziewcząt robił mężatki“, bo go przy weselach dużo spijano.

Baranów i koźląt dość też na rzeź naznaczono, a i wieprzaków kilka miało paść ofiarą. Na kołacze mąka sucha, wysiewana, stała w bodni, w pogotowiu.

Jednego dnia Jaruha znalazła się w progu zagrody, dobrawszy znać taką porę, gdy stary zdun był u pieca zajęty. Spojrzała na Milę i twarz się jej od śmiechu tak wykrzywiła i pomarszczyła, jak grzyb, który człek nogą przyciśnie.

Wzięła się wiedźma w boki.

— A co, Miluchno? a co?... może się stara nie zna? może nie umie zaczyniać i odczyniać? może ziele jej nieskuteczne?... Dajże mi piwa, bo w gardle zasycha...

Dziewczę zarumieniło się, zmięszało, pobiegło prędko kubek piwa podać starej. Ta w progu usiadła, torbę położyła na ziemi, dobyła placka kawałek i z rozkoszą do ust poniosła napój ulubiony.

— Widzisz — mówiła powoli, uśmiechając się i mrugając — żupanam ci dała, a będziesz panowała... a gdyby nie ja i nie mój lubczyk... ho! ho! alboby to nie było nigdy lub nierychło. Stare baby młodym się też na coś przydać mogą. Zaczynić i odczynić... przyciągnąć, odepchnąć... my to wszystko znamy... Będzie ciebie kochał — dodała ciszej — a jeśli tam u niego już są inne jakie... te ci służyć będą, jak niewolnice... U bogatych ich bywa wiele, a tobie to co szkodzi?...

Zarumieniła się Mila znowu i oczy zakryła rączkami.

Teraz jakoś, gdy otrzymała to, czego pragnęła, lękała się i trwożyła. Przyszło jej tak łatwo! strach ogarniał.

A Jaruha piwo piła i głową potrząsała, nie czekając odpowiedzi. Kubek był już próżny, milcząc, podała go Mili i dziewczę napełniło raz drugi.

Jaruha wypróżniła go chciwie.

— Na cześć Trójgłowowi, Miluchno — odezwała się — daj trzeci kubek, to się już powlokę. Nogi mam słabe, muszę pić na jedną, a potem na drugą nogę, i na rękę też, która kij trzyma, bo tak jak trzecia noga...

I śmiała się Jaruha, śpiewać już zaczynając.

— O! o! co mi oni porobili, co porobili na tym białym świecie naszym! — poczęła, smutniejąc nagle i głową machając z jednego ramienia na drugie. — Kneź i biała pani... oboje... poszli do ojców bez stosu i pogrzebu! Mnie ich szkoda... gród pusty! Trawa rośnie na zgliszczu... Kneźna się na zielu znała, wiedziała, co z niem robić, o! o! nosiłam i ja jej ziele, na młodziku rwane po mogiłach... Dawała czasem pić i jeść, dni dwa i trzy, płótna kawałek, sukna okrawek... Kneź szczuł sobakami z podwórza, bo młode ściskał, a starych nie lubił... ale mnie żaden pies nie ukąsi. Zarazby się wściekł. Teraz na grodzisku... het, pustki i węgle... niema nic. Sroki skrzeczą tylko... Chodziłam grzebać w kupach popiołu... ino gdzieniegdzie kostki bieleją... Szkoda dworu malowanego! szkoda!

Dopiwszy trzeciego kubka, rozweseliła się znowu, otarła usta, oczy się jej zaświeciły, chciała wstać, nie mogła, dziewczę ją podniosło z ziemi. Podparła się na kiju, zmocowała i głową kiwnąwszy, powlokła się dalej, śpiewając:

— O lubczyku, ziółko złote!... Jaką ty masz wielką cnotę: czy pan czy chłop, nic nie pyta, a za serce wnet go chwyta... o lubczyku, dobre ziele, proś-że ty mnie na wesele!...

Obiecując sobie przybyć na nie, choć nieproszona, Jaruha, która nigdy na miejscu nie mogła długo usiedzieć, dalej się powlokła.

W drugiej chacie krowa mleko dawać przestała, trzeba ją było okurzyć, aby czar i uroki zadane odczynić... Dalej ktoś w życie zawiązał węzeł na chorobę i cały zagon stał nietknięty, aż Jaruha go dopiero rozplątać mogła bez szkody. Znała tajemnic wiele, odejmowała zimnicę, uspokajała tych, których duchy o ziemię rzucały, sama się czasem dziwiła sobie, iż umiała tak wiele.

Po tem piwie chmielnem świat wydawał się jej dziwnie wesoły i jasny, chociaż nogi za to ledwie się wlokły.

Doman wedle obyczaju przysłał swaty; naznaczono dzień wesela. Zdjęto koło na tyce zatknięte nad chatą, oznajmujące parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Mila dobrała sobie drużek sześć, wszystko krewniaczek z okolicy, których się powstydzić nie mogła, bo wszystkie były hoże, młode, świeże, jak ona i wesołe, a żadna nad nią piękniejszą nie była.

Doman też sześciu drużbów prowadził z sobą, wszystkich jak jeden, kmiecych synów dorodnych, z których każdy suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem się mógł pochwalić, zręcznością, przytomnością i siłą.

Dziewierza nie miał; Wisz mu go zastępował, prowadząc drużbów za sobą. Poszły zaprosiny urzędowe naprzód od dworu do dworu z wieńcami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego.

W chacie zduna zawczasu kręciło się niewiast biało

odzianych bez liku; siostra Mirsza starego miejsce matki zastępowała.

Lecz, jak to bywa często przed weselem, choć się wszyscy radują, Mila, co tak za kmiecia iść pragnęła, czuła jakąś trwogę, a Doman, choć ją znajdował piękną, gniewał się na siebie, że go serce gdzieindziej ciągnęło. Żal mu było jej i siebie.

Ale cóż? słowo się rzekło... musiało się odbyć wesele, zapowiedziano.

Stary Mirsz też, choć nie przeciwił się doli, chodził chmurny, chata mu opustoszeć miała ze szczętem. Bracia też milczeli posępni.

Pocichu za węgłami mówili sobie: — Wolelibyśmy, aby poszła za swoim, za zdunem... Kto wie, jaki ją tam los czeka i ile ich tam jest?...

W przeddzień wesela wszystko było w pogotowiu. Chata wybielona, wymieciona, wykadzona jałowcem i ładanem, posypana kosaćcem, u drzwi powieszano wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle zasępionej i smutnej, kręciły się druchny wesołe i przybrana macierz stara. Strojną była Mila na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy pozaplatane starannie raz ostatni ją zdobiły.

W chacie już od rana nie ustawały pieśni na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już korowaj mięsić, placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedem miarek mąki, jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu każdemu nowa pieśń towarzyszyła, co je tłumaczyła.

W takt potem pieśni białemi rękami ciasto ugniatały niewiasty, śmiejąc się i żartując z narzeczonej smutnej, w której

smutek udany niebardzo kto wierzył, choć oczy miała naprawdę zapłakane.

Z pieśnią się odbył taniec wkoło dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj święty, ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzałe... Wszystko to były godła dziewictwa, młodości, wesela, które się z tym dniem ofiary kończyło, a poczynało od niego życie trudu, łez i pracy, które jedna miłość miała osłodzić.

Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczyście, rzucając z nim razem kukułki z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota — Żywi.

Zamknięto naówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyście na ulu, zasłanym ręcznikami i druchny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle, z którego wodę czerpała, ogródku, gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i macierzy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczów, gdy jej kosy rozplatano. Pana młodego nie było jeszcze, spodziewano się go, wyglądano co chwila. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jej stróż, opiekun i obrońca ze krwi prawa.

Zmierzchało już, gdy zatętniało na drodze i — plaszcząc w dłonie, druchny wołać zaczęły:

— Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzieży na koniach towarzyszyło, w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych, w opończach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona.

Pan młody, choć blady jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą siwego miał z długą grzywą, okrytego suknem czerwonem, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kółek złocistych, pod szyją

zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty, puścili się ku niej cwałem, a gdy u proga stanęli, aż ziemia zatętniała.

Broniono im przystępu zrazu, niby najeźdzcom i gwałtownikom, co na cudze dobro czyhali, nie dawali im przejść proga, musieli się spierać, opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wiózł z sobą, a gdy z krasnej chusty wysypał u nóg młodej, dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy. Były tam zamorskie, zdala przywiezione klejnoty, pierścienie, naszyjniki, naramienniki, korony na głowę, szpilki i para garści pieniążków srebrnych, i droższe nad nie może paski malowane, pstre wstęgi, które tylko z Winedy dostawano, dokąd nie każdy wiedział i przebyć mógł drogę. Był i kubek jakby złoty i naczyńko przeźroczyste z drogiego kamienia, któremu się wszyscy dziwowali, bo było niby z lodu, a słońce na wskróś przez nie patrzało.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wynoszono i rózgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaszki, pióra i strzępki, z szytym ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń napół żałosna, pół wesoła: żal za domem, za swojemi, przyszłości obawa, przeczucia pracy ciężkiej, modlitwy do bogów i wróżby.

Wtoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy dwaj gęślarze i dudarz z kobzą — grajki weselne, co i pieśniom wtórować i pieśniami kierować, i do skoku przygrywać umieli.

Chata już pełna była, jak nabił. Mirsz stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nieustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie gędźba usiadła na przyźbie.

Pieśni a pieśni, lały się jedna po drugiej.

Śpiewano za młodę, za braci, za młodego, prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiaździsta, księżycowa, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba siedząc

Gdy Doman z krasnej chusty wysypał podarki, dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy.

zdrzemnęli się po miodzie na ławach, drudzy na trawach pod drzewami, a gędźba nie ustawała. Co jeden przerwał, to poczynał drugi.

Młody siedział przy Mili, a patrzał na nią i wzdychał, tej serce biło ze strachu. A! tamtych dni, gdy się jej ptaszkiem z chaty furknąć chciało, o tym smutku i obawie pojęcia nie miała. Skądże się teraz wzięły te łzy i ta trwoga?...

Doman też pasem się bawił, na ścianę patrzał, milcząc, niby się uśmiechał, a gdzie był myślami, o tem nikt nie wiedział.

Tymczasem druchny nuciły:

— Żegnaj mi progu domowy, żegnaj ogródku ruciany, studeńko, w której ja wodę czerpałam dla mojej trzódki. Żegnaj mi siostro kochana, żegnaj mój bracie rodzony, i tobie, ojcze mój siwy, do nóg upadam spłakana... W świat idę, obcy mnie wiedzie, wianek mój z strumieniem płynie, kukułka wróży na brzozie, łzy z oczów cisną się gorzkie... Ojcze mój, bracia rodzeni, kiedy ja znów was zobaczę? Tam mi obarczą ramiona, nikt nademną nie zapłacze...

Tętni droga, lasy gwarzą, potok szumi na dolinie... Brzęczy coś, huczy coś, ktoś do chaty pędzi... Księżycowe lice, oczy ma jak gwiazdy, królewicz to pan — po naszą dziewczynę. Cały w złocie, w jasnej szacie, przy nim drużby królewicze, złotem, srebrem przepasani, jak jabłuszka malowani. Hej! otwórzcie chaty wrota, drużyna jedzie od złota, po dziewczynę, po malinę... Dary ojcu wielkie wiozą, bratu, siostrom i macierzy... Nie płacz, otrzyj oczy czarne, wianuszek mu oddaj rada... Malowany dwór u niego, złote progi, srebrne statki... A! ja płaczę, łzy mi biegną, nie będzie mi jak u matki...

O słońca wschodzie ruszył cały pochód na uroczysko pod dęby święte; stary ojciec miał im tam pobłogosławić. Drużby na konie posiadali, pannę młodą na wóz wsadzono

cały suknem okryty, cały kwiatami obwieszany. Za nią jechały nucąc a zawodząc druchny, goście, tłum ciekawy.

U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić o błogosławieństwo, padli ojcu do nóg, przybranej matce, wszystkim stojącym dokoła, aż do małych dzieci. Potem za ręce się pobrawszy, kołaczem się łamali, włożono im korony na głowy, pili z kubka jednego, dłoń w dłoni siedem razy dąb święty obeszli dokoła i ojciec ich trzykroć ziarnem obsypał, a poza niemi stojąca drużyna ciągle pieśni nuciła weselne.

Wylano bogom ofiarę, odpędzono czary i uroki, kadzono zielem, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak cały nazad się puścił do chaty.

Tu zabrzmiały pieśni nowe a inne. Dziewczęciu rozpletano włosy, kosę dziewiczą obcięto i głowę czepcem osłoniono, a gdy biała namitka otoczyła czoło młodej, łzy się jej z oczów rzuciły żałosne, śpiewy rozległy tęskne i bolejące. Żegnały ją drużki dziewice... ale gęślarz głośniej w struny uderzył i płaczu słychać nie było.

Do skoków stawać musieli weselni i na gwałt się weselić, aby wieczór ten złą dla życia nie był wróżbą.

Zanucono pieśni chmielne, bo też chmiel w głowach panowanie swe rozpoczynał.

— Chmielu, ty psotniku, co ty robisz z ludzi, dziewicą szła z chaty, mężatką się zbudzi... Chmielu ty mój chmielu, jak ty psujesz głowy, świat był wczoraj czarny, dzisiaj mi różowy... Chmielu, co po tyczce zwijasz się do góry, chciałoby się z tobą tak uczepić której... Dziewczęta, dziewczęta, uciekajcie z drogi, chmiel idzie, pan idzie, popodcina nogi... O chmielu, o chmielu, cudowneś ty ziele, przez cię jest szczęśliwych i biednych jest wiele. Chmielu ty weselny, królu nasz a panie, niechaj choć do jutra trwa twe panowanie.

O chmielu!...

Całą tak noc tętniała od skoków chata Mirszowa, tętniało i rozlegało się podwórko, niektórzy znużeni, na przyźbie spocząwszy ledwie, wracali pić i skakać.

Już młodzi byli na swironku w łożnicy, a piwo i miód

bez ustanku krążyły. Kto przypadł, ten sam sobie do woli czerpał z kadzi, no, w taki dzień każdy gościem był miłym. Kupy też tych, co szli na Lednicę, z ciekawością zwracały się ku chacie, stawały, zbliżały, dudarz grał, a gęślarze śpiewali.

Już słońce wstawać miało, gdy ujrzano z pola, śpiesznym krokiem idącą o kiju starą babę. Stawała niekiedy, oglądała się jakby przelękła, podnosiła kij i wołała coś przeraźliwym głosem, ale słów dosłyszeć nie było można, bo i dudarz grał donośnie, i gęślarze śpiewali, a młodzież, hasając, pokrzykiwała.

Wiedźma coraz żywiej biedz zaczęła zdyszana, poznano w niej zdala Jaruhę.

— Co jej jest? — zawołał stary Mirsz — leci, jakby oszalała...

— E! ona tak zawsze! — śmieli się inni — lubi piwo a chmiel z nią czyni, co chce, gotowa jeszcze pójść w skoki...

A Jaruha szła, biegła, oglądała się poza siebie strwożona i kijem kędyś pokazywała. Włos miała rozwiany w nieładzie, bieliznę pomiętą i zdartą, nogi pokrwawione.

Dobiegłszy zdyszana pod same wrota, krzyknęła:

— Uciekajcie! uciekajcie! Jedzie, toczy się smok, gadzina! Pomorcy idą! Wrogi tuż za mną w ślad...

Usłyszeli wszyscy, ale nikt nie chciał uwierzyć własnym uszom i szalonej kobiecie.

— Tuman się toczy, dymy kłębią, tętni ziemia. Uciekajcie! uciekajcie! komu życie miłe! Ludzie ratujcie się! Pomorcy idą!

Podniosła ręce obie do góry krzycząc i upadła zmęczona.

Stary Mirsz popatrzał w dal milczący i wpadł do chaty.

— Kto żyw, na konie! — zawołał.

— Jaruha przybiegła z wieścią, nawała Pomorców się toczy. Uciekać! Stara oszalała może, może stado owiec za Pomorców wzięła. Niech kto jedzie, podpatrzy. Tumany jakieś widać w dali.

Popłoch padł na taneczników, jak gdy kania się nad stadem kuropatw uwiesi, ale głowom zagrzanym nie bardzo

się wierzyć chciało. Mężniejsi się ku drzwiom rzucili, a dziewczęta i niewiasty do komory, krzyki zastąpiły śpiewy, głośniejsze od nich.

Doman też wypadł z chaty, za rękę wiodąc Milę przestraszoną i płaczącą, która czoło i oczy tuląc w dłonie, wołała: O dołoż moja! — o dolo!

W podwórku zwijając się, wszyscy jak poszaleli wołali głosami różnymi:

— Niemcy! Kaszuby! — wrogi!

Młodzież biegła po konie na paszę. Ale cóż mogła ta ta mała garstka przeciwko nawale nieprzyjaciela, o obronie myśleć było niepodobna, chyba o ucieczce jednej.

Parobczak, który pierwszy świerzopę starą pochwyciwszy u płota, na wzgórze się dostał, zobaczył tuman w dali, usłyszał szczęk i wrzawę i nawrócił wnet, wołając: Idą! — idą!

Głowy tracili wszyscy, nie było czasu prawie pomyśleć o schronieniu się gdziekolwiek, chyba na ostrów, na Lednicę — a tu już czółna, jakie były u brzegów, pierwsi co ich dopadli, pozajmowali i zamiast wioseł, chwyciwszy żerdzie, odbijali na głębinę.

Doman do szopy biegł po siwego, Mila za nim z rozpuszczonym włosem, bez wianka, ręce łamiąc, we łzach cała.

Nie myśląc już o drugich, mąż ją w pół chwycił i na konia rzucił, skoczył nań sam, wybiegł przed chatę, obejrzał się — krzycząc na swoich:

— Za mną, druhy!

Drużbowie też konie prowadzili, i jak kto stał, jakiego dopadł, uciekali. Niewiasty biegły nad brzeg, ręce łamiąc i padając. Czółen brakło. Niektóre z nich śmiało rzucały się w wodę i płynęły.

W wirze tym i popłochu, kto gdzie mógł szukał kryjówki, myśląc o sobie.

Mirsz stary miał jamę w ziemi wygrzebaną, do której wnijście było skryte, przy ludziach zdradzić jej nie chciał, z synem tylko, zobaczywszy Domana uciekającego, spojrzeli po sobie, zawrócili się gdzieś ku szopom i znikli. Nie pierwszą

to napaść podobną stary zdun w kopanej jamie, której szyja dobrze była zakrytą, przesiedział bezpieczny.

Za górą coraz silniej tętniało i dzikie słyszeć się dawały okrzyki. Chmura Pomorców i Kaszubów leciała z tumanem kurzawy, pędząc nad jezioro. Niekiedy z tego obłoku migały głowy i dzidy.

Jaruha zmęczona, jak martwa leżała na ziemi, dysząc sił ostatkiem. Chata, przed chwilą brzmiąca weselem, stała otwarta i pusta. Z korowajem obłamanym na stole, z kadziami piwa i beczkami niedopitego miodu. W podwórku nie było żywej duszy, psy u wrót ujadały.

Jedni koni dopadłszy, ratując siebie i niewiasty, gnali cwałem po brzegu jeziora, drudzy czekali wroga, aby dopiero, gdy bliżej naskoczy, rzucić się wpław i próbować ujść śmierci lub niewoli.

Po wrzaskach nastąpiło milczenie straszniejsze od nich jeszcze.

Gdzie i jak kto mógł krył się, tulił, pełzał, przypadał. Starsze niewiasty, opuszczone, w kupkę się zbiwszy, u wierzb stały na stoku nad wodą. W dali już widać było drużynę Domana i białe szaty Mili, które około siwego wiewały wiatrem rozdęte. Za niemi tuman kurzu pędził i uchodzących zdradzał.

Z dzikim wrzaskiem puścili się ze wzgórka Pomorcy w pogoń za uciekającymi, siekąc konie i ścigając ich zapalczywie. Drudzy już otaczali chatę i zagrodę, zagarniając, co żywego znaleźli. Psy u wrót, jedyni stróże, leżały pozabijane.

Reszta ludzi u brzegu stojąca, plusnęła w jezioro, zbiegła w trzciny i sitowia. Do tych Pomorcy strzelać zaczęli, kilka pocisków utkwiło w nich, krzyki słyszeć się dały, znikli. Pozostali usuwali się od brzegu, który gęsto obsadzili najezdnicy.

Z Mirszowej chaty oberemkami wynoszono łupy i wiano młodej, podarki młodego, nagromadzone mienie starego zduna. A że garnków brać nie myśleli, poczęli je z gniewem tłuc i o ściany rozbijać, pokrzykując za każdem uderzeniem.

Wzgórze całe, jak zajrzeć, przez wrogów było zajęte.

Wśród tłumu ich, dwóch młodych dowódzców widać było na koniach, około których, cześć im oddając, drudzy się obracali. Po strojach za Niemców ich wziąć było można i Niemcami też byli otoczeni, rozstępował się im tłum, a gdy z koni pozsiadali, szli z dwornią do pustej chaty.

Oba z jasnymi włosy, twarzami blademi, czarnemi oczyma, podobni do siebie, jak rodzeni, rodzonymi też byli. Synowie Pepełka Chwościska, szli znowu, mszcząc się i rodziców i niedawnej klęski. Za nimi, na powrozie ciągniono starca z siwą brodą, który gęślę potrzaskaną w ręku trzymał. Pochwycono go gdzieś na drodze, a Niemcy ślepych tych pieśniarzy nie cierpieli, bo oni śpiewali o starych lepszych czasach. Gęślarz szedł niemy, ze spuszczoną głową, popędzany kijmi i biczami, nie stękając, nie płacząc, nie oglądając się na tych, co śmiejąc się i urągając mu, smagali.

Na pustej ławie, na której niedawno panna młoda siedziała, zrobiono miejsce kneziowym synom. Tymczasem dwornia plądrowała po chacie, wynosząc co gdzie było. Grabiono jedne sprzęty, drugie młodym znoszono. Starszyzna zmęczona czerpała chciwie resztki piwa, z zakątków dobywano poznajdywane placki i mięsiwo na misach.

Stary gęślarz padł u progu, ale go za sznur wciągnięto do izby. Brodaty, obwieszony kawałami żelaza chłop, z oczyma zbielałemi, przystąpił do starca i kopnął go nogą. Chciano z niego dobyć wieści o bogatym chramie i skarbach na ostrowiu; grożono mu obwieszeniem i targano.

— Każcie wieszać! — wołał stary.

Chciano wiedzieć, ilu ludzi, jaka straż na Lednicy broni przystępu do kontyny, jak się najbezpieczniej dostać do niej.

— Ptakiem dolecieć, rybą dopłynąć — jęczał szyderskо stary.

Badano o najbogatszą w okolicy zagrodę, o najliczniejsze stada, ale starzec jęczał tylko, nie odpowiadał chyba szyderstwy. Zaczęto go nielitościwie smagać. Smiał się i śpiewał razem, głosem jakimś strasznym — aż oprawcom ręce drętwiały.

— O dołoż ty nasza — o dolo! Wesele i grób. Warzyli

Doman siedział na koniu na wpół skrępowany sznurem, a przed nim leżał trup młodej żony.

wesele, pogrzeb zgotowali. O dołoż ty nasza, o dolo! Smagajcie, a żywo, niech dusza wyleci z ciała prędzej, dość się nabolała. O Ładо! Kolado! Kupało! pomóżcie jej z ciała.

Jakby nie czując już krwawego smagania, stary przyczołgał się do wiadra z wodą, nachylił je do ust rękami obiema i pić począł. Zamierzył się nań jeden z oszczepem i strzymał.

Ciągniono do chaty połapanych u brzegów, powiązanych płaczących. Starszyzna niemiecka, otaczając młodych panów, naradzała się. Spocząć tu chcieli, naplądrowawszy, o Lednicy nie myśląc, bo na nią przeprawa była trudną, a napaść niebezpieczną.

Radzili tak jeszcze, gdy w podwórzu wesołe zabrzmiałe okrzyki. Stojący we wrotach wołali:

— Wiodą ich! prowadzą!

Niektórzy biegli ku brzegowi. Kupa ludzi, co się w pogoń puściła, ciągnęła rannego Domana, którego pochwyciła w ucieczce. Siedział na koniu na wpół skrępowany sznurem, a przed nim leżał trup młodej żony, w której piersi tkwił oszczep i krew z niej stygnąca płynęła. Lice miała białe — życie już z niej uciekło. Doman zębami powstrzymywał ją za koszulę, bo rękami skrępowanemi nie władnął, sam był okryty krwią, ranny, ale nie zdawał się czuć bólu.

Ludzie go wnet z konia ściągnęli, ale rozerwawszy sznury, trupa pochwycił z sobą, chcieli mu go odebrać, lecz ściskał tak silnie, iż we dwu i trzech zmódz go nie potrafili, padł z nim razem na ziemię.

Po sukni i z twarzy łatwo w nim zamożnego władykę poznali i z chaty wyszli doń synowie Chwostka, a z nimi Niemcy, ciekawie obstępując rannego.

Jeden z kneziów schylił się nad nim pieśń podnosząc.

— Psi synu — zawołał — gdy nasz gród palono, gdy naszych zabijano, tyś tam także być musiał, przewodziłeś może zbójom.

Drugi naglić począł, aby mówił, kto na gród prowadził? kto knował? Grożono śmiercią.

Doman nic nie odpowiadając, na trupa patrzał niemy.

Stali tak nad nim, to popychając go, to uderzając, to naradzając się z sobą, a chcąc koniecznie dostać języka. Lękali się może, aby ich znowu nie zaskoczono, ale nieszczęśliwy pan młody usta ścinał i słowa z niego dobyć nie było można.

— Myśmy kneziowie wasi! — wołał młodszy.

Doman dopiero głowę podniósł i popatrzał obłąkanym wzrokiem.

— Z waszego rodu żaden u nas kniażyć nie będzie! — zamruczał — niedoczekanie wasze. Wyście wrogi i zbóje, nie wam panować gadzin plemię.

Przekleństwem skończył i zmilczał. Kazali go wlec precz i odeszli gniewni. Znęcali się Niemcy nad nim długo, ale ścierpiał wszystko. Związanego, wraz z innymi poprowadzono do brzega, gdzie już gromada innych leżała.

Pod wierzbą Mirszową padł na ziemię wysilony. Ręce miał skrępowane, nogi wolne.

Wieczorem trup zabitej Mili sam leżał u brzegu. Doman pełznął do wody, gdy straż się pospała, rzucił się w jezioro i zniknął.

XXV.

a ostrowiu, na Lednicy, u brzegu stał mnogi lud, patrząc i przysłuchując się w milczeniu.

Od dalekiego lądu wiatr mu przynosił wrzaski i dym, w których czuć było palące się zagrody, od lądu woda niosła mu trupy, które podpływały do ostrowiu, jakby o pogrzeb prosiły.

Płynęły w wiankach zielonych dziewczęta, jak na wesele poubierane, i niewiasty starsze w namiotkach białych, które woda rozwiązywała i dzieci ze ściśniętemi rączkami, a straszliwie otwartemi oczkami ślepemi. Mrok padał, na lądzie tylko ognie widać było i dym, który pod wieczór rozścielał się jak chusty sine.

Stali u brzegu wszyscy z chramu wybiegłszy i Wizun na kiju sparty i siwowłosa Nania i Dziwa z twarzą bladą, i stróżki od zniczowego ognika, przy którym jedna ledwie została. Stali milczący, patrzali a słuchali — i co przypłynął trup wiatrem gnany do brzega, to się nachylał ktoś ku niemu, czy swojego nie pozna.

Przyjdą-li Pomorcy? Napadną święty chram? Rzucić go i uciekać, czy pozostać i dać się pozabijać u ognia świętego? Myśleli tak wszyscy, a nikt powiedzieć i zapytać nie śmiał.

Żaden jeszcze z najeźdźców nie ośmielił się nigdy na Lednicę. Nie jeden raz ognie widać było i słychać wrzaski, przecież odciągały wrogi jak przyszły, choć skarby chramu ich nęciły.

Na ostrowiu ludu było dość do brania w niewolę, a na obronę mało. Niewiast najwięcej, dziewcząt i niedołężnych starców i dzieci. W kontynie oręż by się znalazł, w szopach było go dosyć zabranego na wojnach i poskładanego w ofierze, ale któż go miał wziąć? za słabe były dłonie.

Wszyscy na starego Wizuna poglądali, który na pagórku stał, na kiju się oparł, patrzał i milczał. Chcieli mu wyczytać z twarzy co myślał, a twarz miał jakby zamarzłą z bólu i skrzepłą. Nie drgnął w niej marszczek, nie poruszyły się usta, oczy osłupiałe nie mrugnęły nawet, ani się łzą zwilżyły.

Choć wieczór nic już dostrzedz nie dozwalał, stali tak jeszcze, patrzali ciągle na Wizuna i ku lądowi. Wtem na fali coś plusnęło.

Ryba się to rzuciła, czy człowiek ratował? mrok widzieć się dawał. Coś jasnego wystąpiło z fali i znikło. Poruszała się woda. Człowiek płynął powoli osłabły. Wizun z pagórka szedł i zbliżył się ku brzegowi, tuż, oczy jego dopiero teraz patrzeć zaczęły, jakby rozeznać chciał.

Widać było ponad wodą głowę obmokłą, długim włosem okrytą... Pływak zbliżał się już ku wyspie. Jeszcze chwila a miał do lądu przypłynąć, lecz zdało się, że mu sił brakło.

Wizun sam rzucił się prędko ku wodzie, wszedł w nią po kostki, po kolana, ręce wyciągnął, topielec się zbliżał, rzucił ku niemu jakby wysiłkiem ostatnim i — za dłoń wyciągniętą pochwycił.

Starzec ciągnął go na suchy brzeg, ale już omdlałego. Nadbiegł posługacz, chwycono go dyszącego jeszcze, lecz jakby uśpionego ze znużenia. Krew zgęsłą na nim widać było i rany sine... Wizun przyklęknął nad nim.

— Doman! dziecko moje! żyjesz ty! — zawołał.

Oczy się otworzyły tylko i zamknęły. Podniesiono go i na sukni, którą Wizun zwlókł z siebie, złożono na murawie,

drugą opończą okryto. Stary klęczał wciąż przy nim. Zdala przypatrywały się niewiasty.

Dziwa, której imię Domana w uszach zabrzmiało, zbliżyła się też trwożliwie. Wizun zawołał na nią, aby podała ciepłego napoju.

Dyszał już ledwie topielec, mówić nie mógł, ale żył. Wizun schylony nad nim z wody go ocierał, i dłońmi ogrzewał własnemi.

Ruszyli wszyscy do ratunku, stara Nania pobiegła też ziela zgotować, któreby życie przywrócić mogło.

Zwolna topielec jakby ze snu się przebudzał, klęknęła przy nim Dziwa pojąc go sama, zapomniawszy o sobie i o wstydzie. Przyszła siwowłosa, Doman otwierał oczy, ale powieki opadały mu znużone.

Wzięto go już nocą na nosze z gałęzi i niesiono do Wizuna chaty. Stary odstąpił mu posłania i na ławie usiadł przy nim. Sam poobwiązywał mu rany. Przy chramie zawsze dla chorych ziela wszelkiego była siła. Wizun znał leki stare, spodziewał się więc dawnego swego wychowanka ocalić. Orzeźwiony, napojony usnął mocnym snem, do rana.

Opatrzywszy go Wizun, znowu poszedł czuwać u brzega. Po śmiałych Pomorcach wszystkiego się spodziewać było można, nawet napadu nocnego garści jakiej na Lednicę.

Nikt też spać się nie kładł do rana, siedzieli czatując u brzegu. Na brzask się miało, i cisza panowała dokoła, na jeziorze nie widać już było pływających trupów, na lądzie pogasły ognie, gdy Wizun, który czuwał z oczyma wlepionemi w jezioro postrzegł przy słabem świetle poranku, jakby plamkę czarną na jaśniejszej topieli... Posuwała się ona zwolna ku ostrowiu.

Płynął ktoś od lądu, lecz zwolna, jakby go sama fala niosła, bo wiatr dął z tamtej strony. Czasem czółenko stanęło, to znowu pędzone podmuchem, zawróciło się i płynęło dalej.

Dniało — wkrótce stary mógł już dostrzedz ponad wątłem czółenkiem, podobnem do niecki, zgarbioną, jakby uśpioną postać kobiecą, płachtą okrytą. Ze znużenia znać drzemała

w tem czółenku, które jej życie ocaliło, dając mu się nieść gdzie dola wiodła. Tak zwolna już nadedniem jasnym, skorupka ta do lądu przybiwszy zaczęła się kołysać, stanęła... Kobieta siedząca w niej przebudziła się, obejrzała, podniosła, płachtę zgarnęła, kij z czółna dobyła i — niepewnym krokiem chcąc się na ląd dostać, upadła.

Była to nieszczęśliwa Jaruha, której Pomorcy nie zabili, ocalała jako wiedźma, której czarów się lękano. Nocą jakiś zapomniany czółenek postrzegłszy na brzegu, siadła weń, odepchnęła się kijem, i powierzyła wiatrom i wodzie.

Upadłszy starucha odzyskała siły trochę i przytomności, orzeźwiła ją woda, którą obmokła, podniosła się, rozglądając dokoła. Wizun wstał, poznała go zaraz, podnosząc ręce, szła zwolna ku niemu.

— Żywie, bóstwo moje; od śmierci mnie uratowało. Już, już Marena chwytała za gardło chcąc ciągnąć do Jamy, a Żywie dobra macierz płaszczem swoim okryła... i stare kości ocalały.

— Dużo ludu zginęło? — zapytał Wizun.

— Dużo?? tyle ile go było... Zginęli wszyscy... Widziałam trupa tej co wczoraj była dziewczyną, a umarła oczepiona... Oszczep jej w piersi wbili. Zginął młody, poginęli drużbowie, drużki, do psa wybili wszystkich, do nogi.

Potrząsała głową starucha, patrząc w ziemię i ocierając twarz zmokłą.

— Spalone chaty?

— W popiele wszystko... w popiele... Krukom biesiada, a ludziom żałoba i łzy, — westchnęła.

— Pociągnęli dalej? — pytał Wizun. — Na to pytanie Jaruha nie umiejąc odpowiedzieć zrazu, palcem się zaczęła bić w czoło, sama z sobą biedując, aby myśli zebrać rozprzęgłe.

— Leżałam zabita na ziemi, gdy mnie Żywie płaszczem swym odziało... nie widziałam nic... nie słyszałam nic. Szumiało długo koło mnie, deptali nogami. Czekajcie? co się stało? Ha! nad ranem, nad ranem coś ich nastraszyło.

Bogunki i wodnice występować zaczęły z jeziora, wiatr

zadął i pędził ich precz... Ruszyli się, zawyli, i dalej z łupem pociągnęli, a trupy zostawili na brzegu. O! trupy bieleją jak kwiatki wiosną na łące... Poszli, poszli — już ich niema, ale któż wie, czy nie wrócą?

Wizun lżej trochę odetchnął, lecz czy starej Jaruże, której się w głowie mięszało, uwierzyć było można?

Pytana, coraz inaczej rozpowiadała... Potem i głosu jej zabrakło, siadła na trawie przy drzewie, głowę o pień oparła, twarz płachtą przykryła i usnęła.

Tymczasem i drugi czółen nadpływał. Wiózł on starego parobka, który w trzcinach się schowawszy, po szyję w wodzie stojąc do rana, dopiero o brzasku znalazł łódkę jakąś, by na niej do ostrowu dopłynąć.

Ten opowiadał, że Pomorcy złupiwszy i spaliwszy okolicę, nastraszeni jakąś wieścią w nocy im przyniesioną, nazad do swoich lasów pierzchnęli. Słyszał on, że tratwy i czółna wiązać chcieli, aby się dostać na Lednicę po skarby, ale ich spłoszył goniec, który od granicy bieżał. U jeziora nie zostały w istocie tylko popioły i gruzy, a stratowana ziemia i niepogrzebane trupy.

Uspokojony poszedł Wizun do chramu i do swojego chorego, ale ten spał jeszcze, a dobudzić się go było trudno. Stary więc nagotowawszy strawę, siadł czekać, ażeby sam z tego snu wyszedł. Niekiedy tylko rękę mu kładł na czole i sercu, czoło było gorące i serce biło żywo. Rany się pozamykały i przyschły.

Z południa ciężkiem westchnieniem zbudził się Doman, chciał podnieść — nie mógł, nie wiedział gdzie był i dopiero Wizuna mowa, pamięć mu zwolna przywróciła. Ten jeść i pić kazał mu, nie pytając już o nic, a po wypoczynku dopiero, usta otworzyć pozwolił.

Jak przez sen pamiętał Doman, wesele swoje, popłoch nagły, ucieczkę z Milą, pogoń za sobą, śmierć dziewczęcia, potem niewolę, znęcanie się, ostatni wysiłek dla ocalenia i walkę z wodą, którą choć osłabły, potrafił zwyciężyć, dostając się do ostrowiu. Przypomniał sobie jak w gorączce roz-

paczliwej bronił się śmierci, zdrętwieniu, jak fale unosiły go i rzucały, jak tonął i dobywał się z topieli, aż nareszcie u brzegu ujrzał nad sobą znaną twarz starego Wizuna... O smutnem weselu swem Doman mówić nie umiał. Wizun nie chciał słuchać.

— Wydychaj no chorobę, sił nabierz — rzekł Wizun — potem na koń wszyscy, i Pomorcom dać naukę.

— My dziś pszczoły w ulu bez macierzy, niema prowadzić, niema kazać komu, zginiem gdy tak potrwa dłużej. Leszków nie chcieli, niech wezmą kto z brzega, bez głowy się nie ostaniemy. Wyrocznie rzekły wybierzcie małego, wybierzcie pokornego, ubogiego wybierzcie...

Ani tego dnia, ani następnego Doman powstać nie mógł, paliło go pragnienie, snem gorączkowym usypiał, budził się z krzykiem i drzemał znowu.

Wizun przychodził, przesiadywał, oddalał się. Dwa razy gdy spał Doman, do chaty podkradła się Dziwa, podsłuchiwała pode drzwiami, uchyliła je ostrożnie słysząc, że usypiał, popatrzała na twarz bladą i pierzchnęła zarumieniona i przelękła. Lękała się aby ją kto nie chwycił tu, a widzieć go pragnęła, wstyd jej było samej siebie.

Trzeciego dnia podniósłszy się, siedzieć mógł i był spokojniejszy. Dziwa się już nie pokazywała. Nad wieczorem na nią kolej przypadała zanieść strawę dla chorego i starego... zawahała się, strach brał i ochota razem. Wizuna właśnie w domu nie było gdy przyszła, a Doman siedział sam... Obaczył przez okienko jak pierzchnęła z sieni.

— Dziwa! Dziwa! — zawołał — ranębyś mi opatrzyła, świeżem liściem obłożyła, gdybyś liście miała.

— Toż ci Wizun czyni sam! — odpowiedziała zdala chcąc ujść.

— Staremu się ręce trzęsą! — odparł Doman.

Dziwa chciałaby była pójść i wahała się, aż Wizun nadciągnął. Doman ujrzawszy go prośbę powtórzył.

— A idźże mu rękę przewiązać! — rozkazująco rzekł stary — nie czyja to sprawa tylko niewiast być powinna.

Dziwa usłuchać musiała i razem ze starym do chaty weszła zapłoniona cała. Doman siedział na ławie w koszuli i siermiężce, a na piersiach, gdzie się płótno rozchyliło, dziewczę postrzegło szeroką bliznę, tę, którą mu jej własna ręka zadała. Zdało się nawet dziewczynie, że ją może odsłonił tak umyślnie. W milczeniu posłuszna przystąpiła do ręki i prędko świeże liście babki przyłożywszy, cofnęła się co żywo, a za drzwi wyszedłszy, jak strzała pobiegła do chramu.

Wizun w twarz patrzał Domanowi, oba niemym wzrokiem niby się coś sobie powiadać zdawali.

— Dziewka się ciebie boi — rzekł Wizun — a ty niepoczciwy, znowu patrzysz na nią.

— Zapomniałbym może, gdyby mnie tu nieszczęsna woda nie przyniosła! — odpowiedział Doman.

— Dola — szepnął Wizun.

— Dola — powtórzył Doman — i zamilkł, stary coś poprawić poszedł w kątku, jakby chciał ukryć wyraz swej twarzy.

Nazajutrz, gdy Doman spróbował wynijść i usiąść w progu, nie pokazała się już dziewczyna ani tu, ani około chaty. Obiecywał sobie, że za dni parę ozdrowieje, sił nabierze i będzie mógł do domu powrócić.

Tymczasem zapadł znów gorzej, do późnej nocy przesiedziawszy na chłodnym wietrze i rosie, stary go do łóżka położył z gorączką. Żal mu się go zrobiło, gdy potem ujrzał osłabłym i z żalu może, sam zapadł, skarżył się, że go po kościach łamało. Dziwę tego dnia wołano do dwu chorych, aby im posługiwała Nie wymawiając się bardzo od tego, zobaczywszy Domana chorym, zajęła się nim w milczeniu, troskliwie, unikając tylko wzroku i nierozpoczynając rozmowy. Doman też może rad temu, że przybyła, płoszyć jej niechcąc, siedział milczący. Dopiero wychodząc, we drzwiach dziewczę podniosło nań oczy nieśmiałe, zaparło drzwi prędko i uciekło.

Jaruha od swego poranku, ciągle do wyspach błądziła. Było jej tu dosyć dogodnie, bo pielgrzymi ciągle jej potrzebowali i karmili, a od chramu też coś dawano. Gdy nie było

co innego do roboty, związawszy miotłę, zamiatała około tynów i przy progach. Nagadać się było z kim, pobłąkać, choć ciasno, mogła dowoli na ostrowiu, a sypiała pod drzewem, okryta płachtami, do czego zdawna była przywykła.

Ciekawość prowadziła ją po wszystkich zakątkach. Z kolei siadała na łące przy gromadkach u brzegu jeziora sama jedna pod starą wierzbą, lub na progu której chaty.

Tego dnia zobaczywszy Dziwę wychodzącą od Wizuna, zachciało jej się także zajrzeć do mieszkania starego.

Otworzyła drzwi, Doman siedział na pościeli, zaczęła mu się przypatrywać pilno. Widząc, że jej wnijść nie broni, powoli do izby się wsunęła.

— A! a! — rzekła — oswoiwszy oczy z mrokiem, który w chacie panował, ty to jesteś com ja ci ranę goiła, co ci żonę zabili! No, szkoda jej, hoża była i wesoła jak szczygiełek, alcby jej u ciebie nie było tak dobrze jak w domu.

— Czemu? — spytał Doman.

— Bo wy bohatery, żupany — mówiła stara — wy niewiastami teracie, u was jest ich zawsze dosyć! E? wszakże to ciebie Wiszowa córka była tak ukłuła? — dodała śmiejąc się Jaruha. Doman się wzdrygnął. — A ona teraz ziele nosi!

— Nie pleć, babo — zawołał — nie wspominaj!

— Onać tu jest i panuje — mówiła baba — jej się nie chciało u was garnki pomywać, woli z założonemi rękami przy ogniu siedzieć — ciągnęła powoli Jaruha — bo też to kmiecia córa, a dla tych to i knezia mało. Rączki mają białe, co pracować nie umieją, i oczka czarne, co pogardliwie patrzą...

Mówiąc zaczęła się przypatrywać Domanowi, którego bladą twarz oblał nagły rumieniec.

— A cóż? tu na ostrowiu musieliście z nią zrobić zgodę? — zapytała.

— Mało co ją widziałem — z pozorną obojętnością dodał Doman i zamilkł.

Stara niby zamyśliwszy się, sama dla siebie, stukając kijem w takt pieśni, śpiewać zaczęła chrypliwym głosem:

Doman siedział na pościeli — Jaruha zaczęła mu się przypatrywać pilno.

Oj — chodzę ja chodzę,
Jak biała lelija,
Gdzie się nie obrócę,
Wiatrek mną powija...
Wyjdę na policzko
Zaśpiewam se jeszcze,
Spojrzę na słoneczko,
Wysoko my jeszcze...
Lecą ptacy lecą,
Daleko, daleko,
Niech mój smutek wezmą
I niech z nim ucieką...

— Albo i to... dola — dodała prześpiewawszy — żeby was tu woda jej pod nogi przyniosła... Lepiejby już wam było nie spotkać się z sobą... a to się tobie blizna jeszcze otworzyć gotowa, gdy się zbliży dziewka co ranę zadała... Bo mówią tak, że nie pomszczona krew rzuca się, gdy ten co ją przelał podejdzie... A ona też znać się was boi, chodzi jak ziele mrozem zwarzone...

I trzęsła głową Jaruha, a gdy Doman milczał, ciągnęła znowu dalej:

— Czy ona wam teraz zbrzydła? no, powiedzcie... przyznaj się! gdybyście jeszcze do niej lgnęli... hm... to moja sprawa dziewuchom do chłopców, a chłopcom do dziewcząt pomagać... Stara baba, która w żarnach nie miele, radaby choć popatrzyć, jak się mąka robi! Znalazłoby się ziółko, sposób, urok... musiałaby ona wam być posłuszną i pójść gdziebyście jej kazali, jakby ja jej zadała!... Wy sobie myślicie może, żem ja niewarta psa, kiedy w takich łachach po świecie się włóczę... a ja się z takiemi znam, co wiele mogą... I jak zawołam, przychodzą do mnie... a jak każę, robią co im powiem.

Potem ciszej mruczała babina:

— Mnie się zmory boją i latawice... ja jak tupnę nogą, muszą mi krosnalki obuwie wiązać! o! o!... Podziomki truchleją gdzie ja się pokażę, mary i nocnice płoszę... bo ja sama wiedźma jestem.

Doman milczał, aż nierychło się ozwał obojętnie:

— A cóż wy na to możecie jak dziewka bogom ślubowała? niechce ona nikogo...

Rozśmiała się Jaruha.

— Hej! hej! — zawołała — ślubowała, ślubowała nie jedna, a mało to ich poszło od tego ognia w chramie do tamtego, co się w chacie pali? Niechby tylko chciała, nikt jej nie zabroni, byle do chramu okup dać! Wizun ich ma dosyć na posługę...

Doman patrzał i słuchał z coraz większą uwagą.

— Ja ją wam namówię!... — zamruczała Jaruha.

— Nie może to być! — żywo odparł Doman.

— Może! Ja wiele znam — śmiała się stara — choć popróbuję...

— Miałabyś chleb do żywota na stare zęby — rzekł chłopak.

— Tsyt! ja już zęba ani jednego nie mam — śmiała się wiedźma — co mi po suchym chlebie? nie ugryzę! Trzeba mi mleka, w którymbym go rozmoczyć mogła i kawałka mięsa. bo z tego posiłek najlepszy... a zjadłszy popić muszę... na dobry sen, juści nie wodą. Staremu ona niedobra.

— Wszystkobyś to miała — odparł Doman — i kożuch na zimę, ale to być nie może.

Jaruha z ławki wstała, zbliżyła się do łóżka, ręką pomarszczoną pogładziła po głowie chorego.

— Nie śpieszno się doma, jeźli go chcesz mieć... ja wiele znam...

To mówiąc zaczęła piosnkę nucić i wysunęła się z chaty wprost do kontyny.

Nie weszła jednak do środka, podniosła róg sukiennej zasłony, zajrzała, spuściła ją i siadła czatować na jednym z kamieni. Wiedziała, że tamtędy dziewczęta przechodzić musiały po wodę. Z pod nóg tymczasem zrywała zioła i trawy, przebierała je starannie i w pęczki wiążąc, do torby wsuwała.

Długo to siedzieć musiała, nim któraś z dziewcząt na pytanie odpowiedziała jej, że stara Nania wysłała Dziwę

dnia tego, aby w ogródku różne zioła zrywała, które w chramie na wianki i kadzenie dla chorych były potrzebne. Jaruha dopiero nad wieczorem dowiedziawszy się o tem, pociągnęła do sadu za chramem.

Był to niewielki pola kawałek, płotkiem ogrodzony, bo nie każdemu wchodzić tam wolno było, kilka starych wierzb i olch rosło pod okopem, który go opasywał. W pośrodku były zielone grzędy, a na nich pozasiewane zioła, macierzanka, smlot, boże drzewko, biedrzeniec, przestępy, wrotycze, dziewięciosiły.

Dziewczę już uzbierawszy to co jej nakazano, siedziało na wale, układało, obrywając suche liście i wiążąc pęczki. Jaruha z za płotu ukazała się, zagadując.

— Córuś moja, a tobym ci pomogła...

Dziewczę główką obojętnie rzuciło, ale stara weszła zwolna, na ziemi usiadła, nieproszona wzięła się do kupek leżących na ziemi i bardzo prędko i zręcznie składać je i wiązać zaczęła.

Milczała z początku, wpatrywała się jej w twarz, mrucząc coś niewyraźnie.

— O! o! — rzekła w końcu — jabym tu na Lednicy nie ważyła... Ciasno, cicho, świata nie widać, jak w kleci...

Dziwa wiązała trawy i nic nie mówiła.

— Przy ogniu musicie się piec... dym oczy wygryza. Krasy waszej szkoda... — coraz żywiej i śmielej ciągnęła. — Wy się tu męczycie dziewucho!... O! o! ja znachorka jestem ja wiem wszystko i znam... i przez gzło widzę, co się w człowieku dzieje... Tak! tak!

Dziewczyna zarumieniona mocno, spojrzała bojaźliwie.

— A cóż wy we mnie widzicie? co? co?

— Coś ja widzę... coś... ono się dopiero zawiązuje... poczyna — mówiła dalej Jaruha — ale trawa byle z ziemi wylazła, prędko rośnie... Niedarmo tu dola znowu Domana przyniosła! Co komu przeznaczone, to nie minie...

Na wspomnienie Domana rzuciła się Dziwa, spuściła głowę ku trawom i przebierać je prędko zaczęła a stara wi-

działa dobrze, że co je układać miała, to mięszała coraz gorzej.

— Znacie wy bajkę o pięknej królewnie? — rzekła.

Dziewczę nie śmiejąc jeszcze podnieść oczów, głową tylko milcząc potrząsało, jakby mówiła, że jej nie zna, a Jaruha tak dalej ciągnęła.

— Jednego czasu była na świecie bardzo piękna dziewka u króla, który ją kochał nad życie. Co tylko chciała to miała, ptasiego mleka nawet jej nie brakło... Aż, gdy wyrosła, a ojciec mówić zaczął, że czas za mąż iść, wręcz mu powiedziała, że nie pójdzie za nikogo, tylko za takiego, który od niej rozumniejszy i zręczniejszy będzie, a jej się upodoba.

Więc nad dworem królewskim złote koło przybito i zaczęli do niej jechać w swaty, i jechali królowie, panowie, kmiecie, żupany, kneziowie, chłopaki drobne, krasne... ale, gdzie!... wolność jej była miła, żadnego nie chciała.

Jeden był zaduży, to go obrem przezywała; drugi zamały, to go krosnalkiem zwała; ten był zaczerwony, tamten zablady, jeden zamądry, drugi zagłupi... dosyć że się nie spodobał żaden.

Po ogródku sobie chodząc kwiatuszki zbierała, piosenki śpiewała, z ludzi się śmiała, w boki się brała i powtarzała: Niebędzie mnie miał żaden! nie będzie!

Przyjechał który, wydziwiała srodze. Jednemu kazała sobie przynieść wody żywiącej, której smok o siedmiu głowach pilnował. Ten poszedł po wodę ze złotym dzbanuszkiem i nie wrócił; smok go połknął, a dzbanuszek sam do dworu przypłynął.

Drugiego posłała po złote jabłka na górę lodowatą, ten jechał, jechał, wpadł w przeręble i ryby go zjadły, tylko piórko od kołpaka pod dwór przypłynęło.

Trzeciego wyprawiła, aby jej gwiazd na sznurek nanizał, do noszenia na szyi; ten poleciał wysoko i sępy go rozszarpały, co pilnują nieba, tylko sznurek kraśny upadł pode dworem.

Aż się wybrał w swaty do niej królewicz Siła, czarownik wielki. Ten, gdy ją zobaczył, serce mu się zagotowało i rzekł w sobie:

— Bym i życie postradał, to ją muszę mieć!

Królewna jak go tylko zobaczyła, srodze się ulękła, poczęła bardzo drżeć i płakać.

Kazała mu zaraz iść za morze i przynieść tego ziela, co umarłych odżywia, do którego dostąpić nie można ino przez płomienie, a woda ich żadna nie gasi.

Królewicz zaraz się ptakiem stał, poleciał za morze, z góry na ziele padł, dzióbem je pochwycił, uszczknął i przyniósł gałązkę. Właśnie był królowi synek zmarł i smutek we dworze wielki był, przyłożyli ziele do serca, aż chłopak wstał oczy przetarł i zawołał: Dawajcie jeść, bo mi się bardzo dobrze spało.

A król szczęśliwy uściskał go i zawołał do córki:

— Inaczej już nie może być, musisz mi zaraz za niego iść.

Królewna zapłakała gorzkiemi łzami.

— Kiedy muszę, to pójdę — rzekła — ale nieinaczej, aż mu się ja siedem razy schowam i siedem mnie razy wyszuka. Dopiero będę jego...

Była bowiem wiedźma wielka, a mogła siebie i drugich przemieniać, jak się jej zachciało; ale królewicz też czarownik był jeszcze większy i umiał tak się przerzucić jak zapragnął.

Drugiego dnia, przez okienko otwarte, królewna poleciała gołąbką po dworze, zamięszała się w stado i z ptastwem latała... A że ptaki czuły w niej innego ducha, że nie swoją im była, co się do gromady zbliżyła, stado się zaraz rozsypywało, a ona siedziała jedna. Królewicz się jastrzębiem uczynił i pogonił za nią... Ulękła go się strasznie, usiadła na ziemi, przemieniła w dziewczynę. Patrzy, jastrząb przy niej królewiczem stoi i za rączkę ją bierze...

Poszła więc gniewna, zamknęła się w komorze, płakała, myślała nockę całą, nadedniem do ogródka się wsunęła, usiadła na grządce i liliją zakwita... Wszystkie lilije koło niej jak śnieg białe, ona jedna, że krew miała, więc na grządce różowiała...

Królewicz z ojcem idą do ogrodu... bieduje bardzo, gdzie jej teraz ma szukać, jak ją znaleść?...

Stanęli jakoś przy grzędzie przy lilji, gdy się do niej zbliżyli, biała lilija ze strachu jeszcze mocniej pokraśniała.

Królewicz zaraz poznał ją po rumieńcu, rękę przyłożył do łodygi, aż tu panna stoi i płacze.

— Poznałeś mnie dwa razy, nie odgadniesz raz trzeci.

I do komory leci, zasuwa się, na łóżeczku siadła, płacze, płacze, aż z łez strumyk płynie. Myślała, myślała, płakała noc całą, nad rankiem okno odsunęła... i złotą muszką wyleciała.

Leci, leci, ale strach jej wielki. Ptaszki za muszkami latają, tylko co ją który nie dzióbnie. Królewicz może podpatrywał, może mu kto podszeptywał, przemienił się w strasznego pająka, zasnuł w powietrzu pajęczynę ogromną — i czeka. Wróble muszkę napędziły i w siatkę mu wpadła... pająk do niej... królewna stoi i płacze.

— O dołoż ty moja, doleńko!

A pająk ją za białą rączkę trzyma.

— O! ja nieszczęśliwa! poznał mnie trzy razy... co ja poczne... gdzie ja się ukryję...

Znowu idzie do komory, siadła na łóżeczku, głowę nakryła i płacze a zawodzi. Dołoż ty moja, doleczko!

Siostry do niej pukają, przyszły i powiadają:

— Popłyń ty rybką na morze... morze szerokie, głębokie morze... nie znajdzie tam ciebie...

A ona zawodzi.

— Poznał mnie trzy razy, co ja poczne teraz, gdzie ja się ukryję?... W morzu są potwory... i boję się morza...

Płakała noc całą, a gdy rozedniało, na brzeg morza biegła; nie widziała, jak królewicz patrzył z za drzewa.

Plusnęła w wodę rybką złotą, a on tuż w srebrną się przemienił. Gdzie się złota rybka obróci, srebrna goni za nią. Uderzyły się głowami; słyszy królewna słowa:

— Czwartyś raz przegrała i musisz być moją.

Gdy te słowa usłyszała, panna do brzegu płynęła i biegła do malowanego dworu, zamyka się w komorze i płacze.

Płacze znowu noc całą, nadedniem się namyślała. U brzegu nad wodą tyle kamuszków leży.. któż mnie poznać tam może, gdy ja się białym kamuszkiem położę?... Poleciała na brzeg do świtu, w kamyczek się obróciła śliczny i leży.

Królewiczowi piąty raz już bardzo było odgadnąć trudno, rozpaczał strasznie. Gdzie tu jej szukać, w powietrzu, na ziemi, w wodzie, pod ziemią, czy nad ziemią? Szedł tedy na brzeg morza, chcąc się topić. Chodzi, chodzi, narzeka, ręce łamie, wtem na kamyk nastąpił przypadkiem... a jakie oczko śliczne!... Schyli się do kamyka, a tu panna wykrzyka i z ziemi wstaje, z suknią przydeptaną, bo ją nogą ucisnął.

— Znalazłem cię piąty raz... musisz być moją — wołał królewicz.

— Do siedmiu daleko! będziesz mnie miał za siódmą górą i za siódmą rzeką!

Panna do dworu gniewna bieży, aż na ziemi w komorze leży... tak się smuci, tak w łzach płynie. Postrzegła myszkę na podłodze, jak się zwinęła i do dziurki schowała, i myśli:

— Myszką się stanę... skryję się w norę... tam on mnie nie wyszuka.

Ale wróbel na oknie siedział, słyszał jak szeptała, poleciał do królewicza, usiadł mu na ramieniu i szczebiocze. — Panna myszką się stała... w dziurkę małą schowała! — Królewicz w kotka burego się odmienił, siadł i czatuje.

Myszce jeść się zachciało, pruszynki od korowaja pod stołem leżały, ledwie główkę pokazała, kotek drogę zastępując:— A tuś!

Zlękła się królewna, aby jej nie połknął, nie schwycił, aż tu słyszy te słowa:

— Poznałem cię szósty raz... moją musisz być teraz...

Padła panna na ziemię i płacze:

— Nieszczęśliwa godzina... dołoż moja, doleczko... co ja poczne z nim?

Na siódmy raz zeszły się wszystkie siostrzyce i druhny i czarawnice, radzą, radzą cały wieczór, i noc całą, dnieć zaczyna i nic nie uradziły... Królewna z płaczu i wstydu się

zachodzi. Wolałaby już była od razu za niego iść, niż siedem razy się sromać, a ósmy w niewolę popaść.

W okienku świta. Co tu począć gdy słonko wnijdzie?... Musi się przemienić! A słonka tylko nie widać!... Radziły siostry, radziły, aż się królewna zmieniła w starą żebraczkę, pomarszczoną, żółtą, straszną jak ja i... poszła żebrać na gościniec. Mówiła sobie: — Nie pozna mnie...

Stoi, stoi na drodze, jedzie król na koniku... co za baba stoi? Kazał dać jej miłosierdzie... pojechał. Myśli sobie panna: Ojciec własny nie poznaje! Wygrana moja...

Jedzie pan brat, jedzie, spojrzał na staruchę i rozśmiał się. — A! co za ropucha... spędzić mi ją z drogi...

Panna się odstąpiła i raduje.

— Nie poznał mnie własny brat... Wygrana moja...

Jedzie królewicz na siwku, w boki się wziąwszy i piosenkę nuci. Kołpaczek na ucho włożył, włosy mu złote wiatr rozwiewa... Nic się nie frasuje. Patrzy, żebraczka stara stoi... rzuca jej pierścień złoty.

Wtem panna ze trwogi, choć jej teraz poznać nie mógł, płachtę sobie na twarz zaciągnęła prędko... Tem się zdradziła. Patrzy panicz, i wnet do niej przyskoczy i pogląda jej w oczy.... Oczów odmienić nie mogła, świeciły jak dwa słoneczka... Porwał ją w pół, na konika rzucił.

— Poznałem cię siódmy raz, musisz moją być teraz...

I sprawił król wesele, na którem ja też byłam, miód i wino piłam — dokończyła Jaruha.

Hę! hę?...

Co komu przeznaczone nie minie.

Dziwa słuchając uśmiechnęła się i zamyśliła.

— Może — dokończyła Jaruha — tak to będzie i z Domanem, próżno od niego uciekać! W malowanym dworze byłoby lepiej niż na Lednicy, na ostrowiu...

Rzuciwszy to słówko, Jaruha wstała prędko, zanuciła i poszła. Wiedziała, że się ziarno rzuca w ziemię i leżeć musi czasem długo, nim zejdzie.

Dobrej myśli, podśpiewując, poszła wróżyć pielgrzymom, leczyć, zamawiać, okurzać, byle się za to posilić i napoić.

Dziwa w ogródku siedziała, ręce opuściła, oczy w ziemię wlepiła, powtarzała pocichu:

— Przeznaczone nie minie!...

XXVI.

pokoju nie było u Polanów od Kaszubów i Pomorców, których podprowadzili i zmawiali Leszkowie. Zaledwie odpędzono jedną gromadę, wpadła druga, każda z nich coraz głębiej sięgała i niszczyła. Ludzie nie wiedzieli, gdzie ich szukać. Raz się wdarli od północy, to znowu od wschodu... z prawej to z lewej granicy, gdzie się ich nie spodziano.

A starszyzna się tymczasem na wiece ciągle to pod gród, to na uroczyska po lasach zwoływała, radziła, swarzyła i z niczem precz jechała. Knezia sobie wybrać nie umieli. Nie było komu rozkazywać, ni kogo słuchać, ni komu dowodzić, a wrogów odpierać.

Ludzie się zabrali i do domów prędko rozbiegli.

Niebezpieczeństwo gnało w lasy, głód z nich wyganiał; spasione i stratowane pola stały odłogiem.

Było i takich wielu, co już Chwostka żałowali. Myszkowie dobrzy byli do obalenia, ale się do budowania nie zdali.

Ledwie jeden zbór rozszedł się daremnie, gdy już wici na drugi słano. Tłumnie gromadzono się na niektóre, na inne ledwie kilku się przywlokło, a po granicy miecz i ogień bujały jako chciały.

Zwoływano starych. — Radźcie. — Starszyzna stękała i rozpowiadała, jak to ono za dawnych czasów bywało.

Starzy do niczego — mówiono — młodszych ściągnąć potrzeba. Zbierali się młodsi; o wojnie i o łowach prawiąc, dzień zmarnowali... pod wieczór piosnki śpiewali o dziewczętach.

Gdy Leszków napłynęło dużo, Myszkowie szli precz, kiedy się tych więcej ściągnęło, Leszków drużyna swoich odciągała.

Co począć było, nie wiedziano, a przecież coś trzeba było poczynać.

Jednego wieczora, gdy się na Chwostkowem grodzisku znowu wiec kończył narzekaniem daremnem, spostrzeżono jadących ku niemu dwóch obcych ludzi, a ci co u Piastuna byli na postrzyżynach, poznali w nich tych samych, z którymi tam biesiadowali.

A że właśnie jeść mieli i posilać się po całodziennem wołaniu i stękaniu, wyszedł jeden z Myszków ku nim i w gościnę ich do wspólnego ogniska zaprosił.

Zsiedli więc z koni, przyszli do gromady, pozdrawiając ją w imię Boga Jedynego.

Zastawiono przed nimi kołacze i mięsiwo, piwo i miód. Mięsa jednak tykać tego dnia nie chcieli i chleba tylko ułamawszy, po troszę się piwa napili.

Młodszy z nich, widząc zasępione twarze i oblicze chmurne, zapytał, jakaby była przyczyna, że w tych mirach polańskich takie panowało zamięszanie, a oni też sami tak byli utrapieni.

— Jakże inaczej ma być — odezwał się Ścibor stary. — Otośmy jednego zła pozbyli, a drugiego napytali. Nie chcieliśmy niewoli, a nastało zamięszanie. Zrzuciliśmy z tego grodu plemię złe, które nas nękało, a innego sobie dobrać nie umiemy. Ziemie nasze niszczą wrogowie, my się im skutecznie obronić nie umiemy.

— Zaprawdę — odezwał się młodszy z gości — jest to wielkie złe, że mając wojnę wodza nie macie... Przejechaliśmy ziem wiele, od Dunaju począwszy po Łabę i Odrę,

a nigdzieśmy nie znaleźli ziemi, gdzieby knezia lub króla, albo wodza i głowy nie było. Sasi i Frankowie ściskają nas wszędzie, bronić się im trzeba, albo jak Obodryci trzymać z nimi, przeciw swoim, lub ze swoimi wiązać przeciw nim... Inaczej pójdą ziemie w niewolę... Czemże się to dzieje — zapytał gość — że wodza sobie wybrać nie możecie?...

— Tem — rzekł Scibor — iż każdy z nas chciałby nim być... i każdy się lęka, aby, gdy równy mu wczoraj nim zostanie, jutro go nie nękał.

Myślał trochę młodszy z gości.

— Jeżeli możniejsi się nie godzą — rzekł — jedni drugim zazdroszcząc i lękając się siebie, dlaczegóżbyście ze krwi waszej, ubogiego a małego człowieka dla jego poczciwości wynieść nie mieli?

Umilkli wszyscy, a zdziwili się mocno, iż obcy im tę samą radę dawali, którą przyniesiono od wyroczni. Spojrzeli po sobie i Ścibor zapytał.

— Czy wam to wyrocznia też powiedziała jaka, że małego wybrać mamy?

— Nie — odparł młodszy — ale kto ubogim być umiał, pokornym i zacnym, ten w szczęściu i wyniesion sprawiedliwym być potrafi...

A starszy dodał:

— Wszakżeż ubogim jest i ten, który nas czasu postrzyżyn syna swojego przyjmował u siebie, przecie go wszyscy szanujecie. A czemuby i ten waszym kneziem nie miał być?... Rozum ma potemu.

— Piastun... — zawołali wszyscy razem — Piastun!...

I jakby dopiero teraz przejrzeli jasno, wszyscy poczęli mówić o nim, chociaż między kmieciami jednym z najuboższych był.

Ponieważ noc nadchodziła, obcy podróżni, wkrótce potem pożegnawszy obradujących, jechali stamtąd precz, gospody sobie szukając.

Gromada długo naradzała się pocichu i stąd wprost niektórzy na koń siadłszy, do chaty Piastuna jechali.

Stary właśnie we wrotach stał, stado z pola wracające oglądając, które rżało na widok pana. Patrzał jak się do matek cisnęły źrebięta, jak młodzież między sobą gziła się i gryzła. Od bytności dwóch obcych i upadku Pepełka smętne i dziwne myśli przechodziły mu po głowie.

Ścibor, Bolko i jeden z Myszków przybywszy pod wrota z koni zsiedli i weszli do zagrody, pozdrawiając starego gospodarza.

— Rad gościom — rzekł do nich wesoło — chodźcie odpocząć pod strzechą... ale was uraczyć czem nie bardzo będę miał. W domu u mnie pustki... dopóki się coś nie zbierze, ubogim chlebem się przełamiemy... Czy z dobrą przynajmniej jedziecie nowiną, czyście nam pana dali?

Ci westchnęli spoglądając po sobie.

— Pana dotąd nie mamy, swobody aż nadto. Tymczasem pomorskie wilki głodne kraj nam niszczą, ani się im opędzić... Ledwie tchniemy. Leszki pozostałe coraz nam nowych na karki ściągają... Czas schodzi marnie.

Wtem Bolko wtrącił.

— A wy, barci waszych patrząc, z nami nawet na radę iść nie chcecie? Siwe słowo wasze wagęby miało u ludzi.

— Cóż słowo pomoże tam, gdzie już krew mówiła, a tej nie posłuchano? — ozwał się Piastun cicho. — Jam człek mały i ubogi...

Słowa te z jego ust posłyszawszy, ci co Wizuna wyrocznię słyszeli i radę gości obcych, spojrzeli po sobie, jak gdyby dola sama przez usta jego przemówiła.

— Jam człek mały i ubogi!

Jakby trwoga jakaś ich ogarnęła, zdało im się, że wolą było niebios i bogów, aby ten a nie kto inny został wybranym.

— Jutro — zawołał Bolko — teraźniejszego wiecu dzień ostatni... Nie może to być, ażebyście wy nie poszli z nami. Przybyliśmy tu po was, musicie iść... wołają was wszyscy... Jeżeli wy nie pójdziecie, rozpełznie się znowu wiec, a narzekanie będzie wielkie...

Stary nic nie odpowiedział.

Siedzieli jeszcze powzdychiwając, gdy w progu blady jeszcze i słaby ukazał się Doman, który z Lednicy powracał.

Widać po nim było co przebył, choćby nie mówił nic. Zasłyszano tu już coś o jego losie i wszyscy obstąpili go zaraz, dopytując co się z nim działo, a jak od Pomorców ocalał.

Zaczął im opowiadać, jako mu wesele sprawiono, a ledwie, że się ono skończyło, gdy Pomorcy z Leszkami wpadli. Obnażył blizny, które mu pozostały od strzał i od sznurów, jakimi go krępowano do kości, począł się burzyć i wyrzekać o pomstę nawoływając.

Pytaniom nie było końca, jak ujść potrafił i ocaleć. Ledwie wierzyć chciano, iż o swej sile mógł potem na ostrów dopłynąć. Drudzy o Pomorców, ich siły, o Leszków i o Niemców badali, jak oni byli zbrojni, czy się na kraj odgrażali. Na wszystko Doman odpowiadać musiał, starając się tą żądzą zemsty, jaką w sercu miał, natchnąć drugich. Rozżarzyli się też i odgrażać poczęli.

Doman także wołał, iż pilno było wodza wybierać, i że najgorszy nawet lepszym był od żadnego.

— Jeżeli prędko go nie obierzecie — dodał — każdy o sobie pamiętać będzie. Pozbierają się kupy zbrojne — i kto silniejszym się poczuje, drugich za łeb pochwyci. Ja sam ludzi jakich mam ściągnę do jednego, niech pola jałowieją, niech zdychają stada, niech je wilcy wyjedzą. Nam trzeba iść na tych, co nas nękają, do ich gniazda i wydusić tam to plemię, abyśmy raz pokoju zażyli.

Długo tak gwarzono u ogniska, a potem pokładłszy się przy niem na ziemi, spali.

Z brzaskiem dnia, pocichu Piastun sobie kobiałkę szykował do lasu, gdy Bolko i Ścibor spostrzegłszy to, wzięli go pod ręce.

— Ty musisz dziś być z nami — rzekli mu. — Gromada się tego domaga, a jej posłusznym być trzeba. Niechaj i Doman jedzie z nami, aby okazał rany i powiedział co jego oczy widziały.

Chciał się jeszcze stary opierać.

— Jam do pszczół, nie do wieców zdatny — mówił.

Ale to nie pomogło, upominali się wszyscy głośno, uledz więc musiał.

Pobudzono tych, którzy spali i wszyscy na koń siedli jechać do grodu. A że czeladź Piastunowa już się o brzasku do roboty rozeszła, na koniu więc z nimi jechał Ziemek młody, syn gospodarza, aby miał staranie o ojcowskiej świeżopie.

Pod wieżą obozem leżeli wiecujący, było ich tego dnia dosyć i coraz nowi jeszcze przybywali.

Grodzisko na którego żuzlach i gruzach trawa już porastała, wygniecione było i jak tok ubite przez nieustannie obradujących, a jednak ze zborów tych nic dotąd nie wyszło.

Posłuch o Niemcach i grożącym znowu najeździe, napędził starszyznę niecierpliwą. Niektórzy przybywali ze skargami, bo się im już Pomorcy dali we znaki. Szukali oni najmożniejszych dworów i napadali na nie najczęściej, ubogim łatwiej z dobytkiem do lasów schronić się było.

Kołem już leżeli wszyscy, gdy Ścibor, Bolko, Myszko Piastun i Doman nadciągnęli. Zobaczywszy starca, który w prostej siermiędze przychodził, tknięci wyroczni wspomnieniem i przez cześć dla siwych jego włosów powstali.

Wnet go zaproszono do koła, miejsce mu czyniąc i wołając:

— Radź nam ojcze, ratujmy się, bo oto giniemy! Mówiliśmy już wiele, mówcie wy, niech usłyszym co nam przynosicie.

Zewsząd się głosy podniosły ku niemu, ażeby pierwszy mówić poczynał.

— Azaż nie wiecie co czynić? — zawołał — ja wam nowego nie powiem nic. Zgody potrzeba i prędkiego wyboru. Litujmy się sami siebie a dzieci naszych. — Ładu nie mamy, nieład panem. — Ład czyńcie.

Milczenie się stało długie.

Wtem jeden ze starszyzny, którego zwano Krakiem,

a miał być starego kneziowskiego rodu, powstał z ziemi, czapkę uniósł do góry i wykrzyknął piersią całą:

— Ten nam kneziem będzie! Piastuna wybieramy!

Ucichło chwilę, a potem wnet buchnęło ze stron wszystkich:

— Piastuna obieramy!

— Kneziem Piastun! Krew nasza!

I nie było ani jednego, któryby nie powtórzył tego okrzyku, jednego coby mu się sprzeciwił.

Stary cofnął się, rękami, jakby odpychając od siebie głosy, które się rozlegały coraz silniej, a coraz to radośniej.

— Jam bartnik, człek prosty i ubogi — zawołał — ja ludźmi rządzić nie umiem. Stary jestem, dłoń mam słabą.

— Wybierajcie innego, nie czyńcie szyderstwa ze mnie.

To mówiąc i gdy tłum się ściskał, a mieszał, stary skinął na syna, który zdala z końmi stał. Nim się opatrzono co chce uczynić i zdołano zapobiedz temu, wyślizgnął się im z rąk, gdy sądzili, że ku innym idzie okrzykującym go gromadom.

W mgnieniu oka, zanim pomyślanoby go zatrzymać, już dopadł konia i wraz z synem w cwał ku zagrodzie swej poleciał.

Rzucili się, kto żył do koni, lecz nim je połapano, Piastun już dosyć odbiegł daleko, a świerzopa czując domową zagrodę, cwałem ku niej zdążała. Naówczas ujrzano widowisko osobliwe, stu może jeźdzców w pogoń biegnących za obranym kneziem, gdy reszta pozostała na grodzisku, poprzysięgała, iż z niego nie znijdzie dopóty, dopóki kneź im zwrócony nie będzie i zmuszony do przyjęcia wyboru.

Biegli więc ścigający co tchu, nie tracąc z oka Piastuna i udało się im tylko syna, którego koń mniej był rączy, w ręce pochwycić przerażonego pogonią, gdyż nie wiedział dlaczego ich ścigano i o ojca a siebie się lękając, łzami się zalewał.

Piastun pierwszy dopadłszy do kraju lasu znikł w nim z oczów kmieci, którzy go pochwycić chcieli. Zwolnili więc kroku wiodąc z sobą syna, a spodziewając się, iż w zagrodzie i ojca znajdą.

Przybywszy do dworu, napróżno pytali, nie wiedział o nim nikt, gdyż nie zatrzymając się w domu, wprost do lasu uciekł i skrył się w nim puściwszy tylko siwą, która swoim obyczajem do wrót przyszła i głowę na nich położywszy rżała, aby ją do zagrody wpuszczono.

Wielki żal ogarnął wszystkich na grodzisku, gdy się o zniknięciu Piastuna dowiedzieli — lecz, jak zrazu postanowili, tak dotrzymać chcieli i nie ruszać z miejsca, dopókiby obranego nie znaleźli. Ci co najlepiej lasy i okolicę znali, wnet poszli na zwiady w puszczę, sądząc, iż łatwo zbiega wynajdą. Minął jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a Piastuna nie było. Powracali z pogoni za nim koleją wszyscy, przyznając, iż tak się ukrył, że go wyszukać, a nawet na ślad trafić nie mogli.

A ci, co tak pragnęli władzy, dziwili się, iż był człowiek ubogi, który od niej uciekał i ofiarowanej przyjąć nie chciał.

Coraz to ktoś sam, lub w kilku ich szło po lasach za Piastunem, zawsze nadaremnie. Młodego tylko syna jakoby zakładnika trzymano, sądząc, że łatwiej tym sposobem ojca starego, który do jedynaka przywiązanym był, do powrotu zmuszą.

Lecz ani w lesie znaleść, ani go w zagrodzie, około której czatowano, przydybać nie mogli.

Upłynęło tak całych sześć dni, gdy około grodziska zjawiła się wędrująca wiecznie Jaruha.

Od czeladzi, która przy koniach stała, dowiedziawszy się, że Piastun uszedł w lasy i w nich się ukrywał, rozśmiała się starucha, nie wierząc temu, żeby ludzi tylu w pogoń za nim posyłanych z niczem wróciło.

Szła zatem do Ścibora i starszyzny, którzy na nią i patrzeć i mówić z nią nie chcieli.

— A ja go tu przyprowadzę — rzekła. — Lasów pewnie lepiej nie zna nikt nademnie, com nieraz obok z niedźwiedziem pod kłodą nocowała, przedemną się on nie skryje, ja go znajdę.

Tem bardziej że się z niej śmiano, starucha się uparła

iść Piastuna szukać, a że tak pewną siebie się być zdawała i drudzy pomyśleli w końcu, że bez przyczyny to być nie może, młodszych dwu zdala za nią pociągnęli.

Jak dzień z grodziska ruszyła Jaruha wprost się ku lasom kierując, z takiem bezpieczeństwem, jakby zawczasu wiedziała, gdzie ma szukać kryjówki starego bartnika. Idący z nią z trudnością mogli podążyć i przedrzeć się przez gąszcze, wśród których ona dróżyny przez zwierza dzikiego wydeptane znała, jak swe własne. W wielu miejscach puszcza, jak zasiekami zawalona była połamanemi wichrem i starością drzewami, które całe wały nieprzebyte stanowiły, porosłe gęstymi chwasty i puszczającymi się na próchnie krzewami. Przebywać było trzeba moczary, gniłe strumienie leśne, niziny wodą zzieleniałą zalane. Z pod stóp wyskakiwały spłoszone dzikie stworzenia, z trawy nagle do góry podnosiły głowy węże ogromne. Żaden z nich jednak nie rzucił się na Jaruhę, która do nich jakiemiś dziwnemi przemawiała słowami. Około południa stara na kłodzie siadła spocząć, dobywszy z torby kawałek chleba, spożyła go, dała nogom się wyprostować i szła znowu. Las podnosił się nieco ku górze i składał z nadzwyczajnej wielkości dębów, lip i grabów, podszytych leszczyną, która także do niezwykłej wysokości się wznosiła. Uszedłszy nim kawał drogi, ujrzeli jakby wał stary zieloną okryty trawą, porosły również drzewy, które wiek jego znaczyły. Wśród niego było jedno wnijście na stare hradyszcze. Jaruha wsunęła się niem rozglądając dokoła, a idący za nią w ślad zatrzymali podglądając.

W rogu, gdzie się dwie ściany wałów schodziły z sobą, był szałas a w nim na suchem z liści posłaniu ujrzeli Piastuna, który z łyka wiązał proste obuwie, jakiego naówczas najubożsi używali...

Jaruha weszła — a Piastun poruszył się jakby przelękły, gdy ją zobaczył.

Stanęła naprzeciw niego, spierając się na kiju.

— Tom was przecie znalazła — rzekła — a pora! tam się ludzie rozbijają czekając, a mały Ziemko płacze, bo go

Piastun ręką jej wskazał, ażeby zamilkła, gdy tuż i posłani Bolko
z Sobiesławem weszli na hradyszcze...

jakby w niewoli trzymają! Zlitujcie się nad dzieckiem waszem a wracajcie.

Piastun nie odpowiadając, ręką jej wskazał ażeby zamilkła, gdyż tuż i posłani Bolko z Sobiesławem weszli na hradyszcze, kłaniając się kneziowi...

Ujrzawszy ich ręce załamał stary.

— Jesteśmy po was posłani — rzekli — wszystek zbór czeka na was, ludzie proszą, wracajcie, gdy taka bogów wola. My bez was stąd nie pójdziemy.

Zbliżywszy się tedy, prosić go zaczęli usilnie, aby woli gromady zadość uczynił. Nie rzekł już nic tylko: Pójdę z wami.

Jaruha siedząca na ziemi, śmiała się z radości.

— A tom ja was miłościwy panie, zdradziła — rzekła. — Niechaj ludzie znają, że baba coś może. Chodziliby miesiąc i nie znaleźli was, gdyby nie ja.

Gdy Bolko, Sobiesław i Piastun szli zaraz nazad, bo się już im ani opierał, ani sprzeciwiał, starucha siadła na hradyszczu, porozwiązywała nogi i sama jedna została tu spoczywać.

Nie lękała się tak samo zwierza dzikiego, jak wężów i wszelkiego stworzenia. Wygodnie umieściwszy się zaraz w opuszczonym szałasie, przygotowywała do noclegu.

Piastun sam poprowadził swoich towarzyszów ku zagrodzie przez łąkę, na której stado z pastuszkiem znalazłszy, konie z niego dla pośpiechu wzięli. Lecz dla gąszczy w lesie pospieszyć nie mogąc, ku nocy dopiero w zagrodzie Piastuna stanęli, skąd Sobek sam przodem na grodzisko ruszył, oznajmując, iż knezia znaleźli i jutro go przywiodą.

Milcząc przesiedział cały wieczór gospodarz na ławie. O dniu Bolko wstawszy wcześnie, już był na straży. Piastun też nie przeciwiąc się, na konia siadł i jechali.

Na pół drogi do grodu, starszyzna była wyszła na spotkanie.

— Miłościwy panie — zawołał, ręce ku niemu wyciągając Krak — przecz nas opuściłeś? Wszak ci to wolą było Bogów, abyś nam panował i rozkazywał. Na was jednego zgodziły się gromady.

— Nie czułem się na siłach i nie czuję — mówił Piastun — trwoga mnie ogarnia. Ulitujcie się nademną. Wiem w ubóstwie, co czynię i jak idę; gdy mi moc dacie, ażali ja sam znam na co ją obrócę?

Wołanie wielkie go zagłuszyło.

— Piastun! Piastun!

Wtem tłum się rozstąpił i dwaj owi goście nieznani, których przyjmował w zagrodzie, stanęli przed nim. Zbliżali się z uśmiechem i pokłonem.

— Przychodzimy jeszcze raz, aby mężowi sprawiedliwemu, w imię Boga jedynego, przynieść błogosławieństwo.

Krzyki znowu i im mówić nie dały, wesele stało się w tłumach. Myszkowie, którzy znać przygotowany mieli kołpak kneziowski z piórem, przecisnąwszy się przez ciżbę, przynieśli go Piastunowi, młodszy z gości uczyniwszy nad nim znak, na siwe włosy starca nałożył.

I znowu wrzawa powstała, radość, głosy, wołania. Starzec stał zamyślony, niemal smutny.

A gdy się doń cisnęli wszyscy — rzekł:

— Widzieliście sami, że władzy nie pragnąłem, anim się jej dobijał. Kazaliście mi ją wziąć, biorę, dzierżyć będę tak, aby ład krzewiła, aby sprawiedliwość niosła, a jeśli surowym być zmusicie mnie, będę nim. Pomnijcie, żeście mnie zmusili do tego.

— Rozkazuj i rządź — zaczęto wołać ze wszech stron — niech będzie jako rzekniesz — niech będzie. Jeszcze raz okrzyknięto kneziem Piastuna, Ścibor mu rzekł kłaniając się do kolan.

— Czuwaj nad nami, jakeś nad pszczołami swemi miał pieczę.

Gwar wielki wrzał dokoła.

Ujrzano, że obrany miecza nie miał, Ścibór wnet swój odpasał i na znak władzy własnemi rękami go Piastunowi na biodrach zawiesił. Drugi laskę białą dał w dłonie.

Proszono znowu gości obcych, aby miecz i laskę błogosławili, i uczynili jak żądano, oczy podnosząc ku niebu, składając ręce i szepcząc coś pocichu.

Tłum miał ich za jakichś wróżbitów z daleka.

Piastun wciąż jeszcze, jakby przelękły tem, co się stało, nie wierząc uszom własnym i oczom, długo w niepewności milczał. Szepnął wreszcie do otaczających:

— Wola bogów i wasza niech się stanie. Jakoście mnie wybrali, tak pomoc mi winniście.

Jak do ojca cisnęli się doń wszyscy, wyrzucając mu, iż zbiegł od nich i opierał się woli losu. Po raz pierwszy w jednem kole Leszkowie i Myszki ocierając się o siebie, w zgodzie, razem okrzykiwali nowego pana.

Tymczasem oswobodzony syn Piastunów przybiegł, ojcu do nóg przypadając i ręce jego całując i uczuwszy się oswobodzonym chwycił konia, aby do matki z wieścią dobrą pospieszyć.

Stara Rzepica właśnie po wyjeździe męża u dzieży stanęła, gdy Ziemek wpadł do zagrody wesoły, zwiastując jej, że ojcu kneziowską czapkę na głowę włożono, że mu przypasano miecz i dano laskę białą i że mu się wszyscy do nóg kłaniali.

Rozpłakała się niewiasta, ręce łamiąc, a czując że się ich swobodne, ciche życie kończyło, a pełna trosk i niewoli służba ciągła rozpoczynała. Łzy jej z oczów pociekły, dziecię przytuliła do siebie, nie mówiła nic, a poznać łacno było, że nie pociechę, ale smutek i troskę widziała przed sobą...

Otarłszy łzy fartuchem, pocałowała Ziemka w czoło i napowrót do dzieży swej szła, boć w domu chleba teraz więcej niż kiedy było potrzeba.

Godzina jedna i druga zeszły na oznakach radości, szli potem na gród znowu i radzić chcieli, a raczej o rozkazy pytać, co poczynać.

— Dziś jedno jest do czynienia — odparł Piastun — kto żyw i silen, na koń niech siada. Dopóki wojna w domu, nic niema pilniejszego nad nią. Na koń więc kto może. Starszyzna ludzi niech zbiera pod stanice i przywodzi. Zaczem wołać zaczęto z okrzykami wielkimi:

— Na koń!

To było pierwsze słowo i rozkaz nowo obranego pana.

Wnet powołał do siebie osobno starszyznę, naznaczając radę do boku swego, postanowił wojewodów po mirach i okolicach.

Wtem, gdy tak na gruzach grodu Pepełków rozrządzał kneź — zawołał ktoś, ażeby grodzisko teraz do zgliszcza tylko podobne, opasać na nowo tynem, odbudować je i w niem panu obranemu uczynić dwór jaki dla knezia przystał.

— Nie — rzekł Piastun — miejsce to jest nieszczęśliwe i splugawione, nie chcę siedzieć tam, gdzie wspomnienia Chwostka i zgliszcza stałyby między mną a wami.

Tam będzie gród mój i stolica nowa, gdzie pierwsze odniesiemy zwycięstwo. Niechaj tu stołb pusty na wieki zostanie, świadcząc jak niecnota ginie marnie... niech chwastem zarasta plugawe śmietnisko.

Wieczorem nie sam już, ale liczną otoczony drużyną, która go opuszczać nie chciała, powrócił Piastun do chaty swej, żegnany znowu przeciągłymi okrzykami.

Obcy goście, którzy mu błogosławili, wśród zamieszania powszechnego, znikli niepostrzeżeni. Kazano ich szukać wszędzie, lecz nikt nie postrzegł, ani się opatrzył, kiedy i jak się wysunęli i znikli.

Gdy orszak prowadzący obranego knezia stanął u wrót zagrody, zapłakana jeszcze wyszła przeciwko panu swojemu Rzepica. Los dawnych kneziów serce jej trwożył, schyliła się ku ziemi, i ściskając nogi, zachodziła się od płaczu.

— Kneźno miłościwa — podnosząc ją, rzekł stary — gotuj co masz najlepszego, staw stoły i kadzie, aby ci, co mnie wynieśli, z głodem nie odeszli od progu.

Byłoby się jednak stało to, czego się lękał ubogi człek gdyby od rana, jak skoro wieść poszła po świecie białym, że Piastuna obrano, nie pospieszyli kmiecie z darami, aby ich krwi pan wstydu nie miał. Wiedzieli bowiem, że ubogim był. Komory więc pełne były, i na niczem nie zbywało.

Tłumy z okolicy, dworów sąsiednich i chat, jak po dro-

dze już witały króla bartnika, tak teraz oblegały zagrodę okrzykując go nieustannie, cisnąc się doń, i uważając za dziw dziwów wybór nowego pana, którego im wyrocznie naznaczyły. Obcych owych gości jako posłańców bożych głoszono.

Pozapalano stosy łuczywa jak w noc kupałową i dzień uczyniono świątecznym, bo przyniósł z sobą nadzieje pokoju i zgody... Całą noc do białego dnia młodzież z żagwiami biegała, budząc po dworach wesołą nowiną, i co chwila nadbiegali kmiecie pozdrawiając pana i okrzykując. Przez nich potem wici na wsze strony rozsyłano, aby ktokolwiek oszczep mógł dźwignąć, stawił się pod swego wojewodę z rodem i czeladzią.

Chwytając i mieniając po pastwiskach konie lecieli parobczaki z wiciami od dworu do dworu, od chaty do chaty.

Cicha zagroda starego bartnika dzień i noc teraz wrzawy była pełna. Stąd wyruszyli tysiącznicy, setnicy, dziesiętnicy, starszyzna wyznaczona do dzielnic, zwoływać i dobierać lud wszelki.

Nie upłynęło więcej nad ćwierć miesiąca, gdy ponad jeziorem tysiące młodzieży szeroko obozem leżało. Tych Piastun codzień sam z wojewodami dzielił, ustawiał, opatrywał i zachęcał do boju.

Pomorcy z Kaszubami i Niemcami na czele, zniszczywszy wszerz i wzdłuż niemałą kraju przestrzeń, z łupem i niewolnikami wrócili wprawdzie z pod Lednicy, obawiając się zasadzki i utraty grabieży, ale wiedziano dobrze, iż Leszkowie nie wyrzekli się praw swoich i zemsty, której pragnęli.

Zwykle idące za łupieżą kupy cofały się obładowane nią w lasy, aby spocząwszy i pozbywszy się ciężaru, nanowo rozpocząć najazd, nowych sobie przybrawszy ochotników.

Młodzi synowie Chwościska cofali się tak z garścią najemnika na Pomorze, ale ciągle czynnymi byli i nowe zaciągi sprowadzali.

Ludzie na zwiady wyprawieni na rubieże, przynieśli wieści, że się nowa gotowała wyprawa.

Teraz się już nie lękano, owszem żądano prawie, mając czem napastnika osaczyć i zwalczyć. Droga, którą on chodził, spustoszoną była, nowej więc szkody uczynić nie mógł, a w lasach spodziewano się go oskoczyć i wymordować do nogi.

Synowie Chwostka mogli też łatwo wpaść w ręce.

XXVII.

ybór Piastuna w kilka dni po całej rozszedł się ziemi, podawano wieść o nim z zagrody do zagrody. Dziwili się wszyscy, a im dalej do Gopła, tem powieść o osobliwszej bogów wyroczni i woli, inaczej była opowiadaną. Wierzyli wszyscy, iż to było zrządzeniem woli, która światem rządzi... Obcy ludzie jacyś, nieznani, przyszli jakby umyślnie zesłani rzucić słowo, możni nie mogli się im sprzeciwić, jednym głosem i wolą wywołano starego bartnika z lasu, uciekającego pochwycono i zmuszono do panowania.

Leszkowie tylko i ci, co im sprzyjali, a krwią byli związani, nie śmiejąc nic rzec, smucili się bardzo. Lękali się ci, co do ich rodu należeli, aby ich nie wytępiono i zemsty nad nimi szukano.

Na wiecach późniejszych, Miłosz stary, głowa rodu, nie pokazywał się więcej. Ze ślepym Leszkiem swym zamknął się w osamotnionym grodzie, obstawił strażą, podwoił załogę — siedział cicho. Starzec teraz jedną tylko żył nadzieją, że się po oślepionem dziecięciu potomka doczeka i we wnuku na nowo odrodzi.

Dla Leszka wyszukano żony, stara macierz stała się piastunką dwojga dzieci, czuwając ciągle nad niemi. Dano mu

dziewczę piętnastoletnie, a że ślepota i jego uczyniła dziecinnym, bawiło się ich dwoje pod dębami starymi przy matce, jak gdyby zaledwie rozpoczynali życie. Leszkowa żona, którą Bielką nazywano, ślepemu swemu siedzącemu przy niej śpiewała, on grał na gęśli, a matka stara bajki im o bohaterach prawiła, i tak dnie schodziły powoli.

Ojciec ukryty przysłuchiwał się czasem wesołemu gwarowi smutnej pary, nie pokazując się i nie mięszając do rozmowy, aby słowem jakiem nieostrożnem boleści i nieszczęścia nie przypomniał. Osłodzić chciano życie biednemu kalece, dla którego świat cały był w jednym głosie i sercu jednem.

Dni tak płynęły niepostrzeżone, jedne za drugimi wszystkie do siebie podobne; rzadko głos obcego człowieka u wrót się odzywał, rzadziej jeszcze wpuszczono go do grodziska. Starszyzna z Bumirem kilka razy domagała się widzenia z Miłoszem. Raz jeden tylko wpuścić ich kazał, powiedział, że do niczego mięszać się nie chce i odprawił, a gdy potem z naleganiem wrócili, już im nawet wrót nie otworzono.

Jednego z pierwszych dni, gdy po obiorze Piastuna, Leszkowie się niepokoić zaczęli o siebie, zastukano do wrót gwałtownie, było zpołudnia.

Stary Miłosz leżał pod dębem na uboczu, za drugim Leszko z Bielką siedzieli o gruby pień oparci, stara matka była z niemi. Do Bielki z dębów stadem zlatywały się gołębie, a ona je, rzucając ziarno, karmiła. Przy Leszku leżały psy jego, które on pieścić lubił. U nóg starego Miłosza wyciągnięty mruczał niedźwiedź jego nieodstępny i dwie sroczki domowe skakały. Gdy u wrót hałas się dał słyszeć, gołębie pierzchnęły na drzewo, psy szczekając i ujadając się zerwały i niedźwiedź począł mruczeć, choć mu się łba z ziemi podnieść nie chciało, sroki narobiły wrzasku biegając i podskakując po ziemi, to przysiadając na gałęziach. Tymczasem stróż u bramy wylazł na pomost górny i przypatrywał się, kto przybywał.

Stało tam dwóch ludzi, opończami lichemi otulonych, wyglądających biednie i ubogo, z pozasłanianemi twarzami. Przed chwilą straż chodząca na wałach ujrzała ich szybkim

krokiem wychodzących z lasu, gdzie zapewne konie zostawić musieli, bo w zaroślach coś migało.

Stróż nie mógł dopatrzeć twarzy, lecz z ruchów i głosu domyślał się młodych ludzi. Oba niecierpliwie domagali się, aby ich dla rozmowy do Miłosza wpuszczono.

Odźwierny im odmówił.

— Kneź chory, do niego nie wpuszczają nikogo.

Napróżno napierali się i łajali, nie pomogło nic.

W ostatku jeden z nacierających tak do bramy, zdjął z palca pierścień i ukazując go, rozkazał stróżowi, aby natychmiast niósł ten znak do pana.

Przez otwór zasuwany we wrotach ująwszy pierścień, który był przepołowiony i na palcu łańcuszkiem się trzymał tylko, stróż powlókł się pod dęby do pana, bijąc mu czołem oddał do ręki.

Miłosz popatrzał, westchnął, coś jak łza potoczyła mu się po policzkach i brodzie, skinął na żonę, aby dzieci precz do dworu odwiodła i kazał wpuścić tych gości.

Pierzchnęło wszystko z podwórza, psy nawet powlekły się za Leszkiem. Odsunięto drągi, otwarto wrota i dwaj przybyli weszli zwolna. Tuż za wałem zmieniły im się zaraz postawy i twarze. Stali tam wprzód skurczeni i pokorni, tu się im wyprostowały barki, podniosły czoła, zaświeciły oczy.

Byli to Leszek i Pepełek, dwaj synowie Chwostka.

Oglądając się niemal pogardliwie dokoła, zbliżać się poczęli do Miłosza, który się nieco podniósł, gdy ich zobaczył, ale nie wyszedł na spotkanie. Oczy tylko zwrócił, by się im przypatrzeć zdaleka. Gdy przed nim stanęli, ręką ich powitał i czekał.

Natenczas starszy się odezwał do niego.

— Dostaliśmy i my się do was kneziu z niebezpieczeństwem życia, bo my tutejszego pana dziedzice, jak zwierz dziki jesteśmy ścigani. Wy tu jesteście zamknięci, nie chcecie bronić praw swego rodu... Przyszliśmy was zmusić, abyś szedł nam pomagać i dał ludzi.

Miłosz się popatrzał groźno na obu.

— Wy? mnie? zmusić?... — jęknął powoli.

— Tak — ciągnął dalej starszy — tak, ja po ojcu odziedziczyłem władzę choć młody... panem jestem i nad krajem i nad wami. Przynajmniej rodowi własnemu i krwi nie dam się przeciwko sobie podnosić.

Miłosz słuchał, niekiedy mu oczy błysły, niedźwiedź u nóg jego leżący, głos obcy i ludzi czując nowych, mruczał dziko. Zdawał się czekać tylko skinienia, aby się rzucić na nich.

— My musimy — ciągnął starszy — i ziemię naszą i gród odzyskać. Wszyscy Leszkowie muszą pójść z nami. Tę czerń i tłuszczę, co podnosi głowy, trzeba zgnieść i wytępić, wybić i spętać.

Mówił powoli, przestając co chwila i wyczekując, ażali nie odezwie się Miłosz. Kneź milczał.

— Przyszliśmy oba zapytać was, czy z nami trzymacie, czy z tą czernią i chłopstwem?

W starym Miłoszu widocznie się gotowało i burzyło już coś, choć wstrzymywał się z mową. Niekiedy oczy z krwawemi powieki podniosły się i wąs siwy zakąsał, ręka wychudła, ogromna, jakby z samych kości złożona, którą na kolanach trzymał, dygotała niecierpliwie.

Na ostatnie pytanie, wyzywająco rzucone, buchnął nareszcie.

Ręka się podniosła.

— Z wami, ani z nimi trzymać nie chcę — krzyknął gwałtownie — znać was nie chcę, nie znam! Stoi was tu dwóch zdrowych i żywych przedemną, a gdzie synowie moi?... Jakeście się ośmielili wnijść tu... wy... Wiecie, że ojciec mojego syna zabić, drugiego oślepić kazał? Przyszliście mi przypomnieć, że ja krwi dzieci moich winienem, jednego z was kazać ściąć tu — zaraz, a drugiemu wyłupić oczy i rzucić je psom.

Oba synowie Chwostka zczerwieniwszy się, chwycili bezmyślnie za miecze u pasa, spojrzeli po sobie strwożeni nieco.

Stary też patrzał na ich twarze młode, kwitnące, na oczy

ich jasne, i gniew a żal opanowywały go coraz mocniej. Młodzi kneziowie milczeli.

— Wy, mnie, tu, na moim podwórku przychodzicie rozkazywać... mnie zmuszać? Wy... mnie!...

Starszy z gniewu pokraśniał cały.

— Mam to prawo, co ojciec! — zawołał nogą tupiąc w ziemię i czoło dumnie podnosząc do góry. — Wołam was na wojnę za nasz i wasz własny ród. Ojciec mój kazał zabić syna twojego, bo mu się burzył i powstawał; oślepił drugiego, bo szedł za nim i robił toż samo... łaska, że mu życie zostawił.

Miłosz nagle dźwignął się z ziemi, róg miał za pazuchą, podniósł go do ust i zatrąbił.

Ze wszystkich stron podwórza czeladź się zbiegać zaczęła.

Chwostka synowie niepewni, co się stanie, dłońmi tylko cisnęli miecze, ramię do ramienia się przyparli, twarze im pobladły nieco.

Przodem biegł stary Smerda kneziowski, oczyma przerażonemi patrząc, co się z panem jego działo. Miłosz stał i drżał, rękę wyciągnął ku młodym i ukazując ich, wołać począł głosem zmienionym.

— Związać tych ludzi... i rzucić do lochu! do lochu!

— Nas! wiązać? — wrzasnął starszy, rzucając się ku Miłoszowi — tybyś śmiał?

— Samiście szukali tego, oddaliście się mi w ręce, abym pomścił synów moich... Krew ich żąda waszej... Jeden z was zginie, oślepnie drugi.

Odwrócił się, ludziom nadbiegającym ręką ich wskazując.

— Związać ich!... do ciemnicy!

W mgnieniu oka czeladź się na kneziów rzuciła, ci barkami oparłszy się o siebie, dobyli mieczów i stawali do obrony. Wtem jeden z pachołków rzucił się na ziemię i za nogi schwyciwszy, obalił młodszego, drudzy za ręce ich już chwytali.

Powstał krzyk i wołanie. Związano obu mimo oporu leżących na ziemi.

Ze dworu na ten hałas powybiegały niewiasty, służba

z najdalszych kątów, wysypywało się co żyło, psy ujadać zaczęły, niedźwiedź zaryczał, spinając się na łapy. Dwu kneziów wiedziono do ciemnicy.

Była to nie izba, ale jama na pół w wałach w pół pod ziemią wygrzebana, dylami ostawiona, ciemna, którą drzwi ciężkie zamykały jak studnię. Długa szyja od wnijścia schodziła w dół do wilgotnej pieczary.

Chwostka synów na ręku niosąc, popychając, ciągnąc, pomimo rzucania się i oporu, rzucono do głębi i natychmiast zawalono drzwi, na które ciężki kamień się potoczył.

Wrzawa nagle ustała. Stary Miłosz począł chodzić po podwórzu, koszulę szarpiąc na piersi, dysząc i jęcząc straszliwie, tarł czoło i łamał dłonie; wiatr długą siwą brodę mu rozwiewał.

Zdawał się walczyć z sobą. Niekiedy wypogadzała mu się twarz, to dziczała, zasmucała i rozjaśniała. Myślał o pomście za własne dzieci, ale ci, na których chciał się pomścić, to były wnuki jego, sieroty bez ojca i matki.

Gdy Miłosz rzucał się tak, zbierając się co chwila zawołać Hulę dla spełnienia wyroku, we dworze, mimo ciszy, panował niepokój i trwoga.

Ludzie knezia poznali dzieci ostatniego pana i choć spełnili na nich, co im rozkazano, przerażeni byli, przelękli tem, co uczynić musieli.

Litość się w nich obudziła.

Wszystek dwór Leszków trzymał sercem z ich sprawą. Niewolniczo posłuszny, niewolniczo też przywiązanym był do panów. Szemrano dziwnie, zdala spoglądając na Miłosza, który wielkimi krokami pod dębami chodził, sam coś mówiąc do siebie.

Hula, którego też Obrem zwano, stał też zdala, czując, że może być potrzebnym. Sam kneź Miłosz wzrost miał ogromny i siłę. Niejeden ród wówczas nią słynął, ale Hula, oprawca, wszystkich we dworze przechodził wzrostem i mocą. Mówiono, że był potomkiem tego rodu Obrów, co niegdyś byli ujarzmili Dulebów i znęcali się nad nimi, niewiasty ich

do wozów sobie wprzęgając, aż póki z tych nieszczęśliwych zrodzeni właśni ich potomkowie nie zwyciężyli i nie odegnali precz najezdników. Hula Obr zaledwie na pół był człowiekiem, więcej obłaskawionem zwierzęciem, jak niedźwiedź, co się u nóg starego Miłosza wylegiwał. Do żadnej izby wnijść nie mógł, póki się nie nagiął na poły; wóz z sianem brał na barki i nosił go, jak drugi wiązkę siana. Zwierz mu się nie oparł żaden, a ludzi gniótł w garści, jak słomę. Cały gęstym włosem obrosły, ledwie potrzebował okrycia. Żywił się najczęściej mięsem surowem, a zimą sypiał w śniegu. Najokrutniejszy spełnić rozkaz, było dlań najmilszą zabawką.

Zamiast mowy, mruczeniem jakiemś się odzywał, niezrozumiałem i śmiechem. Na grodzie Hula zastępował wielu, bo ani koń zdziczały, ani żadne stworzenie strasznem mu nie było, byle je mógł pochwycić.

Kneź już oczy zwracał na Obra, a ten stał niespokojnie, spoglądając ku niemu; skinienia mu tylko było potrzeba — czekał.

Trzy razy Miłosz głowę ku niemu skłonił, a słowo mu na ustach zamierało.

Wtem do wrót gwałtownie się dobijać poczęto i wołanie za niemi słyszeć się dało, aby kneziów wydano.

Straż nad bramę wyszedłszy, ujrzała z lasu ciągnący oddział silny, który się powiększał coraz. Po strojach i orężu poznać było łatwo Niemców, Pomorców, Kaszubów i domowników Leszków, zmięszanych z nimi. Krzyki coraz silniejsze słychać było, domagające się kneziów.

Miłosz miał ochotę kazać Obrowi zdusić obu i trupy ich wyrzucić za wrota.

Co chwila tłum oblegający rosnął, oddział w lasach ukryty na dane hasło ściągał się i zewsząd opasywał grodzisko. Stojący na przedzie groźno dopominali się dwu panów swoich. Załoga, która powybiegała na okopy, obyczajem ówczesnym poczęła rozmowę i łajanie wzajemne.

Starszy Smerda z przerażeniem spojrzawszy, co się pod zamkiem dzieje, pobiegł do Miłosza, aby mu oznajmić, że

całe wojsko u wrót stało, że obronić mu się nie będzie podobna. Ale stary, nie uląkłszy się wcale, sługę przekleństwem odegnał.

Nadbiegła żona, przyszedł oślepły Leszek do ojca, nikt z rozwścieczonym starcem mówić nie mógł. Przypomnienie dzieci pragnienie zemsty zaostrzało. Nie śmiał jednak wydać rozkazu, który mu błądził po ustach.

Wieczór tymczasem zapadał, mrok nadszedł i stojący poza okopami ciągle wykrzykując, poczęli się kłaść obozem pod grodziskiem. Z obu stron nie rozpoczęto kroków zaczepnych, nie rzucił się nikt, bluzgano tylko nawzajem wszetecznemi słowy.

Noc nadeszła czarna, której gwiazdy rozjaśnić nie mogły. Kneź nic nie powiedział jeszcze, lecz Obr zawołany stał za nim i patrzał mu w oczy.

Smerda już nocą przyszedł nad wrota i krzyknął starszyźnie, domagającej się wydania Leszków, że jeśli się na gród targną, głowy ich natychmiast spadną.

Mimo ciemności, cała załoga uzbrojona na wałach się rozłożyła. Byli to ludzie, co od dziadów w służbie u rodu Leszków, z niewolników porodzeni, nawykli do nich, patrzali na to, co się działo, starych żałując czasów. Ci, których teraz miał Miłosz, pamiętali ojca Pepełka i służbę swoją na jego dworze.

Miłosz surowy był, obawiano się go, życie tu było nędzne i nieznośne. U wrót nocą zaczęły się nieznacznie z łajań szepty i namowy do zdrady.

Gdy Miłosz chodząc zdala, burzył się, bijąc sam z sobą, co pocznie, pomści się, czy puści wolno, ludzi mu przekupywano, aby otworzyli wrota oblegającym.

Nad ranem wszystko ucichło, zdało się, że z obu stron znużone gromady posnęły, gdy cicho rozwarły się wierzeje i gromadka zbrojnych, a za nią cały tłum gęsty wpadł i wtłoczył się na podwórze. Chrzęst wrót, które cisnąc się złamano, obudził starego Miłosza.

Gdy on, z Obrem i garścią wiernych ludzi, których miał

przy sobie, posuwał się z oszczepem ku wnijściu, gród już był w ręku Pomorców i Niemców, z wrzawą i krzykami biegnących w podwórze i zalewających grodzisko. Ktoś odwalił kamień od lochu, w którym zamknięto młodych kneziów i wypuścił ich z ciemnicy.

Ciżba zdziczała rzuciła się rżnąć i mordować mściwie.

Pierwszy Miłosz padł przebity dzidą. Stojący przy nim Obr kilku ludziom, porwawszy ich, czaszki o pnie dębów podruzgotał, ale i jego w końcu przywaliła kupa nadciągających Pomorców i na ziemię obalonego zamordowała. Inni wpadli do dworu, gdzie ani niewiastom, ani dzieciom nie przepuszczono, plądrując razem, zabierając łupy, nimby kto ognia podrzucił.

Ranek wstał nad krwawem polem trupami zasłanem, zdrajcy nawet, co wrota otworzyli, gdy się rozwścieklа ciżba, pozabijani zostali, nie żywiono nikogo.

Dzicz pijana śpiewała i cieszyła się swojemu zwycięstwu.

Dwaj synowie Chwostka stali pod dębami, wśród trupów, bledzi i przerażeni jeszcze niebezpieczeństwem, z którego ocaleli i nieszczęściem, jakiego ich zuchwalstwo stało się przyczyną.

Ze dniem dopiero spostrzegli, iż Bumir i inni Leszkowie, krewni ich, którzy im towarzyszyli, opuścili ich i znikli.

Zrozumieli, że to zwycięstwo i pomsta krwawa były klęską.

Ostatni, co im posiłkowali, odstąpili od nich. Zostali sami z garścią Niemców i z najemnikami, którzy się na nich też rzucić mogli.

Podwórze zamkowe wyglądało straszliwie, jak pobojowisko. Kupami leżały rozrzucone ciała odarte. Wśród nich osobno widać było siwobrodego Miłosza, starą jego żonę, ślepego Leszka, pobite psy, zgniecionego Obra, niedźwiedzia, w którym tkwiło kilka oszczepów. Wysoko na dębu gałęziach latały popłoszone gołębie i dwie sroki skrzeczały.

Resztki załogi, która się po zakątkach skryła, wyciągano i wiązano. Kaszuby skrępowaną powrozami Biełkę we łzach, pokrwawioną, ocaliwszy, prowadzili w ofierze zwycięzcom.

Padła biedna przy trupie Leszka na ziemię, twarz zakrywając rękami i ryczała płaczem okropnym, grobowym.

Dzicz już wyciągała precz juczne konie łupami, obciążona zdobyczą, wyśpiewując radośnie.

Wśród starych dębów płonęły spustoszone dwory. Dawano rozkazy do pochodu, tłum powoli wylewał się z okopów na równinę.

Długim sznurem płynął przez wrota, wchodząc i niknąc w głębi lasu. Naprzód się cisnął tłum gęsty, potem przerzedzone kupy, naostatku pijana ciżba po kilku i pojedyncze zbóje, którzy się schwyconą zdobyczą dzielić nie chcieli.

Ostatni jeszcze przeciągnął wybitą przez pole drogą i zniknął w lesie.

Z drugiej strony z gąszczy ślepy gęślarz wyszedł z chłopięciem, które go ku okopom wiodło milczące. Wiatr niósł mu spaleniznę ze zgliszcza. Stanął we wrotach, kij jego dotknął leżącego trupa... chłopak przytulił się doń drżący i płakał.

— Stary Miłosz leży z piersią rozbitą... ślepy Leszek zakrwawiony... trup na trupie... żywego nikogo...

Gęślarzowi zadrżały nogi, siadł na kamieniu we wrotach. Dłoń jego sama strun szukała, ale usta pieśni wyjąknąć nie umiały, zawodził tylko:

— Gdy na gniazdo piorun pada, czego grom w nim nie wybije, to się samo w niem zajada, i swą własną krew wypije... Kiedy na ród wyrok padnie, że ma zczeznąć marnie z ziemi, brat na brata ręce kładnie, ojciec żre się z dziećmi swemi. Bez pogrzebu w polu leżą krucy ciała poszarpali... kości ich wiatr poroznosi, i pamięć ich wsiąknie w ziemię...

Ślepy gęślarz stanął we wrotach, kij jego dotknął leżącego trupa... chłopak przytulił się doń drżący i płakał.

XXVIII.

Gdy się już na wyprawę przeciwko Pomorcom wybierano, rozproszonego ich niewolnika, w poprzednich zebranego potyczkach, Piastun kazał spędzić do grodu nad Gopło i zamknąć na wieży, bo tam go najłatwiej strzedz było. Pilnować jeńców po zagrodach niebardzo mieli komu, a trafiało się często, że i w dyby pozabijani, na polach się rozkuwali, szli w lasy i przekradali do swoich prowadząc ich potem tem bezpieczniej na Polan, żetu drogi i osady poznali.

Ludek Wiszów syn, wysłał też z innymi i niemca swego Hengona, którego zabrał był z sobą. Ten, że się tu już dawniej włóczył po zagrodach, znał je dobrze, u Piastuna też bywał; wyprosił u czeladzi co go prowadzila, żeby mu przed knezia pozwoliła iść wprzódy i do niego przemówić. Strasznie mu się na wieżycę z motłochem iść nie chciało.

Zręczny niemiec ufał w to, iż językiem i układną postawą wyprosi się u niego.

Gdy go skrępowanego przyprowadzono, padł naprzód przed starym na kolana, żaląc się, iż mu się tu od wszystkich straszna krzywda działa, że go Pomorcy naprzód spo-

kojnie powracającego zabrali gwałtem z sobą, podejrzewając, że Polanom sprzyja, że potem w ich obozie ujęty został w niewolę i posądzony niewinnie o prowadzenie Pomorców.

— Ja nie wojuję z nikim, niczyim nieprzyjacielem nie jestem — mówił Hengo wielką udając pokorę — żonę miałem z waszego rodu i mowy. Moja sprawa zamiana i zarobek, ludziom służę, wojny się lękam, mienia całego pozbyłem, na żebraka wyszedłem. Litujcie się panie nademną.

Wysłuchawszy żalów, Piastun odpowiedział spokojnie, iż wojna ma prawa swoje, kraj się bronić musi i bezpieczeństwo swe opatrywać. Gdyby cię puszczono wolno — dodał — a uchodząc trafilibyście na niemców, pytaliby was, co się u nas dzieje, musielibyście swoim wyznać wszystko, a nas zdradzić. Lepiej więc dla ciebie i dla nas, abyś tu został, dopóki się wojna nie skończy.

Hengo począł błagać i zaklinać, żeby go przynajmniej na stołb nie sadzano, gdzie sroga nędza panować musiała, wolał w dybach, czy w łykach, choćby związany mleć gdzie w żarnach na zagrodzie.

A że niemiec płakać umiał i czynić się niewinnym, serce starego skruszył.

Pozwolił mu u siebie w chacie pozostać, wymagając tylko przysięgi na Boga, którego Hengo wyznawał, iż uciekać nie będzie. Hengo palce na krzyż złożywszy, klęknął i przysiągł, że się z zagrody nie ruszy.

Drugiego dnia nędzny ów jeniec wojenny już coś poczynał mieniać, bo choć go ze wszystkiego niemal odarto, w łachmanach odzieży znalazły się jakieś cudownie ocalone resztki, i już niewiastom kolce ofiarował, a mężczyznom małe nożyki, które niewiedzieć skąd zdobywał.

Niewiele na to zważano. Uciekać nie myślał w istocie, owszem wciskał się gdzie było najludniej, do wszelkich posług ofiarował, a ciągle się z tem przechwalał, że miał żonę z tej krwi i mowy co Polanie i syna z niej. Głosił się przeto przyjacielem. Na Pomorców i Kaszubów strasznie wygadywał, dzikość im i łupieztwo zadając. Czynił się też użytecznym

tem, że miecze i noże lepiej niż inni ostrzyć, złamane na nowo oprawiać umiał i w czystości trzymać.

Zgłaszali się do niego ludzie różni, służył ochotnie każdemu, a brał co mu dano, choćby mało wartą skóreczkę jagnięcia.

Raz, gdy pod szopką zajęty był swem rzemiosłem, nadszedł doń przybyły tego dnia po rozkazy knezia Dobek, poznał, a zobaczywszy koło majsterstwa, bardzo bolał, że takiego sługi pod ręką nie miał, bo w domu wiele było niezdarnego łomu, z którym ludzie nie wiedzieli co poczynać.

— A czemużeście mnie wziąwszy nie zatrzymali sobie? — odezwał się niemiec. Teraz chybabyście poprosili miłościwego pana, żeby mnie do was na czas puścił pod przysięgą, jabym porobił co potrzeba.

Stało się tedy, że Hengo przysięgę powtórzywszy, gdy i Dobek zaręczył, iż go sam pilnować każe, dostał pozwolenie jechania z nim. Wsadzono go z tyłu na konia za jednym z czeladzi i tak się na nowy dwór dostał.

Tu dziwne znalazł życie, inne niż u pospolitych kmieciów po zagrodach. Dobek z dzieciństwa wojakiem był z upodobania, choć znaczne ziemie miał pod sobą, sam się niemi, ani rolą, ani stadniną, ani barciami swemi nie zajmował.

Miał do tego włodarzów, bartników, stadników, posługaczów, a sam tylko życia zażywał. Nie był też żonatym, chociaż kobiet dwór był pełen, które mu i śpiewać i skakać musiały, gdy rozkazał.

W polu na łowach szalony i niespracowany, gdy do domu przybył, zwykł był przy ognisku legiwać, albo pod drzewem na murawie. Kubek pełny przy nim musiał stać, a wesołki mu prawili baśnie, albo kobiety gadkami i pieśniami bawiły.

Całe godziny i dnie schodziły tak na wylegiwaniu się i na śmiechu, potem nagle na koń się zrywał, w las prowadził swych ludzi z sobą i dni kilka o chłodzie i głodzie polując, do dworu ani zajrzał. Z kałuży gotów był się napić i lada czem pokarmić.

Tak samo gdy na wyprawę ciągnął, dobry był do napaści gwałtownej, ale nigdzie nie strzymał długo.

Przyjacielem też miał niekiedy być takim, że życie stawił dla druha, a gdy najmniejsza waśń poróżniła go z bratem, ubić był gotów na razie... i potem żałować.

Choć tak gwałtowny i dziwaczny, Dobek razem przebiegłym był bardzo; zataić się umiał do czasu, z człowieka wyciągnąć, a samemu się przyczaić cicho.

Z tej strony mało go kto znał, oprócz własnych ludzi.

Hengo poznawszy się z nim, począł bardzo mu się przypatrywać bacznie, po drodze nie spuścił go z oka ni z ucha, postrzegał pilno, a gdy do dworu przybyli, zdało się niemcowi, iż go już całego miał.

Poczęło się tu od tego, iż gorąco się zabrał do czyszczenia, naprawiania i ostrzenia. Wszystek łom leżący w komorze przyprowadził do dobrego stanu. W kilka dni, choć łamaną mową umiał Dobka tak zabawić, iż się o niego upominał i z kąta go sobie wyciągnąć kazał. Prawił mu jak tam po świecie cale inaczej niż u Polan było, jak tam ludzie żyli, jak się niewiasty nosiły, jak się wojacy uzbrajali, jak panom było wygodnie. Umiał to wszystko w takiem świetle przedstawić, iż Dobka ochota brała niezmierna widzieć te ciekawości.

Urabiał go tak powoli niemiec powolnym znajdując, zachodził z różnych stron, szczególnie gdy ani bab, ani czeladzi nie było, coby podsłuchiwała rozmowę. Dobkowi pod lipami kładziono skóry, na których się wyciągał; miód mając pod ręką i tak na brzuchu leżąc, gadek lub pieśni słuchał.

Gdy inni się zabawiając pana zmęczyli, podkradał się niemiec. Próbował z razu tak nieśmiało coś przebąkiwać o niemczech, obyczajach swego kraju a Dobek, ciekaw do czego idzie, puszczał go jeszcze mu dopomagając. Czuł że to niedaremne. Niemcowi zaś zdawało się, że na prostaka trafił.

— Świat to cale u nas inny — prawił Hengo. — Takim ludziom jak miłość wasza, tamby żyć, tu ciężkie życie bardzo, głód nie rzadki, napaści, wojny, ludzie się rozbiegają

po lasach, niczego dostać, nic zobaczyć, ino ziemia, woda i lasy. Tu wszyscy ludzie jakby równi żyją, panów niema, niewolnika mało. Kneziom nawet gromady wielkiej woli nie dają, a tam u nas wojownik panem. Królewskie, cesarskie dwory od złota, srebra i drogich kamieni świecą, domy z muru, z ciosu... wspaniałe i rozkoszne.

Dawał mu Dobek mówić jeszcze go zachęcając.

— Prawno, praw, ciekawym słuchać.

— U nas ludzie tak, jak zwierzęta, rozpierzchli się po lasach, nie siedzą, do kupy się pod grody z domami zbierają... Kamienice budują wielkie i w środku jasne. Chramy Boże wyniosłe i złociste. Piją tam i jedzą inaczej. Niewiasta gdy się ustroi, dziesięć się razy piękniejszą jeszcze wydaje. Gdybyście zobaczyli miasta nasze, z podziwubyście krzyknęli. Rzemieślnicy też u nas z kruszcu, co zamyślą, zrobić umieją.

Tak mu to wszystko zachwalał, że się Dobek aż z ziemi podnosił słuchając, oczy mu się paliły, szczególniej gdy opisywać zaczął, jak tam rycerze chodzili zbrojni, obwieszani łańcuchami, jakie nosili żelazne zbroje i tarcze malowane, na kołpakach żelazo a gzła z łusek żelaznych. Opowiadał też dziwy o kobietach jak śnieg białych, z oczyma jak węgiel czarnemi, które przedziwnie na gęślach grały i śpiewały.

Dobek się pocieszał tem, że to wszystko i u Polan być miało, ale myślał, na co niemiec tak nastawał, chwaląc mu swoje kraje? Nie było to bez przyczyny!

— Byłoby to i u Polan pewnie — mówił Hengo — ale wy sami tego nie chcecie. Mieliście kneziów spokrewnionych z niemieckimi, którzy by byli ten sam porządek i tu zaprowadzili, a no ich precz wyrzuciliście, a natomiast wybraliście prostego kmiecia.

Dobek teraz zrozumiał dobrze, do czego mowa zmierzała i że niemiec zdrajca go próbował, udał więc, iż i on podobnie myślał, dodał nawet, że wybór Piastuna przyjął jako inni, chociaż mógł mu być nie bardzo wygodnym.

— Kmieć kmieciowi równy — jeśli mogli go wybrać, czemuż nie mnie?

Niemcowi zdało się, że go już ma w garści całego, zwolna więc popuszczać coraz zaczął językowi wodze, na stronę Leszków go nawracając, czemu tamten się nie przeciwił. Prawił o dworze teścia Chwościkowego, jaki on piękny był, ilu przy nim rycerzy się znajdowało, jakie życie wesołe wiedziono.

Dobek mu wciąż potakując zdradliwie, przodem go puszczał.

Nazajutrz sam już zagadnął o to, a Hengo bez obawy pleść zaczął, namawiając na stronę młodych kneziów.

Wieców nie było żadnych, a posłuszeństwo i ład wyborny...

Dobkowi niekiedy słuchając pięść świerzbiała, ale go ciągle poduszczał próbując, jak też zajdzie daleko. Hengo się po cichu przyznał, że był w służbie u dziada młodych Pepelków, odważył się nawet szepnąć, iż Dobek widziećby się z nimi powinien, a wziąść ich stronę i drugich namawiać, za co by mu się potem wielkie ziemi obszary dostały, osypy z nich i daniny.

— A jakże się to dobić do nich? — spytał chytry Dobek.

— Gdyby tylko miłość wasza chciała to uczynić — szepnął niemiec — znaleźlibyśmy sposoby.

Nastręczała się tedy zręczność poznać bliżej nieprzyjaciela przed wojną, i Dobek, który lubił osobliwie wyprawy, nie mógł się wtsrzymać, aby nie zapragnąć dokazać tego, co nikt. Obawy nie znał, tylko za zdrajcę uchodzić mu się nie chciało. Trzeciego dnia pod pozorem myśliwstwa z domu wyruszył, nic nie mówiąc niemcowi, i pobiegł Piastuna się radzić co miał czynić. Powrócił z postanowieniem, aby korzystać z niemca, przekraść się do obozu nieprzyjaciela, i co można w nim wypatrzeć.

Nazajutrz Hengo i on naradzali się na osobności, tak, aby ich nie podsłuchano. Dobek starostę swojego zawołał i w domu pilnować polecił, sam na koń siadł, dawszy niemcowi drugiego i w lasy ruszyli nie opowiadając się nikomu dokąd i po co.

Cieszył się niemiec, niedomyślając jakie mu niebezpieczeństwo groziło, i uszy nabijając Dobkowi tem, że on u młodych kneziów będzie ręką prawą, panem na ich dworze, że pożyszcze bogactwa wielkie, weźmie ich krewną za żonę, byle stale z nimi trzymał i drugich też do tego po cichu nakłaniał, aby kmiecia rzuciwszy, dawnych panów się jęli. Dobek milcząc głową potakiwał, a co się z nim działo, tego z oczów nie można było wyczytać. Czasem się tylko ukośnie spojrzawszy uśmiechał.

Jechali tak lasami przedzierając się po uroczyskach pustych nocując dni kilka, aż wjechali do puszczy na granicy pomorskiej ziemi. Tu Hengo znał drożyny lepiej jeszcze, wiedział gdzie szukać ludzi, a przez nich do obozu Pepełków trafić już było łatwo.

Właśnie tam jeszcze na Kaszubów i inne gromady ludzi nawykłych do napaści i wojny czekano, gdy Hengo z Dobkiem manowcami ku obozowisku się zbliżyli.

Dwaj młodzi kneziowie z wujem Klodwigiem stali na granicy w lesie, który zwano puszczą dziką.

Miejsce na obóz wybrane samo przez się było obronne, bo je dwie rzeczki spływające się tu, w widłach obejmowały, a zdala szerokie otaczały błota. Na starem Horodyszczu porozbijane były szałasy i namioty płócienne. Niemała zbrojnych ludzi kupa już się tu zebrała, inni przyciągali.

Gdy się u straży stojącej na wązkiej haci, wiodącej do obozu opowiedzieli, wziął ich jakiś starszy i do młodych panów prowadził. Dla kneziów w pośrodku horodyszcza na prędce była sklecona szopa, na nieociosanych słupach oparta, ladajako deskami i gałęźmi pokryta, której ściany płotami i oponami ostawiono.

Kręciło się około niej rycerstwo po niemiecku odziane, w sukniach pstrych, naszywanych, z żelazem u pasa, a niektórzy i na głowie je mieli. Dzidy też nosili okute żelazem, niektórzy z proporczykami, chociaż na kamiennych młotach i obuchach nie zbywało.

Dopiero pod szopę wszedłszy, kędy młodzi kneziowie

z niemieckim swym krewniakiem siedzieli na pieńkach suknem poprzykrywanych, Dobek mógł dostrzedz istotnej różnicy tej, o której mu Hengo prawił tyle — i owego bogactwa, jakie mu opisywał.

Na deskach pozbijanych, które za stół służyły, postrzegł naczynia kowane złociste, i opony czerwone, szyte we wzory, na samych też odzież misternie szytą, obszywaną i bramowaną. Oba suknie mieli niebieskie do kolan, blaszkami złocistemi po brzegach naszywane, płaszcze spinane na ramionach kolcami grubymi, na nogach obcisłą odzież sznurami pięknie objętą i skórznie też ozdobne.

Czemu najwięcej się dziwił i czego im najbardziej zazdrościł Dobek, to mieczów, prostych, długich, z kruszcu świetnego, pasów do nich sadzonych i stojących zdala u ścian tarczy guzami nabijanych, z pod których skór prawie widać nie było. Inne czerwone malowane lśniły dokoła prętami z kruszcu do nich poprzybijanymi. Na głowach też mieli kneziowie czapki pozłociste, kunsztownie wyrobione.

Pełno tu było Dobkowi nieznanego sprzętu, którego on nawet w prostocie swej użytku odgadnąć nie umiał.

Gdy weszli, a Hengo przypadł do ziemi, czego Dobek wcale naśladować nie myślał, stojąc i rozglądając się swobodnie, poczęło się naprzód długie niezrozumiałe szwargotanie. Niemiec zalecał tego, którego tu przyciągnął, jako swą wielką zdobycz i zasługę, za którą mu się znaczna nagroda należała. Wuj i młodzi kneziowie lękać się zdawali, ażeby przybyły nie okazał się szpiegiem i zdrajcą, podesłanym aby ich siły obliczył i dał o nich znać Polanom.

Dopiero po długiej z Hengiem rozmowie, Leszek starszy, który języka lackiego nie zupełnie zabył jeszcze, do Dobka się zaczął odzywać, jaką to srogą niewdzięcznością naród się ich ojcu wypłacił za tyle dobrodziejstw, które otrzymał od niego; jak oni to teraz u swoich nawet zamiast pomocy, znaleźli się przeprześladowani i w niebezpieczeństwie życia będąc, ledwie je ochronili, przez co dziad ich Miłosz zginął, że zostali zmuszeni

szukać poparcia od rodziny matki, lub sobie zakupywać je, aby powrócić do dziedzictwa swojego.

Zatem drugi z nich z Klodwigiem wujem kląć zaczęli okrutnie Polanów, pięściami w stół waląc, i odgrażając się wściekle.

Dobek słuchać musiał cierpliwie, nic nie mogąc odpowiedzieć. Stał prawie niemy dopóki rozmowa spokojniejszą się nie stała, a panowie nie ostygli.

Starszy złagodniawszy, zaczął go namawiać, aby i on i przyjaciele, których mógł przeciągnąć, na stronę ich przeszli, Klodwig powtórzył to po niemiecku, a Hengo tłomaczył, dodając od siebie obietnice łask wielkich.

— Z was jednego — mówił wuj — choćbyście z nami szli, pociechy jako żywo mieć nie będziemy, chybabyście nam drogę ukazywali, a do tego mamy ludzi. Z dwojga rąk, choćby najdzielniejszych, pomoc mała. Jeżeli ochotę macie, inaczej nam posłużyć powinniście.

— Powracajcie nazad do domu, weźmijcie dowództwo, ciągnijcie z ludźmi na wyprawę przeciw nam, stańcie na tyłach. Gdy do bitwy przyjdzie, rzucicie się na nich z jednej, my z drugiej strony. Weźmiemy ich w kleszcze, aby nic nie uszło. Innych co przedniejszych namówicie, aby toż samo uczynili.

Dobek, choć w nim wrzało i kipiało, słuchał cierpliwie. Poczęli go obietnicami obsypywać, przyrzeczono mu ziemi wiele, władzę, namiestnictwo, skarby znaczne, a gdy Hengo coś podszepnął, śmiejąc się nawet mu pannę niemiecką, pokrewną za żonę obiecano, z posagiem, któregoby na dziesięć wozów nie zabrał.

Dobek tylko słuchał, kłaniał się, na niemca swego spoglądając z ukosa, i choć go gniew dusił za gardło, zmógł się, aby przyjąć te łaski, jak było potrzeba.

Posadzili go potem z uprzejmością wielką na ławie podle siebie i zaczęli go poić. Leszek pierścień z palca zdjąwszy, dał mu go na znak przymierza, drugi mieczem pięknym

obdarzył, a trzeci, chcąc też hojnym być, kubek mu kruszcowy, przepiwszy nim do niego, podarował.

Dopiero, gdy miód i wino przyniesiono, a przy uczcie podochocili sobie, Dobek się na lepszą myśl zdobył, i ciesząc się w duchu, że niemców w pole wyprowadził, począł rozprawiać, przedrwiewając jakby głuptaszkiem był. Leszek, czego nie rozumieli innym tłumaczył.

Tak około dzbanków czas przeszedł do wieczora niemal, a w umowie stanęło, iż Dobek miał powracać do domu, o dowództwo się zgłosić koniecznie, które mu też należało, i innych na stronę Leszków przeciągnąć. Wszystko to półgębkiem wprawdzie Dobek przyrzekał. Czekał tylko, rychło li się wyrwie, aby się obozowi cokolwiek przypatrzeć.

Tak obdarzonego i podochoconego Hengo potem zaprowadził pod szałas na horodyszczu, zawczasu dla nich opróżniony, i tu go na spoczynek złożywszy, sam jeszcze do swoich powrócił.

Miał Dobek czas i zręczność przypatrzyć się temu, czego był ciekawym, gdyż zewsząd go obozujący otaczali. Z miejsca, na którem szałas stał, wojsko dokoła rozłożone widać było, jazdę, której znaczna część miała odzież z żelaznych łubek i blach, i piechotę z tarczami, uzbrojoną w dzidy, oszczepy, miecze i obuchy. Nadewszystko tu podziwiał porządek wojenny, którego u Polan nieznano. Wszystek ten lud, jakby niewolników, starszyzna ostro trzymała, a za najmniejszą winę, jednych prętami smagano, drugich obarczono ciężarami. Byli i tacy, co w dybach za przestępstwa chodzić musieli. Obchodziła się z nimi starszyzna jak z jeńcami, a gdy który z sotników huknął, drżało przed nim co żyło. Zmiarkował Dobek, że choć taki wojak nie był pewny czasu porażki, wojnę nim prowadzić łatwiej było, gdyż do czasu ze strachu był posłuszny.

Z miejsca, na którem szałas stał, liczbę wojska nie łatwo rozpoznać było, ale nie zdała mu się zbyt znaczną, zbroją tylko i orężem Polan przechodziła.

Gdy Dobek dobrze się już przyjrzał ludziom i porząd-

kowi, późno w noc nadciągnął doń Hengo, i przy nim się na straży położył, dopytując się ciekawie, jak mu się to podobało. Dobek choćby był miał ochotę w miejscu go ubić, chwalił młodych panów, iż gładcy byli, piękni, ochoczy i weseli. Z przyjęcia się niby wielce radował, a Hengo obiecywał sowitą nagrodę.

Podarki, które dla niepoznaki przyjąć musiał, jak ogniem go piekły.

W obozie kneziów młodych wiedziano już, iż Piastun z całą siłą dążył ku granicy, aby naprzeciw nim stanąć i zaprzeć im drogę, zaraz też nazajutrz i oni wysyłać mieli gońców po ludzi zaciężnych i wyprzedzić go chcieli napaścią niespodzianą.

Nazajutrz rano bardzo, z nikim się już nie widząc i nie żegnając nikogo, Hengo i Dobek ruszyli przez obóz... nazad ku lasom, przyczem tak się pokierował Dobek, aby się jeszcze piechocie i jeździe przypatrzeć. Hengo miał mu wszędzie towarzyszyć.

Wziął z sobą różnych darów dosyć, aby nimi do pozyskania więcej ludzi Dobkowi dopomagać. Zarania tego dnia gromady niektóre już się w obozie ruszały, a te miały przodem iść, drudzy, z posiłkami wnet ciągnąć za niemi, chciano bowiem koniecznie wprzódy wkroczyć od pomorskiej granicy, nimby się do niej Polanie zbliżyli.

Ruch był wielki, ochota dzika i odgrażania się straszne. Dobek przerzynając się przez kupy tego motłochu, musiał się tego nasłuchać za wiele i ledwie mogąc powstrzymać od okazania gniewu, konia tylko parł, by co rychlej znaleźć się na swobodzie.

Minąwszy obóz i pola, wjechali wreszcie w lasy. Hengo skorym był wielce do rozmowy, Dobek milczał posępnie. Pierścień na palcu go piekł, miecz u boku zawadzał, kubek za nadrą go dusił, tak mu pilno było pomścić doznaną zniewagę. Do nocy odjechali od obozowiska daleko, o znalezienie drogi już się Dobek nie obawiał, myślał tylko, co z niemcem zrobić.

Przebić go mieczem było nader łatwo, ale rozbolałemu człowiekowi tej zemsty było za mało.

Gdy nocą już stanęli na nocleg i konie pętać przyszło, aby je puścić na paszę, Dobek się zakręcił powiadając, że postronki pogubił, a kilka tylko pęczków zapaśnego łyka znalazło się u siodła. Niemiec, człowiek zawsze przezorny, swój sznur mocny ofiarował, ale Dobkowi wydał on się za cienkim.

We dwóch więc wzięli się z niego grubszy skręcić, Hengo pomagał ochoczo. Ogień już był wielki pod starym dębem rozpalony i płonął jasno.

Bardzo zręcznie pętlę splótłszy Dobek milcząc, przystąpił do niemca i nim się ten spostrzegł, zarzucił mu ją pod pachy. Wziął to sobie za żart Hengo niedomyślając się jeszcze niebezpieczeństwa, gdy drugi koniec sznura na gałąź przerzuciwszy, chwycił Dobek i szarpnąwszy nim, już krzyczącego niemca nad ogniem zawiesił, skrępowanego tak silnie, iż się wywinąć nie mógł. Sznur potem Dobek umocował, a sam nieco opodal spokojnie się położył na trawie, ogień tylko podkładając, aby Hengo upiekł mu się żywcem.

Stało się to tak szybko, iż Hengo rażony nagle, przytomność prawie utracił. Dobek zbyt był zburzony, aby nawet mógł łajać, iskrzyły mu się oczy, leżał, patrzał i nasycał się.

Jęczącym głosem niemiec się śmierci wypraszał, lecz nie otrzymał słowa odpowiedzi, ogień tylko podkładał Dobek coraz silniejszy, rzucając weń co mógł ściągnąć gałęzi. Dym i płomień coraz się wyżej podnosząc już zdrajcę ogarniały. Jęczał coraz słabiej i sznur poruszany okręcał się z nim wśród płomieni.

Tymczasem, gdy jęki ustawać poczęły, mściciel konie oba napowrót ściągnął z paszy, pokładł ładunek na nie, nałożył uzdy i wyczekiwał tylko, rychło li Hengo w męczarniach skona, aby się od trupa oddalić.

Miotając się jeszcze Hengo, coraz słabszym odzywał się głosem.

Oczekiwanie znużyło znać Dobka, bo chwyciwszy oszczep, rzucił nim w piersi i dobił nieszczęśliwego.

Dobek nieco opodal spokojnie się położył na trawie, ogień tylko podkładając, aby Hengo upiekł mu się żywcem.

Odszedł potem od ogniska, a wkrótce ciało urwane z gałęzią padło w ogień, żar i iskry rozpryskując dokoła, objęły je płomienie. Najmniejszej już wątpliwości nie było, iż Hengo odżyć nie może, skoczył więc Dobek na koń, splunąwszy na trupa i szybko się oddalił.

Lżej mu się potem zrobiło, a że noc dosyć jasna dozwalała ciągnąć dalej, ledwie cokolwiek koniom na polance spocząć dawszy, ruszył, śpiesząc nie do domu, ale napowrót ku jezioru Lednicy, gdzie się spodziewał znaleźć w pochodzie już wojewodów i ziemie.

Ktoby go był ujrzał naówczas pędzącego niecierpliwie ku swoim, z wieściami, jakie zdobył na wyprawie, myślałby, że go jędze i wiły lasami gnały, tak pilno mu było co najprędzej dostać się do Piastuna i swojej gromady.

Ze wszystkich polańskich mirów, co do oszczepu i procy zdolnem było, Piastun naprzód zebrał u Gopła. Tu mnogi ten lud, tysiącznikom, setnikom, dziesiętnikom rozkazawszy podzielić, nad oddziałami stawiając dowódzców, wojewodów, którzy jemu tylko winni byli posłuszeństwo. Piastun zebrał wojsko daleko liczniejsze niż obrona wymagała. A choć wojakiem nie był, ale prostym bartnikiem, z rojami tymi tak sobie umiał poradzić, iż po raz pierwszy, zamiast kup bezładnie rozbiegających się po lasach i polach, złożył wojsko, które i niemcom mogło być groźnem.

Uzbrojenie też, choć proste, lepszem teraz było, bo wojewodowie i ich tysiącznicy, sami każdego opatrywali, aby z gołemi nie szedł rękami. Ci, którym koni nie stawało, szli pieszo uzbroiwszy się w cięższe oszczepy, pociski i tarcze.

Ponieważ innej zbroi na ciele nie mieli, tarcze te służyły w zastępstwie. Sporządzano ich mnogość wielką, z kory lipowej i drzewa, jakich długo potem jeszcze używano.

Jesiennego dnia, wystąpiwszy na pagórek, gdy wszystek lud już z wojewodami stał w polu, a każdy mir i ziemię ze swemi bogi i stanicami na wysokich dzidach wetkniętemi, rozeznać było można i policzyć, uradował się Piastun w duszy, gromady w ładzie stały i wesołymi głosy mu odpowiadały.

Rozkazanie tedy szło po wszech ziemiach, aby międzyrzeczanie, kujawiacy, poznańczycy, bachórcy z innymi ciągnęli w porządku pod swymi wojewodami, posuwając się trzema drogami ku granicy. Jedne o drugich ziemie wiedzieć miały, nie przeszkadzając sobie w ciągnieniu i na pastwiskach, a nie pustosząc własnego kraju. Iść mieli w cichości, nie rozbiegając się, tak aby nieprzyjaciel zawczasu się o nich nie dowiedział, nie uszedł, nie osaczył, zasadzki nie miał czasu zgotować. Sam Piastun z synaczkiem, którego mimo lat młodych do wojny zaprawiał, szedł w pośrodku, aby własnemi na wszystko patrzeć oczyma.

Ujrzano też rzecz osobliwą, iż wojewodami mianował ludzi, którzy się tego nie spodzieli, a tych co nimi chcieli być, pominął. O Dobku jeden on wiedział gdzie się znajdował, drudzy różnie przebąkiwali, dano więc zastępstwo drugiemu.

Gdy się to działo, a wszystkie siły ławą wielką sunęły się ku granicom, jednego wieczora, stanęli na nocleg pod lasem. Piastun z synem i kilku starszyzny, u ognia grzać się usiedli. Piekli sobie na drewienkach mięso zabitego kozła i gwarzyli pocichu, gdy niespodzianie zaszeleściało niedaleko i kneź ujrzał stojącego przed sobą Dobka, z bladą twarzą, poruszonego wielce, widocznie wysilonego podróżą, bo się na nogach chwiał stojąc.

— Dobek! — spojrzawszy nań zawołał Piastun, jakby o niczem nie wiedział — gdzieżeś to bywał? co się działo z tobą? Ludzie się o was troskali, czy nieszczęścia jakiego nie mieliście?

— Działo się, zaprawdę ze mną — rzekł Dobek — co trudno zdala odgadną, czemuby uwierzyć trudno, ale się przecie nic złego nie stało. Wracam oto wprost z obozu Leszków w puszczy dzikiej, tak jako mnie widzicie, jeszcze śmierdzę niemcami.

Wszyscy krzyknęli zdziwieni, a Dobek opowiadać zaczął.

— Wziąłem u was, miłościwy panie, niemca do naprawy mieczów takiego, który o mało mnie samego nie popsuł.

Chytra gadzina, chciała mnie dla Leszków i do zdrady namówić. Wtedym za wiedzą waszą, udał, że się biorę na wędę, jechałem z nim aż na granicę pomorską do obozowiska Leszków. Dobrze było podpatrzeć z blizka jakie siły mają i co myślą. Stało się tak, że mnie przypuścili do siebie, a do zdrady namawiać jęli; udawać musiałem, język sobie kąsając, że im sprzyjam. Przepatrzyłem ich zbroje, ludzi i wojsko. Chcieli mnie przekupić darami — dodał rzucając z kolei pod nogi Piastunowi, pierścień, miecz i kubek — oto one są. Obietnic mi nie żałowali. Wyrwałem się im, spatrzywszy wszystko — i otom ja jest.

Tchnął mocno Dobek, dziko rzucając oczyma.

— A niemiec co z wami był? co się z nim stało? — zawołała starszyzna.

— Jużem go nie mógł dłużej ścierpieć przy sobie — odparł Dobek. Na noclegu dla wilków upiekłem go na gorących węglach, aby smaczniej im jeść było, inaczejby go może nie chciały.

Słuchali wszyscy w podziwieniu wielkiem, nim się posypały pytania, jak Pomorcy, jak niemcy, jak cały obóz nieprzyjacielski był zbrojny, co mówili, jak i dokąd ciągnąć myśleli. Opowiedział Dobek, iż śpieszyli posiłki zbierać, zwykłą drogą ku Lednicy mając ciągnąć, dokąd już przodowników wysyłano, aby Polanom drogę zabiegli od granicy.

Z drugiej więc strony także nadążać było potrzeba, aby się im nie dać wyścignąć. Z tego, co Dobek widzieć mógł i miarkować, z tego co słyszał, cała Leszków drużyna, zebranej przez Piastuna sile równać się nie mogła, orężem tylko straszną była. Serca nabrała starszyzna i z wielkiej do boju ochoty, i jak na brzask kazano dać znak do ciągnięcia w cichości ku jezioru, ku Lednicy.

XXIX.

asami, polami, ostępy posuwały się gromady zbrojne ku jezioru, w takiem milczeniu, jakby zwierza spłoszyć się obawiały. A stało się, zrządzeniem dziwnem, że choć wojewodowie mało o sobie wiedzieli w pochodzie, z różnych stron ciągnąc, o jednym dniu i godzinie wyszli z okalających puszcz na równinę. Mogło się to nazwać wróżbą szczęśliwą i gdyby nie nakazane milczenie, radośćby była z piersi wyrwała im okrzyk wielki.

Piastun ze wzgórza oglądać mógł, jako miry i ziemie szły w porządku i jedne przy drugich się kładły.

Tu postanowiono zatrzymać się do jutra, czekać na nieprzyjaciela, a jeżeliby nie nadszedł, sunąć zastępem wielkim ku puszczy od Pomorza.

Nie było jeszcze południa, dzień jesienny, ni skwarny, ani zimny, po chłodnej nadchodził nocy, w lasach stała jeszcze na liściach rosa, w polu wesoło świeciło słońce. Ze trzech stron ściągały się miry i szykowały powoli, gdy stojący na wzgórzu postrzegli u skraju lasów poruszające się gromady, które naprzeciw nich występowały z puszczy.

Byli to Leszkowie i ich siły.

Niespodziewali się znaleźć Polan w gotowości przeciw

sobie i pierwsze ich kupy z lasów wychodzące, ujrzawszy obóz rozłożony na równinie stanęły wryte.

Zmięszali się widocznie najezdcy, obiegać zaczęli konni na boki, rozpatrując się w sile nieprzyjaciela. Nad obu zastępami wielka, uroczysta panowała cisza.

Polanie wcale nie uląkłszy się wroga, nie ruszyli się nawet z miejsc swoich. Pomorcom też, choćby się byli może cofnęli radzi, uchodzić zapóźno już było.

Na tej więc dolinie nad Lednicą, do stanowczej rozprawy przyjść miało, między Leszkami a kmieciami. Młodzi kneziowie ufni w Niemców, których z sobą mieli, w oręż i w to może, iż Dobek im zdradę przyrzekał, kazali swoim dalej wysuwać się na pole. Gromada ta, zrazu niewielka w oczach Piasta rosnąć poczęła, rozciągać się, zwiększać i posuwać naprzeciw Polan. On z wojewodami swoimi stał a patrzał, nie wydając jeszcze rozkazów.

Z razu w cichości stojący Leszkowie, wnet ubezpieczeni przewagą w którą ufni byli, dali hasło do okrzyków, które bitwę poprzedzając, służą do strwożenia przeciwnika. Dziki wrzask rozniósł się po nad szeregami. Polanie cicho stali jeszcze.

Obok Piastuna sześciu wojewodów, starców z brodami białemi i siwemi, patrzało w milczeniu jak tam zastęp najezdców rósł, wyciągał się rozdymał i odgrażał.

Ze starców pierwszym był Ścibor, który lud prowadził od Warty, dorodny, mężny i silny, mąż do rady i do boju, milczący, wytrwały, twardy dla siebie i dla ludzi. Siedział na koniu przygarbiony nieco, a że czapki nigdy nie zwykł był nosić, gęsty i bujny włos ogromny, wiatr mu jak grzywę rozwiewał. Odkryta pierś porosła gęstym włosem, nosiła ślady blizn starych.

W ręku miał dzidę okutą żelazem, a na szyi obręcze miedziane dawne, które dziadom jeszcze służyły.

Drugi przy nim, jak on prawie biały, w którego włosach jasne jeszcze, dawniej rude pasami się przebijały, rumiany i świeży na twarzy, choć latami od Ścibora był starszy,

zwał się Nagim. Na głowie miał czapkę z wilczej paszczęki. Gorąca w nim krew, ruchami niecierpliwymi grała. Oczyma wodził to po swoich, to po wrogach, usta miotały przekleństwa i obelgi. Gdyby on rozkazy dawał, jużby się rzucił na Pomorców, nie dając im czasu rozwinąć się. W ręku miotał oszczepem, jakby mu palił dłonie. Podrzucał go i chwytał, a koń pod nim, jakby z panem czuł jedno, podskakiwał do góry i ledwie go naprężona uzda utrzymać mogła.

Za nim stał Luty międzyrzeczan wiodący, suchy, blady, wysoki, prawie bez włosów na brodzie i głowie, żółtej skóry, oczu małych, czarnych i nizkiego czoła. Łowiec to był, tak jak wojak zapalczywy, i niejeden raz na swoją rękę z garścią małą wdzierał się od granicy Pomorzan, we wnętrzności im, łupiąc nielitościwie. Ten do dzidy nie bardzo był nawykły, obuch ogromny miał w ręku, a siekierę u pasa, bo wodzowie owych czasów nietylko rozkazywali wojskom, ale sami przodować im do walki musieli.

Czwartym był Bolko Czarny, któremu nazwanie to zostało z czasów, gdy włos i brodę miał kruczą. Dziś oboje na pół siwizna objęła. Na małej głowie, w której oczy, nos i usta pod zasklepionem siedziały czołem, kędzierzawy włos nastrzępiał się wysoko, krępy był i szeroki a silny. Ogorzałą twarz ledwie wśród zarostu dojrzeć było można. Bolko czarny rzadko usta otwierał, mówił, gdy był zmuszony, krótko a nakazująco. Mąż był do pracy, nie do słowa i słuchać też próżnych wyrazów nie lubił, ale go nikt nie widział doma ni za domem z założonemi rękami. Gdy czynić co nie miał, cepy strugał.

Z drugiej strony stał Myszko zwany Kulikiem, jak wszyscy z tego rodu wyrosły bujno, zdrów, gorący do boju i do rozprawy na języki; uparty przy swojem, ale nieustraszonego męstwa. Znano go, że gdy się przy czem uparł, a rzekł, iż tak być ma, nie cofnął się, choćby życiem przyszło płacić. W zgodzie z nim długo trwać było trudno, lecz komu braterstwo przyrzekł raz, strzymał je we wszystkiem i do końca. Nigdzie mu weselej nie było, jak tam, gdzie się bić miano.

I teraz też usta mu się śmiały, jak do najmilszej słodyczy, bo wiedział, że krwi zakosztuje.

Naostatek najmłodszy z wojewodów Poraj, konia pod sobą ledwie utrzymać mogąc, patrzał ku Piastunowi, czekając rychło-li rzecze, aby lud szedł na spotkanie.

Był to mąż w sile wieku, dziwnie zręczny, z koniem jakby zrosły, z oczyma błyszczącemi ogniem wesołym, z usty uśmiechniętemi, strojny pięknie, bo się lubił ubierać i błyskotkami obwieszać. Wszędzie gdzie wszedł, rad był pierwszym być, i starał się o to, potu i trudu nie żałując. Kilka razy już szepnął kneziowi, że godziłoby się dać znak do boju, lecz Piastun nie spieszył, rozpatrywał się w tej sile, która ciągle z lasu płynąc, mnożyć się jeszcze nie przestawała, jakby ją puszcza na zawołanie rodziła.

Po namyśle zwrócił się kneź nareszcie, wejrzeniem zdając pytać, co począć mają, czekać-li aż się Pomorcy rzucą pierwsi i odpierać, czy iść na nich ławą całą?

Dwa zastępy stały na dwu wzgórzach, w pośrodku których była dolina. Nieznaczny prawie wyschły strumień kręto biegł jej środkiem. Żaden z wojewodów ze słowem się nie wyrywał, gdy o kroków kilkanaście ujrzano zdążającego ku nim Wizuna, z dzidą okowaną w ręku. Szedł raźno, wesoło, jakby odmłodzony, i wysiadłszy zaledwie z łodzi, pospieszał z twarzą jasną ku wodzom.

— Z chramu idę od ognia i wyroczni! — zawołał — niosę wam wróżbę dobrą. Pytałem losów przez ogień, przez wodę, przez ptasi lot, przez wosk lany i dym świętego ogniska... odpowiedziały mi, że wroga zguba czeka!

— Spojrzyjcie! oto nad głowami waszemi ptak się unosi jak gołąb biały, a tam pod lasem gęste kruków widać stada!... Łado! Kolado! — krzyknął — Idźcie na nich! na nich! następujcie!... Niech ich noga stąd nie ujdzie Łado! na nich!...

Za Wizunem i wodzowie i bliższe szeregi ten okrzyk wróżby szczęśliwej powtórzyły.

Piastun ręką wskazał ku lasom.

Ścibor natychmiast z ludźmi stojącymi po lewicy ruszył,

okalając nieprzyjaciela od lewego boku, Luty poszedł z prawego, Bolko Czarny z nim podążył, Myszko za pierwszym, Poraj i Nagi około Piastuna zostali w pośrodku. Gromady ochotnie jak jeden człowiek poczęły się ruszać i kupić, podnoszono stanicę, tysiącznicy i co drobniejszy lud na czoło wychodził, tarcze chwytano z ziemi, oszczepami najeżały się szeregi.

— Ładо!... — wołali wszyscy.

Z przeciwnej strony rozeznać już było można przodem jadących trzech wodzów w płaszczach czerwonych i czapkach pozłocistych, a przy nich żelazem obwieszonych Niemców, którzy rękami wskazywali coś, wywijając na prawo i lewo. Za nimi w jedną gromadę zbity tłum mięszał się i rozsypywał, jeszcze niepodzielony. Niemcy, a tych odróżnić było łatwo, stali przy młodych kneziach w liczbie niewielkiej, za nimi zwijali się Pomorcy z żelaznymi mieczami i pękami sznurów u pasa, przeznaczonymi do wiązania niewolnika i łupu.

Gdy Polanie ruszać się zaczęli, wołając, Ładо! Pomorcy też posunęli się naprzód z okrzykiem, którego rozeznać nie było można. Dowodzący w płaszczach czerwonych skryli się razem z Niemców orszakiem w środek szyków, a na przód wyskoczyli co najzajadlejsi, nawykli do wypraw Pomorcy. Wywijając mieczami i dzidami, poczęli biedz jakby wyzywali Polan, którzy czekali na nich u pochyłości wzgórza.

Wyschły strumień ciekący w dolinie resztką wody, dzielił ich we dwa zastępy. Ścibor i Luty rozstąpiwszy się szeroko zabiegli Pomorcom z boków. Z lasów już nie było widać wyrastających sił nowych, ostatnie wysunęły się nieśmiało i dognały tych, co je poprzedzili.

Wrzawa zwiastująca spotkanie rosła coraz, łajano się, psami i gadzinami, padalcami i ścierwem zgniłem, najobrzydliwszymi wyrazy... Idący przodem pluli na siebie i pięści pokazywali, a gdy z obu stron rozjuszenie wzrastało do szału, pierwsze młoty głucho po tarczach zadźwięczały, ci co stali w pierwszych szeregach zwarli się, naskoczyli na siebie i zmięszali wnet w jedną gąszcz ludzką, w których wrogów od swoich rozeznać nie było podobna.

Z tych przodowników wkrótce powstał tylko wał dogorywających i trupów, który dalszym drogę hamował. Na ziemi lężący jeszcze się dusili i mordowali, gdy już drudzy depcząc ich i biegnąc po nich, nową rozpoczynali walkę.

Luty, który z boku swych ludzi prowadził, najrzawszy przeciw sobie na koniu siedzącego Klodwiga, wprost się przebił przez ciżbę na niego i spadł nań jastrzębiem. Po czapce i płaszczu poznał w nim wodza. Obuch podniósłszy do góry, zwijając nim rzucił się na Niemca, ten z koniem z miejsca, na którem stał, zerwał się szybko, zabiegł i mieczem uderzył po obnażonym karku. Krwawa pręga pokazała się na szyi, ale krew nie trysła, a Luty swym obuchem w piersi zmierzywszy Klodwigowi, z konia go na ziemię zwalił.

Niemcy krzyknęli z przerażeniem, całą gromadą otaczając Lutego, który obuchem na wsze strony wywijając, obraniał się im zajadle. Siekły go ich miecze, nie mogąc zadać ran większych nad pierwszą. Zdało się, że stwardniałej skóry jego żelazo nawet wziąć nie mogło, bliznami zaledwie ją znaczyło.

Z pośrodka tej gromady, która go opadła, Luty cofać się musiał, a Klodwiga konającego porwali na ręce towarzysze. Ustami lała mu się krew.

Bolko Czarny także wparł się we środek razem z Myszkiem, goniąc za młodymi Pepełkami. Lecz przerażeni losem Klodwiga, Niemcy i dwór okrążyli Leszków i murem ich opasali.

Buta i wściekłość Pomorców wnet jakoś ostygać zaczęły, gdy przy pierwszem starciu nie złamali nieprzyjaciela. Bili się, ale zarazem cofali, gdy gromady Polan następowały i parły silnie, a z obu boków zająwszy wzgórza ściskały ich coraz ciaśniej. Droga swobodna ku lasom zwężała się co chwila. Leszkowie ujrzeli z przestrachem, że dwie gromady już prawie kraj lasu zajmowały. Pomorcy coraz żywiej też cofać się zaczynali.

W samym środku pobojowiska najzajadlejsza toczyła się walka, tu zwarli się ludzie, którym nie szło o zwycięstwo, ale tylko o to, by się nasycić mogli i namordować.

Dokoła nich trupy leżały okopem krwawym, razem z końmi zmięszane ciała ludzi, w których tkwiły potrzaskane pociski. Ku rzeczce ciekły stąd wężykami jakby czarne strumyki krwi zagęstej. Tu zacięta walka nie ustawała. Jeśli ją przerwała chwila znużenia, wnet powracała wściekłość. Widać było z tych kup martwych ciał wstające nagle trupy, które życie odzyskiwały, aby się z nową zajadłością rzucić na nieprzyjaciela i ledz znowu zgniecione. Konie gryzły się z sobą i napadały wściekle na ludzi, psy Pomorców i kneziowskie wyły rzucając się na wojaków i padały przebijane oszczepami.

Słońce się już dawno ku zachodowi chyliło, wrzawa i bój trwał jeszcze, ale Pomorców niedobitki już tylko cofały się coraz żywiej, coraz widoczniej chcąc uciekać na lasy. Leszkowie z obawy, aby ich nie pochwycono, już przodem z całą garścią uszli niepostrzeżenie. Dla reszty droga była zaparta. Luty biegnących spychał nazad ze wzgórza w pobojowisko, ze wszech stron obejmowali ich Polanie.

Niewolnika brać wcale nie chciano, poczęła się więc dzika rzeź, a rozbijanie tej garści rozpaczliwie broniących się ludzi, którym czaszki trzaskały młoty, a oszczepy piersi.

Cała dolina i dwie wzgórzów pochyłości okryte były ciałami, a gdy mrok padł, nie stało już walczyć komu ani kogo zabijać. Starszyzna konno jeździła po polu, a gromady upojone szałem dobijały tych, co jeszcze drgali i jęczeli.

Ostatnie brzaski wieczora przerażający obraz oświecały, pola zasłane pobitymi, których śmierć chwyciła w różnych walki wysiłkach. Jedni twarzą leżeli ku ziemi, drudzy ku niebu zwróconą, jakby się jeszcze dźwignąć chcieli, sparci na rękach skostniałych, z nogami podniesionemi w górę. Gdzieniegdzie wróg leżał razem z tym co go dobił, nie mogąc wyrwać ostatniego uścisku. Nad wieżą stały wierne konie, wąchając trupy i szukając poległych panów.

Piastun i krwawi wojewodowie patrzyli na wzgórza, kupy otaczające ich podnosząc zbroczone dłonie okrzykiwały zwycięstwo.

Gdy noc zapadła, Polanie rozłożyli ogniska i pieśni

śpiewać zaczęli. Gromady czeladzi z żagwiami w rękach obchodziły pobojowisko, odzierając pobitych.

Nie spieszono się grzebać, aby i ptakom, niespokojnie unoszącym się górą, dać się napaść do syta.

Wyszedł później księżyc z za chmur i zaświecił nad szerokiem trupów polem. Zdało się, że trupy powstaną, gdy promienie blade poczęły je dobywać z ciemności, ale — pozostały martwe, a z lasu wilcy ciągnęli na biesiadę, wyjąc z daleka i upominając się o część swoją.

U ognia zasiadł Piastun, otoczony wojewodami. Radzili co poczynać, iść dalej czy spoczywać.

Stary kneź długo, wedle obyczaju swego, słuchał co mówili inni, nie spiesząc ze słowem. Gdy kołem obiegły głosy, rzekł w ostatku:

— Dwu z wojewodów pójdą pogonią za zbiegami i pomszczą najazd na Pomorcach. Tego starczy dla grozy... My tu, gdzie nam bogi dały zwycięstwo, na kościach najezdców założym gród, stolicę, a nazwany będzie Kneźnem. Jutro pogrzebiemy ciała aby nie kaziły powietrza i ziemi, a gdy lud spocznie, wnet grodzisko obsypywać i budować począć trzeba.

Uradowani wszyscy powtórzyli okrzykiem — Kneźno! a wojewodowie wstali jeden przed drugim dobijając się tego, by na Pomorze iść mogli. Każdy z nich coś miał za sobą i o mało do sporu nie przyszło, gdy Piastun rozstrzygł rozkazem, aby Luty i Bolko Czarny ruszali nazajutrz sami. Umilkła reszta, choć zazdrosnem na nich patrzała okiem.

Przy ognisku na uboczu leżał ranny Dobek, przy nim stali Ludek Wiszów syn i Doman. Z zajadłością wielką walczył on dnia tego i nabił wrogów kupy, ale jeden z nich, już obalony, ostatnim wysiłkiem oszczep mu wraził w nogę. Choć z rany zaraz wyjęto drzewce, rana została głęboka, noga była poszarpana, a liście i huba przykładane krwi nawet całkiem zatamować nie mogły. Leżał blady sycząc tylko z bólu, ale mu twarz się śmiała i oczy błyskały radością, a gdy słabł na

chwilę, rzeźwiła go wnet myśl, że się przecie pomszczono na dziczy, która kraj niszczyła.

— Hej — odezwał się Doman — tu leżeć na wygonie i na trupy patrzyć, niezdrowo. Wizun już na ostrów powrócił, dzidę we krwi zmaczawszy... zawieziemy cię do niego, na ostrów. On ci rany lepiej opatrzy i świętą wodą zaleje... Mnie tam tak uratowano życie. Ja cię powiozę i wiosłami robić będę.

Sambor, który za Ludkiem stał, odezwał się też.

— I mniebyście wzięli... ja mu będę głowę na kolanach trzymał.

Wszyscy się dokoła na ostrów prosili, Doman, Ludek, Sambor, a wszystkich ich tam ciągnęła Dziwa, którą radzi zobaczyć byli.

— Jabym rad jechał — rzekł brat Ludek — ale mi serce zaboli widzieć tam siostrę rodzoną do ognia przykutą, gdy gdzieindziejby panowała doma... Nie pojadę... pozdrówcie ją ode mnie... A ty, Domanie?

— Ja pojadę — zawołał Doman — pojadę. Raniła ona mnie i krew moją przelała, ale gdym potem ranny i chory przypłynął, ratowała mnie i pielęgnowała.

— Pozdrówcie ją ode mnie! — powtórzył Ludek — ode mnie, od braci, od sióstr, i ścian, i progu, i ogniska domowego.

Dobek nie rzekł nic, wzięto go na ręce i do czółna niesiono. Doman sam głowę jego położył na swych kolanach, Samborowi, który nogi otulał, zostawiwszy wiosło.

Popłynęli powoli. Noc była jasna, widzieli jak w promieniach księżyca bogunki się po wodzie rzucały, jak zdala nad powierzchnią jeziora ich główki wyskakiwały, niknąc gdy się zbliżali, jak białe ich ręce nad wodą zbierały warkocze, z których krople spadały jasne; zdało im się, że śpiew ich słyszeli, a przypłynąwszy bliżej znajdowali tylko zmarszczoną powierzchnię i wir, w który ją tanecznice wprawiły.

Pokazał się wreszcie ostrowa brzeg i drzewa a nad chramem dymu słup czerwieniejący w oddali i chat czerwone okienka, a na łące obozy ludzi, co się tu przed Pomorcami chronili, a bitwę słyszeli tylko w wichrów szumie.

Gdy czółen zaczął się zbliżać do brzegu, czekała nań ciekawa gromada, a wśród niej Dziwa, patrząca w dal, jakby się kogo spodziewała.

Doman pierwszy poznał ją nim zobaczył.

— Ona stoi tam! — zawołał — Dziwa! Dziwa! którążby inna wzrost ten miała? tak głowę niosła? tak królowała jak ona?...

Czółno się już zaryło w piasek.

Sambor skoczył na ląd, aby go wyciągnąć. Dziwa przystąpiła ku nim niezdumiona wcale, spokojna, jakby się spodziewała i przeczuła.

Gdy Sambor do nóg jej przypadł, rąbek sukni całując, przyjęła go uśmiechem, Domana rumieńcem, a nad Dobkiem schyliła się ciekawie, gdy jęknął z bólu. Stał tu i Wizun, i stara Niania i dziewcząt stróżek kilkoro.

Wróżbit, który zawczasu przed bitwy końcem powrócił do chramu, w ofierze niosąc włócznię krwawą, nie pytał o jej dalsze losy. Patrzał dumnie i zwycięsko.

— Pobiliśmy ich! — zawołał Doman, powstając z czółna — dobrzeście nam wywróżyli. Niewiele z nich żywymi uszło... padł wódz jeden, ale Leszkowie uciekli w lasy...

Wizun nie słuchał prawie, schylił się do rannego, patrząc gdzie go wróg skaleczył. Dobek wskazał mu na nogę...

— A ty gdzie mu ten raz oddałeś? — zapytał.

— Leży on tam w polu i krucy nim się cieszą... gardło dał pod tym samym niemieckim mieczem, którym mnie obdarzyli.

— Nieście go do źródła świętego — rzekł starzec — woda go sama uleczy, gdy ten co ranił nie żyje...

Wzięto więc Dobka unosząc go pod ręce i szli wszyscy, a Dziwa im przodowała. Niekiedy obejrzała się za siebie i rumieniła spotykając ścigający wzrok Domana.

W milczeniu zbliżyli się ku chacie Wizuna i chramowi. Tu, na tem samem miejscu, gdzie wprzódy leżał Doman, złożono rannego, a Dziwa pobiegła zaczerpnąć wody, bo do źródła przystęp był trudny.

Doman wymknął się zaraz za nią, stała u źródła zadumana poprawiając kosy i wianek, gdy nadchodzącego ujrzała. Lice jej pokraśniały, zwróciła się, spuściła oczy.

— Ja wam czerpać pomogę... ja za was wodę zaniosę — szepnął Doman za dzbanek chwytając.

Nie odpowiedziała mu nic, oczy jej przebiegły po jego twarzy i zawstydzony wzrok padł na ziemię.

— Co ludzie pomyślą? co powiedzą — zamruczało dziewczę — gdy was tu zobaczą?

— Że ja wam od brata przyniosłem pozdrowienie... Ludek kazał rzec wam od siebie dobre słowo i od braci i od sióstr pozdrowić, od ścian, progu i ogniska.

Westchnęła Dziwa.

— Im tęskno wszystkim za wami...

Ciągle słuchając odwracało się dziewczę, potem, jakby co rychlej ujść chciało od rozmowy, pochwyciło dzbanek z wodą i poczęło iść żywo, nie śmiejąc obejrzeć za siebie.

Ze spuszczoną głową spiesząc, biegnąc prawie wracała do Wizuna chaty, gdzie około łoża pełno było ludzi. Stara Niania ranę obwiązywała. Wizun zioła dobywał; weszła z wodą świętego źródła, ustąpili wszyscy, zmaczała chustę i milcząc położyła na ranie.

— Rychło będziecie zdrowi! — szepnęła po cichu uśmiechając się do niego. — A teraz spoczywajcie tylko...

Wizun też na drzwi wskazywał i wszyscy wychodzić zaczęli. Dziwa znikła pierwsza, tak, że i Doman nawet nie spostrzegł, kiedy mu się wymknęła.

Nie mógł też odejść, bo kołem otaczali go, nagląc, dopytując, badając, aby mówił im o zwycięstwie, jak się potykano i wielu zginęło.

Siadł więc na kamieniu pod chatą i gdy go kołem otoczono, począł powieść o bitwie, jak się wszystkie ziemie zeszły cudownie ze stron różnych o jednej godzinie, jak wróg niepatrzny sam wpadł im w ręce, jak szli warcząc do boju, a młoty uderzyły o tarcze i miecze, o obręcze miedziane, jak wodzowie sami cudów dokazywali, lud prowadząc za sobą...

— Gdyśmy ich zewsząd objęli i ścisnęli jak wąż pierścieniem — mówił — nie mieli gdzie uchodzić, bronili życia, musieli bić się wściekle. Padali jak snopy, walili się jak drzewa, jęczeli jak zwierz dziki, gdy go oszczep dobija. Nie chcieliśmy jeńców, padli wszyscy bezmała, ledwie kto życie wyprosił.

Ręce nam już złożone nieśli, abyśmy im wkładali pęta, kłaniali się do nóg, bijąc głowami o ziemię... nie pomogło... czaszki ich pękały jak orzechy... krew lała się jak po deszczu potoki... płynęła do strumienia, a ze strumienia do jeziora, które się zarumieniło od brzegu.

Opowiadał Doman, jak biały ptak unosił się nad Piastuna głową, a czarne kruki nad Leszkami, jak wilkom i psom głodnym na noc zostawiono ciała... mówił, ustawał, a słuchająca ciżba wołała:

— Jeszcze mów jeszcze... mów więcej!

Późno w noc mógł zamilknąć Doman, a bogom chcąc jeszcze złożyć objatę, do chramu poszedł, u ognia może spodziewając się zobaczyć dziewkę, która mu z oczów znikła. Ale tu jej już nie było. Stara Niania z siwymi włosami bacznie go tylko śledziła, nie ustępując i kroku.

Wyszedł więc Doman z chramu na łąkę i ciągnął ku brzegowi, aby się w czółnie położyć, gdy za sobą szelest posłyszał.

Śmiejąc się szła za nim stara Jaruha. Widząc, że stanął i zwrócił się ku niej, zatrzymała się także, potrząsała głową.

— Ciągnie was tu.... ciągnie.... — mruknęła — oj, wiem ja co! A com obiecała, pamiętacie... dotrzymam. Umiem zaczynić i odczynić, paneczku... umiem...

— A cóżeście zaczynili dla mnie? — odparł Doman. — Dziewka tak odemnie ucieka jak bywało!...

— Oj! oj! — zawołała stara — a tegoż to wy nie rozumiecie, że która ucieka, chce by ją goniono?

Zbliżyła się doń, oglądając dokoła, jakby się lękała być podsłuchaną, dłonią zasłoniła usta, a w ucho mu rzuciła:

— Już teraz jak ją porwiecie, nie będzie się opierała... nie skaleczy.

— A jakże ja ją od chramu porwać mogę? — zapytał.

— Bywało i to... bywało! — rzekła Jaruha — popytajcie Wizuna. Zabierali mu stróżki kneziowie, brali je i kmiecie, a do chramu się okupywali.

Ledwie dokończywszy tych słów, Jaruha obejrzała się niby przelękła, palce położyła na ustach, płachtę zasunęła w czoło, skryła się w zarośle i znikła.

Doman zadumany powlókł się do czółna, legł w niem, ale sen przez całą noc oczów mu stulić nie chciał. Nadedniem wyrwał się niespokojny ku kontynie.

U słupa przy malowanym tynie zdala stojącą postrzegł Dziwę. Nie widziała go, głowę miała spuszczoną, ręce zwisłe i cicho śpiewała sobie.

— Latka moje, latka młode, i piękna uroda, poszły z wiatry, poszły z wodą, spłynęły jak woda.

Zakładajcie siwe konie, zakładajcie gniade, usiędę ja i pogonię lata moje młode.

I dognała młode lata, na kaliny moście, wracajcie się mi ze świata, choćby do mnie w goście...

Coraz ciszej brzmiała stara ta dziewicza piosenka i rozpłynęła się nuceniem tęsknem. Doman się zbliżył ostrożnie, niepostrzeżony, aż zakaszlał, aby nań zwróciła oczy.

I podniosła je, jakby się go tam spodziewała, zarumieniona nieco a smutna. Fartuszek przyłożyła do ust, wzrok się jej niby błąkał, jakby go nie chciał spotykać, a nie uciekała.

Zbliżył się, pozdrawiając ją wesoło.

— Gadkębym wam powiedział — odezwał się — gdybyście jej posłuchać chcieli.

— Jakąż? — spytała.

— O was i o mnie — rzekł chłopak. — Coby to było, gdybym ja za was okup złożył, a was z Lednicy zabrał do mojej świetlicy? Nożabym nie miał u pasa... czembyście się wy bronili?

Zarumieniona Dziwa spuściła oczy, potrzęsła głową.

— Nie może być co nie może — odezwała się cicho — nie możecie wy tego!

— A jakby się stało?

Gdy Doman podniósł oczy, odpowiedzi czekając, dziewczyny nie było u tynu, wcisnęła się do chramu, siadła na kamieniu, serce ręką cisnęła, na ognisko patrzała, a po za siebie rzucała okiem strwożonem. Doman przez szparę między oponą a słupem, przyległszy blizko do ściany, patrzył na nią długo, potem w ręce uderzając odskoczył.

— Bywało to nieraz... stać się może teraz... Nie pójdzie po dobrej woli, ale mi nie będzie krzywą... Bez niej mi żyć trudno...

W piersi się dłonią bił.

— Stanie się co się stanie... muszę ją mieć, krwiąbym ją moją zapłacił!

Zerwał się do czółna iść, nie patrząc już przed siebie, gdy silną dłonią Wizun go za ramię pochwycił.

— Co się ty wijesz i kręcisz?

— Jeszcze mi wczorajsza bitwa szumi w głowie... ot... i różne sprawy, o których nocą, gdym usnąć nie mógł, ludzie prawili. Prawda to stary, że kneziowie Leszkowie dziewki od ognia porywali?

Wizun głową rzucił.

— Że się to i kmieciom trafiało? — dodał Doman.

Stary milczał i wyczekawszy, rzekł ponuro:

— Źli ludzie źle robili... co za dziw? A tobie co po tem?

— A co im się stało za to? — pytał Doman.

Popatrzyli sobie w oczy. Wizun kijem bił w ziemię, patrzał po niebie i po słońcu.

— Tobie pora powracać — rzekł — nie czas baśnie prawić.

Odwrócił się i odszedł.

Zerwawszy liść z drzewa, Doman za nim popatrzał prawie szydersko.

W czółnie nań Sambor czekał. Płynęli więc napowrót w milczeniu oba, tylko się mierząc oczyma, a Doman w duchu powtarzał:

— Musi być moją!

XXX.

dala już widać było, jak gromady trupy układały stosami i pagórki z nich rosły, które mogiłami pokrywano. Roili się tam ludzie, a choć praca smutną była, śpiewali pieśni, wznosili okrzyki.

— Gdzie odgróżki wasze, o rodzie zbójecki, gdzie wasze zwycięstwo i łupy, a jeńce? garść ziemi na oczy, oszczep w piersi się tłoczy, to wasza zapłata... Żony stoją w progu, na powrót czekają, wypatrują oczy, wypłaczą źrenice. Wrócą wilkołakami, krew ssać ze swych braci.

I sypali śpiewając mogiły, mieniając się cały dzień, sypali drugi, sypali trzeci, aż ziemia litościwa wszystkich pokryła. Na stosach poczestnych spalono Polan, których ciała osobno złożono.

Gdy pole oczyszczone zostało, a wiatr odniósł dymy ze zgliszczów, u brzegów jeziora zebrał Piastun wojewodów i starszyznę.

— Gdzie pierwsze zwycięstwo, tam będzie stolica, tam gród... takom rzekł, tak się stanie.

— Ano jeszcze nie pora okopy sypać i drzewo zwozić, póki nasi nie powrócą, pomstę wziąwszy.

— Nie pora okopy sypać i drzewo w zrąb kłaść, dopóki Leszków nie pobierzemy w niewolę, aby na nas sąsiadów nie zmawiali.

— Niech gromady spoczną, niech dzidy nowe i oszczepy zasmolą...

— Naszych nie widać od granicy, pójdziemy i my na Pomorze i na Leszki.

Wolę kneziowską przyjęto ochotnie, do oszczepów jęli się wszyscy. W chacie Mirszowej znowu na prędce skleconej z niedopalonych szczątków, gościł kneź, bartnik u starego zduna.

Stali tak dzień, dwa, a na trzeci wojewodowie przyszli się opowiedzieć, iż ludzie i oszczepy do pochodu gotowi. Czwartego rano ruszyć mieli.

We wszystkich ziemiach i gromadach z Leszków nie było nikogo, ani Bumir, ani żaden spowinowacony z nimi, na wojnę przeciw synom Chwostka ciągnąć nie chciał. Zostawiono ich w pokoju, krew swej krwi nie bije.

O świtaniu czwartej doby, gdy na obozowisku gwarno być poczynało, ze wzgórza od lasów ukazała się drużyna w kilkanaście koni. Bumir przodem jechał, a za nim Leszkowie.

Ściśnięci w kupę, posuwali się milczący, z pochmurnemi czołami, oczyma spuszczonemi, nie pozdrawiając nikogo. Nikt też ich słowem ni ręką nie witał. Obejrzawszy się wkoło, dojechali do chaty, przy której wojewodowie już na koniach stali. Tu zatrzymawszy się, zsiedli.

Czterej wojewodowie zmierzyli ich oczyma srogiemi, ale Bumir też wzroku nie spuścił. Skinął na swoich i kołpaków nie zdejmując, weszli do chaty, w której Piastun za stołem siedział, chleb łamiąc czarny.

Stanęli przed nim rzędem, Bumir na przodzie.

— Znacie nas — rzekł. — Leszki jesteśmy, dawni jak wy, na tej ziemi ojczyce.

— A dziś kmieci jeszcze starszych na tej ziemi ojczyców nieprzyjaciele — odrzekł Piastun.

Bumir tchnął ciężko.

— Nie mów tak — zaczął z dumą — krew naszą przelewaliście wy pierwsi.

— Nie, myśmy własną mścili — mówił Piastun spo-

kojnie — przelewał ją Leszek, Pepełek stary i młody... napili się jej dużo, nimeśmy ją pomścić mogli.

Bumir popatrzał na swoich.

— Gorzej, niż krew, wy nam wiece nasze, zabory i swobody wziąć chcieliście, a tych my odebrać nie damy.

— Po ojcach to spuścizna.

— Piastunie — odezwał się Bumir porywczo — my do was idziem dziś nie z waśnią, nie z gniewem, a żalami, ale z spokojem.

— Mówcie, z czem idziecie — rzekł kneź.

— Pokój niesiemy i zgodę — ciągnął Bumir — mieściliśmy się od wieków na ziemi jednej, żyli z sobą i łączyli. Stało nam dla wszech powietrza, wody i chleba. Chcecie Leszków ród wytępić i wygubić do szczętu? mówcie?

— Leszki nas z obcymi najeżdżają — rzekł Piastun. Poczęli sobie synowie Pepełka, jak wrogi, wojujemy, jak z wrogami.

— Ojca mścili i matkę, a krew rodzica świętą jest dla dzieci — mówił Bumir.

— Mają-li już dosyć tej, którą przelali? — spytał Piastun.

— My pokój niesiemy — powtórzył Bumir — pokój uczyńmy i poprzysiężmy sobie na ogień święty, na „kamień w wodę". Leszkowie i kmiecie niech żyją w zgodzie. Dajcie powrócić Pepełka synom i siedzieć na swej ziemi, nam też wszystkim, co do ich rodu należym, mir dajcie.

Zadumał się Piastun głęboko.

— A dlaczego wy prosicie za nich? — nie ci, co nam wprzódy wojnę i niepokój nieśli?

— Przyjdą i oni — rzekł prędko Bumir.

— Niech przyjdą swobodnie, niech staną, przedemną i starszyzną i kmieciami, niech rzekną, czego chcą. Nie złoży się mir, damy im odejść całym.

— Dziś my iść mieliśmy ku granicy, stojemy tu i czekać będziemy, jeżeli mir i zgoda z nimi przyjść mają.

Bumir ręki chciał na to, co mówił Piastun, i kneź mu rękę dał przy świadkach.

— Idźcie — rzekł — i przywiedźcie ich.

Z tem odeszli Leszkowie w pokoju, na koń siedli i jechali wśród ludzi nie zaczepiani ręką ni słowem.

Piastun za nimi wyszedł w podwórko ku wojewodom.

— Widzieliście ich — rzekł — zgodę nam przynoszą... radźcie, co czynić mamy.

Szmer powstał między starszyzną i wojewodami.

Zapaleńszym wojny się chciało, innym kary srogiej na całym rodzie, niektórzy ani ich słowu, ani przysiędze wiary nie dawali.

Zasępiły się twarze na samą tę wzmiankę, aby wojsko od pochodu wstrzymać, czekając na obozowisko.

Piastun poraz pierwszy spotkał się z ludźmi, co inaczej chcieli, niż on, poczynać — rzekł jednak spokojnie:

— Wstrzymamy pochód, a gdy przyjdą Leszkowie, radźcie wszyscy — a ja słuchać będę i wybiorę, co słuszna.

Posłańców wnet rozpuszczono po obozie i ludzie znów przy ogniskach się pokładli, ale mruczało wielu. Z wojewodów żaden nie był rad zgodzie, Myszkowie jątrzyli przeciw Leszkom, zemsty się ich na sobie obawiając. Piastun milczał.

Dzień jeden i dwa i trzy nikogo nie było, zwiększało się szemranie, wielu odzywało się, iż Leszkowie na czasie tylko zyskać chcieli, i kłamstwem starego bartnika podeszli.

Kilku z wojewodów i starszyzn wyrzuty poczęli robić kneziowi, iż się dał oszukać, ale na to nie odpowiadał. Domagano się rozkazów do wystąpienia w pole, rzekł im krótko i spokojnie, że stać będą, póki on im iść nie każe.

Piątego poranku, już nie maleńka gromadka, ale orszak okazały Leszków, na drodze od lasu się ukazał. Nieśli stanicę swoją z potworą smoczą nad głowami. Środkiem jechali Leszek i Pepełek, dwaj bracia — odziani skromnie i bez oznak kneziowskich, za nimi Bumir i co było do krwi i rodu należącego. Ciągnęli tak poważnie w milczeniu ściśniętą ławą jedną aż pod chaty, tu stanęli gromadnie w milczeniu.

Zdala ich już ujrzawszy Piastun, wojewodów zwołał i starszyznę.

Sam wdział siermięgę starą, miecz tylko przypasawszy do boku.

A że do rady kołem zasiadać było potrzeba, kazał dla siebie, jak panna młoda, na pamięć, że bartnikiem był, ul postawić wywrócony na siedzenie.

Wojewodowie zaś wdzieli każdy z sukni i oręża co kto najlepszego miał. Z dzidami w dłoni, w kołpakach, opończach, przy mieczach i obuchach, otoczyli knezia dokoła. Z obu stron nieufnie, długo niechętnemi mierzono się oczyma.

Leszkowie powoli podszedłszy stanęli, a Bumir przed nich do rozmowy wystąpił.

— Oto jesteśmy — zaczął — przychodziemy z mirem i zgodą.

— Radźmy, jako je uczynić mamy — odparł Piastun — niechaj starszyzna daje swe głosy.

Jeszcze po sobie patrzali, gdy z drugiej strony, przez ciżbę nagromadzoną, która się temu widokowi przypatrywała ciekawie, przecisnęli się dwaj goście obcy, ci sami, co już po trzykroć w stanowczych zjawiali się chwilach, zbliżając się z poszanowaniem do Piastuna.

Ten, ujrzawszy ich, powstał z ula, na którym siedział, witać ich idąc. Zdumieni poczęli go pytać zaraz, co to była za narada i zbiegowisko.

— Waśń to domowa dwu rodów, na jednej ziemi siedzących — odezwał się kneź stary. Dużo ona już nas krwi kosztowała. Dziś Leszkowie nam pokój niosą i zgodę, żądając miru i ręki.

— A wy? — zapytał gość młodszy.

— Starszyzna radzić będzie — wnijdźcie, usiądźcie, słuchajcie, a głosy swe dajcie...

Szli tedy pobratymcy owi do koła, których gdy poznano i przypomniano, wszyscy ich uprzejmie witając, cieszyli się z mężów onych do swej rady.

Odezwali się potem najgorętsi, którym słowo usta paliło, ze słowami groźby i wyrzutów przeciw Leszkom, ciskając im

w oczy winę ojca, i zarzucając, że znowu sobie panowanie przywłaszczać chcieli.

Niektórzy, szczególniej z Myszków, występowali gwałtownie, niepomiarkowanie, złość swą wywierając na nienawistny ród. Zaczęli jątrzyć, a podpalać, twarze bladły i ręce drgały u mieczów, gdy wśród wrzawy, młodszy z gości wstał i prosił, aby mu jako druhowi słowo rzec było wolno.

— Jesteśmy goście i przychodnie — rzekł — ale w waszej mowie wspólna wszystkim nam matka przemawia do wnętrzności każdego z nas. Mężowie zacni, uspokójcie serca wasze, podajcie sobie dłonie, przebaczcie urazy, zapomnijcie krzywd, żyjcie zgodnie. Sami mówicie, że szeroka ziemia wszystkim starczy i wykarmi. Macie wspólnych nieprzyjaciół obcej mowy i plemienia, przeciwko którym bronić się powinniście. Komuż na korzyść pójdą waśnie i walki, jeżeli nie wrogom, którzy z nich będą korzystać?

— Nie lepiejże podać sobie dłonie? bronić wspólnemi siłami! Uczyńcie pokój i zgodę uczyńcie!

Mówił tak długo i gorąco gość obcy, a choć zrazu starszyzna się burzyła i szemrała, miał taki dar trafiania do duszy, iż się ludzie zwolna uśmierzali, uspokajali, łagodnieli, i z lica im już widać było, że się skłaniali do przejednania.

I rzekł Bolko Czarny pierwszy:

— Niech więc stanie zgoda i mir między nami, ale jakąż nam dacie załogę i pewność, że dochowacie miru, gdy my go wam przyrzeczemy?

— Dziadowie lub stryjowie niemieccy Pepełków, zmówią się jutro na nas, gdy lud rozpuścim i wojnę nam wniosą...

— Siedziemy i my, a siedzieć będziemy rozbrojeni wśród was — odezwał się Bumir — głowy nasze każdego czasu są załogiem.

— Któż zaręczy — dodał Myszko — że miasto braterstwa, którego żądacie dziś, jutro nie zapragniecie panowania?

— Uczyniemy uroczystą przysięgę na „kamień w wodę“ — odparł Bumir. — Cóż więcej dać możemy nad słowo, głowę i przysięgę?

Szły narady i powtarzały się głosy różne, a Piastun słuchał w milczeniu i goście obcy także, dopóki się nie przebrało słów i przypomnień gorzkich.

Natenczas wstał z kmiecia — kneź, i rzekł:

— Idźmy więc do jeziora świętego, niech każdy z nas weźmie kamyk na znak przysięgi i rzuci go wobec bogów na dno wody, mówiąc, jak zwykli byli ojcowie nasi. „Jak kamień w wodę niech przepadną w niepamięć waśnie i nieprzyjaźnie nasze".

— Jak kamień w wodę!

— Jak kamień w wodę! — zawołali uroczyście Leszkowie wszyscy głosem jednym.

Wojewodowie i starszyzna milczała, lecz kneź spojrzał na nich nakazująco, i odezwał się, biorąc kamyk u nóg swoich.

— Idźmy wszyscy.

Ruszyli więc Leszkowie przodem, za nimi wojewodowie i Piastun ze starszyzną, pochodem uroczystym nad brzeg jeziora, niosąc wszyscy kamyki w rękach — a przyszedłszy nad wodę, gdy kneź pierwszy kamień rzucił, cisnęli je wszyscy z okrzykiem wielkim i radosnym, którym się rozległa okolica.

Zaczęto potem dłonie sobie podawać, i stała się chwila wesela, gdy poszła wieść po gromadach, że wojny nie będzie więcej, a zgoda i pokój panować mają u Polan, pomiędzy Leszkami i kmieciami, na dawnym zakonie żyć mającymi po bratersku.

Synowie Chwostkowi, choć im bolesną i upokarzającą była ta zgoda, bo dawniej panując, dziś się kłaniać musieli i ulegać — przyjęli ją i milczeli. Inaczej ród by się ich wyrzekł cały.

Żywili też może jakąś nadzieję, iż rzeczy się później lepiej dla nich obrócą.

Legło wszystko, jak stało obozem nad jeziorem, a czeladź posłano po dworach kmiecych, aby ze stad i komór, co potrzeba dla uczty wspólnej, przywiozła.

Święto zgody razem i zakładziny grodu obchodzić miano. Pierwszego dnia czekali wszyscy w polu, szałasy i szatry

Piast ujął pług w rękę i zapuścił w ziemię...

skleciwszy, drugiego dopiero uroczystość rozpocząć się miała. Słano więc po gęślarzy i śpiewaków starych i wróżbitów, po Wizuna na Lednicę i ogień święty dla zapalenia pierwszego ogniska, po wodę ze źródła świętego. A gdy się to działo, jak po dwakroć wprzódy, i teraz, znikli niepostrzeżeni goście obcy.

Nadszedł tedy dzień zakładzin grodu, a słońce wstało jasne i wesołe, aby mu przyświecać. Piast ze starszyzną, wojewodami, gęślarzami i wróżbitami, wyciągnął w pole, gdzie, starym obyczajem, parą wołów czarnych oborać miano granice przyszłego grodu.

Lecz stało się, że gdy o wszystkiem zawczasu miano staranie, o wołach i pługu nie pamiętał nikt i teraz dopiero postrzeżono, że ich brakło. Frasunek więc był wielki.

Wtem, gdy się tak rozbiegają na wsze strony, oczyma szukając człowieka, coby zaradził na to, patrzą, na polu — stoi bezpański pług nowy, parą wołów czarnych zaprzężony i czeka na pana, przewrócony do góry.

Przyszedł tedy doń ze śpiewającymi pieśni gęślarzami Piast i starszyzna, kmiecie z Leszkami pomięszani — ujął go w rękę, odwrócił, zapuścił w ziemię, a woły, jakby nań czekały tylko, iść poczęły wolnym krokiem, odwalając skibę czarną i lśniącą.

Wtem, jak owego dnia walki, dwa ptaki białe okazały się wysoko, lecąc nad głową orzącego, a dwa bociany z obu stron pługa idąc towarzyszyły mu, nie trwożąc się ani śpiewem, ani gromadami ludu. Szli wszyscy za pługiem Piastunowym i kneziowską pierwszą skibą, którą wyorawszy na staje, najstarszemu po sobie oddał kneź pług, rzeknąc:

— Skiba moja pierwszą niech będzie, ale nie jedyną, niech się wszelka siła składa na gród i stolicę, niech każdy dó pługa ręki przyłoży, aby robota była zgodną i silną.

— Ładо! — wykrzyknęły gromady.

Wziął tedy najstarszy z wojewodów pług naprzód po kneziu, po nim drudzy, aż do ostatniego, dalej kto chciał i mógł się docisnąć, choć na chwilkę pługa dotykał. Tak

oborano dokoła gród przyszły, zostawując tylko miejsce jedno na wrota.

Na wzgórzu nad jeziorem zapalono ogień święty z Lednicy przyniesiony, gdzie już przywiezione podwaliny na przyszły dwór kneziowski złożone były. A było obyczajem przestarym, iż dla odegnania złych duchów ofiarą, domy, dwory i chaty zawsze: „na głowy“ zakładano. Komu na inną nie stało, koguta zabijał pod pierwszą belkę.

I tu więc dwunastu jeńców niemieckich stało już w pogotowiu dać głowy pod podwaliny, gdy ujrzano, iż w miejscu, które odkopano, leżała moc wielka ludzkich kości, co za najlepszą wróżbę ogłosił Wizun i życia jeńców nie potrzebowano, gdyż ofiarę sam los Kneźnu już przed laty zgotował.

Padły więc belki na to miejsce prastare i zrąb się zarysował na ziemi. W pośrodku jego już wystawiony był stół ręcznikami szytymi pokryty, chleb leżał na nim, aby go doma nie brakło. Gdy zrąb założony został i progi, a pierwszy człowiek miał je przestąpić, wpędzono przodem barana, i tego u progu zabito na ofiarę, poczem wszedł bezpiecznie kneź a za nim starszyzna. Zaczęto częstować wszystkich, ktokolwiek przyszedł, karmiono i pojono dzień cały i noc całą, przy śpiewaniu i radości wielkiej.

Nazajutrz gromady wojsk rozpuszczać zaczęto po dworach i chatach, odprawiać wojewodów z niemi, zostawując tylko małą część dla obrony nowego grodu i osoby nowego knezia. Szły one śpiewając po lasach i błogosławiąc pokój, który po najazdach i burzy zaświtał.

Około grodu natychmiast ludzie się krzątać zaczęli, wznosić szybko chaty i budować. Nietylko dla knezia, ale dla drużyny jego stawały dwory nad Jeleniem i pobliżu zamku, tak, że w oczach prawie rosła nowa osada, która tu już raz niegdyś, wedle podań istnieć miała.

Piastun zaś, dopóki dwór dlań nie był skończony, w prostym szałasie przebywał, do starej swej chaty leśnej dojeżdżając niekiedy, po której tęsknił zawsze. Gdy wreszcie dach stanął i drzwi zawrzeć było można, a na ognisku naniecić ognia,

przewieziono z nad Gopła wszystkie mienie Piastunowe na gród nowy, aby pierwsze ubóstwo jego i prostota obyczaju, zawsze jemu i potomstwu przypominała, iż ze stanu kmiecego wyniesiony został.

Chociaż płaszcz kneziowski i czapkę włożył stary, w komorze swej siermięgę wieszał, aby mógł na nią patrzeć, pod oknem malowanego dworu ul kazał postawić, aby mu barcie leśne przypominał. A na wiosnę stała się rzecz dziwna: bocian, który na chacie starej mieszkał, gniazdo na dworcu założył.

Syna też jedynego Ziemowida tak chował ojciec, aby obyczaju ziemiańskiego nie zapominał, i na równi z ubogimi mógł życie małem opędzać, pracy, głodu, znoju, zimna się nie lękając.

Pozostaje nam tylko dopowiedzieć o losach Domana i Dziwy, które się też wkrótce rozstrzygnęły.

Gdy się kmiecie po dworach rozjechali, a Doman też powrócił do siebie, chodził długo, a myślał, co ma począć, aby albo z serca zbyć dziewczynę, albo ją znowu porwać i uwieść, a w domu panią uczynić.

Dobek leżał jeszcze na Lednicy ze swą raną, powoli do zdrowia i sił przychodząc, zajrzeć więc do niego miał powód druh i nikt tym odwiedzinom dziwić się nie mógł. Lecz nie wybrał się sam. Najodważniejszych z czeladzi swojej dobrał kilku i kazał jechać z sobą.

Właśnie Kneźno i gród ściągnęły tam na brzegi znaczny napływ ludzi, cieśli i robotnika, Piastun też dozierał, jak się osada wznosiła. Przybywszy więc tu Doman, znalazł więcej świadków, niż mu było potrzeba i musiał szukać brzegu dalej samotniejszego, skądby na Lednicę popłynął.

Dobrano między wzgórzami jeziora łachę, okrytą trzcinami i zaroślami, wśród których konie stanęły. Rybacy czółen dostarczyli i Doman dnia jednego pod wieczór puścił się samoszóst na Lednicę, ludziom wprzódy nakazawszy, co czynić mają.

Przybito w takiem miejscu poza chramem, gdzie rzadko kto dopływał — i tu ludzie czółna w trawach wysokich pochowali, a Doman pieszo naprzód udał się do chaty Wizuna.

Ten, skoro go spostrzegł, wstał, ręce doń wyciągając, bo kochał zawsze wychowańca i radował mu się wielce. Nie wątpił też, iż przybył dla zobaczenia Dobka, który choć jeszcze dobrze nogą nie władał, na próg już mógł wynijść i o kiju się przechadzać.

Gdy się potem stary oddalił, Doman przyznał się przyjacielowi, z czem przybywał.

— Starego — rzekł — gdy powróci, zabawiajcie, a choćbyście krzyk jaki usłyszeli, starajcie się, aby rychło za mną pogonić nie mógł, dopóki łodzie moje nie odbiją od brzegu. Złożę okup do chramu za nią, jakiego zażądają, a wziąć ją muszę. Krwią ją sobie kupiłem.

Ponieważ ku wieczorowi się miało, szedł więc Doman do chramu, gdzie się Dziwę znaleść spodziewał, bo najczęściej przy ogniu przesiadywała.

Tu jej nie było.

Wybiegł więc co rychlej, szukając u wnijścia około ogródka, niemal cały ostrów przetrząsając, a nie śmiejąc jednak nikogo zapytać o nią.

Już mrok padać zaczynał, gdy w końcu zdala postrzegł ją idącą nad brzegiem jeziora i pośpieszył do niej Doman. Poznawszy go, chciała zrazu Dziwa przyśpieszyć kroku, aby się z nim sam na sam nie spotykać, ale chłopak tak zręcznie zaszedł jej drogę, że mu się wymknąć nie mogła.

Wolała tedy stanąć, aby mu nie okazać, że się go lękała. Doman podszedł do niej, nie witając nawet, jakby ją wczoraj dopiero widział.

Złożyło się tak szczęśliwie, iż właśnie od miejsca tego nieopodal stały ukryte łodzie; przystąpiwszy więc Doman w milczeniu, myślał już tylko, jakby ją w tamtą pokierować stronę, aby nie obawiając się pogoni, mógł ją schwyciwszy do łodzi zanieść, nimby ludzie nadbiegli.

— Po Dobka przybyłem tu — odezwał się wesoło —

Doman porwał ją wpół, podniósł od ziemi, a choć krzyknęła wołając ratunku, biegł z nią wprost do czółna swego.

ale on biedny, jeszcze się nie wylizał z rany. Źleście go tu pilnowali.

— Pilnował go stary Wizun, Nania i ja — odezwała się cicho Dziwa — ale ranę miał srogą, może od jadowitego oszczepu, która się długo goić nie chciała.

— Moja, choć na piersi, daleko się rychlej zamknęła — rzekł Doman.

Dziwa oczy spuściła i zamilkła. On zbliżył się ku niej, zaczęła się więc cofać ku brzegowi, i szli tak kilka kroków. Strach jakiś widocznie ją ogarniać zaczynał, oglądała się, czy kto nie nadejdzie i którędyby od niego uciec mogła. Tymczasem szła nad brzegiem, a on coraz przysuwał się bliżej.

O kilka kroków postrzegł Doman głowę jednego z swych ludzi, który ostrożnie podniósłszy się z sitowia, poglądał i słuchał, kto się zbliżał.

Dokoła jakoś pusto było i w chwili, gdy Dziwa, uniósłszy nieco fartuch, puścić się miała uciekać, Doman przyskoczył, porwał ją w pół, podniósł od ziemi, a choć krzyknęła, wołając ratunku, biegł z nią wprost do czółna swego.

Ludzie już gotowi czekali. Przez wodę rzucił się ku nim, niosąc ją na ramionach, łamiącą ręce, skoczył do czółna, które przymocowane było do dwóch, mających je ciągnąć za sobą, i kazał odbijać od brzegu.

Dziwa oczy zakrywszy, płakała, ale się nie wyrywała Domanowi, upadła na dno łodzi, osłaniając twarz ze wstydu.

Pierwszy jej krzyk znać posłyszała Nania, gdyż wnet zjawiła się u brzega, gdy już o mroku czółna ze trzcin i zarośli na czyste wody wypływały. Nie mogła dostrzedz nic zdala, prócz łodzi, które szybko uciekały. Stała więc, słuchając i patrząc napróżno, gdy i stary Wizun, czegoś się domyślający może, nadążył.

Ten bystrem okiem wnet dopatrzył i odgadł, co się stało, i kij podniósł, grożąc do góry. Ale czółna pędziły co starczyły wiosła i wkrótce znikły w mroku wieczora.

Nocą już Doman dowiózł narzeczoną do lądu. Płakała ciągle, milczała, ale się nie opierała temu, co za dolę i prze-

znaczenie swe uważała. Wiózł ją więc z sobą na koniu, nie do własnego dworu, ale do chaty Wiszów, choć nic nie mówił jej o tem.

Z domu rodzicielskiego brać ją chciał, aby nie mówiono, że porwał dziewkę po rozbójniczemu. Gdy nad ranem, z za łez patrząc, ujrzała Dziwa znaną okolicę, usta jej się rozśmiały, i zapłakane poweselały oczy. Spojrzeniem cichem podziękowała Domanowi.

Ranek był jesienny, chłodny. gdy u wrót zagrody stanęli.

Na podwórku u studni czerpała wodę Żywia i bratowe, we drzwiach Ludek sposobił się wyjść na łowy. Gdy ujrzeli nadjeżdżających i poznali Domana wiozącego niewiastę z twarzą zakrytą, wszyscy się ku nim rzucili.

Wtem Dziwa skoczyła na ziemię i zapomniawszy o wszystkiem, ręce podnosząc, witać zaczęła swoich rozrzewniona i szczęśliwa. Dwie siostry rzuciły się sobie na szyję z krzykiem radości — bratowe cisnęły się ją witać — brat biegł pytać, co się stało.

Doman zsiadł u wrót.

— Ludku, bracie — rzekł. — Siostrę wam odwożę, los mi ją przeznaczył, moją być musi, ale ją chcę mieć z rąk waszych i z pod ojcowskiej strzechy.

Sprawcie więc wesele i pobłogosławcie.

Dziwa twarz zarumienioną tuliła na siostry ramionach, płacząc i śmiejąc się razem. Ludek z drugim bratem, który wybiegł z chaty, w ręce klaskali.

Przyszły więc wprędce swaty, sproszono drużbów, przyjechał w królewskim orszaku pan młody, sprawiono wesele, na którem siedem dni goście jedli, pili, śpiewali, skakali i weselili się.

I ja tam byłem, miód i piwo piłem, bo każda stara baśń tak się przecie kończyć powinna.

DOPISEK

Dziejowe legendy.

Jak trudne są do opowiedzenia dzieje dziecięcego wieku człowieka, tak i pierwszych dni tych tajemniczych wzrostu i rozwijania się, które świadków, coby je wypowiedzieli, nie mają. Jak dziecię, po przyjściu na świat, rośnie olbrzymio i sił nabywa szybko, tak naród, wśród tych mroków pierwobytu, obdarzony jeszcze całą potęgą z kolebki wyniesioną, niepojętym sposobem kształtuje się do przyszłych swych losów.

Nic też trudniejszego, jak podnieść zasłonę okrywającą pierwociny bytu narodu. Te chwile mało po sobie pomników zostawiają i śladów. Analogia tylko, porównanie, pewne stałe prawa, którym byt ludzkości podlega, coś o tem dozwalają wnioskować.

Z rodzin urastają rody, plemiona, gminy, narody wreszcie, ale tajemniczy proces ten nie dozwala się dośledzić faktycznie i embryologia narodu pozostanie zawsze tylko prawdopodobieństwem i hipotezą.

Dzieje Słowian w ogólności, długo są prawie nieprzebitą mgłą okryte, nie zna ich nikt, nikt o nich nie wspomina. W tej ciszy, wśród której pewne skazówki tylko, pewne cechy charakterystyczne widocznie się istnienia ich domyślać każą na tych samych ziemiach, na których później występują; rosną niezliczone plemiona jednej krwi i mowy; to nieznane i ukryte, to fałszywie do innych zaliczane.

W Herodotowej Scytyi czuć słowiańszczyznę spowiniętą, widzimy ją tak samo daleko później zagarniętą Germanią Tacyta. Nie jest to bez znaczenia.

Gdy plemiona i narody inne dobijają się sławy i rozgłosu, Słowianie chcą spokoju i kryją się, w domowem ognisku znajdując wszystko, co ich życie stanowi.

Zupełnie zgodne z tym ich charakterem w przeszłości jest pierwsze zjawienie się w dziejach.

Posłuchajmy tego świadectwa o nich, które ma w sobie coś mistycznie przejmującego, gdy zważymy, że to jest pierwsze objawienie się Słowian światu.

Około roku 629, pisze Teofilakt Simokata: „Następnego dnia zostało przez straż królewską schwytanych trzech mężów, rodem Słowian (Sklabenoj). Nie mieli oni przy sobie żadnego żelaza, ani żadnej broni, ale nieśli w rękach gęśle, zresztą zaś niczego przy sobie nie mieli. Zatem król (cesarz grecki Maurycy) rozpytywał ich o narodzie, i gdzie sobie obrał siedziby, i dlaczego uwijają się około rzymskich granic? Oni zaś odpowiedzieli, że są rodem Słowianie, że zamieszkali na krańcu Oceanu zachodniego i że Chagan (Han Awarów) aż do owych to stron wyprawił posły, celem pozyskania posiłków wojennych, zasyłając władzcom narodu liczne dary. Ci tedy władzcy dary przyjęli, ale przymierza zawrzeć nie chcieli, twierdząc, iż uciążliwa jest im dalekość pochodu; i posłali tych właśnie teraz pojmanych do Chagana, żeby się przed nim uniewinnić. Jakoż w piętnastu miesiącach dokonali tej podróży. Ale Chagan niepomny na prawo posłów, postanowił przeszkodzić ich pochodowi do kraju. Oni zaś nasłuchawszy się od narodu rzymskiego, tak z bogactw, jak z ludzkości, największej sławie (jak to śmiało rzecz się godzi), skorzystali z dogodnej chwili i uszli do Tracyi. Mówili dalej, że chodzą z gęślami, gdyż nie przywykli przypasywać mieczów, ponieważ kraj ich nie zna żelaza i dozwala im przeto żyć w pokoju i zgodzie, grają tedy na gęślach, nie umiejąc uderzyć w trąby. Bo komu obca jest wojna, słuszna, mówili, ażeby taki podobał sobie w ćwiczeniach muzycznych. Słysząc to sa-

mowładzca, polubił naród i gościnnem przyjęciem zaszczycił ich, samych jednych z pomiędzy wszystkich barbarów, którzy się z nim zetknęli, a podziwiając ich wzrost i dorodność ciała, odesłał ich do Heraklei".

W tak idealnem świetle zjawia się nam poraz pierwszy to plemię Słowian, nieznające mieczów, z pieśnią i gęślą idące przez świat i życie, do Chana Awarów, na dwór cesarza Maurycego.

Ten sam charakter dawnej społeczności słowiańskiej, miłującej pokój i niewprawnej do wojny, potwierdza Jornandes, pisząc o nich *„armis disperiti"*.

W tej ciszy i przy tych śpiewach wyrabia się tam idealna jakaś społeczność, której instytucje później zetknięciem się z innymi narodami nadwerężone i zepsute, zdradzają właściwą i wielce rozwiniętą cywilizacyę. Im głębiej sięgamy w ten mityczny byt, tem idealniejszym się on przedstawia.

Wiara w jednego Boga, małżeństwo, czystość obyczajów, poszanowanie własności, posunięte do tego stopnia, iż domy nie potrzebowały zamknięcia, gościnność nieograniczona, patryarchalne rządy, organizacya gmin i połączenia ich z sobą rodzajem federacyi, wszystko to na dnie starej słowiańszczyzny dotykalnie jest widoczne*). Wojny, potrzeba obrony od nieprzyjaciela, przypasanie oręża do boku, wciskanie się do obcych pojęć i obyczaju, jak tylko wyszczerbiły ten cały w sobie organizm słowiański, natychmiast następuje proces rozkładu jego, psucie się i wyrabianie czegoś, co musi się stosować do bytu, do temperatury, jaka słowiańszczyznę otacza. Zostają tylko szczątki dawnej organizacyi, która postradawszy siłę samoistną do dalszego wyrabiania się, przechodzić musi przesilenie nowej metamorfozy.

Odosobnienie tylko, w jakiem owi Słowianie z gęślami żyli, dozwalało im zgodnie z ich naturą, wyrabiać się i tworzyć sobie cywilizacyę własną, zetknięcie z obcemi zmienia warunki.

*) Ob. Prokopa.

Niema najmniejszej wątpliwości, że pierwsze chwile takiego przesilenia w narodowym organizmie są zawsze upadkiem i osłabieniem, abdykacyą i chwilowym obłędem.

W całej walce słowiańszczyzny, szczególniej z plemionami germańskiemi, widzimy w niej zabytek starego organizmu, który nieprzyjaciele nawet wynoszą wysoko, i jako pierwszy skutek nowej cywilizacyi, obezwładnienie, chorobę, upadek. Tracą oni to, co wyrobili w sobie sami, a nie mogą odrazu przyswoić tego, co im w formie mało pojętnej i do ich natury niezastosowanej przychodzi.

Ci ludzie gęśli, nieznający żelaza, przez długie wieki zdradzają w sobie swe pochodzenie, pozostają marzycielami, a dają się podbijać, zawojowywać i ujarzmiać.

W późniejszych wiekach plemiona słowiańskie różne, ulegają wpływom sąsiedztw rozmaitych, klimatu, warunkom życia i kształtują się odrębnie. Słowiańszczyzna dzieli się nie na niezliczone narody, ale grupy drobne, które potrzeba obrony skupia w małe całostki. Jest to właśnie ta epoka tajemnicza, w której się tworzą pierwiastki Lechię składać mające.

U tej drugiej kolebki, Polski, panuje ta sama ciemność, która okrywa początki słowiańszczyzny. Tu i tam, podanie, legenda, to jest poezya, stanowi materyał dziejowy. Drugim jest to, co się odgrzebuje z ziemi po mogiłach, choć tu epokę zabytków oznaczyć stanowczo bardzo trudno.

Prawie aż do tej chwili, gdy się Lechia ochrzczona ukazuje poraz pierwszy w walce i przymierzu z Germanami, nie mamy o niej tylko podania ciemne.

Podania te nawet czerpać już dziś musimy nie u źródła, z ust ludu, który o nich zapomniał, ale z kart, kronik, co je napisały niewiernie, starając się stworzyć coś, pojęciem swojego wieku odpowiedniego.

Godzą się na to wszyscy badacze nasi, iż podania o pierwotnych dziejach narodu są mięszaniną rozmaitego pochodzenia żywiołów, sklejonych w nieforemną całość. Można z nich jednak coś wydobyć, tak, jak z grobowych szczątków...

Niema wątpliwości, iż dzieje Leszków, Popielów, poda-

nia o Wandzie, Krakusie i t. p. odnoszą się do pewnych zwrotów i stanowczych zmian w przeszłości narodu, a raczej części jego składowych, gdyż przed Piastem i jego potomstwem nie istnieje ani pojęcie całości jakiejś państwowej. W głębi puszcz, w ciszy lasów, tworzą się dopiero małe grupy pierwotne, których połączenie ma stanowić późniejsze państwo Bolesławowskie.

Kronikarze nie umieją nawet, zrazu jednostajnie nazwać kraju, który z kolei Polanów, Lachów i Lechów przybiera imię. Gdy nagle za Mieszka i Bolesława syna jego występuje to państwo na karty dziejowe, pojmujemy łatwo, że to zjawienie się jego poprzedzić musiało wewnętrzne urabianie się, które mu dało siłę do życia.

Długosz, który w piętnastym wieku według idei ówczesnych układał dzieje polskie, spisał i uporządkował podania poprzedzające epokę historyczną. równie swobodnie i bez krytyki, jak późniejsze przedstawił w świetle swojego czasu. Nie można mu tego mieć za złe, bo każdemu pokoleniu zdawać musi, iż ono jest w posiadaniu prawdy wyłącznem.

Dla Długosza więc podanie najstarsze poczyna od Lecha, od niego idzie nazwisko ziemi, Lechii i Lechitów. Wie jednak Długosz, że rozmaite plemiona spokrewnione z Lechitami, a raczej do nich należące, różnemi się imionami od miejscowości zwały.

Ten mityczny Lech Długosza schodzi bezdzietnie. Nie wiadomo właściwie, kiedy istniał, jak długo ród jego panował, dosyć, że zgasł bezpotomnie.

Po tych pierwszych rządach monarchicznych, a raczej patryarchalnych ojca rodu i narodu, który rodziną rozrodzoną władał, następują rządy gminowładne tak zwanych dwunastu wojewodów.

Podanie, stawiące rządy patryarchalne w początku, a po nich ów rząd małych jednostek gminowładny, nie jest wcale w niezgodzie z naturą rzeczy. Takim porządkiem owszem musiał się odbywać ów proces tworzenia narodu. Dwunastu wo-

jewodów, naczelników mirów, gmin i t. p. w wykładzie pragmatycznym Długosza niewłaściwą przybierają fizyognomię.

Wtrącany po nich Krak, który widocznie jest pochodzenia czeskiego, nie ma związku z legendą lechicką. Służy on w budowie podaniowych dziejów do związania Lechii ze słowiańszczyzną i charakter powieści o nim zupełnie jest odmienny. Mięsza się w niej baśń ludowa słowiańska, potargany jakiś poemat stary, z wysiłkiem niedołężnym do historycznego odcechowania epoki. Krak panuje zarazem Polanom i Czechom i zakłada Kraków, który pierwotne Gniezno wydziedzicza. Życie całe skupia się w tem mieście polsko-czeskiem. Ale na Wawelu pod zamkiem, w jaskini zjawia się potwór niesłychanej wielkości, bajeczny smok *(olophagus)*, który połyka bydlęta i trzody i ludziom nieprzepuszcza.

„Gdy zaś długim zmorzony głodem — pisze Długosz — nie znajdował przygodnej albo podrzuconej sobie pastwy, wtedy z dziką wściekłością, w dzień biały i na jawie, wypadając z łożyska i zionąc z paszczy przeraźliwe ryki, rzucał się na najroślejsze bydlęta, konie, woły, zaprzężone do wozu lub do pługyny, dusił je i dławił, niemniej srogi pożerca ludzi, którzy łakomstwu jego ujść nie pospieli...“

Wszyscy mieszkańcy trwogą przejęci, chcą opuszczać Kraków. Krak wpada na myśl nakarmienia potworu ścierwem wypełnionem siarką i próchnem, woskiem i żywicą, w które nieco zapuszczono ognia. Smok pożera łakomie rzuconą mu pastwę i płomieniem w trzewiach dręczony, zdycha. Krak wybawiwszy tym sposobem kraj od klęski, panuje wśród szczęśliwości i pokoju, a lud po zgonie wdzięczny sypie mu mogiłę na górze Lassocie pod Krakowem, taką właśnie, jak dawnym swym władcom, pod starą Upsalą w Szwecyi sypał naród na pamiątkę. Z tej to mogiły zrodzoną jest legenda o Kraku. Dlaczego jedna ze trzech córek pozostałych po Kraku panuje potem oddzielnie w Czechach, podanie nie tłómaczy. Jest to znowu węzeł, który ma łączyć Kraka i Polskę ze słowiańszczyzną i legendą już posiadającą prawo obywatelstwa.

Z trzech córek Kraka widzimy tylko dwie występujące w podaniu, Libuszę i Wandę. Oprócz tego zostawia on dwu synów: Kraka i Lecha, którychby można uważać za przedstawicieli dwóch później połączonych dzielnic, chrobackiej i lechickiej.

Zazdrosny Lech zgładza zdradziecko starszego brata Kraka, rąbie ciało jego na części i zasypuje piaskiem; udając, jakoby go zwierz dziki rozszarpał na łowach. Panuje więc Lech opłakawszy łzy fałszywemi brata a panowanie jego trwa lat wiele, ale w końcu zbrodnia się wydaje, znajdują jej dowody i Polacy, strąconego ze stolicy, skazują na wieczne wygnanie. Inna legenda opowiada, że wcale nie ukarany, w zgryzotach sumienia, bezpotomnie dokonał żywota.

Bratobójstwo to, w pieśniach starych powtarzające się, ma charakter ludowej powieści. Godna uwagi, że w daleko późniejszej legendzie o żywocie św. Stanisława powtarza się to rozćwiertowanie ciała na części.

Jako spadkobierczyni po bracie występuje córka Kraka Wanda, o której powieść utworzona, mimo późniejszych dodatków, ma cechy podania mogilnego i pierwotnie była pewnie utworem ludowym. Legenda ma w sobie tyle wdzięku, że nęciła już nieraz poetów, ale sprowadzenie tej powietrznej postaci na ziemię zawsze ją umniejsza i odbiera jej urok, jaki ma w powieści ludu. Wanda nie chce znać męża, pragnie postać swobodną i panią swoich losów, dziewictwo swe ślubuje Bogom. O granicę panujący książe Allemanów Rytogar, znakomity rodem i bogactwy, wysyła posły prosząc o rękę Wandy, która dziewosłęby te z odmową odsyła. Rytogar nie mogąc ją skłonić inaczej do poślubienia, wkracza z ogromnem wojskiem w granice. Wanda staje na czele sił swoich i przyjmuje wyzwanie.

Jeszcze raz Rytogar stara się ją skłonić do zamężcia, a Długosz wie nawet jak wymownie przemawiali jego posłowie i jak pięknie im odpowiadała królowa. Potem trąby dają hasło do boju, ale Niemcy przypatrzywszy się pięknej królowej, z zabobonnym strachem pierzchają przed tem zjawi-

skiem. Wanda zwycięża ich potęgą niewieściego, dziewiczego swojego wdzięku. Rytogar nie mogąc ich skłonić do bitwy, z rozpaczy, po pięknym monologu sam się mieczem przebija. Wanda z Niemcami zawarłszy przymierze, przez dni trzydzieści obchodzi zwycięstwo i dobrowolnie siebie na ofiarę Bogom poświęca, rzucając się do Wisły. Zwłoki jej wydobyte z wody lud pogrzebał nad Dłubnią o milę od Krakowa, sypiąc jej taką, jak ojcu mogiłę.

W wyrobieniu kunsztownem powieści o Wandzie znać późniejsze czasy, mnogie szczegóły i upiększenia, niewątpliwie jednak jest to podanie stare, popsute temi ozdobami misternemi, jakie mu narzucano.

Powracający po zgonie Wandy znowu wojewodowie, doskonale oznaczają, gdzie powieści wciśnięte zostały, powieści mogilne, które kronikarze z ust ludu wziąwszy, posłużyć się niemi chcieli do związania dziejów tych bajecznych z podaniami słowiańskiemi, a mianowicie czeskiemi.

W rozwoju narodu wracające gminowładne rządy wojewodów, do rzeczywistości nas zbliżają. Na tle tej prawdy występuje znowu nie już chrobacko-czeska, ale lechicka powieść, niemniej wyglądająca podaniowo, jak poprzednie.

Napaści nieprzyjaciół — mówi podanie — Węgrów i Morawian, zmuszają Polanów do szukania sobie wodza. „Był naówczas — pisze Długosz — między Polakami rycerz dzielny, imieniem Przemyśl (imię jest lechicko-czeskie, a raczej starosławiańskie), wyćwiczony w żołnierce i nad stan swój świadomy sztuki wojennej, a wyższy dowcipem i przemysłem niż znakomitym rodem, który oprócz tego dał się był poznać z poczciwości i wielu zacnych przymiotów, a stąd wielką miał u ludzi wziętość. Osobliwsze więc w rodakach wzbudził zaufanie, że z wrodzoną zdatnością łączył wprawę nabytą w licznych przygodach i bitwach. Ten spostrzegłszy, że nieprzyjaciel poczynał sobie niedbale i nieostrożnie, wziął przed się zamysł więcej dowcipny niż śmiały... Z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca kazał na wzgórzach przeciwległych obozom nieprzyjacielskim porozwieszać w wielkiej ilości błysz-

czadła (?) do szyszaków podobne, na które, gdy uderzyły promienie słoneczne, nieprzyjaciele tak się przerazili, że czemprędzej za broń porwawszy, bez należnego szyku i porządku, bieżeli ślepo i zapalczywie w tę stronę, gdzie mniemane świeciły hełmy, chciwi nowego nad Polakami zwycięstwa".

Długosz opisuje obszernie, jak Przemysław wwiódłszy tym sposobem nieprzyjaciela w zasadzkę, napadł nań i pobił. Za to szczęśliwe zwycięstwo Przemysław okrzyknięty jest królem i nazwany Leszkiem.

Cała ta powieść zdradza jakąś fabrykacyę potrzebną do połączenia znowu legendy z Leszkami i z Lechem pierwotnym.

Na dnie podania jest jakaś głucha tradycya o panowaniu Lechów plemienia, czy stanu nad krajem. Godna uwagi tylko, że tradycya o prostem pochodzeniu Przemysława wspomina, i że poczucie narodowe ciągle podnosi zasługę nad krew, jak później w legendzie o Piaście.

Przemysław także jest ubogim żołnierzem, niewielkiego rodu. Ludowego tu pierwiastku nie czuć bardzo, raczej kronikarską robotę i niezbyt foremną.

Ten Przemysław Leszek zmiera znowu bezpotomny, przyszyty jest na tle gminowładztwa dwunastu wojewodów, jak fantastyczna jakaś ozdoba, dla przypomnienia Leszków.

Następują wybory nowego króla (w czem już znać Jagielońskiej epoki rzeczypospolitej natchnienie). Kandydaci do korony zjawiają się w wielkiej liczbie, rodzą się współzawodnictwa i niesnaski, wybór trudny, dla uniknięcia więc ich „po długich sporach (Długosz) zgodzono się dla skrócenia rozruchów na taki środek, aby obrano słup za metę, do którejby wszyscy ubiegający się o panowanie, w pewnym oznaczonym czasie, na koniach różnej maści i różne mających odmiany, ścigali się rączym pędem w zawody, a ktoby w tym wyścigu pierwszy stanął u słupa, temu, bez względu na stan, lecz w skutek szybkiego biegu, przyznać miano godność książęcą. — Wyścigi te miały się odbyć w pobliżu Krakowa nad Prądnikiem, na darnią pokrytej równinie. Sędziami miała być starszyzna wybrana ku temu. Przebiegły młodzieniec imieniem Leszek,

w nocy drogę ponatykał żelaznymi kolcami, które po wierzchu przysypał piaskiem, z boku dla siebie zostawiając, sobie tylko wiadomą ścieżkę. Zdradę tę odkryli dwaj młodzi, którzy pieszo chcieli się zabawić biegając do mety — ale o tem nikomu znać nie dali. Wyścigi naznaczone zostały na dzień 15 października i ogromne tłumy ludu zebrały się na nie. Długosz powiada, że dla starszyzny urządzone były ławice, a widzowie gorąco przejęci — wcześnie już zajmowali się wypadkiem gonitwy. Zaraz w początku konie innych zapaśników poranione padać zaczęły, gdy tymczasem Leszek, który oprócz tego k o n i a s w o j e g o p o d k u ł, wiadomą ścieżką pierwszy doścignął mety i za słup pochwycił.

Razem z nim wszakże pieszo i ów co odkrył zdradę, wśród śmiechów powszechnych, doszedł do słupa. (Leszek miał jabłkowitego konia, o tem na pewno wie Długosz). Zdrada i kolce wydały się, Leszka rozszarpano, a pieszy ów, skromny chłopak został okrzyknięty.

Legenda, w której jest wzmianka o podkutym koniu, zdaje się wskazywać czasy, gdy już heraldycy ową tak pospolitą w herbach polskich podkowę, czuli się w obowiązku wytłumaczyć. Dziwnie niezręcznie ściąga się to wszystko do Leszków. Przemysław przezwany jest Leszkiem, ten, który zdradą dobiega do słupa, Leszkiem się zowie i ów ubogi chłopak także otrzymuje to miano, „było bowiem, dodaje Długosz, w owym czasie powszechne i nadawano je książętom wysadzonym do rządów j a k o b y m i a n o g o d n o ś c i“. Ciekawa to tradycya o znaczeniu wyrazu, a równie zajmującą jest powieść Długosza, który charakterystykę kreśli Leszka tego z wielkimi szczegółami. Przyznaje mu przymioty nadzwyczajne, rycerskie zdolności, zaprowadzenie ćwiczeń wojskowych, skromność obyczaju i stałą pamięć swojego ubogiego pochodzenia. „Często na zebraniach publicznych — pisze — gdy konieczność wymagała przybrania się w szaty książęce, dawną grubo tkaną kierezyę i przyodziewek lichy, w którym był wzięty na stolicę państwa, w miejscu najwidoczniejszem rozwiesić kazał, aby oczom jego obecne, przypominały mu pierwotnego

stanu prostotę". Nie zdaje się, że to wprost z bajki wyjęty szczegół o jakimś biedaku, o jednym z kilku braci, co skromnością swą na wywyższenie zasłużył.

Od tego to Leszka drugiego, przez syna jego, pochodził Popiel (Pompilius). Podanie mówi, iż był prawym synem Leszka III. z żony jego, a że oprócz niego z nałożnic dwudziestu zostało po nim inne potomstwo. Bolesław, Kaźmierz, Władysław, Wratysław, Oddon, Barwin, Przybysław, Przemysław, Jaksa, Semian, Ziemowit, Ziemomysł, Bogdal, Spicygniew, Spicymir, Zbigniew, Sobiesław, Wizymir, Czestmir, Wisław.

Imiona te także zdają się być przez heraldyków dla wywodu rodzin szlacheckich stworzone, co w Jaksie, Wizymirze, Barwinie i innych widocznie się czuć daje. Potomstwo miało się rozsiąść na Rugii, u Polabów, Obotrytów, Kaszubów, i t. p.

Historya Popielów nader obszernie i z wielkimi szczegółami jest obrobioną. Zmusiła potrzeba przenieść już stolicę z Krakowa do Gniezna i kronikarz przechodzi tu a raczej przeskakuje, znajdując naturalnem, że się okolice górzyste sprzykrzyły Popielowi, a wreszcie i Gniezno także, skąd wynosi się do Kruszwicy. Po tym Popielu, który się nie wsławił niczem, następuje jeszcze jeden Popiel, którego dwudziestu stryjów (dwadzieścia plemion słowiańskich) osadzają na państwie.

Młody ów dziedzic wielkich przodków, okazuje zaraz za młodu jak najgorsze skłonności, a Długosz znowu charakteryzuje go jak najdobitniej, mówiąc, że „gonił za nieprzyzwoitą zabawą i rozpustą, zajmował się urządzeniem biesiad, przeciągłych pijatyk, hulatyk i tańców, rad pilnował wianeczków a nie broni". Oprócz tego gnuśnym był do boju i zniewieściałym, za co go Chwostkiem, to jest nikczemną istotą przezwano. Ożeniono go z księżniczką niemieckiego rodu, z sąsiedztwa, wielkiego pochodzenia, powabną ale dumną i chciwą, która naturalnie męża opanowała. Przyjście na świat dwóch synów Lecha i Popiela, wzmogło jeszcze jej znaczenie i przewagę...

Stryjowie napróżno starali się upadłego tak nizko synowca podźwignąć, nie wymogli na nim nic, a zjednali sobie

nienawiść żony jego, która obawiając się, aby oni kiedy w miejscu jej synów nie doszli do rządów, namawiać męża zaczęła na zgładzenie ich ze świata. Długosz umieścił z tego powodu całą jej przemowę do męża wielce przekonywującą i dowodzącą, że koniecznie pozbyć się stryjów powinien.

Przebiegła niewiasta postawiła na swojem. Popiel udaje ciężką chorobę i stryjów do siebie zaprasza, a niby czując się blizkim zgonu, żąda, aby z nim razem stypę, to jest ucztę pogrzebową odbyli.

Udawane jęki i rozpacze nad jakoby już umierającym księciem, miały być tak rozrzewniające, że „nawet posągi spiżowe zdobiące zamek królewski na tak rzewliwe płacze i narzekania łzawym potem spłynęły". Te posągi spiżowe na zamku Popiela są naprawdę rzeczą osobliwą.

Odbyto więc ów jakiś obrzęd pogrzebowy religijny, a potem zastawiono hojną biesiadę. Komedja owa choroby, rozpaczy, polecania pozostać mającej wdowy opiece stryjów, przeciąga się długo. „W ciągu tych rozmów, powiada Długosz, który układa powieść swą nie skąpiąc szczegółów — słońce poczęło blask swój usuwać z niebokręgu, a Popiel „skończył już grę całą kuglarstwa, które przebiegła żona jego dla podejścia stryjów i panów wymyśliła. Stryjowie też i panowie dopełniwszy tego wszystkiego, co przy umierającym lub zmarłym książęciu czynić się zwykło, czekali, według upewnienia o objawionym bogów wyroku ostatecznej zgonu chwili. — Wtedy Popiel na pożegnanie niby ze stryjami i starszyzną, każe przez sługi podać sobie miodu, aby przy ostatnim uścisku zatwierdzić spełnieniem czary umówione z niemi przymierze. Miał zaś puhar złocisty, przemyślną i pracowitą robotą ryty misternie, a podstawiony zręcznie przez królowę, w którym napój acz w niewielkiej ilości podany, pienił się i burzył tak, iż z połowy naczynia występując z szumem do góry, po zdmuchnięciu piany opadał i wracał stopniami do równowagi, jak to widzimy na wrzącym ukropie, gdy się z pod niego ogień usunie. Napój śmiertelny, wsączony do tego puharu, podano najpierw królowi Popielowi, aby go pokosztował,

a drudzy uważali za czysty i zdrowy. Król udaje jakoby pił do obecnych panów, a zdmuchnąwszy pieniste bełty, podnoszące się ze środka naczynia, wypróżnia je na pozór, rzeczywiście ani dotknął się usty, a tem mniej pokosztował napoju, pozostałą zaś połowę, która mocno zaprawiona była trucizną, każdy z stryjów, dając pocałowanie królowi, spełniał po kolei".

Przywiedliśmy tu cały ten ustęp, aby o powieści Długosza dać wyobrażenie. Stryjowie szaleją z bólu i umierają, a Popiel śmierć tę ogłasza jako zasłużoną karę za zbrodnię knowaną przeciw bratankowi.

Zakazuje oprócz tego ciała ich chować, sam zaś dalej wiedzie życie rozpustne, zastawia biesiady, zalewa się winem i wonnościami, upaja rozkoszą. Tymczasem z trupów stryjów, wylęga się mnóstwo niesłychane myszy, które napadają Popiela i jego rodzinę „biesiadującego przy stole". Służba napróżno je odpędzić się stara, kupami nadchodzą dniem i nocą nie dają im spoczynku, rzucają się nawet na odpędzające straże, przeciskają przez nałożone dla odstraszenia ich ogniska. Popiel chroni się na statku wśród jeziora, potem do „drewnianej wieży" zewsząd wodą otoczonej, myszy płyną za łodzią, pędzą na wieżę, zjadają dzieci w oczach rodziców, potem żonę, naostatek Popiela, którego tak na drobniutkie kawałeczki rozniosły, iż szczątku najmniejszego z niego nie zostało. Następnie pogrzeb reszty ciał stryjów i zwołanie zjazdu do Kruszwicy dla obioru nowego króla.

Zrodziły się tu ze współzawodnictw niezgody i zatargi, potworzyły stronnictwa. Nie chciano nikogo z ohydnej wybrać rodziny. Tymczasem sąsiedzi najazdami kraj trapili.

W takiem to położeniu kraju opatrzność znowu nastręcza, jak w kilku poprzednich powieściach, człowieka nizkiego, pospolitego stanu, dla uratowania go...

Piast wedle opowiadania kronikarza, nazwany tem imieniem dla wzrostu nizkiego i krępej a silnej budowy ciała — był człowiekiem prostych obyczajów i wrodzonej poczciwości, ubogim, żyjącym z kawałka roli, którą uprawiał. Żona jego równie poczciwa zwała się Rzepica. Mieli tylko jednego syna.

Jeszcze za życia Popiela raz dwaj nieznani pielgrzymi, napróżno prosząc o schronienie u księcia, gdy go im odmówiono, udali się do chaty Piasta. Tu ich gościnnie przyjęto, sądkiem miodu i utuczonym prosiakiem, które przygotowane były dla uraczenia sąsiadów zaproszonych na postrzyżyny syna. Uboga ta uczta, jak w Kanie galilejskiej stała się cudowną, pomnożeniem za sprawą pielgrzymów, napoju i mięsiwa. Synowi nadali imię Ziemowida. Długosz widzi w nich lub aniołów, albo apostołów Jana i Pawła, gdyż sami zapytani, mieli się temi nazwać imionami.

Oznajmują oni Piastowi o przyszłym jego wyborze — i upewniają, że tłum zgłodniały zebranych na wiec nakarmi i napoi... To nakarmienie i napojenie... (wielce charakterystyczne, gdy się wspomni sejmy późniejsze) skłania umysły do wyboru ubogiego Piasta... Wzbrania się on przyjąć władzy, aż nareszcie ulega wyraźnemu zrządzeniu Opatrzności.

Piast, jak ów Leszek, co suknię kazał rozwieszać swoją, dla przypominania mu ubóstwa, wziął z sobą swoje chodaki z kory dębowej urobione, kazał je zachować w pałacu i wszystkim potomkom pokazywać, aby się wyrzekli pychy i próżności...

Na tem się kończą legendy poprzedzające dzieje pewniejsze u Długosza, legendy już u niego tak wypełnione, tak pełne drobnych rysów dobitnych, jak gdyby czerpane były z jakiego źródła prastarego, które z taką barwą je przechowało.

Trudno zaprawdę dziś oznaczyć, co kiedy do opowiadań ludu, służących im za tło i podstawę, przyrosło. W wielu epizodach widać heraldyczne przyrostki, powieści z czasów rycerskich, może Krzywoustego, w innych późniejszych jeszcze tkaniny, naostatek rękę historyka, który upiększa, wypełnia, rozszerza, dramatyzuje te baśnie stare, a zarazem zaciera ich pierwotną prostotę.

Skuba, który Krakowi dopomógł do zatrucia smoka, Jaxa stryj Popiela, są to postacie z legend herbowych pobrane. Powieści o wyścigach Leszka, o Przemysławie i heł-

mach, widocznie są już nowsze, same szczegóły w nich to poświadczają. Długosz szukający znaczenia moralnego w tych opowiadaniach, nadaje im barwę, jaką mają całe jego dzieje.

Baśń u niego staje się historyą budującą, że sprawiedliwość Boża ściga winnych, że kara nigdy nie mija występku, prędzej czy później, a cnota zostaje nagrodzoną.

Całość tych legend jak się z pierwszego wejrzenia na cały ich ciąg przekonać się łatwo, nader nieforemnie się składa. Usiłowanie połączenia ich z jakąś chronologią, z dziejami pewniejszymi innych państw, niewytrzymuje najbardziej pobłażającej krytyki. Szczegóły niemal jedne powtarzają się kilkakroć, scena przenosi z Krakowa do Gniezna i z Gniezna do Krakowa bez widocznej przyczyny. Leszkowie znikają i wracają. Jawnem jest, że podanie o mogiłach Kraka i Wandy i czeskie tradycye zostały wszyte w miejscu dowolnem.

Pomimo to wszystko, w legendach tych nietylko imiona, ale główne rysy podań ludu, jeszcze dziś są widoczne. Napróżnoby usiłował kto, z tej tkaniny potarganej i sklejonej dowolnie, stworzyć ciągłe następstwo wypadków.

Leszkowie i ich panowanie, rząd gminowładny pierwotny, obalenie książęcej władzy Lechów, przez kmieciów, których Piast przedstawia, są jedynemi jasnemi pozostałościami historycznemi, które mają znaczenie.

W tem wszystkiem pełno jednak poezyi, pełno pomysłów pięknych, na które się składały wieki, i wartość artystyczna tego płodu wyobraźni i natchnienia narodowego jest niezaprzeczoną. One są kwiatem tym wyrosłym na mogiłach, który coś przecie ma w sobie z ciał i z ducha szczątków, pokrytych niemi...

KONIEC.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Biblioteka Główna UMK
300048653757